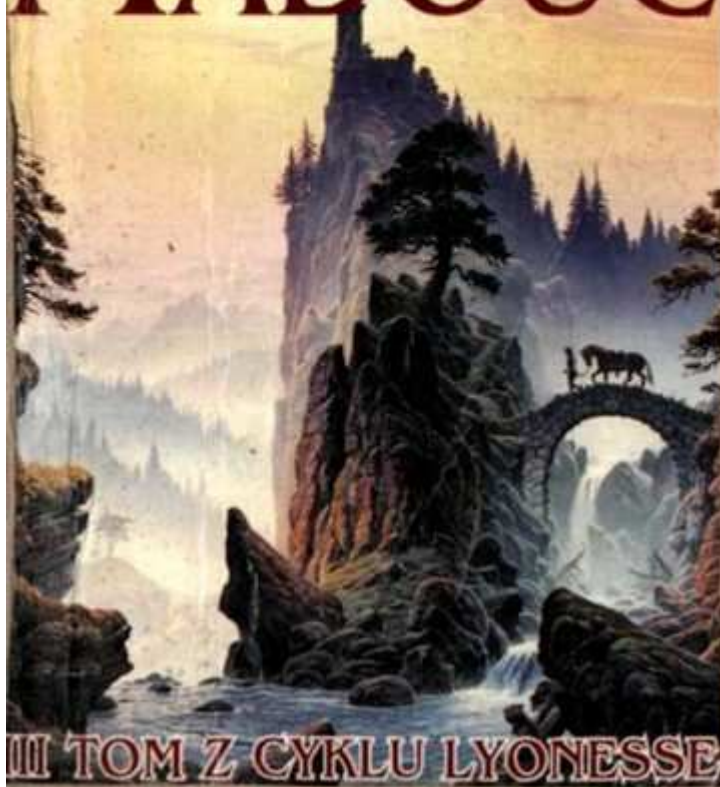


JACK
VANCE

MADOUC



III TOM Z CYKLU LYONESSE

Jack Vance

MADOUC

Przełożyła: Agnieszka Dłużak



Dom Wydawniczy REBIS Poznań 1995

Tytuł oryginału

Madouc

Copyright © 1990 by Jack Vance. All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.

Poznań 1995

Redaktor Grzegorz Dziamski

Fotografia na okładce Mick van Houten

Opracowanie graficzne Maciej Rutkowski

Wydanie I

ISBN 83-7120-186-9

Dom Wydawniczy REBIS

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. (0-61) 674708, tel./fax (0-61) 673774

Drukarnia Kujawska „ViSal” Spółka z o.o. w Inowrocławiu

Rozdział 1

I

Na południe od Kornwalii, na północ od Półwyspu Iberyjskiego i na zachód od wybrzeży Akwitanii wyrastały z wód Zatoki Kantabryjskiej wyspy Elder. Archipeląg ten składał się z wysp rozmaitej wielkości, od maleńkiej, zwanej Kłem Gwyga, będącej zaledwie usypiskiem czarnych skał zalewanych falami Atlantyku, do wielkiej Hybras, o której można znaleźć wzmianki u wczesnych kronikarzy irlandzkich, a która była niemal tak duża jak sama Irlandia.

Na Hybras znajdowały się trzy wspaniałe miasta: Avallon, Lyonesse oraz starożytne Ys*, a także wiele warownych grodów, starych, szarych wiosek, zamków z licznymi wieżami i dworów otoczonych pięknymi ogrodami.

* W pradawnych czasach lądowy most na krótko połączył wyspy Elder z kontynentalną Europą. Zgodnie z mitem, gdy pierwsi wędrowni myśliwi, którzy przybyli na Hybras, przedostali się przez Teach tac Teach i po drugiej stronie gór spojrzeli na wybrzeża Atlantyku, zobaczyli już wtedy znajdujące się tam Ys.

Krajobraz wyspy Hybras był bardzo zróżnicowany. Równoległe do wybrzeża Atlantyku ciągnęło się olbrzymie pasmo górskie Teach tac Teach o strzelistych szczytach i wyżynnych wrzosowiskach. W innych miejscach krajobraz był łagodniejszy, z widokami na rozległe słoneczne doliny, leśne zakątki, łąki i rzeki. Wnętrze wyspy porastał dziki las. Była to puszcza Tantrevalles, o której krążyło wiele opowieści, lecz gdzie z obawy przed czarami niewielu odważało się wędrować. Nieliczni, którzy się na to ośmielali, jak drwale lub im podobni, rozglądali się ostrożnie dookoła, szli uważnie, często się zatrzymując i nasłuchując odgłosów lasu. Martwa cisza, choćby nawet przerywana krótkim, ptasim trelem, nie budziła zaufania.

Im głębiej zapuszczali się w las, tym kolory stawały się intensywniejsze i ciemniejsze, zaś cienie miały barwę indygo i złocistego brązu. Kto wie, co w

takim borze mogło na człowieka spoglądać z drugiej strony polany lub czaić się na czubku któregoś pniaka?

Przez wyspy Elder przewędrowało wiele ludów: Pharesmianie, niebieskoocy Evadniojczycy, Pelazgowie z ich szalonymi kapłankami Bachusa, Danaanejczycy, Lidowie, Fenicjanie, Etruskowie, Grecy, Celtowie z Galii, Skalradzi z Norwegii, którzy przybyli przez Irlandię, Rzymianie, Celtowie z Irlandii i Goci. Po tych wędrówkach ludów pozostały rozmaite ruiny osad, zniszczone grobowce, napisy na murach wykute starożytnymi runami - pieśni, tańce, przemowy zapisane w różnych dialektach, nazwy miejsc, z których wiele zostało zupełnie zapomnianych, lecz nadal fascynowały różnych ludzi i pobudzały ich wyobraźnię.

Hołdowano na wyspach kilkunastu kultom i wyznawano paręnaście religii, różniących się między sobą zasadniczo, lecz podobnych do siebie w tym, że zawsze kasta kapłanów była grupą wybrańców pośredniczących pomiędzy powszedniością a świętością. W Ys wykute w skale stopnie prowadziły od oceanu ku świątyni Atlanty. Co miesiąc o północy, przy świetle księżyca, kapłani schodzili po schodach i ukazywali się ponownie o świcie, ozdobieni girlandami morskich roślin. W Dascinecie niektóre plemiona wyznawały religię, której reguły wykute były w świętej skale i nikt poza kapłanami nie potrafił ich odczytać. Na Scoli, przyległej do Dascinetu wyspie, wyznawcy boga Nyrene wlewali do świętych rzek całe naczynia własnej krwi, zaś niektórzy szczególnie gorliwi byli w stanie wykrwawić się niemal na śmierć. W Troicinecie rytualne obrzędy ku czci życia i śmierci odbywały się w świątyni poświęconej Gai, bogini ziemi. Celtowie wędrowali po całych wyspach Elder zostawiając za sobą nie tylko nazwy miejsc, ale również druidów w ich świętych gajach, którzy celebrowali Marsz Drzew podczas święta Beltane. Etruscycy kapłani odprawiali obrzędy odpychające i często makabryczne, natomiast Danaanejczycy oddawali cześć nieco sympatyczniejszym bogom z aryjskiego panteonu. Wraz z Rzymianami przybyli wyznawcy Mitry, po nich chrześcijanie, zoroastrianie i wiele innych podobnych sekt. Później irlandzcy mnisi założyli chrześcijański klasztor na wyspie Wanish*, blisko Dahautu i Avallonu, który ostatecznie czekał taki sam los,

* Nieco później król Phristan z Lyonesse pozwolił założyć chrześcijańskie biskupstwo w Bulmer Skeme, na wschodnim wybrzeżu Lyonesse, nakazując jednak, aby nie wywożono żadnych bogactw do Rzymu. Być może z tego powodu tamtejszy kościół nie miał zbyt wielkiego wsparcia z zagranicy, a biskup nie miał wpływu ani w Bulmer Skeme, ani w Rzymie.

jak Lindisfarne daleko na północy u wybrzeży Brytanii.

Przez wiele lat wyspami Elder rządzono z zamku Haidion w mieście Lyonesse, dopóki Olam III, syn Fadhiona Długonosego, nie przeniósł swej siedziby do Falu Ffail w Avallonie, zabierając tam święty tron Evandig i wielki stół zwany Cairbra an Meadhan*, przy którym zasiadali członkowie rady królewskiej i o którym krążyło wiele legend.

* Wiele lat później Cairbra an Meadhan posłużył jako wzór dla Okrągłego Stołu króla Artura na zamku w Camelot.

Po śmierci Olama III nadeszły dla wysp Elder ciężkie czasy. Skalradzi, wyrzuceni z Irlandii, osiedlili się na wyspie Skaghane i wytrwale odpierali wszelkie próby przegonienia ich stamtąd. Goci najechali wybrzeża Dahautu, ograbili klasztor chrześcijański na wyspie Wanish, pożeglowali w swych długich łodziach aż do ujścia rzeki Camber i przylądka Cogstone, z którego na krótko zagrozili samemu Avallonowi. Kilkunastu spragnionych władzy książąt rozlało wiele krwi, pozostawiło po sobie rozpacz i cierpienie, wyczerpało swój lud, lecz niczego nie osiągnęło. Ostatecznie wyspy Elder stały się mozaiką jedenastu królestw, z których każde było wrogo nastawione do pozostałych.

Audry I, król Dahautu, nigdy nie zrezygnował z prawa do władzy nad całym wyspami Elder twierdząc, że posiadanie tronu Evandig daje mu podstawę do takich żądań. Szczególnie gniewnie sprzeciwiał mu się król Phristan z Lyonesse, który utrzymywał, że Evandig i Cairbra an Meadhan były jego prawowitą własnością, bezprawnie zagarniętą przez Olama III. Nazywał Audry'ego I zdrajcą i tchórzem. W końcu oba królestwa wypowiedziały sobie wojnę. W największej i najbardziej zaciętej bitwie pod Orm Hill obie strony osiągnęły tylko tyle, że zupełnie wyczerpały się nawzajem. Zarówno Phristan, jak i Audry I padli w boju, a po bitwie resztki obu rozbitych armii zwlekły się smętnie z pola bitwy.

Królem Dahautu został Audry II, a Casmir I nowym władcą Lyonesse. Żaden z nich nie zrezygnował ze swoich roszczeń, skutkiem czego pokój zawarty pomiędzy ich królestwami był bardzo wątły i napięty do granic wytrzymałości.

Tak mijaly lata, dla których spokój i ład były jedynie wspomnieniem. W puszczy Tantrevalles elfy „trolle, ogry i inne istoty, które trudno nazwać, niepokoily się nawzajem i złośliwie dokuczaly wszystkiemu dookoła, a nikt nie śmiał ich ukarać. Czarodzieje nie zadawali sobie trudu, aby nadal skrywać swoją tożsamość, a wielu z nich służyło swymi umiejętnościami różnym władcom pomagając im w prowadzeniu polityki.

Czarodzieje poświęcali coraz więcej czasu podstępnyim walkom i intrygom, na skutek czego wielu z nich opuściło ten świat. Czarodziej Sartzanek był jednym z głównych przestępców. Czarodzieja Coddefuta zniszczył nasyłając na jego ciało nieodwracalną zgniliznę, a czarodzieja Widdefuta za pomocą Zaklęcia Wiedzy Totalnej. W odwecie grupa wrogów Sartzanka wtłoczyła go w żelazną łaskę, którą umieszczono na szczycie góry Agon. Tamurrello, potomek Sartzanka, schronił się w swym dworze Faroli, w głębi puszczy Tantrevalles, gdzie zabezpieczył się kręgiem zaklęć.

Aby uniknąć innych, podobnych zajść, najpotężniejszy z czarodziei, Murgen, wydał słynny edykt, zakazujący usługiwania królom, gdyż taka działalność musiałaby nieodwracalnie doprowadzić do kolejnego konfliktu, co mogłoby się stać niebezpieczne dla wszystkich.

Dwaj czarodzieje, Snodbeth Radosny, zwany tak z powodu swoich dźwięczących dzwoneczków, wstążek i śmiesznych żarcików, oraz Grundle z Shaddarlost, byli na tyle bezczelni, by zingorowac edykt, skutkiem czego każdego z nich spotkała surowa kara za nieposłuszeństwo. Snodbeth został wciśnięty do starej kadzi, gdzie pożarły go miliony małych czarnych robaków. Grundle pewnego razu przebudził się daleko od Ziemi, po niewidocznej stronie gwiazdy Achernar, pomiędzy gejzerami roztopionej siarki i chmurami niebieskiego dymu. On również przyplacił nieposłuszeństwo życiem.

Mimo że czarodzieje musieli się trzymać z dala od królewskich waśni, na wyspach nadal dochodziło do krwawych porachunków i panowała niezgoda. Celtowie, którzy początkowo zupełnie spokojnie osiedlili się w prowincji Fer Aquila w Dahaucie, byli podburzani przez bandy przybyłych z Irlandii Goidelów. Wycięli w pień wszystkich Dahautczyków, którzy stanęli im na drodze, natomiast przysadzistego złodzieja bydła, zwanego Łysym Meorghanem, ustanowili swoim królem i nadali krainie nową nazwę - Godelia. Mieszkańcy Dahautu nie byli w stanie odzyskać utraconych ziem.

Mijały lata. Pewnego dnia Murgen dokonał zadziwiającego odkrycia, które wprawilo go w takie zakłopotanie, że przez wiele dni siedział bez ruchu, wpatrując się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Stopniowo wróciły mu jednak wszystkie zmysły i w końcu ułożył plan, dzięki któremu, gdyby się powiodł, odwłóklby triumf zła, a może i ostatecznie by je powstrzymał.

Murgen poświęcił na jego zrealizowanie wszystkie swoje siły i energię, lecz z jego życia zniknęła wszelka radość.

Aby strzec swej prywatności, wokół Swer Smod, które było jego siedzibą, rozstawił liczne przeszkody. Wejścia do Swer Smod pilnowało dwóch demonicznych odźwiernych, którzy mieli zwracać najbardziej upartych gości. Rezydencja Murgena stała się miejscem cichym i ponurym.

Po jakimś czasie poczuł jednak potrzebę odmiany. Z tego powodu za pomocą czarów powołał do życia swojego potomka, który miał mu dopomóc w jego pracach.

Potomek ów, Shimrod, został stworzony dzięki wielu wyrafinowanym i przemyślnym zaklęciom i w niczym nie przypominał Murgena; nie był do niego podobny ani z wyglądu, ani z charakteru. Być może różnili się nawet bardziej, niż Murgen to zaplanował, gdyż zachowanie Shimroda było czasami zbyt swobodne, a nawet zakrawało na frywolne. Mimo że nie pasowało ono do atmosfery panującej w Swer Smod, Murgen uwielbiał swego wychowanka, uczył go umiejętności życia i sztuki magii.

Shimrod nie mógł jednak długo usiedzieć spokojnie w Swer Smod i pełen optymizmu opuścił zamek z błogosławieństwem Murgena. Przez jakiś czas podróżował jak włóczęga po wyspach Elder, czasami udawał chłopca, częściej wędrownego rycerza poszukującego romantycznej przygody.

W końcu obrał za swą siedzibę dwór Trildę na łące Lally, kilka mil w głąb puszczy Tantrevalles.

Po upływie paru lat Skalradzi ze Skaghane udoskonaili swe maszyny wojenne i najechali Północne i Południowe Ulflandy. Zostali jednak pokonani przez Aillasa, pięknego młodego władcę Troicinetu, który odtąd był królem zarówno Północnych, jak i Południowych Ulflandów, ku czarnej rozpaczcy Casmira, króla Lyonesse.

Na wyspach Elder pozostało mniej niż dwunastu czarodziei. Byli to, między innymi, Baibalides z wyspy Lamneth, Noumique, Myolander, Triptomologius Nekromanta, Condoit z Conde, Severin zwany Łowcą Gwiazd, Tif z Troagh i

paru innych, którzy byli jeszcze zaledwie uczniami i nowicjuszami w sztukach magicznych. Wielu innych po prostu w ten czy inny sposób przestało istnieć, co świadczy o tym, jak niebezpiecznym zajęciem może być magia. Wiedźma Desmëi z niewiadomego powodu zniszczyła samą siebie podczas powoływania do życia Faude Carfilhiota i Melancthe. Również Tamurello działał nierozważnie i zawisł jako szkielet łasicy w małej szklanej kuli, w Wielkim Hallu Murgena, w Swer Smod. Szkielet jest ciasno skręcony, ma czaszkę wciśniętą pomiędzy tylnie łapy, a dwoje czarnych oczek spogląda przez szkło. Można niemal wyczuć ich złą wolę, a chęć rzucenia złego czaru na każdego, kto spojrzalby na szklaną kulę, jest prawie namacalna.

II

Marchią, kresową prowincją Dahautu, zarządzał Claractus, książę Marchii i Fer Aquili. Tytuł ten w połowie nie miał pokrycia, odkąd księstwo Fer Aquila zajęte zostało przez Celtów, którzy uczynili z niego swe królestwo Godelię.

Marchia była biedną krainą, zamieszkałą przez bardzo niewielu ludzi, z jednym tylko miastem targowym - Blantize. Ubodzy chłopci uprawiali ziemię i hodowali owce. W nielicznych starych zamkach szlachcice nie mieli się wiele lepiej niż chłopci, pocieszali się jedynie swymi tytułami i poświęcali się kultywowaniu tradycji rycerskich. Częściej jedli owsiankę niż mięso, a wichry hulały po komnatach walących się zamków, gasząc kopące na ścianach pochodnie. Nocami po korytarzach spacerowały duchy mruczając o dawnych tragediach.

Daleko na zachodnim krańcu Marchii rozciągało się pustkowie, na którym nie roślo nic poza ostami, ciernistymi krzewami, brunatnymi turzycami i nielicznymi zagajnikami karłowatych, czarnych cyprysów. Pustkowie to, znane jako Równina Cieni, na południu sięgało krańców wielkiej puszczy, na północy graniczyło z Squigh Mires, a na zachodzie kończyło się olbrzymim urwiskiem wznoszącym się na wysokość trzystu stóp i ciągnącym się przez pięćdziesiąt mil, które zwano Long Dann. Za urwiskiem leżały wyżynne wrzosowiska Północnych Ulflandów. Jedyna droga wiodąca z równiny na położone ponad nią wrzosowiska, prowadziła przez rozpadlinę

w Long Dann. W pradawnych czasach zbudowano tam fortecę, zamykając jednocześnie rozpadlinę kamiennymi blokami, tak że twierdza stała się częścią granitowego urwiska. Na równinę można było się wydostać przez specjalny tunel wypadowy, a wysoko ponad murami wiodła szeroka droga. Danaanejczycy nazwali fortecę Niezdobyte Poëlitetz, bowiem nigdy nie została opanowana we frontalnym ataku. Król Aillas zaszedł twierdzą od tyłu i w ten sposób przepędził Skalradów z ich najdalej wysuniętej warowni na Hybras.

Aillas wraz ze swoim synem Dhrunem stał teraz na murach twierdzy spoglądając na Równinę Cieni. Zbliżało się południe, niebo było bezchmurne i błękitne. Tego dnia na równinie nie było widać ścigających się cieni chmur, od których wywodziła się jej nazwa.

Aillas i Dhrun wydawali się bardzo do siebie podobni. Obaj smukli, o szerokich ramionach, silni i zwinni, ale raczej dzięki pracy ścięgien niż masywnych mięśni. Obaj byli średniego wzrostu, mieli wyraziste rysy, szare oczy i jasnobrązowe włosy. Styl bycia Dhruna był bardziej swobodny i żywiołowy. Można było zauważyć, jak z uwagą panuje nad ogarniającą go czasami wesołością, ale w jego zachowaniu widać też było szczególną, trudną do uchwycenia elegancję, co dodawało mu czaru i swoistego kolorytu. Aillas, na którego barkach spoczywała znacznie większa odpowiedzialność, był spokojniejszy i rozważniejszy niż Dhrun. Jego pozycja wymagała skrywania prawdziwych uczuć i namiętności za maską grzecznego obojętności, tak że stało się to niemal jego drugą naturą. Podobnie też, często pod płaszczkiem dobroci i nieśmiałości, skrywał swą odwagę. W walce na miecze nie miał sobie równych. Był zwinny i poruszał się delikatnie, a jednocześnie potrafił uderzyć nagle jak błysk promieni słonecznych przebijających się przez chmury. Przy takich okazjach wyraz jego twarzy na krótką chwilę ulegał zmianie i Aillas zdawał się wtedy równie młodzieńczy i żywiołowy jak Dhrun.

Wielu ludzi, którzy widzieli Aillasa i Dhruna razem, myślało, że są braćmi. Kiedy zapewniano ich, że tak nie jest, zaczynali się zastanawiać, w jak młodym wieku musiał Aillas począć swego syna. Prawda była zaś taka, że kiedy Dhrun był jeszcze niemowlęciem, został zabrany do Thripsey Shee. Ile lat mieszkał z elfami - osiem, dziewięć, dziesięć? Tego nie wiedział nikt. W tym samym czasie w świecie ludzi upłynął zaledwie rok. Z pewnych powodów okoliczności dzieciństwa Dhruna utrzymywano w sekrecie, pomimo

wielu spekulacji i nieustannych prób dowiedzenia się prawdy.

Obaj mężczyźni stali wsparci o blanki, wypatrując tych, z którymi przybyli się spotkać. Aillas wspominał, co sam przeżył tu wcześniej.

- Nigdy nie czuję się tutaj zbyt dobrze. Ból i rozpacz ciągle tu wiszą w powietrzu.

Dhrun przeciągnął wzrokiem po ścianach urwiska, które w jasnym świetle słonecznym nie sprawiało groźnego wrażenia.

- To miejsce jest bardzo stare. Te mury przepojone są cierpieniem ciążącym na duszy tym, którzy tu przebywają.

- A więc ty również to czujesz?

- Tak, choć nie jest to uczucie zbyt silne - przyznał Dhrun. - Być może nie jestem tak wrażliwy.

Aillas z uśmiechem potrząsnął głową.

- Wyjaśnienie jest proste: nigdy nie sprowadzono cię tu jako niewolnika. Ja szedłem po tych skałach z łańcuchem na szyi. Ciągle czuję jego ciężar i słyszę jego dzwonienie. Prawdopodobnie byłbym w stanie wskazać dokładnie miejsca, gdzie stawiałem stopy. Byłem wtedy pogrążony w najczarniejszej rozpacz.

Dhrun zaśmiał się niespokojnie.

- Przeszłość jest przeszłością, a terażniejszość terażniejszością. Powinieneś być zadowolony; osiągnąłeś znacznie więcej niż zwykle wyrównanie rachunków.

Aillas również się roześmiał.

- Jestem zadowolony, a jakże. Jednak tryumf, któremu towarzyszy przerażenie, to bardzo dziwne uczucie!

- Hmm, trudno to sobie wyobrazić - rzekł Dhrun.

Aillas znowu oparł się o blanki.

- Często rozmyślam o przeszłości, terażniejszości i o tym, co będzie, a także jak jedno różni się od drugiego. Nigdy nie usłyszałem sensownego wyjaśnienia tego wszystkiego i myślenie o tym niepokoi mnie bardziej niż kiedykolwiek. - Aillas wskazał jakieś miejsce na równinie. - Widzisz tamto wzgórze porośnięte krzakami? Skalradzi zmusili mnie do kopania prowadzącego tam tunelu. Po zakończeniu prac wszyscy robotnicy mieli zostać zabici. Skalradzi chcieli mieć pewność, że istnienie tunelu pozostanie tajemnicą. Pewnego dnia przekopaliśmy się na powierzchnię i uciekliśmy, dlatego teraz żyję.

- A tunel? Czy kiedykolwiek ukończono jego budowę?

- Tak podejrzewam. Nigdy nie pomyślałem, żeby to sprawdzić.

Dhrun spojrział na Równinę Cieni.

- Nadjeżdżają. Po odbiciach słońca w metalu podejrzewam, że to rycerze.

- Nie są punktualni - powiedział Aillas. - To może coś oznaczać.

Kolumna zbliżała się powoli, aż w końcu można było dostrzec, że to oddział złożony z dwudziestu kilku konnych. Na czele, na białym koniu, jechał herold w półzbroi. Jego koń okryty był różowo-szarym kropierzem. Herold trzymał wysoko uniesiony proporzec z trzema białymi jednorożcami na zielonym tle, symbolem wojsk króla Dahautu. Trzej inni heroldowie jechali tuż za nim, dzierżąc trzy inne proporce. Za nimi w sporej odległości jechało strzemię w strzemię trzech rycerzy. Mieli na sobie lekkie zbroje i zwiewne peleryny w zdecydowanych kolorach: pierwszy czarną, drugi ciemnozieloną, a trzeci jasnoniebieską. Na końcu podążało szesnastu zbrojnych, a każdy z nich trzymał kopię z turkoczącym, zielonym proporcem.

- Mimo że przebyli długą drogę, prezentują się całkiem nieźle - zauważył Dhrun.

- Tak to właśnie zaplanowali - powiedział Aillas. - To również ma swoje znaczenie.

- Jakże?

- Ach! Takie sprawy zawsze rozumie się lepiej z perspektywy czasu! Na razie wiemy, że są spóźnieni, ale zadali sobie dużo trudu, aby się pokazać w całej gali. Takie znaki bardzo trudno odczytać; powinien to zrobić ktoś bardziej do tego się nadający.

- Czy owi rycerze są ci znani?

- Czerwień i popiel to barwy księcia Claractusa. Wiele o nim słyszałem. Jadą prawdopodobnie z zamku Cirroc, który jest siedzibą sir Wittesa. To zapewne ten drugi rycerz. Jeśli chodzi o tego trzeciego... - Aillas odwrócił się w stronę tarasu i zawołał swojego herolda, Duidry'ego, który stał parę jardów dalej. - Kto tam jedzie?

- Pierwszy proporzec należy do Audry'ego, zatem ci rycerze reprezentują króla. Dalej widzę chorągiew Claractusa, księcia Marchii i Fer Aquili. Dwaj pozostali to sir Wittes z Harne i zamku Cirroc oraz sir Agwyd z Gyl. Wszyscy pochodzą ze znamienitych rodów i mają dobre koneksje na dworze.

- Wyjedź im naprzeciw - rozkazał Aillas. - Powitaj ich uprzejmie i dowiedz się, co ich tu sprowadza. Jeżeli z szacunkiem i uprzejmością udziela

ci wszystkich informacji, przyjmę ich zaraz w hallu. Jeżeli będą grozić i potraktują cię obcesowo, każ im czekać i wróć do mnie z wiadomością.

Duirdry zszedł z murów. Kilka chwil później wyłonił się z furty wypadowej z dwoma zbrojnymi dla eskorty. Wszyscy trzej jechali na czarnych koniach przyozdobionych jedynie czarną, prostą uprzężą. Duirdry rozpostarł królewski proporzec Aillasa: pięć białych delfinów na ciemnogrnatowym tle. Zbrojni trzymali proporce armii Troicinetu, Dascinetu, Ulflandów. Przejechali jakieś sto jardów, potem ściągnęli wodze, zatrzymali konie i czekali w jaskrawym świetle słonecznym, mając za plecami wielkie urwiska i fortecę.

Jeźdźcy z Dahautu zatrzymali się pięćdziesiąt jardów przed nimi. Przez dłuższą chwilę obie strony stały bez ruchu, po czym dahaucki herold podjechał do przodu na swym białym koniu. Zatrzymał się pięć jardów przed Duirdrym.

Aillas i Dhrun przyglądali się z murów, jak herold z Dahautu przekazuje wiadomość podyktowaną przez księcia Claractusa. Duirdry wysłuchał go, udzielił lapidarnej odpowiedzi, odwrócił się i odjechał do fortecy. Wkrótce pojawił się przed Aillasem i zdał mu relację.

- Księżę Claractus przesyła pozdrowienia. Przekazuje ci takie oto słowa króla Audry'ego: „Ze względu na przyjazne stosunki pomiędzy królestwami Troicinetu i Dahautu król Audry życzy sobie, aby król Aillas zaprzestał wkraczania w jakikolwiek sposób na tereny Dahautu i wycofał się ze wszystkimi swoimi ludźmi za powszechnie uznawane granice Ulflandów. Czyniąc to, król Aillas zlikwiduje przyczynę głębokiego zaniepokojenia króla Audry'ego i zapewni w ten sposób dalsze harmonijne stosunki pomiędzy obu królestwami”. Księżę Claractus dodaje od siebie, że pragnie, byś otworzył bramy przed jego oddziałem, aby mogli zająć fortecę, jak nakazuje im prawo i obowiązek.

- Wróć tam - rzekł Aillas - i poinformuj księcia Claractusa, że może wjechać do fortecy z eskortą jedynie dwóch osób oraz, że udzieli mu audiencji. Następnie sprowadź go do dolnego hallu.

Duirdry odjechał po raz wtóry. Aillas i Dhrun zeszli do dolnego hallu. Była to niezbyt duża, ciemna komnata wykuta w skale urwiska. Na równinę wyglądało jedno niewielkie okno i balkonik, jakieś pięćdziesiąt jardów nad placem ćwiczebnym położonym przy furcie wypadowej.

Na polecenie Aillasa Dhrun stanął w przedpokoju u frontowych drzwi, oczekując na przybycie emisariusza.

Książę Claractus pojawił się bez zbędnej zwłoki wraz z sir Wittesem i sir Agwydem. Ciężkim krokiem wmaszerował do komnaty i zatrzymał się. Był wysokim, masywnym mężczyzną o czarnych włosach i krótkiej czarnej brodzie. Z twarzy o ostrych rysach spoglądały przenikliwe, czarne oczy. Ubrany był w pelerynę z zielonego aksamitu narzuconą na kolczugę, u pasa miał miecz, a na głowie stalowy hełm. Sir Wittes i sir Agwyd byli ubrani w podobnym stylu.

Dhrun przemówił:

- Wasza Dostojność, jestem Dhrun, syn królewski. Audyencja u króla Aillasa będzie raczej nieformalna, stąd też nie jest to zbyt dobra okazja do prezentowania broni. Możecie złożyć swoje hełmy i miecze tu, na stole, zgodnie z rycerską etykietą.

Książę Claractus zdecydowanie potrząsnął głową.

- Nie przybyliśmy tu na audyencję do króla Aillasa. Byłoby to właściwe w jego własnym królestwie. Obecnie zaś jest on gościem w księstwie należącym do królestwa Dahautu, które to księstwo znajduje się pod moją władzą. To ja jestem tutaj wyższy rangą i protokół wobec tego będzie wyglądał nieco inaczej. Traktuję nasze spotkanie jako negocjacje w polu. Nasz strój jest odpowiedni w każdym calu. Prowadź nas do króla.

Dhrun uprzejmie skinął głową.

- Wobec tego przekażę wiadomość od króla Aillasa, a wy będziecie mogli bez dalszej zwłoki wrócić do swoich ludzi. Słuchajcie uważnie, gdyż przekażecie te słowa królowi Audry'emu: „Król Aillas przypomina, że Skalradzi okupowali Poëlitetz przez ponad dziesięć lat. Kontrolowali oni również ziemie położone nad Long Dann. Przez cały ten czas nie napotkali na żaden sprzeciw czy zbrojne wystąpienie przeciwko sobie ani ze strony króla Audry'ego, ani jakiegokolwiek innego przedstawiciela Dahautu. Na podstawie panującego prawa, które rozstrzyga kwestie dotyczące takich sporów o ziemię, można stwierdzić, że Skalradzi poprzez swoje poczynania, nie podważone w żaden sposób przez Dahaut, objęli tę ziemię w posiadanie i mieli pełne prawo i tytuł do Poëlitetz oraz ziem leżących ponad Long Dann.

Później armia ulflandzka dowodzona przez króla Aillasa pokonała Skalradów, przepędzając ich z tych ziem i przejęła je wraz z fortecą na własność. Dlatego też, zgodnie z prawem, własność ta włączona została do

królestwa Północnych Ulflandów. Fakty te oraz wspierające je prawo są niezaprzeczalne”.

Claractus długą chwilę ciężkim spojrzeniem przyglądał się Dhrunowi.

- Głośno piejesz, jak na takiego młodego kogucika.

- Wasza Dostojność, jedynie powtarzam słowa, których nauczył mnie król Aillas i mam nadzieję, że cię nie uraziłem. Poza tym jest jeszcze jedna sprawa do rozważenia.

- Cóż to takiego?

- Long Dann jest bez wątpienia naturalną granicą pomiędzy Dahautem a Północnymi Ulflandami. Silna pozycja obronna Poëlitetz nie ma żadnego znaczenia dla Dahautu, jednakże ma nieocenioną wagę dla królestw Północnych i Południowych Ulflandów w wypadku ataku ze wschodu.

Claractus zaśmiał się chrapliwie.

- A gdyby atakujące armie pochodziły z Dahautu, co wtedy? Nasz żal, że nie udało się nam odzyskać tych ziem, może być naprawdę wielki.

- Twoje żądanie nie zostało uznane - uprzejmie odpowiedział Dhrun. - Pozwolę sobie też dodać, że to nie armie Dahautu nas niepokoją, ale siły króla Casmira z Lyonesse, który nie zadaje sobie nawet trudu, aby skryć swoje zamiary.

- Jeśli Casmir odważy się tylko postawić nogę w Dahaucie, ciężko za to odpowie! - oświadczył Claractus. - Przegonimy go przez cały Stary Trakt aż do Przylądka Pożegnań, gdzie on i jego żołnierze zostaną rozniesieni na strzępy.

- Wielce odważne słowa! - zauważył Dhrun. - Powtórzę je memu ojcu, aby go uspokoić. Nasza wiadomość dla króla Audry'ego jest następująca: „Poëlitetz oraz Long Dann należą obecnie do królestwa Północnych Ulflandów. Możecie się nie obawiać żadnego zagrożenia z zachodu, dzięki czemu będziecie mogli zaangażować wszystkie swoje siły do walki z Celtami, którzy tak bardzo nekają Wysrod”.

- Ba - wymruczał Claractus, nie będąc w stanie odpowiedzieć bardziej sensownie.

Dhrun skłonił się.

- Przekazałem wam słowa króla Aillasa. Nie mam wam nic więcej do powiedzenia, możecie odejść.

Księżę Claractus spoglądał na niego przez chwilę, po czym obrócił się na pięcie, skinął na swoich kompanów i nic nie mówiąc opuścił komnatę.

Z okna komnaty Aillas i Dhrun obserwowali jeźdźców oddalających się przez Równinę Cieni.

- Audry jest nieco niedbały i ocieężały - powiedział Aillas. - Może równie dobrze zdecydować, że jego honor nic na takim rozwiązaniu nie ucierpi. Taką też mam nadzieję, gdyż nie potrzeba nam nowych wrogów. Król Audry, jeśli o to chodzi, również ich nie potrzebuje.

III

Podczas najazdów Danaanejczyków Avallon był miastem targowym otoczonym murami obronnymi. Położony był u ujścia rzeki Camber i wyróżniał się licznymi, wysokimi wieżyczkami wznoszącymi się nad murami miejskimi.

Potęga Danaanejczyków przeminęła. Wysokich kasztanowookich wojowników, którzy walczyli nago, na głowach mając jedynie hełmy z brązu, okryła mgła historii. Mury Avallonu niszczały. Walące się wieżyczki stanowiły schronienie jedynie dla sów i nietoperzy, ale Avallon pozostał dla wszystkich Miastem Wysokich Wież.

Zanim nastały czasy zamętu, Olam III uczynił Avallon swoją stolicą i ponosząc niemałe wydatki, zrobił z Falu Ffail najwspanialszy pałac na wyspach Elder. Jego następcy nie byli gorsi w tym względzie i każdy prześcigał swych poprzedników, wciąż rozbudowując i uświetniając pałac.

Kiedy na tron wstąpił Audry II, postanowił doprowadzić do perfekcji ogrody królewskie. Zamówił sześć fontann z dziewiętnastoma wytryskami, każda z nich otoczona okrągłą promenadą i ławkami wyłożonymi poduszkami. Główną aleję ozdobiono nimfami i faunami z marmuru w liczbie około trzydziestu, a na jej końcu znajdowała się muszla koncertowa, w której muzycy grali delikatne, stonowane melodie od świtu do zmierzchu, a czasami nawet późno po północy. W ogrodzie różanym z jednej strony rosły białe kwiaty, z drugiej zaś czerwone. Drzewa cytrynowe, przycięte w zgrabne stożki, otaczały kwadratowe trawniki, po których spacerował król Audry w otoczeniu swoich faworytów.

Falu Ffail był znany nie tylko z pięknych ogrodów, ale także a wielkich zabaw i licznych festynów. Ciągłe odbywały się tam jakieś maskarady, przedstawienia, bale, jedne bardziej frywolne i kolorowe od drugich. Przystojni panowie i piękne panie odziani w przepyszne, bogato zdobione szaty

zapełniali komnaty i galerie. Każdy głośno zachwycał się na widok innych i zastanawiał się, jakie sam sprawia wrażenie, czy efekt długotrwałych przygotowań okazał się właściwy. Tutaj wszystkie aspekty ludzkiego życia były przejawskrawione i przekoloryzowane, najdrobniejszy nawet gest miał istotne znaczenie.

Nigdzie indziej nie zwracano większej uwagi na etykietę i dystygowane zachowanie niż w Falu Ffail. Powietrze cały czas drżało od nieustannych rozmów. Każda dama zostawiała za sobą w powietrzu zapach drogich perfum: jaśminu, kwiatu pomarańczy, drzewa sandałowego lub olejku różanego. W tych komnatkach, w których światło było przyćmione, spotykali się kochankowie, czasem w tajemnicy, czasem zupełnie otwarcie. Niewielu jednakże udawało się uniknąć publicznego zainteresowania, tak że każdy taki wypadek - zabawny, groteskowy czy patetyczny, a niekiedy łączący wszystkie te trzy cechy - stawał się doskonałym materiałem na plotki.

W Falu Ffail intryga nierozłącznie towarzyszyła życiu i śmierci. Pod tymi wszystkimi błyskotkami, blaskiem drogich kamieni i wspaniałych tkanin kryły się ciemne emocje i złamane serca, duszami miotała pasja, zawiść i nienawiść. O świcie odbywały się pojedynki, a przy blasku gwiazd popełniono skryte morderstwa. Ludzie znikali w tajemniczych okolicznościach, a inni z powodu niedyskrecji skazywani byli przez króla na banicję.

Rządy Audry'ego były łagodne i nie sprawiały poddanym wiele kłopotu, jeśli tylko wszystkie prawne decyzje były dla króla uważnie przygotowywane przez jego kanclerza - sir Namiasa. Mimo to, siedząc na tronie Evandig w szkarłatnym płaszczu i złotej koronie, Audry zdawał się być definicją majestatu królewskiego. Składały się na to również atrybuty jego własnej osoby. Był wysokim i okazałym mężczyzną, może tylko trochę przyciężkim w biodrach i o zbyt dużym brzuchu. Pukle czarnych włosów okalały jego blade policzki, a pokaźne, czarne wąsy zdobiły wydatną, górną wargę. Pod szerokimi, wyrazistymi brwiami widać było duże, świecące oczy, osadzone nieco zbyt blisko długiego, pogardliwie wygiętego nosa.

Małżonka Audry'ego, walijska księżniczka Dafnyd, była od niego o dwa lata starsza. Urodziła mu trzech synów i trzy córki, obecnie jednak nie cieszyła się już adoracją króla. Dafnyd nie obchodziło to zbyt wiele, nie interesowały ją również sprawy Audry'ego. Nie zaspokajane przez króla pragnienia

koila w ramionach roślących służących. Jej małżonek nie był zbyt zadowolony z tego rozwiązania i gniewnie marszczył brwi na widok każdego napotkanego w korytarzach lokaja.

Przy sprzyjającej pogodzie Audry jadał śniadanie w prywatnej części ogrodu, na środku dużego kwadratowego trawnika. Śniadania były nieoficjalne i zazwyczaj towarzyszyło królowi kilku tylko arystokratów.

Pod koniec jednego takiego śniadania seneszał Audry'ego, sir Tramador, zbliżył się i oznajmił przybycie Claractusa, księcia Marchii i Fer Aquili, który prosił o wysłuchanie, kiedy tylko król znajdzie dla niego odpowiednią chwilę.

Audry słuchał rozdrażniony. Takie wiadomości rzadko zwiastowały coś dobrego, a co gorsza, często wymagały poświęcenia wielu godzin na żmudne konsultacje.

Sir Tramador, widząc jak Audry zмага się z wizją jakiegokolwiek wysiłku, czekał z najukładniejszym uśmiechem na twarzy. Monarcha w końcu mruknął z irytacją i pstryknął grubymi białymi palcami.

- Przyrowadź tu Claractusa. Zobaczę się z nim od razu i będę miał sprawę z głową.

Sir Tramador odwrócił się, lekko zaskoczony tak szybką reakcją króla. Po chwili prowadził już księcia Claractusa przez trawnik. Po przybrudzonej skórze i nieświeżym ubraniu można było wnosić, że książę właśnie zsiadł z konia.

Claractus skłonił się przed królem.

- Proszę o wybaczenie, sire! Odważyłem się naruszyć zasady dobrego wychowania, chciałem jednak zdać ci relację najszybciej jak to tylko możliwe. Zeszłej nocy spałem w Verwy Underdyke, o wschodzie słońca ruszyłem w drogę i po ciężkiej podróży dotarłem tutaj.

- Podziwiam twoją wytrzymałość - powiedział Audry. - Gdyby wszyscy służyli mi z takim oddaniem, ani na chwilę nie przestałbym się radować. Wiadomość, którą przynosisz, musi więc być wielkiej wagi.

- Sam to ocenisz Najjaśniejszy Panie. Czy mam mówić?

Audry wskazał na krzesło.

- Siadaj, Claractusie! Znasz, jak mniemam, sir Huynemera, sir Arche-ma oraz sir Ruda.

Claractus, spoglądając w ich stronę, skinął nieznacznie głową.

- Spotkałem się z panami podczas mej ostatniej wizyty w pałacu. Bawili się właśnie na maskaradzie przebrani za arlekinów, klaunów czy coś podobnego.

- Nie przypominam sobie tego spotkania - sztywno odparł sir Huynemer.

- To bez znaczenia - rzekł Audry. - Przekaż nam te wiadomości. Mam nadzieję, że poprawią mi samopoczucie.

Claractus zakasał niespokojnie.

- Gdyby tak było, Najjaśniejszy Panie, jechałbym przez całą noc. Wiadomości, które przynoszę, nie są zbyt podnoszące na duchu. Tak jak mnie poinstruowano, rozmawiałem w twierdzy Poëlitetz z królem Aillasem. Przekazałem mu dokładnie twoje słowa. Odpowiedział uprzejmie, lecz wbrew naszej woli. Nie zamierza opuścić Poëlitetz, jak również ziem na wyżynach za Long Dann. Twierdzi, że odbił te ziemie Skalradom, którzy zbrojnie odebrali je królestwu Dahautu i przejęli je na własność. Utrzymuje on, że Skalradzi władali tymi terenami nie niepokojeni przez żadne wojska królewskie. Dlatego też, jego zdaniem, forteca i przyległe ziemie należą prawnie do królestwa Północnych Ulflandów.

- Doprawdy, czyżby miał dla mnie tak niewiele szacunku, że traktuje mnie w ten sposób? - krzyknął cienkim głosem Audry. - Wygląda na to, że szydzi sobie z mojej godności i potęgi mojej armii!

- Ależ nie, Wasza Królewska Mość! Niewłaściwie odebrałaś moje słowa, skoro doszedłeś do takiego przekonania. Jego odpowiedź była uprzejma i pełna szacunku. Jasno przedstawił sprawę twierdząc, że broni Ulflandów nie przeciwko Dahautowi, lecz raczej przed możliwymi, agresywnymi działaniami króla Casmira, o czym, według niego, wszyscy dobrze wiedzą.

- Ba! - przerwał mu Audry. - To już jest przesada. Jak Casmir mógłby ruszyć na Równinę Cieni, nie uporawszy się przedtem z całą zbrojną potęgą Dahautu?

- Król Aillas przeczuwa, że choć wizja takiej przyszłości jest dość odległa, to jednak bardzo prawdopodobna. W każdym razie opiera się przede wszystkim na pierwszym argumentie, a mianowicie, że ziemie te zdobył zgodnie z prawem.

- Argument taki jest być może z pozoru słuszny, aczkolwiek zupełnie niewłaściwy - krzyknął pogardliwie sir Rudo. - Za kogo on nas ma? Granice Dahautu mają swoje oparcie w tradycji. Były nienaruszalne przez wieki!

- Otóż to! - oświadczył sir Archem. - Skalradzi mogą być jedynie traktowani jako tymczasowi najeźdźcy, nic innego.

Król Audry machnął ze zniecierpliwieniem ręką.

- Najwidoczniej nie jest to takie proste! Muszę przemyśleć tę sprawę. A tymczasem, Claractusie, czy nie przyłączysz się do naszego śniadania? Twoje ubranie jest nieco nie na miejscu, ale z pewnością nikt z wrażliwym sumieniem nie będzie cię za to winił.

- Dziękuję, Najjaśniejszy Panie. Z przyjemnością coś zjem.

Rozmowa zesłała na mniej drażliwe tematy, ale nastrój śniadania i tak został już zakłócony, wkrótce sir Huynemer raz jeszcze skomentował prowokacyjne zachowanie króla Aillasa. Sir Rudo oraz sir Archem podzieliли jego zdanie i każdy z nich doradzał, aby dać porządną nauczkę „temu młodzikowi z Troicinetu”. Audry odchylił się do tyłu i oparł o krzesło.

- Wszystko to pięknie brzmi, lecz jak też mielibyśmy przegonić Aillasa?

- Gdyby wysłać do Marchii kilka silnych oddziałów, które dałyby jasno do zrozumienia, o co im chodzi, Aillas równie dobrze mógłby zacząć zupełnie inną śpiewkę.

Król Audry podrapał się po brodzie.

- Uważasz, że w takiej sytuacji by ustąpił?

- Czy ośmieliliby się przeciwstawić potędze Dahautu?

- Przypuśćmy, że z głupoty lub nierozwagi postanowiliby nie ustępować nam pola?

- Wtedy księżę Claractus uderzyłby z całą swoją siłą i przegonił przez wrzosowiska młodego Aillasa i jego ulflandzkie wymoczki. Uciekaliby w podskokach i z płaczem, równie szybko jak zające.

Claractus uniósł rękę.

- Nie zasługuję na tyle chwały. To ty, panie, wymyśliłeś tę kampanię. Ty powinieneś dowodzić wojskami i prowadzić je do boju.

Sir Huynemer uniósł brwi i obrzucił Claractusą zimnym spojrzeniem, oceniając jego propozycję:

- Sir, przedstawiłem ten plan jedynie jako jedną z możliwych opcji, nic więcej.

Audry zwrócił się do Claractusą.

- Czyż Poëlitetz nie jest uważane za twierdzę nie do zdobycia?

- Tak się powszechnie uważa, Wasza Królewska Mość.

Sir Rudo mruknął sceptycznie.

- Nigdy tego nie sprawdzono, a ludzie dają się tak zwodzić od wieków.

Claractus uśmiechnął się ponuro.

- Jak zaatakować takie urwisko?

- Można podciągnąć taran pod furtę wypadową.

- Nie trzeba by się tym trudzić. Obrońcy z pewnością zostawiliby wrota szeroko otwarte. Kiedy spora liczba szlachetnych rycerzy, powiedzmy jakaś setka, znalazłaby się już w środku, krata zostałaby opuszczona i ci, którzy wdarliby się do twierdzy, z całą pewnością by zginęli.

- Należy się wobec tego wedrzeć na Long Dann!

- Nielatwo wspinać się na urwisko, kiedy z góry wróg zrzuca głazy.

Sir Rudo obrzucił Claractusa wyniosłym spojrzeniem.

- Panie, czyż nie możesz zaoferować nam nic poza czarnymi wizjami przegranej? Król przedstawił swe żądanie. Ty jednak odrzucasz każdą propozycję zmierzającą do osiągnięcia celu!

- Wasze pomysły są nie do zrealizowania - powiedział Claractus. - Nie można ich brać poważnie.

Sir Archem walnął pięścią w stół.

- Bez względu na wszystko, honor wymaga odpowiedzi na takie obraźliwe zachowanie.

Claractus zwrócił się do króla Audry'ego.

- Musisz być szczęśliwy, Najjaśniejszy Panie, że masz tak pełnych chęci do walki paladynów. Toż to sama zaciętość przez nich przemawia. Powinieneś wysłać ich do Wysrodu przeciwko Celtom, którzy sprawiają tam tak wiele kłopotów.

Sir Huynemer zasapał gwałtownie.

- Ta sprawa jest poza tematem.

Audry westchnął rozwiewając swe bujne wąsy.

- W rzeczy samej, nasze wyprawy na Wysrod przyniosły nam niewiele chwały i jeszcze mniej satysfakcji.

- Sire, w Wysrodzie ciągle napotykaemy niezliczone przeciwności - odparł zaniepokojony sir Huynemer. - Oni są jak upiory. Ścigamy ich po błotach i bagniskach, zapędzamy ich nad zatokę, a oni roztapiają się w mgłę i ni stąd, ni zowąd atakują nas od tyłu wrzeszcząc, zawodząc i rzucając w szaleństwie celtyckimi kłótłami, co zupełnie zbija z tropu naszych żołnierzy.

Książę Claractus roześmiał się głośno.

- Powinięcie szkolić żołnierzy do walki, a nie do występów na paradach, może wtedy nie baliby się mgieł i przekleństw.

- Diabli pomiot! - zaklął w odpowiedzi sir Huynemer. - Twe słowa to obelga! Nikt jeszcze nigdy nie podważył mych zasług w służbie króla!

- Mnie również nikt jeszcze nic nie zarzucił - oświadczył sir Rudo. - Cel-towie to drobnostka, z którą wkrótce sobie poradzimy.

Król Audry klasnął z rozdrażnieniem w ręce.

- Spokój, wszyscy trzej! Nie życzę sobie żadnych dalszych kłótni w mojej obecności!

Księżę Claractus wstał.

- Najjaśniejszy Panie, wszystko, co powiedziałem, to szczerą prawdą, a od kogoś innego prawdopodobnie byś się tego nie dowiedział. A teraz, jeśli pozwolisz, oddalę się, aby się odświeżyć i wypocząć.

- Możesz odejść, Claractusie. Mam nadzieję, że przyłączysz się do nas podczas obiadu.

- Z przyjemnością, sire.

Sir Archem przyglądał się, jak Claractus idzie wolnym krokiem przez trawnik, po czym odwrócił się z wyrazem niechęci na twarzy.

- Proszę, proszę, jaki to złośliwy rycerzyk.

- Bez wątpienia lojalny wobec króla i odważny jak rozwścieczony niedźwiedź; to nie ulega najmniejszej wątpliwości - oświadczył sir Rudo. - Ale jak większość prowincjuszy, ma bardzo ograniczone perspektywy.

- Ba - z niesmakiem zachnął się sir Huynemer - prowincjusz? Dla mnie to nieokrzesaniec zalatujący końską derką i nie umiejący składnie sklecić paru zdań.

- Pasuje do niego każde z tych określeń - odezwał się zamyślony sir Rudo. - A co o nim myśli Wasza Królewska Mość?

Audry nie odpowiedział wprost.

- Muszę to wszystko przemyśleć. Nie można bez zastanowienia podejmować tak ważnych decyzji.

Do króla zbliżył się sir Tramador. Pochylił się i wyszeptał Audry'emu do ucha:

- Najjaśniejszy Panie, już czas przebrać się w bardziej oficjalne szaty.

- W jakimż to celu?

- Dzisiaj, sire, sprawujesz sądy.

Audry z boleścią spojrział na sir Tramadora.

- Jesteś tego pewien?

- Tak, sire. Na zewnętrznym dziedzińcu gromadzą się już petenci.

Audry jęknął i westchnął ciężko.

- Muszę więc męczyć się z tą całą głupotą i zachłannością, co mnie zupełnie nie interesuje. Toż to ogłupiające nudy. Tramadorze, nie masz dla mnie litości? Zawsze wpakujesz mnie w jakieś kłopoty podczas tych krótkich chwil wypoczynku!

- Szczerze żałuję, że jestem do tego zmuszony, Najjaśniejszy Panie.

- No cóż, przypuszczam, że jeśli muszę, to muszę. Od tego nie ma ucieczki.

- Niestety nie, Wasza Królewska Mość. Zasiądziesz w Wielkim Salonie*, czy w Starym Hallu?

* Znany również jako Hall Bohaterów, gdzie znajdowały się Cairbra an Meadhan i tron Evandig.

Audry zastanowił się.

- Jakie sprawy są do rozpatrzenia?

Sir Tramador wyciągnął kawałek pergaminu.

- Oto lista, sire, wraz z analizą urzędnika i jego uwagami. Znajdziesz na niej jednego złodzieja do powieszenia oraz szynkarza, który dolewał wody do wina. Poza tym nie ma nic szczególnego.

- Dobrze więc. Przygotuj Stary Hall. Nie czuję się zbyt dobrze siedząc na Evandigu, który zdaje się trząść i trzeszczeć pode mną, co sprawia wielce nieprzyjemne wrażenie.

- Zgadzam się, Wasza Królewska Mość.

Król Audry odprawił sądy i wrócił do prywatnych komnat, gdzie lokaje przebrali go w popołudniowy strój. Odesłał służących i ciężko opadł na krzesło. Zamyślił się nad sprawami, o których powiedział mu książę Claractus.

Pomysł zdobycia Poëlitetz siłą był oczywiście absurdalny. A wrogie stosunki z królem Aillasem byłyby na rękę tylko Casmirowi z Lyonesse.

Audry wstał i zaczął się przechadzać w tę i z powrotem, ze zwieszoną głową i rękami założonymi za plecy. Rozważywszy wszystkie za i przeciw, trzeba było przyznać, że to, co powiedział Aillas, to naga prawda, choć może niezbyt przyjemna. Nie ze strony Ulflandów lub Troicinetu zagrażało Dahautowi niebezpieczeństwo, lecz ze strony Lyonesse.

Claractus nie tylko nie przywiózł żadnych pomyślnych wiadomości, ale również napomknął o pewnych nieprzyjemnych faktach, o których Audry wolałby zapomnieć. Wojska Dahautu w pięknych mundurach prezentowały się wspaniale na paradach, ale nawet Audry był świadomy, że można mieć wątpliwości, co do ich możliwości bitewnych.

Król westchnął. Jedyne rozwiązanie, które przychodziło mu do głowy, było tak drastyczne, że jego umysł wręcz cofnął się przed taką myślą.

Machnął rękami. Wszystko będzie dobrze; nie do pomyślenia, aby było inaczej! Problemy zignorowane to problemy rozwiązane. Oto sensowna filozofia. Człowiek mógłby oszaleć próbując naprawić wszystkie niedoskonałości wszechświata!

Podniesiony na duchu wezwał służących. Założyli mu na głowę zgrabny kapelusz z koroną na otoku i szkarłatnym piórem. Audry przyglądał węży i wyszedł z komnaty.

IV

Królestwo Lyonesse rozciągało się na południu Hybras od Zatoki Kanta-bryjskiej do Przylądka Pożegnań, wcinającego się w Ocean Atlantycki. Z zamku Haidion leżącego za miastem Lyonesse król Casmir rządził swoim państwem znacznie bardziej energiczniej niż król Audry. Na dworze Casmira panowały surowe zasady i sztywna hierarchia. Wszystkim wydarzeniom na zamku przewodziły raczej podniosłość i powaga niż swoboda i rozbawienie.

Małżonką Casmira była królowa Sollace, wysoka, postawna kobieta, niemal dorównująca wzrostem mężowi. Złociste włosy nosiła upięte wysoko w duży kok i kąpała się w mleku, aby zachować jędrność swej delikatnej, białej skóry. Synem Casmira i następcą tronu był dziarski książę Cassander. Do rodziny królewskiej należała również księżniczka Madouc, rzekomo córka księżniczki Suldrun, która zmarła dziewięć lat wcześniej.

Zamek Haidion górował nad miastem Lyonesse z niewielkiego wzniesienia. Z daleka wyglądał jak olbrzymi, skalisty szczyt zwieńczony siedmioma wieżami różnego kształtu i stylu. Były to: Wieża Lapadiusa (znana również jako Stara Wieża), Wieża Wysoka (znana jako Eyrie), Wieża Królewska, Wieża Zachodnia, Wieża Sów, Wieża Palaemona oraz Wieża Wschodnia. Przytłaczająca bryła Haidionu wraz ze wszystkimi wieżami pozbawiona

była jakiegokolwiek gracji, a zamek sprawiał wrażenie bardzo starego i był zupełnym przeciwieństwem Falu Ffail w Avallonie.

Mniej więc w ten sam sposób król Casmir różnił się od króla Audry'ego. Twarz Casmira zdobiły okazałe rumieńce, a w jego żyłach intensywnie pulsowała czerwona krew. Włosy i broda Casmira stanowiły gęstwinę blond loków. Audry z kolei miał bladą cerę i czarne włosy. Casmir był przysadzisty, o grubej szyi i szerokich ramionach, a z jego kamiennej twarzy spoglądały duże, porcelanowo-błękitne oczy. Audry zaś był wysoki, o wątych przegubach, delikatnej budowy, a jego ruchy odznaczały się swoistą gracją.

Żadnemu z tych władców nie zbywało na królewskich luksusach. Obaj korzystali w pełni z przysługujących im przywilejów, jednakże gdy Audry zabawiał się w towarzystwie obojga płci, Casmir nie miał żadnych faworytów i nie utrzymywał kochanek. Raz w tygodniu składał stateczną wizytę w komnacie królowej Sollace, gdzie zadowalał się jej masywnym i ociążalym ciałem. Przy mniej oficjalnych okazjach pozwalał sobie na przyjemności w towarzystwie młodych paziów o jędrnych ciałach.

Casmirowi najbardziej odpowiadało towarzystwo jego szpiegów i informatorów. Z tych właśnie źródeł dowiedział się o bezkompromisowej odpowiedzi Aillasa niemal tak samo szybko jak sam Audry. Wiadomości te, choć nie były dla Casmira zaskoczeniem, nieprzyjemnie go zdenerwowały. Wcześniej czy później zamierzał najechać na Dahaut, zniszczyć jego armię i osiągnąć zwycięstwo, zanim Aillas zdążyłby zebrać swoje siły zbrojne. Jednakże zajęcie Poëlitetz przez Aillasa znacznie utrudniało sprawę, gdyż umożliwiało mu szybkie zorganizowanie wojsk ulflandzkich i uderzenie na Marchię, co przeszkodziłoby w szybkim zakończeniu wojny. Trzeba będzie wyeliminować niebezpieczeństwo, jakie stwarzała twierdza Poëlitetz, pomyślał.

Nic nowego nie przychodziło mu do głowy. Casmir długo pracował nad zwaśnieniem ulflandzkich baronów, co znacznie ułatwiłoby rebelię na wielką skalę przeciwko władzy obcego króla. W tym celu zwerbował Torquala, skazanego na banicję byłego dostojnika skalradzkiego.

Przedsięwzięcie to nie przyniosło jednak żadnych zadowalających efektów. Torqual przy całej swojej przebiegłości i bezwzględności nie dawał się

łatwo podporządkować, co ograniczało jego użyteczność. Mijały miesiące, a Casmir niecierpliwił się i rozczarowywał coraz bardziej. Gdzież były osiągnięcia Torquala? W odpowiedzi na przekazywane mu przez posłańców rozkazy Casmira, żądał jedynie jeszcze więcej złota i srebra. Casmir zdążył już wyłożyć znaczne sumy, a co więcej - podejrzewał, że Torqual mógł z łatwością zaspokajać swoje potrzeby grabiąc i łupiąc co się da, oszczędzając tym samym na wydatkach swego rozkazodawcy.

Casmir lubił dyskutować z agentami w Komnacie Westchnień, znajdującej się nad zbrojownią. W dawnych czasach, zanim zbudowano Peinhador, zbrojownia służyła jako sala tortur. Więźniowie oczekujący na swą kolej siedzieli nad nią w Komnacie Westchnień, gdzie czułe ucho, tak przynajmniej mawiano, mogło usłyszeć jęki skazańców.

Komnata Westchnień była wyszarżala i ubogo wyposażona. Stały tam dwie drewniane ławy, stół z dębowych desek, dwa krzesła, taca z butelką z bukowego drewna i pięć kubków z tego samego materiału, które Casmir wyjątkowo sobie upodobał.

Tydzień po otrzymaniu wiadomości o impasie w Poëlitetz, Casmir został poinformowany przez podczaszego Eschara, że w Komnacie Westchnień, oczekuje nań posłaniec Robalf.

Casmir natychmiast udał się do ponurej komnaty nad zbrojownią. Na jednej z ław siedział Robalf, osobnik o pociągłej twarzy i przenikliwych brązowych oczach, rzadkich, brązowych włosach i długim, wykrzywionym nosie. Miał na sobie zabrudzone ubranie podrózne z brązowego barchanu i czubaty, czarny, pilśniowy kapelusz na głowie. Kiedy wszedł Casmir, zerwał się na równe nogi, zdjął z głowy kapelusz i skłonił się przed królem.

- Najjaśniejszy Panie, jestem na twe rozkazy.

Casmir zmierzył go spojrzeniem od góry do dołu, skinął nieznacznie głową, po czym usiadł przy stole.

- Jakież więc wiadomości przynosisz?

- Sire, zgodnie z twoim rozkazem przebyłem całą drogę najszybciej jak to tylko było możliwe, nie zatrzymując się nawet na opróżnienie pęcherza - odpowiedział piskliwym głosem Robalf.

Casmir podrapał się po brodzie.

- Z pewnością jednak nie dokonywałeś tych czynności w biegu?

- Sire, pośpiech i obowiązek czynią z nas wszystkich bohaterów!

- Interesujące. - Casmir nalał wina z bukowej butelki do jednego z kubków. Wskazał na drugie krzesło. - Usiądź, dobry Robalfie, i spokojnie wyjaw mi wszystko, co wiesz.

Robalf nieśmiało przysiadł chudymi pośladkami na skraju krzesła.

- Sire, spotkałem się z Torqualem w wyznaczonym miejscu. Używając twoich słów i wspierany twoim, królewskim autorytetem, przekazałem mu wezwanie, aby natychmiast stawił się w mieście Lyonesse. Nakazałem mu jechać bez zwłoki, abyśmy mogli razem wyruszyć Trompadą na południe.

- I jaka była jego odpowiedź?

- Enigmatyczna. Na początku wcale się nie odzywał, tak że zastanawiałem się, czy usłyszał, co do niego powiedziałem. Potem wymruczał te słowa: „Nie pojadę do Lyonesse”. Nalegałem nieprzejednany, powołując się na słowa Waszej Królewskiej Mości, aż wreszcie Torqual przekazał mi wiadomość dla ciebie, sire.

- Ha! - sapnęła Casmir. - Nareszcie się zdecydował! Co to za wiadomość?

- Muszę cię uprzedzić, Najjaśniejszy Panie, że w jego słowach było niewiele taktu, pominął również właściwe tobie honory.

- To bez znaczenia. Przekaż mi tę wiadomość. - Casmir upił wina z bukowego kubka.

- Na początku przesyła Waszej Królewskiej Mości wyrazy uszanowania oraz wyraża nadzieję, że cieszysz się dobrym zdrowiem. To znaczy były to jakieś słowa wyburczane na wiatr, które w ten sposób zinterpretowałem. Później stwierdził, że jedynie obawa o własne życie jest dla niego ważniejsza niż posłuszeństwo Waszej Królewskiej Mości. Następnie poprosił o fundusze w srebrze bądź w złocie, odpowiednie do jego potrzeb, które określił jako znaczne.

Casmir zacisnął usta.

- Czy to już wszystko?

- Nie, sire. Oświadczył, że byłby zaszczycony, gdyby spotkał go przywiłej osobistego spotkania z Waszą Królewską Mością, jeśli tylko udasz się, sire, z wizytą do miejsca zwanego Pagórek Mooka. Podał mi instrukcje, jak się tam dostać, które przekażę Waszej Królewskiej Mości, jeśli tego zażadasz.

- Nie w tej chwili. - Casmir oparł się o krzesło. - Dla mych uszu w wiadomości tej tkwi nuta lekkiej obrazy. Co o tym myślisz?

Robalf zmarszczył brwi i oblizał wargi.

- Wasza Królewska Mość, pozwolę sobie na szczerość, jeśli pozwolisz.
- Mów, Robalf! Przede wszystkim cenię szczerość.
- Dobrze więc. W zachowaniu Torquala bardziej niż zuchwałość widoczna jest obojętność zmieszana z odrobiną czarnego humoru. Zdaje się on mieszkać w świecie, gdzie poza nim i przeznaczeniem nikt i nic nie istnieje. Wszyscy inni ludzie, Wasza Królewska Mość, ja również, nie jesteśmy niczym więcej niż kolorowymi cieniami, jeśli mogą sobie pozwolić na tak wybujałe określenie. Krótko mówiąc, Torqual nie zamierzał cię obrazić, sire, gdyż jest dla niego obojętne, czy załatwia interesy z królem, czy z kim innym. Jeśli więc chcesz się z nim układać, Najjaśniejszy Panie, to musi się to odbywać na takich właśnie warunkach. Takie przynajmniej jest moje zdanie. - Robalf spojrział ukosem na Casmira, lecz na twarzy króla nie można było dojrzeć żadnych uczuć.

W końcu Casmir odezwał się, zadziwiająco spokojnym głosem:

- Czy on zamierza zrobić, co mu nakazałem, czy nie? To mnie najbardziej interesuje.

- Trudno to przewidzieć, sire - powiedział Robalf. - Podejrzewam, że w przyszłości nie będzie bardziej układowy, niż był dotychczas.

Casmir skinął nieznacznie głową.

- Robalf, powiedziałeś mi to, co mnie interesowało i w rzeczy samej do pewnego stopnia rozjaśniłeś mgłę tajemniczości spowijającą tego perwersyjnego podrzynacza gardel.

- Cieszę się, że moje usługi okazały się użyteczne, Najjaśniejszy Panie.

Casmir zamyślił się na chwilę, po czym zapytał:

- Czy poinformował cię o jakichś nowych osiągnięciach?

- Zrobił to, ale jakby od niechcenia. Powiedział, że zdobył zamek Glen Gath, zabijając barona Nolsa i jego sześciu synów. Wspomniał o spaleniu grodu Maltaing, siedziby barona Ban Oca. W płomieniach zginęli wtedy wszyscy, którzy znajdowali się w środku. Obaj lordowie byli oddanymi sługami króla Aillasa.

- Aillas wysłał cztery swoje rotty w pościg za Torqualem - burknął Casmir. - Takie były moje ostatnie wiadomości. Zastanawiam się, jak długo jeszcze Torqual przetrwa.

- Wiele zależy od Torquala - powiedział Robalf. - Potrafi się ukryć pomiędzy skałami lub na nizinnych pustkowiach, tak że go nikt nie znajdzie.

Ale pewnego dnia szczęście może się od niego odwrócić, zostanie wyśledzony i osaczony w swej kryjówce.

- Bez wątpienia masz rację - przyznał król Casmir. Zastukał w stół. Do komnaty wszedł Eschar.

- Sire?

- Zapłać Robalfowi sakiewką srebrnych florenów i jedną złotą monetą. Potem ugość go gdzieś tutaj, aby był pod ręką.

Robalf skłonił się.

- Dziękuję Najjaśniejszy Panie - rzekł, po czym obaj opuścili Komnatę Westchnień.

Casmir zamyślony siedział dalej przy stole. Nie satysfakcjonowało go ani zachowanie Torquala, ani jego osiągnięcia. Poinstruował Torquala, że jego zadaniem jest skłócenie baronów podstępem, pomówieniami, oszczerstwami i oszustwami. Jego dzikie napady, grabieże, morderstwa i gwałty robiły jednak z niego groźnego bandytę, przeciw któremu wszyscy muszą walczyć razem, pomimo zadawnionych niechęci i starych podejrzeń. Postępowanie Torquala jednoczyło baronów, zamiast ich sobie przeciwstawiać!

Casmir burknął pod nosem rozeźlony. Upił z bukowego kubka i z hałasem postawił go na stole. Los mu nie sprzyjał. Torqual, którego uważał za ważnego pionka w grze politycznej, okazał się kapryśny i prawdopodobnie zupełnie bezużyteczny. Wszystko wskazywało na to, że był pełnym szaleńcem. Aillas zaś obwarował się w Poëlitetz zagrażając najambitniejszym planom Casmira. Co więcej, Casmira dręczył jeszcze jeden, znacznie trudniejszy do rozgryzienia problem. Była to przepowiednia wypowiedziana przed laty przez Persiliana, magiczne lustro. Słowa tej przepowiedni nie przestawały brzmieć w uszach Casmira:

„Tak postanowi Suldrun syn,
Że nim upłynie jego czas,
Zasiądzie w pełni swoich praw
Przy Cairbra an Meadhan.

A gdy zasiądzie i spotężnieje
Dzierżąc w swych rękach Stół Okrągły,
To ku rozpaczy Casmira,
Evandig tronem swym uczyni”.

Słowa przepowiedni na początku zmyliły Casmira. Suldrun powiła jedno dziecko, księżniczkę Madouc, a przynajmniej tak mogło się wydawać, wobec

czego przepowiednia Persiliana stała się czczym nonsensem. Casmir jednak wiedział, że to nie mogło się skończyć w ten sposób. W końcu prawda wyszła na jaw i sprawdziły się jego pesymistyczne przeczucia. Dziecko Suldrun w rzeczywistości było chłopcem, którego zabrały elfy z Thripsey Shee, zostawiając w zamian własnego nie chcianego bękarta. Chcąc nie chcąc król Casmir i królowa Sollace wychowywali podrzutka przedstawiając go światu jako księżniczkę Madouc.

Przepowiednia Persiliana wydawała się teraz mniej paradoksalna, przez co stała się znacznie bardziej złowieszcza. Casmir wysłał agentów na poszukiwania, które jednak spelzły na niczym. Nigdzie nie można było znaleźć pierwotnego syna Suldrun.

Siedząc w Komnacie Westchnień i ciężką ręką ściskając bukowy kubek, Casmir rozważał na nowo nękające go od dawna pytania: Kim jest to po trzykroć przekłete dziecko? Jak mu na imię? Gdzie przebywa, ukryty przede mną? Ach, krótko bym się z nim rozprawił, gdybym tylko to wiedział! - konstataował jak zwykle.

Pytania te wciąż pozostawały bez odpowiedzi. Gdy chodziło o Madouc, to już dawno została zaakceptowana jako córka księżniczki Suldrun, czego nie można było teraz odwołać. W celu wyjaśnienia wątpliwości wymyślono romantyczną opowieść o szlachetnym rycerzu, o tajemnych schadzkach w starym ogrodzie, przysięgach małżeńskich w świetle księżyca i wreszcie o dziecku, które zostało cudną małą księżniczką uwielbianą przez cały dwór. Opowieść była dobra jak każda inna, a w rzeczy samej była niemal zgodna z prawdą, z wyjątkiem oczywiście tożsamości dziecka. Jeśli chodzi o kochankę Suldrun, nikt nic o nim nie wiedział ani się nim nie przejmował. Nikt z wyjątkiem Casmira, który w gniewie kazał wrzucić nieszczęśnika do lochu nie starając się nawet poznać jego imienia.

Księżniczka Madouc jedynie irytowała Casmira. Zgodnie z powszechną wiedzą, elfie dzieci wychowywane wśród ludzi i karmione ludzkim jedzeniem stopniowo traciły cechy elfów i asymilowały się z otaczającym je środowiskiem przynależąc do królestwa śmiertelników. Czasami jednak opowiadano, że takie podrzutki nigdy nie przystosowywały się do ludzkiego świata, pozostając dziwnymi nieokrzesanymi istotami: zmiennymi, podstępными i kłótliwymi. Casmir czasami zastanawiał się, do której grupy

należec może księżniczka Madouc. Rzeczywiście różniła się znacznie od innych panien na dworze, a czasami zachowywała się w sposób, który zbijał Casmira z tropu i napawał niepokojem.

W tym czasie Madouc nic jeszcze nie wiedziała o swym prawdziwym pochodzeniu. Wierzyła, że jest córką Suldrun - tak ją zapewniano, dlatego więc miałoby być inaczej? Czasami tylko można było zauważyć dziwne zachowanie królowej Sollace i dam wyznaczonych do uczenia Madouc dworskiej etykiety. Były to pani Desdea i pani Marmone. Madouc nie lubiła żadnej z nich, żadnej też nie ufała. Każda z nich chciała ją zmienić na swój sposób, mimo że Madouc pragnęła pozostać taką, jaką była.

Madouc miała teraz dziewięć lat, była ruchliwa i żywiołowa. Miała długie nogi, chude chłopięce ciało i śliczną, bystrą, dziewczęcą twarz. Czasami przewiązywała kitkę miedzianozłotych loków czarną wstążką, równie często nosiła rozpuszczone włosy, zagarniając je jedynie za uszy. Miała oczy koloru błękitnego nieba, a usta szerokie i zaciśnięte, uniesione lub opuszczone zależnie od nastrojów. Uważano ją za niesforeną i upartą, czasami też, aby ją określić, używano słów takich jak „fantastyczna”, „rozkapryszona”, „nieoprawna”.

Kiedy Casmir odkrył prawdę o narodzinach Madouc, jego pierwszą reakcją był szok, następnie niedowierzanie, potem zaś tak krańcowa furia, że kiepsko skończyłoby się to dla Madouc i jej szyi, gdyby tylko znajdowała się w zasięgu jego rąk. Kiedy zaś już się uspokoił, to doszedł do wniosku, że nie ma innego wyjścia i robił dobrą minę do złej gry mając nadzieję, iż za jakiś czas uda mu się ją całkiem korzystnie wyswatać.

Casmir opuścił Komnatę Westchnień, by wrócić do swoich prywatnych apartamentów. Droga prowadziła tylnym korytarzem Wieży Królewskiej, który ciągnął się krążgankiem wychodzącym na dziedziniec na wysokości około dwunastu stóp.

Otwierając drzwi prowadzące na krążganek, Casmir stanął jak wryty na widok Madouc. Stała pod jednym z łukowatych prześwitów wspinając się na palce, tak że wychylała się przez balustradę i spoglądała w dół na dziedziniec.

Casmir przyglądał się jej marszcząc brwi. Madouc i jej poczynania budziły w nim zawsze uczucie podejrzliwości i niechęci. Teraz zauważył, że na balustradzie przy ramieniu Madouc stała miska ze zgniłymi pigwami. Jedną z nich dziewczynka trzymała delikatnie w dłoni.

Podczas gdy Casmir się jej przyglądał, zamachnęła się i rzuciła pigwą do jakiegoś celu na dole. Spoglądała przez chwilę, po czym cofnęła się ze śmiechem.

Casmir ruszył do przodu. Stał nad nią.

- Cóż za złośliwości wyczyniasz?

Madouc drgnęła zaskoczona, nie mogąc wymówić ani słowa, z odchyloną głową i na wpół otwartymi ustami. Casmir wyjrzał w dół na dziedziniec. Stała tam pani Desdea z przechylnym kapeluszem, spoglądając do góry z wściekłością w oczach, ścierając kawałki pigwy z szyi i dekoltu. Na widok spoglądającego na nią z góry króla Casmira jej twarz rozciągnęła się w bezgranicznym zdziwieniu. Przez chwilę stała nie mogąc się poruszyć. Następnie, zapominając o kurtuazji, poprawiła kapelusz i pośpieszyła przez dziedziniec do pałacu.

Casmir cofnął się powoli. Spojrzał na Madouc.

- Dlaczego rzucałaś owocami w panią Desdeę?

- Dlatego, że pani Desdea przechodziła tędy pierwsza przed panią Marmone - odpowiedziała z rozbrajającą szczerością Madouc.

- To nie ma nic do rzeczy - uciał król Casmir. - W tej chwili pani Desdea sądzi, że to ja obrzuciłem ją zgniętymi owocami.

Madouc z powagą pokiwała głową.

- To może i lepiej. Zwróci większą uwagę na taką reprimendę, niż na taką, która spadłaby na nią tajemniczo, zupełnie znikąd.

- Czyżby? A za jakie to przewinienia zasłużyła sobie na tak przykrą nauczkę?

Madouc spojrzała na niego szeroko otwartymi ze zdziwienia, niebieskimi oczyma.

- Przede wszystkim, sire, jest męcząca i uciążliwa do granic wytrzymałości, a także marudzi bez końca. Z drugiej strony jest podstępna jak lis i zagląda tam, gdzie nie powinna. Jeśli możesz w to uwierzyć, upiera się również, abym nauczyła się szyć pięknym i prostym ściegiem!

- Ba! - mruknął Casmir, znudzony już tematem. - Twoje postępowanie bez wątpienia wymaga poprawy. Nie wolno ci więcej rzucać owocami!

Madouc nachmurzyła się i wzruszyła ramionami.

- Owoce są lepsze niż co innego. Jestem przekonana, że pani Desdea wołałaby owoce.

- Niczym innym również nie wolno ci rzucać. Księżniczka wyraża swoje niezadowolenie z większą gracją.

Madouc zastanowiła się przez chwilę.

- A co by się stało, gdyby te przedmioty spadały same z siebie?

- Nie możesz pozwolić, aby cokolwiek, nawet niegroźnego, spadało na dół w kierunku pani Desdei, nawet bez twojego w tym udziału. Krótko mówiąc, masz zaprzestać tych poczynań.

Madouc ściągnęła usta niezadowolona. Wyglądało na to, że król Casmir nie ustąpi ani przed logiką, ani przed perswazją. Nie traciła wobec tego więcej słów.

- Jak sobie życzysz, Wasza Królewska Mość.

Król Casmir ponownie wyjrzał na dziedziniec, po czym ruszył swoją drogą. Madouc stała jeszcze przez chwilę, a następnie ruszyła za królem przez korytarz.

Rozdział 2

I

Przewidywania Madouc nie spełniły się. Wydarzenie na dziedzińcu miało duży wpływ na panią Desdeę, lecz nie od razu zmieniło jej skłonności filozoficzne, a w żadnym razie nie wpłynęło na metody nauczania stosowane wobec Madouc. Spiesząc ciemnymi korytarzami Haidionu pani Desdea była jedynie strasznie zadziwiona.

Gdzie popełniłam błąd? - zapytywała samą siebie. - Czym tak bardzo rozgniewałam Jego Królewską Mość? I dlaczego miałby okazywać mi swoją dezaprobatę w tak wyjątkowy sposób? Czy jest w tym jakaś symbolika, której nie potrafię pojąć? Przecież z pewnością docenia pełną poświęcenia i oddania pracę przy wychowywaniu księżniczki! To naprawdę zadziwiające!

Pani Desdea weszła do Wielkiego Hallu i do głowy przyszło jej nowe podejrzenie. Zatrzymała się.

A może chodzi tu o coś znacznie więcej? - snuła przypuszczenia. - Czyżbym została ofiarą jakiejś intrygi? Czy jest możliwe jakieś inne wyjaśnienie? A może, co już jest zupełnie nieprawdopodobne, jestem wyjątkowo odpychająca dla Jego Królewskiej Mości? Wprawdzie, jestem raczej osobą stateczną i wytworną niż kokieterijną trzpiotką, jak niektóre tutejsze panienki, wystrojone i wyperfumowane niczym kokotki. Z pewnością jednak dżentelmen dostrzeże moje wewnętrzne piękno, wywodzące się z dojrzałości i szlachetnego ducha!

W rzeczy samej wygląd pani Desdei, jak sama podejrzewała, nie wzbudzał większego zachwytu. Była grubokoścista, miejscami może aż nazbyt, miała długie kończyny, płaski biust i pociągłą, niemal prostokątną twarz, po której bokach opadały lichymi puklami włosy koloru siana. Mimo to pani Desdea była ekspertem w dziedzinie etykiety dworskiej, zgłębiła jej najbardziej delikatne niuanse. („Kiedy dama przyjmuje honory od dżentelmena, nie wytrzeszcza oczu jak ryba wyjęta z wody ani się głupio nie wdzięczy.

Dziękuje raczej cichym głosem i uśmiecha się z zauważalną, choć umiarkowaną sympatią. Stoi wyprostowana, nie chwieje się i nie przestępuje z nogi na nogę. Nie wzrusza ramionami i nie kręci biodrami. Ramiona pozostają w kontakcie z ciałem. Kiedy schyla głowę, trzyma ręce za plecami, aby całość wyglądała wdzięcznie i z gracją. W żadnym razie nie powinna rozglądać się bezmyślnie, nawoływać lub kiwać na przyjaciół, siadać na podłodze, ani zwracać się do mężczyzny ze zbyt dużą pewnością siebie”.)

Spośród wszystkich swoich doświadczeń pani Desdea nie mogła sobie przypomnieć niczego zbliżonego do wydarzenia na dziedzińcu. Kiedy tak szła korytarzem, nie opuszczało jej, , zdumienie. Dotarła do prywatnych komnat królowej Sollace i została wpuszczona do salonu, gdzie zastała królową na wpół leżącą na sofie wymoszczonej zielonymi poduszkami. Za królową stała jej służka Ermelgart, która wyczesywała z jej gęstych, jasnych włosów odżywczą mączkę z migdałów, talku oraz zmielonych kości pawia. Gdy zaczęły lśnić jak jasnożółty jedwab, skrzyła je w dwa grube koki, a następnie zabezpieczyła siatką ozdobioną szafirowymi płytkami.

Ku rozdrażnieniu pani Desdei, w komnacie były jeszcze trzy inne osoby. Pod oknem siedziały nad haftami panie Bortruda i Parthenopa. Tuż przy Sollace natomiast usadowiony na taborecie tkwił ojciec Umphred, a jego grube pośladki przelewały się za siedzisko. Tego dnia miał na sobie habit z brązowego barchanu, z kapturem odrzuconym do tyłu. Mysie włosy miał krótko ostrzyżone, połykiwał tonsura. Spomiędzy jego bladych policzków wyrastał wykrzywiony nos, wytrzeszczone, ciemne oczy kontrastowały z małymi, różowymi ustami. Ojciec Umphred piastował godność duchowego doradcy królowej. Właśnie trzymał w pulchnej dłoni plik szkiców ukazujących różne ujęcia nowej bazyliki, którą budowano w północnej części portu.

Pani Desdea podeszła do przodu i już zaczynała mówić, kiedy królowa niecierpliwym machnięciem przerwała jej w pół słowa.

- Jedną chwilkę, moja Otillo! Jestem, jak widzisz, .zajęta bardzo ważnymi sprawami.

Pani Desdea cofnęła się zagryzając wargi, podczas gdy ojciec Umphred prezentował szkice jeden po drugim, wywołując tym okrzyki zachwytu królowej Sollace. Zdobyła się na jedną tylko uwagę:

- Gdybyśmy tylko mogli wybudować prawdziwie wielką świątynię, tak by żadna inna na świecie nie mogła się z nią równać!

Ojciec Umphred z uśmiechem potrząsnął głową.

- Moja droga królowo, nie troskaj się! Bazylika Świętej Sollace, Ukochanej przez Anioły, będzie tak wspaniała i wzniosła, że zapanuje w niej świętość.

- Doprawdy tak będzie?

- Nie ma żadnych wątpliwości! Oddania Bogu nigdy nie mierzy się wielkościami fizycznymi i namacalnymi. Gdyby tak było, nieokrzesana, dzika bestia zasłużyłaby sobie na więcej uwagi w Królestwie Niebieskim niż jakieś małe niemowlę pobłogosławione podczas chrztu świętego.

- Jak zawsze, ukazujesz mi problemy we właściwej dla nich perspektywie.

Pani Desdea nie mogła się już dłużej powstrzymać. Przeszła przez komnatę i pochyliła się szepcząc królowej do ucha:

- Muszę natychmiast zamienić z Waszą Królewską Mością parę słów na osobności.

Sollace zajęta rysunkami niecierpliwie machnęła ręką.

- Cierpliwości, jeśli łaska! Prowadzę bardzo ważną rozmowę. - Dotknęła palcem pewnego miejsca na szkicu. - Mimo wszystko, jeśli dodalibyśmy tu atrium, w którym znajdowałyby się pomieszczenia do wypoczynku, pozwoliłoby to nam na uzyskanie przestrzeni w nawach bocznych, w których mogłyby znajdować się małe kapliczki.

- Moja droga królowo, postąpienie zgodnie z takim planem wymagałoby skrócenia w znaczny sposób nawy głównej.

Królowa Sollace westchnęła z rozdrażnieniem.

- Kiedy ja wcale tego nie chcę. Znacznie bardziej wolałabym, aby świątynia była dłuższa o jakieś pięć jardów. Chciałabym też powiększyć absydę. Zyskalibyśmy wtedy miejsce na doprawdy wspaniałą witraż!

- To niewątpliwie rewelacyjny pomysł - oświadczył ojciec Umphred. - Jednakże należy pamiętać, że fundamenty zostały już położone i od nich zależą wymiary świątyni.

- Czy nie można ich choć trochę przedłużyć?

Ojciec Umphred smutno potrząsnął głową.

- W przykry sposób jesteśmy ograniczeni skromnością funduszy! Gdyby ich nam nie brakowało, wszystko byłoby możliwe.

- Zawsze to samo! - pożałowała się królowa Sollace. - Czyż ci murarze,

robotnicy i kamieniarze są tak chciwi i tak bardzo pożądamy złota, że nie będą pracować dla chwały kościoła?

- Zawsze tak było, moja pani! Jednakże modłę się codziennie, aby Najjaśniejszy Pan w swej szcudroblności darował nam wystarczającą ilość pieniędzy.

- Świetność bazyliki nie znajduje się na liście priorytetów Jego Królewskiej Mości - mruknęła królowa.

- Król powinien pamiętać o bardzo ważnym fakcie - odezwał się zamyślonym głosem ojciec Umphred. - Kiedy bazylika zostanie ukończona, fundusze popłyną w przeciwnym kierunku. Ludzie będą tu przybywać ze wszystkich stron na nabożeństwa, śpiewanie pieśni, modlitwy, niosąc dary w złocie i srebrze! W ten bowiem sposób będą chcieli zasłużyć sobie na radość wiekiutą w Królestwie Niebieskim.

- Dary takie ucieszą również mnie, jeśli dzięki nim będziemy mogli odpowiednio bogato przyozdobić kościół.

- W tym celu musimy sprowadzić dobre relikwie - rzekł ojciec Umphred. - Nic tak nie rozwiązuje sakiewek, jak relikwie. Król powinien to wiedzieć! Pielgrzymi przyczynią się do ogólnego wzbogacenia oraz do zapelnienia królewskiego skarbcza. Po głębszym zastanowieniu stwierdzam, że relikwie to bardzo dobry pomysł!

- O tak, musimy mieć relikwie! - krzyknęła Sollace. - Gdzie można je zdobyć?

Ojciec Umphred wzruszył ramionami.

- To nie jest takie łatwe, gdyż wiele najznacznějších zostało już zagarniętych. Jeśli jednak jest się wytrwałym, można otrzymać relikwie w darze, nabyć za właściwą cenę czy odebrać poganom. Niekiedy można je znaleźć w zupełnie niespodziewanych miejscach. Na pewno nie jest zbyt wcześnie, aby rozpocząć poszukiwania.

- Musimy przedyskutować tę sprawę ze wszystkimi szcęgólami - powiedziała królowa Sollace i zaraz rzuciła cierpkim tonem: - Ottillo, jesteś zupełnie roztrzęsiona! Co się stało?

- Jestem zmieszana i oszołomiona - westchnęła pani Desdea - to prawda.

- Opowiedz nam wobec tego, co się stało, i razem postaramy się rozwiązać twój problem.

- Mogę o tym mówić jedynie na osobności, Wasza Króewska Mość.

Królowa Sollace zrobiła rozdrażnioną minę.

- Dobrze więc, jeśli rzeczywiście uważasz, że taka ostrożność jest

konieczna. - Zgodziła się Sollace, po czym zwróciła się do pań Bortrudy i Parthenopy: - Wygląda na to, że tym razem musimy ustąpić kaprysom pani Desdei. Możecie przyjść do mnie później. Ermelgart, zadzwonie, kiedy będzie cię potrzebowała.

Pani Bortruda i pani Parthenopa z zadartymi nosami opuściły salon, a za nimi wyszła służka. Ojciec Umphred odczekał chwilkę, lecz nie proszono go o pozostanie, więc również się oddalił.

Bez dalszego ociągania pani Desdea opowiedziała o wszystkim, co wprawilo ją w takie zakłopotanie.

- Była właśnie pora na ćwiczenia dykcji księżniczki Madouc, które są jej wyjątkowo potrzebne. Ona zaciąga i śpiewnie akcentuje jak jakieś dziewczysko z portu. Byłam właśnie w drodze na lekcję i szłam przez dziedziniec, kiedy uderzono mnie w szyję kawałkiem zgniętego owocu, rzuconego z góry z dużą siłą i dokładnością. Przykro mi to mówić, ale od razu zaczęłam podejrzewać księżniczkę, która czasami ma skłonności do takich złośliwych występków. Jednakże, kiedy spojrzałam do góry, ujrzałam Jego Królewską Mość spoglądającego na mnie z góry z nader dziwnym wyrazem twarzy. Gdybym miała bujniejszą wyobraźnię i osobą tą byłby kto inny niż Najjaśniejszy Pan, który oczywiście ma wystarczające powody dla swych poczynań, uznałabym to za wyraz tryumfu lub nawet mściwości!

- Zadziwiająco - powiedziała królowa Sollace. - Jak to możliwe? Jestem tak samo zaszokowana jak ty. Jego Królewską Mość nie jest osobą, która dopuszcza się takich głupich występków.

- Naturalnie, że nie. A jednak... - pani Desdea spojrzała z rozdrażnieniem przez ramię, bowiem do salonu z twarzą wykrzywioną gniewem weszła pani Marmone.

Pani Desdea rzuciła szorstko:

- Narcyzo, właśnie rozmawiamy z Jej Królewską Mością na nader ważne tematy. Gdybyś była tak łaskawa...

Pani Marmone, równie uparta i ostra jak sama pani Desdea, strasznie się wzburzyła.

- Twoje sprawy mogą poczekać! To, co ja mam do powiedzenia, musi być powiedziane natychmiast! Niecałe pięć minut temu przechodziłam przez dziedziniec kuchenny, kiedy zostałam uderzona przejrzałą pigwą, rzuconą z góry, z krużganka.

- Znowu to samo? - krzyknęła gardłowo królowa Sollace.

- Znowu czy też to samo, cokolwiek sobie życzysz Najjaśniejsza Pani! Stało się dokładnie tak, jak to opisałam. Gniew dodał mi sił, wbiegłam szybko po schodach mając nadzieję złapać złośliwca i któż to nadszedł podsakując korytarzem, cały radosny i uśmiechnięty? Księżniczka Madouc!

- Madouc? Madouc? - zakrzyknęły równocześnie królowa Sollace i pani Desdea.

- Któż inny? Spojrzała mi prosto w oczy bez żadnego zmieszania i jeszcze poprosiła, abym ustąpiła jej z drogi. Mimo to zatrzymałam ją i zapytałam: „Dlaczego rzuciłaś we mnie pigwą?” Odpowiedziała z całą szczerością: „Nie mając nic innego pod ręką, skorzystałam z pigwy. Zrobiłam tak na polecenie Jego Królewskiej Mości”. Wykrzyknęłam: „Czy mam rozumieć, że Najjaśniejszy Pan doradzał ci takie postępowanie? Dlaczego miałby to robić?” A ona opowiedziała: „Być może uważa on, że pani oraz pani Desdea są niewytłumaczalnie nudne i uciążliwe ze swoimi naukami”.

- Zadziwiający! - zawołała pani Desdea. - Jestem zupełnie skonfundowana.

Pani Marmone ciągnęła dalej:

- Powiedziałam jej: „Z szacunku dla twojej pozycji nie skarzę cię tak, jak na to zasługujesz, ale natychmiast powiadomię o twoim skandalicznym zachowaniu królową”. Księżniczka obojętnie wzruszyła ramionami i odeszła swoją drogą. Czyż to nie zadziwiające zachowanie?

- Zadziwiające, ale nie jedyne w swoim rodzaju - zauważyła pani Desdea. - Ucierpiałam podobnie jak ty, ale to sam król Casmir rzucił we mnie owocem.

Pani Marmone dopiero po dłuższej chwili zdołała się odezwać:

- W takim razie zupełnie nic nie rozumiem.

Królowa Sollace wstała i wyprostowała się?

- Muszę wyjaśnić, o co tu chodzi. Chodźcie! Zanim upłynie godzina, będziemy wiedzieć, kto za tym stoi i co się naprawdę dzieje.

Królowa i dwie damy, z ojcem Umphredem drepczącym skromnie za nimi, znaleźli króla Casmira rozmawiającego z seneszałem Mungo i sekretarzem królewskim Pacuinem.

Casmir zmarszczył brwi na ich widok, po czym wstał.

- Droga Sollace, co jest aż tak ważnego, że musisz przerywać mi ważne konsultacje?

- Muszę zamienić z tobą na osobności parę słów - odparła Sollace. - Bądź tak dobry i odpraw swoich doradców, choćby na parę chwil.

Casmir, zauważywszy pewność siebie widniejącą na twarzy pani Desdei, pojął cel ich wizyty. Na jego znak sir Mungo i Pacuin opuścili komnatę. Casmir pstryknął palcami na ojca Umphreda.

- Ty również możesz odejść.

Ojciec Umphred z uprzejmym uśmiechem na twarzy wyszedł z komnaty.

- A teraz powiedzcie, o co chodzi - zwrócił się Casmir do małżonki i towarzyszących jej dam.

W paru słowach królowa Sollace wyjaśniła sprawę. Król słuchał z niewzruszoną cierpliwością.

- Rozumiesz teraz moje zaniepokojenie - oznajmiła na koniec Sollace. - Krótko mówiąc, nie możemy pojąć, dlaczego rzucałeś owocami w panią Desdeę, a następnie zachęcałeś Madouc, aby tak samo postąpiła z panią Marmone.

Casmir zwrócił się do pani Desdei.

- Sprowadź tu natychmiast Madouc.

Pani Desdea wyszła i wkrótce wróciła w towarzystwie Madouc, która dość niechętnie weszła do komnaty. Król Casmir rzekł do niej spokojnym głosem:

- Rozkazałem, abyś nie rzucała więcej owocami.

- Rzeczywiście, tak było, sire. Mówiłeś, bym nie rzucała w panią Desdeę żadnymi przedmiotami. Dokładnie dostosowałam się do twego rozkazu.

- Rzucałaś jednak pigwami w panią Marmone. Czy to również ci dorażdałem?

- Tak to zrozumiałam, skoro twój zakaz jej nie dotyczył.

- Ach tak! Czy chciałaś, bym kolejno wymieniał po imieniu wszystkich mieszkających na zamku i w dodatku wskazywał, czym nie masz w nich rzucać?

Madouc wzruszyła ramionami.

- Jak widzisz, sire, jeśli pojawiają się wątpliwości, łatwo o pomyłkę.

- A ty właśnie miałaś takie wątpliwości?

- Dokładnie tak, sire. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem wydawałoby się traktowanie obu dam w taki sam sposób, zarówno gdy chodzi o przywileje, jak i nieprzyjemności.

Casmir uśmiechnął się i skinął głową.

- Przywileje te to dość delikatna sprawa. Czy mogłabyś wyjaśnić, o co ci chodzi?

Madouc zmarszczyła brwi i spojrzała na własne palce.

- Wyjaśnienie mogłoby być zbyt długie i nużące, popełniłabym więc taki sam błąd, który potępiam u pań Desdei i Marmone.

- Proszę, zdobądź się na ten wysilek. Jeśli będziesz nas zanudzać, przezwiemy ci od razu.

Madouc z rozwagą dobierała słowa.

- Damy te są z pewnością arystokratkami, jednakże każdego dnia ich zachowanie jest dokładnie takie samo, jak było dnia poprzedniego. Nie wiedzą, co to życiowa energia, nie lubią niespodzianek ani żadnych nowości. Pomyślałam, że dobrze zrobiłaby im tajemnicza przygoda, która pobudziłaby do myślenia ich umysły i chociaż częściowo wyplenila nudę z ich rozmów.

- Kierowały więc tobą jedynie przyjazne i pełne dobrych chęci motywy?

Madouc spojrzała na niego niepewnie.

- Podejrzywałam oczywiście, że na początku mogą nie być wdzięczne, a może nawet trochę złe. Pomyślałam jednak, że będą zadowolone z mojej pomocy, skoro tylko uświadomią sobie, że świat jest czasami zaskakujący i dziwny, i w końcu zaczną jej oczekiwać z radością.

Pani Desdea i pani Marmone sapaly z niedowierzania. Casmir uśmiechnął się powściągliwie.

- Uważasz więc, że przysłużyłaś się tym damom?

- Zrobiłam, co było w mojej mocy - odważnie przyznała Madouc. - Zapamiętaj ten dzień do końca życia! Czy mogłyby powiedzieć to samo o dniu wczorajszym?

Casmir zwrócił się do Sollace.

- Księżniczka przekonała nas, że obie panie odniosą z jej poczynań same korzyści. Sądzę, że należy się księżniczce odwdziżyć za jej altruizm i chciałbym, aby ten dzień również dla niej stał się pamiętny, czego dokonamy za pomocą wierzbowej witki. Koniec końców każdy będzie coś z tego miał. Pani Desdea i pani Marmone odkryją nowe bogactwo w swoim życiu, a Madouc nauczy się, że należy słuchać własnego sumienia równie uważnie jak królewskich rozkazów.

- Sire, wszystko zostało już wyjaśnione! – odpowiedziała Madouc lekko drżącym głosem: - Jej Królewska Mość nie musi się przemęczać, aby dowieść prawdy, która została już dowiedziona.

Casmir zdążył się już odwrócić, rzucił więc tylko przez ramię:

- W każdej sprawie ważne jest doprowadzenie jej do końca, co stanie się i tym razem. Jej Królewska Mość może spoci się odrobinę, ale nie prze-męczy się zbyt. Możecie odejść.

Królowa wraz z damami dworu wyszła z komnaty. Madouc poczłapała ciężko za nimi. Sollace odwróciła się i ponagliła ją:

- Chodź teraz, szybko. Ociągnięcie się tu nie pomoże.

- No cóż, nie mam nic lepszego do roboty - westchnęła Madouc.

Gdy wracały do salonu Sollace, ojciec Umphred wyłonił się z cienia i po-dążył za nimi. Sollace usiadła wygodnie na sofie i wezwała Ermelgart.

- Wyciągnij z miotły trzy witki. Niech będą giętkie i elastyczne. A teraz ty, Madouc! Podejdz do mnie, jeśli łaska! Czy pojmujesz, ile kłopotu spra-wiły nam twoje złośliwości?

- Pigwy były całkiem małe - zauważyła Madouc.

- To bez znaczenia! Takie zachowanie nie przystoi księżniczce, a szcze-gólnie księżniczce z Lyonesse.

Ermelgart wróciła z trzema wierzbowymi witekami i podała je królowej. Madouc obserwowała to szeroko otwartymi, błękitnymi oczyma, z rozpaczą na twarzy.

Sollace wypróbowała witki na poduszce, po czym zwróciła się do Mado-uc:

- Masz coś do powiedzenia? Parę słów przeprosin i pokory?

Madouc zafascynowana ruchem witek nic nie odpowiedziała. Zazwyczaj ocieżała królowa Sollace naraz się ożywiła.

- Nie czujesz żadnej skruchy? Teraz rozumiem, dlaczego mówią, że je-steś bezczelna. Dobrze więc, złośliwa panienko, zobaczymy. Możesz po-dejść.

Madouc zwilżyła usta językiem.

- Nie uważam, aby rozsądnym było bicie mnie za to, co wycierpiałam.

Sollace wpatrywała się w nią zdumiona.

- Nie mogę wręcz uwierzyć własnym uszom. Ojcze Umphredzie, pod-prowadź tu, proszę, księżniczkę.

Zakonnik z całą uprzejmością położył Madouc rękę na ramieniu i po-prowadził ją przez komnatę. Sollace przełożyła ją sobie przez kolano, unio-sła jej suknię i przyłożyła witekami w chude pośladki. Madouc leżała bez-władnie jak pusty worek, nie wydając żadnego dźwięku.

Brak reakcji rozłościła Sollace. Uderzyła jeszcze raz i jeszcze, w końcu sięgnęła bieliznę księżniczki, chcąc przyłożyć w jej gołe pośladki, podczas

gdy ojciec Umphred przypatrywał się temu z uśmiechem i potakiwał głową w rytm uderzeń.

Madouc nadal milczała. Sollace w końcu znudziła się, odrzuciła witki i zepchnęła Madouc z kolan. Ze ściągniętą twarzą i ustami zaciśniętymi w waziutką kreseczkę Madouc podciągnęła bieliznę, poprawiła sukienkę i ruszyła przez komnatę.

- Nie pozwoliłam ci odejść - rzuciła ostro Sollace. Madouc zatrzymała się i spojrzała przez ramię.

- Czy zamierzasz mnie znowu zbić?

- Nie w tej chwili. Ręka mnie rozboleła.

- Wobec tego skończyłaś ze mną - ucięła Madouc i wyszła z salonu, zostawiając Sollace spoglądającą za nią z rozdziawionymi ustami.

II

Królowa Sollace niechętnie usposobiła się do Madouc, czego przyczyną było zachowanie księżniczki, a szczególnie widoczny brak szacunku należnego królowej. Od dawna wysłuchiwała plotek o bezczelności Madouc, ale bezpośrednie doświadczenie ją zaszokowało. Jeśli Madouc miała zostać naprawdę wdzięczną panną i ozdobą dworu, jasnym było, że natychmiast należy coś przedsięwziąć.

Sollace przedyskutowała problem z ojcem Umphredem, który zaproponował, aby księżniczka rozpoczęła naukę religii. Pani Marmone wyśmiała ten pomysł.

- To nad wyraz niepraktyczne, a wszyscy tylko traciliby czas.

Ubodło to królową Sollace, która była prawdziwą dewotką. Zapytała rozkazującym tonem:

- Cóż wobec tego doradzasz w tej sytuacji?

- Przyznaję, że zastanawiałam się nad tą sprawą. Edukacja księżniczki musi przebiegać jak poprzednio, może z nieco większym naciskiem na jej przyzwoite zachowanie. Co więcej, byłoby lepiej, gdyby przydzielono jej kilka szlachetnych panien do towarzystwa, aby mogła się uczyć właściwego zachowania drogą dobrego przykładu. Zresztą jest niemal w takim wieku, że i tak należałoby przydzielić jej świtę. Moim zdaniem, im szybciej, tym lepiej.

Sollace przytaknęła skinięciem głowy.

- Co prawda jest na to rok lub dwa za wcześnie, ale okoliczności są wyjątkowe. Madouc jest niezdolną i nieposłuszną, małą istotą wymagającą dobrego towarzystwa, które miałyby na nią pozytywny wpływ.

Tydzień później Madouc została wezwana do salonu śniadaniowego na drugiej kondygnacji Wieży Wschodniej. Tam przedstawiono jej sześć szlachetnych panienek, które - jak się dowiedziała - miały być jej pannami do towarzystwa. Madouc, zdając sobie sprawę z bezsensowności sprzeciwu, stała przyglądając się nowym towarzyszkom i wcale nie była zadowolona z tego, co widziała. Sześć panien ubranych było w wykwintne suknie i nosiło się z przesadną sztywnością. Po wymianie grzeczności poddały Madouc własnej ocenie i nie okazały więcej entuzjazmu niż księżniczka. Pouczono je, na czym będą polegać ich obowiązki, które większości z nich wydawały się dość przykre. Ogólnie rzecz biorąc miały do trzymywania księżniczce towarzystwa, spełniać jej drobne polecenia, informować ją o wszystkim, co dzieje się na dworze, i dzielić z nią ciężar nauki. Ku rozweseleniu Madouc, miały bawić się razem, skakać przez linę, rzucać piłkę, grać w palanta, wolanta, domino i inne podobne gry. W ich towarzystwie miała też szyć i haftować, napełniać suszonymi kwiatami saszetki zapachowe, pleść girlandy z kwiatów i uczyć się kroków modnych tańców. Wszystkie pobierać miały naukę czytania i pisania, a co więcej - uczyć się etykiety, dworskich grzeczności i nienaruszalnych zasad hierarchii.

Owymi sześcioma pannami były: Devonet z zamku Folize, Felicja, córka sir Munga, pierwszego seneszała, Ydraint z dworu Damar, Artwen z zamku Kassie, Chlodys z Fainstry oraz Elissia z Yornu.

Poza Felicją, dziewczynką mniej więcej w wieku Madouc, wszystkie one były od niej starsze. Chlodys, duża blondynka, wyglądała na nieco niezgrabną. Ciemnowłosa Elissia była niewysoka i drobna. Artwen miała usposobienie apodyktyczne. Zamknięta w sobie, nieco roztargniona Felicja ze swą subtelną urodą sprawiała wrażenie wręcz kruchej. Ydraint była rumiana, zdrowa i zdecydowanie ładna, Devonet zaś po prostu Piękna. Chlodys i Ydraint jak na swój wiek były zauważalnie dojrzałe, Devonet i Artwen nieco mniej, a Felicja i Elissia, Podobnie jak Madouc, stały zaledwie u progu dojrzałości.

Zgodnie z teorią, sześć panien miało wszędzie towarzyszyć swej uwielbianej księżniczce gawędząc, nieustannie próbując się jakoś przysłużyć,

zachwycając się pochwałami i pokornie wysłuchując uwag. W efekcie miały stworzyć coś w rodzaju miniaturowego dworu sześciu radosnych panien, którymi łaskawie rządzić miała księżniczka Madouc, świecąc między nimi jak drogocenny kamień oprawiony w złoto.

W praktyce wyglądało to nieco inaczej. Po pierwsze Madouc podchodziła do tego rozwiązania z podejrzliwością, uważając je za uciążliwe i ograniczające jej swobodę. Sześć panien ze swej strony wykazywało niewiele zapału w wykonywaniu obowiązków. Uznały, że Madouc jest dziwna i ekscentryczna, nie ma dobrego smaku i jest naiwna do znudzenia.

Okoliczności jej narodzin, jak uważano na dworze, nie przynosiły jej szczególnego szacunku, z czym panny szybko się zgodziły. Po kilku dniach utworzyły grupkę, z której Madouc została wykluczona. Traktowały ją jedynie na granicy uprzejmości, spoglądały pustym wzrokiem, kiedy się do nich zwracała, jej uwagi ginęły pośród innych, jeśli zaś je usłyszano, były ignorowane.

Madouc na początku była zakłopotana, potem rozbawiona, później rozgoryczona, a w końcu stwierdziła, że wcale ją to nie obchodzi. Zajmowała się własnymi sprawami, jeśli to było możliwe.

Obojętność Madouc wzbudziła jeszcze większą dezaprobatę panien, dla których stała się dziwniejsza niż przedtem. Inspiratorką wszystkich ich poczynań była Devonet. Była to panna wykwintna i wdzięczna, świeża jak kwiat, uzdolniona już w sztuce eksponowania swego czaru. Złociste loki opadały jej na ramiona. Jej oczy spoglądały z orzechową niewinnością. Devonet radziła sobie również niezłe z intrygami i podstępными machinacjami. Na jej sygnał, czy to pstryknięcie palcami czy skinienie głową, panny oddalały się od Madouc i zbierały się w grupkę w kącie komnaty, skąd wyglądały przez ramię, szepcząc i chichocząc. Niekiedy podglądały Madouc zza węgła, chowając głowy, kiedy spojrziała w ich kierunku.

Madouc wzdychała, wzruszała ramionami i ignorowała te złośliwości. Pewnego ranka, jedząc śniadanie ze swoimi pannami do towarzystwa, odkryła martwą mysz w misce z owsianką. Zmarszczyła nos i odsunęła się z obrzydzeniem. Spoglądając ponad stołem zauważyła zwróconą na siebie uwagę sześciu panien. Jasne było, że wiedziały, co znalazła. Chlodys zakryła dłonią usta powstrzymując chichot. Spojrzenie Devonet było puste i obojętne.

Madouc odsunęła miskę, ściągnęła usta, ale nic nie powiedziała.

Dwa dni później Madouc, poczynając sobie dość tajemniczo, tak rozbudziła ciekawość Devonet, Chlodys i Ydraint, że zaczęły ją śledzić, chcąc wyszpiegować, co jest powodem jej dziwnego zachowania. Było dla nich oczywiste, że może to być tylko coś skandalicznego. Aż cieszyły się na samą myśl o takiej możliwości. Podekseytowane śledziły każdy krok Madouc i zawędrowały za nią aż na sam szczyt Wieży Wysokiej, gdzie straciły ją z oczu, gdy weszła po drabinie do opuszczonych gołębników. Kiedy wreszcie stamtąd zeszła i zbiegła po schodach, Devonet, Chlodys oraz Ydraint wyłoniły się z kryjówki, wspięły się po drabinie, wypchnęły klapę w podłodze i ostrożnie przeszukały gołębnik. Ku swemu rozczarowaniu znalazły tam tylko kurz, brud, kilka piór i brzydki zapach, lecz żadnych oznak deprawacji księżniczki. Ponuro wróciły do wyjścia w podłodze, gdzie odkryły, że drabina została odsunięta, a kamienna podłoga znajdowała się dwanaście stóp poniżej.

W południe, ku ogólnemu zakłopotaniu, zauważono nieobecność Devonet, Chlodys i Ydraint. Artwen, Elissia i Felicja nie potrafiły powiedzieć, co się z nimi dzieje. Pani Desdea zaczęła ostro wypytywać Madouc, która również udawała zdziwioną.

- One są strasznie leniwe. Pewnie ciągle jeszcze śpią.

- Niezbyt prawdopodobne - szorstko odparła pani Desdea. - To dla mnie dość podejrzane.

- Dla mnie również - zgodziła się Madouc. - Przypuszczam, że coś knują.

Minął dzień, a po nim noc. Następnego ranka, kiedy niemal wszyscy jeszcze spali, dziewczka kuchenna przechodziła przez dziedziniec i usłyszała słabe zawodzenie, lecz nie mogła od razu odkryć jego źródła. Zatrzymała się nasłuchując i ostatecznie stwierdziła, że dochodzi ono z gołębników na Wieży Wysokiej. Doniosła o wszystkim pani Boudetcie, która zarządzała kuchnią, i w końcu tajemnica się wyjaśniła. Trzy dziewczyny, brudne, przestraszone, zmarznięte i rozzłoszczone, zostały uwolnione z więzienia na wieży. Histerycznym tonem oskarżyły Madouc o wszystko, co im się przydarzyło.

- Chciała, żebyśmy się tu zagłodziły na śmierć!

- Tam było zimno, wiał wiatr i słyszałyśmy duchy!

- Byłyśmy przerażone! Zrobiła to specjalnie!

Pani Desdea i pani Marmone słuchały z kamiennymi twarzami, ale - szczerze mówiąc - nie za bardzo wiedziały, co zrobić, bowiem sprawa nie

była zupełnie jasna. Na dodatek, gdyby o sprawie dowiedziała się królowa, Madouc równie dobrze mogła przedstawić kontroskarżenia, wspominając choćby o martwej myszy w owsiance.

Koniec końców Chlodys, Ydraint i Devonet zostały zwięźle pouczone, że wchodzenie do opuszczonych gołębników nie przystoi wysoko urodzonym pannom.

Do tego czasu sprawa ze zgniłymi pigwami, wraz z zażenowaniem króla Casmira oraz wynikłą z tego karą otrzymaną przez Madouc, była trzymana w ścisłej tajemnicy. Teraz, poprzez jakieś pokątne źródło, wiadomość o tym dotarła do uszu sześciu panien, ku ich zachwytowi. Podczas haftowania Devonet odezwała się miękkim głosem:

- Cóż to musiał być za widok, kiedy Madouc była bita!
- Kopiająca i piszcząca, z gołym tyłkiem! - dodała cicho Chlodys, jakby zgorzozona na samą myśl.

- Czy tak rzeczywiście było? - drążyła temat Artwen.
- Naprawdę! - przytaknęła Devonet. - Nie słyszałaś tego żenującego wycia?

- Wszyscy to słyszeli - powiedziała Ydraint. - Tylko nikt nie wiedział, skąd pochodziło.

- A teraz wszyscy wiedzą - powiedziała Chlodys - że to Madouc była jak zarzynana świnia.

Elissia odezwała się z nieszczerym współczuciem w głosie:

- Księżniczko Madouc, nic nie mówisz. Czyżby nie odpowiadał ci temat naszej rozmowy?

- Ani trochę. Raczej bawią mnie te wasze żarty. Kiedyś je dla mnie powtórzycie.

- W jaki sposób? - zapytała nieco zbита z tropu Devonet.

- Wyobraźcie sobie, że pewnego dnia wyjdę za wielkiego króla i zasiądę na złotym tronie. Wtedy zawezwę was na mój dwór i wówczas zaprezentuję mi to „żenujące wycie”, które zdaje się wam sprawiać tyle radości.

Dziewczęta zamilkły czując się trochę nieswojo. Devonet pierwsza odzyskała pewność siebie. Zaśmiała się pod nosem.

- To wcale nie jest takie pewne, a nawet mało prawdopodobne, byś kiedykolwiek poślubiła króla. Przecież nie masz żadnego rodowodu! Chlodys, czy księżniczka Madouc ma rodowód?

- Żadnego rodowodu, biedne dziecko.

- Co to jest rodowód? - zapytała niewinnie Madouc.

Devonet znowu się zaśmiała.

- To coś, czego nie masz! Być może nie powinnyśmy były ci tego mówić, ale prawda jest prawdą! Nie masz ojca! Elissio, kim jest dziewczę, które nie ma ojca?

- Bękartem.

- Otóż to! Przykro mi to mówić, ale księżniczka Madouc jest bękartem i nikt nigdy nie będzie chciał się z nią ożenić!

Chlodys z przesadą wzruszyła ramionami.

- Cieszę się, że nie jestem bękartem.

- Ależ wy się mylicie - zaprzeczyła słodziutkim głosem Madouc. - Mam ojca. On nie żyje, to prawda, tak samo zresztą jak moja matka.

- Być może nie żyje, być może nie - odparła z lekceważeniem Devonet. - Wrzucili go do lochu, gdzie znajduje się po dziś dzień. Był włóczęgą i nikt się nawet nie trudził, aby zapytać go o imię.

- W każdym razie - powiedziała Chlodys - nie masz rodowodu i nigdy nie wyjdiesz za męż. To przykra wiadomość, ale lepiej, abyś się o tym dowiedziała już teraz; będziesz się mogła przyzwyczaić do tej myśli.

- Racja - przyznała Ydraint. - Mówimy ci o tym, bo naszym obowiązkiem jest mówić ci prawdę.

- Co właśnie zrobiłyśmy! - oświadczyła Devonet.

- Nie wierzę wam! - krzyknęła Madouc. - Mój ojciec był wysoko urodzonym szlachcicem! Przecież jestem jego córką, jakże więc mogłoby być inaczej?

Devonet zmierzyła Madouc od stóp do głów, po czym powiedziała:

- Bardzo prosto.

III

Madouc nie była zupełnie pewna, co znaczyło słowo „rodowód”. Słyszała je wcześniej raz czy dwa, ale nigdy jej tego dokładnie nie wyjaśniono. Kilka dni później szcztokowała w stajni swego kuca, Tyfera. Nie opodal stało dwóch dżentelmenów i dyskutowało na temat konia i jego świetnego rodowodu. Koń, czarny ogier, miał coś dobrze wywieszzonego, ale nie to zdawało się mieć tu decydujące znaczenie, a z pewnością nie w sposób, który interesował Madouc. Devonet i inne panny nie oczekiwały zapewne od niej, aby zajmowała się czymś takim.

Wszystko to wprawiało ją w zakłopotanie. Być może mężczyźni rozmawiali o końskim ogonie. Z tego samego powodu co poprzednio Madouc odrzuciła takie wyjaśnienie. Postanowiła nie snuć dalszych domysłów, ale dowiedzieć się czegoś konkretnego przy pierwszej lepszej sposobności.

Madouc utrzymywała całkiem niezłe stosunki z księciem Cassandrem, jedynym synem króla Casmira i pretendentem do tronu i korony Lyonesse. Cassander z upływem lat wyrósł na postawnego młodzieńca. Był raczej krzepkiej budowy ciała, pod gęstymi, jasnymi lokami widniała zaokrąglona twarz o wyrazistych rysach i dużych, błękitnych oczach. Po ojcu odziedziczył, a może przejął od niego, typowe gesty i nawyk rozkazywania. Po Sollace miał jasną cerę, drobne ręce i stopy oraz łagodniejszy i bardziej giętki charakter niż król Casmir.

Madouc znalazła Cassandra siedzącego samotnie w oranżerii i piszącego coś piórem na pergaminie. Przystanęła i przyglądała mu się przez chwilę. Czyżby tracił siły na poezje? Pieśni? Odę miłosną? Cassander uniósł wzrok i napotkał spojrzenie Madouc. Odłożył pióro i wrzucił pergamin do pudła.

Madouc podeszła powoli. Cassander był raczej w dobrym humorze i przywitał się z Madouc żartobliwie:

- Witaj, witaj mi, Furio mszcząca się na zamku, przyodziana w blask piorunów i błyskawic! Kogóż następnego osiągnie twa karząca ręka? A raczej, powinienem powiedzieć, uderzenie twych nadgniłych pigw?

Madouc uśmiechnęła się i usiadła na ławce obok Cassandra.

- Jego Królewska Mość wydał ściśle rozkazy. Nie mogę więcej robić tego, co powinno być zrobione. - Westchnęła. - Postanowiłam być posłuszna.

- To mądra decyzja.

Madouc ciągnęła dalej zamyślnym głosem:

- A można by pomyśleć, że jako księżniczka mam prawo do rzucania pigwami w takim kierunku, w jakim tylko zechcę.

- Tak mogłoby się wydawać, ale takie postępowanie nie jest uznawane za przyzwoite, a obowiązkiem księżniczki należącej do rodziny królewskiej jest zachowanie zgodne z etykietą.

- A czy moja matka, księżniczka Suldrun, zachowywała się tak, jak przystało na księżniczkę?

Cassander uniósł brwi i zdziwiony spojrział na Madouc.

- Cóż to za dziwne pytanie? Co powinienem ci odpowiedzieć? Jeśli mam być szczery, nie zachowywała się tak ani trochę.

- Dlatego, że mieszkała sama w ogrodzie? Czy dlatego, że urodziła mnie nie będąc mężatką?

- Żadne z tych poczynań nie jest uznawane za przyzwoite.

Madouc ściągnęła usta.

- Chcę wiedzieć o niej więcej, ale nikt nie chce mi powiedzieć. Dlaczego to taka tajemnica?

Cassander zaśmiał się ponuro.

- Jest to tajemnica, bo nikt nie wie, co tam się działo.

- Powiedz mi, co wiesz o moim ojcu.

- Nie mogę ci powiedzieć prawie nic, bo sam niewiele wiem. - Odparł Cassander ważąc słowa: - W każdym razie był przystojnym młodym włóczęgą, który trafił na Suldrun, gdy mieszkała w ogrodzie, i wykorzystał jej samotność.

- Może ucieszyło ją jego towarzystwo.

- Suldrun zachowywała się nieprzystojnie i tylko to można o niej powiedzieć - odrzekł z nieprzekonującą pruderią Cassander. - Ale jego zachowanie było skandaliczne! Zakpił sobie z naszej królewskiej godności i zasłużył na swój los.

Madouc zastanowiła się.

- To bardzo dziwne. Czy Suldrun skarżyła się na zachowanie mojego ojca?

Cassander zmarszczył brwi.

- W żadnym razie! Ta nieszczęsniczka zdawała się go kochać. Ale sza! Niewiele wiem o tej sprawie, poza tym że to zakonnik Umphred znalazł tych dwoje i powiadomił o tym Jego Królewską Mość.

- Mój biedny ojciec został straszliwie ukarany - powiedziała Madouc. - Zupełnie nie rozumiem dlaczego.

- Powód jest oczywisty! - W głosie Cassandra znowu dało się zauważyć cnotliwy ton. - Trzeba było dać temu lajdakowi porządną lekcję, żeby zniechęcić wszystkich jemu podobnych.

- Więc on nadal żyje? - zapytała Madouc z nagłym drżeniem w głosie.

- W to raczej wątpię.

- Gdzie jest ta dziura, do której go wrzucono?

Cassander wskazał kciukiem kierunek za swoimi plecami.

- Pomiędzy skałami za Peinhadorem. Ten loch ma sto stóp głębokości, a na jego dnie znajduje się mała ciemna cela. Tam właśnie kończą najgorsi zbrodniarze i wrogowie naszego państwa.

Madouc spojrzała na wzgórze, gdzie zza Muru Gwiazdowego Zoltry wylaniały się szare dachy Peinhadoru.

- Mój ojciec nie był nikim takim.

Cassander wzruszył ramionami.

- Taki był królewski wyrok, bez wątplenia właściwy.

- Ale przecież moja matka była królową! Nie zakochałaby się w kimś, kto tylko wyłoniłby się zza muru.

Cassander znowu wzruszył ramionami dając znak, że pojęcie tego przekracza jego możliwości.

- Tak by to mogło wyglądać. Gwarantuję ci to. Ale kto wie? Królowa czy też nie, Suldrun była dziewczyną, kobietą, a te są zmienne jak puch na wietrze! Tak przynajmniej wnoszę z własnych doświadczeń.

- Być może mój ojciec pochodził z wysokiego rodu - rozmarzyła się Madouc. - Nikt nie zadał sobie trudu, aby go o to zapytać.

- To mało prawdopodobne - powiedział Cassander. - Był głupim młodym huncwotem, który dostał to, na co zasłużył. Nie przekonałem cię? Takie jest prawo natury! Każdy rodzi się na właściwej sobie pozycji, którą musi zachować, chyba że król za zasługi wojenne obdarzy go honorami. Żaden inny system nie jest właściwy ani naturalny.

- A co wobec tego ze mną? - zmartwionym głosem zapytała Madouc. - Gdzie jest mój „rodowód”?

Cassander roześmiał się.

- Kto wie? Przyznano ci status księżniczki, to powinno wystarczyć.

Madouc nadal nie była usatysfakcjonowana.

- Czy mojego ojca wsadzono do lochu razem z jego „rodowodem”?

Cassander zachichotał.

- Jeśli w ogóle jakiś miał.

- Ale co to jest? Coś w rodzaju ogona?

Cassander nie mógł dłużej powstrzymać opanowującej go wesołości. Madouc wzburzona zerwała się na równe nogi i odeszła.

IV

Rodzina królewska z Haidionu często udawała się na przejażdżki po okolicy. Towarzyszono królowi w łowach, zabawach z sokołami lub po prostu uprzyjemniano sobie czas pobytem na wsi. Król Casmir zwykle jechał na

swym czarnym ogierze Sheuwanie, natomiast Sollace dosiadała łagodnej, białej klaczy lub równie często zajmowała miejsce w wyłożonym poduszkami powozie. Książę Cassander jeździł na zadziornym dereszku Gildrupie, a księżniczka Madouc kłusowała radośnie tu i tam na swym cętkowanym kucu Tyferze.

Madouc zauważyła, że wiele wysoko urodzonych dam było zauroczonych swymi rumakami i często odwiedzało stajnie, aby pogłaskać ulubieńców i obdarować ich łakociami lub jabłkami. Madouc zaczęła robić podobnie, ku zadowoleniu Tyfer przynosząc mu marchewki i rzepy. Unikała tym samym nadzoru pani Desdei i pani Marmone oraz towarzystwa sześciu panien.

Chłopiec stajenny opiekujący się Tyferem miał na imię Pymfyd. Był to niewysoki chłopak dwunasto- lub trzynastoletni, silny i chętny do pracy, o szczerym wyrazie twarzy i niezwykle uprzejmy. Madouc przekonała go, że został również wyznaczony na jej osobistego służącego, mającego pomagać jej zawsze, kiedy tylko zajdzie potrzeba. Pymfyd bez wahania zgodził się na taki układ, który zdawał się zapowiadać dlań jeden szczebel wyżej w dworskiej hierarchii.

Pewnego wczesnego popołudnia, kiedy na niebie wisiały nisko chmury, a w powietrzu pachniało deszczem, Madouc narzuciła szarą pelerynę z kapturem i wyślizgnęła się do stajni. Wezwała Pymfyda odrywając go od pracy przy naprawie widel.

- Chodź, Pymfydzie! Mam do załatwienia sprawę, która zajmie mi około godziny i potrzebne mi jest twoje towarzystwo.

- Cóż to za sprawa, Wasza Wysokość? - zapytał nieco podejrzliwie Pymfyd.

- W swoim czasie dowiesz się wszystkiego, co potrzebne. Chodź już! Dzień jest krótki, a czas szybko ucieka, kiedy ty tu marudzisz.

- Czy będziesz potrzebowała Tyfera, pani? - mruknął ponuro Pymfyd.

- Nie dzisiaj. - Madouc odwróciła się. - Chodź!

Pymfyd trochę niepewnie odstawił widły i ruszył za nią chwiejnym krokiem.

Madouc maszerowała w górę ścieżką, która prowadziła na tyły zamku, a Pymfyd człapał za nią.

- Dokąd idziemy? - zapytał.

- Wkrótce się dowiesz.
- Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość - burknął Pymfyd.

Ścieżka skręciła w lewo w kierunku Sfer Arct. Tu księżniczka odbiła w prawo, wspięła się na wzgórze ciągnące się wzdłuż ścieżki, którego kamienne zbocze prowadziło tuż pod mury wyłaniającego się nad nimi Peinhadoru.

Pymfyd próbował słabo protestować, co Madouc zupełnie zignorowała. Wspinała się dalej do góry, w kierunku północnej ściany Peinhadoru. Pymfyd, zadyszany i przestraszony, rzucił się szybciej do przodu i dogonił Madouc.

- Księżniczko, dokąd nas prowadzisz? Za tymi ścianami siedzą w lochach zbrodniarze!

- Pymfydzie, czy jesteś zbrodniarzem?
- W żadnym razie!
- To nie musisz się niczego obawiać!
- Wręcz przeciwnie. To niewinni najczęściej dostają najsilniejsze baty.
- Pozwól, że to ja będę się martwić i przestań marudzić.
- Wasza Wysokość, sugeruję...

Madouc zmusiła go, by wytrzymał cały ciężar jej niebieskookiego spojrzenia.

- Ani słowa więcej, jeśli łaska. Pymfyd machnął rękami.
- Jak sobie życzysz, pani.

Madouc odwróciła się z godnością i ruszyła dalej w górę wzdłuż kamiennych ścian Peinhadoru. Pymfyd włókł się za nią z ponurą miną.

Księżniczka zatrzymała się przed węglem gmaszyska i zlustrowała przestrzeń na tyłach Peinhadoru. Na przeciwległym końcu, w odległości jakichś pięćdziesięciu jardów, stała masywna szubienica oraz parę innych urządzeń o ponurym przeznaczeniu, trzy żelazne słupy do przypalania niegodziwców, palenisko i rożen. Trochę bliżej, w odległości paru jardów, na skraju pokrytego brukiem placu Madouc odkryła to, w poszukiwaniu czego tu przybyła. Była to okrągła kamienna studnia średnicy około pięciu stóp.

Powoli, krok po kroku, wbrew niezrozumiałym pomrukowi protestu ze strony Pymfydy przeszła przez plac do kamiennego obmurowania i spojrzała w dół, w czarną czeluść. Nasłuchiwała, ale nic nie usłyszała. Wysokim, donośnym głosem, który mógł być usłyszany na dole, zawołała:

- Ojcze! Czy mnie słyszysz? - Nasłuchiwała, lecz żaden dźwięk nie dobiegł z czeluści. - Ojcze, jesteś tam? To ja, Madouc, twoja córka!

Pymfyd, przerażony poczynaniami Madouc, podbiegł do niej.

- Co robisz? Takie zachowanie nie przystoi ani tobie, ani mnie.

Ona jednak nie zwracała na niego uwagi. Przechylając się nad otworem zawołała ponownie:

- Czy mnie słyszysz? To było bardzo dawno! Czy jeszcze żyjesz? Proszę, odezwij się do mnie! To ja, twoja córka, Madouc!

Z ciemności zionęło jedynie niezmaconą ciszą.

Pymfyd nie był obdarzony wybujałą wyobraźnią, jednakże pojął, iż nie była to zwykła cisza, ale raczej że ci, co słuchali na dole, wstrzymywali oddechy. Złapał Madouc za ramię i zduszonym głosem wyszeptał jej do ucha:

- Księżniczko, tutaj aż śmierdzi duchami! Posłuchaj uważnie, a usłyszysz, jak chichoczą tam na dole.

Madouc wyciągnęła głowę i nasłuchiwała.

- Nie słyszę żadnych duchów.

- Nie słuchasz we właściwy sposób! Chodźmy stąd, zanim pomieszają nam zmysły!

- Nie bzdurz tak, Pymfydzie! Król Casmir wrzucił do tej dziury mojego ojca, a ja muszę się dowiedzieć, czy on jeszcze żyje.

Pymfyd spojrział do lochu.

- Tam na dole nic nie żyje. Zresztą to sprawa króla i nie możemy się do tego wtrącać.

- Wcale nie! Czyż to nie mój ojciec został tam wrzucony?

- To bez znaczenia. Bez wątpienia nie żyje.

Księżniczka skinęła smutno głową.

- Tego się obawiam. Ale podejrzewam, że zostawił tam coś, co mogłoby zdradzić jego imię i rodowód. Jeśli nic innego mi nie pozostaje, chociaż tego chciałabym się dowiedzieć.

Pymfyd zdecydowanie potrząsnął głową.

- To niemożliwe, a teraz już chodźmy.

Madouc zupełnie go nie słuchała.

- Popatrz, Pymfydzie! Na tamtej szubienicy wisi lina. Za jej pomocą opuszczę cię na dół. Światło nie jest zbyt dobre, ale będziesz musiał się rozejrzeć, czy coś po nim nie pozostało.

Pymfyd gapił się na nią z rozdziawionymi ustami.

- Czy ja dobrze słyszałem? - wykrztusił wreszcie. - Zamierzasz mnie spuścić do tej dziury? To zupełnie bezsensowny Pomysł!

- Chodź, Pymfydzie, szybko. Zależy ci z pewnością na mojej przychylności! Pobiegnij do tej szubienicy i przynieś linę.

Na kamieniach zaszeleściły kroki. Odwrócili się gwałtownie i ujrzeni nad sobą olbrzymi, czarny cień. Pymfyd wstrzymał oddech. Madouc otworzyła usta ze strachu.

Ciemny kształt podszedł bliżej. Rozpoznała Zerlinga, głównego kata. Zatrzymał się i stanął na rozstawionych nogach z ramionami założonymi na plecy.

Dotychczas widziała Zerlinga jedynie z dużej odległości, a na wspomnienie tego widoku zawsze dostawała gęsiej skórki. Teraz stał tuż obok i spoglądał na nią, a ona wpatrywała się w niego z przerażeniem. Z bliska powierzchowność Zerlinga wcale nie sprawiała lepszego wrażenia. Był masywny i muskularny, przysadzisty i szeroki. Miał twarz o dość topornych rysach, o dziwnym brązowo-czerwonym kolorze skóry, otoczoną równo przyciętymi, czarnymi włosami i czarną brodą. Był ubrany w luźne spodnie z czarnej skóry i czarną skórzaną, kamizelę. Na głowie miał naciągniętą na same uszy okrągłą skórzaną czapkę. Spoglądał to na Madouc, to na Pymfyda.

- Tu dokonuje się ponurych czynów. Po co tu przyszliście? To nie jest miejsce na wasze zabawy.

Madouc odpowiedziała wyraźnie drżącym głosem:

- Nie przyszłam tu dla zabawy.

- Ha! - rzekł Zerling. - Jakikolwiek miałabyś powód, księżniczko, radzę abyś odeszła natychmiast.

- Jeszcze nie! Przyszłam tu w pewnym celu.

- I cóż to za cel?

- Chcę wiedzieć, co stało się z moim ojcem.

Zerling ściągnął brwi zakłopotany.

- A któż to był? Nie przypominam sobie.

- Musisz go pamiętać. Kochał moją matkę, księżniczkę Suldrun. Za karę król rozkazał wrzucić go do tego właśnie lochu. Jeśli nadal żyje, chcę o tym wiedzieć, abym mogła błagać Jego Królewską Mość o miłosierdzie.

Z głębi zerlingowej piersi wydobył się posepny śmiech.

- Krzycz do tej dziury, ile ci się podoba, w dzień i w nocy! Nie usłyszysz żadnego szeptu, nawet westchnienia.

- Czy on nie żyje?

- Został tam wrzucony dawno temu - powiedział Zerling. - A tam, w ciemnościach, ludziom nie chce się zbytnio żyć. Tam jest zimno i wilgotno, i nie pozostaje nic innego, jak tylko żałować własnych występków.

Księżniczka spojrzała na studnię ze zmartwioną miną.

- Jaki on był? Czy pamiętasz?

Zerling spojrzał przez ramię.

- Nie do mnie należy zauważać, pytać ani pamiętać. Ścinam głowy i łamię kołem. Kiedy jednak wracam wieczorami do domu, staję się zupełnie innym człowiekiem i nie jestem w stanie zabić nawet kurczaka na obiad.

- No dobrze, ale co z moim ojcem?

Zerling raz jeszcze spojrzał przez ramię.

- Być może nie powinienem tego mówić, ale twój ojciec dopuścił się straszliwej zbrodni...

Madouc przerwała mu płaczliwie:

- Ja nie mogę myśleć o tym w ten sposób, gdyż w przeciwnym wypadku nie byłoby mnie tutaj.

Zerling zamrugął.

- Te sprawy przekraczają moje możliwości pojmowania. Wyładowuję energię wypruwając skazańcom wnętrzności i obsługując szubienicę. Sprawiedliwość królewska, z samej swojej natury, jest zawsze prawidłowa. Muszę przyznać, że w tym wypadku zastanawiałem się nad srogością wyroku, gdyż wystarczającym zdawałoby się zwykłe obcięcie uszu i nosa oraz parę ukąszeń węża.

- I mnie się tak wydaje - powiedziała Madouc. - Czy rozmawiałeś z moim ojcem?

- Nie przypominam sobie żadnej takiej rozmowy.

- Jak miał na imię?

- Nikt nie zadał sobie trudu, aby go o to zapytać. Zapomnij o tym, to moja najlepsza rada.

- Ale ja chcę poznać swój rodowód. Każdy ma jakiś, tylko nie ja.

- Nie znajdziesz rodowodu w tej strasznej dziurze! Znikaj więc, zanim powieszę Pymfyda za palce u nóg, aby zaprowadzić porządek!

- Chodźmy już, Wasza Wysokość! - zawołał Pymfyd. - Nic więcej nie da się zrobić!

- Ale zupełnie nic nie osiągnęliśmy!

Pymfyd, który znajdował się już poza zasięgiem głosu, nic nie odpowiedział.

V

Pewnego jasnego poranka Madouc przeszła żwawo głównym korytarzem Haidionu i weszła do westybulu. Spoglądając przez otwarte drzwi na frontowy taras, zauważyła księcia Cassandra. Opierał się o balustradę, spoglądał na leżące poniżej miasto i zjadał ze srebrnego półmiska fioletowe śliwki. Księżniczka spojrzała szybko przez ramię, a potem przebiegła przez taras i przyłączyła się do niego.

Cassander spojrział na nią z ukosa, najpierw bez większej uwagi, później tak zdziwiony, że aż uniół brwi.

- Na dziewięć nimf Astarte! - zawołał. - Cóż to za cudo?!
- Co takiego? - zapytała Madouc. - Czy to, że przyszłam tu do ciebie?
- Oczywiście, że nie! Mam na myśli twój strój!

Spojrzała obojętnie na siebie. Miała skromną, białą sukienkę, z wyhaftowanymi zielonymi i niebieskimi kwiatami, a biała, wstążka spinała jej miedzianozłote loki.

- Jest dość przyzwoity, jak sądzę.

Cassander odparł z przesadnym podziwem:

- Widzę przed sobą nie dzikookiego kundla uciekającego z bójki ulicznej, ale pełną gracji i delikatności księżniczkę! Doprawdy, jesteś niemal śliczna!

Madouc zaśmiała się złośliwie.

- To nie moja wina. Ubrali mnie tak porządniutko, abym wyglądała przyzwoicie na balu kotyliionowym.

- I to jest aż tak niechlubne?
- Zupełnie, wzięwszy pod uwagę, że wcale mnie tam nie będzie.
- Ach! Bardzo się narażasz! Doprowadzisz panią Desdeę do furii.
- Musi się nauczyć postępować rozsądniej. Jeśli tak lubi tańce, to jej sprawa. Mnie jest wszystko jedno. Może skakać, wymachiwać nogami i biegać w kółeczku, dopóty, dopóki ja będę mogła robić co innego. Wtedy będzie postępowała rozsądnie!

- Tylko że porządek spraw jest inny. Każdy musi się nauczyć właściwego dlań postępowania, nikt nie jest od tego zwolniony, nawet ja!

- Dlaczego więc nie ma cię na balu, czemu nie pocisz się i nie podskakujesz razem z innymi?

- Ja już swoje odpracowałem! Teraz twoja kolej.
- Nie dam się w to wrobić, i już, a pani Desdea musi to przyjąć do wiadomości.

Cassander zachichotał.

- Takimi buncikami łatwo zapracujesz na następne bicie.

Madouc markotnie skinęła głową.

- To bez znaczenia. Nie pisnę ani nie jęknę i szybko się znudzą taką zabawą.

Cassander roześmiał się jeszcze głośniej.

- Mylisz się całkowicie. W zeszłym tygodniu rozmawiałem na ten właśnie temat z mistrzem tortur. Utrzymuje on, że strachliwe typy, które szybko zaczynają wrzeszczeć i zawodzić, torturuje się najwygodniej. A dzieje się tak dlatego, że kat szybko czuje się usatysfakcjonowany robotą i ma świadomość, że dobrze się do niej przyłożył. Posłuchaj mojej rady! Parę cienkich wrzasków i jęków może oszczędzić twojej skórze porządnego bicia.

- Warto się nad tym zastanowić - powiedziała Madouc.

- Spojrzawszy z kolei z innego punktu widzenia, mogłabyś spróbować być miła i grzeczna, przez co zupełnie uniknęłabyś bicia.

Z powątpiewaniem potrząsnęła głową.

- Moja matka, księżniczka Suldrun, była miła i grzeczna, lecz i tak nie udało się jej uniknąć surowej kary, na którą ta biedna istota nigdy nie zasłużyła. Takie jest moje zdanie.

- Suldrun sprzeciwiła się rozkazom królewskim i mogła winić tylko siebie - powiedział wyważonym tonem Cassander.

- Mimo to, król dość srogo potraktował swoją własną córkę.

Cassander poczuł się nieswojo.

- Nie można kwestionować królewskiej sprawiedliwości.

Madouc przyjrzała mu się chłodno. Widząc to zmarszczyła brwi.

- Dlaczego tak mi się przyglądasz?

- Pewnego dnia ty będziesz królem.

- Być może tak się stanie, wołałbym jednak, aby to nastąpiło później niż wcześniej. Nie spieszy mi się do tej roli.

- Czy potraktowałbyś swoją córkę w taki sposób?

Cassander ściągnął usta.

- Postąpiłbym w sposób, który uznałbym za słuszny i przystający królowi.

- A gdybym nadal nie miała męża, czy próbowałbyś wydać mnie za jakiegoś paskudnie śmierdzącego księcia, unieszczęśliwiając mnie na resztę życia?

- Co to za bezsensowne pytania? - obruszył się Cassander. - Będziesz na wydaniu dużo wcześniej, niż ja przejmę koronę. Twoje małżeństwo zostanie zaaranżowane przez kogoś innego, nie przeze mnie.

- Niewielkie szanse - powiedziała pod nosem.

- Nie usłyszałem, co powiedziałaś?

- Nieważne. Czy chodzisz często do ogrodu, gdzie umarła moja matka?

- Nie byłem tam od lat.

- Zabierz mnie tam teraz.

- Teraz? Czyż nie powinnaś być na zabawie?

- Żadna inna chwila nie mogłaby być bardziej odpowiednia.

Cassander obejrzał się w stronę pałacu i nikogo nie widząc, nonszalantcko machnął ręką.

- Powiniennem się trzymać z dala od twoich wagarów, nie mam jednak nic lepszego do roboty. Chodźmy więc, póki pani Desdea o niczym nie wie. Nie lubię słuchać jej narzekań i utyskiwań.

- Nauczyłam się, jak najlepiej wtedy odpowiadać - odparła tonem znawcy. - Udaję zupełne zdumienie i zaskoczenie, tak że po chwili zmęczeni są moimi wyjaśnieniami i zapominają o całej reszcie.

- Ach, Madouc! Sprytna z ciebie dziewczyna! Chodź więc, zanim ktoś nas zauważy.

Udali się krążankami w kierunku Muru Zoltry, przeszli przez oranżerię, przez bramkę w murze i wydostali się na plac parad tuż przed Peinhadorem. Miejsce to znane było jako „Urquial”. Na prawo mur skręcał ostro na południe, a na jego zgięciu modrzewie i krzaki jałowca osłaniały murszejącą bramę z czarnego drewna.

Cassander, po długim namyśle, przecisnął się przez zarośla łamiąc gałązki i gniotąc owoce jałowca. Pchnął bramę i mruknął, gdyż zmurszałe deski stawily mu opór. Napał ramieniem z całej siły. Brama uchyliła się z ponurym jękiem zardzewiałych, żelaznych zawiasów. Cassander uśmiechnął się pod nosem ze zwycięstwa nad oporną bramą. Skinął na Madouc.

- Uwaga! Tajemniczy ogród!

Stali u wejścia do wąskiej dolinki, opadającej w dół aż do maleńkiego zakola plaży. Kiedyś ogród ukształtowano w klasycznym stylu arkadyjskim,

ale teraz był zarośnięty dzikimi drzewami i krzewami: dębami, drzewkami oliwnymi, wawrzynem i mirtą. Rosły tam również złotogłów, rozmaryn, naparstnica, fioletowy tymianek. W połowie drogi na plażę sterta zwalonych, marmurowych bloków i kilka stojących kolumn wskazywała miejsce, gdzie kiedyś znajdowała się rzymska willa. Jedyнным zachowanym w całości budynkiem była stojąca w pobliżu mała kapliczka, obecnie wilgotna, porośnięta mchem i pachnąca wilgotnymi kamieniami. Cassander wskazał na drzwi do kapliczki.

- Tam Suldrun chowała się przed niepogodą. Spędziła wiele samotnych nocy w tym maleńkim budyneczku. – Po czym dodał nieco złośliwie: - A także parę nocy nie tak samotnych, co kosztowało ją wiele żalu i zgryzoty.

Madouc zamrugnęła, bo oczy wypełniły się jej łzami. Odwróciła się.

- To było tak dawno; nie możesz wciąż jej oplakiwać - odezwał się Cassander.

- To była moja matka, której nigdy nie poznałam, a mój ojciec został skazany na śmierć w głębokim lochu! Jak mogłabym tak łatwo zapomnieć?

Cassander wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Mogę cię jedynie zapewnić, że marnujesz uczucia. Czy chciałabyś zobaczyć coś jeszcze w tym ogrodzie?

- Chodźmy tą ścieżką i zobaczmy, dokąd nas zaprowadzi.

- Wije się tu i tam, a kończy się na plaży. Suldrun spędzała dni wykładając ją kamykami zebranych na brzegu morza. Deszcze wszystko rozmyły. Niewiele z jej pracy się ostało, z jej życia też zresztą nie więcej.

- Poza mną.

- Poza tobą! To z pewnością doniosłe osiągnięcie!

Księżniczka zignorowała jego rubasność, która wydawała się jej raczej w słabym guście.

- Właściwie wcale nie jesteś do niej podobna - stwierdził zamyślony Cassander. - Oczywiście jest więc, że musisz przypominać swojego ojca, kimkolwiek lub czymkolwiek był.

- Skoro moja matka go pokochała, musiał być szlachetną, wysoko urodzoną osobą! - odparła wzruszona Madouc. - A mimo to nazywają mnie „bękartem” i utrzymują, że nie mam żadnego rodowodu.

Cassander zmarszczył brwi.

- Kto dopuszcza się takich niegrzeczności?

- Moje sześć panien do towarzystwa.
- Cassander był zaszokowany.
- Doprawdy!? Wszystkie sprawiają takie słodkie i miłutkie wrażenie, a szczególnie Devonet.
 - Ona jest najgorsza, to paskudna zmija.
- Cassander ochłonął już z najgorszego gniewu.
- No cóż, dziewczynki potrafią być czasami złośliwe. Temu, niestety, nie da się zaprzeczyć. Czy chcesz iść jeszcze dalej?
- Madouc zatrzymała się.
- Czy Suldrun nie miała żadnych przyjaciół, którzy mogliby jej pomóc?
 - Nikt nie ośmieliłby się sprzeciwić królowi. Czasami tylko przychodził tu zakonnik Umphred. Mówił, że chce ją ochrzcić.. Podejrzewam jednak, że chciał czegoś zupełnie innego, czego mu bez wątpienia odmówiono. Być może dlatego właśnie wydał ją królowi.
 - Więc to ksiądz Umphred był zdrajcą.
 - Przypuszczam, że postąpił tak, myśląc, iż spełnia swój obowiązek.
- Księżniczka kiwała głową zapamiętując nowe informacje.
- Dlaczego tu została? Ja przelazłabym przez mur i w ciągu godziny by mnie tu nie było.
 - Znając cię, jestem w stanie w to uwierzyć. Suldrun jednak, jak pamiętam, była nieśmiała, cicha.
 - Nie musiała tu jednak zostać. Nie miała w sobie chęci życia?
- Cassander zastanowił się.
- Podejrzewam, że zawsze miała nadzieję na to, iż ojciec jej przebaczy. A co by się stało, gdyby uciekła? Nie potrafiła żyć w brudzie i głodzie, nie zniosłaby zimnego wiatru w nocy ani pewnego gwałtu.
- Madouc nie była pewna znaczenia ostatniego słowa.
- Co to jest gwałt?
- Cassander wyjaśnił jej pobieżnie. Ściągnęła usta.
- To obrzydliwe zachowanie. Gdyby próbowano tego ze mną, nie zniosłabym tego ani przez chwilę i z pewnością powiedziałabym w ostrych słowach, co o tym myślę.
 - Suldrun również nie przypadłoby to do gustu - powiedział Cassander.
- I tak kończy się historia, po której nie pozostało nic poza wspomnieniami i księżniczką Madouc. Czy napatrzyłaś się już na ten stary ogród?

Madouc rozejrzała się.

- Tu jest bardzo cicho i dziwnie. Wydaje się, że świat jest tak daleko. W świetle księżycy musi tu być bardzo smutno i tak pięknie, że aż serce mogłoby człowiekowi pęknąć. Nie chcę tu już nigdy wracać.

VI

Służka poinformowała panią Desdeę o powrocie Madouc do pałacu w towarzystwie księcia Cassandra.

Pani Desdea była zaskoczona. Miała zamiar dać niezłą burę tej małej wydrze, a potem zarządzić sześć karnych godzin lekcji tańca. Jednakże udział w sprawie księcia Cassandra wszystko zmieniał. Ukaranie jej byłoby wyrazem krytyki w stosunku do księcia, a pani Desdea nie była skłonna podjąć takiego ryzyka. Pewnego dnia Cassander zostanie królem, a królowie mieli wyjątkowo dobrą i długą pamięć.

Pani Desdea zawróciła i wmaszerowała do salonu królowej, gdzie zastała Sollace rozłożoną na poduszkach, podczas gdy ojciec Umphred czytał jej ze zwoju łacińskie psalmy. Sollace nic nie rozumiała, ale głos ojca Umphreda działał na nią kojąco, a do tego uprzyjemniała sobie czas twaróżkiem przyprawionym miodem.

Pani Desdea czekała z boku niecierpliwie, aż ojciec Umphred skończy czytać, a potem w odpowiedzi na pytające skinienie Sollace zrelacjonowała ostatni wybryk Madouc.

Sollace słuchała obojętnie, cały czas wybierając twaróg z miseczki.

- Jestem oburzona! - ciągnęła rozdrażnionym tonem pani Desdea. - Zamiast zachowywać się zgodnie z moimi poleceniami, poszła się włóczyć z księciem Cassandrem, nie biorąc zupełnie pod uwagę planu zajęć. Gdyby nie była księżniczką, można by pomyśleć, że jest opętana przez jakiegoś chochlika, bazyliuszka lub innego złośliwego ducha. To dziecko jest takie nieznośne!

Królowa Sollace nadal nie okazywała większego zainteresowania.

- Jest nieco krnąbrna, co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

- Jestem u kresu sił! - Głos pani Desdei zmienił się w cienki pisk. - Ona nawet nie zadaje sobie trudu, aby mi się przeciwstawić; po prostu nie

zwraca na mnie uwagi. Równie dobrze mogłabym mówić do ściany.

- Porozmawiam z nią dzisiaj po południu – powiedziała królowa Sollace. - A może jutro, jeśli się zdecyduje ją zbić. Obecnie mam kilka innych spraw na głowie.

Ojciec Umphred odchrząknął.

- Czy Wasza Królewska Mość pozwoli, bym jej coś zasugerował?

- Oczywiście. Cenię sobie twoje rady!

Ojciec Umphred zetknął razem opuszki palców.

- Pani Desdea mówiła o możliwości obcego, diabelskiego wpływu na dziecko. Biorąc jednak wszystko pod uwagę myślę, że to niemożliwe, choć nie jest niewyobrażalne, a Kościół Święty potwierdza takie wpływy. W ramach ostrożności proponowałbym, aby ochrzcić księżniczkę Madouc i uczyć ją zasad wiary. Praktyki religijne, medytacje i modlitwy delikatnie, lecz skutecznie nauczą ją cnót posłuszeństwa i pokory, które od tak dawna próbujemy jej wpoić.

Królowa Sollace odstawiła pustą miseczkę.

- Nie jest to zła myśl, ale wątpię, aby okazała się porywająca dla księżniczki Madouc.

Ojciec Umphred uśmiechnął się.

- Dziecko nie potrafi docenić tego, co czyste i dobre. Gdyby się okazało, że na zamku księżniczka jest zbyt rozkojarzona, można ją wysłać do klasztoru w Bulmer Skeme. Matka przełożona potrafi być skrupulatna i wymagająca, kiedy trzeba.

Królowa Sollace ponownie opadła na poduszki.

- Porozmawiam na ten temat z królem.

Sollace odczekała, aż król Casmir zje kolację, a wino złagodzi jego temperament. Potem, niby przypadkowo, wspomniała o Madouc.

- Czy słyszałeś ostatnie wieści? Madouc nie zachowuje się odpowiednio do naszych oczekiwań.

- Ba! - burknął Casmir. - Ta sprawa nie należy do istotnych. Nudzi mnie ciągle wysłuchiwanie skarg na jej poczynania.

- Nie można tego jednak zlekceważyć. Ona świadomie i celowo zignorowała polecenie pani Desdei! Ojciec Umphred jest przekonany, że Madouc powinna zostać ochrzczona i uczyć się wiary chrześcijańskiej.

- Co? A cóż to za nonsens?

- To żaden nonsens - powiedziała Sollace. - Pani Desdea wychodzi z siebie ze złości. Podejrzewa, że księżniczka jest opętana lub coś podobnego.

- Absurd! Dziewczynka ma po prostu zbyt dużo energii. - Z różnych powodów Casmir nigdy nie powiedział Sollace o pochodzeniu Madouc ani nie wspomniał, że w jej żyłach płynie elfia krew. Rzekł szorstkim głosem: - Jest może nieco dziwna, ale bez wątplenia z tego wyrośnie.

- Ojciec Umphred jest przekonany, że potrzebne jest jej przewodnictwo duchowe, na co ja się zgodziłam.

Opanowanie Casmira sięgnęło krańca wytrzymałości.

- Stanowczo zbyt się spoufalasz z tym kapłanem! Odeślę go stąd, jeśli nie będzie trzymał swoich opinii dla siebie.

- Obchodzi nas jedynie zbawienie nieśmiertelnej duszy Madouc - odparła wyniośle Sollace.

- To mała sprytna istotka. Niech sama się troszczy o swoją duszę.

- No cóż - rzekła Sollace - ktokolwiek pojmie ją za żonę, dostanie znacznie więcej, niż będzie oczekiwał.

Casmir zaśmiał się lodowato.

- Masz zupełną rację, i to z więcej niż jednego powodu! W każdym razie za tydzień wyjeżdżamy do Sarris i wszystko się zmieni.

- Pani Desdea będzie miała więcej kłopotów niż zwykle - powiedziała Sollace pod nosem. - Madouc zacznie tam ganiać jak wiejska dziewczucha.

- Zatem pani Desdea będzie musiała udać się za nią w pościg, jeśli naprawdę przykłada się do swoich obowiązków.

- Banalizujesz problem - odparła Sollace. - Jeśli o mnie chodzi, już samo Sarris mężczy mnie wystarczająco, nie potrzebuję żadnych dodatkowych atrakcji.

- Wiejskie powietrze dobrze ci zrobi - rzekł Casmir. - Pobyt w Sarris dobrze zrobi nam wszystkim.

Rozdział 3

I

Każdego lata król Casmir z całą rodziną i dworem przenosił się do Sarris, starego, letniego pałacu znajdującego się około czterdziestu mil na północny wschód od miasta Lyonesse. Siedziba ta leżała nad rzeką Glame w przyjemnej okolicy pełnej przepięknych, leśnych zakątków. Samo Sarris nie było ani eleganckie, ani imponujące. Królowa Sollace uważała, że pałac ten jest znacznie gorzej wyposażony niż Haidion i dlatego nazywała go „przerośniętą stodołą”. Nie cierpiała również panującej tam atmosfery wiejskiej poufalości, która sprawiała, pomimo jej nieustannych wysiłków, że dworowi ubywało godności, a co więcej - służący strasznie się tam ociągali.

W Sarris niewiele było rozrywek poza nielicznymi bankietami wydawanymi przez króla Casmira dla miejscowej szlachty, której towarzystwo dla królowej Sollace było strasznie nużące. Często skarżyła się królowi na ogarniającą ją nudę.

- Krótko mówiąc, chłopski tryb życia ze zwierzętami ryczącymi za oknami mojej sypialni i kogutami piejącymi na alarm każdego ranka przed wschodem słońca nie sprawia mi żadnej przyjemności.

Król Casmir był głuchy na te skargi. Sarris było wystarczająco wyposażone, aby z niego władać państwem. Dla zabawy król polował z sokołami w pobliskich zagajnikach, a czasami, kiedy gonitwa była wyjątkowo pasjonująca, docierał aż do skraju puszczy Tantrevalles, znajdującej się tylko kilka mil na północ.

Pozostałym członkom rodziny królewskiej Sarris również przypadło do gustu. Książę Cassander znajdował tam wesołe towarzystwo do biesiad, a w ciągu dnia udawał się ze swymi towarzyszami na konne przejażdżki, pływał łodzią po rzece lub praktykował modne ostatnio potyczki na kopie. Wieczorami zaś wybierał bardziej towarzyskie gry, które wymagały obecności

wesołych dziewcząt, a odbywały się w opuszczonej chatce dozorca.

Księżniczka Madouc również była zadowolona z przeprowadzki, zwłaszcza że pozabiła ją ona towarzystwa sześciu panien dworu. W każdej chwili czekał na nią kucyk Tyfer, codziennie udawała się na przejażdżki po pobliskich polach, a Pymfyd towarzyszył jej jako giermek. Mimo to nie wszystko było takie cudowne, jako że wciąż oczekiwano od niej zachowania odpowiedniego dla jej pozycji. Ona jednak nie zwracała większej uwagi na polecenia pani Desdei i zabawiała się na swój sposób.

W końcu pani Desdea wzięła ją na bok w celu przedyskutowania całej sprawy.

- Moja droga, już czas, najwyższy czas, abyś uświadomiła sobie, jaka jest rzeczywistość. Musisz pogodzić się z faktem, że jesteś księżniczką Madouc z Lyonesse, a nie jakąś przeciętną, wiejską dziewczuchą, która nie ma żadnej pozycji ani żadnych obowiązków.

- Dobrze, pani Desdeo, zapamiętam to. Czy mogę już iść?

- Jeszcze nie. Zaledwie zaczęłam. Próbuję wyjaśnić, że wszelkie twoje poczynania odbijają się pozytywnie lub negatywnie nie tylko na tobie czy rodzinie królewskiej, ale na całym królestwie! Aż strach o tym myśleć! Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Tak, a jednak...

- A jednak co?

- Nikt poza tobą zdaje się nie zwracać uwagi na moje zachowanie. Nie ma więc chyba wielkiego znaczenia, co robię, skoro królestwo nie jest w niebezpieczeństwie.

- To ma wielkie znaczenie! - ucięła ostro pani Desdea. - Złych nawyków łatwo się nauczyć, trudniej się ich wyzbyć. Musisz wiedzieć, jak się zachowywać godnie i z gracją, aby cię uwielbiano i szanowano.

Madouc z powątpiewaniem skinęła głową.

- Nie sądzę, aby ktokolwiek kiedykolwiek uwielbiał moje hafty lub szanował mój taniec.

- Mimo to są to sztuki, które musisz opanować, i to dobrze. Czas płynie szybko. Dni mijają jak godziny, miesiące zamieniają się w lata, niemal niezauważalnie. Już wkrótce zaczną się rozmowy o wydaniu cię za mąż, a wtedy ty i twój sposób zachowania będą głównym przedmiotem nader wnikliwych obserwacji i szczegółowych ocen.

Księżniczka zrobiła lekceważącą minę.

- Jeśli ktokolwiek zacznie mnie obserwować, nie będzie musiał długo myśleć, aby się dowiedzieć, co o nim sądzi.

- Moja droga, to nie jest właściwe podejście do sprawy.

- To bez znaczenia. Nic mnie to nie obchodzi. Gdzie indziej będą musieli poszukać panien na wydaniu.

Pani Desdea zaśmiała się ironicznie.

- Nie bądź taka pewna siebie, szybko zmienisz zdanie. W każdym razie oczekuję, że zaczniesz się zachowywać, jak na grzeczną pannę przystało.

- To strata czasu.

- Czyżby? Dobrze to przemyśl. Kiedyś przyjedzie do Lyonesse szlachetny książę, mając nadzieję na ujrzenie skromnej i niewinnej księżniczki, pełnej wdzięku i delikatności. Zapyta wtedy: „Gdzie jest księżniczka Madouc, która jak się spodziewam, jest piękna, miła i dobra?” W odpowiedzi wskażą mu na okno i powiedzą: „Tam jest!” On spojrzy i zobaczy cię biegnącą jak dzikuska, z rozczochranymi włosami, o urodzie i wdzięku z piekła rodem. I co wtedy?

- Jeśli ten książę będzie miał dość oleju w głowie, wsiądzie na konia i natychmiast odjedzie. - Madouc wstała. - Czy już skończyłaś? Jeśli tak, będę szczęśliwa mogąc odejść.

- Idź.

Pani Desdea siedziała przez kilka minut zupełnie nieruchomo. Potem zerwała się gwałtownie na równe nogi i poszła do buduaru królowej. Zastała ją z rękami umazanymi papką ze zmielonej kredy i wyciągu z ziół, dzięki której spodziewała się złagodzić skutki korzystania z wiejskiej wody.

Królowa Sollace podniosła wzrok znad naczynia z miksturą.

- Cóż to, Ottillo! Cóż to za ponura twarz? Czy to rozpacz, desperacja czy też po prostu skurecz żołądka?

- Wasza Królewska Mość się myli. Właśnie rozmawiałam z księżniczką Madouc i muszę przedstawić dość rozczarowujące sprawozdanie.

Sollace westchnęła.

- Znowu? Zaczynają mnie opuszczać siły na dźwięk tego imienia. Ona jest w twoich rękach. Naucz ją właściwego zachowania na dworze, tańca i haftowania. To wystarczy. Za parę lat wydamy ją za mąż. A na razie musimy jakoś znieść te jej dziwactwa.

- Gdyby ona była tylko „dziwna”, jak raczyłaś zauważyć, Najjaśniejsza Pani, dałabym sobie z nią radę. Jednakże ona jest nieopierzoną trzpiotką,

zepsuta do szpiku kości. Pływa w rzece tam, gdzie ja nie odważyłabym się wejść, wchodzi na drzewa i chowa się przede mną pośród liści, jej ulubionym miejscem są stajnie, zawsze czuć od niej koniem. Nie wiem, jak nad nią zapanować.

Sollace wyciągnęła ręce z mikstury i oceniła, że więcej nie da się zrobić. Jej służąca zaczęła ścierać pastę, czym spowodowała krzyk Sollace:

- Uważaj, Nelda! W ten sposób odrzesz mnie żywcem ze skóry. Czy myślisz, że mam skórę grubą jak słoń?

- Przepraszam, Wasza Królewska Mość, będę uważniejsza. Twoje ręce, Najjaśniejsza Pani, są teraz naprawdę piękne.

Królowa Sollace przytaknęła.

- Dlatego właśnie męczyłam się z tym paskudztwem. Co mówiłaś, Ottillo?

- Co zrobimy z księżniczką Madouc?

Sollace spojrzała na nią szeroko otwartymi, nic nie rozumiejącymi oczyma.

- Niezupełnie rozumiem, co zbroiła tym razem.

- Jest nieznośna, lata wszędzie jak wróblisko i nie zawsze jest wystarczająco czysta. Na twarzy ma jakieś smugi i żdźbła trawy we włosach, jeśli tą rozczochraną rudą czuprynę w ogóle można nazwać włosami. Jest nieuważna, uparta, nieposłuszna i rozpuszczona.

Królowa Sollace znowu westchnęła i sięgnęła po winogrono z patery stojącej przy jej ramieniu.

- Przekaż jej, że jestem niezadowolona, i wyjaśnij jej, iż udobrucha mnie dopiero wtedy, gdy zacznie się zachowywać przyzwoicie.

- Mówiłam jej to już z dziesięć razy. Równie dobrze mogłabym mówić do ściany.

- Hm... Niewątpliwie nudzi się tutaj zresztą tak jak i ja. Ta wiejska atmosfera doprowadza wszystkich do szału. Gdzie są teraz te panienki, które towarzyszą jej tak ładnie na zamku? Są takie delikatne, słodkie i miłe. Madouc z pewnością skorzystałaby, mając je za przykład.

- Tak można by sądzić, gdyby była zwykłą dziewczynką.

Królowa Sollace wzięła kolejne winogrono.

- Wyślij po dwie lub trzy z tych panien. Poucz je, że mają w subtelny i dyskretny sposób wskazywać jej, jak należy się właściwie zachowywać. Czas szybko płynie, musimy już teraz myśleć o przyszłości.

- To prawda, Wasza Królewska Mość.
- Która to była, taka blondyneczka, śliczna i ujmująca? Jest taka, jaka byłam ja w jej wieku.
- To Devonet, córka księcia Malnoyarda Odo z zamku Folize.
- Niech przyjedzie do Sarris i jeszcze jedna z nią. Która to będzie?
- Albo Ydraint albo Chlodys. Myślę, że raczej Chlodys, która jest bardziej wytrwała. Zaraz wszystko zorganizuję. Proszę jednak nie oczekiwać żadnych cudów, Najjaśniejsza Pani.

Tydzień później Devonet i Chlodys przybyły do Sarris i zostały poinstruowane przez panią Desdeę. Powiedziała im szorstko:

- Wiejskie powietrze dziwnie zadziało na księżniczkę Madouc, co najmniej jak napój pobudzający, wnioskując po jej zachowaniu. Nic sobie nie robi z zasad dworskiej etykiety, jest też nieco rozkojarzona. Mamy nadzieję, że dobrze jej zrobi wasze towarzystwo, że poprawi się biorąc z was przykład i być może skorzysta z wyważonych porad.

Devonet i Chlodys poszły dołączyć do Madouc. Po długich poszukiwaniach zauważyły ją na czubku czereśni, zrywającą i jedzącą dorodne czerwone owoce.

Księżniczka nie ucieszyła się na ich widok.

- Myślałam, że na lato wróciłyście do domów. Czyżby już się tam wami znudzone?

- Wcale nie - z godnością odparła Devonet. - Przybyliśmy tu na zaproszenie, Jej Królewskiej Mości.

- Jej Królewska Mość sądzi, że potrzebne ci właściwe towarzystwo - dodała Chlodys.

- Ha! - rzuciła Madouc. - Nikt mnie nie zapytał, czy ja bym tego chciała.

- Mamy dawać ci dobry przykład - powiedziała Devonet. - Na początek chciałabym zauważyć, że wytworna dama nie chciałaby zostać znaleziona tak wysoko na drzewie.

- Wobec tego jestem prawdziwie wytworną damą - odparła Madouc - nie chciałam bowiem, aby mnie tu znaleziono.

Chlodys spojrzała łakomie na gałęzie.

- Czy te czereśnie są dojrzałe?

- Całkiem.

- A czy są dobre?

- Istotnie, są bardzo dobre.
- Skoro masz je pod ręką, mogłabyś zerwać też parę dla nas.

Madouc wybrała dwie czereśnie i rzuciła je w ręce Chlodys.

- Masz tu parę podziobanych przez ptaki.

Chlodys spojrzała na nie ze zmarszczonym nosem.

- Czy nie ma lepszych?
- Oczywiście. Musicie tylko tu wejść, żeby je sobie zerwać.

Devonet potrząsnęła głową.

- Nie chcę sobie pobrudzić ubrania.
- Jak chcecie.

Devonet i Chlodys odeszły na bok. Usiadły ostrożnie na trawie i zaczęły rozmawiać ściszonymi głosami. Od czasu do czasu spoglądały w stronę drzewa i chichotały, jak gdyby je coś niewymownie bawiło.

Madouc wkrótce zsunęła się po gałęziach i zeskoczyła na ziemię.

- Jak długo zostaniecie w Sarris?
- Jesteśmy tu, aby sprawić przyjemność królowej - odpowiedziała

Devonet. Zmierzyła Madouc wzrokiem od stóp po czubek głowy i wybuchnęła śmiechem.

- Masz na sobie spodnie!
- Gdybyście zobaczyły mnie na drzewie bez nich, miałybyście znacznie więcej powodów do krytycyzmu - odparła lodowatym tonem.

Devonet zaraz jej wytknęła:

- Teraz, kiedy jesteś już na ziemi, powinnaś pójść się przebrać. Znacznie lepsza byłaby jakaś sukienka.

- Nie, jeśli zdecyduję się na godzinę lub dwie wybrać na przejażdżkę z Tyferem.

Devonet zamrugwała ze zdziwienia.

- Och, a dokąd byś pojechała?
- Gdziekolwiek. Być może nad rzekę.
- Kto to jest Tyfer? - zapytała Chlodys, z lekkim napięciem w głosie.

Madouc spojrzała na nią ze zdziwieniem szeroko otwartymi błękitnymi oczyma.

- Co za dziwne myśli muszą ci się snuć po głowie. Tyfer to mój koń. Czym innym mógłby być?

Chlodys zachichotała.

- Trochę mnie zmyliłaś.

Madouc odwróciła się bez słowa komentarza.

- Dokąd idziesz? - zawołała za nią Devonet.
 - Do stajni.
- Devonet wykrzywiła swą śliczną buzię.
- Nie chcę iść do stajni. Chodźmy gdzieś indziej.
 - Mogłybyśmy usiąść w ogrodzie i pograć w rzutki lub pobawić się linką
- zaproponowała Chlodys.
- To brzmi niezłe - stwierdziła Madouc. - Zaczynjcie zabawę, a ja wkrótce do was dołączę.
 - To żadna zabawa we dwie - z żalem w głosie powiedziała Chlodys.
 - A poza tym - odezwała się Devonet - pani Desdea chciała, abyśmy ci wszędzie towarzyszyły.
 - Byśmy mogły cię nauczyć dobrego zachowania - dodała Chlodys.
 - Tak to właśnie wygląda - oznajmiła Devonet. - Nie można od ciebie oczekiwać, abyś równie dobrze jak my wiedziała takie rzeczy. Przecież nie masz rodowodu.
 - Gdzieś muszę mieć świetny rodowód - odważnie odparła królowna. - Jestem tego pewna, a któregoś dnia wybiorę się na poszukiwanie, może nawet wcześniej, niż byście się spodziewały.
- Devonet dławiała się ze śmiechu.
- Wybierasz się na to poszukiwanie do stajni?
- Madouc odwróciła się i odeszła. Devonet i Chlodys spoglądały za nią rozzłoszczone. Chlodys zawołała:
- Poczekaj na nas! Pójdziemy z tobą, ale musisz się właściwie zachowywać!
- Później tego samego dnia zgłosiły się u pani Desdei. Obie były strasznie rozzłoszczone na księżniczkę, która nie dostosowała się do żadnego z ich życzeń.
- Trzymała nas tam przez całą wieczność, podczas gdy sama czyściła tego konia, Tyfera, i czesała mu grzywę.
- Nie to było jednak najgorsze. Madouc oporządziła Tyfera i wyprowadziła go ze stajni, ale nie wróciła. Dziewczynki udały się na poszukiwania. Kiedy narzekając obchodziły stajnię, nagle bez ostrzeżenia otwarła się brama, która zepchnęła je z kamiennej posadzki do kanału ściekowego, przez co obie potknęły się i upadły. W tej chwili w bramie pojawiła się Madouc i spytała, dlaczego bawią się w gnojówce.
- Nie uważam, aby to było zachowanie godne dam - powiedziała im wyniośle. - Czy nie macie w sobie nic przyzwoitości?

Pani Desdea mogła jedynie ubolewać nad całym wydarzeniem.

- Powinnyście bardziej uważać. Madouc jednak nie powinna marnować tyle czasu na tego konia. Jutro tego dopilnuję. Usiądziemy z igłami w rękach, a dla uprzyjemnienia sobie czasu weźmiemy miodowe ciasteczka i soki owocowe.

O zmierzchu trzy dziewczynki jadły kolację w przyjemnej, małej komnacie, której okna wychodziły na park. Przyłączył się do nich książę Cassander. Na jego rozkaz służący przyniósł butelkę lekkiego, słodkiego wina. Cassander rozsiadł się wygodnie w fotelu i sącząc wino opowiadał o swoich pomysłach i wyczynach. Następnego ranka zamierzał razem z przyjaciółmi wybrać się konno na północ do Flauhamet, miasta przy Starym Trakcie, gdzie właśnie odbywał się wielki jarmark.

- Będą tam potyczki rycerskie na kopie* - powiedział. - Być może wezmę w nich udział, oczywiście jeśli będę miał godnych przeciwników. Nie mam zamiaru potykać się z mieszczuchami lub chłopami, o tym nie warto nawet wspominać.

*Potyczki w pełnej zbroi na ostre kopie nie były jeszcze wtedy w modzie. Używano kopii z przymocowanymi na końcach workami z pierzem, a podczas turniejów nie dochodziło do poważniejszych zranień niż siniaki i zadrapania.

Pomimo względnie młodego wieku, Devonet, zawsze była gotowa wypróbować swoją umiejętność kokieterii i flirtowania.

- Musisz być bardzo dzielny, panie, skoro odważysz się na takie ryzyko! Cassander zrobił zamaszysty gest ręką.

- To szczególna umiejętność. Do jej opanowania trzeba dużo ćwiczeń, sprawnego prowadzenia konia i naturalnych zdolności. Pochlebiam sobie, że dość dobrze mi to wychodzi. Powinnyście się wybrać do Flauhamet przynajmniej po to, aby zobaczyć jarmark. A gdybyśmy się mieli potykać, przyczepilibyśmy do zbroi wasze wstążki! Co wy na to?

- To brzmi wspaniale - powiedziała Chlodys. - Ale pani Desdea ma na jutro inne plany.

- Rankiem mamy haftować w sali muzycznej, a mistrz Jocelyn będzie śpiewał i grał na lutni. - Devonet rzuciła spojrzenie w stronę Madouc. - Po południu królowa wyjdzie na spacer i wypada, abyśmy jej towarzyszyły.

- No cóż, zrobicie, co pani Desdea uzna za słuszne - stwierdził Cassander. - Może trafi się jeszcze jakaś okazja, zanim lato się skończy.

- Mam taką nadzieję - odparła Devonet. - To byłoby niezwykle ekscytujące zobaczyć, jak pokonujesz jednego przeciwnika po drugim.
- To nie takie proste - rzekł Cassander. - A zresztą może się też okazać, że będziemy walczyć z dyniami zatkniętymi na koniach ze słomy. Zobaczymy.

II

Wczesnym rankiem, kiedy słońce było jeszcze zupełnie czerwone, Madouc wstała z łóżka, ubrała się, zjadła pospiesznie w kuchni owsiankę i figi, a potem pobiegła do stajni. Odszukała Pymfyda i rozkazała mu osiodłać Tyfera i jego własnego konia.

Pymfyd zamrugał, ziewnął i podrapał się w głowę.

- Takie wczesne przejażdżki nie są ani zabawne, ani rozsądne - odezwał się w końcu.

- Nie wysilaj się na myślenie, Pymfydzie. Podjęłam decyzję. Masz tylko bez ociągania osiodłać konie.

- Nie widzę potrzeby, aby się spieszyć - mruknął Pymfyd. - Dzień jest jeszcze bardzo młody i będzie bardzo długi.

- Czy ty nic nie rozumiesz? Chcę się wymknąć, zanim Chlodys i Devonet mnie znajdą! Słyszałeś mój rozkaz, a teraz się pospiesz!

- Dobrze, Wasza Wysokość. - Pymfyd ospale osiodłał konie i wyprowadził je ze stajni. - Dokąd zamierzasz się wybrać?

- Tu i tam, tamtą drogą, może aż do Starego Traktu.

- Do Starego Traktu? To bardzo daleko, cztery albo pięć mil.

- To nieważne. Będzie piękny dzień, a konie aż się rwą do biegu.

- Ale nie zdążymy wrócić na obiad. Czy muszę z tego powodu być głodny?

- Chodź już, Pymfydzie! Twój żołądek się dzisiaj nie liczy.

- Być może nie dla ciebie, pani, gdyż pochodzisz z rodziny królewskiej i możesz w każdej chwili przegryźć sobie ciastka i cukierki z miodu. Ja jestem prosty chłopak, a mój żołądek jest bardzo wymagający. Będziesz musiała poczekać, pani, aż znajdę chleb i ser na mój obiad.

- Pospiesz się, Pymfydzie!

Pymfyd pobiegł i wrócił chwilę później taszcząc sakwę, którą przytroczył do siodła.

- Czy w końcu jesteś gotowy? - zapytała Madouc. - Jedźmy więc.

III

Pojechali drogą Sarris, przez królewski park. Minęli łąki porośnięte stokrotkami, łubinem, dziką musztardą, płonącymi, czerwonymi makami. Za jesionowo-bukowym zagajnikiem wjechali w cień masywnych dębów, które rosły wzdłuż drogi.

Opuścili posiadłość królewską przez kamienną bramę i niemal natychmiast natrafili na rozstaje dróg.

Madouc i Pymfyd pojechali na północ szlakiem Fanship. Nie obyło się bez narzekań Pymfyda, który nie mógł zrozumieć, dlaczego Madouc jest tak zainteresowana Starym Traktem.

- Nie ma tam nic do oglądania poza drogą, ani z lewej, ani z prawej.

- Właśnie - powiedziała księżniczka. - Jedźmy dalej.

Wkrótce po obu stronach drogi można było zauważyć jakieś uprawy. Na polach otoczonych kamiennymi murkami rósł owies, pszenica, a od czasu do czasu widać było chłopską chałupę. Milę albo dwie dalej szlak zaczął się wspinać na łagodne zbocze zakolami i trawersami, aż ostatecznie na szczycie wzgórza przeciął się ze Starym Traktem.

Madouc i Pymfyd wstrzymali konie. Spoglądając za siebie widzieli całą długość szlaku Fanship aż do rozstajów, a dalej cały królewski park włącznie z wysokimi topolami nad brzegiem rzeki Glame. Samo Sarris schowane było pośród drzew.

Tak jak przepowiedział Pymfyd, Stary Trakt ciągnął się w obu kierunkach i ginął z zasięgu wzroku za wzgórzami. Szlak Fanship przecinał Stary Trakt i ciągnął się dalej na północ w kierunku posępnego zarysu puszczy Tantrevalles, która zaczynała się jakąś milę od skrzyżowania.

Kiedy dotarli na Stary Trakt, nie zauważyli na nim nikogo, co wyjątkowo podejrzliwie usposabiało Pymfyda. Kręcąc szyją rozglądał się to w jedną, to w drugą stronę. Madouc obserwowała go ze zdziwieniem, aż w końcu zapytała:

- Dlaczego rozglądasz się tak uważnie, skoro i tak nic tu nie widać?

- Właśnie o to chodzi, że niczego nie chcę tu zobaczyć.
- Chyba cię nie rozumiem.
- Oczywiście, że nie - odparł Pymfyd. - Jesteś zbyt młoda, pani, aby znać wszystkie zasadzki, jakie szykuje dla nas świat, a jest ich bardzo wiele. Jest też na świecie dużo złośliwości, którą zresztą widać bez szczególnego wypatrywania.

Madouc zlustrowała drogę długim spojrzeniem.

- Nie widzę tu nic złośliwego ani straszego.
- To dlatego, że droga jest pusta. Złośliwość często wyskakuje nie wiadomo skąd, i dlatego jest to takie straszne.
- Pymfydzie, coś mi się wydaje, że ogarnął cię strach.
- To bardzo możliwe, skoro to właśnie strach rządzi światem. Kuropatwa boi się lisa, który boi się psa myśliwskiego, który z kolei boi się króla, o którego strachach nie odważyłbym się nawet pomyśleć.
- Biedny Pymfydzie! Twój świat jest zbudowany ze strachów i przerażenia! Jeśli o mnie chodzi, to nie mam czasu na takie emocje.

- Jesteś pani, księżniczka i nie wolno mi mówić, żeś głupia, nawet gdyby coś takiego przyszło mi do głowy - odezwał się spokojnie Pymfyd.

Madouc zwróciła na niego smutne, błękitnookie spojrzenie.

- Tak o mnie myślisz?
- Powiem tylko tyle: ten, kto się niczego nie boi, szybko umiera.
- Boję się tylko zycia, lekcji tańca mistrza Jocelyna oraz kilku innych rzeczy, nie wartych nawet wspomnienia - powiedziała księżniczka.
- Ja odczuwam strach znacznie częściej - dumnie stwierdził Pymfyd. - Boję się wściekłych psów, trędowatych i dźwięku ich dzwoneczków, piekielnych koni, harpii i wiedźm; poza tym piorunów, potworów, które mieszkają na dnie studni, a także zjaw, chochlików i duchów.

- Czy to wszystko? - zapytała Madouc.

- W żadnym razie! Obawiam się też grypy, wysypki i ospy. A kiedy się nad tym zastanawiam, to stwierdzam, że teraz najbardziej się boję niezadowolenia króla! Musimy zawrócić, zanim ktoś zobaczy nas tak daleko od Sarris i o wszystkim rozpowie.

- Nie tak szybko! - urwała Madouc. - Kiedy nadejdzie czas do powrotu, to ci powiem. - Przyjrzała się drogowskazowi. - Flauhamet jest tylko cztery mile stąd.

- Cztery czy też czterysta, to bez różnicy! - krzyknął wystraszony Pymfyd.

- Księżę Cassander wspominał o jarmarku we Flauhamet i mówił, że jest tam bardzo wesoło.

- Wszystkie jarmarki są do siebie podobne - oświadczył Pymfyd. - Ulubione miejsce spotkań łobuzów, oszustów i kieszonkowców!

Madouc nie zwracała uwagi na jego białania.

- Mają tam być zonglerzy, błażni, pieśniarze, ludzie, którzy chodzą na szczudłach, mimowie i magicy.

- Każdy wie, że nie jest to towarzystwo godne szacunku - burczał Pymfyd.

- Będzie się tam również odbywał turniej w walce na kopie. Księżę Cassander ma wziąć w nim udział, jeśli przeciwnicy będą mu odpowiadali.

- Hmm. Raczej w to wątpię.

- Och, a to dlaczego?

Pymfyd rozejrzył się po okolicy.

- Nie wypada, abym wypowiadał się na temat księcia Cassandra.

- Mów! Nikomu tego nie powtórzę.

- Wątpię, żeby wpisał się na listę, kiedy będzie tam tak wielu ludzi, którzy mogliby zobaczyć, jak spada z konia.

Madouc wyszczerzyła zęby.

- W rzeczy samej, on jest próżny. Zresztą nie zależy mi na tym, aby oglądać turniej. Chciałabym się przejść pomiędzy kramami i sprzedawcami.

Na szczerzej twarzy Pymfyda pojawił się wyraz tępego uporu.

- Nie możemy ot tak sobie pojechać do miasta i trącać się łokciami z plebsem. Czy wyobrażasz sobie niezadowolenie Jej Królewskiej Mości? Ty, pani, dostaniesz, niezłą burę, a mnie przetrzepią skórę. Musimy zawrócić, robi się późno.

- Jest jeszcze bardzo wcześnie! Devonet i Chlodys dopiero biorą się do igiel i nici.

Pymfyd jęknął zrozpaczony. Wskazał na zachód, wzdłuż Starego Traktu.

- Zbliżają się jacyś ludzie; to jakaś szlachta, na pewno cię rozpoznają! Musimy odjechać, zanim się zbliżą.

Madouc westchnęła. Nie można było odmówić mu racji. Zawracając Tyfera ruszyła szlakiem Fanship, lecz po chwili zatrzymała się niespodziewanie.

- Co tym razem? - zapytał Pymfyd.

- Na szlaku Fanship też są jeźdźcy. Na gniadoszu jedzie książę Cassander, a tego wielkiego, karego ogiera bez wątpienia dosiada sam król Casmir.

- No, to nas przyłapano! - wykrzyknął zdesperowany Pymfyd.

- Wcale nie, przejedziemy przez Stary Trakt i ukryjemy się dalej na szlaku Fanship, dopóki wszyscy nie przejadą.

- Chociaż raz jakiś rozsądny pomysł - zamruczał Pymfyd. - Pospieszmy się! Nie ma czasu do stracenia, możemy się schować za tamtymi drzewami.

Poganiając konie przecięli Stary Trakt i ruszyli na północ przedłużeniem szlaku Fanship, który wkrótce zamienił się jedynie w wąską ścieżkę wiodącą przez łąkę. Zbliżyli się do wysokich topoli, gdzie mieli nadzieję schować się. Czuję dym! - rzuciła przez ramię Madouc.

- Gdzieś tu jest zapewne chata jakiegoś biednego chłopca - odkrzyknął Pymfyd. - To chyba zapach z jego paleniska.

- Nie widzę żadnej chaty.

- Nie jest to nasz największy problem. Szybko, schowajmy się.

Wjechali pomiędzy topole, gdzie odkryli, skąd pochodził dym. Było to ognisko, przy którym dwóch włóczęgów piekło zająca. Jeden z nich był niski i miał gruby brzuch, dużą, puciołową twarz otoczoną niechlujną, czarną brodą i czarnymi włosami. Drugi był chudy i wysoki jak tyczka, miał długie ręce i nogi, twarz wąską i pociągłą. Obaj odziani byli w wystrzępione ubrania i wytarte buty. Wysoki włóczęga miał na głowie spiczastą czapkę, a na brzuchu czarny pas. Jego gruby towarzysz przykrył swe czarne kudły kapełuszem z szerokim rondem. Na boku leżały dwie sakwy, w których zapewne nosili swoje rzeczy. Na widok Madouc i Pymfyda zerwali się na równe nogi i przyjrzeni się im uważnie, oceniając sytuację.

W odpowiedzi Madouc zmierzyła ich chłodnym spojrzeniem i doszła do wniosku, że nigdy jeszcze nie spotkała tak odrażających typów.

Niski, gruby włóczęga odezwał się do nich:

- Co tu porabiacie, tacy czyściutcy i wypoczęci?

- To nie twoja sprawa - odparła księżniczka. - Pymfydzie, jedźmy dalej, przeszkadzamy tym ludziom w ich posiłku.

- W żadnym razie - zaprzeczył gruby włóczęga. Zwrócił się do chudego towarzysza nie spuszczać wzroku z Madouc i Pymfyda. - Ossip, wyjrzyj na

drogę, czy nie ma tu jeszcze kogoś w pobliżu.

- Wszystko w porządku, nikogo nie widać - doniósł Ossip.

- To porządne konie - powiedział gruby obdartus. - Siodła i uprzęż również wydają się niezłej jakości.

- Sammikin, popatrz! Ten rudzielec ma złotą klamrę.

- Czy to nie farsa, Ossip? Jedni obnoszą się ze złotem, a inni nie mają nic.

- Życie jest takie niesprawiedliwe. Gdyby władza należała do nas, wszyscy mieliby po równo.

- To doprawdy szlachetny pomysł.

Ossip spojrział na uzdę Tyfera.

- Popatrz tutaj! Nawet ten koń ma na sobie złoto! - Mówił coraz bardziej podniecony. - Toż to bogactwo.

SammiKin pstryknął palcami.

- Nie posiadam się z radości. Słońce świeci jasno i nasze szczęście w końcu do nas wróciło.

- Musimy się jednak trochę wysilić w znany nam sposób, aby zasłużyć na naszą dobrą opinię.

- Mądre słowa, Ossip!

Dwaj włóczędzy ruszyli do przodu. Pymfyd krzyknął ostro do Madouc.

- Uciekaj stąd, szybko! - Poderwał swojego konia, ale Ossip wyciągnął kościste ramię i złapał za uzdę. Pymfyd kopnął z całej siły i trafił Ossipa w twarz sprawiając, że ten zakrył oczy ręką.

- O, ty mała żmijo, pokazałaś ząbki! Moja biedna twarz! Co za ból!

SammiKin ruszył śmiesznym klusem za Madouc, ale ona pogoniła Tyfera i odjechała parę jardów dalej, gdzie zatrzymała się nie mogąc podjąć żadnej decyzji.

SammiKin zawrócił do Ossipa, który nadal trzymał się uzdy Pymfydowego konia pomimo przekleństw i kopniaków chłopca. SammiKin podszedł od tyłu, złapał go w pasie i zrzucił na ziemię. Pymfyd wrzasnął ze wściekłości. Przetoczył się na bok, złapał ułamaną gałąź i zrywając się na równe nogi stanął gotowy do walki.

- Psy! - Rozhisteryzowany wywijał kijem. - Robale! Chodźcie tu, jeśli się ośmielicie! - Odwrócił się w stronę Madouc, która siedziała oszołomiona na koniu. - Jedź, ty mały głupku, ale szybko! Sprowadź pomoc!

Sammikin i Ossip bez pośpiechu ruszyli na Pymfyda, który bronił się dzielnie, dopóki Sammikin nie rozbił toporkiem jego kija na strzępy. Sammikin zmylił Pymfyda, a Ossip uderzył go pałką tak mocno w głowę, że oczy rozbiegły mu się w przeciwnych kierunkach i upadł na ziemię. Sammikin uderzył go jeszcze kilka razy, a Ossip przywiązał jego konia do drzewa i zaczął biec w stronę Madouc, która wreszcie otrząsnęła się z oszołomienia, zawróciła Tyfera i galopem ruszyła w przeciwnym kierunku.

Głowa Pymfyda opadła na bok, z ust ciekła mu krew. Sammikin cofnął się mrużąc z zadowolenia.

- Ten już niczego nie rozpowie. Teraz to drugie.

Księżniczka skulona nisko w siodle galopowała drogą mając po obu stronach kamienne murki. Spojrzała za siebie. Ossip i Sammikin biegli za nią. Madouc wrzasnęła dziko i zmusiła Tyfera do szybszego biegu. Gnała drogą, dopóki nie natrafiła na przejście pomiędzy murkami, przejechała tamtędy i ruszyła łąką w stronę Starego Traktu.

Za nią pędzili włóczędzy. Ossip robił długie, spokojne kroki, Sammikin wymachiwał rękami i kiwał się jak gruby szczur. Tak jak poprzednio, nie spieszyli się zbytnio.

Madouc rozejrzała się na prawo i lewo. Z jednej strony wzdłuż drogi ciągnął się rów pełen wody, za nim było kamienne ogrodzenie. Po drugiej stronie rosły kolczaste krzaki. Przed nią droga skręcała i przechodziła przez bramkę w ogrodzeniu. Bez wahania skierowała Tyfera w to przejście, jednak zaraz potem zatrzymała się zakłopotana, kiedy zauważyła, że wjechała do niewielkiej zagrody dla owiec. Rozejrzała się na wszystkie strony, ale nie zauważyła żadnego wyjścia.

Za nią nadbiegali Ossip i Sammikin. Dyszeli i stękali ze zmęczenia. Ossip krzyknął cienkim głosem:

- Pięknie! Zatrzymaj konia, bądź spokojna i grzeczna. Nie rób zbędnego zamieszania.

- „Cisza”, to właściwe słowo! - wrzasnął Sammikin. - Wkrótce wszystko się skończy i znajdziesz się w bardzo cichym miejscu, przynajmniej tak mi mówiono.

- Myślę, że on ma rację - dodał Ossip. - Stój spokojnie i nie rycz. Nie potrafisz sobie dać rady z ryczącym dzieckiem.

Madouc desperacko rozejrzała się po ogrodzeniu szukając jakiegoś niższego miejsca, przez które Tyfer mógłby przeskoczyć, ale na próżno. Zsunęła się na ziemię i przytuliła się do końskiej szyi.

- Żegnaj, mój drogi, dobry przyjacielu. Muszę cię opuścić, aby ratować własne życie! - Podbiegła do ogrodzenia, wspięła się na nie i zeskoczyła na drugą stronę. Ossip i Sammikin wrzasnęli za nią rozszłoszczeni:

- Stój! Wracaj! To wszystko tylko zabawa! Nie zrobimy ci nic złego!

Rzuciła przez ramię przestraszone spojrzenie i biegła jeszcze szybciej, mając przed sobą coraz bliżej ciemny zarys puszczy Tantrevalles.

Przeklinając, lamentując na zbędny wysiłek i wykrzykując najstraszniejsze groźby, jakie im tylko przyszyły do głowy, Sammikin i Ossip przeleźli przez ogrodzenie i ruszyli w pościg.

Na skraju lasu Madouc zatrzymała się na chwilę, aby odetchnąć i oparła się o pień starego sękatego dębu. Od strony łąki, jakieś pięćdziesiąt jardów dalej, pędzili Sammikin i Ossip, obaj już tak zmęczeni, że ledwie ruszali nogami. Sammikin zauważył ją stojącą pod drzewem z potarganymi, rudymi włosami. Na chwilę się zatrzymali i wolno, krok po kroku, zaczęli się skradać. Sammikin krzyknął słodkim głosem:

- Ach, drogie dziecko, jakaś ty mądra, że tu na nas zaczekałaś! - zawołał słodkim głosem Sammikin. - Uważaj w tym lesie żyją straszydła.

- Zjedzą cię żywcem i wyplują twoje kości! - dodał Ossip. - Bezpieczniej ci będzie z nami.

- Chodź tu, mały, drogi kurczaczku! - wołał Sammikin. - Zabawimy się razem.

Madouc odwróciła się i zniknęła w lesie. Sammikin i Ossip wrzasnęli wielce rozczarowani:

- Wracaj tu, ty mała paskudnico! Teraz dopiero nas rozzłościłaś, zostaniesz za to srogo ukarana! Ty podła lisico, będziesz jęczeć z bólu! Nie doświadczysz od nas żadnej litości!

Zrobiła zrozpaczoną minę. W brzuchu zaczęło ją coś nieprzyjemnie kłuć. Jakim potwornym miejscem był świat! Zabili Pymfyda, taki był dobry, a taki odważny! I Tyfer! Już nigdy nie będzie mogła się na nim przejechać. A jeśli te zbiry ją złapią, na miejscu skręcą jej szyję, chyba że wymyślą sobie inną, jeszcze gorszą rozrywkę.

Madouc zatrzymała się i nastawiła uszu. Wstrzymała oddech. Zdawało się jej, że tupot ciężkich stóp i szuranie wśród opadłych liści rozlegały się niebezpiecznie blisko. Ostro skręciła tuż za krzakiem ciemnego głogu i potem jeszcze raz, mając nadzieję, że zmyli goniących ją bandytów.

Las robił się coraz gęstszy. Korony drzew zupełnie przesłaniały niebo, poza miejscami, gdzie leżało zwalone jakieś drzewo lub wystawała z ziemi sterta kamieni albo trafiały się maleńkie polanki. Zagroził jej drogę próchniejący pień. Przedostała się przez niego, przykucnęła za krzakiem jeżyn i przeskoczyła przez maleńki strumyczek. Przystanęła na chwilę, aby spojrzeć za siebie i złapać oddech. Nie widziała nic strasznego; pomyślała, że udało jej się uniknąć dwóch rabusiów. Wstrzymała oddech i nasłuchiwała.

Łup - trzask, lup - trzask, lup - trzask, odgłosy były co prawda słabe i odległe, ale zdawały się zbliżać. To Sammikin i Ossip przypadkowo zauważyli błysk jej białej sukienki odcinającej się na tle ciemnozielonego lasu. Znowu byli na jej tropie.

Madouc jęknęła z przerażenia. Odwróciła się i raz jeszcze zaczęła uciekać w głąb lasu, wybielając najbardziej kręte ścieżki i najciemniejsze zakątki. Prześlizgnęła się przez olchowy zagajnik, przeszła przez płytki strumień, przebiegła przez polankę i okrążyła stary zwalony dąb. W miejscu, gdzie korzenie zostały wyrwane z ziemi, znalazła małą, ciemną norkę przesłoniętą kępą paproci. Madouc przykucnęła pod korzeniami.

Minęło parę chwil. Czekwała bojąc się nawet oddychać. Usłyszała kroki. Ossip i Sammikin przebiegli ociężale koło niej. Zamknęła oczy, bojąc się, że mogliby poczuć jej spojrzenie.

Ossip i Sammikin zatrzymali się tylko na chwilę, aby rozejrzeć się po polance. Sammikin, który usłyszał gdzieś daleko jakiś dźwięk, wskazał w tym kierunku palcem i ryknął gardłowo. Pobiegli w głąb lasu. Dudnienie ich kroków słabło, aż w końcu zupełnie ucichło.

Madouc tkwiła skulona w kryjówce. Poczuała, że robi się ciepło i przyjemnie, opadły jej powieki. Pomimo najlepszych chęci nie udało jej się opanować zmęczenia i zasnęła.

Po jakimś czasie obudziła się i teraz dopiero poczuła ból mięśni. Ostrożnie zaczęła wychodzić z kryjówki. Zatrzymała się. Co to za dziwny dźwięk, taki cienki i brzęczący? Muzyka?

Słuchała uważnie. Dźwięki zdawały się dobiegać z niezbyt odległego miejsca, ale było ono zakryte przed jej wzrokiem gęstymi krzakami.

Przykucnęła niezdecydowana, w połowie drogi z kryjówki. Muzyka brzmiała miło i swobodnie, nawet nieco frywolnie, słychać było delikatne trele i świsty. Madouc pomyślała, że nikt zły ani straszny nie mógłby tak grać. Uniosła głowę i wyjrzała przez paprocie. Byłoby jej wstyd, gdyby ktoś

zauważył, że siedzi w takich niegodnych warunkach. Zebrała całą swoją odwagę i wstała. Przyglądała włosy i otrzepała ubranie z suchych liści, cały czas rozglądając się po polance.

W odległości dwudziestu stóp na gładkim kamieniu siedziała dziwna istota o chudej twarzy, nie większa niż Madouc, o oczach koloru morskiej zieleni, orzechowo-brązowej skórze i takichże włosach. Stworek miał na sobie ubranie z porządnego, brązowego materiału w niebieskie i czerwone paski, na jego głowie tkwiła śmieszna, błękitna czapka z pękiem ptasich piór, a jego buty miały długie, spiczaste nosy. W jednej ręce trzymał dziwne, drewniane pudełko, z którego wystawały dwa metalowe języki. Kiedy w nie uderzał, z pudełka wydobywała się muzyka.

Zauważył Madouc i przestał grać.

- Dlaczego śpisz w ciągu dnia? - zapytał świszczącym głosem. - Śpi się, kiedy sowy wyruszają na łów.

Madouc zdołała opanować drżenie głosu:

- Spałam, ponieważ zasnęłam.

- Rozumiem tylko nieco więcej niż przedtem. Dlaczego się na mnie gapisz? Przypuszczam, że to niewysłowiony podziw.

- Częściowo z podziwu, a częściowo dlatego, że nie często widuję elfy - odparła taktownie.

- Nie jestem elfem, lecz wefkinem - odparła istota pouczającym tonem.

- Różnica jest oczywista.

- Nie dla mnie. Przynajmniej nie zupełnie oczywista.

- Wefkiny są z natury spokojne i opanowane. Jesteśmy samotnymi filozofami. Co więcej, jesteśmy ludem eleganckim, dumnym i przystojnym. Znajdujemy miłość zarówno wśród ludzi, jak i wśród elfów, co jest naszym przeznaczeniem. Jesteśmy naprawdę wspaniali.

- To jasne - powiedziała Madouc. - A co z elfami?

Wefkin machnął lekceważąco ręką.

- To niespokojny lud, skłonny do wygłupów i myślenia o czterech rzeczach na raz. Samotność źle na nie wpływa i potrzebne im towarzystwo. W przeciwnym razie marnieją. Są strasznie gadatliwe. Władają nimi rozmaite pasje, które potrafią ich zająć na jakieś kilkanaście minut. Przesada i ekstrawagancja to ich hasło. Wefkiny są dzielne, elfy działają często z czystej złośliwości. Czy twoja matka nie wyjaśniła ci tego wszystkiego?

- Moja matka nic mi nie wyjaśniła. Od dawna nie żyje.

- Nie żyje? A cóż to znowu?
- Jest martwa jak kamień, a ja nie mogę się powstrzymać, aby nie myśleć, że było to dość nierozsądne z jej strony.

Wefkin zamrugał zielonymi oczyma i zagrał na pudełku melancholijną melodyjkę.

- To bardzo smutna wiadomość, a ja jestem podwójnie zaskoczony, jako że rozmawiałem z nią zaledwie dwa tygodnie temu, kiedy wyglądała jak zwykle, na pełną wigoru. Muszę przyznać, że nie brakuje go również tobie.

Potrząsnęła głową niczego nie rozumiejąc.

- Musisz mnie brać za kogoś innego.

Wefkin przyjrzał jej się z bardzo bliska.

- Czyż nie jesteś Madouc, pięknym i utalentowanym dzieckiem, nazywanym „księżniczką z Lyonesse” i uznanym, co prawda w nieco niedzięczny sposób, przez króla Tępogłowego?

- To ja - skromnie odparła Madouc. - Ale moją matką była księżniczka Suldrun.

- Toż to kłamstwo! Twoją prawdziwą matką jest Twisk, elfia panna z Thripsey Shee.

Madouc spojrzała na wefkina z ustami rozdziawionymi ze zdziwienia.

- Skąd to wiesz?

- Wszystkie elfy i cały leśny lud o tym wie. Wierz mi albo nie, jak chcesz.

- Nie podważam prawdziwości twoich słów - przerwała mu pośpiesznie - lecz ta wiadomość zupełnie mnie zaskoczyła. Jak to się stało?

Wefkin wyprostował się na kamieniu. Drapiąc się w brodę długimi, zielonymi palcami przyglądał się Madouc kątem oka.

- Dobrze! Powiem ci wszystko, ale tylko wtedy, kiedy poprosisz mnie o tą przysługę, jako że nie chciałbym zaszokować cię bez twojej wyraźnej zgody. - Wefkin utkwiał swe zielone oczy w jej twarzy. - Czy chcesz mnie o to poprosić?

- Tak, proszę!

- Dobrze więc. Księżniczka Suldrun urodziła chłopca. Ojcem był Aillas z Troicinetu. Dziecko to jest znane obecnie jako książę Dhrun.

- Książę Dhrun! To doprawdy zadziwiające. Jak to możliwe? On jest ode mnie dużo starszy.

- Cierpliwości, dowiesz się wszystkiego! Słuchaj więc. Dla bezpieczeństwa zabrano dziecko do pewnego miejsca w lesie. Twisk przechodziła

przypadkowo w pobliżu i zamieniła cię na tego małego chłopczyka o jasnych włosach. Oto jak się sprawy miały. Jesteś podrzutkiem. Dhrun mieszkał w Thripsey Shee przez mniej więcej rok według rachuby śmiertelników, ale zgodnie z elfim czasem minęło parę lat, siedem, osiem, a może nawet dziewięć. Tego nikt nie wie.

Stała nie mogąc ze zdumienia wydusić ani słowa. W końcu zapytała:

- Czyli mam w sobie elfią krew?

- Bardzo długo żyłaś pomiędzy ludźmi, jadłaś ludzki chleb i piłaś ludzkie wino. Elfia materia jest bardzo delikatna, kto wie ile z niej zostało zastąpione przez ludzkie ciało? Tak to wygląda. Jednak biorąc wszystko pod uwagę, nie jest jeszcze tak źle. Chciałabyś, aby było inaczej?

Madouc zastanowiła się.

- Nie chciałabym być inna niż jestem, bez względu na to, w co miałabym się zmienić. W każdym razie jestem ci wdzięczna, że mi to powiedziałeś.

- Oszczędź swoje podziękowania na lepszą okazję! To tylko drobna przysługa, nawet nie warto o tym wspominać.

- Czy potrafiłbyś mi w takim razie powiedzieć, kto mógłby być moim ojcem?

Wefkin zachichotał.

- Jak ślicznie sformułowałaś to pytanie. Twoim ojcem mógłby być ktokolwiek, równie dobrze ktoś z bardzo daleka. Musisz zapytać Twisk, twoją matkę. Czy chciałabyś się z nią spotkać?

- Bardzo.

- Mam jeszcze chwilę. Jeśli o to poprosisz, nauczę cię, jak wzywać twoją matkę.

- Ależ proszę, zrób to.

- Więc prosisz mnie o to?

- Oczywiście!

- Z przyjemnością skłonię się ku twojej prośbie, nie wpłynie to zbytnio na nasze niewielkie rozliczenie. Podejdź tutaj, jeśli łaska.

Wyszła spomiędzy paproci i podeszła do wefkina, który pachniał żywicą, jakby zmieszaną ze zmielonymi ziołami i jodłowymi igłami oraz jałowcem, pyłkiem kwiatowym i piżmem.

- Patrz uważnie! - powiedział wefkin poważnym głosem. - Zrywam źdźbło trawy, nacinam je tu i tam, potem robię tak, a potem tak. A teraz dmuchnę bardzo delikatnie, bardzo miękko, i gwizdek z trawy lekko zapiszczy.

Teraz sama musisz zrobić taki gwizdek, własnymi palcami.

Madouc zabrała się do robienia gwizdka, lecz po chwili jakby rozważając jakiś gnębiący ją problem, przestała.

- Co masz na myśli mówiąc: „nasze niewielkie rozliczenie”? - zapytała.

Wefkin zamachał długopalczastymi dłońmi.

- Nic ważnego, w zasadzie to tylko taki sposób mówienia.

Madouc pełna wątpliwości wróciła do pracy nad gwizdkiem.

Znowu przestała.

- Powszechnie wiadomo, że elfy nigdy nic nie dają za darmo. Czy to także dotyczy wefkinów?

- Ba! W wypadku większych transakcji tak właśnie bywa. Wefkiny nie są jednak skąpe.

Madouc miała wrażenie, że wefkin uchyła się od odpowiedzi.

- Powiedz mi wobec tego, jak będę musiała zapłacić za twoją radę?

Wefkin złapał jedno piórko z czapki i miętosił je zakłopotany.

- Nie przyjmę nic wartościowego. Nie będzie to srebro ani złoto, ani nic z tych twoich drogocennych rzeczy. Pomoc udzielona komuś tak bystremu i ślicznemu jest dla mnie prawdziwą przyjemnością. Aby wyrazić swoją wdzięczność, będziesz mogła mnie pocałować w czubek nosa; tak się rozliczymy. Zgadzasz się?

Księżniczka przyglądała się pytająco wefkinowi i jego szpiczastemu nosowi, podczas gdy on wiercił się niespokojnie.

- Zastanowię się nad tym - powiedziała. - Rzadko całuję obcych, czy to w nos, czy gdziekolwiek indziej.

Wefkin jęknął i przyciągnął kolana pod samą brodę. Po chwili opanował się jednak.

- Jeśli o to chodzi, to zupełnie nie przypominasz swojej matki. Tylko tak sobie pomyślałem, ale to bez znaczenia. Czy zrobiłaś już piszczalę z trawy? Dobrze. Dmuchnij delikatnie, z wyczuciem. Tak, dobrze! A teraz przestań i posłuchaj, co ci mam do powiedzenia. Żeby wezwać twoją matkę, musisz dmuchnąć na piszczalce i zaśpiewać w ten oto sposób:

„Lirra lissa lirra la

Madouc gwizdek z trawy ma.

Dźwięcznie gwizdź po to, by

Wezwać Twisk z Thripsey Shee.

Lirra lissa larra lą
Córka wzywa matkę swą.
Złap się wiatru, skocz wysoko,
Stań tu ze mną oko w oko.
Wzywam cię ja, Madouc!”

Księżniczka nieśmiało parę razy powtórzyła na próbę obie zwrotki, po czym wzięła głęboki oddech, aby uspokoić nerwy, dmuchnęła delikatnie w piszczalkę i wypowiedziała rymowanąkę.

Wydawało jej się, że nic się nie dzieje. Rozejrzała się na wszystkie strony i spytała wefkina:

- Czy dobrze wszystko powiedziałam?

- Wymówiłaś to zakłęcie bardzo dobrze - odpowiedział jej zza liści paproci miękki głos.

Twisk, elfia dama, podeszła bliżej. Była to delikatna istotka o zwiewnych jasnoblękitnych włosach spiętych szafirową wstążką.

Madouc krzyknęła, trochę przestraszona, trochę onieśmielona:

- Czy naprawdę jesteś moją matką?

- Najpierw ważniejsze sprawy - powiedziała Twisk. - Jaką zapłatę uzgodniłaś z Zocco za jego przysługę?

- Chciał, abym go pocałowała w nos. Odparłam, że muszę poradzić się w tej sprawie.

- Prawda - przyznał wefkin Zocco. - We właściwej chwili udzielię jej bezpiecznej porady i tak się cała sprawa skończy. Nie musimy o tym więcej rozmawiać.

- Jako że jestem jej matką, to ja udzielię jej rady i oszczędzę ci kłopotu - oznajmiła Twisk.

- Ależ to dla mnie żaden problem. Już zacząłem myśleć o tej sprawie.

Twisk nie zwracała na niego uwagi.

- Madouc, to jest moja rada. Weź tę grudkę ziemi i podaj ją temu wylupiaśnikowi, małemu chochlikowi wymawiając te słowa: „Zocco, tym podarunkiem spłacam w całości mój dług wdzięczności, teraz i na zawsze, na tym i każdym innym świecie, za każdą przysługę i spełnioną prośbę, prawdziwą czy też wymyśloną, w każdym paśmie czasu”.

- Czyste brednie i głupoty! - wrzasnął Zocco. - Madouc, nie zwracaj uwagi na tą głupią niebieskowłosą trzpiotkę. Jak wiesz, mamy swoją umowę.

Twisk podeszła jeszcze bliżej i Madouc mogła się jej dokładnie przyjrzeć. Miała kremową skórę i niezwykle subtelne rysy. Jej oczy, tak jak oczy księżniczki, były rozmarzonymi, błękitnymi sadzawkami, w których łatwo mógł się zatracić czuły mężczyzna. Twisk powiedziała do Madouc:

- Powiem tylko to, o czym wszyscy dobrze wiedzą. Otóż Zocco jest strasznym lubieżnikiem. Gdybyś pocałowała go w nos, dostałabyś się pod jego władzę i wkrótce całowałabyś go w nos i w różne inne miejsca, aż strach pomyśleć.

- Niewiarygodne - oświadczyła przerażona Madouc. - Zocco sprawia takie miłe i sympatyczne wrażenie, był taki uprzejmy.

- To jego typowe sztuczki.

Madouc odwróciła się do Zocco.

Wysłuchałam właściwej porady. - Wzięła do ręki grudkę ziemi. - Zamiast całować cię w nos, daję ci ten podarek jako wyraz mojej wdzięczności. - Powtórzyła słowo w słowo to, co powiedziała jej Twisk, pomimo jęków i krzyków protestu wefkina.

Rozdrażniony odrzucił grudkę ziemi.

- Takie podarunki są bezużyteczne. Nie dadzą się zjeść, nie mają smaku! Nie mogę się w to ubrać, bo jest to zupełnie niestylowe, a na dodatek wcale nie jest zabawne.

- Cisz, Zocco! - powiedziała Twisk. - To twoje marudzenie jest beznaście głupie.

- Jako dodatek do tego podarku - odezwała się z godnością Madouc - i pomimo twych obrzydliwych zamiarów dziękuję ci bardzo, że połączyłeś mnie z moją matką, a nie wątpię, iż Twisk jest ci równie wdzięczna.

- Co?! - rzuciła Twisk. - Już dawno zapomniałam o twoim istnieniu. Dlaczegoż to mnie wzywałeś, jeśli wolno zapytać?

Księżniczka aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- Chciałam poznać moją matkę! Przez cały czas myślałam, że ona nie żyje.

Twisk roześmiała się.

- To absurdalna pomyłka. Jestem pełna życia, a energia wręcz mnie rozpiera!

- Właśnie to widzę! Żałuję, że się tak pomyliłam, ale udzielono mi fałszywych informacji.

- Ach tak. Musisz nauczyć się być bardziej sceptyczna. A teraz znasz już prawdę, więc wracam do Thripsey Shee.

- Jeszcze nie! - krzyknęła. - Jestem przecież twoją ukochaną córką, a zaledwie przed chwilą mnie zobaczyłaś. Ponadto potrzebuję twojej pomocy.

Twisk westchnęła.

- Czy to się nigdy nie skończy? Czego więc ode mnie chcesz?

- Zgubiłam się w tym lesie. Dwóch morderców zabiło Pymfyda i ukra-
dło mojego konia Tyfera. Gonili mnie i strasznie się przeraziłam. Mnie
również chcieli zabić. Krzyczeli na mnie: „przekłęty rudzielec”.

Twisk stała zaszokowana i pełna dezaprobaty.

- A ty tak sobie stałaś i pozwoliłaś im, aby cię obrażali?

- Wcale nie! Uciekałam najszybciej jak tylko mogłam i ukryłam się.

- Mogłaś ściągnąć na nich chmurę szerszeni! Albo skrócić im nogi tak,
aby stopy wyrastały im zaraz z pośladków! Albo zamienić ich w jeże!

Madouc zaśmiała się lekko zażenowana.

- Nie wiem, jak robi się takie rzeczy.

Twisk znowu westchnęła.

- Zaniebalałam twoją edukację, temu nie da się zaprzeczyć. No cóż,
każdy czas jest dobry, zaczniemy więc od zaraz. - Wzięła dłonie dziewczynki
w swoje własne. - Co czujesz?

- Przebiegł mnie taki dreszczyk, to było bardzo dziwne uczucie!

Twisk skinęła głową i cofnęła się.

- A teraz trzymaj kciuk i palce w ten sposób. Szepnij: „Fwip” i skiń bro-
dą w kierunku tego, co jest ci właśnie zawadą. Możesz to popробować na
Zocco.

Madouc złożyła kciuk i palce razem.

- W ten sposób?

- Właśnie tak.

- I powiedzieć: „Fwip”?

- Dokładnie.

- I ruszyć brodą, w ten sposób?

Zocco zaskrzeczał i wyskoczył wysoko nad ziemię, machając gwałtownie
nogami.

- Hej, hej, hej! Ściągnij mnie na dół - zawołał.

- Bardzo dobrze rzuciłaś zakłęcie - powiedziała Twisk. - Zobacz, jak on
kręci nogami, jakby tańczył. To zakłęcie znane jest jako: „Ruchliwe paluszki
skaczącego chochlika”.

Madouc rozdzieliła palce i Zocco z wytrzeszczonymi oczami spadł na
ziemię.

- Skończ z tymi złośliwymi żartami, i to zaraz!
- Przepraszam, Zocco - powiedziała ze skruchą w głosie. - Myślę, że nieco zbyt mocno ruszyłam brodą.

- Też tak myślę - odezwała się Twisk. - Spróbuj jeszcze raz z mniejszą siłą.

Tym razem Zocco wyskoczył nie wyżej niż trzy stopy w górę, a jego krzyki były znacznie mniej przenikliwe.

- Bardzo dobrze - pochwaliła ją Twisk. - Masz wrodzony talent do tej sztuki.

- Tylko zbyt późno się o tym dowiedziałam - zmartwiła się dziewczynka. - Biedny Pymfyd leży martwy w rowie, a wszystko przez to, że chciałam jechać na jarmark w Flauhamet!

Twisk machnęła lekceważąco ręką.

Czy Pymfyd umarł od twojego uderzenia?

- Nie, matko.

- Nie musisz więc się za nic obwiniać.

Madouc nie czuła się jednak pocieszona.

- To prawda, ale co z tego, kiedy Ossip i Sammikin, którzy go tak pobili, nie mają żadnych wyrzutów sumienia! Bili biednego Pymfyda aż do krwi. Potem ścigali mnie i ukradli Tyfera. Spotkałam ciebie i cieszę się z tego, ale żałuję również Pymfyda i Tyfera.

Zocco roześmiał się.

- Typowa niewiasta! Płacze i śmieje się przez łzy.

Twisk obdarzyła go łagodnym spojrzeniem.

- Zocco, mówiłeś coś?

Zocco oblizał wargi.

- Tak sobie tylko głośno myślałem, nic więcej.

- Skoro nie masz nic innego do roboty, może poradzisz coś na te przykrości, które spotkały Madouc?

- Nie widzę powodu, aby robić coś dla ciebie lub dla tego twojego rudego dzieciaka - odparł rozdrażniony Zocco.

- Zrobisz, co zechcesz - z godnością odparła Twisk i odezwała się do księżniczki: - Wefkinom brakuje wyobraźni. Temu, na przykład, wydaje się, że przyszłość to same przyjemności, bez odrobiny kłopotów. Ma rację?

- Myli się głęboko.

Zocco zerwał się na równe nogi.

- Właśnie doszedłem do wniosku, że mam trochę wolnego czasu. Nic mi się nie stanie, jeśli rozejrzę się po okolicy i być może wprowadzę parę poprawek w naszą rzeczywistość.

Twisk skinęła głową.

- Proszę, poinformuj nas od razu, jeśli coś znajdziesz.

Zocco zniknął. Twisk przyjrzała się uważnie Madouc.

- To bardzo interesujące spotkanie. Jak już mówiłam, niemal zapomniałam o twoim istnieniu.

- Nie było to zbyt miłe z twojej strony, że w ogóle się mnie pozbyłaś - odparła wyniośle Madouc. - Porzuciłaś mnie, twoje kochane maleńkie dziecko, a wzięłaś sobie inne w zamian.

- Niezupełnie tak było - powiedziała Twisk. - Nie byłaś taka kochana, jak sobie wyobrażasz. Byłaś niezłym bachorkiem. Dhrun miał złote loczki i był słodki. Gulgotał i śmiał się, a ty wrzeszczałaś i kopałaś. Pozbycie się ciebie było dla mnie wielką ulgą.

Madouc ugryzła się w język. Jasnym było, że jakakolwiek dyskusja była bezprzedmiotowa.

- Mam nadzieję, że przekonałam cię i zmienisz zdanie o mnie - odparła z godnością.

- Mogłaś wyrosnąć na coś gorszego. Wydaje się, że odziedziczyłaś po mnie szczególną dziwną inteligencję, a być może też nieco z mej wyjątkowej piękności, chociaż twoje włosy są strasznie rozczochrane.

- To dlatego, że w przerażeniu uciekałam przez las i schowałam się w korzeniach zwalonego drzewa. Jeśli chcesz, możesz podarować mi magiczny grzebień, dzięki któremu w gnieniu oka doprowadzę je do porządku.

- Dobry pomysł - rzekła Twisk. - Znajdziesz go pod poduszką, kiedy wrócisz do Sarris.

Księżniczka zrobiła zdziwioną minę.

- Mam wrócić do Sarris?

- A gdzieżby indziej? - dość szorstko zapytała Twisk.

- Mogłybyśmy razem mieszkać w jakimś własnym zamku, być może gdzieś nad morzem.

- To raczej nie byłoby praktyczne. W Sarris masz dobrą opiekę. Ale pamiętaj, nikt nie może się dowiedzieć o naszym spotkaniu, a zwłaszcza król Casmir.

- Dlaczego? Zresztą i tak nie miałam zamiaru nic im mówić.

- To skomplikowana historia. On wie, że jesteś podrzutkiem, ale mimo wszelkich usiłowań, nigdy się nie dowiedział, kto jest prawdziwym dzieckiem Suldrun. Gdyby się dowiedział, a wymusiłby to z ciebie, wysłałby zabójców i Dhrun wkrótce by nie żył.

Madouc skrzywiła się.

- Dlaczego miałby zrobić coś tak strasznego?

- Z powodu przepowiedni związanej z pierworodnym synem Suldrun, która go wyjątkowo niepokoi. Prawdę zna tylko kapłan Umphred, ale on trzyma język za zębami, przynajmniej na razie. A teraz, Madouc, choć jest to raczej miłe spotkanie...

- Jeszcze nie! Chcę jeszcze z tobą porozmawiać. Czy spotkamy się wkrótce?

Twisk wzruszyła obojętnie ramionami.

- Moje życie to ciągłe zmiany. Nie jestem w stanie robić żadnych planów.

- Nie jestem pewna czy moje życie to nieustanne zmiany - powiedziała Madouc. - Wiem tylko tyle, że Devonet i Chlodys wołają na mnie „bękart” i utrzymują, że nie mam rodowodu.

- Z formalnego punktu widzenia mają rację, choć są dosyć niegrzeczne.

- Tak podejrzewałam - odparła zamyślona dziewczynka. - Chciałabym jednak znać imię mojego ojca i dowiedzieć się czegoś na temat jego osobowości i stanu.

Twisk zaśmiała się.

- Zadałaś mi zagadkę, której nie jestem w stanie rozwiązać.

- Nie pamiętasz jego imienia? - zapytała zaszokowana Madouc.

- Nie.

- Ani jego stanu? Rasy? Wyglądu?

- To było tak dawno temu. Nie mogę pamiętać każdej błahostki z mojego życia.

- A jednak, skoro był on moim ojcem, musiał być szlachetnym dżentelmenem z długim i godnym rodowodem.

- Nie pamiętam takiego osobnika.

- Wygląda więc na to, że nie mogę być nawet bękartem wysokiego pochodzenia!

Twisk znużył się już ten temat.

- Utrzymuj, co będziesz chciała. Nikt ci nie zaprzeczy, nawet ja. W każdym razie, bękart czy nie, nadal jesteś i pozostaniesz księżniczką Madouc z Lyonesse!

Kątem oka księżniczka dostrzegła niebieskozieloną chmurkę.

- Zocco wrócił.

- Nie widziałem żadnego ciała ani trupa - relacjonował wefkin. - Uznałem więc ten problem za nierozwiązywalny.

Ruszyłem na wschód Starym Traktem i odnalazłem dwóch bandytów jadących konno. Gruby Sammikin siedział skurczony na wysokim kasztanku jak garb na wielbłądzie, a Długonogi Ossip dosiadał plamiastego kuca szurając stopami po ziemi.

- Biedny Tyfer! - jęknęła Madouc.

- I jak rozwiązałeś ten problem? - zapytała Twisk.

- Konie są spętane na wybiegu, a bandyci uciekają przez łąkę Lanklyn ścigani przez niedźwiedzie.

- Sammikin powinien chyba zostać zamieniony w ropuchę, a Ossip w salamandrę - powiedziała Twisk. - Należałoby również dokładniej zbadać okoliczności śmierci Pymfyda, choćby dlatego, że nie interesują mnie cuda w rodzaju chodzących trupów.

- A może on żyje? - zasugerowała Madouc.

- To oczywiście możliwe - powiedziała Twisk.

- Gdyby chciał, żeby go wzięto za martwego, nie powinien się ruszać z miejsca - burknął Zocco.

- Racja - przyznała Twisk. - Teraz możesz już odejść. A w przyszłości nie próbuj tych swoich podstępnych sztuczek na mojej niewinnej, młodej córce.

- Młoda to ona jest, ale wątpię czy taka niewinna - burknął ponownie Zocco. - Teraz zaś pożegnaj się z wami. - Zdawało się, że upadał do tyłu na kamień i zniknął.

- Zocco nie jest aż taki zły jak wszystkie wefkiny - powiedziała Twisk. - No cóż, czas nagli. Miło było się z tobą spotkać po tylu latach, ale...

- Poczekaj! - krzyknęła Madouc. - Ciągle nic nie wiem o moim ojcu ani o rodowodzie.

- Zastanowię się nad tą sprawą. Na razie zaś...

- Jeszcze nie, kochana matko! Potrzebuję twojej pomocy w paru drobnych sprawach.

- Jeśli muszę, to trudno - zgodziła się Twisk. - Czego ci potrzeba?

- Pymfyd może być w bardzo złym stanie; daj mi coś, co mu pomoże.

- To bardzo proste. - Twisk zerwała liść laurowy i splunęła nań. Zwinęła go w rulonik, dotknęła nim swojego czoła, nosa i podbródka, po czym dała go Madouc. - Potrzyj tym rany Pymfyda, a szybko i dobrze się zagoją. Czy jeszcze chciałabyś o coś zapytać, bo jeśli nie...

- Tak, jest jeszcze coś! Czy mogę użyć zaklęcia „Ruchliwe paluszki” wobec pani Desdei? Gdyby podskoczyła zbyt wysoko, byłoby to dla niej dość

wstydlive, a nawet mogłaby sobie zrobić krzywdę.

- Masz dobre serce - powiedziała Twisk. - Jeśli chodzi o „Ruchliwe paluszki”, to musisz się nauczyć subtelności ruchów i gestów, a także właściwego ruchu brodą. Gdy trochę poćwiczysz, będziesz mogła zapanować nad siłą i wysokością jej skoku. Co jeszcze?

Madouc zastanowiła się.

- Chciałabym różdżkę do transformacji, czapkę niewidkę, latające pantofelki, sakiewkę nie dającą się opróżnić, talizman pozwalający kierować uczuciami innych i lustro...

- Dość! - krzyknęła Twisk. - Twoje potrzeby są wygórowane.

- Nic nie szkodziło zapytać - odparła księżniczka. - Kiedy się znowu zobaczymy?

- Jeśli to konieczne, przyjedź do Thripsey Shee.

- Jak znajdę to miejsce?

- Jedź Starym Traktem do Małego Saffield. Skręć na północ drogą Timble, przejedziesz najpierw przez miasteczko Timble, a potem Glymwode, które jest pod samym lasem. Skieruj się na ścieżkę Wamble, która prowadzi na łąkę Thripsey. Przyjedź w południe, nigdy w nocy, a to z wielu różnych powodów. Stań na skraju łąki i wypowiedz moje imię trzy razy, wtedy przyjdę. Jeśli ktoś będzie ci płatał figle, krzyknij: „Nie psocicie się mi, na prawo elfów”.

- Czy nie byłoby wygodniej, gdybym wzywała cię za pomocą piszczałki z trawy? - zasugerowała dziewczynka.

- Być może dla ciebie, lecz niekoniecznie dla mnie. - Twisk podeszła i ucałowała Madouc w czoło. Cofnęła się z uśmiechem na ustach. - Byłam trochę leniwa jako matka, ale taką już mam naturę i niczego więcej nie możesz ode mnie oczekiwać - powiedziała i zniknęła.

Madouc, ze swędzącym czołem, stała sama pośród lasu. Spojrzała na miejsce, gdzie stała Twisk i również poszła swoją drogą.

IV

Madouc wróciła przez las po swoich śladach. W zagrodzie dla owiec stał Tyfer i kasztanek Pymfyda. Były przywiązane do słupka. Wsiadła na Tyfera i prowadząc za sobą kasztanka pojechała w kierunku Starego Traktu.

Jadąc rozglądała się uważnie na wszystkie strony, ale nigdzie nie widziała Pymfyda, martwego ani żywego. Zaniepokoiło ją to i zakłopotало. Jeśli Pymfyd żył, dlaczego leżał tak bezwładnie i nieruchomo w rowie? Jeśli zaś był martwy, jak mógłby chodzić?

Rozglądając się wciąż na prawo i lewo przecięła Stary Trakt i wjechała na drogę Fanship. Pojechała na południe i wkrótce dotarła do Sarris. W ponurym nastroju zaprowadziła konie do stajni, gdzie w końcu wyjaśniła się tajemnica zniknięcia Pymfyda. Siedział niepokieszony obok sterty gnoju.

Na widok Madouc zerwał się na równe nogi.

- W końcu zadałaś sobie trochę trudu, aby się pokazać - krzyknął. - Gdzie byłaś tak długo?

- Zatrzymały mnie wydarzenia, na które nie miałam wpływu - odparła z godnością.

- Bardzo dobrze - burknął Pymfyd. - A ja tymczasem siedziałem tu jak na rozżarzonych węglach! Gdyby król Casmir wrócił przed tobą, jęczałbym teraz w jakimś lochu.

- Raczej znacznie bardziej martwiłaś się o siebie niż o mnie - pogardliwie odparła Madouc.

- Wcale nie! Ciągłe się zastanawiałem, co mogło ci się przydarzyć i strasznie się martwiłem. A właściwie co się z tobą działo?

Madouc nie czuła potrzeby relacjonowania mu wszystkich swoich przygód.

- Rabusie gonili za mną w głąb lasu. Gdy ich zmyliłam, zatoczyłam koło z powrotem na Stary Trakt i wróciłam do domu. To w zasadzie wszystko, co się wydarzyło. - Zsiadła z Tyfera i uważnie zlustrowała wzrokiem Pymfyda. - Mimo tego paskudnego lania wyglądasz, jakbyś był w całkiem dobrym zdrowiu.

- Ha! - rzucił pogardliwie Pymfyd. - Nie tak łatwo mnie ogłuszyć! Mam twardą głowę.

- W sumie jednak, biorąc pod uwagę całe twoje zachowanie, nie można ci nic zarzucić - stwierdziła. - Walczyłeś dzielnie.

- To prawda! Nie jestem jednak głupcem. Kiedy zobaczyłem, jak się sprawy mają, udałem, że jestem martwy.

- Masz dużo siniaków, jakieś rany?

- Nie przeczę, że boli mnie tu i tam. W głowie mi huczy, jak w wielkim dzwonie.

- Podejdź do mnie, Pymfydzie. Spróbuję ulżyć ci w twoich cierpieniach.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał podejrzliwie.
- Lepiej o nic nie pytaj.
- Jestem raczej ostrożny, jeśli chodzi o lekarstwa. Nie chcę nic na oczyszczenie ani innych paskudztw.

Madouc nie przejęła się jego marudzeniem.

- Chodź tutaj i pokaż, gdzie cię boli.

Pymfyd podszedł i strachliwie wskazał na siniaki. Dziewczynka nałożyła mu miksaturę, którą dostała od Twisk, i natychmiast przestało go boleć.

- To było niezłe - pochwalił ją wstrzemięźliwie. - Gdzie się nauczyłaś takiej sztuczki?

- To wrodzone - odparła. - Chciałabym również nagrodzić cię za odwagę. Walczyłeś dzielnie i zasługujesz na uznanie. - Rozejrzała się dookoła, ale poza widłami nie znalazła nic przydatnego do jej zamiarów. - Pymfydzie, uklęknij przede mną!

Pymfyd wpatrzył się w nią zdziwiony.

- A teraz co?
- Rób, jak mówię! To królewski rozkaz!

Pymfyd wzruszył ramionami pogodzony z losem.

- Podejrzewam, że muszę spełniać twoje kaprysy, choć nie widzę powodu dla takiego upokorzenia.

- Masz również przestać marudzić!
- Pospiesz się więc z tą swoją zabawą! Już czuję się jak głupiec.

Madouc wzięła widły i uniosła je wysoko. Pymfyd skulił się i zakrył głowę ramionami.

- Do czego zmierzasz?

- Cierpliwości, Pymfydzie! To narzędzie symbolizuje piękny, stalowy miecz! - Madouc dotknęła widłami głowy Pymfyda. - W uznaniu dla twoich zasług na polu bitwy mianuję cię rycerzem. Będiesz odtąd znany jako sir Pom-Pom. Wstań, sir Pom-Pomie! Przynajmniej w moich oczach dowiodłeś swej odwagi!

Pymfyd wstał, szczerząc zęby i narzekając naraz.

- Stajenni nie będą się tym wcale przejmować.
- To bez znaczenia! Dla mnie będziesz odtąd sir Pom-Pomem.

Nowo pasowany rycerz, sir Pom-Pom, wzruszył ramionami.

- Przynajmniej jest to jakiś początek.

Rozdział 4

I

Pani Desdea, dowiedziawszy się od stajennych o powrocie Madouc do Sarris, stanęła na czatach w hallu wejściowym, gdzie miała nadzieję złapać nieznosną księżniczkę.

Minęło pięć minut. Pani Desdea czekała z błyszczącymi oczyma i założonymi na piersiach rękami, stukając palcami po ramionach. Madouc, apatyczna i znużona, pchnęła drzwi i weszła do hallu.

Przeszła bokiem, nie rozglądała się ani na prawo, ani na lewo, jakby zagrożona w głębokich rozmyślaniach, ignorując panią Desdeę, jakby jej tam wcale nie było.

Pani Desdea uśmiechnęła się raczej ponuro.

- Księżniczko Madouc! - zawołała. - Jeśli łaska, chciałabym zamienić z tobą słówko.

Madouc zatrzymała się i zwiesiła ramiona. Odwróciła się niechętnie.

- Tak, pani Desdeo, czego sobie życzysz?

Pani Desdea starała się być opanowana.

- Po pierwsze, chciałabym powiedzieć coś o twoim zachowaniu, księżniczko, które wszystkich bardzo zaniepokoiło. Następnie chcę cię poinformować o pewnych planach.

- Jeśli jesteś zmęczona - powiedziała księżniczka ze słabą nadzieją w głosie - nie musisz się trudzić uwagami na mój temat. A jeśli chodzi o plany, porozmawiamy o nich innym razem.

Uśmiech pani Desdei zamarł na jej twarzy.

- Jak sobie życzysz, choć uwagi są nader stosowne właśnie teraz, a plany dotyczą cię pośrednio i bezpośrednio... Jedną chwilkę - powiedziała pani Desdea, bo Madouc zaczęła się odwracać. - Wspomnę tylko tyle: król i królowa zaplanowali z okazji urodzin księcia Cassandra wielkie uroczystości. Przyjedzie wiele ważnych osób. Wydane zostanie przyjęcie, podczas którego zasiądziesz do stołu z resztą rodziny królewskiej.

- No cóż, przypuszczam, że nie jest to aż tak wielka sprawa - rzuciła i ponownie zaczęła się odwracać, lecz znowu zatrzymał ją głos pani Desdei:

- Do tego czasu musisz się nauczyć typowych zwrotów grzecznościowych, odpowiednich gestów, tak byś prezentowała się jak najlepiej.

- Niewiele jest tu do uczenia - odparła przez ramię Madouc - skoro wymaga się ode mnie, bym siedziała cicho przy stole i tylko od czasu do czasu potakiwała skinięciem głowy.

- Chodzi o coś więcej niż to - odparła pani Desdea. - O wszystkich szczegółach dowiesz się jutro.

Madouc udawała, że nic nie słyszała i ruszyła korytarzem w kierunku swojej komnaty. Podeszła prosto do łóżka i zajrzała pod poduszkę. Co pod nią znajdzie? Powoli, obawiając się, że nic tam nie będzie, uniosła poduszkę i zobaczyła mały srebrny grzebień.

Wykrzyknęła z radości. Twisk nie była przykładną matką, ale przynajmniej żyła, w przeciwieństwie do księżniczki Suldrun. Madouc nie była już taka samotna.

Na ścianie obok toaletki wisiało lustro z bizantyjskiego szkła, wyrzucone przez królową Sollace ze względu na drobne wady i wykrzywienia, ale uznane za wystarczająco dobre dla księżniczki Madouc, która zresztą i tak rzadko z niego korzystała.

Stała przed lustrem. Spojrzała na swoje odbicie, które odwzajemniło spojrzenie błękitnymi oczyma, błyszczącymi spod skłębionej czupryny miedzianozłotych loków.

- Moje włosy nie wyglądają tak strasznie, jak twierdzą niektórzy - powiedziała odważnie do siebie. - Nie są może zbyt równe, ale nie chcę innych. Zobaczmy, co się stanie.

Przeciągnęła grzebieniem po włosach. Sunął lekko przez kosmyki, bez zwykłych szarpnięć i bólu. Czesanie tym grzebieniem było samą przyjemnością.

Madouc przestała się czesać i znowu przyjrzała się swemu odbiciu. Zmiana, choć nie uderzająca, była łatwo zauważalna. Splątana przedtem czupryna zdawała się spływać miękkimi lokami, które układały się swobodnie dookoła jej twarzy.

- Bez wątplenia nastąpiła poprawa - powiedziała sama do siebie. - Dzięki temu przestaną się ze mnie naśmiewać. To był nadzwyczaj ciekawy dzień.

Rankiem zjadła śniadanie, w małej słonecznej alkwie przy kuchni, gdzie spotkanie Devonet lub Chlodys było mało prawdopodobne.

Po owsiance i gotowanym bekonie zdecydowała się zjeść brzoskwinie, po czym zabrała się do winogron. Nie zdziwiła się, kiedy przez drzwi zajrzała pani Desdea.

- A więc to tu się ukrywasz!
- Nie ukrywam się - chłodno odparła Madouc. - Jem śniadanie.
- Widzę. Czy już skończyłaś?
- Niezupełnie. Jeszcze jem winogrona.
- Kiedy już skończysz przyjdź, proszę, do saloniku. Będę tam na ciebie czekała.

Madouc z rezygnacją wstała od stołu.

- Pójdę już teraz.

W saloniku pani Desdea wskazała na krzesło.

- Możesz usiąść.

Niezbyt zachwycona tonem pani Desdei, spojrzała na nią ponuro, po czym upadła na krzesło z nogami wyciągniętymi do przodu i brodą opuszczoną na piersi.

Pani Desdea przyglądała się jej z dezaprobatą.

- Jej Królewska Mość uznała, że twoje zachowanie nie jest satysfakcjonujące. Zupełnie się z nią zgadzam.

Madouc ściągnęła usta, ale nie powiedziała ani słowa.

- Nie jest to ani mało ważne, ani trywialne - ciągnęła pani Desdea. - Ze wszystkiego, co masz, najważniejsza jest twoja reputacja. Ach! - Pani Desdea rzuciła groźne spojrzenie w jej kierunku. - Jeśli wydymasz tak policzki, zapewne masz wątpliwości. Jednakże to ja mam rację!

- Tak, pani Desdeo.

- Jako księżniczka z Lyonesse, jesteś bardzo ważną osobą! Wieści o tobie, dobre czy też złe, rozchodzą się szybko i daleko, jakby niesione na ptasich skrzydłach. Z tego właśnie powodu musisz się zachowywać miło, grzecznie i z gracją. Musisz dbać o swoją reputację, jakby to był piękny ogród pełen pachnących kwiatów.

Madouc odparła zamyślna:

- Mogłabyś mi w tym pomóc, zawsze zdając królowej pozytywne relacje o moim zachowaniu.

- Najpierw musisz zmienić swoje przyzwyczajenia, gdyż nie mam zamiaru się ośmieszyć.

- Wobec tego lepiej, żebym się w ogóle nie odzywała.

Pani Desdea zrobiła dwa kroki w jedną i dwa kroki w drugą stronę. Zatrzymała się przed nią i spojrzała jej prosto w oczy. Czy chcesz być znana jako śliczna, młoda księżniczka ceniona za jej szlachetne zachowanie, czy

też jako nieznośny, mały obdartus z brudną buzią i podrapanymi kolanami?

- Czy nie ma innego wyboru?

- Na razie nie ma. Madouc westchnęła głęboko.

- Nie mam nic przeciwko temu, aby uznano mnie za śliczną, młodą księżniczkę, dopóki nie będzie się ode mnie oczekiwać, abym się głupio zachowywała.

Pani Desdea uśmiechnęła się złowrogo.

- Niestety, to niemożliwe. Nikt nie pomyśli, że jesteś kimś, kim naprawdę nie będziesz. Bardzo ważnym jest, abyś podczas wielkich uroczystości prezentowała się jako wdzięczna i cnotliwa księżniczka, wobec tego musisz się tak właśnie zachowywać. Jako że zdajesz się nie pojmować, o co mi chodzi, musisz się tego nauczyć. Zgodnie z życzeniem królowej, nie będziesz mogła jeździć na twoim koniu lub w jakikolwiek inny sposób włóczyć się po okolicy oraz pływać w rzece, dopóki nie skończą się uroczystości.

Madouc podniosła nagle wzrok.

- A co wobec tego będę robić? - zapytała zaskoczona.

- Będiesz się uczyć etykiety, dobrego zachowania, a twoje lekcje zaczną się natychmiast. Pozbądź się tej niezgrabnej, ociężałej pozy, wyprostuj się na krześle, trzymaj ręce na kolanach...

II

Z okazji osiemnastych urodzin księcia Cassandra miano urządzić festyn, który zgodnie z zamierzeniami króla Casmira miał przewyższyć świetnością wszystkie inne urządzane wcześniej w Sarris.

Całymi dniami nadjeżdżały ze wszystkich stron wozy załadowane workami, kotłami, wielkimi pakami, beczkami z marynowanymi rybami. Przywożono również kielbaski, szynki, bekony, beczki z oliwą, winem, jabłecznikami i piwem, kosze wyładowane cebulą, rzepą, kapustą, porami, a także pietruszką, słodkimi ziołami i sałatą. W kuchniach wrzało we dnie i w nocy, paleniska nie wygasaly nawet na chwilę. Na dziedzińcu służbowym wybudowano cztery piece, w których rumieniły się chrupiące bochny chleba, szafranowe bułeczki, placki owocowe, słodkie babki z rodzynkami, anyżem, miodem i orzechami, a czasami też z cynamonem, gałką muskatołową i

goździkami. Od jednego z pieców dochodziła woń pasztetów z wołowiny i porów, dziczyzny na ostro marynowanej w winie, pieczonego z wieprzowiny w cebuli, pasty ze szczupaków i kopru, karpia pieczonego na maśle z grzybami i baraniny z jęczmieniem oraz tymiankiem.

W noc poprzedzającą urodziny Cassandra nadziano na rożny dwa woły, dwa wieprze i cztery owce. Rankiem miało do nich dołączyć dwieście kurczaków, tak aby wszystko było gotowe na wielki bankiet, który miał się zacząć w południe i trwać dopóty, dopóki wszyscy nie najedzą się do syta.

Już na dwa dni przed uroczystościami szlachetni goście zaczęli zjeżdżać do Sarris, przybywając ze wszystkich stron Lyonesse, z Blaloc, z Pomperolu i Dahautu. Nadjeżdżali również z dalekiej Akwitanii, Armoryki, Irlandii i Walii. Najważniejsi arystokraci umieszczani byli we wschodnim lub zachodnim skrzydle. Ci, którzy przyjechali później oraz mniej wyśmienici goście zatrzymali się w pawilonach nad brzegiem rzeki. Rozmaici dygnitarze - baronowie, rycerze, marszałkowie wraz ze swoimi damami - musieli zadowolić się siennikami i tapczanami wystawionymi w hallach i korytarzach zamku. Większość z gości i tak miała odjechać następnego dnia po bankiecie, choć paru z nich mogło przedłużyć swój pobyt w celu przedyskutowania z królem spraw wagi państwowej. Tuż przed bankietem rodzina królewska miała na oficjalnej audyencji przywitać się z wszystkimi gośćmi. Audyencja miała się zacząć rankiem i trwać aż do południa. Madouc została wyraźnie poinformowana, że będzie tam wymagana jej obecność, a co więcej - doradzono jej, że ma się zachowywać jak najmilej i robić tylko to, co przystoi księżniczce.

Późnym wieczorem przed dniem uroczystości pani Desdea pojawiła się w komnacie Madouc, gdzie wyjaśniła jej, na czym ma polegać właściwe zachowanie i czego się będzie od niej oczekiwać. Rozdrażnił ją brak zainteresowania dziewczynki.

- Nie będziemy się rozwodzić nad szczegółami, bo wszystko jest bardzo ważne i jeśli wysilisz się trochę, aby sobie przypomnieć naukę Euklidesa, to zobaczysz, że na całość składają się poszczególne części.

- Jak tam sobie chcesz. A teraz jestem zmęczona i pójdę spać.

- Jeszcze nie! Konieczne jest, abyś zrozumiała naszą troskę o ciebie. Daleko rozeszły się plotki o twoim głupim zachowaniu i dzikich pomysłach.

Każdy z gości będzie cię obserwował z wielką ciekawością, czekając na twoje dziwaczne lub szalone popisy.

- Ba - mruknęła Madouc. - Mogą się gapić, ile tylko będą chcieli. Mnie wszystko jedno. Czy teraz już skończyłaś?

- Jeszcze nie! - ucięła ostro pani Desdea. - Wciąż nie jestem przekonana, czy mnie dobrze rozumiałaś. Co więcej, pośród gości będzie kilku młodych księżąt. Niektórzy z nich bardzo pragną znaleźć właściwą małżonkę.

Madouc ziewnęła.

- Nic mnie to nie obchodzi. Ich intrygi są mi zupełnie obojętne.

- Lepiej, żeby cię obchodziły, i to bardzo. Każdy z nich z chęcią wżeniłby się w rodzinę królewską z Lyonesse! Będą cię obserwować z wielką uwagą, oceniając twoje możliwości!

- To bardzo nieuprzejme zachowanie - odpowiedziała.

- Wcale nie. Jest ono naturalne i właściwe. Chcą sobie znaleźć dobre żony. Na razie jesteś zbyt młoda, aby myśleć o małżeństwie, ale lata płyną szybko i kiedy nadejdzie czas, aby pomyśleć o wydaniu cię za mąż, chcielibyśmy, żeby ci księżęta zachowali o tobie dobre wspomnienia. To pozwoli królowi Casmirowi na dokonanie najwłaściwszego wyboru.

- Same głupoty i absurdy - powiedziała zła Madouc. - Jeśli królowi Casmirowi tak zależy na czymś małżeństwie, niech wyda za mąż Devonet, Chlodys albo księcia Cassandra, a nawet ciebie. Ale niech nie oczekuje, że będę brała w tym udział.

Pani Desdea wrzasnęła zaszokowana:

- Twoja gadanina jest skandaliczna. - Brakowało jej słów, tak była rozłoszczona. - Nie powiem już nic więcej, możesz iść spać. Mam tylko nadzieję, że rano będziesz się zachowywać rozsądniej.

Dziewczynka nie odpowiedziała i cicho pomaszerowała do łóżka.

Rano pojawiły się gotowe do pracy służki. Do wielkiej, drewnianej kadzi nalano ciepłej wody. Madouc została umyta białym, egipskim mydłem i opłukana czystą wodą z dodatkiem pachnącego balsamu ze Starego Tingisu. Jej włosy zostały wyczesane, tak że zaczęły lśnić, po czym Madouc ukradkiem przeczesała je własnym grzebieniem, a jej miedzianozłote loki ułożyły się prześlicznie. Została ubrana w błękitną sukienkę z bufiastymi rękawami, zdobioną białymi naszyciami na spódnicy.

Pani Desdea przyglądała się temu krytycznie z pewnej odległości. Życie w Sarris, myślała, zdawało się służyć Madouc. Czasami wyglądała nawet ślicznie, choć jej kształty i długie nogi sprawiały wrażenie chłopięcych.

Księżniczka nie była zadowolona z sukienki.

- Zbyt wiele tu haftów i cekinów.

- Nonsens! - odparła pani Desdea. - Ta sukienka tuszuje twoje drobne i chude kształty, powinnaś więc być wdzięczna, że ją wybrałam. Jest ci w niej bardzo ładnie.

Zignorowała te uwagi, gdyż nie pocieszały jej ani trochę. Kiedy naciągała rękawiczki, ponownie wyczesano jej włosy, a następnie spięto je srebrną szpilą wysadzaną jaspisem i lapis lazuli, „aby wszystko było zapięte na ostatni guzik”, jak to ujęła pani Desdea, gdy udzieliła Madouc ostatnich instrukcji.

- Spotkasz się z wieloma szlachetnymi gośćmi. Pamiętaj, musisz ująć ich wdziękiem i zachowywać się tak, aby mieli o tobie jak najlepsze zdanie, przez co raz i na zawsze skończymy z tymi nieprzyjemnymi plotkami na twój temat.

- Nie mogę zrobić tego, co niemożliwe - burknęła Madouc - Jeżeli ktoś będzie chciał źle o mnie myśleć, to tak będzie, choćbym nawet płaszczyła się mu u stóp i okazywała największy szacunek.

- Tak przesadne zachowanie na pewno nie będzie konieczne - szorstko odparła pani Desdea. - Przyjazne zachowanie i grzeczność zazwyczaj wystarczają.

- Próbujesz podkuć krowę. Skoro to ja jestem księżniczką, to oni muszą się starać o moją przychylność, a nie na odwrót. To proste i sensowne.

Pani Desdea wyraźnie nie chciała dyskutować na ten temat.

- To nie ma teraz żadnego znaczenia. Słuchaj uważnie, gdy goście będą przedstawiani, przywitaj ich grzecznie, nie zapominając o tytule i imieniu. Pomyślą wówczas, że jesteś miła i uprzejma i zaczną wątpić w usłyszane plotki. - Madouc nic nie powiedziała, więc pani Desdea dalej ciągnęła pouczenia. - Siedz cicho; nie wier się ani nie. drap, nie machaj nogami. Kolaną trzymaj razem. Ramiona blisko ciała, a nie rozczapierzone jak skrzydła rybitwy na wietrze. Jeśli zobaczysz kogoś znajomego w drugim końcu komnaty, nie wrzeszcz do niego, to nie jest właściwe. Nie wycieraj nosa w rękaw. Nie rób min, nie nadymaj policzków. Nie chichocz bez powodu. Czy zapamiętasz to wszystko?

Pani Desdea czekała na odpowiedź, ale Madouc siedziała wpatrując się

pustym wzrokiem w drugi koniec pokoju. Pani Desdea pochyliła się nad nią i ostro krzyknęła:

- No i co, księżniczko Madouc? Odpowiesz mi czy nie?
- Oczywiście, kiedy tylko zechcesz. Tylko powiedz.
- Zdążyłam już wiele powiedzieć.
- Najwidoczniej błędziłam gdzieś myślami i nie słyszałam wszystkiego. Panią Desdeę zaswedziały ręce.

- Chodź, audyencja niedługo się zacznie - rzuciła cierpkim tonem. - Raz w życiu powinnaś się zachować jak księżniczka i zrobić dobre wrażenie.

- Nie zależy mi na tym, aby robić dobre wrażenie - powiedziała znużonym głosem. - Jeszcze ktoś będzie chciał mnie poślubić.

Odpowiedź pani Desdei sprowadziła się do sarkastycznego prychnięcia.

- Chodź. Czekają na nas.

Pani Desdea poszła przodem przez główny korytarz do Wielkiego Hallu, a Madouc ciągnęła się za nią, ostentacyjnie człapiąc nogami, co pani Desdea zignorowała uznając za złośliwość.

Goście zbierali się już w Wielkim Hallu. Stali w grupach pozdrawiając znajomych, oceniając nowo przybyłych, kłaniając się sztywno przeciwnikom, ignorując wrogów. Każdy, ubrany był w najlepsze, najwspanialsze ubranie, mając nadzieję co najmniej ściągnąć na siebie uwagę, a może nawet wzbudzić podziw i zazdrość. Przechadzali się z miejsca na miejsce, szeleściły jedwabie i atłasy, a światło mieniło się w bogatych ozdobach. Komnata tonęła w kolorach, tak intensywnych i jaskrawych, że każdy odcień żył jakby własnym życiem. Przed oczami migąła lawenda, purpura, głęboka czerń, intensywna żółć i musztardowa ochra, szkarłat, karminowa czerwień granatów, wszystkie odcienie błękitu - kolor nieba, turkus oceanu, czarno-granatowy jak skrzydła żuka - oraz rozmaite warianty zieleni.

Kłaniając się i uśmiechając pani Desdea doprowadziła Madouc do podium ustawionego dla rodziny królewskiej, gdzie czekał na nią śliczny, mały tron z połączonego drewna i kości słoniowej, obity na siedzeniu i oparciu czerwonym aksamitem.

Pani Desdea szepnęła konspiracyjnym tonem:

- Wiedz, że będzie tu dzisiaj książę Bittern z Pomperolu, jak również książę Chalmes z Montferrone i książę Garcelin z Akwitanii oraz paru innych

młodzieńców z wysokich rodów.

Madouc patrzyła na nią obojętnie.

- Jak wiesz, te osoby mnie nie interesują.

Pani Desdea uśmiechnęła się w sarkastyczny, typowy dla niej sposób.

- Mimo to znajdując się tu przed tobą i będąc się przyglądać z uwagą, aby ocenić twój wdzięk i odkryć, jaka jesteś. Dowiedzą się, czy masz piegi, zeza, czy jesteś nawiedzona, czy po prostu głupia lub upośledzona umyślowo, czy masz odstające uszy i niskie czoło. Uważaj teraz! Usiądź prosto i siedź cicho.

- Tu nikogo jeszcze nie ma - jęknęła księżniczka. - Dlaczego mam tu siedzieć jak kura na grzędzie? To zupełna głupota. Ten tron nie wygląda na wygodny. Dlaczego nie położyli mi ładnej poduszki? Król Casmir i królowa Sollace będą siedzieć na poduchach grubych na cztery cale, a na moim siedzisku jest tylko skrawek czerwonego sukna.

- To bez znaczenia! Będziesz tam miała pośladki, nie oczy. Siadaj, jeśli laska!

- To jest najbardziej niewygodny tron na świecie.

- Może i tak. Mimo to przestań się tak wiercić, jakbyś już chciała uciec do toalety.

- Rzeczywiście, chcę.

- Dlaczego nie pomyślałaś o tym wcześniej? Nie ma teraz na to czasu. Król i królowa wchodzi do komnaty.

- Możesz być pewna, że oboje wypróżnili się do woli - powiedziała Madouc. - Ja też chcę. Czyż nie mam takiego prawa? Jestem przecież księżniczką?

- Myślę, że tak. Pospiesz się więc.

Dziewczynka wyszła pośpiesznie, lecz wcale nie spieszyło się jej do powrotu. Tymczasem król i królowa przechodzili powoli przez hall, przystając niekiedy, żeby zamienić parę słów z bardziej faworyzowanymi osobami.

Madouc wróciła po pewnym czasie. Przejechała niewidzącym spojrzeniem po pani Desdei i usiadła na złożonym tronie. Przesunawszy długim, pełnym męczeństwa spojrzeniem po suficie, usiadła wreszcie spokojnie.

Król i królowa zajęli swoje miejsca. Boczny wejście wszedł książę Cassander ubrany w świetny, skórzany kubrak, bryczesy z czarnego materiału haftowane złotą nicią i w koszulę z białego batystu. Żwawo przemaszrował przez hall, przyjmując pozdrowienia od przyjaciół i znajomych non-szalanckimi skinieniami, po czym zajął miejsce z lewej strony króla Casmira.

Sir Mungo z Hatch, wielki seneszał, wyszedł do przodu. Dwóch heroldów zagrało na klarnetach skróconą fanfarę „Władca na Tronie” i w sali zaległa cisza.

Poważnym głosem sir Mungo zwrócił się do zgromadzonych:

- Przemawiam w imieniu rodziny królewskiej! Witamy was w Sarris! Cieszymy się bardzo, że możecie bawić się razem z nami na tak radosnej uroczystości, mówiąc krótko: na osiemnastych urodzinach naszego ukochanego księcia Cassandra!

Madouc jęknęła i spuściła brodę, tak że opadła jej na piersi. Przez głowę przemknęła jej nagła myśl. Rozejrzała się na boki, lecz napotkała ostre spojrzenie pani Desdei. Westchnęła i zrezygnowana wzruszyła ramionami. Wyprostowała się w krzesle, jakby to wymagało wielkiego wysiłku.

Sir Mungo zakończył przemowę. Heroldowie zegrali kolejną krótką fanfarę i audyencja się zaczęła. Goście podchodzili do przodu, sir Mungo przedstawiał ich wypowiadając imię i tytuł. Przedstawiana osoba składała uszanowanie najpierw Cassandrowi, potem królowi Casmirowi, a następnie królowej Sollace i wreszcie, w mniej lub bardziej powierzchowny sposób, księżniczce Madouc, która odpowiadała zazwyczaj obojętnie, w sposób ledwie mieszczący się w granicach przyjętych przez królową Sollace i panią Desdeę.

Audyencja ciągnęła się dla Madouc w nieskończoność. Głos sir Mungo ją nużył, damy i panowie przechodzący przed nią zaczęli wyglądać tak samo. W końcu zaczęła dla rozrywki przyrównywać każdego przybywającego do jakiegoś zwierza lub ptaka i tak jeden dżentelmen został Bawołem, inny Gronostajem, natomiast jedna z dam Kwoką, a inna Myszą. Gdy Madouc spojrzała na prawo, surowo przyglądała się jej pani Wrona, a z lewej siedziała królowa Krowa.

Zabawa się jej sprzykrzyła. Zaczęły ją boleć pośladki. Przechyliła się w jedną, potem w drugą stronę, a w końcu odchyliła się do tyłu i opadła w głąb tronu. Przypadkowo zauważyła spojrzenie pani Desdei i przez moment bezmyślnie przyglądała się, jak daje jej gniewne znaki ręką. Wreszcie, z bolesnym westchnieniem, ruszyła się i usiadła wyprostowana.

Nie mając nic lepszego do roboty, Madouc rozglądała się po sali, odrobinę zaciekawiona, który to z obecnych dżentelmenów mógłby być księciem Bitternem z Pomperolu, którego przychyłość - jak uznała pani Desdea -

powinna sobie zaskarbić. Być może został jej już przedstawiony i wcale tego nie zauważyła. Bardzo możliwe, pomyślała. Jeśli jednak tak się stało, to z pewnością nie udało jej się go oczarować lub wzbudzić jego podziwu.

Przy ścianie stało trzech młodzieńców. Wszyscy wyraźnie należeli do wysokich rodów, a pogrążeni byli w rozmowie z mężczyzną o intrygującym wyglądzie, chociaż - jeśli wierzyć ledwie zauważalnym cechom - nie pochodzącym z żadnego znacznego, szlacheckiego domu. Był wysoki, szczupły, o włosach jasnych jak popiół, opadających gęstymi lokami dookoła jego wesołej twarzy. Jego lśniące oczy zdradzały wielką żywiołowość. Zaciskał usta, jakby starał się powstrzymać przed nagłym wybuchem śmiechu. Jego strój, jak na taką okazję, był bardzo prosty. Pomimo braku jakichkolwiek oznak przynależności do wyższego stanu zachowywał się godnie, bez śladu uniożności w stosunku do arystokratów, w których towarzystwie się znalazł. Madouc obserwowała go z przychylnością. Wyglądało na to, że trzech młodzieńcy i on właśnie przybyli. Nadal mieli na sobie stroje podróżne. Trzej młodzi ludzie byli w takim wieku, o jakim wspominała pani Desdea. Jeden z nich był raczej chudy, o wąskich ramionach i dość niezgrabny. Miał jasne włosy, pociągłą brodę i długi zakrzywiony nos. Czy to mógł być książę Bittern? W tej chwili rzucił dość ukradkowe spojrzenie w jej kierunku. Jęknęła ze złości, że przyłapano ją na spoglądaniu w tamtym kierunku.

Tłok przed podium królewskim zmalął. Trzej młodzieńcy podeszli, aby się przywitać. Sir Mungo przedstawił ich i pesymistyczne przewidywania Madouc zostały potwierdzone.

- Jesteśmy zaszczytzeni obecnością szlachetnego księcia Bitterna z Pomperolu! - oświadczył podniosłym głosem wielki seneszał.

Książę Bittern siłąc się na swobodę skłonił się przed księciem Cassandrem i uśmiechnął się porozumiewawczo. Książę Cassander uniósł brwi, skinął uprzejmie głową i zaczął wypytywać, jak przebiegła podróż księcia Bitterna z Pomperolu.

- Doprawdy, bardzo przyjemnie! Chalmes i ja mieliśmy całkiem nieoczekiwane towarzystwo po drodze, a obaj napotkani podróżni byli świetnymi kompanami!

- Zauważyłem, że przybyliście w towarzystwie.
- Bardzo dobrze się razem bawiliśmy!
- Mam nadzieję, że u nas również będziecie się dobrze bawić.

- Jestem tego pewien! Ten dom jest znany ze swej gościnności.
- Miło mi to słyszeć.

Bittern ruszył w stronę króla Casmira, podczas gdy Cassander zwrócił się do księcia Chalmesa z Montferrone.

Księżę Bittern został z gracją powitany przez króla Casmira i królową Sollace. Potem ze słabo ukrywaną ciekawością stanął przed Madouc. Przez chwilę stał jakby zagubiony, nie wiedząc, w jakim tonie się do niej zwrócić.

Madouc przyglądała mu się obojętnie. W końcu księżę Bittern skłonił się, łącząc dobrotliwą grzeczność z odrobiną protekcyjności. Jako że księżniczka była od niego o połowę młodsza, zaledwie wkraczała w wiek dojrzały, udawana żartobliwość zdawała się być na miejscu.

Madouc nie była ani zadowolona, ani pod wrażeniem tego, co zaprezentował księżę Bittern, i nie zareagowała na jego płytkie poufałości. Skłonił się ponownie i szybko odszedł.

Jego miejsce zajął księżę Chalmes z Montferrone. Był to krępy młodzieniec, dość niski, o krótkich, gęstych, łagodnie czarnych włosach i cerze upstrzonej pryszczami. Według oceny Madouc, księżę ten był niewiele bardziej ujmujący od księcia Bitterna.

Spojrzała teraz na trzeciego młodzieńca z tej grupy, składającego właśnie wyrazy szacunku królowej Sollace. Zajęta przywitaniem księcia Bitterna i księcia Chalmesa, nie usłyszała obwieszczenia sir Mungo. Wydawało jej się jednak, że go rozpoznaje. Była pewna, że kiedyś go już spotkała. Był średniego wzrostu i postury, zachowywał się swobodnie, ruchy miał żywe, był raczej krzepki, ale nie był zbyt muskularny, choć miał szerokie ramiona. Jego brązowożłote włosy obcięto krótko nad czołem i uszami. Oczy miał szaroniebieskie, a rysy ostre i regularne. Doszła do wniosku, że był nie tylko przystojny, ale również niewątpliwie bardzo sympatyczny. Natychmiast go polubiła. Gdyby to był księżę Bittern, wizja małżeństwa nie zdawałaby się taka tragiczna. Nie byłaby mile widziana, ale przynajmniej dopuszczalna.

Młodzieniec odezwał się do niej z lekkim wyrzutem:

- Nie pamiętasz mnie?
- Pamiętam - powiedziała Madouc - tylko nie mogę sobie przypomnieć, gdzie i kiedy się spotkaliśmy. Powiedz mi.
- Widzieliśmy się w Domreis. Jestem Dhrun.

III

Na wyspach Elder panował pokój. Po niespokojnych wiekach najazdów, napadów, bitew, zdrad, podstępów, gwałtów i morderstw w miastach, na wybrzeżach i we wsiach archipelagu nastał spokój.

W dwóch odizolowanych od reszty wysp miejscach sytuacja była wyjątkowa. Pierwszym z nich była wyspa Wysrod, gdzie nie dowierzające własnemu siłom wojska króla Audry'ego przemierzały wzdłuż i wszerz wilgotne górskie doliny i kamieniste pustkowia, starając się pokonać dzikich i niespokojnych Celtów, którzy szydzili sobie z żołnierzy, chowając się wysoko w górach i uderzając zniemacka w zimowej mgle, nieuchwytni jak duchy.

Drugim niespokojnym miejscem były wyżyny Południowych i Północnych Ulflandów, gdzie poplecznik Skalradów Torqual i jego banda rzeźmieszków dopuszczali się straszliwych zbrodni, kiedy tylko naszła ich na to ochota.

Poza tym wszystkie królestwa darzyły się, przynajmniej oficjalnie, przyjaźnią. Niewielu jednakże uznawało ten pokój za trwały i nienaruszalny. Ogólny pesymizm związany był z zamiarami króla Casmira. Powszechnie było wiadomo, że planuje on odzyskać tron Evandig i okrągły stół zwany Cairbra an Meadhan, znany też jako Stół Notabli. Casmir chciał przenieść je do Starego Hallu w Haidionie. Zresztą jego ambicje sięgały znacznie dalej - chciał włączyć całą wyspami Elder.

Plany Casmira były jasne, jak wypisane na dłoni. Zamierzał uderzyć na Dahaut, mając nadzieję na szybkie, łatwe i proste zwycięstwo nad słabowitą armią króla Audry'ego. Połączyłby następnie jej resztki ze swoimi wojskami i w dogodnej chwili zaatakował króla Aillasa.

Casmira na razie powstrzymała polityka prowadzona przez Aillasa, którego umiejętności nauczył się szanować. Aillas zdołał zapewnić bezpieczeństwo swemu królestwu, obecnie obejmującemu Troicinet, wyspę Scola, Dascinet, Północne i Południowe Ulflandy, które wcinają się pomiędzy Dahaut a Lyonesse. Co więcej, dał znać, że w wypadku wojny sprzymierzyły się natychmiast z zaatakowaną stroną, tak że agresor zostałby pokonany, a jego królestwo zniszczone.

Casmir, udając łaskawą obojętność, nieprzerwanie przygotowywał się do wojny. Zbroił armie, wzmacniał fortece i zakładał strategicznie usytuowane

składy z zapasami. Coraz potężniejszy, zaczął stopniowo gromadzić siły w północno-wschodnich prowincjach Lyonesse, choć działał na tyle ostentacyjnie, że trudno to było uznać za prowokację.

Aillas obserwował te poczynania z niepokojem. Nie miał złudzeń co do planów króla Casmira. Niewątpliwie zamierzał ściągnąć do swego obozu Pomperol i Blaloc, na przykład dzięki małżeństwu dynastycznemu lub po prostu przez zastraszenie. W ten sposób Casmir zagarnął wcześniej stare królestwo Caduz, będące obecnie prowincją Lyonesse.

Aillas zdecydował, że trzeba się przeciwstawić poczynaniom Casmira. W tym celu wyprawił księcia Dhruna z misją dyplomatyczną. Księżę w towarzystwie wysokich dygnitarzy odwiedził najpierw Falu Ffail w Avallonie, następnie gościł na zamku Twissamy w Blalocu, lubiącego trunki króla Miła, a potem przybył na dwór króla Kestrela na zamku Gargano w Pomperolu. Każdemu z nich Dhrun przekazał taką samą wiadomość, zapewniając o nadziei króla Aillasa na utrzymanie pokoju i obiecując pełną pomoc w wypadku ataku z jakiegokolwiek strony. Aby zaś nie uznano takiego oświadczenia za prowokację, miał przekazać to samo królowi Casmirowi w Lyonesse.

Dhrun dawno już został zaproszony na uroczystości z okazji urodzin księcia Cassandra i warunkowo przyjął zaproszenie. Jak się okazało, jego misja przebiegła bardzo szybko, mając więc trochę wolnego czasu, Dhrun wyruszył jak mógł najprędzej do Sarris.

Jadąc drogą Icniel przybył do leżącego przy Starym Trakcie miasteczka Tatwillow. Zostawił tutaj swoją eskortę, która miała wyruszyć dalej do Slute Skeme i tam wsiąść na statek płynący do Domreis przez cieśninę Lir. Jedynie w towarzystwie swego giermka Amery'ego pojechał na zachód Starym Traktem do wioski Tawn Twillet. Tam w gospodzie zostawił Amery'ego, zawrócił na północ i szlakiem Twamble pojechał do puszczy Tantrevalles. Po dwóch milach przybył na łąkę Lally, gdzie za kwiatowym ogrodem wznosiła się Trilda, siedziba czarodzieja Shimroda.

Dhrun zsiadł z konia przy bramie do ogrodu. W Trudzie panowała cisza, ale smużka dymu nad kominem wskazywała na to, że Shimrod jest w domu. Dhrun pociągnął za łańcuch pełniący funkcję kołatki i w głębi domostwa rozległ się wibrujący dźwięk.

Dhrun czekał i podziwiał ogród, o którym wiedział, że w nocy troszczyły się o niego dwa gobliny, pracujące u Shimroda jako ogrodnicy.

Po chwili drzwi się otwarły i pojawił się Shimrod. Serdecznie przywitał się z gościem i wprowadził go do domu. Jak dowiedział się Dhrun, czarodziej właśnie przygotowywał się do podróży w interesach. Zgodził się towarzyszyć Dhrunowi do Sarris, a następnie do miasta Lyonesse, gdzie mieli się rozstać. Dhrun miał się przeprowadzić przez Lir do Domreis, natomiast Shimrod zamierzał wyruszyć do Swer Smod, zamku Murgena wzniesionego na kamiennych stokach Teach tac Teach.

Minęły trzy dni i nadszedł czas wyjazdu z Trildy. Shimrod zostawił w domu czarodziejskie piaskuny, które miały pilnować domostwa i jego wyposażenia przed złodziejami, a potem razem z Dhrunem ruszyli przez puszcę.

W Tawn Twillet napotkali innych podróżnych zdążających do Sarris. Byli to książę Bittern z Pomperolu i książę Chalmes z Montferrone, wraz ze swymi orszakami. Dhrun, jego giermek Amery oraz Shimrod przyłączyli się do nich i dalej wędrowali razem.

Gdy dotarli do Sarris, natychmiast zostali skierowani do Wielkiego Hallu, aby mogli wziąć udział w audiencji. Stanęli z boku i czekali, aż będą mogli podejść do podium. Dhrun skorzystał z okazji i przyjrzał się rodzinie królewskiej, której nie widział od wielu lat. Król Casmir niewiele się zmienił. Był taki, jakim go Dhrun zapamiętał: krępy i masywny. Jego oczy były niebieskie i tajemnicze, jakby zrobione ze szkła. Królowa Sollace siedziała jak wielka statua i zauważył, że jest trochę grubsza, niż zapamiętał. Jej skóra, tak jak poprzednio, miała biały odcień słoniny; jej włosy, zawinięte i upięte na czubku głowy, tworzyły jasnozłotą kulę. Książę Cassander wyrósł na żwawego, młodego przystojniaka: wydawał się próżny, zainteresowany tylko sobą, nieco arogancki. Niewiele się zmienił, jego loki pozostały miedzianożółte, jego oczy, okrągłe jak oczy króla Casmira, rozstawione nieco zbyt blisko siebie, były odrobinę za małe albo tylko sprawiały takie wrażenie.

Na krańcu podium siedziała także księżniczka Madouc, znudzona, jakby daleka od tego wszystkiego, prawie śpiąca i wyraźnie marząca o tym, żeby znaleźć się zupełnie gdzie indziej. Dhrun przyglądał się jej przez chwilę, zastanawiając się, jak wiele może wiedzieć o okolicznościach jego narodzin. Doszedł do wniosku, że prawdopodobnie nic. Kto miałby jej powiedzieć?

Z pewnością nie Casmir. Mimo że najwyraźniej nieświadoma elfiej krwi płynącej w jej żyłach, Madouc niemal ostentacyjnie separowała się od pozostałych osób siedzących na podium. Tak naprawdę, pomyślał Dhrun, była fascynującą, młodą osobką i w żadnym razie nie była brzydka.

Tłok przed podium królewskim trochę się rozluźnił. Trzej książęta podeszli i zostali przedstawieni gospodarzom. Cassander odezwał się do Dhruna lakonicznie, lecz nie było to nieprzyjazne powitanie:

- Ach, Dhrunie! Mój dobry kompanie! Jakże się cieszę, że cię widzę! Musimy sobie uciąć pogawędkę, zanim skończy się dzień, a z pewnością zanim będziesz miał zamiar nas opuścić.

- Z niecierpliwością czekam na tę okazję - odparł Dhrun.

Król Casmir był bardziej powściągliwy, a nawet nieco sardoniczny.

- Otrzymałem raporty dotyczące twojej podróży. Wygląda na to, że w bardzo młodym wieku zostałeś dyplomata.

- Daleko mi do tego, Wasza Królewska Mość. Jestem zaledwie posłańcem króla Aillasa, który szanuje cię tak samo, jak innych władców na wyspach Elder. Życzy ci, abyś panował długo i cieszył się trwałym pokojem i dobrobytem, który jest tak miły nam wszystkim. Oświadcza on również, iż gdybyś został zaatakowany lub najechano by na twoje ziemie i znalazłbyś się w niebezpieczeństwie, to stanie po twojej stronie i przyjdzie ci z pomocą ze wszystkimi swoimi wojskami.

Casmir skinął głową.

- To szlachetne zapewnienie! Czyż jednak król Aillas rozważył wszystkie możliwości? Nie przyszło mu na myśl, że takie oświadczenia mogą pewnego dnia zaprowadzić go znacznie dalej, niż oczekuje i stać się znacznie bardziej niebezpieczne?

- Wierzę, iż jest on przekonany, że kiedy władcy kochający pokój staną zjednoczeni przeciwko agresji, zapewnią sobie wzajemnie bezpieczeństwo. Jakże mogłoby być inaczej?

- Czyż to nie jest oczywiste? Nie da się przewidzieć przyszłości. Król Aillas może pewnego dnia znaleźć się w sytuacji znacznie groźniejszej i straszliwszej, niż podejrzewa.

- Bez wątpienia jest to możliwe, Wasza Królewska Mość! Poinformuję o twoim zaniepokojeniu króla Aillasa. Obecnie mamy jednak nadzieję, że bardziej prawdopodobne jest coś zupełnie przeciwnego, a nasze przedsięwzięcie pomoże w utrzymaniu pokoju na wyspach Elder.

- Czym jest pokój?- rzekł beznamiętnym tonem król Casmir. - Umieść trzy żelazne szpikulce, szpic na szpicu, jeden na drugim. Na czubku połóż jajko, tak aby stało nieruchomo, a otrzymasz stan, jakim jest pokój pomiędzy ludźmi.

Dhrun skłonił się raz jeszcze i stanął przed królową Sollace. Obdarzyła go słabym uśmiechem i leniwym skinieniem dłoni.

- Ze względu na twoją ważną misję straciliśmy nadzieję, że się tu pojawiysz.

- Staralem się bardzo, aby przybyć na czas, Wasza Królewska Mość. Nie opuszcilibym tak radosnej okazji.

- Powinieneś nas częściej odwiedzać! Jakkolwiek by było, macie z Casandrem wiele wspólnego.

- To prawda, Wasza Królewska Mość. Spróbuję się dostosować do tej sugestii.

Dhrun skłonił się i przesunął się na bok, gdzie znalazł się twarzą w twarz z Madouc. Patrzyła na niego, ale jej twarz nic nie wyrażała.

- Nie pamiętasz mnie? - zapytał z wyrzutem.

- Pamiętam - odparła Madouc - lecz nie mogę sobie przypomnieć, gdzie i kiedy się spotkaliśmy. Powiedz mi.

- Widzieliśmy się w Domreis. Jestem Dhrun.

Twarz księżniczki ożywiła się z podniecenia.

- Oczywiście! Byłeś dużo młodszy.

- Również i ty. Byłaś znacznie młodsza.

Madouc spojrzała szybko na królową Sollace. Opierając się wygodnie, rozmawiała przez ramię z ojcem Umphredem.

- Spotkaliśmy się też wcześniej - powiedziała Madouc. - Było to dawno temu, w puszczy Tantrevalles. Wtedy byliśmy w tym samym wieku! I co ty o tym myślisz?

Dhrun wpatrywał się w nią zupełnie zbity z tropu. W końcu, próbując mówić jak najciszej, odparł:

- Tego spotkania sobie nie przypominam.

- Przypuszczam, że nie - odpowiedziała - trwało ono bowiem bardzo krótko. Być może tylko spojrzeliśmy na siebie.

Dhrun skrzywił się. Nie był to temat, nad którym można się było rozwodzić w zasięgu słuchu króla Casmira.

- Jak dowiedziałas się o tym nadzwyczajnym wydarzeniu? - wydusił z siebie.

Madouc obnażyła zęby w uśmiechu, wyraźnie rozbawiona zakłopotaniem Dhruna.

- Moja matka mi powiedziała. Możesz być spokojny; wyjaśniła mi również, że muszę trzymać to w tajemnicy.

Dhrun odetchnął. Madouc знаła prawdę, ale w jakim stopniu?

- W każdym razie, nie możemy tutaj o tym dyskutować oświadczył.

- Moja matka powiedziała, że on... - skinęła brodą w stronę Casmira - zabiłby cię, gdyby się dowiedział. Czy ty również o tym wiesz?

Dhrun ukradkowo spojrział na Casmira.

- Nie wiem. Teraz nie możemy o tym rozmawiać.

Skinęła głową, ale myślamy jakby była już gdzieś indziej.

- Jak chcesz. Powiedz mi coś. Tam stoi wysoki mężczyzna w zielonej czapce. On również wydaje mi się znajomy, tak jak ty. Myślę, że poznałam go już kiedyś, lecz nie mogę sobie przypomnieć, co to była za okazja.

- To jest czarodziej Shimrod. Bez wątpienia spotkałaś go również na zamku Miraldra w tym samym czasie co mnie.

- Ma bardzo zabawną twarz - zauważyła Madouc. - Chyba go polubię.

- Jestem tego pewien. Doskonały z niego kompan. - Dhrun rozejrział się na boki. - Muszę się ruszyć, inni czekają, aby się z tobą przywitać.

- Znajdziemy jeszcze chwilę lub dwie - odparła. - Czy porozmawiamy później?

- Kiedy tylko zechcesz.

Madouc spojrziała w kierunku pani Desdei.

- To, co chcę, niekoniecznie będzie tym, na co mi pozwolą. Oczekuje się ode mnie, że będę się pokazywać, robić dobre wrażenie, szczególnie na księciu Bitternie lub Chalmesie i innych, którzy próbują ocenić, czy się nadaję na przyszłą małżonkę - powiedziała gorzkim tonem. Nagle zaczęła wyrzucać z siebie słowa: - Nie lubię żadnego z nich! Księżę Bittern ma twarz jak śnięta makrela. Księżę Chalmes potyka się, dyszy i wydrapuje swoje pchły. Gruby brzuch księcia Garcelina kiwa się na wszystkie strony przy każdym jego kroku. Księżę Dildreth z Man ma małe usta z dużymi czerwonymi wargami i zepsute zęby. Księżę Morleduc z Ting ma pryszczę na nosie i małe wąskie oczy. Myślę, że nie czuje się zbyt dobrze, ale być może ma pryszczę również w innych miejscach i boli go to, kiedy siada. Hrabia Cenac z twierdzy Knook jest żółty jak Tatar. Hrabia Femus z Galway ma ryczący głos, siwą brodę i mówi, że ożeniłby się ze mną od razu. - Madouc smutno spojrziała na Dhruna. - Ty się ze mnie śmiejesz!

- Czy wszystkie osoby, które spotykasz, są ci tak niemiłe?
- Nie wszystkie.
- Ale ksiązę Dhrun jest najgorszy?

Księżniczka ściągnęła usta, aby powstrzymać śmiech.

- Nie jest taki gruby jak Garcelin, jest żywszy niż Bittern, nie ma siwej brody jak hrabia Femus i nie ryczy. Wygląda również na to, że czuje się znacznie lepiej niż ksiązę Morleduc.

- To dlatego, że nie mam pryszczki na siedzeniu.

- Biorąc wszystko pod uwagę, ksiązę Dhrun nie jest taki najgorszy. - Kątem oka dostrzegła, że królowa Sollace zwróciła się w ich stronę i uważnie przysłuchiwała się rozmowie. Ojciec Umphred, stojąc za jej plecami, kiwał głową, jakby zadowolony z jakiegoś żartu.

Madouc wyniośle potrząsnęła lokami i zwróciła się ponownie do Dhruna.

- Mam nadzieję, że będziemy mieli jeszcze okazję porozmawiać.
- Dopilnuję, aby tak się stało.

Dhrun dołączył do Shimroda.

- I jak poszło? - zapytał Shimrod.

- Formalnościom stało się zadość - oznajmił Dhrun. - Pogratulowałem Cassandrowi, ostrzegłem króla Casmira, pochlebiłem trochę królowej Sollace i porozmawiałem z księżniczką Madouc, zdecydowanie najzabawniejszą osobą z całego tego towarzystwa, która miała mi do powiedzenia wielce intrygujące rzeczy.

- Obserwowałem cię z podziwem - powiedział Shimrod. - Byłeś doskonałym dyplomatą w każdym calu. Wyszkolony aktor nie sprawiłby się lepiej!

- Nie czuj się opuszczony! Masz jeszcze czas, aby się przedstawić. Madouc bardzo chciałaby się z tobą zobaczyć.

- Naprawdę, czy też żartujesz sobie ze mnie?

- Ależ skąd! Nawet z tej odległości wydajesz się jej zabawny.

- I to ma być komplement?

- Uznałem to za komplement, choć muszę przyznać, że ma ona dość nietypowe poczucie humoru. Wspomniała, ot tak sobie, że spotkaliśmy się już wcześniej, w puszczy Tantrevalles. A potem siedziała szczerząc zęby jak złośliwy chochlik i ciesząc się z mojego zaskoczenia.

- Zadziwiająco! Skąd się o tym dowiedziała?

- Nie jest to dla mnie zupełnie jasne. Najwyraźniej była w lesie i spotkała się z matką, która ją o tym poinformowała.

- To nie jest dobra wiadomość. Jeśli jest psotna i beztroska jak jej matka, jeszcze przez nią, przypadkowo, dowie się o wszystkim król Casmir, a wtedy twoje życie znajdzie się w niebezpieczeństwie. Trzeba będzie ją zobowiązać do milczenia.

Dhrun zamyślony spojrział w stronę Madouc, pogrążonej właśnie w rozmowie z księciem Cyprisem ze Skroy i jego żoną, księżną Pargot.

- Nie jest taka frywolna, na jaką wygląda, i z pewnością nie zdradzi mnie przed królem Casmirem.

- A jednak ostrzegę ją. - Shimrod spojrział na Madouc. - Z wdziękiem daję sobie radę z tymi dwoma personami, które sprawiają wrażenie raczej nużących.

- Przypuszczam, że plotki na jej temat są znacznie przesadzone.

- Na to wygląda. Jest dość pociągająca, przynajmniej z tej odległości.

- Pewnego dnia jakiś mężczyzna spojrzy głęboko w jej błękitne oczy i zatoni w nich, a wówczas nie będzie dla niego ratunku - z zadumą w głosie powiedział Dhrun.

Księżę i księżna ze Skroy przeszli dalej. Gdy księżniczka spostrzegła, że jest przedmiotem dyskusji, usiadła prosto i skromnie na złożonym tronie, tak porządnie, że panią Desdeę wprawiło to w osłupienie. Jak się okazało, zrobiła dobre wrażenie zarówno na księciu Cyprisie, jak i na księżnej Pargot, o czym powiedzieli później swoim przyjaciółom, lordowi Ulsowi z Glyvern Ware i jego statecznej małżonce, lady Elsiflor.

- Jakież to plotki krążyły na temat Madouc! - oświadczyła księżna Pargot. - Mówiono, że jest bezczelna jak sroka i dzika jak lwica. Utrzymuję, że te doniesienia były złośliwe i co najmniej przesadzone.

- To prawda! - potwierdził hrabia Cypris. - Była skromniutka i niewinna jak świeży kwiat.

Księżna Pargot ciągnęła dalej:

- Jej włosy są jak pęk żywej miedzi; ona jest doprawdy zadziwiająca!

- Mimo to, jest chuda - wytknął lord Uls. - Kobięcie potrzebne są właściwe kształty, aby się korzystnie prezentować.

Księżę Cypris skinął głową.

- Pewien uczony Arab opracował dokładną formułę, choć nie pamiętam teraz cyfr. Na powierzchnię ciała liczoną w calach kwadratowych musi przypadać określona liczba łokci wzrostu. Wynik musi być okazały, choć nie

przesadzony ani nie nazbyt obfity.

- Dokładnie tak. W innym wypadku reguła byłaby zawodna.

Lady Elsiflor prychnęła z dezaprobatą.

- Nie pozwoliłabym żadnemu Arabowi obliczać powierzchni mojej skóry, bez względu na długość jego brody. Nie mógłby również badać mego wzrostu w łokciach, tak jak bym była kobyłą.

- Czy w pewien sposób nie brak takim badaniom godności? - rzuciła utyskliwie księżna Pargot.

Elsiflor zgodziła się z nią.

- Jeśli chodzi o księżniczkę, to wątpię, czy kiedykolwiek będzie pasować do arabskiego ideału. Gdyby nie ta śliczniutka buzia, można by ją wziąć za chłopca.

- Wszystko przyjdzie z czasem - oświadczył lord Uls. - Ona jest jeszcze bardzo młoda.

Księżna Pargot z ukosa spojrzała w stronę króla Casmira, którego niezbyt lubiła.

- A jednak już starają się ją dobrze sprzedać. Uważam to za przedwczesne działanie.

- To tylko pokaz - zdecydował lord Uls żartobliwie. - Nadziewają przyętę na haczyk i zarzucają linkę, aby się dowiedzieć, które ryby dadzą się zwabić.

Heroldowie zagrali sześcioletnią fanfarą „Władca Wychodzi”. Król Casmir i królowa Sollace wstali z tronów i opuścili salę, aby przebrać się w stroje odpowiednie na bankiet. Madouc próbowała zniknąć, ale Devonet zawołała:

- Księżniczko Madouc, jakie masz plany? Czy podczas bankietu usiądziemy razem?

Pani Desdea spojrzała na nie.

- Wydano już inne dyspozycje. Proszę za mną, Wasza Wysokość! Musisz się odświeżyć i nałożyć tę śliczną ogrodową sukienkę.

- W tej czuję się wystarczająco dobrze - burknęła. - Nie muszę jej zmieniać.

- Choć raz twoje zdanie jest zupełnie nieistotne, jako że jest zupełnie sprzeczne z wymaganiami królowej.

- Dlaczego ona upiera się przy takich głupotach? Przecież poniszczę te stroje zmieniając je tak często.

- Królowa ma swoje powody, dla których podejmuje takie, a nie inne decyzje. Chodź już.

Madouc z ponurą miną pozwoliła, aby ściągnięto z niej błękitną sukienkę i ubrano w strój, który - jak uznała - podobał się jej tak samo jak poprzedni. Była to biała bluza przewiązana na ramionach brązowymi wstążkami, gorsecik z czarnego aksamitu ozdobiony od góry do dołu podwójnym rzędem małych, miedzianych cekinów oraz plisowana spódnica w rdzawym kolorze, bardzo podobnym do koloru jej włosów, lecz mniej intensywnym.

Pani Desdea zabrała ją do alkierza królowej, gdzie czekały, aż Sollace skończy się przebierać. Potem, z Devonet i Chlodys idącymi skromnie z tyłu, udały się na południowy trawnik przed pałacem, gdzie w cieniu trzech olbrzymich, starych dębów i zaledwie parę jardów od spokojnie płynącej Glame, nakryto do sutej kolacji przy długich drewnianych ławach. Tu i tam na trawniku rozmieszczono małe stoliki przykryte obrusami i zastawione koszami z owocami, dzbankami z winem, talerzami, kielichami, miseczkami i sztućcami. Kilkudziesięciu lokajów odziano w zielono-lawendowe liberie. Stali wyprostowani jak wartownicy na warcie, wypatrując sygnału od sir Munga do rozpoczęcia kolacji. W tym samym czasie goście oczekiwali w grupach na przybycie rodziny królewskiej.

Kolorowe stroje biesiadników na tle zielonej trawy i słonecznego, błękitnego nieba tworzyły wspaniały widok. Dominował niebieski we wszystkich odcieniach, purpura, magneta i zieleń, można też było dostrzec płowy, pomarańczowy, beżowy i bury, musztardową ochrę, żółc narcyzów, różowy, szkarłatny i czerwień granatów. Koszule i suknie z plisowanego białego jedwabiu walczyły, o pierwszeństwo z egipskimi tunikami. Nakrycia głowy były rozmaite, z różnymi otokami, ozdobami, kokardami i piórami. Pani Desdea miała na sobie dość niewyszukaną, wrzosowo-szarą suknię, haftowaną w czerwone i czarne kwiaty. Kiedy przybyła rodzina królewska, zamieniła parę słów z królową Sollace, która wydała jej kilka poleceń. Pani Desdea ze zrozumieniem pokiwała głową. Odwróciła się, aby porozmawiać z Madouc, lecz nie było jej nigdzie w pobliżu.

Pani Desdea wykrzyknęła ze złości i zawołała Devonet.

- Gdzie jest księżniczka Madouc? Przed chwilą stała tu przy mnie, a teraz zniknęła jak lasica w kępie krzaków!

- Bez wątpienia uciekła do toalety - odparła Devonet z demonstracyjną przyganą w głosie.

- Ach, ona zawsze znajdzie sobie najmniej odpowiedni moment!

- Powiedziała, że już od dwóch godzin bardzo chciała tam pójść - dodała Devonet.

Pani Desdea zmarszczyła brwi. Devonet zachowywała się stanowczo zbyt swobodnie, zbyt poufale i była zbyt pewna siebie.

- Pomijając wszystko inne, księżniczka Madouc jest ukochanym członkiem rodziny królewskiej - rzuciła ostro. - Musimy uważać, aby nie okazać braku szacunku, kiedy o niej rozmawiamy!

- Mówiłam tylko o tym, co się stało - powiedziała potulnie Devonet.

- Dobrze. Mam jednak nadzieję, że weźmiesz sobie moją uwagę do serca.

Pani Desdea odeszła i stanęła w miejscu, gdzie mogła złapać Madouc natychmiast, jak tylko wróci z pałacu.

Mijały minuty. Pani Desdea zaczęła się niecierpliwić. Gdzie był ten złośliwy, mały bękart? Co znowu chciała wywinąć?

Król Casmir i królowa Sollace zasiedli za stołem. Wielki seneszał skinął na ochmistrza, który zaklaskał w dłonie. Goście stojący na trawniku zajęli dogodne miejsca w towarzystwie przyjaciół, krewnych lub innych osób. Lokaje parami rozeszli się na wszystkie strony z tacami i dzbanami. Jeden z nich nosił potrawy, drugi obsługiwał gości.

Wbrew zamiarom królowej Sollace, książę Bittern towarzyszył młodej księżnej Clavessie Montfoy z Sansivere, małego królestwa na północ od Akwitanii. Księżna ubrana była w olśniewającą, szkarłatną suknię haftowaną w czarne, purpurowe i zielone pawie, w której wyglądała nad wyraz korzystnie. Była wysoka, pięknie się poruszała, miała wspaniałe kruczoczarne włosy, błyszczące czarne oczy i entuzjastyczny sposób bycia, który wyraźnie oddziaływał na księcia Bitterna.

Królowa Sollace przyglądała się temu z zimną niechęcią. Miała zamiar posadzić księcia Bitterna obok księżniczki Madouc, aby mogli się lepiej poznać. Najwyraźniej tak się jednak nie stało i Sollace spojrzała na panią Desdeę z gniewnym wyrzutem, co spowodowało, że upomniana dama jeszcze gorliwiej zaczęła wyglądać w kierunku pałacu. Co zatrzymywało księżniczkę tak długo?

Madouc nie spieszyła się ani trochę. Kiedy tylko pani Desdea odwróciła się od niej, wyslizgnęła się spomiędzy orszaku królewskiego i pobiegła do najbardziej oddalonego dębu, gdzie stali Dhrun i Shimrod. Przybycie księżniczki zaskoczyło ich.

- Naszłaś nas bezceremonialnie, bez uprzedzenia - powiedział Dhrun. - Całe szczęście, że nie rozmawialiśmy o żadnych tajemnicach.

- Staralam się to zrobić ukradkiem - wyjaśniła. - W końcu się uwolniłam i będę mogła tu zostać, dopóki mnie nie znajdą. - Podeszła bliżej dębu. - Nawet teraz nie jestem bezpieczna. Pani Desdea widzi przez kamienne ściany.

- W takim razie, zanim cię stąd porwą, przedstawię ci mojego przyjaciela, mistrza Shimroda - oznajmił Dhrun. - On także widzi przez kamienne ściany i przez co tylko zechcesz.

Madouc dygnęła wdzięcznie, Shimrod się uklonił.

- Cieszę się, że mogę cię poznać. Nie co dzień spotyka się księżniczki.

Uśmiechnęła się ponuro.

- Wolałabym być czarodziejem i widzieć przez kamienne ściany. Czy trudno się tego nauczyć?

- Raczej trudno, ale wiele zależy od ucznia. Próbowałem nauczyć Dhruna jednej lub dwóch sztuczek, ale z niewielkim sukcesem.

- Nie mam elastycznego umysłu - powiedział Dhrun. - Nie potrafię myśleć o wielu rzeczach na raz.

- Tak to najczęściej wygląda, i całe szczęście - rzekł Shimrod. - W przeciwnym razie każdy mógłby być czarodziejem, a świat stałby się bardzo dziwnym miejscem.

Madouc zastanowiła się.

- Czasami przez głowę przebiega mi na raz około siedemnastu myśli.

- To dobry rezultat! - stwierdził Shimrod. - Murgenowi czasami udaje się pomyśleć o trzynastu lub czternastu, ale potem zapada w odrętwienie.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Ty się ze mnie śmiejesz.

- Nigdy nie odważyłbym się śmiać z księżniczki! Toż to byłaby bezczelność.

- Nikogo by to nie obchodziło. Jestem księżniczką tylko dlatego, że Casmir ma takie pretensje i chce mnie wydać za księcia Bitterna lub kogoś podobnego.

Dhrun rozejrzał się dookoła.

- Bittern jest wyjątkowo niestały w uczuciach. Byłby słabą partią. Już zdążył się zainteresować kimś innym. Przynajmniej w tej chwili jesteś bezpieczna.

- Muszę cię ostrzec - powiedział Shimrod. - Casmir wie o tym, że jesteś

podrzutkiem, ale nie wie nic o synu Suldrun. Gdyby tylko zaczął się tego domyślać, życie Dhruna znalazłoby się w niebezpieczeństwie.

Madouc wyjrzała zza drzewa w kierunku, gdzie siedział król Casmir w towarzystwie sir Cenaca z twierdzy Knook i sir Lodwega z Cockaigne.

- Moja matka też mnie przed tym ostrzegła. Nie musicie się martwić, tajemnica jest bezpieczna.

- Jak spotkałaś się ze swoją matką?

- Przypadkowo znalazłam się w lesie, a tam natknęłam się na wefkina o imieniu Zocco, który nauczył mnie, jak przywoływać moją matkę, co też uczyniłam.

- Przyszła?

- Natychmiast. Na początku wydawała się trochę zła, ale w końcu zdecydowała, że jest ze mnie dumna. Jest piękna, choć może nieco beztroska. Nic nie mogę na to poradzić, ale myślę, że jest wyjątkowo kapryśna, skoro mogła oddać swoje ukochane dziecko jakby było zwykłym tobołkiem, szczególnie jeśli tym dzieckiem byłam ja. Kiedy poruszyłam ten temat, wydawało się, że jest tym bardzo rozbawiona i oświadczyła, że byłam dla niej przyczyną wielu zmartwień, co uzasadniało zamianę.

- Ale wyrosłaś już z wieku, w którym byłaś dla innych przyczyną trudności?

- Och, raczej tak.

Shimrod zadumał się nad tym, co powiedziała.

- Nigdy nie można zgadnąć, o czym myślą elfy. Próbowałem wiele razy i nigdy mi się nie udało. Łatwiej złapać rtęć palcami.

- Czarodzieje muszą się często żenić z elfimi pannami, skoro jedni i drudzy potrafią czarować - odparła mądrze Madouc.

Shimrod z uśmiechem potrząsnął głową.

- Używamy innej magii. Kiedy po raz pierwszy włóczyłem się po świecie, te istoty były dla mnie zupełną nowością. Podobały mi się ich zabawy i figle. Później jednak się ustatkowałem i nie próbuję już więcej bawić się elfią logiką. Jeśli zechcesz, to kiedyś wyjaśnię ci różnicę pomiędzy czarami elfów a magią piaskunów, których najczęściej używają wszyscy czarodzieje.

- Hmm - mruknęła. - Myślałam, że magia to magia, i to wszystko!

- Ależ nie. Czasami proste czary wydają się bardzo trudne, a trudne są bardzo proste. To wszystko jednak jest bardzo skomplikowane. Na przykład przy dwóch stopach widzę trzy stokrotki. Zerwij je.

Madouc pochyliła się i zerwała trzy kwiatki.

- Schowaj je w obu dłoniach - polecił następnie Shimrod. - A teraz zbliż ręce do twarzy i pocałuj oba kciuki.

Uniosła ręce i pocałowała kciuki. W jednej chwili kwiatki stały się twarde i zaciążyły w jej dłoniach.

- Och! One się zmieniły! Czy mogę zobaczyć?

- Możesz zobaczyć.

Księżniczka otworzyła dłonie i tam, gdzie przedtem trzymała trzy stokrotki, znalazła trzy ciężkie, złote monety.

- To świetna sztuczka! Czy ja też mogłabym tak zrobić?

- Nie teraz. To nie jest takie łatwe, jak się wydaje. Ale możesz zatrzymać to złoto.

- Dziękuję - powiedziała Madouc. Przyjrzała się nieufnie monetom. - Gdybym próbowała je wydać, czy zamieniłyby się znowu w kwiaty?

- Gdyby zostały wyczarowane przez elfy, może tak, a może nie. Magia piaskunów sprawia, że te monety są złote i takie pozostaną. Nie zdziwiłbym się, gdyby piaskun włamał się do skarbcza króla Casmira, aby oszczędzić sobie trudu.

Dziewczynka uśmiechnęła się.

- Bardziej niż kiedykolwiek chcę nauczyć się tych sztuczek. Prośenie o to moją matkę byłoby bezskuteczne. Brak jej cierpliwości. Pytałam ją o mojego ojca, ale ona utrzymuje, że nic nie pamięta; nawet jego imienia.

- Twoja matka wygląda na beztroską, a nawet lekkoduszną pannę.

Madouc westchnęła z zalem.

- Lekkoduch albo coś gorszego, a ja nadal nie mogę wykazać się rodowodem, jakkolwiek by też on był.

- Elfy często nie są zbyt stałe w uczuciach i znajomościach - mruknął Shimrod. - To dość smutne.

- Właśnie. Moje panny do towarzystwa wołają na mnie „bękart” - powiedziała ze smutkiem. - Mogę się tylko śmiać z ich ignorancji, jako że mają na myśli niewłaściwego ojca.

- To bardzo niegrzeczne zachowanie - stwierdził Shimrod. - Królowa Sollace powinna potępić je.

Wzruszyła ramionami.

- W tym wypadku polegam na własnej sprawiedliwości. Dziś w nocy Chlodys i Devonet znajdują w łożkach ropuchy i żółwie.

- Sprawiedliwa to kara i wydaje się, że pouczająca.

- One są wyjątkowo tępe - powiedziała Madouc. - Niczego się nie chcą nauczyć i jutro będę wysłuchiwać tych głupot od nowa. Jeśli tylko będę miała możliwość, zamierzam poszukać mojego rodowodu, bez względu na to, gdzie jest ukryty.

- Gdzie będziesz szukać? - zapytał Dhrun. - Jakikolwiek ślady są niepozorne, a w zasadzie nie istnieją.

- Nie przemyślałam tego jeszcze - odparła. - Prawdopodobnie odwołam się do matki i spróbuję rozbudzić jakoś jej pamięć. A jeśli i to zawiedzie - Madouc przerwała. - Chlodys mnie zobaczyła! Patrzenie, jak pędzi z tą nowiną!

Dhrun zmarszczył brwi.

- Nasze towarzystwo nie jest chyba aż tak skandaliczne.

- To bez znaczenia! Oni chcą, żebym czarowała księcia Bitterna lub może księcia Garcelina, który siedzi tam wgrzając się w świńską nogę.

- Rozwiązanie jest bardzo proste - powiedział Shimrod. - Usiądźmy przy stole i również wgrzemy się w świńskie nóżki. Raczej nie będą próbowali zmienić takiego układu.

- Warto spróbować - zgodziła się księżniczka. - Ale ja nie będę gryzła świńskiej nóżki, wolę pieczonego bażanta dobrze polanego masłem.

- Ja również - stwierdził Dhrun. - Kilka porów i kawałków chleba do tego zupełnie mi wystarczy.

- Wobec tego zabierzmy się do jedzenia - powiedział Shimrod.

Usiedli we trójkę przy stole w cieniu dębu i zostali obsłużeni przez lokajów, którzy podawali im potrawy z wielkich, srebrnych tac.

Pani Desdea udała się tymczasem po instrukcje do królowej Sollace. Pograżyły się w niespokojnej rozmowie, po której pani Desdea przemaszerowała przez trawnik i podeszła do Madouc, siedzącej w towarzystwie Dhruna i Shimroda. Zatrzymała się obok niej i odezwała się sztucznie naturalnym tonem:

- Wasza Wysokość, muszę cię poinformować, że ksiązę Bittern gorąco domagał się zaszczytu spożycia tego posiłku w twoim towarzystwie. Królowa życzy sobie, abyś spełniła jego prośbę, i to natychmiast!

- Musisz się mylić - powiedziała Madouc. - Ksiązę Bittern jest zupełnie zafascynowany tą wysoką damą z długim nosem.

- To jest szacowna księżna Clavessa Montfoy. Proszę, zwróć jednak uwagę, że zanim podano do stołów, Cassander zaprosił ją na przejażdżkę łodzią. Książę Bittern siedzi teraz sam.

Madouc odwróciła się. Rzeczywiście, Cassander i księżna Clavessa szli powoli w stronę przystani, gdzie w cieniu wierzby cumowały trzy szerokie łodzie. Clavessa, choć zaskoczona propozycją księcia Cassandra, radośnie podniosła się z miejsca. Książę Cassander był mniej entuzjastyczny. Zachowywał się z wyważoną grzecnością, lecz bez zbytniego wigoru. Natomiast książę Bittern siedział przy stole, patrząc za księżną Clavessa z rozdziawionymi ustami.

- Jak widzisz, książę Bittern niecierpliwie oczekuje twojego towarzystwa - powiedziała pani Desdea.

- Wcale nie! Źle odczytujesz jego zachowanie. O wiele bardziej chciałby dołączyć do Cassandra i księżnej Clavessy.

Oczy pani Desdei załśniły.

- Musisz być posłuszna królowej! Według niej właściwe dla ciebie miejsce znajduje się obok księcia Bitterna.

- Zdawałoby się, że sugerujesz, pani, iż księżniczka siedzi obecnie w nieodpowiednim lub uchybiającym jej godności towarzystwie - odezwał się zimno Dhrun. - Jeśli nadal będziesz równie niegrzeczna, natychmiast poinformuje o tym króla Casmira i poproszę go, aby zarządził temu gorszemu naruszaniu etykiety.

Pani Desdea zamrugwała i cofnęła się. Ukłoniła się sztywno.

- Nie miałam oczywiście zamiaru was obrazić, panie. Jestem jedynie narzędziem w rękach królowej.

- Wobec tego królowa zapewne nie zrozumiała sytuacji. Księżniczka nie życzy sobie pozbawiać nas swego towarzystwa i zdaje się, że całkiem dobrze się tu bawi. Dlaczego mielibyśmy to psuć?

Pani Desdea nie mogła się dłużej upierać. Ukłoniła się i odeszła.

Madouc spoglądała za nią ze zdziwieniem na twarzy.

- Ona się zemści, haftowanie, haftowanie całymi godzinami. - Spojrzała zamyślona na Shimroda. - Czy mógłbyś mnie nauczyć, jak ją zamienić w sowę, choćby na jeden dzień?

- Transformacje są bardzo skomplikowane - stwierdził Shimrod. - Każdy ruch jest bardzo ważny. Gdybyś źle wypowiedziała jedną sylabę, pani Desdea mogłaby się stać harpią albo orpią i byłaby zagrożeniem dla całej

okolicy. Transformacje musisz zostawić na później, kiedy będziesz bardziej doświadczona.

- Radzę sobie z magią, przynajmniej tak utrzymuje moja matka. Nauczyła mnie zaklęcia zwanego „Ruchliwe paluszki skaczącego chochlika”, abym mogła się chronić przed bandytami i rabusiami.

- Nie znam tego zaklęcia - powiedział Shimrod. - Przynajmniej z nazwy.

- To bardzo proste. - Madouc rozejrzała się na wszystkie strony i utkwiała wzrok w skarpie nad rzeką. Obok przystani zauważyła księcia Cassandra, który grzecznie pomagał wsiąść księżnej Clavessie do łódki, czyniąc jakieś uprzejme uwagi. Księżniczka złożyła kciuk i palce, zamruczała: „Fwip!” i ruszyła brodą. Książę Cassander wrzasnął przestraszony i wskoczył do rzeki.

- To był wariant o bardzo słabej mocy - oświadczyła Madouc. - Dwie znacznie silniejsze odmiany są bardziej efektywne. Widziałam, jak wefkin Zocco wyskoczył na sześć stóp w powietrze.

- Całkiem niezła sztuka - przyznał Shimrod. - Jest łatwa, szybka i efektywna. Najwyraźniej nie stosowałaś żadnego z wydań „Skaczącego chochlika” na pani Desdei?

- Nie. To byłoby chyba zbyt radykalne, a ja nie chciałabym, żeby skakała wyżej, niż pozwalają jej na to możliwości.

- Daj mi pomyśleć - powiedział Shimrod. - Jest trochę słabsze zaklęcie znane jako „Syczek”, które również ma trzy stopnie: „Ciszek”, „Zwykły syczek” i „Klekot szczęk”.

- Chciałabym się tego nauczyć.

- Zaklęcie jest skuteczne, choć subtelne. Musisz wyszeptać aktywator, *szkt*, potem wskazać małym palcem tak i tak, a potem delikatnie zasyczeć, o tak.

Madouc podskoczyła, coś ją zaswedziło i zaczęła szczekać zębami.

- Ojej! - zawołała.

- To jest pierwszy stopień, „Ciszek” - powiedział Shimrod. - Jak zdążyłaś zauważyć, skutki są przejmujące. Jeśli to jest konieczne, stosuje się „Zwykły syczek”, z podwójnym syknięciem: sss-sss. Trzeci stopień to, jak mówiłem „Klekot szczęk”, gdzie dwa razy wymawia się aktywator.

- A co się stanie, jeśli się trzy razy zasyczy i trzy razy wymówi aktywator? - zapytał Dhrun.

- Nic. Czar zostaje odwołany. Wypowiedz aktywator, jeśli chcesz, ale nie sycz, bo mogłabyś kogoś przestraszyć.
- *Szk* - powiedziała Madouc. - Czy dobrze?
- Blisko. Spróbuj jeszcze raz, o tak: *szkt*.
- *Szkt*.
- Dokładnie tak, ale musisz to poćwiczyć, zanim się stanie twoją drugą naturą.
- *Szkt, szkt, szkt*.
- Bardzo dobrze. Nie sycz proszę.

Przestali na chwilę rozmawiać i przyglądali się, jak księżę Cassander idzie ponuro przez trawnik w kierunku Sarris. Księżna Clavessa zdążyła już wrócić na miejsce obok księcia Bitterna i podjąć przerwana wcześniej konwersację.

- Wszystko dobrze się złożyło - stwierdził Shimrod. - Ach! Idzie nasz lokaj z pieczonymi bażantami. Oto magia kulinarna, z którą nie podejmuję się rywalizować. Mój drogi, bądź tak dobry i obsłuż nas troje, a nie żałuj nam jadła.

IV

Uroczystości się skończyły i w Sarris znowu zapanował spokój. Według opinii króla Casmira wszystko przebiegło dość dobrze. Przyjął gości suto i zapewnił dużo rozrywek nie popadając w przesadną ekstrawagancję, z której tak znany był król Audry. Wieści o tym rozejdą się daleko i nikt nie powie, że władca Lyonesse jest skąpcem.

Podczas zabaw panował wesoły nastrój i biesiadnicy byli dobrze usposobieni. Obeszło się bez gorzkich słów i kłótni pomiędzy starymi wrogami, nie doszło też do incydentów, które mogłyby stać się zaczątkiem nowych konfliktów. Jednocześnie, ponieważ król Casmir nalegał, aby uroczystości nie były zbyt formalizowane, uniknięto sporów o pierwszeństwo w hierarchii, które zazwyczaj stawały się dość żenujące.

Ogólne zadowolenie zmąciło kilka nieprzyjemnych spraw. Królowa Solace upierała się, aby ojciec Umphred mógł przed bankietem wypowiedzieć błogosławieństwo. Król Casmir, który nie znosił księdza, nie chciał o tym słyszeć, więc królowa strasznie się naburmuszyła. Co więcej, księżniczka Madouc nie polepszyła ani trochę swojej reputacji, a może nawet ją pogorszyła. Od dawna planowano, że Madouc pokaże się jako mądra, młoda dziewczynka, która niewątpliwie rozwinie się w piękną damę znaną ze swego

wdzięku, dobrego zachowania i miłego usposobienia. Księżniczka zachowująca się stosunkowo grzecznie lub przynajmniej obojętnie w stosunku do starszych gości, od zupełnie innej strony pokazała się młodym paniczom, którzy przybyli, aby ją poznać i ocenić. Zachowywała się złośliwie, nie darzyła ich wystarczającą uwagą, była sarkastyczna, nieprzyjemna, wyniosła, pyskata i tak uszczypliwa, że graniczyło to niemal z obrazą. Wątpliwe opinie na temat Madouc nie uległy przez to zapewne żadnej poprawie. Kiedy próżny i arogancki sir Blaise* z Benwick w Armoryce stanął przed nią i z chłodną obojętnością zlustrował ją od stóp po czubek głowy, po czym zauważył: „Muszę przyznać, księżniczko Madouc, że wcale nie przypominasz małego, wstrętnego dziewczyska, jak sugerowałyby plotki na twój temat”, wtedy ona odparła jedwabistym tonem: „Miło mi to słyszeć. Ty również nie wyglądasz na wyperfumowanego modnisią, jak mówi się o tobie, jako że wcale nie pachniesz perfumami”.

* Sir Blaise spłodził sir Glahana z Benwick, który z kolei spłodził najlepszego towarzysza króla Artura, sir Lancelota du Lac. Na uroczystościach obecny był również sir Garstang z Twanbow Hall, którego syn spłodził innego zaufanego rycerza króla Artura, sir Tristrama z Lyonesse.

Sir Blaise uklonił się chłodno i oddalił się. Tak też wyglądała sprawa ze wszystkimi pozostałymi, może z wyjątkiem księcia Dhruna, co wcale nie cieszyło króla Casmira. Związki z tym królestwem nie sprzyjały ani trochę jego planom, chyba że udałoby się przekonać Madouc, aby przekazywała mu tajemnice państwowe Troicinetu. Król Casmir nie rozważał jednak tego problemu zbyt głęboko.

Przy pierwszej sposobności pani Desdea wyraziła Madouc swe niezadowolone.

- Wszyscy są strasznie tobą rozczarowani.

- A czymże to tym razem? - zapytała księżniczka, a jej błękitne oczy błyszczały niewinnością.

- Młoda damo - ucięła krótko pani Desdea - zignorowałaś nasze plany i sprzeciwiłaś się naszym pragnieniom. Moje troskliwe uwagi nie były dla ciebie niczym więcej niż brzęczenie muchy. - Pani Desdea wyprostowała się, aby sprawić groźniejsze wrażenie. - Poradziłam się królowej. Zdecydowała ona, że aż prosisz się o dobrą nauczkię i pozostawiła mi wolny wybór środków, jakie powinny zostać wobec ciebie zastosowane.

- Nie musisz się przemęczać - zauważyła Madouc. - Uroczystości się skończyły, książęta odjechali do domów, a mojej reputacji nic nie grozi.

- Ale nie jest to właściwa reputacja i dlatego podwajam czas twoich lekcji do końca lata. Co więcej, nie będzie ci wolno jeździć na koniu ani nawet zbliżać się do stajni. Czy to jasne?

- O tak - odparła. - Bardzo jasne.

- Możesz na razie dalej haftować - powiedziała pani Desdea. - Myślę, że Devonet i Chlodys znajdziesz w salonie.

Nad Sarris nadciągnęły deszczowe chmury i wisiały tam przez trzy dni. Madouc z rezygnacją zajęła się tym, co poleciła jej pani Desdea, a co sprowadzało się nie tylko do nie kończących się godzin z igłą i nitką w ręce, ale również do lekcji tańca, które były dla niej wyjątkowo nużące. Późnym popołudniem trzeciego dnia ciężkie chmury zakryły niebo i przez całą noc padał ulewny deszcz. Rankiem niebo się przejaśniło i słońce wyjrzało na świeży, uśmiechnięty świat, pachnący mokrym listowiem.

Pani Desdea poszła do małej jadalni, gdzie księżniczka zazwyczaj przychodziła na śniadanie, ale zastała tam jedynie Devonet i Chlodys, a żadna z nich nie widziała Madouc. Dziwne, pomyślała pani Desdea. Czyżby księżniczka została w łóżku z powodu jakiejś niedyspozycji? A może poszła wcześniej na lekcje tańca?

Pani Desdea udała się na poszukiwania, ale zastała tylko mistrza Jocelyna gapiącego się beczynn timer przez okno, podczas gdy jego muzycy grający na fletach, piszczałkach, bębenkach i lutni powtarzali niektóre melodie.

Mistrz Jocelyn wrzucił ramionami w odpowiedzi na pytanie pani Desdei.

- A nawet gdyby tu była, to co z tego? To, czego ją uczę, nic ją nie obchodzi. Kiwa się i podskakuje albo skacze na jednej nodze jak ptak. Kiedy pytam: „Czy w ten sposób masz zamiar tańczyć na Wielkim Balu?”, ona odpowiada: „Nie interesują mnie te głupie kroczki i przytupy. Wątpię, czy będę tam obecna”.

Pani Desdea zamruczała coś pod nosem i odwróciła się. Wyszła na taras przed pałacem, gdzie właśnie przejeżdżała Madouc, dumnie usadowiona na małej dwukółce ciągniętej żwawo przez Tyfera po łące.

Pani Desdea krzyknęła ze złości, po czym wysłała służącego na koniu, aby dogonił bryczkę i sprowadził niesforną księżniczkę z powrotem do Sarris.

Parę minut później dwukółka wróciła. Księżniczka siedziała teraz stropiona, a Tyfer człapał wolnym krokiem.

- Bądź tak dobra i zsiądź - rozkazała pani Desdea.

Madouc, z twarzą ściągniętą gniewem, zeskoczyła na ziemię.

- Cóż więc, Wasza Wysokość? Wyraźnie zabroniłam ci używać twojego konia i zbliżać się do stajni.

- Nie to powiedziałaś! - krzyknęła dziewczynka. - Powiedziałaś, że nie mogę jeździć na Tyferze, czego nie robię! Wezwałam chłopca stajennego i kazałam mu sprowadzić bryczkę, tak że nawet nie podeszłam do stajni.

Pani Desdea przyglądała się jej z drżącymi ustami.

- Dobrze! Wobec tego powtórzę te polecenia. Nie wolno ci używać konia, tego ani jakiegokolwiek innego, lub jakiegokolwiek innej bestii, choćby to była krowa, koziół, owca, pies, wół czy też jakiegokolwiek inne zwierzę w zaprzęgu. Nie wolno ci również używać bryczek, powozów, wozów, łodzi, sań, palanek oraz lektyk. To chyba wyczerpuje polecenie królowej. Po drugie, kiedy próbowałaś wymigać się od zakazu królowej, opuściłaś swoje lekcje. Jaka jest na to twoja odpowiedź?

Madouc rzuciła odważnie:

- Deszcz przestał dzisiaj padać, na świecie jest pięknie, a ja wolę przebywać na świeżym powietrzu, niż ślęczeć nad Herodotem czy Juniferem Algo, ćwiczyć kaligrafię lub kłuć się w palce przy haftowaniu.

Pani Desdea odwróciła się.

- Nie będę się z tobą spierała na temat wyższości nauki nad takim bezowocnym spędzaniem czasu. Zrobimy to, co musi być zrobione.

Trzy dni później pani Desdea bardzo zdenerwowana pojawiła się u królowej Sollace.

- Daję z siebie wszystko próbując czegoś nauczyć księżniczkę Madouc, ale niczego nie mogę osiągnąć.

- Nie wolno ci się zniechęcać! - powiedziała królowa.

Służka przyniosła jej srebrną tacę, na której ułożono dwanaście dojrzałych fig. Postawiła tacę na taborecie przy ramieniu królowej.

- Czy mam je obrać, Wasza Królewska Mość?

- Tak, proszę.

Pani Desdea ciągnęła dalej, coraz wyższym ze zdenerwowania głosem:

- Gdyby nie było to oznaką braku szacunku, nazwałabym Jej Wysokość

małym, nieznosnym rudzielcem, któremu należałoby dobrze przetrzepać tylną część ciała.

- Bez wątpienia, Madouc sprawia wiele kłopotów. Staraj się jednak tak jak uprzednio i nie każ mi wysłuchiwać tych nonsensów. - Królowa Sollace skosztowała jednej z fig i wywróciła oczami z zadowolenia. - Oto doskonałość!

- Jeszcze jedna sprawa - powiedziała pani Desdea. - Dzieje się coś dziwnego, na co muszę zwrócić uwagę Waszej Królewskiej Mości.

Królowa Sollace westchnęła i opadła głębiej w poduszki.

- Czy nie mogłabyś oszczędzić mi tych utyskiwań? Czasami, moja droga Ottillo, nawet wbrew twoim dobrym intencjom, bywasz strasznie nużąca.

Pani Desdea niemal się rozpląkała z czystego rozgoryczenia.

- Dla mnie jest to znacznie bardziej nużące! Jestem całkiem zbity z tropu. To, co się dzieje, przechodzi już ludzkie pojęcie.

Królowa Sollace przyjęła od służki następną figę.

- Jak to?

- Najjaśniejsza Pani, powiem ci dokładnie, co się wydarzyło. Trzy dni temu upomniałam Jej Wysokość za unikanie obowiązków. Nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia; była bardziej obojętna niż skruszona. Kiedy się odwróciłam, coś dziwnego przebiegło przez każdą cząstkę mojego ciała! Skóra mi ścierpła, wszystko mnie swędziało, jak gdybym została wychłostana pokrzywami! Przed oczami pojawiły mi się niebieskie błyski! Nie mogłam opanować szczękania zębami i myślałam, że to nigdy się nie skończy! Zapewniam cię, Najjaśniejsza Pani, to było straszliwe wrażenie.

Królowa Sollace rozważała skargi pani Desdei, żując figę.

- Dziwne. Czy przydarzyło ci się to już kiedyś?

- Nigdy! Ale to nie wszystko! W tym samym czasie zdawało mi się, że słyszę, jak Jej Wysokość cicho syczy! To był niemal niedosłyszalny syk!

- Mogło ci się wydawać, byłaś przecież zaszokowana i zaskoczona tym swędzeniem - mruknęła królowa Sollace.

- Tak mogłoby się wydawać. Jednak wczoraj rano doszło do równie dziwnego wypadku. Księżniczka, Madouc jadła śniadanie z Devonet i Chlodys. Jak zwykle żartowały i chichotały. Devonet podniosła dzbanek z mlekiem, które miała zamiar nalać do swojego talerza. Nagle zobaczyłam zdziewiona, że jej ręka poruszyła się gwałtownie i oblała się mlekiem po szyi i pierśiach, a zęby zaczęły jej szczekać jak kastaniety. W końcu upuściła dzbanek

i wybiegła z komnaty. Poszłam za nią, aby się dowiedzieć, co było przyczyną tak dziwnego zachowania. Devonet oświadczyła, że to księżniczka Madouc zmusiła ją do tego sycząc w dziwny sposób. Devonet jej nie sprowokowała. Poinformowała mnie: „Powiedziałam tylko, że jeśli nawet bękarty mogą siusiać do srebrnych nocników, to i tak nie będą miały tego, co najcenniejsze, a mianowicie dobrego rodowodu”...!, co wtedy?, zapytałam. „Potem sięgnęłam po dzbanek z mlekiem, podniosłam go i cała się polałam, a Madouc siedziała szczerząc zęby i sycząc”. To właśnie przytrafiło się Devonet.

Królowa Sollace oblizwała palce, a potem wytarła je w adamaszkową chusteczkę.

- Według mnie wygląda to na zwykłą nieuwagę - powiedziała. - Devonet musi się nauczyć mocniej trzymać dzbanki.

- A co z tym tajemniczym uśmiechem księżniczki? - prychnęła pani Desdea.

- Być może ją to rozbawiło. Czy to niemożliwe?

- Tak - ponuro przyznała pani Desdea. - To możliwe. Posłuchaj jednak jeszcze tego Najjaśniejsza Pani! Za karę wyznaczyłam Jej Wysokości podwójne lekcje ortografii, gramatyki, szycia i tańca, a także czytanie tekstów z dziedziny genealogii, astronomii oraz geometrii Arystarcha, Candasecesa i Euklidesa. Kazałam jej również studiować dzieła Matrea, Orgona Photisa, Junifera Algo, Panisa z Jony, Dalziela z Avallonu, Owidiusza i dwóch lub trzech innych.

Królowa Sollace potrząsnęła głową zadziwiona.

- Junifer zawsze strasznie mnie nudził, nie mogłam również słuchać o Euklidesie.

- Jestem jednak pewna, że Wasza Królewska Mość doskonale dawała sobie radę na swoich lekcjach. To widać podczas rozmowy.

Sollace rozejrzała się dookoła i nie odpowiedziała, zanim nie dobrała się gruntownie do następnej figi.

- A więc cóż z tym czytaniem?

- Kazałam Chlodys towarzyszyć Madouc podczas lektury, aby się upewnić, że wybiera właściwe teksty. Tego ranka Chlodys sięgała na górną półkę po gruby tom Dalziela, kiedy chwyciły ją dziwne spazmy, przez co wyrzuciła książkę w powietrze i usiadła na podłodze szcękając zębami, po czym przybiegła do mnie poskarżyć się. Zabrałam księżniczkę na lekcję tańca. Muzycy dostroili instrumenty, a mistrz Jocelyn oświadczył, że

zademonstruje teraz krok, którego chciał nauczyć księżniczkę. Zamiast tego wyskoczył w powietrze na sześć stóp wymachując stopami i wyciągając palce, jakby był nawiedzonym derwiszem. Kiedy wreszcie spadł na podłogę, Madouc powiedziała, że czegoś takiego nie chce się uczyć. Zapytała mnie, czy nie zademonstrowałabym tego kroku, ale było coś takiego w jej uśmiechu, co kazało mi odmówić. Teraz już zupełnie nie wiem, co robić. Królowa Sollace wzięła od służki następną figę.

- Już wystarczy. Nasycałam się tymi cudownymi owocami. Są słodkie jak miód. - Odwróciła się do pani Desdei. - Rób, co robiłaś dotychczas; nic więcej nie mogę ci poradzić.

- Ależ słyszałaś, Najjaśniejsza Pani, jaki mamy problem!

- To mógł być zbieg okoliczności, przypadek lub jakaś histeria. Nie możemy pozwolić, aby kierowały nami takie paniczne odruchy.

Pani Desdea próbowała dalej protestować, ale królowa Sollace uniosła rękę.

- Ani słowa więcej! Usłyszałam wszystko, co chciałam usłyszeć.

Minęły leniwe dni lata. Skończyły się ożywcze świty z rosą na trawnikach i ptasimi trelami gdzieś wysoko i daleko; jasne poranki i złote popołudnia, po których następowały pomarańczowe, żółte i czerwone zachody słońca, błękitno-szare zmierzchy i gwiazdziste noce, z Vega w zenicie, Antares na południu, Altair na wschodzie i Spiką na zachodzie. Od czasu nieudanej rozmowy z królową Sollace pani Desdea odkryła, jak najwygodniej postępować z Madouc. Co rano monotonna wyznaczała jej lekcje i plan dnia, po czym sztywnym krokiem opuszczała komnatę i nie przejmowała się więcej księżniczką ani jej osiągnięciami. Madouc zgodziła się na taki układ i czytała tylko te dzieła, które ją interesowały. Pani Desdea z kolei odkryła, że życie nie musi być pasmem udręk. Królowa Sollace była zadowolona, że nie słyszy więcej narzekań na dziewczynkę, a w rozmowach z panią Desdea w ogóle unikała jakiegokolwiek wzmianki na jej temat.

Po tygodniu względnego spokoju Madouc delikatnie napomknęła, że Tyfer powinien zażyć trochę ruchu. Pani Desdea powiedziała ze złością:

- Zakaz nie jest moim wymysłem, tylko Jej Królewskiej Mości. Nie mogę ci na to pozwolić. Jeśli zamierzasz jeździć na koniu, ryzykujesz, że wywołasz

niezadowolenie królowej. Mnie jest wszystko jedno.

- Dziękuję - odpowiedziała. - Obawiałam się, że będziesz mi robić trudności.

- Ha! Dlaczegoż miałabym tłuc głową o skałę? - Pani Desdea obróciła się chcąc odejść, lecz nagle się zatrzymała. - Powiedz mi, gdzie nauczyłaś się tej obelżywej małej sztuczki?

- „Syczka”? Nauczył mnie tego czarodziej Shimrod, abym mogła się bronić przed tyranami.

- Hmm... - mruknęła Pani Desdea i odeszła. Madouc natychmiast udała się do stajni, gdzie zarządziła, aby sir Pom-Pom osiodłał Tyfera i przygotował się do wycieczki po okolicy.

Rozdział 5

I

Shimrod wraz z Dhrunem pojechał do miasta Lyonesse, skąd młody książę i Amery przeprawili się do Domreis na troicyjskim statku handlowym. Shimrod stał na nabrzeżu, dopóki płowe żagle nie zniknęły za horyzontem, po czym udał się do pobliskiej gospody i usiadł w cieniu pokrytej winoroślą altanki. Nad talerzem kielbasek i dzbankiem piwa rozważał, co czeka go w najbliższych dniach i jak je zaplanować.

Nadszedł czas, aby udać się do Swer Smod, gdzie mógłby porozmawiać z Murgenem i nauczyć się tego, czego jeszcze nie wiedział, a wiedzieć powinien. Nie wpływało to jednak dobrze na jego samopoczucie. Murgen miał posepne usposobienie, które w dodatku wyjątkowo pasowało do mrocznej i smętnej atmosfery panującej w Swer Smod. Gorzki uśmiech czarodzieja był odpowiednikiem szalonego wyrazu radości na twarzy zwykłego człowieka. Shimrod dobrze wiedział, czego może oczekiwać w Swer Smod i przygotował się odpowiednio.

Wyszedł z gospody i poszedł do piekarza, gdzie kupił dwa duże placki miodowe w wiklinowych koszykach. Jeden z placków był posypany siekanymi rodzynkami, drugi orzechami. Shimrod poszedł z nimi za stragan. Piekarz, przekonany, że tamten chce ulżyć swemu pęcherzowi, wybiegł za nim krzycząc:

- Zatrzymaj się, panie! Gdzie indziej idź załatwiać takie sprawy! Nie chcę, żeby mi tu śmierdziało, to odstrasza klientów! - Zatrzymał się, rozglądając na prawo i lewo. - Gdzie jesteś, panie? - zawołał, lecz usłyszał tylko jakiś pomruk, szelest i powiew wiatru. Coś rozmazanego zniknęło szybko z jego pola widzenia, ale Shimroda nigdzie nie było widać.

Wolnym krokiem piekarz wrócił na stragan, ale nikomu nie powiedział o tym wydarzeniu, bojąc się, że posądzono by go o nadmiar wyobraźni.

II

Shimrod przeniósł się na kamienny taras leżący na zboczach Teach tac Teach, skąd - gdzieś na granicy widoczności - rozpościerała się panorama puszczy Tantrevalles. Za jego plecami wznosiły się mury Swer Smod. Był to kompleks prostokątnych masywnych kształtów, nachodzących na siebie, połączonych ze sobą, przenikających się wzajemnie, z trzema wieżami nierównej wysokości wznoszącymi się nad całością, które przypominały wartowników pilnujących okolicy.

Drogę do zamku zagroziła Shimrodowi kamienna ściana wysoka na osiem stóp. Na bramie wisiała tablica, której wcześniej tu nie widział. Czarne znaki przekazywały groźne ostrzeżenie:

OSTRZEŻENIE!

OBCY! WĘDROWCY! WSZYSCY INNI!

DALEJ IDZIECIE NA WŁASNE RYZYKO!

Jeśli nie umiecie przeczytać tego napisu,
wykrzyknijcie „KLARO!”, a tablica sama przekaże wam
głośno wiadomość.

NIE WCHODŹCIE DALEJ, POD GROŹBĄ ŚMIERCI!

W razie potrzeby poradzcie się
czarodzieja Shimroda w jego siedzibie o nazwie Trilda,
w wielkiej puszczy Tantrevalles.

Shimrod zatrzymał się przy bramie i rozejrzał się po rozciągającym się za nią dziedzińcu. Od jego ostatniej wizyty nic się nie zmieniło. Na straży stały te same dwa gryfy: cętkowany Vus, w kolorze mchu oraz kasztanowoczerwony Vuwas, który wyglądał, jakby wykąpał się właśnie w świeżej krwi wyciśniętej z surowej wątroby. Oba były wysokie na osiem stóp, a ich masywne torsy pokrywały rogowe łuski. Vus miał grzebień z sześciu czarnych kolców, do których z próżności poprzypinał różne medale i emblematy. Vuwas od łba po kraniec szyi pokryty był sztywnymi, szorstkimi czerwono-czarnymi wyrostkami. Nie chcąc być gorszym od Vusa, poprzyczepiał do nich śliczne perły. W tej chwili oba gryfy siedziały obok wartowni pochyłone nad szachownicą z kości i czarnego żelaza. Figury były wysokie na cztery cale i przestawiane wykrzykiwały ze strachu, lub wściekłości, drwiąc albo aprobując ruch. Gryfy nie zwracały na nie żadnej uwagi i grały po swojemu.

Shimrod pchnął bramę i wszedł na zewnętrzny dziedziniec.

Gryfy spojrzały na niego rozgorączkowanym wzrokiem. Polecily sobie nawzajem zabić Shimroda. Jednak oba odmówily.

- Bierzesz mnie za głupka? - zdenerwował się Vuwas. - Kiedy mnie tu nie będzie, poprzestawiasz figury. Musisz spełnić swój obowiązek, a to jest najodpowiedniejsza chwila.

- Nie ja! - odparł zielony Vus. - Twoje uwagi zdradzają, co ci chodzi po głowie. Kiedy zabijałbym tego głupka o baraniej twarzy, zepchnąłbyś mojego bazyliuszka w otchłań zapomnienia i zapędziłbyś w róg harpię.

Vuwas ryknął przez ramię do Shimroda:

- Idź stąd. To będzie najwygodniejsze dla nas wszystkich. Nie będziemy mieli problemu z zabijaniem ciebie, a ty nie będziesz musiał się martwić, że twoje plany ulegną zmianie.

- To nie wchodzi w rachubę - powiedział Shimrod. - Mam tu ważną sprawę do załatwienia. Nie poznajecie mnie? To ja, Shimrod, wychowanek Murgena.

- Nic nie pamiętamy - burknął Vuwas. - Wszyscy śmiertelnicy wyglądają tak samo.

Vus wyciągnął palec.

- Poczekaj tam, gdzie stoisz, aż skończymy grę. To bardzo ważna rozgrywka!

Shimrod podszedł bliżej, aby się przyjrzeć szachownicy. Gryfy nie zwróciły na niego uwagi.

- Nonsensowne - powiedział po chwili Shimrod.

- Cisz! - warknął krwistoczerwony gryf. - Nie tolerujemy intruzów.

Vus spojrział na niego wyzywająco.

- Czy miałeś zamiar kogoś obrazić? Jeśli tak, to w jednej chwili rozedrzemy cię na kawałeczki!

- Czy można krowę obrazić słowem „bydło”? - zapytał Shimrod. - Czy można obrazić ptaka słowem „lotny”? - Czy można dwóch grzmiących kretynów obrazić słowem „nonsensowne”?

- Nie wyrażasz się jasno? - rzucił ostro Vuwas. - Co próbujesz nam powiedzieć?

- Tylko tyle, że każdy z was powinien wygrać tę partię jednym ruchem.

Gryfy ponuro spojrzały na szachownicę.

- Jak to? - zapytał Vus.

- W twoim wypadku wystarczy jedynie zbić tego bazyliuszka widłakiem, a następnie przesunąć królową do przodu, aby zagroziła wężowi.

- Mniejsza o to! - uciął Vuwas. - Powiedz lepiej, jak ja mam wygrać?
- Czyż to nie jest oczywiste? Te harpie stoją ci na drodze. Uderz w nie duchem, o tak, a twoje widłaki będą miały wolne pole do popisu.
- Genialne - przyznał zielony gryf. - Jednakże takie ruchy nie są uznawane za właściwe w świecie Pharsad. Co więcej, źle nazwałeś te figury, a poza tym namieszaleś na szachownicy.
- To bez znaczenia - powiedział Shimrod. - Po prostu zagrajcie jeszcze raz. Ja już muszę iść.
- Nie tak szybko! - wykrzyknął Vuwas. - Jest jeszcze jedna mała sprawa do załatwienia.
- Nie urodziliśmy się wczoraj - oświadczył Vus. - Przygotuj się na śmierć.

Shimrod postawił na stole wiklinowe koszyki. Ciemnoczerwony gryf zapytał podejrzliwie:

- Co jest w tych koszykach?
- Placki miodowe - odparł Shimrod. - Jeden z nich jest trochę większy i smaczniejszy niż drugi.
- Aha - odezwał się Vus. - Lecz który jest który?
- Otwórzcie koszyki - powiedział Shimrod. - Większy placek jest dla tego z was, który bardziej na niego zasługuje.

Shimrod oddalił się przez dziedziniec. Na chwilę za jego plecami zaległa cisza, po czym rozległy się pomrukiwania, ostre uwagi i równie ostre odpowiedzi, aż nagle nastąpił nagły wybuch straszliwych ryków, wycia, uderzeń i podobnych odgłosów.

Przeszedłszy przez dziedziniec Shimrod wszedł po trzech stopniach na kamienny, otoczony kolumnadą ganek. Olbrzymie żelazne drzwi były dwa razy wyższe od człowieka i szersze niż dwoje ludzi mogłoby objąć. Czarne żelazne twarze spoglądały na niego z czarnych żelaznych kasetonów. Czarne żelazne oczy przyglądały się Shimrodowi ze złośliwą ciekawością. Shimrod dotknął kołatki i drzwi otwały się ze zgrzytem. Wszedł do wysoko sklepionego hallu. Na prawo i lewo stały na postumentach dwie kamienne figury o niewyraźnych rysach, w togach i zakapturzone, tak że ich ponure twarze pozostawały w cieniu. Nie pojawił się żaden służący. Shimrod zresztą żadnego się nie spodziewał; służący Murgena najczęściej byli niewidzialni.

Shimrod znał drogę. Przeszedł przez hall do długiego korytarza. W regularnych odstępach znajdowały się wejścia do komnat o rozmaitym

przeznaczeniu. Nikogo nie było widać, nie było też słycać żadnego dźwięku. W Swer Smod panował niemal nienaturalny spokój.

Przeszedł korytarzem bez pośpiechu, zaglądając do komnat po obu stronach i sprawdzając, co zmieniło się od ostatniej jego wizyty. W większości było w nich ciemno i pusto. Niektóre służyły dość typowym celom, inne mniej oczywistym. W jednej z takich komnat Shimrod zobaczył wysoką kobietę stojącą przed sztalugami, zwróconą tyłem do drzwi. Miała na sobie długą suknię z szarobłękitnego lnu, jej śnieżnobiałe włosy związane były na karku wstążką i opadały jej na plecy. Na sztalugach stała deska. Za pomocą pędzli i farb z licznych glinianych dzbanków kobieta malowała jakiś obraz.

Shimrod przyglądał się przez chwilę, ale nie mógł dojrzeć, co jest tematem obrazu. Wszedł do komnaty, chcąc mu się przyjrzeć z mniejszej odległości. Wszystkie kolory zdawały się odcieniami głębokiej czerni, a tak niewiele różniły się między sobą, że niemal nie było żadnego kontrastu, tak przynajmniej zdawało się Shimrodowi. Podszedł krok bliżej, potem jeszcze jeden. W końcu był w stanie stwierdzić, że każdy z odcieni drżał szczególnym, charakterystycznym tylko dla niego subtelnym blaskiem. Widok ten wydawał mu się dziwnie nienaturalny. Przyjrzał się dokładniej malowidłu. Błyski licznych, czarnych smużek zawirowały mu przed oczami. Nie potrafił rozpoznać ani ich kształtu, ani pojąć znaczenia.

Kobieta odwróciła się. Spojrzała na Shimroda pustymi, białymi oczyma. Trudno było określić wyraz jej twarzy. Shimrod nie był pewien, czy go zobaczyła, ale przecież nie mogła być niewidoma. To byłaby sprzeczność sama w sobie.

Shimrod uśmiechnął się grzecznie.

- To bardzo interesujące dzieło - powiedział. - Aczkolwiek jego wymowa nie jest dla mnie zupełnie jasna.

Kobieta nie odpowiedziała i Shimrod zaczął się zastanawiać, czy nie jest również głucha. W ponurym nastroju wyszedł z komnaty i ruszył dalej korytarzem w stronę Wielkiego Hallu. Tam również nie było żadnego służącego, który by go zapowiedział. Shimrod wszedł do komnaty tak wysokiej, że sufit ginął w ciemnościach. Szereg wąskich okien w połowie wysokości ściany wpuszczał blade, północne światło. Znacznie przyjemniejsze światło dawał ogień na kominku. Ściany były wyłożone dębową boazerią, ale poza tym nie było na nich żadnych dekoracji. Ciężki stół zajmował centralne miejsce w komnacie.

W szafach na przeciwległej ścianie widać było książki oraz różne dziwne przyrządy. Obok kominka na srebrnym łańcuchu zaczepionym pod sufitem wisiała szklana kula wypełniona zieloną, migoczącą plazmą. W jej wnętrzu leżał ściśnięty, pozwijany szkielet łasicy z czaszką wystającą spomiędzy chudych bioder.

Przy stole, spoglądając w ogień, stał Murgen. Był to mężczyzna w średnim wieku, proporcjonalnie zbudowany, lecz bez jakichś szczególnych cech zewnętrznych. Była to postać, w jakiej najczęściej się ukazywał i w której czuł się najwygodniej. Spojrzeniem i delikatnym gestem dał znać, że zauważył obecność Shimroda.

- Usiądź - powiedział. - Cieszę się, że tu jesteś. Miałem cię już wzywać, abyś rozprawił się z ćmą.

Shimrod usiadł przy kominku. Rozejrzał się po komnacie.

- Jestem tu, lecz nie widzę żadnej ćmy.

- Zniknęła - wyjaśnił Murgen. - Jak minęła podróż?

- Całkiem dobrze. Przez Sarris i miasto Lyonesse jechałem w towarzystwie księcia Dhrua.

Murgen usiadł na krześle obok Shimroda.

- Napijesz się albo zjesz coś?

- Kielich wina uspokoi moje nerwy. Te twoje diabły są straszniejsze niż kiedykolwiek. Musisz trochę stłumić ich agresywny temperament.

Murgen lekceważąco machnął ręką.

- Są skuteczne.

- Nawet za bardzo, moim zdaniem - powiedział Shimrod. - Nie obraż się, ale gdyby ktoś z twoich gości spóźnił się niespodziewanie, to bardzo prawdopodobne, że te diabły rozerwałyby go na strzępy.

- Rzadko przyjmuję gości - odparł Murgen. - Skoro jednak nalegasz, zasugeruję, aby Vus i Vuwas złagodziły odrobinę swoje zachowanie.

Do komnaty wpłynęła boso srebrnowłosa, smukła sylfida. Trzymała tacę, na której stała karafka z niebieskiego szkła i dwa kielichy o dziwnych, poskręcanych kształtach. Postawiła tacę na stole, kątem oka rzuciła szybkie spojrzenie na Shimroda i napełniła kielichy ciemnoczerwonym winem. Jeden z nich podała Shimrodowi, drugi Murgenowi, po czym oddaliła się równie cicho jak przyszła.

Przez chwilę obaj mężczyźni w ciszy sączyli czerwone wino. Shimrod badał wzrokiem zwisającą z sufitu migoczącą, zielonoszklaną kulę. Dwa czarne

błyszczące paciorki w czaszce zdawały się odwzajemniać jego spojrzenie.

- Czy to jest jeszcze żywe? - zapytał.

Murgen spojrział przez ramię. Wydawało się, że czarne paciorki wpatrywały się teraz w niego.

- Jakieś męty z Tamurella jeszcze pewnie w tym tkwią, być może za sprawą tego zielonego gazu.

- Dlaczego nie zniszczysz kuli, gazu oraz całej reszty i nie zakończysz tej sprawy?

Murgen prychnął rozbawiony.

- Gdybym wiedział, że na tym to się skończy, pewnie bym tak zrobił. Nie jestem jednak tego pewien, więc wciąż to odkładam na później. Jestem świadomy niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą taki zastój.

- Czy nie jest to zbędne opóźnienie?

- W rzeczywistości nigdy się nie spóźnia.

Shimrod nic na to nie odpowiedział.

- Mój instynkt mnie ostrzega - ciągnął Murgen. - Informuje mnie o ruchu, podstępnie i spowolnieniu. Ktoś chce mnie przyłapać podczas drzemki, kiedy będę z siebie zadowolony i nieuważny. To bardzo możliwe. Nie mogę patrzeć we wszystkie strony na raz.

- Ale kto mógłby zrobić coś takiego? Z całą pewnością nie Tamurello.

- Być może nie Tamurello.

- Któż inny wobec tego?

- To jest pytanie, na które chciałbym znaleźć odpowiedź. Co najmniej raz dziennie zapytuję sam siebie: gdzie jest Desmëi?

- Zniknęła po tym, jak stworzyła Carfilhiota i Melancthe, jak to powszechnie wiadomo.

Murgen skrzywił się z niechęcią.

- Czyżby to było takie proste? Czyżby Desmëi naprawdę powierzyła swoją zemstę komuś takiemu jak Carfilhiot i Melancthe? Przecież jedno z nich to monstrum, a drugie nieszczęśliwa marzycielka.

- Motywy postępowania Desmëi zawsze stanowiły zagadkę - powiedział Shimrod. - Muszę przyznać, że nigdy nie starałem się zgłębić tego problemu.

Murgen spoglądał w ogień.

- Wiele z niczego. Zdawało się, że stała się taka złośliwa z nader trywialnego powodu: Tamurello odrzucił jej erotyczne propozycje. Po co

więc tyle zachodu? Dlaczego po prostu nie zemściła się na Tamurellu? Czy Melancthe miała być jej narzędziem zemsty? Jeśli tak, plan się nie powiódł. Carfilhiot zaciągnął się zielonym dymem, podczas gdy Melancthe zaledwie go powąchała.

- Jednakże wspomnienie tego zdarzenia zdaje się ją fascynować - powiedział Shimrod.

- To wygląda nadzwyczaj podstępnie. Tamurello połknął zieloną perłę i teraz siedzi zwinięty w szklanej kuli, a zielona mgła otacza go ze wszystkich stron. Nie wygląda na to, aby sprawiało mu to przyjemność.

- Można by to uznać za zemstę Desmëi.

- To byłoby zbyt mało wyszukane. Dla Desmëi Tamurello nie reprezentował tylko siebie, ale wszystkich mu podobnych. Nikt nie jest w stanie pojąć takiej nienawiści. Można to jedynie odczuć i się nad tym zastanawiać.

- Drżec ze strachu.

- Dobrze jest wiedzieć, że Desmëi, tworząc Melancthe i Carfilhiota skorzystała z demonicznej magii pochodzącej z Xabiste. Zielony gaz może być samą Desmëi, która znalazła się w tym stanie z powodu warunków panujących na Xabiste. Jeśli tak jest, to bez wątpienia ma wielką ochotę na odzyskanie bardziej tradycyjnych kształtów. .

- Czy sugerujesz, że Tamurello i Desmëi są zamknięci razem w tej szklanej kuli?

- To tylko taka ewentualność. Tymczasem strzegę Joalda i łagodzę jego monstrualny gniew odpędzając wszystko, co mogłoby zakłócić jego długi, wilgotny odpoczynek. Jeśli czas na to pozwoli, zbadam dokładnie demoniczną magię Xabiste, która jest nader śliska i dwuznaczna. Tym właśnie teraz zajmuję się.

- Wspominałeś, że zamierzałeś mnie wezwać do Swer Smod.

- Właśnie. Zachowanie tej ćmy bardzo mnie zakłopotало.

- Zwykłej ćmy?

- Na to wygląda.

- I mam tu się zajmować ćmą?

- Ta ćma jest o wiele ważniejsza, niż przypuszczasz. Wczoraj, tuż przed zmierzchem, otworzyłem drzwi i jak zawsze przyjrzałem się kuli. Zobaczyłem, że ćmę najwyraźniej zwabiło zielone światło i usiadła na powierzchni kuli. Kiedy się jej przyglądałem, podeszła do miejsca, skąd mogła spojrzeć

w oczy Tamurella. Natychmiast wezwałem piaskuna Rylfa, który poinformował mnie, że nie widziałem ćmy, tylko shybalta z Xabiste.

Shimrod aż otworzył usta.

- To zła wiadomość.

Murgen skinął głową.

- To znaczy, że otwarł się strumień komunikacyjny, pomiędzy tym czymś, co znajduje się w kuli, a czymś innym gdzieś na zewnątrz.

- I co stało się potem?

- Kiedy ta ćma-shybałt odleciała, Rylf przyjął postać gza i poleciał za nią. Ćma przeleciała przez góry i Dolinę Evandra do miasta Ys.

- A potem wzdłuż plaży do willi Melanthe?

- To zaskakujące. Jednakże shybałt mógł wiedzieć, że Rylf go śledzi. W Ys poleciał na plac, gdzie wmieszał się pomiędzy zwykłe ćmy latające wokół ogniska, a to zupełnie zbiło z tropu Rylfa. Pozostał tam, aby się przyglądać, mając nadzieję, że rozpozna ćmę, za którą przyleciał ze Swer Smod. Kiedy tak czekał przyglądając się temu kłębowisku, jedna ćma upadła na ziemię i zamieniła się w mężczyznę. Rylf nie wiedział, czy to ćma, którą śledził, czy też zupełnie inny owad. Uznał, że najprawdopodobniej były to dwie różne ćmy, nie zainteresował się więc mężczyzną, chociaż był w stanie podać jego dość dokładny rysopis.

- To bardzo dobrze.

- Właśnie. Mężczyzna wyglądał dość przeciętnie, ubrany był w zwykłe rzeczy, miał porządny kapelusze i typową parę butów na nogach. Rylf zauważył również, że udał się on do największej pobliskiej gospody, ze znakiem z zachodzącym słońcem.

- To oberża „Pod Zachodzącym Słońcem”, przy przystani.

- Rylf nadal obserwował ćmy, wśród których, jak szacował, powinna być ta, za którą przyleciał ze Swer Smod. O północy ognisko się wypaliło i ćmy rozleciały się we wszystkich kierunkach. Rylf zdecydował, że zrobił, co było w jego mocy, i wrócił do Swer Smod.

- Hmm - mruknął Shimrod. - A teraz ja mam spróbować szczęścia „Pod Zachodzącym Słońcem”?

- To właśnie bym sugerował.

Shimrod zamyślił się.

- To nie mógł być przypadek, że ćma przyleciała do Ys, miasta, w którym mieszka Melancthe.

- Będziesz to musiał sprawdzić. Zasięgnąłem informacji i dowiedziałem się, że mamy do czynienia z shybaltem o imieniu Zagzig, który na Xabiste nie ma zbyt dobrej reputacji.

- A jeśli go znajde?

- To będzie delikatna, a nawet niebezpieczna sprawa, chcemy bowiem przepytac go z wyjątkową dokładnością. Nie będzie cię słuchać i będzie próbował jakichś podstępnych sztuczek. Musisz zarzucić mu na szyję to magiczne kółko, w przeciwnym wypadku zabije cię tchnieniem swoich ust.

Shimrod z powątpiewaniem przyjrzał się drucianej pętli z solidnego metalu, którą Murgen położył na stole.

- To sprawi, że opanuje Zagziga i będzie mi posłuszny?

- Dokładnie tak. Potem sprowadź go do Swer Smod, gdzie w wolnych chwilach będziemy mogli go przesłuchać.

- A jeśli mimo to będzie oporny?

Murgen podszedł do kominka i wrócił z krótkim mieczem w pochwie z wytartej czarnej skóry.

- To jest miecz Tace. Będzie cię chronił, choć wolę, byś sprowadził Zagziga do Swer Smod nie robiąc z niego użytku. Chodźmy do okrągłej komnaty, musimy przygotować dla ciebie jakieś przebranie. Nie byłoby zbyt dobrze, gdyby cię rozpoznano jako czarodzieja Shimroda. Skoro już naruszam własny edykt, muszę to przynajmniej zrobić w tajemnicy.

Shimrod wstał.

- Pamiętaj, aby pouczyć Vusa i Vuwasa, że kiedy znowu przybędę do Swer Smod, mają mnie przywitać w bardziej cywilizowany sposób.

Murgen zlekceważył prośbę:

- Najpierw to, co najważniejsze. Obecnie naszym największym problemem jest Zagzig.

- Skoro tak uważasz.

III

Rzeka Evander w miejscu, w którym wpadała do Atlantyku, przepływała przez starożytne miasto znane poetom z Walii, Irlandii, Dahautu, Armoryki i innych państw jako Piękne Ys, Ys o Stu Pałacach lub Ys nad Oceanem; miasto tak romantyczne, wspaniałe i bogate, że wszyscy w końcu uznawali je za swoje.

Jednakże Ys nie było ani miastem przepychu, ani wspaniałych świątyń, ani wielkich publicznych wydarzeń. Pokryte było mgiełką tajemnic - starych i nowych. Jedynymi przedmiotami, które obywatele Ys wystawili dumnie na pokaz, były posągi mitologicznych bohaterów stojące z tyłu głównego placu. Mieszkańcy miasta nazywali samych siebie w języku nie znanym nigdzie indziej „Yssei”: ludem Ys. Według tradycji, przybyli na wyspy Elder w czterech grupach. Mimo upływu lat i wieków wszystkie one zachowały swoją tożsamość i stały się sekretnymi społecznościami, które swych zadań i rytuałów strzegły bardziej niż samego życia. Społeczność ta kierowała się surowymi zwyczajami i złożoną etykietą, subtelną do tego stopnia, że niezrozumiałą dla innych ludzi.

Bogactwo Ys i jego mieszkańców było przysłowiowe, a brało się stąd, że miasto było głównym węzłem na szlakach handlowych całego, znanego świata i odległych krain leżących na południu i zachodzie. Wzdłuż rzeki Evander, po obu jej brzegach, wznosiły się na stokach pałace Yssei migoczące bielą pośród listowia starych ogrodów. Dwanaście wygiętych w łuk mostów spinało brzegi Evandra. Po obu stronach rzeki biegły szerokie, bite aleje wyłożone granitowymi płytami. Liny przeciągnięte po obu brzegach pozwalały holować płytkie łodzie załadowane owocami, kwiatami i innymi produktami, które dostarczano w ten sposób ludziom mieszkającym z dala od głównego rynku. Największymi budynkami w Ys były cztery wieże wznoszące się z tyłu placu, w których prowadzili interesy rządcy czterech klanów. Mieszkańców dzielnicy portowej uznawano za zupełnie odrębną społeczność. Yssei nazywali tę dzielnicę „Arbi” lub „Miejsce Obcych”. Znajdowały się w niej sklepy mniejszych handlarzy, stocznie, pracownie, w których szyto żagle i robiono liny, magazyny, tawerny i gospody.

Największą z nich była gospoda „Pod Zachodzącym Słońcem”, łatwo rozpoznawalna dzięki dużemu szyldowi, na którym namalowano czerwone słońce ginące w ultramarynowym oceanie, z szybującymi powyżej żółtymi chmurami. Przed gospodą wystawiono stoły i ławy dla tych gości, którzy mieli ochotę coś zjeść i wypić na świeżym powietrzu obserwując jednocześnie, co się dzieje na placu. Tuż przy drzwiach na ogniu smażyły się sardynki. Ich woń przyciągała klientów, którzy w przeciwnym razie przeszliby obóz bez zatrzymywania się.

Shimrod, w przebraniu wędrownego żołnierza, przybył późnym popołudniem do Ys. Skórę miał ciemniejszą i jego włosy były teraz czarne, natomiast

proste osiemnastosylabowe zakłęcie zmieniło mu rysy tak, że wyglądał groźnie, srogo i ponuro. U boku miał miecz Tace i sztylet, broń odpowiednią do wywołania takiego wrażenia, na jakim mu zależało. Poszedł prosto do gospody „Pod Zachodzącym Słońcem”, gdzie - jak wynikało ze sprawozdania Ryfla - Zagzig udał się na jakieś spotkanie. Kiedy się zbliżył do towarzyszy, zapach smażących się sardynek przypomniał mu, że od rana nie miał nic w ustach.

Wszedł do ogólnej sali, gdzie się zatrzymał i przyjrzał obecnym. Który z tych ludzi, jeśli w ogóle się tu znajdował, był shybaltem z Xabiste? Nikt nie siedział samotnie zamyślony w kącie, nikt nie kulił się strachliwie nad kielichem wina.

Shimrod podszedł do baru. Stał tam gospodarz, niska i puciołowata postać o ruchliwych, czarnych oczach na małej, okrągłej, czerwonej twarzy. Ukłonił się grzecznie.

- Czego sobie życzysz, panie?

- Po pierwsze, chciałbym nocleg na jedną lub dwie noce - powiedział Shimrod. - Zależy mi na cichym pokoju i łóżku bez robali. Potem zjem kolację.

Gospodarz wytarł ręce w fartuch, przyglądając się jednocześnie znoszonemu odzieniu Shimroda.

- To się da załatwić i z pewnością będziesz zadowolony. Tylko mały szczegół. Przez wiele lat byłem okradany na prawo i lewo przez parszywych łobuzów, aż moja naturalna gościnność i szczodrobliwość się wyczerpała i teraz jestem nad wyraz przezorny. Krótko mówiąc, chcę zobaczyć kolor twoich pieniędzy, zanim posuniemy się dalej z tą transakcją.

Shimrod rzucił na blat srebrną monetę.

- Być może zatrzymam się tu na parę dni. Ta moneta z dobrego srebra powinna pokryć moje wydatki.

- Przynajmniej otworzy ci rachunek - powiedział gospodarz. - Tak się składa, że pokój, o jaki prosileś, jest właśnie wolny. Jakie imię mam wpisać do rejestru?

- Wpisz: „Tace” - rzucił Shimrod.

- Dobrze więc, sir Tace. Chłopak pokaże ci drogę do pokoju. Fonsel! Chodź tu zaraz! Pokaż sir Tace'owi duży zachodni pokój.

- Jedną chwilę - przerwał mu Shimrod. - Zastanawiam się, czy wczoraj, o tej samej porze lub trochę później, nie przybył tu mój przyjaciel. Nie jestem pewien jakiego imienia mógłby używać.

- Wczoraj przybyło kilku gości - odparł gospodarz. Jak wygląda twój przyjaciel?

- Dość przeciętnie. Jest zwyczajnie ubrany, nosi kapelusz i buty.

Gospodarz zamyślił się.

- Nie przypominam sobie takiego dżentelmena. O północy przybył sir Fulk z Thwist. Jest masywny i ma na nosie dużą narośl. Po południu przybył niejaki Janglart, ale ten jest wysoki i chudy jak tyczka, ma bardzo jasne włosy i długą siwą brodę. Mynax, handlarz owiec, wygląda dość przeciętnie, ale nigdy nie widziałem, aby nosił kapelusz, zawsze ma czapkę z owczej skóry. Wczoraj wieczorem nikt więcej nie chciał pokoju.

- Mniejsza o to - powiedział Shimrod. To dość prawdopodobne, pomyślał. Shybalt mógł raczej przesiedzieć noc na ławie, niż próbować wynająć pokój. - Być może mój przyjaciel pojawi się później.

Shimrod poszedł za Fonselem po schodach. Pokój uznał za zadowalający. Wróciwszy na dół, wyszedł przed gospodę i usiadł przy stole, gdzie zjadł kolację. Najpierw zjadł kilkanaście skwierczących sardynek z bobem, bekonem i cebulką oraz kawałek świeżego chleba, a popił ćwiartką piwa.

Słońce zniknęło w morzu. W gospodzie zrobiło się tłoczniej. Nikt z przychodzących nie wzbudził podejrzeń Shimroda, postanowił więc skupić uwagę na Melanthe, która mieszkała w białej willi nie dalej niż milę w dół plaży. Shimrod wiedział, że wcześniej działała w imieniu Tamurella, choć jej pobudek nigdy nie poznał. Tamurello musiał najwyraźniej być jej kochankiem, woląc ją od jej brata Faude Carfilhiota. Mogło to być po myśli Desmëi albo i nie, gdyby żyła i była tego świadoma. Wszystko to, pomyślał Shimrod, było prawdziwą mieszanką domysłów i szokujących możliwości. Roli Melanthe nie wyjaśniał jej udział w wydarzeniach, przez co była jeszcze bardziej niezrozumiała i prawdopodobnie nie do końca znana jej samej. Czy ktoś kiedyś próbował dostać się do najgłębszych pokładów świadomości Melanthe? Z pewnością nie on, Shimrod.

Nad oceanem zapadał zmierzch. Shimrod wstał od stołu i ruszył drogą wzdłuż przystani, która za portem wiodła na północ wzdłuż piaszczystej plaży.

Miasto zostało z tyłu. Noc była bezwietrzna i morze przelewało się spokojnie. Powolna, apatyczna fala obmywała plażę wydając miękki, uspokajający dźwięk.

Shimrod podszedł do białej willi. Wysoki do piersi mur otaczał ogród, w którym rosły złotogłowy, heliotrop, tymianek, trzy smukłe cyprysy i dwa drzewa cytrynowe.

Shimrod znalazł dom i ogród. Widział je najpierw w swoich snach, które powtarzały się noc po nocy. W tych snach po raz pierwszy zobaczył też Melanthe, czarnowłosą dziewczynę o łamiącej serce urodzie, pełną wewnętrznych sprzeczności.

Wydawało się, że tego wieczoru nie było jej w domu. Shimrod przeszedł przez ogród, oraz wąski taras i zakolał do drzwi. Nie było żadnej odpowiedzi, nie pojawiła się nawet służąca. Ze środka nie przenikało światło świecy albo lampy. Poza powolnym szumem fal nie było też niczego słyhać.

Shimrod wrócił plażą do miasta, do gospody „Pod Zachodzącym Słońcem”. W głównej sali znalazł nie rzucający się w oczy stół pod ścianą i usiadł przy nim.

Jeden po drugim dokładnie przyglądał się wszystkim obecnym. Byli to przede wszystkim miejscowi ludzie: handlarze, rzemieślnicy, marynarze ze statków stojących w porcie, paru chłopów z okolicznych wiosek. Nie było żadnych Yssei, którzy trzymali się z daleka od mieszkańców dzielnicy portowej.

Uwagę Shimroda przyciągnął człowiek siedzący samotnie parę stołów dalej. Mężczyzna wyglądał na dość silnego, choć był średniej postury. Miał zwykłe ubranie: chłopską katanę z szorstkiego, szarego materiału, luźne spodnie i buty na grubych podeszwach z podwiniętymi czubkami. Na głowie, naciśnięty na gęste brązowe włosy, tkwił wysoki kapelusz, o wąskim otoku. Jego twarz niczego nie zdradzała, wydawała się niemal nieruchoma, ożywia ją jedynie błysk i ciągły ruch małych, czarnych oczu. Przed nim na stole stał pełen kufel piwa, którego nawet nie spróbował. Siedział sztywno i dość dziwnie. Jego pierś nie poruszała się. Te i inne oznaki podpowiedziały Shimrodowi, że jest to Zagzig, shybalt z Xabiste, ukrywający się pod niewygodną dlań postacią człowieka. Shimrod zauważył, że Zagzig beztrudno nie pozbył się drugiej pary ćmich nóg, które ruszały się od czasu do czasu pod szarą bluzą. Na jego karku można było również zauważyć resztki ćmiej łuski, pokrywającej miejsca, w których nie udało mu się stworzyć prawidłowej imitacji skóry człowieka.

Shimrod zdecydował, że jak zwykle najprostsze rozwiązanie będzie najlepsze. Będzie siedział, obserwował i zobaczy, co się stanie.

Fonsel, chłopiec obsługujący gości, przechodząc z tacą blisko Zagziga przypadkowo strącił mu z głowy kapelusz, który spadł na stół. Ujawniło to nie tylko brązowe włosy Zagziga, ale również kłaczone czułki, których zapomniał się pozbyć. Fonsel gapił się na shybaltę z rozdziawionymi ustami, a Zagzig gniewnie nacisnął kapelusz z powrotem na głowę i odezwał się szorstko do chłopca. Fonsel skrzywił się, uklonił i szybko oddalił się, spoglądając ze zdziwieniem przez ramię. Zagzig rozejrzał się pospiesznie po sali, aby zobaczyć, czy ktoś zauważył, co się stało. Shimrod szybko odwrócił wzrok i udawał, że przygląda się wiszącym na ścianie starym niebieskim talerzom. Zagzig w końcu się rozluźnił i usiadł równie nieruchomy jak poprzednio.

Po jakimś czasie uchyliły się drzwi. Stał w nich wysoki mężczyzna w czarnym ubraniu. Był szczupły, o szerokich ramionach, skupiony i dokładny w ruchach. Miał smagłą cerę i czarne włosy ściągnięte na plecach. Shimrod przyglądał mu się z zainteresowaniem. Oto, pomyślał, mężczyzna nieprzeciętnej inteligencji. Blizna wzdłuż chudego policzka podkreślała zło kryjące się w i tak już groźnej twarzy. Po jego włosach, stroju i rzucającej się w oczy pewności siebie Shimrod doszedł do wniosku, że przybysz jest Skalradem* pochodzącym ze Skaghane lub wybrzeży zajętych przez Ska.

* Skalradzi - rasa skandynawska, z kulturą starszą niż Blisko- i Dalekowschodnia. Przed trzema tysiącami lat fala aryjskich Ur-Gotów przybyła znad Morza Czarnego do Skandynawii, przeganiając stąd Skalradów, którzy uderzyli następnie na Irlandię, gdzie znani byli jako „Synowie Partholona”. W końcu, pokonani przez Danaanejczyków, wynieśli się na południe na wyspę Skaghane.

Skalrad rozejrzał się po sali. Zauważył najpierw Shimroda, potem Zagziga, potem raz jeszcze przejechał wzrokiem po wszystkich obecnych, po czym wybrał stół i usiadł. Fonsel podbiegł, aby przyjąć zamówienie, i niemal natychmiast, gdy się dowiedział, czego żąda gość, przyniósł mu piwo, sardynki i chleb.

Przybysz pił bez pośpiechu. Kiedy skończył, ponownie przyjrzał się najpierw Shimrodowi, potem Zagzigowi. Położył na stole ciemnozieloną kulę o calu średnicy, przymocowaną do łańcucha z dobrego żelaza. Shimrod widział już wcześniej taką zabawkę. Była to oznaka godności skalradzkiego dostojnika.

Na widok zielonej kuli Zagzig podniósł się i podszedł do stołu Skalrada. Shimrod wezwał Fonsela.

- Nie odwracaj się, ale powiedz mi, jak zwie się ten wysoki Skalrad, który tam siedzi - zapytał go cicho.

- Nic nie mogę ci powiedzieć - odparł Fonsel. - Nigdy wcześniej go nie widziałem. Słyszałem jednak, jak gdzieś na sali ktoś cicho mówił, że to Torqual. Jeśli to rzeczywiście on, który ma taką złą reputację, to jest nad wyraz bezczelny, żeby się pokazywać w miejscu, gdzie król Aillas z przyjemnością skrzyłby mu kark.

Shimrod dał chłopcu miedzianego pensa.

- To bardzo interesujące. Przynieś mi kielich dobrego, ciemnego wina.

Za pomocą magii Shimrod tak wyostrzył swój słuch, że wyraźnie słyszał szepty kochanków siedzących w przeciwległym kącie sali. Usłyszał również polecenie gospodarza, aby Fonsel rozcieńczył wodą wino dla Shimroda. Jednakże rozmowa pomiędzy Zagzigiem a Torqualem została zagłuszona magią równie skuteczną jak jego własna i nic z niej do niego nie docierało.

Fonsel podał mu kielich wina.

- Proszę, panie, oto nasz najlepszy rocznik.

- Miło mi to słyszeć - powiedział Shimrod - jestem bowiem inspektorem winiarni, działającym w imieniu króla Aillasa. Nie uwierzyłbyś, jak nędzne jedzenie serwują mi w gospodach. Trzy dni temu w Mynault gospodarz i jego pomocnik rozwodnili moje wino, który to uczynek król Aillas uznał za występki przeciwko ludzkości.

- Naprawdę, panie? - zatrzęsł się Fonsel. - I co się stało?

- Straż zabrała gospodarza i jego pomocnika na plac. Przywiązano ich tam do słupa i zostali porządnie wychłostani. Długo nie zdobędą się na to, aby ponownie kogoś oszukać.

Fonsel złapał za kielich.

- Nagle zauważyłem, że przez pomyłkę nalałem ci, panie, ze złej butelki! Jedną chwilę, zaraz wszystko naprawię.

Fonsel w pośpiechu podał mu nowy kielich wina, a po chwili do jego stołu podszedł sam gospodarz, niespokojnie wycierając ręce w fartuch.

- Mam nadzieję, że wszystko w porządku, sir?

- W tej chwili tak.

- To dobrze! Fonsel czasami jest trochę nieuważny i robi nam złą reputację. Dostanie dziś w skórę za swoją pomyłkę.

Shimrod zaśmiał się ponuro.

- Zostaw, panie, w spokoju biednego Fonsela. Przemyślał swój uczynek i zasługuje na wybaczenie.

Gospodarz skinął głową.

- Dostosuję się do twego życzenia, panie. - Obiecał i pospieszył za bar, a Shimrod podjął obserwację shybalt'a i Skalrada.

Skończyli rozmawiać. Zagzig rzucił sakiewkę na stół. Torqual rozwiązał ją i zbadał jej zawartość. Uniósł wzrok i obdarzył Zagziga kamiennym, niezadowolonym spojrzeniem. Shybałt spojrział na niego z obojętnością, po czym wstał, aby opuścić gospodę.

Shimrod, przewidując jego poczynania, wyprzedził go. Księżyc w pełni oświetlał plac. Granitowe słupy wydawały się białe jak kości. Shimrod ukrył się w głębokim cieniu drzewa, które rosło obok gospody.

W drzwiach pojawił się cień Zagziga. Shimrod przygotował pętlę z drutu, którą otrzymał od Murgena.

Shybałt przeszedł koło niego. Shimrod wyszedł z cienia i spróbował zarzucić pętlę na jego szyję. Przeszkodził mu wysoki kapelusz. Zagzig odskoczył w bok. Drut otarł się o jego twarz oszalałając go. Odwrócił się i zobaczył Shimroda.

- Nędzniku! - syknął Zagzig. - Czy myślisz, że uda ci się mnie zatrzymać? Nadszedł twój czas. - Szeroko otworzył usta, aby wyrzucić z siebie trujące technienie, Shimrod jednak wpechnął mu między zęby miecz Tace. Zagzig jęknął i zwałił się na zalany księżycowym światłem chodnik, po czym zmienił się w stosik zielonych ogników, od których Shimrod przezornie odskoczył. Po chwili nie pozostało po nim nic poza szarą substancją, tak lekką, że odpłynęła niesiona leciutkim powiewem wiatru znad morza.

Shimrod wrócił do gospody. Na wysokim taborecie usadowił się młody mężczyzna z lutnią w dłoni, w stroju popularnym w Akwitanii. Brzdąkając akordy i melodyjne pasaże śpiewał ballady wychwalające waleczne czyny wspaniałych rycerzy i ich piękne panny, a wszystko to w smętnych tonacjach narzuconych przez specyficzne nastrojenie lutni. Torquala nigdzie nie było widać.

Shimrod wezwał Fonsela, który natychmiast zerwał się, aby go obsłużyć.

- Czego sobie życzysz, panie?

- Czy ten osobnik o imieniu Torqual nocuje „Pod Zachodzącym Słońcem”?

- Nie, Wasza Wielmożność! Wyszedł chwilę temu bocznymi drzwiami. Czy mogę przynieść jego lordowskiej mości kielich wina?

Shimrod przyzwalająco skinął ręką.

- Nie muszę wspominać, że nie mam ochoty na wodę.
- Oczywiście!

Shimrod siedział jeszcze przez godzinę pijąc wino i słuchając smutnych ballad z Akwitanii. W końcu znużył się i wyszedł na dwór. Księżyc znalazł się już niemal w zenicie. Plac był pusty. Kamienne słupy błyszczały tak samo jak przedtem. Shimrod ruszył wolnym krokiem w stronę portu, a potem aż do miejsca, gdzie zaczynała się droga nadbrzeżna. Tu zatrzymał się i spojrzął w stronę plaży. Po kilku minutach odwrócił się. O tej porze Melancthe prawdopodobnie nie przyjęłaby go zbyt uprzejmie.

Wrócił do gospody. Akwitański bard zniknął razem z większością gości. Torquala też nigdzie nie było, więc poszedł do swego pokoju i ułożył się do snu.

IV

Ranek Shimrod zjadł śniadanie przed gospodą, skąd mógł obserwować plac. Zjadł gruszkę, miskę owsianki ze śmietaną, kilka kawałków wędzonego bekonu, kromkę ciemnego chleba z serem i marynowane śliwki. Ciepło promieni słonecznych mile kontrastowało z chłodem ciągnącym od morza. Shimrod jadł powoli, nie spieszył się, był rozluźniony, przyglądał się wszystkiemu ze spokojem. Był dzień targowy. Ruch, dźwięk i kolor ożywiły plac. Handlarze rozstawiali stragany i stoły, zachwalali jakoś swoich towarów. Rybacy wysoko wyciągali najlepsze ryby i walili w żelazne trójkąty, aby ściągnąć na siebie uwagę. Pomiędzy straganami kręcili się klienci, w większości gospodynie domowe ze służącymi, rozglądające się, oceniające, wążące, krytykujące, czasami wyzbywające się paru monet.

Również inni ludzie przechodzili przez plac: czterech melancholijnych kapłanów ze świątyni Atlanty, marynarze i handlarze z odległych krajów, czasami jakiś rządca Yssei w drodze na inspekcję ładunku, baron i jego żona przybyli z górskiej twierdzy, pasterze i chłopci z wrzosowisk i łąk pod Teach tac Teach.

Shimrod skończył śniadanie, ale wciąż siedział przy stole i jadł winogrona zastanawiając się, jak dalej prowadzić poszukiwania.

Mimo że pogrążony w myślach, zauważył przechodzącą przez plac ciemnowłosą dziewczynę. Jej pomarańczowo-brązowa spódnica i różowa bluzka

błyszczały w promieniach słońca. Shimrod rozpoznał służącą Melancthe. Niosła dwa puste kosze i najwidoczniej szła na targ.

Shimrod zerwał się na równe nogi i poszedł za nią. Przy straganie z owocami zaczęła wybierać pomarańcze. Shimrod przyglądał się temu przez chwilę, po czym podszedł do niej i dotknął jej ramienia. Spojrzała na niego pustym wzrokiem, nie rozpoznając go w obecnym przebraniu.

- Chodź ze mną na stronę - powiedział Shimrod. - Chcę zamienić z tobą parę słów.

Dziewczyna zawahała się i cofnęła.

- Mam sprawę do twojej pani - wyjaśnił. - Nie zrobię ci krzywdy. Zakłopotana i niechętna dziewczyna odeszła za nim parę kroków.

- Czego ode mnie chcesz?

- Nie pamiętam twojego imienia, jeśli kiedykolwiek je poznałem - odezwał się łagodnie Shimrod.

- Jestem Lillas. Dlaczego miałbyś mnie znać? Ja sobie ciebie nie przypominam.

- Jakiś czas temu odwiedziłem twoją panią. Otworzyłaś mi drzwi. Z pewnością musisz to pamiętać!

Lillas przyglądała się jego twarzy.

- Wydajesz mi się jakiś znajomy, choć prawdę mówiąc, nie przypominam sobie, kiedy cię poznałam. To musiało być bardzo dawno temu.

- Tak właśnie było. Wciąż jesteś na służbie u Melancthe?

- Tak. Nie widzę w niej nic złego, przynajmniej nic takiego, co zmusiłoby mnie do odejścia.

- Czy jest dobrą panią?

Lillas uśmiechnęła się smutno.

- Prawie nie zauważa, czy tam jestem czy nie. Nie byłaby jednak zadowolona, gdybym plotkowała na jej temat.

Shimrod pokazał jej srebrnego florena.

- To, co mi powiesz, nie trafi do nikogo innego i nie może być uznane za plotkę.

Lillas z powątpiewaniem spojrzała na monetę.

- W rzeczy samej, martwię się o nią. Zupełnie nie rozumiem jej postępowania. Często siedzi godzinami w oknie i patrzy na morze. Zajmuję się swoimi obowiązkami, a ona zupełnie nie zwraca na mnie uwagi.

- Często przyjmuje gości?

- Rzadko. Chociaż, tego ranka... - Lillas zawahała się i spojrzała przez ramię.

- Kto był gościem tego ranka? - ponaglił ją Shimrod.

- Przyszedł wcześniej. Wysoki, śniady mężczyzna z blizną na twarzy. Myślę, że to był Skalrad. Zapukał do drzwi. Otworzyłam mu. Powiedział: „Powiedz twojej pani, że Torqual jest tutaj”. Cofnęłam się i on wszedł do środka. Poszłam po panią Melanthe i przekazałam jej wiadomość.

- Czy była zaskoczona?

- Myślę, że była zdziwiona i niezbyt zadowolona, ale nie za bardzo. Zawahała się tylko przez chwilę, po czym wyszła do hallu. Poszłam za nią, ale zostałam za zasłoną, gdzie widziałam ich przez rozcięcie. Stali przez chwilę, zanim Torqual powiedział: „Powiedziano mi, że mam słuchać twoich rozkazów. Co wiesz o tym układzie?” Na co pani Melanthe odrzekła: „Niczego nie jestem pewna”. „Nie oczekiwałaś mnie?” - zapytał Torqual. „Przysła wiadomość, ale nie wszystko jest jasne i muszę to przemyśleć - powiedziała moja pani. - Teraz idź. Jeśli będę miała dla ciebie rozkazy, to cię znajdę”. To chyba go rozbawiło. „I jak też to zrobisz?” - spytał. „Za pomocą sygnału - odparła pani Melanthe. - Jeśli będę chciała cię zobaczyć, na murze przy bramie pojawi się czarna urna. Jeśli ją zobaczysz, będziesz mógł przyjść ponownie”.

Wtedy ten mężczyzna, Torqual, uśmiechnął się i uklonił, tak że wyglądał niemal jak księżę. Bez słowa odwrócił się i opuścił willę. To właśnie wydarzyło się tego ranka. Cieszę się, że ci o tym powiedziałam, bo Torqual mnie przeraża. Przyniesie pani Melanthe same zmartwienia.

- Twoje obawy są zrozumiałe - przyznał Shimrod. - Może ona jednak nie zechce mieć z nim nic do czynienia.

- Może tak się stanie.

- Czy ona jest teraz w domu?

- Tak, jak zwykle siedzi i patrzy w morze.

- Odwiedzę ją. Być może uda mi się wszystko wyjaśnić.

Lillas powiedziała zaniepokojona:

- Nie powiesz jej, że o tym wszystkim mówiłam?

- Oczywiście, że nie.

Lillas wróciła do straganu z owocami. Shimrod przeszedł przez plac i wyszedł na drogę przy przystani. Jego podejrzenia się potwierdziły. Dotychczasowy udział Melanthe w całej tej sprawie mógł być zupełnie bierny i

mógł takim pozostać. Jednakże jedyną pewną informacją na temat Melancthe było to, że zupełnie niemożliwe jest przewidzenie jej poczynąń.

Shimrod spojrzął na północ, w kierunku willi. Nie potrafił znaleźć żadnego innego powodu opóźniania wizyty poza swą niechęcią do spotkania z Melancthe. Długimi, zdecydowanymi krokami ruszył na północ drogą wzdłuż plaży i wkrótce znalazł się przed kamiennym murem. Nie było widać żadnej czarnej urny.

Shimrod przeszedł przez ogród i podszedł do drzwi. Uniósł kołatkę i puścił ją swobodnie.

Nie było żadnej odpowiedzi.

Shimrod zapukał po raz drugi, z tym samym rezultatem.

Zdawało się, że willa jest pusta.

Shimrod odwrócił się powoli od drzwi, po czym ruszył przed siebie i stanął obok bramy. Spojrzął na drogę prowadzącą na północ. W niedalekiej odległości dostrzegł Melancthe. Zbliżała się bez pośpiechu. Nie był zaskoczony. Tak samo wyglądała to w jego snach.

Shimrod czekał, słońce świeciło i migotało na piaszczystej drodze. Melancthe podeszła bliżej. Była to smukła, ciemnowłosa dziewczyna ubrana w sukienkę do kolan i sandały. Obrzucając Shimroda pobieżnym spojrzeniem przeszła przez bramę. Kiedy go mijała, Shimrod poczuł lekki zapach fiołków, który zawsze jej towarzyszył.

Melancthe podeszła do drzwi. Shimrod w ponurym nastroju ruszył za nią i wszedł do willi. Przeszła przez hall do długiego pokoju z szerokim arkadowym oknem, z którego rozciągał się widok na morze.. Melancthe podeszła do okna i wyjrzała przez nie z melancholijnym wyrazem twarzy. Shimrod stał w drzwiach, rozglądając się tu i tam, oceniając wygląd pokoju. Niewiele się zmieniło od jego ostatniej wizyty. Ściany były pomalowane na biało. Na kamiennej podłodze leżały trzy maty w rzucające się w oczy wzory w nasyconych odcieniach pomarańczy, czerwieni, czerni, bieli i zieleni. Stół, parę ciężkich krzeseł, sofa i mała szafka - do tego ograniczało się całe umeblowanie. Ściany były nagie. Nigdzie w pokoju nie było przedmiotów, po których można by się domyślić upodobań Melancthe lub jej cech charakteru. Maty, w żywych kolorach, wyglądały na sprowadzone z gór Atlas. Niemal na pewno, doszedł do wniosku Shimrod, zostały zakupione i położone tam przez Lillas, bo Melancthe nie zwróciłaby na nie większej uwagi.

W końcu odwróciła się do Shimroda, pokazując mu dziwny, skrzywiony uśmiech.

- Mów, Shimrodzie. Dlaczego tu jesteś?
- Rozpoznałaś mnie, pomimo tego przebrania?

Melanthe wydawała się urażona.

- Przebrania? Nie widzę żadnego przebrania. Jesteś Shimrodem, jak zawsze słabym i niepewnym siebie.

- Bez wątpienia - powiedział Shimrod. - To tyle, jeśli chodzi o moje przebranie. Ja nie mogę ukryć mojej tożsamości, a czy ty zdecydowałaś się już na osobowość dla siebie?

Melanthe obojętnie machnęła ręką.

- To są rozmowy o niczym. Czego chcesz ode mnie? Wątpię, abyś przybył, żeby studiować mój charakter.

Shimrod wskazał na sofę.

- Usiądźmy. Rozmawianie na stojąco jest okropnym zajęciem.

Melanthe obojętnie wzruszyła ramionami i opadła na sofę. Shimrod usiadł obok niej.

- Jesteś piękna jak zawsze.

- Tak mi mówią.

- Podczas naszego ostatniego spotkania miałaś szczególne upodobanie do trujących kwiatów. Czy nadal masz takie skłonności?

Melanthe potrząsnęła głową.

- Nie można już znaleźć takich kwiatów. Często o nich myślę. Były cudowne, zgodzisz się ze mną?

- Były fascynujące, choć nikczemne - powiedział Shimrod.

- Nie myślę o nich w ten sposób. Były w tak różnych kolorach i pachniały tak niezwykle.

- Uwierz mi, one były złe. Niosły ze sobą woń zgnilizny.

Melanthe uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Nie rozumiem tych twoich nużących porównań, a wątpię, czy warto się trudzić, aby mnie rozbawić, gdyż szybko się nudzę.

- A tak z czystej ciekawości: czy rozumiesz znaczenie słowa „zło”?

- Zdaje się, że znaczy tyle, ile chcemy, aby znaczyło.

- To bardzo pojemne słowo. Czy rozumiesz na przykład różnicę pomiędzy dobrocią a okrucieństwem?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ, w gruncie rzeczy, przybyłem po to, aby poznać twój charakter.

- Znowu? Z jakiego powodu?
- Ciekawi mnie, czy jesteś „dobra” czy też „zła”.

Melancthe wzruszyła ramionami.

- To tak, jakbym ciebie zapytała czy jesteś ptakiem czy rybą, a potem oczekiwała szczerzej odpowiedzi.

Shimrod westchnął.

- Otóż to. Jak płynie twoje życie?
- Wolę je od zapomnienia.
- Czym się zajmujesz?
- Obserwuję niebo i morze. Czasami brodę w falach i buduję drogi z piasku. W nocy przyglądam się gwiazdom.

- Nie masz żadnych przyjaciół?

- Nie.

- A co z przyszłością?

- Przyszłość zatrzymuje się w teraźniejszości.

- Jeśli o to chodzi, nie byłbym tego taki pewien - powiedział Shimrod. -

W najlepszym wypadku to półprawda.

- I co z tego? Półprawda jest lepsza niż nic. Czy zgodzisz się ze mną?

- Ani trochę - odrzekł Shimrod. - Jestem człowiekiem praktycznym, próbuję kształtować teraźniejszość, która mnie czeka, zamiast zdawać się na to, co samo się wydarzy.

Melancthe wzruszyła ramionami okazując brak zainteresowania.

- Jesteś wolny i możesz robić, co chcesz. - Oparłszy się na poduszkach spojrzała na morze.

- Wobec tego jesteś „dobra” czy „zła”? - zapytał w końcu Shimrod.

- Nie wiem.

Shimrod zaczął się niecierpliwić.

- Rozmowa z tobą jest jak wizyta w pustym domu.

Melancthe zastanawiała się przez chwilę, zanim odpowiedziała.

- Być może odwiedziłeś zły dom. A może jesteś niewłaściwym gościem.

- Ha, ha - zaśmiał się sucho Shimrod. - Próbujesz mi powiedzieć, że jesteś zdolna do myślenia?

- Myślę nieustannie, dzień i noc.

- O czym myślisz?

- Nie rozumiałbyś.

- Czy te myśli sprawiają ci przyjemność? Albo przynoszą spokój?

- Jak zawsze zadajesz pytania, na które nie mogę odpowiedzieć.
- Wydają się dość proste.
- Być może dla ciebie. Mnie sprowadzono na świat nagą i pustą. Miałam tylko udawać człowieka, nie miałam nim zostać. Nie wiem, czym jestem. Nad tym właśnie się zastanawiam. To skomplikowane myśli. Nie znam żadnych ludzkich uczuć, dlatego też stworzyłam zupełnie nowe, które tylko ja mogę odczuwać.

- To bardzo interesujące! Kiedy korzystasz z tych nowych emocji?

- Niemal bez przerwy. Niektóre są ciężkie, inne lekkie, przypominają chmury. Niektóre są stałe, inne szybko uciekają. Czasami tak mnie przejmują, że chciałabym je zatrzymać na zawsze, tak samo jak chciałam mieć te cudowne kwiaty! Ale te nastroje mijają, zanim zdążę je nazwać i nacieszyć nimi serce. Czasami nigdy nie wracają, bez względu na to, jak bardzo bym tego pragnęła.

- Jak je nazywasz? Powiedz mi!

Melanthe potrząsnęła głową.

- Ich nazwy nic by dla ciebie nie znaczyły. Obserwowałam owady zastanawiając się, jak one nazywają swoje uczucia i czy przypadkiem nie są one podobne do moich.

- Nie sądzę - powiedział Shimrod.

- Może też zamiast uczuć doznają tylko powierzchownych wrażeń i wydaje mi się jedynie, że to uczucia - ciągnęła nie zrażona Melanthe. W taki sposób owady odbierają swe nastroje.

- Czy w twoim nowym zestawie uczuć masz odpowiedniki dla „dobra” i „zła”?

- To nie są uczucia! Próbujesz mnie oszukać, chcesz, żebym zaczęła mówić twoim językiem. Bardzo dobrze, odpowiem ci. Nie wiem, co o sobie myśleć. Skoro nie jestem człowiekiem, zastanawiam się, kim jestem i jak potoczy się moje życie.

Shimrod oparł się i zamyślił.

- Kiedyś służyłaś Tamurellowi. Dlaczego to robiłaś?

- Takie polecenie wszczępiono mi w umysł.

- On jest teraz zamknięty w butli, ale ty nadal otrzymujesz wezwania, aby mu służyć.

Melanthe zmarszczyła brwi i ściągnęła usta z niezadowolenia.

- Dlaczego tak mówisz?
- Murgen mnie o tym poinformował.
- Co on wie?
- Dość, aby zadawać te pytania. W jaki sposób docierają do ciebie rozkazy?

- To nie są właściwie rozkazy, tylko impulsy i zalecenia.
- Kto je przekazuje?
- Czasami myślę, że powstają same z siebie w moim umyśle. Kiedy nchodzi mnie taki nastrój, jestem podekscytowana i czuję się w pełni żywa.
- Ktoś nagradza cię za współpracę. Musisz uważać! Tamurello siedzi w szklanej kuli z nosem pomiędzy kolanami. Czy chcesz skończyć tak samo?
- Tak się nie stanie.
- Czy to właśnie przekazała ci Desmëi?
- Proszę, nie wypowiadaj tego imienia.
- Musi być wypowiedziane, skoro jest synonimem „przeznaczenia”.

Twojego przeznaczenia, jeśli pozwolisz się jej wykorzystać jako narzędzie.

Melanthe wstała i podeszła do okna.

- Chodź ze mną jeszcze raz do Trildy - mówił Shimrod do jej pleców. - Oczyszczę cię z tego zielonego dymu. Oszukamy wiedźmę Desmëi. Będziesz naprawdę wolna i naprawdę żywa.

Melanthe odwróciła się do Shimroda.

- Nic nie wiem o zielonym dymie ani o Desmëi. A teraz już idź.

Shimrod wstał.

- Pomyśl dziś, jak chciałabyś przeżyć swoje życie. Wróć o zachodzie słońca i może wtedy pójdziesz ze mną.

Melanthe zdawała się nie słyszeć. Shimrod opuścił pokój i wyszedł z willi.

Mijał dzień, godzina po godzinie. Shimrod siedział przed gospodą patrząc, jak słońce wędruje po niebie. Kiedy zawisło tuż nad horyzontem, ruszył w stronę plaży. Wkrótce dotarł do willi. Podeszedł do drzwi i zakolał.

Drzwi otworzyły się z piskiem. Ukazała się w nich Lillas. Spojrzała na niego.

- Dobry wieczór - powiedział Shimrod. - Chciałbym porozmawiać z twoją panią.

Lillas otworzyła szeroko oczy.

- Jej tu nie ma.

- Gdzie jest? Na plaży?

- Odeszła.
- Odeszła? - ostro zapytał Shimrod. - Gdzie?
- A któż to może wiedzieć?
- Co się z nią stało?
- Godzinę temu ktoś zapukał do drzwi. To był Skalrad Torqual. Przeszedł koło mnie i wszedł do salonu. Pani siedziała na sofie. Zerwała się na równe nogi. Patrzeli na siebie przez chwilę, a ja obserwowałam ich z progu. Powiedział tylko jedno słowo: „Chodź!” Pani się nie ruszyła, stała jakby niezdecydowana. Torqual ruszył do przodu, złapał ją za rękę i wyprowadził przez drzwi. Nie protestowała. Szła za nim, jakby była we śnie.

Shimrod słuchał i czuł coraz większy ucisk w żołądku.

- Na drodze stały dwa konie - mówiła szybko Lillas. - Torqual pomógł wsiąść pani na jednego, a sam dosiadł drugiego. Odjechali na północ. Teraz zupełnie nie wiem, co robić!

Shimrod opanował się.

- Rób to, co zwykle. Nic innego ci nie polecono.
- To dobra rada! - powiedziała Lillas. - Może ona wkrótce wróci do domu.

- Być może.

Shimrod wrócił na południe do gospody „Pod Zachodzącym Słońcem”. Rankiem poszedł znowu do białej willi, ale zastał tam jedynie Lillas.

- Nie masz żadnej wieści od pani?
- Nie, sir. Ona jest bardzo daleko, czuję to w kościach.
- To tak jak ja. - Shimrod sięgnął po kamyk, który leżał na ziemi. Potarł go palcami i podał Lillas. - Jak tylko wróci twoja pani, weź ten kamyk na dwór, rzuć go w powietrze i powiedz: „Pędź do Shimroda!” Zrozumiałaś?
- Tak, sir.
- Co zrobisz?
- Rzucę kamyk w powietrze i powiem: „Pędź do Shimroda!”
- Bardzo dobrze. A oto srebrna moneta, która wzmocni twoją pamięć.
- Dziękuję, sir.

V

Shimrod przeniósł się nad górami na kamienny taras przed Swer Smod. Gdy wszedł na dziedziniec, zobaczył gryfy siedzące przy porannym posiłku, który składał się z dwóch wielkich kawałów wołowiny, czterech pieczonych kurczaków, dwóch prosiaków, dwóch beczek filetów z łososia, dużego, okrągłego, białego sera i kilku bochenków chleba. Na widok Shimroda zerwały się od stołu i rozjuszony popędziły w jego kierunku, jakby marzyły tylko o rozerwaniu go na strzępy.

Shimrod uniósł dłoń.

- Spokojnie, spokojnie, jeśli łaska! Czy Murgen nie powiedział wam, że macie się zachowywać łagodniej?

- Pochwalił naszą czujność - odparł Vuwas. - Doradził tylko nieco opamiętania w stosunku do osób o wyraźnie dobrym charakterze.

- Ty nie pasujesz do opisu - dodał Vus. - Wobec czego musimy spełnić swój obowiązek.

- Zatrzymajcie się! Jestem Shimrod i przybyłem tu zgodnie z wolą Murgena!

- To się jeszcze okaże! - powiedział zielony gryf Vus. Narysował pazurem linię na kamiennej płycie. - Najpierw musimy rozważyć, czy przychodzisz tutaj z dobrymi zamiarami, nad czym zastanowimy się w czasie posiłku.

- Już nas kiedyś okpiono - rzekł Vuwas. - Nigdy więcej tak się nie stanie! Przekrocz tę linię o jeden cal, a zjemy cię na przystawkę.

Shimrod rzucił niewielkie zakłęcie.

- Wolałbym, abyście przeprowadzili dochodzenie od razu, choć bez wątpienia chcecie już wrócić do swoich gości.

- Gości? - zapytał Vuwas. - Jakich gości?

Shimrod pokazał im. Gryfy odwróciły się i zobaczyły, że banda ośmiu pawianów ubranych w czerwone spodnie i okrągłe, czerwone kapelusze zajada w najlepsze ich śniadanie. Niektóre stały przy stole, inne pod nim, a trzy stały wprost na stole.

Vus i Vuwas zaryczały ze wściekłości i pognały, aby przepędzić pawiany. Małpy nie dały jednak się tak łatwo zniechęcić i skakały na wszystkie strony rozdeptując filety z łososia i rzucając jedzeniem w gryfy. Shimrod skorzystał z zamieszania na dziedzińcu i dotarł do wysokich, żelaznych drzwi. Wszedł do środka i ruszył do wielkiej komnaty.

Tak jak poprzednio, na kominku płonął ogień. Szklana kula wisząca na łańcuchu jarzyła się bladym, zielonym światłem. Murgena nie było widać.

Shimrod usiadł przy ogniu i czekał. Po chwili odwrócił się i spojrzął na wiszącą kulę. Dwoje czarnych, błyszczących oczu przyglądało mu się przez zieloną poświatę. Nie było to przyjemne spojrzenie, więc ponownie wpatrzył się w ogień.

Do komnaty wszedł Murgen i usiadł przy stole obok Shimroda.

- Wyglądasz nieszczerze - powiedział. - Jak poszły sprawy w Ys?

- Dość dobrze, pod pewnym względem. - Shimrod opowiedział o wszystkim, czego się dowiedział „Pod Zachodzącym Słońcem” i w willi Melanthe. - Dowiedziałem się niewiele ponad to, czego się spodziewaliśmy, wyłączając udział w tej całej sprawie Torquala.

- To bardzo ważne, bowiem świadczy o tym że mamy do czynienia z jakimś spiskiem! Pamiętaj, że on przybył do Melanthe po rozkazy.

- Ale za drugim razem zignorował je i zmusił ją, aby z nim poszła.

- Może to zabrzmiało trochę cynicznie, ale uważam, że nie musiał jej tak bardzo zmuszać.

Shimrod wpatrywał się w skaczące płomienie.

- Co wiesz o Torqualu?

- Niewiele. Urodził się jako skalradzki szlachcic, a potem został zdrajcą. Teraz jest banitą żyjącym z najazdów, grabieży i rozlewu krwi. Sieje terror w Północnych Ulflandach. Może mieć jednak większe ambicje.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Czyż to nie wynika z jego zachowania? Król Casmir chce, żeby wznicił rewoltę ulflandzkich baronów. Torqual jednakże bierze królewskie pieniądze i robi, co chce, a to nie przynosi Casmirowi większych korzyści. Jeśli Aillas straci kontrolę nad wyżynami i górami, Torqual będzie chciał nimi zawładnąć, a kto wie, czym jeszcze? Północnymi i Południowymi Ulflandami? Godelią? Wschodnim Dahautem?

- Na szczęście nie jest to zbyt prawdopodobne.

Murgen wpatrywał się w ogień.

- Torqual to bezlitosny człowiek. Dobrze byłoby powiesić go w butli obok Tamurella. Niestety! Nie mogę naruszyć własnego edyktu, chyba że

znajdzie się właściwy powód. A ten być może jest w zasięgu ręki.

- Jak to?

- Przyczyną całej tej sprawy, przynajmniej tak to sobie tłumaczę, może być tylko Desmëi. Gdzie ona się podziewa? Albo ukrywa się pod jakimś najmniej oczekiwanym przebraniem, albo chowa się tam, gdzie nie można jej znaleźć. Jej nadzieje rosną. Słodko zemściła się na Tamurellu, ale nie na całą ludzką rasę. Jeszcze nie jest usatysfakcjonowana.

- Może żyje biernie wewnątrz Melancthe, oczekując i obserwując.

Murgen potrząsnął głową.

- Byłaby zbyt ograniczona i bezbronna, zresztą dowiedziałbym się o tym od razu. Z drugiej strony, Melancthe lub to, czym jest, może być narzędziem w rękach Desmëi, które pomoże jej zrealizować to, co zaplanowała.

- To tragiczne, że tak piękna istota jest wykorzystywana w tak upokarzający sposób! - powiedział Shimrod. Usiadł wygodnie na krześle. - Co mnie to zresztą obchodzi.

- Słusznie - przyznał Murgen. - Na razie muszę na jakiś czas zostawić tę sprawę. Inne ważne problemy wymagają mej uwagi. Gwiazda Achernar dziwnie się zachowuje, szczególnie na zewnętrznych orbitach. Joald wierci się w głębinach. Muszę się dowiedzieć, czy pomiędzy tymi zjawiskami jest jakiś związek.

- A co ja mam robić?

Murgen potarł brodę.

- Wyślę zwiadowcę. Jeśli Torqual skorzysta z magii, przeszkodzimy mu. Jeśli jest tylko bandytą, bez względu na jego okrucieństwo, to niech się nim zajmie król Aillas ze swoimi armiami.

- Wolałbym bardziej bezpośrednie działanie.

- Nie wątpię. Będziemy się jednak starać, aby nasz udział w tym był minimalny! Edykt to bardzo delikatna sprawa. Gdyby odkryto, że go naruszamy, wszyscy przestaliby się nim przejmować.

- Jeszcze tylko jedno. Te twoje diabły są równie paskudne jak poprzednio! Mogłyby nieźle przestraszyć nieśmiałą osobę. Koniecznie musisz je nauczyć grzeczniejszego zachowania.

- Zobaczę, co da się z tym zrobić.

Rozdział 6

I

Pod koniec lata, kiedy w powietrzu unosił się już zapach jesieni, rodzina królewska wróciła z Sarris do Haidionu. Król Casmir z niechęcią rezygnował z nieformalnego stylu życia w Sarris. Królowa Sollace natomiast nie mogła się już doczekać, żeby zostawić za sobą te wiejskie uciążliwości letniej rezydencji. Cassandrowi było wszystko jedno. Towarzysze zabaw, panny do flirtowania i wesołe rozrywki były równie dostępne w Haidionie, a może nawet nieco łatwiej. Księżniczka Madouc, podobnie jak król Casmir, opuszczała Sarris niechętnie. Wiele razy napomykała pani Desdei, że życie w Sarris bardzo jej służy i najchętniej nie wracałaby wcale do Haidionu. Pani Desdea nie zwracała na to żadnej uwagi i pragnienia jej nie zostały spełnione. Chcąc nie chcąc, znudzona i w ponurym nastroju Madouc została powiadomiona, że długą drogę do miasta Lyonesse przesiedzi w królewskim powozie. Odważnym, choć nieco drżącym głosem wyraziła chęć odbycia tej podróży na grzbiecie Tyfera. Wskazała, że wszyscy na tym skorzystają. Ci, którzy pojedą w powozie, będą mieli więcej miejsca, natomiast Tyfer skorzysta z odrobiny ruchu. Pani Desdea wysłuchała tej propozycji z uniesionymi ze zdziwienia brwiami.

- To niemożliwe! Uznano by to za nader niestosowne zachowanie! Wyglądałabyś jak jakieś wiejskie dziewczysko! Ludzie po drodze gapiliby się na ciebie ze zdziwieniem, jeśli nie śmialiby ci się prosto w oczy, gdyby zobaczyli jak kłusujesz dumnie w tym kurzu.

- Nie zamierzałam jechać w kurzu! Jechałabym na samym przodzie, tam gdzie się nie kurzu.

- I cóż to byłby za widok! Ty na czele kawalkady dosiadająca tego twojego pękatego rumaka! Dziwię się, że nie chcesz założyć kolczugi i trzymać proporca, jak stary wojak!

- Nic takiego nie miałam na myśli, ja tylko...

Pani Desdea uniosła wysoko dłoń.

- Ani słowa więcej! Choć raz będziesz się musiała zachować godnie i pojedziesz jak należy z Jej Królewską Mością. Twoje panny do towarzystwa będą mogły usiąść obok ciebie, aby ci się nie nudziło.

- Dlatego właśnie chciałam jechać na Tyferze.

- To niemożliwe.

Mimo niezadowolenia księżniczki usadzono ją w powozie naprzeciwko królowej Sollace oraz z Devonet i Chlodys po jej lewej stronie.

Po powrocie do Haidionu przywrócono dawny rozkład dnia. Madouc zamieszkała w swoich starych komnatach, choć nagle wydały się jej one ciasne i ograniczające swobodę.

Dziwne, pomyślała. Przez jedno lato postarzałam się o całe wieki i oczywiście bardzo zmądrzałam. Zastanawiam się... Założyła ręce na piersiach, gdzie wyczuła dwa miękkie wzgórki, których wcześniej nie zauważała. Dotknęła ich jeszcze raz. Były tam z całą pewnością.

- Hm - powiedziała. - Mam nadzieję, że nie będę wyglądać tak jak Chlodys.

Minęła jesień, potem zima. Dla Madouc jedynym wydarzeniem godnym uwagi było odejście pani Desdei, która tłumaczyła się bólami w kręgosłupie, nerwowymi skurczami i ogólnym osłabieniem. Niechętne księżniczce języki rozniosły plotkę, że to jej złośliwości i nieposłuszeństwo w końcu pokonały panią Desdeę, która się rozchorowała od tego wszystkiego. Rzeczywiście, w ciągu zimy skóra pani Desdei strasznie pożółkła, ona sama bardzo spuchła i wkrótce umarła na wodną puchlinę.

Jej następczynią była młodsza i łatwiej dostosowująca się do trudności lady Lavella, trzecia córka hrabiego z Wysceog.

Pani Lavella wyciągnęła wnioski z wcześniejszych prób edukacji upartej księżniczki i zmieniła taktykę, postępowała z Madouc znacznie łagodniej niż jej poprzedniczka. Uznała - że dziewczynka dla własnej korzyści będzie chciała nauczyć się sztuczek, manewrów i forteli, które umożliwią jej poruszanie się po zdradliwym polu dworskiej etykiety w jak najłatwiejszy i najmniej uciążliwy sposób. Oczywiście najpierw księżniczka powinna poznać te konwencje towarzyskie, rozumowała, których później nauczy się unikać. Tak więc, wbrew sobie i na poły świadoma taktyki przyjętej przez panią Lavellę, Madouc poznawała dworską procedurę i nabywała subtelnych umiejętności dworskiej kokieterii.

Burze, wyjące wiatry i zacinający deszcz trzymały ją w murach Haidionu. Po miesiącu burze ustały i nagle jaskrawe promienie słońca rozjaśniły miasto. Po tak długim zamknięciu Madouc czuła, że nic jej nie powstrzyma od wyjścia na świeże powietrze. Nie wiedząc za bardzo, dokąd pójść, zdecydowała się ponownie odwiedzić ogród, w którym upłynęło życie Suldrun.

Upewniając się, że nikt jej nie widzi, przebiegła krążgankami i przez tunel w Murze Zoltry, aż w końcu dotarła pod murszejący portal i weszła do ogrodu.

Zatrzymała się na zboczu doliny, aby się rozejrzeć i posłuchać. Nie zobaczyła żadnej żywej istoty ani nie usłyszała nic poza stłumionym szumem fal. Dziwne! - pomyślała. W słabym zimowym świetle ogród nie wydawał się tak bardzo melancholijny, jakim go zapamiętała.

Madouc zeszła ścieżką na plażę. Sztormowe fale uderzały wysoko i rozbiły się na kamieniach. Odwróciła się i spojrzała na dolinkę. Postępowanie Suldrun wydało się jej jeszcze bardziej niezrozumiałe niż kiedykolwiek. Zgodnie z tym, co mówił Cassander, Suldrun obawiała się stawić czoło niebezpieczeństwom ucieczki. Ale co z tego? Bystra osoba, która byłaby zdecydowana przeżyć, potrafiłaby zminimalizować lub nawet uniknąć niebezpieczeństwa. Nieśmiała i apatyczna Suldrun wołała jednak wieść życie w ukrytym ogrodzie, gdzie w końcu umarła.

- Gdybym to ja była - powiedziała Madouc do siebie - w trymiga znalazłabym się za ogrodzeniem! Potem udawałabym, że jestem chłopcem, a do tego trędotawym. Przylepiłabym sobie fałszywe pryszcze na twarzy, aby zniechęcić tych, którzy próbowaliby się do mnie zbliżyć, a tych, których by to nie zrażało, dźgnęłabym nożem! Gdybym to ja była Suldrun, żyłabym do dziś!

Madouc zasepiona ruszyła pod górę. Należało wyciągnąć lekcję z tych tragicznych wydarzeń z przeszłości. Po pierwsze, Suldrun na próżno spodziewała się miłosierdzia króla Casmira. Znaczenie tego było oczywiste. Księżniczka z Lyonesse musi poślubić tego, kogo wybierze Casmir, lub narazić się na bezlitosne traktowanie. Madouc skrzywiła się. Jej sytuacja była nieprzyjemnie podobna do tej, w jakiej znajdowała się kiedyś Suldrun. Mimo to, należy wyperswadować królowi Casmirowi wplątywanie jej w jego marzenia o wielkim imperium, bez względu na to, czy będzie z tego zadowolony czy też nie.

Księżniczka opuściła ogród. Od strony cieśniny Lir szybko zbliżały się ciężkie, czarne chmury i kiedy dochodziła do zamku, wilgotny wiatr uderzył ją od tyłu tarמושząc jej spódnice. Zrobiło się ciemno i nowa burza z piorunami i ulewnym deszczem nadeszła nad miasto. Zastanawiała się, czy zima kiedykolwiek się skończy.

Minął tydzień, potem następny. W końcu promienie słońca przebiły się przez chmury. Następny dzień był orzeźwiająco czysty i słoneczny.

Król Casmir, na którego zimowa pogoda wpływała również przygnębiająco, zdecydował się odetchnąć świeżym powietrzem w towarzystwie królowej Sollace i udać się na przejażdżkę po mieście Lyonesse. Zarządził, aby przygotowano reprezentacyjny powóz, który wkrótce wtoczył się przed bramę zamku. Rodzina królewska zajęła miejsca: król Casmir i królowa Sollace przodem do kierunku jazdy, naprzeciwko nich księżę Cassander i siedząca sztywno księżniczka Madouc.

Orszak ruszył. Herold trzymał wysoko królewski proporzec, który przedstawiał Drzewo Życia na białym tle, ze szkarłatnymi granatami wiszącymi na gałęziach. Za nim, przed królewskim powozem, jechało trzech zbrojnych w kolczugach i hełmach trzymając wysoko kopie. Trzech kolejnych zbrojnych jadących strzeżenie w strzeżenie, zamykało pochód.

Orszak ruszył powoli przez Sfer Arct, tak by mieszkańcy miasta zdążyli wybiec i powiatawać na cześć króla i jego rodziny.

Na końcu Sfer Arct orszak zawrócił na prawo i ruszył wzdłuż Chale do miejsca budowy nowej katedry. Tu powóz zatrzymał się, aby rodzina królewska mogła się przyjrzeć, jak postępują prace budowlane. Niemal natychmiast zbliżył się do nich ojciec Umphred.

Spotkanie nie było przypadkowe. Ojciec Umphred i królowa Sollace od dawna przemyśleli, jak najlepiej wzbudzić zainteresowanie króla budową. Umphred, realizując przygotowany zawnazs plan, zbliżył się pewnym krokiem do powozu i zaproponował obejrzenie z bliska na wpeł ukończonej budowy.

Król Casmir szorstko odmówił:

- Widzę wystarczająco dobrze z tego miejsca.
- Jak Wasza Królewska Mość sobie życzy! Jednakże dogodniej byłoby się przyjrzeć świątyni z bliska.

Król Casmir spojrział na plac budowy.

- Wasza sekta nie jest taka liczna. Ta budowla jest stanowczo za duża jak na wasze potrzeby.

- Szczerze wierzymy, że jest zupełnie na odwrót - powiedział radośnie ojciec Umphred. - W każdym razie takiej świątyni znacznie bardziej przystoi być wspaniałą katedrą niż malutką kapliczką z drewna i gliny.

- Ani jedno, ani drugie nie robi na mnie żadnego wrażenia - oznajmił król Casmir. - Słyszałem, że w Rzymie i Rawennie kościoły są tak przepelnione złotymi ozdobami i drogimi kamieniami, że brak w nich miejsca na cokolwiek innego. Bądź pewien, że nigdy ani pens z królewskiego skarbcza nie zostanie wydany na takie zbytki.

Ojciec Umphred zmusił się do śmiechu.

- Wasza Królewska Mość, chciałbym zauważyć, że to raczej katedra wzbogaci miasto niż na odwrót. Rozumując w ten sposób, można stwierdzić, że wspaniała świątynia przyczyni się do tego samego, tylko szybciej. - Ojciec Umphred delikatnie chrząknął. - Musisz wiedzieć, Najjaśniejszy Panie, że złoto w Rzymie i Rawennie nie pochodzi od tych, którzy budowali te katedry, ale od tych, którzy przybywają, aby się w nich modlić.

- Ha! - Król Casmir wbrew uprzedzeniu zainteresował się tematem. - A w jakież to sposób dochodzi do tego cudu?

- Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Wierni mają nadzieję zjednać sobie łaskę bożą zostawiając datki. - Ojciec Umphred rozłożył ręce. - Kto wie? Może mają rację. Nikt nie udowodnił, że tak nie jest.

- Hmm.

- Jedno jest pewne! Każdy pielgrzym przybywający do miasta Lyonesse odejdzie z niego bogatszy duchem, choć uboższy w dobra materialne.

Król Casmir jakby na nowo ujrzał budowaną katedrę.

- W jaki sposób masz zamiar przyciągnąć tu bogatych i licznych pielgrzymów?

- Niektórzy zejdą się na modlitwy i nabożeństwa. Inni będą siedzieć godzinami skupieni w wielkiej nawie, chcąc się pogрузić w świętości. Wielu przybędzie podziwiać relikwie, aby poczuć ich wielką obecność. Takie relikwie mają bardzo duże znaczenie i przyciągają pielgrzymów z bardzo odległych krajów.

- Relikwie? A cóż to są te relikwie? O ile wiem, nie mamy żadnych.

- To interesujący temat - powiedział ojciec Umphred. Są różne rodzaje i kategorie relikwii. Najważniejsze i najcenniejsze są te bezpośrednio związane z Jezusem Chrystusem. Drugie z kolei, też bardzo cenne, są przedmioty związane ze świętymi apostołami. Trzecie, bardzo cenne i bardzo rzadkie, to relikwie pochodzące z czasów biblijnych. Może to być na przykład kamień, którym Dawid pokonał Goliata, lub jeden z sandałów Salomona. Czwarte z kolei, też bardzo cenne, są przedmioty związane z tym lub innym świętym. Są również takie, które nazywam przypadkowymi relikwiami, ciekawe raczej ze względu na związek z jakimś wydarzeniem niż z uwagi na ich wewnętrzną świętość, na przykład pazur niedźwiedzia, który rozerwał świętego Gandolfa, lub wstążka z ramienia cudzołożnicy, którą Jezus obronił przed świątynią. Niestety wiele z najcenniejszych i najcudowniejszych relikwii zaginęło lub nigdy nie zostało ocalonych. Czasami jednak pojawiają się nawet przedmioty gwarantowanej jakości i niekiedy oferowane są na sprzedaż. Trzeba oczywiście uważać, kiedy dokonuje się takich zakupów.

Król Casmir pogładził się po brodzie.

- Skąd wiadomo, że są to prawdziwe relikwie?

Ojciec Umphred ściągnął usta.

- Gdyby fałszywa relikwia została umieszczona w miejscu świętym, boby piorun uderzyłby z nieba i zniszczył falsyfikat razem z jego świętokradczym sprzedawcą, tak przynajmniej mi mówiono. Co więcej, taki podstępny heretyk smażyłby się na wieki w czeluściach piekielnych! W ten sposób nasze bezpieczeństwo jest dobrze strzeżone.

- Hmm. Czy taki święty piorun często uderza?

- Nie potrafię dokładnie powiedzieć, ile razy się to zdarzyło.

- Jakie są więc twoje propozycje co do sposobu nabycia takich relikwii?

- Są różne sposoby. Niektóre otrzymamy w darze, na poszukiwanie innych wyślemy agentów. Najcenniejszą relikwią ze wszystkich jest Święty Graal, z którego pił Zbawca podczas Ostatniej Wieczery, a Józef z Arymatei zebrał doń krew spływającą z jego ran. Później zawiózł go do opactwa Glastonbury w Brytanii, skąd został zabrany na świętą wyspę na jeziorze Corrib w Irlandii. Stamtąd Świętego Graala sprowadzono na wyspy Elder, aby uchronić go przed poganami, ale gdzie obecnie się znajduje, nie wiadomo.

- To bardzo interesująca historia - powiedział król Casmir. - Byłoby bardzo dobrze, gdybyś wysłał ludzi na poszukiwania tego Graala do naszej świątyni.

- Możemy tylko o tym marzyć i mieć nadzieję. Gdyby Graal znalazł się w naszym posiadaniu, natychmiast stalibyśmy się najbogatszym kościołem w całym świecie chrześcijańskim.

Królowa Sollace nie mogła się powstrzymać od okrzyku podniecenia. Spojrzała zażawionymi oczami na króla Casmira.

- Mój panie, czyż to nie jest jasne? Musimy mieć najlepsze i najwspanialsze relikwie, nic o mniejszej wartości nie wystarczy.

Król Casmir z kamienną miną wzruszył ramionami.

- Róbcie, co chcecie, bylebyście tylko nie brali pieniędzy z królewskiego skarbcza. To moja nieodwołalna decyzja.

- Jednakże, czyż to nie jest oczywiste? Każda mała suma wpłacona teraz zwróci się tysiącrotnie! A wszystko dla jeszcze wspanialszej katedry!

- Dokładnie! - ojciec Umphred krzyknął najsłodszy z głosów. - Jak zawsze, Najjaśniejsza Pani, twoja uwaga była mądra i trafna!

- Wracajmy do powozu - powiedział król Casmir. - Zobaczyłem wszystko, co chciałem zobaczyć, a usłyszałem jeszcze więcej.

II

Miesiące mijały coraz szybciej, zima ustąpiła wiośnie. Okres ten ożywiły różne wydarzenia. Książę Cassander wplątał się w jakiś brzydki skandal i został odesłany do fortu Mael, tuż przy granicy z Blaloc, gdzie miał się uspokoić po nieprzystojnych poczynaniach i rozmyślać nad tym, co zrobił.

Z Południowych Ulflandów nadeszły wieści o Torqualu. Powiódł swoją bandę na wyprawę łupieżczą przeciwko samotnemu i - jak się zdawało - zupełnie niebronionemu zamkowi Framm, gdzie wpadł w zasadzkę przygotowaną przez ulflandzką armię. Torqual stracił w czasie potyczki większą część bandy i miał szczęście, że uszedł z życiem.

Innym wydarzeniem, mającym spore znaczenie dla Madouc, był ślub zgodnej i tolerancyjnej pani Lavelli. Przygotowania do ślubu z sir Garstangiem z

Twanbow Hall zmusiły ją do opuszczenia Haidionu i powrotu do zamku Pridart.

Nową opiekunką Madouc została pani Vosse, niezamężna córka drugiego kuzyna Casmira, lorda Vixa z zamku Wildmay Fourtower, znajdującego się blisko Slute Skeme. Nieprzyjazne plotki głosiły, że panna Vosse została poczęta przez wędrownego Gota podczas nieobecności lorda Vixa w jego zamku. Bez względu na to, czy była to prawda, pani Vosse wcale nie była podobna do pozostałych trzech sióstr, które były smukłe, ciemnowłose, o delikatnych rysach i obdarzone wystarczającą urodą, aby znaleźć sobie odpowiednich mężów. W przeciwieństwie do nich była wysoka, miała żelazisto-szare włosy, grube kości, niemal kwadratową twarz, szare oczy spoglądające spod stalowo-popielatych brwi i wygląd wystarczający do znalezienia się na zamku i sprawowania opieki nad Madouc.

Trzy dni po wyjeździe pani Lavelli z Haidionu królowa Sollace wezwała księżniczkę do swojej komnaty.

- Podejdź bliżej, Madouc! To jest pani Vosse, która przejmie obowiązki pani Lavelli, trochę zaniedbywane, jak podejrzewam. Pani Vosse będzie nadzorować odtąd twoją edukację.

Madouc z ukosa spojrzała na panią Vosse.

- Proszę, Wasza Królewska Mość, wydaje mi się, że taki nadzór nie jest już dłużej potrzebny.

- Byłabym szczęśliwa, gdyby tak było. W każdym razie pani Vosse będzie pilnować, abyś zawsze zachowywała się stosownie do sytuacji. Podobnie jak mnie, zadowoli ją tylko doskonałość, musisz więc starać się ze wszystkich sił, aby temu sprostać.

- Pani Lavella jak mi powiedziano, nie była wystarczająco surowa - odezwała się pani Vosse - przez co nie udało się jej wpoić tego, co najważniejsze. To smutne, że księżniczka Madouc stała się ofiarą jej zaniedbania i nabrała nawyku bezsensownego marnowania czasu.

- Miło mi słyszeć te słowa! - powiedziała królowa Sollace. - Madouc nigdy nie miała serca do etykiety i dyscypliny. Jestem pewna, pani Vosse, że twoja obecność zaradzi tym brakom.

- Zrobię, co w mojej mocy. - Pani Vosse odwróciła się do dziewczynki. - Księżniczko, nie oczekuję cudów! Będziesz się tylko musiała starać jak najlepiej potrafisz!

- Tylko tyle - dodała królowa Sollace. - Madouc, czy zrozumiałas, na czym polegają nowe zasady?

- Pozwól, że o coś zapytam. Czy jestem księżniczką? - odparła odważnie Madouc.

- No cóż, oczywiście, że jesteście.

- Wobec tego pani Vosse musi słuchać moich rozkazów i uczyć mnie tylko tego, czego będę chciała się uczyć.

- Ha! - rzuciła królowa Sollace. - Twoje argumenty są słuszne tylko po części, jesteś bowiem zbyt niedoświadczona, aby wiedzieć, co jest dla ciebie najlepsze. Pani Vosse jest bardzo mądrą osobą i ona pokieruje twoją edukacją.

- Ależ Wasza Królewska Mość! To może być zła edukacja! Czy muszę się uczyć, aby być taką, jak pani Vosse?

- Będziesz się uczyć tego, co ja dla ciebie wybiorę! - odezwała się opanowanym głosem pani Vosse. - Nauczysz się tego dobrze! I będziesz się bardzo starała!

Królowa Sollace machnęła ręką.

- To wszystko, Madouc. Możesz odejść. Nie mam nic więcej do powiedzenia na ten temat.

Zachowanie księżniczki naraziło ją na upomnienia ze strony pani Vosse.

- Nie zamierzam tracić czasu na miłe słówka. Lepiej, żebyśmy się dobrze zrozumiały. Albo będziesz się stosować do moich poleceń dokładnie i bez ociągania, albo natychmiast udam się do królowej Sollace i poproszę ją o zgodę na porządne przetrzepanie ci tyłka.

- Nie byłoby to właściwe zachowanie - zauważyła dziewczynka.

- Zrobimy to na osobności i nikt o tym nie będzie wiedział, poza tobą i mną. Co więcej, nie sądzę, aby kogokolwiek to obchodziło, poza tobą i mną. Radzę ci, uważaj! Królowa może mi przyznać taki przywilej, a ja z niego z przyjemnością skorzystam, ponieważ twoja krnąbrność jest równie obraźliwa jak twoja bezczelność.

- To były skandaliczne słowa - odparła wyniośle Madouc. - Zabraniam ci pojawiać się w mojej obecności, dopóki mnie nie przeprosisz! Żądam również, abyś się częściej kąpała, ponieważ śmierdzisz jak kozioł lub coś w tym rodzaju. Teraz jesteś zwolniona na resztę dnia.

Pani Vosse wpatrzyła się w nią z rozdziawionymi ustami. Zawróciła na pięcie i wyszła z pokoju. Godzinę później księżniczka została wezwana do komnaty królowej Sollace. Poszła szurając nogami, przeczuwając nieprzyjemności. Zastała królową Sollace siedzącą na tapicerowanym krześle,

Ermelgart szcztokowała jej włosy. Z boku czytał psalmy ojciec Umphred, zaś z drugiej strony cicho i nieruchomo stała pani Vosse.

Królowa Sollace odezwała się rozdrażnionym głosem:

- Madouc, nie jestem z Ciebie zadowolona. Pani Vosse powiedziała mi o twoim bezczelnym zachowaniu i nieposłuszeństwie. Zarówno jedno, jak i drugie wydawało się przemyślane i uczynione z premedytacją. Co masz mi do powiedzenia?

- Pani Vosse nie jest miłą osobą.

Królowa Sollace roześmiała się głośno.

- Nawet gdybyś miała rację, czy coś z tego wynika tak długo, jak wypełnia swoje obowiązki?

Jednym tchem wyrzuciła z siebie odpowiedź:

- To ona jest winna! Obraziła mnie, księżniczkę! Musi mnie natychmiast przeprosić, bo w przeciwnym razie rozkażę, aby ją porządnie wychłostano. Jeśli o mnie chodzi, może ją wychłostać ojciec Umphred, byle tylko uderzał mocno, często i solidnie.

- Och! - krzyknęła pani Vosse. - Co za bzdury wygaduje to dziecko! Czy ona jest szalona?

Ojciec Umphred nie mógł opanować bulgotliwego chichotu. Pani Vosse rzuciła mu lodowate spojrzenie i ojciec Umphred nagle umilkł.

- Madouc, twoje nierozsądne słowa zadziwiły nas wszystkich! - odparła surowo królowa Sollace. - Pamiętaj! Pani Vosse działa w moim imieniu! Kiedy nie będziesz jej posłuszna, to tak, jakbyś nie słuchała mnie. Najwyraźniej nie chcesz, aby twoje włosy były porządnie wyczesane ani nie zrezygnujesz z tej okropnej odzieży. Fe! Pasowałyby do jakiegoś chłopskiego dziecka, a nie do księżniczki należącej do domu panującego!

- Zgadzam się - powiedziała pani Vosse. - Ona nie jest już małym dzieckiem, tylko kwitnącą dziewczyną i musi zacząć zachowywać się właściwie.

Madouc wydeła policzki.

- Nie lubię, kiedy włosy ściągają mi się tak wysoko, że oczy wychodzą mi z orbit. Jeśli zaś chodzi o mój strój, noszę go stosownie do okoliczności! Czy mam zakładać do stajni piękne sukienki tylko po to, żeby wybrudzić je w gnoju?

- Wobec tego musisz zrezygnować z chodzenia do stajni! - krzyknęła ostro królowa. - Czy widziałas kiedyś abym włóczyła się pomiędzy końmi lub by pani Vosse siedziała przy gnojowisku? Oczywiście, że nie! Mamy na

uwadze nasz stan i godność! Jeśli zaś chodzi o twoje włosy, pani Vosse chce je uczesać w modnym obecnie stylu i nauczyć cię dworskiego zachowania, tak by spotykający się z tobą na balach lub turniejach młodzieńcy nie myśleli, że jesteś latawicą.

- Nie pomyślą, że jestem latawicą, bo nie będę obecna czy to na balu, czy na turnieju.

Królowa Sollace utkwiała w niej srogie spojrzenie.

- Będiesz zawsze tam, gdzie ci polecę. Wkrótce zaczną się poważne rozmowy o twoim zamążpójściu, musisz się więc korzystnie prezentować. Pamiętaj zawsze, że jesteś księżniczką Madouc z Lyonesse i tak też musisz wyglądać.

- Otóż to! - zawołała Madouc. - Jestem księżniczką Madouc i należę do rodziny królewskiej! Nakazałam wychłostanie pani Vosse! Chciałabym to natychmiast zobaczyć!

- Dobrze - powiedziała ponuro królowa Sollace. - Zajmę się tym. Ermelgart, podaj mi pięć długich witek z tej szczotki. Niech będą mocne i sprężyste.

Ermelgart pospiesznie wykonała polecenie.

- Tak, te się nadają - stwierdziła królowa Sollace oglądając witki. - A teraz weźmy się do chłosty! Madouc! Chodź tutaj!

- Po co?

Królowa Sollace machnęła witekami.

- Nie przepadam za tym zajęciem. Pocę się od tego. Jednakże zadanie warte wykonania należy wykonać dobrze. Podejdź bliżej i zdejmij dolne odzienie.

- Czulałabym się głupio robiąc to, co sugerujesz - odparła drżącym głosem księżniczka. - Byłoby znacznie rozsądniej, gdybym się trzymała z dala od ciebie i twojej witki.

- Sprzeciwiasz mi się? - ryknęła królowa. Ciężko wstała z krzesła. - Zrobię z tych witek dobry użytek! - Sollace ruszyła do przodu, machnięciem grubego ramienia odrzucając do tyłu pelerynę. Ojciec Umphred trzymający w dłoniach księgę psalmów był cały rozpromieniony. Pani Vosse stała sztywno i nieruchomo. Zdesperowana Madouc rozejrzała się na prawo i lewo. Raz jeszcze sprawiedliwość nie była po jej stronie, a wszyscy byli przeciwko niej.

Oblizła wargi, złożyła palce i cicho zasyczała. Królowa Sollace zatrzymała się, zatrzęsły się jej kolana, rozchyliły usta, a zęby zaszczekały jej jak kamyki w pudełku. Ojciec Umphred, ciągle z uśmiechem na twarzy, wydał bulgoczący pisk, po czym podskakując jak rozzłoszczona wiewiórka pochylił

się nisko i zaczął stąpać w kółko, jakby tańczył jakiś celtycki taniec. Erme-
lgart i pani Vosse trzęsły się i dygotały, cicho zgrzytając i szczękając zębami.

Madouc ze spokojem odwróciła się i chciała wyjść z komnaty, kiedy n-
aknęła się w drzwiach na króla Casmira. Król zatrzymał się w progu.

- Co to za bałagan? Dlaczego wszyscy zachowują się tak dziko i niezro-
zumiale?

- Najjaśniejszy Panie, księżniczka Madouc nauczyła się wiedźmich
sztuczek. Zna zaklęcie, które wprawia nas w drgawki, zęby nam szczękają, a
mózg wiruje jak dzikie tornado - wyjaśnił słabym głosem ojciec Umphred.

- Ojciec Umphred mówi prawdę! - rzuciła skrzypiącym głosem królowa
Sollace. - Madouc zasyczała, lub zaśpiewała jakąś syczącą piosenkę, byłam
zbyt zdenerwowana, aby zauważyć, co to było, po czym kości zmieniły się
nam w galaretę, a zęby zaczęły szczękać i zgrzytać!

Król Casmir spojrział w dół na dziewczynę.

- Czy to prawda?

- Wierzę, że królowa Sollace uległa złym namowom i postanowiła mnie
zbić, po czym powodowana dobrocią z tego zrezygnowała. Ja rozkazałam
wychłostać panią Vosse. Mam nadzieję, że dopilnujesz tego, sire - odparła
smutnym głosem Madouc.

- Co za nonsensowne bzdury! - krzyknęła pani Vosse. - Ten wściekły
mały skrzat zasyczał, po czym wszyscy musieliśmy skakać i zgrzytać zęba-
mi!

- No więc, Madouc? - zażądał odpowiedzi król Casmir.

- To nic groźnego. - Madouc próbowała wyminąć masywnego Casmira i
dostać się do drzwi. - Sire, bądź tak dobry i przepuść mnie.

- Nie będę tak dobry. Na pewno nie wcześniej, niż kiedy dowiem się, o
co tu chodzi! Co to za syczenie?

- To tylko mały żart, Wasza Królewska Mość, nic więcej!

- Mały żart! - krzyknęła królowa Sollace. - Zęby jeszcze teraz mi drżą.
Jak sobie przypominasz, pani Desdea skarżyła się na coś podobnego w Sar-
ris.

Casmir spojrział na Madouc spod zmarszczonych brwi.

- Gdzie nauczyłaś się tej sztuczki?

- Sire, dla naszego wspólnego dobra byłoby lepiej, gdybyśmy uznali tą
sprawę za mój osobisty sekret - odparła odważnie.

Casmir spojrział na nią zaszokowany.

- Znowu nieposłuszeństwo? Masz okropny lisi charakter! Ermelgart, podaj mi witki!

Zrobiła unik chcąc przecisnąć się przez drzwi, ale król Casmir złapał ją i przełożył sobie przez kolano. Kiedy próbowała zasyczeć, zasłonił jej usta dłonią, a potem wcisnął jej chusteczkę pomiędzy zęby. Odebrał od Ermelgart witki i wymierzył sześć majestatycznych uderzeń, aż zaświszczało powietrze.

W końcu wypuścił Madouc. Księżniczka doprowadzała się do porządku, podczas gdy łzy poniżenia i wściekłości toczyły się jej po policzkach.

- I co o tym myślisz, Panno Chytrusko? - zapytał Casmir ciężkim, choć złośliwym głosem.

Madouc stała i trzymała ręce na bolących pośladkach.

- Myślę, że poproszę moją matkę, aby nauczyła mnie kilku nowych sztuczek.

Casmir otworzył już usta, po czym nagle je zamknął.

- Twoja matka nie żyje - powiedział po pełnej napięcia chwili.

Doprowadzona do furii Madouc myślała tylko o tym, aby się od nich uwolnić.

- Moją matką nie była Suldrun i ty dobrze o tym wiesz - krzyknęła.

- Co mówisz? - ryknął król Casmir. - Czy to dalszy ciąg twoich bezczelności?

Prychnęła i postanowiła nic więcej me mówić.

- Jeśli mówię, że twoja matka nie żyje, to nie żyje! - ciągnął Casmir. - Czy chcesz jeszcze raz dostać w tyłek?

- Moją matką jest elfia panna Twisk - powiedziała Madouc. - Bij mnie, jeśli chcesz, lecz to niczego nie zmieni. Jeśli chodzi o mojego ojca, to wciąż okrywa go tajemnica, a mnie nadal brakuje rodowodu.

- Hmm, ha - burknął król Casmir zastanawiając się nad całą sprawą. - To już coś. Każdy powinien mieć rodowód.

- Cieszę się, że się ze mną zgadzasz, ponieważ któregoś dnia sama zamierzam go poszukać.

- To nie będzie konieczne! - oświadczył Casmir. - Jesteś księżniczką Madouc i twój rodowód czy też jego brak nigdy nie będą rozważane.

- Dobry długi rodowód jest lepszy niż jego brak.

- No cóż, to prawda. - Casmir rozejrzał się po komnacie i ujrzał utkwione

w sobie oczy wszystkich obecnych. Skinął na Madouc.

- Chodź - powiedział i poprowadził ją do swej prywatnej komnaty. Wskazał na sofę. - Usiądź.

Ostrożnie usadowiła się na poduszkach, aby było to jak najmniej bolesne dla jej pośladków, cały czas z uwagą obserwując Casmira.

Król przemierzał pokój w tę i z powrotem. Pochodzenie Madouc było nieistotne dopóty, dopóki nikt nie znalazł prawdy. Tylko wtedy mogła się do czegoś przydać, na przykład do scementowania ważnego sojuszu. Casmir zatrzymał się nagle.

- Podejrzewasz więc, że Suldrun nie była twoją matką?

- Moją matką jest Twisk. Ona żyje i jest elfem.

- Będę szczery - powiedział Casmir. - Rzeczywiście wiedzieliśmy, że jesteś podrzutkiem, ale byłeś tak wychudzonym dzieckiem, że nie mogliśmy cię zostawić. Przyjęliśmy cię do naszych serc jako księżniczkę Madouc. Tak było do dzisiaj. Korzystasz z przywilejów należnych członkom rodziny królewskiej, ale spoczywają też na tobie związane z tym obowiązki. - Głos Casmira podniósł się o dwa tony, król wciąż uważnie jej się przyglądał. - Chyba że znalazłby się prawdziwy syn Suldrun i zażądał swego miejsca w rodzinie. Co o nim wiesz?

Madouc poruszyła się, aby zmniejszyć ból w piekących pośladkach.

- Pytałam o mój rodowód, ale na próżno.

- Nie dowiedziałaś się więc, co się stało z synem Suldrun, chłopcem mniej więcej w twoim wieku?

Z wielkim trudem Madouc powstrzymała opanowujący ją śmiech. Rok w elfiej shee równał się siedmiu, ośmiu lub dziewięciu latom w zewnętrznym, ludzkim świecie. Nie było wiadomo ile to dokładnie jest. Casmir najwyraźniej nie miał o tym pojęcia.

- On nic dla mnie nie znaczy - powiedziała Madouc. - Być może nadal mieszka w shee. Równie dobrze może już nie żyć. Puszcza Tantrevalles to straszliwe miejsce.

- Dlaczego się uśmiechasz? - zapytał ostro król Casmir.

- To grymas bólu - wyjaśniła Madouc. - Nie pamiętasz już? Wymierzyłeś mi sześć okrutnych razów. Ja pamiętam je dobrze.

Casmir spojrział na nią, zmrużywszy oczy.

- Co przez to rozumiesz? - zapytał.

Obdarzyła go niewinnym spojrzeniem.

- Nie nadaję tym słowom żadnego szczególnego znaczenia. Czyżbyś ty mówił w taki sposób?

Król Casmir zmarszczył brwi.

- Dobrze więc! Nie zamartwiajmy się tym, co było! Przed tobą wiele szczęśliwych chwil! Być księżniczką z domu panującego w Lyonesse to wielkie szczęście!

- Mam nadzieję, że wyjaśnisz to pani Vosse, tak by albo zaczęła słuchać moich rozkazów, albo wróciła do Wildmay Fourtowers, co byłoby jeszcze lepszym rozwiązaniem.

Król Casmir odchrząknął.

- Jeśli o to chodzi, to kto wie? Królowa Sollace ma swoje plany. Hmm, nie możemy oczywiście pozwolić, aby wszyscy znali nasze tajemnice i by pospółstwo o tym plotkowało. Rozwiałyby się twoje szanse na wspaniałe małżeństwo. Masz wobec tego schować to, co wiesz, głęboko w sercu. Porozmawiam z Ermelgart, księdzem i panią Vosse. Nie będą plotkować. A ty, jak zawsze, będziesz czarującą księżniczką Madouc, którą wszyscy tak bardzo kochamy.

- Nie czuję się dobrze - oznajmiła. - Myślę, że teraz już pójdę. - Wstała i podeszła do drzwi. Tu zatrzymała się i spojrzała przez ramię. Zobaczyła, jak król Casmir przygląda się jej zamyślony, z nogami rozstawionymi szeroko, z ramionami splecionymi na plecach.

- Proszę, nie zapomnij - powiedziała miękkiem głosem. - Nie chcę mieć więcej do czynienia z panią Vosse. Zachowywała się haniebnie i karygodnie.

Król Casmir mruknął tylko pod nosem. Mogło to znaczyć wszystko i nic. Madouc odwróciła się i wyszła z komnaty.

III

Po wiośnie przyszło lato, ale tym razem nie było wyjazdu do Sarris. Decyzja ta podyktowana była nagłymi sprawami wagi państwowej. Król Casmir rozpoczął niebezpieczną grę, którą należało kontrolować z delikatnością i wyczuciem.

Skloniły go do tego nagle zamieszki w królestwie Blaloc. Casmir miał nadzieję wpłynąć na tamtejsze wydarzenia i pokierować nimi po swojej myśli, tak łagodnie, aby ani król Audry, ani król Aillas nie mieli powodów do protestów.

Zaburzenia w Blaloc związane były z dolegliwościami króla Mila. Nieustanne pijatyki, obżarstwo i wyniszczające rozrywki sprawiły, że stracił

zdrowie i dolegały mu napuchnięte stawy, zwały sadła i niesprawna wątroba. Leżał teraz pojękując w ciemnej komnacie, najwyraźniej konający. Lekarze pozwolili, aby podawano mu tylko surowe jajko rozbite w mleku i od czasu do czasu ostygi, ale zdawało się, że ma to niewielki wpływ na stan zdrowia króla.

Z trzech synów króla Mila przeżył tylko najmłodszy, książę Brezante, który był obecnie następcą tronu. Brezante nie miał silnego charakteru i z wielu powodów nie był darzony sympatią przez arystokratów. Ci, którzy pozostali lojalni wobec króla Mila i dynastii Valeu, niezbyt usilnie wspierali księcia Brezante. Wraz z pogarszaniem się stanu zdrowia króla podziały te stawały się coraz wyraźniejsze, coraz częściej słychać było o wojnie domowej.

W tej sytuacji król Casmir chciał narzucić rozwiązanie korzystne dla siebie. Doprowadził do paru niewielkich, acz skutecznych prowokacyjnych starć granicznych pomiędzy własnymi baronami, a nieposłusznymi wasalami Mila. Codziennie z Lyonesse urządzano małe najazdy na teren Blaloc. Casmir miał nadzieję, że prędzej czy później ten czy inny porywczy hrabia z Blaloc, zazdrosny o swe zwierzchnictwo, zostanie sprowokowany do zbrojnego wystąpienia. Casmir pod pretekstem zaprowadzenia porządku i wzmocnienia nadwątlonej władzy króla Mila mógłby wówczas wysłać żołnierzy z niedalekiego fortu Meal i przejąć kontrolę nad Blaloc. Potem, składając się ku frakcji przeciwnej księciu Brezante, przejąłby koronę Blaloc i przyłączył je do Lyonesse. Ani król Audry z Dahautu, ani król Aillas z Troicinetu nie mogliby go oskarżyć o niewłaściwe postępowanie.

Mijały dni i tygodnie. Król Casmir prowadził swą delikatną i ostrożną grę. Opozycyjni hrabiowie z Blaloc, mimo że byli rozwścieczeni najazdami z Lyonesse, wyczuwali niebezpieczeństwo, jakie sprowadziłaby na nich akcja odwetowa, zbroili się więc w cierpliwość i czekali na stosowną chwilę. W Twissamy książę Brezante, który poślubił niedawno młodą księżniczkę z królestwa Bor w Południowej Walii, oderwał się na chwilę od obowiązków małżeńskich i stwierdził, że w kraju nie działa się dobrze. Arystokraci lojalni wobec króla Mila tak długo nalegali, aż w końcu wysłał on posłańców do króla Audry'ego i króla Aillasa, informując ich o dziwnym nasileniu starć i prowokacji wzdłuż granicy z Lyonesse.

Król Audry odpowiedział bardzo ogólnikowo. Zasugerował, że król Milo i książę Brezante mogli źle zinterpretować kilka nieprzyjemnych, ale zupełnie

nieistotnych incydentów. Doradził księciu Brezante, aby postępował poważnie i ostrożnie.

- Przede wszystkim musimy się wystrzegać podejrzliwości i nie prześlanych zarzutów, „rzucania się w ciemną dziurę”, jak ja to nazywam. Takie poczynania są najczęściej pozbawione większego znaczenia. Spadający kasztan nie powinien nas prowokować do skarg, że niebo wali nam się na głowy. Opowiadam się za zasadą silnej i statecznej władzy, co również tobie polecam, mając nadzieję, że ta zasada także dla ciebie okaże się użyteczna. W każdym razie chciałbym cię zapewnić, iż życzymy ci jak najlepiej.

Król Aillas odparł w zupełnie innym tonie. Wyruszył z Domreis wraz z flotą dziewięciu okrętów wojennych na, jak to nazwał, „morskie manewry”. I jak gdyby pod wpływem nagłego impulsu zawinął z nie zapowiedzianą wizytą do miasta Lyonesse na *Sangranadzie*, galeasie o trzech masztach.

Kiedy *Sangranada* stała na redzie, Aillas wysłał łódź z posłańcem do króla Casmira, prosząc o pozwolenie na wejście do portu. Jego wizyta, ponieważ nie była zapowiedziana, miała być nieoficjalna i pozbawiona zbędnych ceremonii. Miał jednak nadzieję wymienić poglądy z królem Casmirem na interesujące ich obu tematy.

Zezwolenie nadeszło natychmiast. *Sangranada* prześlizgnęła się przez wąskie wejście do portu i zacumowała przy nabrzeżu. Reszta floty pozostała na morzu zarzucając kotwice na płytszych wodach.

Aillas i Dhrun zeszli z pokładu *Sangranady* z małą eskortą. Król Casmir oczekiwał na nich w królewskim powozie. Pojechali przez Sfer Arct do Haidionu.

Po drodze król Casmir wyraził zaniepokojenie o flotę zacumowaną na redzie.

- Dopóty, dopóki wiatr jest słaby i wieje od strony lądu, nie ma niebezpieczeństwa. Ale jeśli wiatr się zmieni, twoje okręty będą musiały natychmiast odpłynąć dalej od brzegu.

- Między innymi z tego powodu nie zatrzymamy się na dłużej - powiedział Aillas. - Pogoda powinna się jednak utrzymać przez dzień lub dwa.

- To szkoda, że musicie tak szybko nas opuścić - grzecznie odparł Casmir. - Może znajdziemy trochę czasu, aby urządzić turniej w walce na kopie. Może ty i książę Dhrun chcielibyście wziąć w nim udział?

- Ja nie - odmówił Aillas. - To zabawa, w której trzeba się pogodzić z siniakami i obiciami, a także upadkami z konia. Nie przepadam za tym.

- A Dhrun?

- Znacznie lepiej wychodzi mi walka na miecze.

- Jak chcecie - powiedział król Casmir. - Będziemy się wobec tego zabawiać w całkiem nieformalny sposób.

- To mi bardzo odpowiada - stwierdził Aillas. Jak zawsze, kiedy rozmawiał z Casmirem, podziwiał swoją zdolność opanowania, jako że nie było na świecie osoby, którą nienawidziłby bardziej od niego. - Skoro jednak przychylne wiatry sprowadziły nas tutaj, moglibyśmy z pożytkiem spędzić godzinę lub dwie na rozmowie o tym, co dzieje się na świecie.

- Niech i tak będzie - zgodził się król Casmir.

Aillas i Dhrun zostali umieszczeni w komnatach w Wieży Wschodniej, gdzie wykąpali się i zmienili ubrania, a następnie udali się na posiłek w towarzystwie rodziny królewskiej. Casmir z tej okazji polecił nakryć do stołu w Sali Zielonej, zwanej tak z powodu koloru, na który pomalowano wierzbową boazerię i dużego zielonoszarego dywanu w drobne czerwone kwiaty leżące na podłodze.

Aillas i Dhrun przybywszy do Sali Zielonej zastali tam już wszystkich członków rodziny królewskiej. Nie było żadnych innych gości, najwyraźniej obiad miał być zupełnie nieoficjalny. Król Casmir tłukł orzechy, zjadał ich zawartość i wrzucał łupiny do kominka. Sollace stała obok niego, spokojna i stateczna jak zawsze, z puklami jasnych włosów zebranych w siatkę zdobioną perłami. Madouc, która wpatrywała się w ogień, miała taki wyraz twarzy, jakby błędziła myślami gdzieś bardzo daleko. Pozwoliła się ubrać w ciemnogrnatową sukienkę z białym, koronkowym kołnierzem. Białe kokardy ściągały jej włosy, tak że miedzianozłote loki pięknie układały się dookoła jej twarzy. Pani Etarre, która pilnowała garderoby księżniczki (Madouc nie pozwalała wchodzić patii Vosse do swoich komnat), odezwała się do królowej Sollace:

- Chociaż raz zdobyła się na to, aby wyglądać inaczej niż dzikuska.

Pani Vosse, która stała tuż obok, mruknęła:

- Trudno przewidzieć jej zachcianki.

- Nie mam ochoty się nad tym zastanawiać - powiedziała prychnąwszy królowa Sollace. - Dziękuję, pani Etarre, możesz odejść. - Pani Etarre odeszła do swojej komnaty, a królowa zwróciła się do pani Vosse: - Jej bardzo

wątpliwe pochodzenie, o którym nie wolno nam oczywiście dyskutować, wyjaśniałoby wiele z jej dziwnego zachowania.

- To niezwykła sytuacja - przyznała pani Vosse ciężkim głosem. - Jednakże rozkazy króla są jasne i nie moją sprawą jest rozważać ich zasadność.

- Nie ma w tym żadnej tajemnicy - stwierdziła królowa Sollace. - Mamy nadzieję korzystnie wydać ją za mąż. Do tego czasu musimy znosić jej humory.

Siedząc w Sali Zielonej królowa Sollace przyjrzała się pobieżnie Madouc.

Nigdy nie będzie prawdziwą pięknoscią - pomyślała - choć trzeba przyznać, że ma w sobie jakiś szczególny wdzięk. Nie ma jednak wystarczająco dużo ciała w najważniejszych miejscach ani nic nie zapowiada tego, że to się jeszcze poprawi. Jaka szkoda - myślała Sollace - dojrzałość i bujne kształty to przecież najważniejsze i najistotniejsze elementy prawdziwej urody. Mężczyźni lubią mieć za co złapać, kiedy mają na to ochotę.

Po przybyciu Aillasa i Dhruna zajęto miejsca przy stole. Król Casmir usiadł przy jednym jego końcu, król Aillas przy drugim, królowa Sollace z jednej strony, Dhrun i Madouc z drugiej.

Obiad, jak obiecywał Casmir, był prosty i raczej niewystawny: łosoś duszony w winie, bażant nadziewany słonkami, cebulą i kaszą, gotowana baranina z pietruszką i rodzynekami, kaczka pieczona z farszem z oliwek i rzodkiewek, szynka z dziczyzny podana w czerwonym sosie, a na deser podano sery, marynowane grzyby, jabłka i gruszki.

Madouc siedziała cicho i spokojnie, jedząc niewiele, popijając wino i obrywając winogrona z dużej kiści. Na próby nawiązania rozmowy przez Dhruna reagowała bez entuzjazmu, co wprawilo go w zakłopotanie. Podejrzewał jednak, że to jej dziwne zachowanie było spowodowane obecnością króla i królowej.

Posiłek dobiegał końca. Przez chwilę nie ruszono się od stołu sącąc delikatne, słodkie wino znane jako Fialorosa, podawane w tradycyjnych, przysadzistych kielichach z purpurowego szkła, tak poskręcanych w najróżniejsze kształty, że nie było dwóch takich samych. W końcu król Casmir dał znać, że ma zamiar się oddalić, więc wszyscy podnieśli się z krzesel życząc sobie dobrej nocy i oddalili się do swoich komnat.

Rankiem, gdy Aillas i Dhrun jedli lekkie śniadanie w słonecznym salonie przylegającym do ich komnat, pojawił się wielki seneszal, sir Mungo. Przyniósł im wiadomość, że król Casmir z przyjemnością porozmawia z królem Aillasem, kiedy ten tylko uzna to za stosowne. Aillas zgodził się na tę propozycję i sir Mungo zaprowadził go do salonu króla. Casmir powstał, aby się z nim przywitać.

- Usiądziesz? - zapytał, wskazując na krzesło.

Aillas uklonił się i usiadł. Casmir spoczął na podobnym krześle obok niego. Na jego znak sir Mungo opuścił komnatę.

- To nie tylko okazja do miłego spotkania - powiedział Aillas. - Będziemy również mogli wymienić poglądy. Nie widzimy się zbyt często.

- No cóż, świat ciągle jest na swoim miejscu - odparł Casmir. - Nasze ułomności nie spowodowały żadnego wielkiego kataklizmu.

- A jednak świat zmienia się i żaden rok nie jest taki sam, jak poprzedni. Utrzymując kontakt pomiędzy nami i koordynując nasze poczynania uniknęlibyśmy przynajmniej zaskakiwania się nawzajem.

Król Casmir machnął lekceważąco ręką.

- To dość przekonywający pomysł, choć może nieco przesadzony. Życie w Lyonesse pędzi w tak szalonym tempie.

- Otóż to. To niesamowite, jak jeden mały, zdawałoby się nieistotny epizod, może doprowadzić do wielkich wydarzeń.

- Czy masz na myśli jakiś konkretny epizod? - zapytał ostrożnie król Casmir.

- Nic szczególnego. W zeszłym miesiącu dowiedziałem się, że król Gotów Sigismondo zamierza wysłać swe wojska na północne brzegi Wysrodu, chcąc zająć tamtejsze ziemie i pokonać króla Audry'ego. Odstąpił od tego pomysłu, gdy jego doradcy zapewnili go, że natychmiast wplątałby się w wojnę przeciwko całej potędze Troicinetu oraz Dahautu, co doprowadziłoby do pewnej katastrofy. Sigismondo wycofał się i rozważa teraz, czy nie uderzyć na królestwo Kharesm.

Casmir z zamyśleniem pogładził się po brodzie.

- Nic o tym nie słyszałem.

- To dziwne - powiedział Aillas. - Twój wywiadowcy są przecież tak skuteczni.

- Nie ty jeden obawiasz się niespodzianek - odparł Casmir z gorzkim uśmiechem.

- To niezwykle, że to mówisz! Zeszłej nocy dużo myślałem i oceniałem różne plany. Jeden z nich chciałbym ci teraz przedstawić. Powtarzając twoje słowa, zlikwidowałoby to element strachu przed niespodziankami.

- Cóż to za propozycja? - zapytał ze sceptycyzmem w głosie Casmir.

- Sugerowałbym szybkie, wspólne konsultacje w nagłych wypadkach, takich chociażby, jak najazd Gotów lub jakiegokolwiek inne zerwanie pokoju, mając na celu jak najszybsze i najskuteczniejsze rozwiązanie problemu.

- Hmm - mruknął Casmir. - To może być dość uciążliwe.

Aillas roześmiał się grzecznie.

- Mam nadzieję, że nie przesadziłem, prezentując ci moje pomysły. Niewiele różnią się od celów, jakie sobie wyznaczyłem w zeszłym roku. Na wyspach Elder panuje pokój. Musimy się upewnić, ty i ja, że nic tego pokoju nie przerwie. W zeszłym roku moi wysłannicy zaproponowali sojusz każdemu królestwu na wyspach Elder. Zarówno król Kestrel z Pomperolu, jak i król Milo z Blaloc przyjęli moją propozycję. Dlatego też wystąpimy w ich obronie w razie ataku. Jak mnie poinformowano, król Milo jest chory, a na dodatek musi sobie radzić z niełojalnymi lordami. Z tego też powodu flota, która zacumowała u twoich brzegów, uda się natychmiast do Blaloc, w celu zapewnienia króla Mila o naszym poparciu i rozprawienia się z jego nieprzyjaciółmi. Będę bezlitosny dla każdego, kto będzie próbował pozbawić go tronu lub odebrać prawo do tronu jego następcom. Blaloc musi pozostać niezależnym państwem.

Casmir przez chwilę nie miał nic do powiedzenia.

- Takie samotne wyprawy mogą zostać źle zrozumiane - odparł w końcu.

- Zastanawiałem się nad tym. Dlatego też byłbym szczęśliwy, gdybyś udzielił poparcia naszej wyprawie, wtedy bowiem uniknęlibyśmy pomyłek, a wrogowie króla Mila zostaliby pokonani znacznie szybciej.

Król Casmir uśmiechnął się zagadkowo.

- Mogą utrzymywać, że racja jest po ich stronie.

- Bardziej prawdopodobne jest to, że mają zamiar poprzeć nowego władcę, co tylko doprowadziłoby do kłopotów. Nie ma potrzeby szukać innego władcy, skoro jest prawowity następca tronu.

- Niestety, książę Brezante jest osobą słabego charakteru i nie wszędzie cieszy się popularnością. Stąd biorą się niepokoje w Blaloc.

- Książę Brezante jest wystarczający dla potrzeb Blaloc, które nie są zbyt wygórowane. Oczywiście, wolelibyśmy, aby król Milo wrócił do zdrowia.

- Na to nie ma zbyt wielkiej szansy. Obecnie jada dziennie tylko jedno jajko rozmieszane w mleku. Ale odbiegamy od tematu. Jakie są twoje propozycje?

- Powiem coś, co jest oczywiste, a mianowicie, że nasze dwa królestwa są najpotężniejszymi na wyspach Elder. Proponuję, byśmy wydali akt gwarantujący wszystkim Państwom na wyspach Elder niezależność terytorialną. Takie oświadczenie miałoby tylko pozytywne skutki.

Twarz króla Casmira przypominała kamienną maskę.

- Twoje zamiary są chwalebne, sądzę jednak, że niektóre twoje założenia są nierealne.

- Tylko jedno wydaje się istotne - powiedział Aillas. - Przyjąłem, że równie mocno jak ja pragniesz utrzymania pokoju na wyspach. Nie ma innej możliwości, poza zupełnie przeciwnym założeniem, że nie pragniesz pokoju, a to, jak mniemam zakrawa na absurd.

Król Casmir uśmiechnął się sardonicznie.

- No dobrze, ale czy twoje plany nie są nieco niejasne, a nawet naiwne?

- Ja tak nie myślę - oświadczył Aillas. - Najważniejsza myśl jest wystarczająco zrozumiała. Potencjalny agresor odstraszony zostałby możliwością przegranej, kary i końca swojej dynastii.

- Zastanowię się dokładniej nad twoją propozycją - powiedział król Casmir obojętnym tonem.

- Nie proszę o nic więcej - odparł Aillas.

IV

Podczas gdy Aillas prezentował swe trudne do przyjęcia dla króla Casmira propozycje, Dhrun i Madouc wyszli na taras i stali oparci o balustradę. Pod nimi znajdował się dziedziniec zwany „Paradnym”, a dalej rozpościerało się całe miasto Lyonesse. Tego dnia, mimo niezadowolenia pani Vosse, Madouc miała na sobie zwykłą, ściągniętą paskiem sukienkę do kolan

z grubego płótna w kolorze mąki. Opaska z plecionego, niebieskiego sznurka ściągała jej włosy, a za jej lewym uchem wisiała kitka. Na gołe nogi założyła sandały.

Dhrunowi kitka księżniczki wydała się tak intrygująca, że nie mógł postrzymać się od komentarza:

- Wyjątkowo sprytnie wyglądasz z tą kitką.

Madouc udała obojętność i wzruszyła ramionami.

- To nic, kaprys i tyle.

- Wesoły kaprys ze znacznym wpływem elfiego polotu. Taką kitkę równie dobrze mogłaby nosić twoja matka, Twisk.

Dziewczyna z powątpiewaniem potrząsnęła głową.

- Kiedy ją widziałam, nie miała ani kitki, ani nic we włosach, które falowały jak niebieska mgła. - Madouc zastanawiała się przez chwilę. - Oczywiście, nie znam się za bardzo na elfiej modzie. Nic z elfa już we mnie nie zostało.

Dhrun zmierzył ją spojrzeniem od stóp po czubek głowy.

- Nie jestem tego taki pewien.

Wzruszyła ramionami.

- Pamiętaj, że nigdy nie mieszkałam z elfami. Nie jadłam ich chleba, nie piłam ich wina. Elfia krew...

- Nazywa się „souw”. To prawda, że po jakimś czasie „souw” znika, a zostaje tylko ludzka powłoka.

Madouc zamyślona spojrzała na miasto.

- Biorąc jednak wszystko pod uwagę, nie lubię myśleć o sobie jako o ludzkiej powłoce.

- Oczywiście, że nie. Nigdy nie pomyślałbym o tobie w taki sposób.

- Cieszę się słysząc, że masz o mnie dobre zdanie - odpowiedziała skromnie.

- Wiedziałaś to już dawno - odparł Dhrun. - A jeśli mogę o tym wspomnieć, ulżyło mi, gdy zobaczyłem, że jesteś w dobrym nastroju. Ubiegłego wieczora byłaś bardzo ponura. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie nudzi cię nasze towarzystwo.

- Tak bardzo było widać, w jakim jestem nastroju?

- W każdym razie, wydawałaś się jakaś taka stłumiona.

- Nie nudziłam się jednak.

- Dlaczego byłaś taka nieszczęśliwa?

Raz jeszcze Madouc spojrzała na miasto.

- Mam ci powiedzieć prawdę?

- Zaryzykuję - zgodził się Dhrun. - Mam tylko nadzieję, że twoje uwagi nie będą zbyt zjadliwe. Powiedz mi prawdę.

- To ja tutaj ryzykuję - powiedziała Madouc. - Ale jestem lekkomyślna i nic na to nie poradzę. Prawda jest taka: tak byłam szczęśliwa na twój widok, że poczułam się chora i wpadłam w zły nastrój.

- Zadziwiająco! - zawołał Dhrun. - A kiedy wyjadę, będziesz śpiewać i tańczyć ze smutku?

- Ty się ze mnie śmiejesz! - odparła z wyrzutem księżniczka.

- Nie. Naprawdę nie.

- To dlaczego się uśmiechasz?

- Myślę, że masz w sobie znacznie więcej elfiej „soum”, niż ci się wydaje.

Zamyślona skinęła głową, jak gdyby Dhrun wyraził jej własne wątpliwości.

- Tak długo mieszkałeś w Thripsey Shee, że sam powinieneś mieć w sobie dużo z elfa.

- Czasami tego się obawiam. Ludzkie dziecko zbyt długo pozostające w shee staje się otumanione i szalone. Do niczego innego się potem nie nadaje, tylko do grania dzikiej muzyki na kobzie. Kiedy zaczyna grać wesołe melodie, ludzie nie mogą przestać tańczyć, muszą skakać i brykać dopóty, dopóki nie zedrą sobie butów.

Madouc ze zdziwieniem przyjrzała się Dhrunowi.

- Według mnie nie wyglądasz na szalonego, choć może nie jestem najlepszym sędzią. A nawiązując do tego, o czym mówiłeś: grasz na kobzie?

Skinął głową.

- Przez jakiś czas przygrywałem do tańca paru kotom. To było dawno temu. Teraz nie uznano by tego za zachowanie godne księcia.

- Czy kiedy grałeś, ludzie tańczyli bez oporu? Bo jeśli tak, to chciałabym, żebyś zagrał dla królowej i pani Vosse. Sir Mungo mógłby im pomóc, a także kat Zerling.

- Nie mam ze sobą kobzy - powiedział Dhrun. - Polot elfów jakoś ze mnie uszedł, a i ja stałem się bardziej opanowany. Może nie jestem jednak szalony.

- Czy często myślisz o shee?

- Czasami. Ale wspomnienia się zacierają, tak jakbym próbował sobie przypomnieć sen.

- Czy pamiętasz moją matkę Twisk?

- Niezbyt dobrze. W gruncie rzeczy to wcale. Pamiętam króla Throbiusa i królową Bossum oraz chochlika o imieniu Falael, który był o mnie

zazdrosny. Pamiętam zabawy w świetle księżycy, siedzenie na trawie i robienie łańcuchów z kwiatów.

- Czy chciałbyś jeszcze kiedyś odwiedzić shee?
- Pomyśleliby, że przyszedłem ich o coś prosić i zaczęliby mi się złościwie psocić.

- Czy to daleko stąd?

- Na północ od Małego Saffield na Starym Trakcie. Droga prowadzi przez miasteczka Timble i Glymwode, a potem trzeba się zapuścić w las, aż na Szaloną Łąkę.

- Nie byłoby tak trudno to znaleźć.

- Nie masz chyba zamiaru samotnie odwiedzić shee? - odezwał się zdziwiony Dhrun.

- Na razie nic takiego nie planuję - odparła wymijająco Madouc.

- Odradzałbym ci taką wyprawę, bez względu na to, czy ją planujesz, czy też nie. Na drogach jest niebezpiecznie. W lesie jest bardzo dziwnie. A elfom nie można ufać.

Madouc zdawało się to nie martwić.

- Moja matka obroniłaby mnie.

- Nie bądź tego taka pewna! Gdyby była w złym humorze i miała zły dzień, mogłaby ci doprawić borsuczy pyszczyk lub długi zielony nos, i to bez żadnego szczególnego powodu.

- Moja matka nigdy nie skrzywdziłaby swojej ukochanej córki - rzekła z przekonaniem księżniczka.

- Dlaczego w ogóle chcesz tam pójść? Nie zostałyś mile przyjęta.

- Nic mnie to nie obchodzi. Chcę się tylko dowiedzieć czegoś o moim ojcu: jak miał na imię, jakiego był stanu, gdzie teraz mieszka. Może w jakimś pięknym zamku nad morzem?

- Co na ten temat mówi twoja matka?

- Udaje, że nic nie pamięta. Jestem przekonana, że nie powiedziała mi wszystkiego, co wie.

Dhrun miał wątpliwości.

- Dlaczego nie miałaby ci tego powiedzieć? No, chyba że twój ojciec był włóczęgą, którego się wstydzi.

- Hmm - mruknęła Madouc. - O tym nie pomyślałam. Ale to mało prawdopodobne, przynajmniej taką mam nadzieję.

Z zamku wyszli Casmir i Aillas, obaj z wyrazem grzecznej obojętności na twarzach. Aillas podszedł do Dhruna.

- Zdaje się, że wiatr zaczyna wiać na południe, lepiej więc wypłynmy na głębokie morze, zanim warunki się pogorszą,

- Szkoda, że musimy jechać tak wcześnie - powiedział Dhrun.

- To prawda! Tak już jednak jest. Zaprosiłem króla Casmira wraz z królową Sollace i księżniczką, aby spędzili tydzień razem z nami w Watersshade, może nawet tego lata.

- To byłoby bardzo miłe! - stwierdził Dhrun. - Watersshade będzie najlepszym miejscem na takie spotkanie. Mam nadzieję, że Wasza Królewska Mość zdecyduje się nas odwiedzić. Podróż nie jest aż tak uciążliwa!

- Będzie nam bardzo miło, jeśli tylko sprawy państwowe na to pozwolą - odparł król Casmir. - Widzę, że powóz już czeka. Pożegnaj się z wami tutaj.

- Tak będzie najlepiej - stwierdził Aillas. - Do zobaczenia, Madouc. - Ucałował ją w policzek.

Dhrun pochylił się, aby również ją pocałować i powiedział:

- Do zobaczenia. Zobaczymy się niedługo, być może w Watersshade!

- Mam nadzieję.

Dhrun odwrócił się i poszedł za Aillasem po kamiennych stopniach aż na podjazd, gdzie czekał na nich powóz.

V

Król Casmir stał w swym prywatnym salonie wpatrując się w okno, z nogami rozstawionymi szeroko i rękoma splecionymi na plecach. Troicyjska flota odpłynęła na wschód i zniknęła za horyzontem. Przed nim rozciągała się pusta i szeroka cieśnina Lir. Casmir zamruczał do siebie pod nosem i odwrócił się od okna. Z rękoma ciągle założonymi za plecy zaczął przechadzać się powoli po salonie, krok po kroku, z głową nisko pochyloną, brodą niemal dotykając piersi.

Do salonu weszła królowa Sollace. Zatrzymała się i obserwowała wędrówkę króla. Casmir rzucił jej lodowato-niebieskie spojrzenie spod gęstych brwi i dalej w ciszy przemierzał pokój.

Z rozszerzonymi nozdrzami królowa Sollace przeszła przez pokój do kanapy i usiadła.

W końcu król Casmir się zatrzymał. Odezwał się bardziej do siebie niż do królowej Sollace:

- Nie można mnie tak spychać na bok. Raz jeszcze uprzedzono moje działania i cały wysiłek spełził na niczym. A wszystko za sprawą tej samej osoby i z tych samych powodów. Fakty są oczywiste. Musimy je zaakceptować.

- Czyżby? - zapytała Sollace. - Cóż to za wstrętne fakty, które tak bardzo cię niepokoją?

- Związane są z moimi planami dotyczącymi Blaloc - burknął Casmir. - Nie mogę interweniować mając na karku Aillasa i jego okręty wojenne. Ten gruby szakal Audry też stanąłby przeciwko mnie, a ja nie zniósłbym tak wielu ciosów.

- Może powinieneś przyjąć jakiś inny plan - powiedziała żywo królowa Sollace. - Lub obejść się bez jakiegokolwiek planu.

- Ha! - ryknął Casmir. - Tak mogłoby się wydawać. Król Aillas potrafi wszystko zagadać miłymi słówkami. Ma tę nieprzyjemną umiejętność nazywania cię podstępny zdrajcą, kłamcą, oszustem i złoczyńcą w taki sposób, jakby prawil komplementy.

Królowa Sollace potrząsnęła ze zdziwienia głową.

- Jestem zaskoczona! Myślałam, że król Aillas i księżę Dhrun przyjechali z grzecznościową wizytą.

- Nie był to jedyny powód, zapewniam cię.

Królowa Sollace westchnęła.

- Król Aillas sam osiągnął wielki sukces. Dlaczego nie chce być bardziej tolerancyjny dla twoich nadziei i marzeń? Musi być o coś zazdrosny.

Casmir niechętnie przytaknął.

- Nie kochamy się, to pewne! Robi jednakże tylko to, do czego jest zmuszony. Zna moje zamiary równie dobrze jak ja sam.

- Ale przecież to chwalebne cele! - słodziła królowa Sollace. - Zjednoczenie wysp Elder jak za dawnych czasów, toż to szlachetne marzenie! Z pewnością wzmocniłoby to naszą świętą wiarę! Pomyśl tylko! Pewnego dnia ojciec Umphred mógłby być arcybiskupem całych wysp Elder!

- Znowu nasłuchiłaś się tego księdza z czerwonym nosem- odparł z niechęcią Casmir. - Omamił cię tą swoją katedrą. To zupełnie wystarczy.

Królowa Sollace spojrzała zażawionymi oczyma na sufit.

- Bez względu na wszystko wiedz, że modłę się o sukces dla ciebie. W końcu na pewno zwyciężysz! - przemówiła z cierpieniem w głosie!

- Chciałbym, żeby to było takie łatwe. - Król Casmir wsparł się ciężko na krześle. - Jeszcze nie wszystko stracone. Zaszachowano mnie w Blaloc,

ale znajdzie się jeszcze inna droga do kurnika.

Nie za bardzo rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć.

- Wydam agentom nowe polecenia. Nie dojdzie więcej do zamieszek. Kiedy król Milo umrze, Brezante zostanie królem. Damy mu Madouc za żonę i w ten sposób połączymy nasze rodziny.

- Brezante już ma żonę! To Glodwyn z Bor! - próbowała oponować królowa Sollace.

- Była słaba, młoda i chorowita, no i umarła przy narodzinach dziecka. Brezante był bez pamięci zakochany w żonie, ale szybko zgodzi się na następne małżeństwo.

- Biedna mała Glodwyn! Była jeszcze dzieckiem - powiedziała żałośnie Sollace. - Mówi się, że nigdy nie przestała tęsknić za domem.

Casmir wzruszył ramionami.

- Biorąc to wszystko pod uwagę, może to jeszcze odwrócić się na naszą korzyść. Króla Mila równie dobrze już teraz można uznać za martwego. Brezante jest nieco tępy, co dobrze rokuje naszym poczynaniom. Musimy znaleźć okazję, żeby złożyć mu wizytę.

Sollace powiedziała z powątpiewaniem:

- Brezante nie jest ani układny, ani przystojny, ani nawet czarujący - stwierdziła z powątpiewaniem Sollace. - Jego słabość do młodych dziewczek służebnych jest powszechnie znana.

- Ba! Starych czy młodych, co z tego? Królowie są ponad takie małostkowe skandale.

Królowa Sollace prychnęła.

- Jak i królowe, bez wątpienia.

Casmir, w zamyśleniu spoglądając przed siebie, zignorował tę uwagę.

- Jeszcze tylko jedno - powiedziała Sollace. - Chodzi o Madouc. Ona jest bardzo oporna, jeśli chodzi o te sprawy.

- Będzie posłuszna, bo musi być posłuszna - oznajmił Casmir. - To ja jestem królem, nie Madouc.

- Ha! Tylko że Madouc to Madouc!

- Nie da się zrobić chleba bez mąki. Może i jest małym, złośliwym rozdzielcem, ale mimo to musi słuchać moich rozkazów.

- Ona nie jest brzydka - zauważyła królowa Sollace. - Doszła do wieku, w którym zaczyna dojrzewać, powoli, oczywiście, i niewiele z tego wynika.

Nigdy nic będzie miała ponętnej figury, takiej jak ja.

- Wystarczy, żeby zachęcić Brezante. - Casmir zdecydowanym ruchem złapał za oparcie krzesła. - Jestem gotów podjąć odpowiednie starania.

- Bez wątpienia postępujesz mądrze - powiedziała królowa Sollace. - A jednak...

- A jednak co?

- Nic szczególnego.

Król Casmir działał bez ociągania. Tego wieczoru trzech posłańców opuściło Haidion: pierwszy wyruszył do fortu Mael, z rozkazem powrotu do zwykłych działań, drugi do wysoko ustawionego szpiega w Twissamy, trzeci do króla Mila, z życzeniami zdrowia oraz listem od Casmira, w którym potępiał zdrajców występujących przeciw królowi, a także i z zaproszeniem dla króla Mila i księcia Brezante do Haidionu. Lub samego księcia Brezante, gdyby dla króla Mila taka podróż okazała się niemożliwa.

Parę dni później posłańcy wrócili. Z fortu Mael i od szpiega w Twissamy nadeszły proste potwierdzenia otrzymania rozkazów i informacje o zastosowaniu się do nich. Od króla Mila nadeszła bardziej interesująca wiadomość. Król dziękował Casmirowi za jego przyjazne życzenia i wsparcie. Następnie oznajmiał, że wrócił do dobrego zdrowia i opisywał, jak to nastąpiło. Wydawało się, że pewnego dnia, tuż przed obiadem, wpadł w desperację. Zamiast zwykłego dania, czyli jednego jajka z mlekiem, zażądał pieczeni wołowej z dużą ilością kapusty i zapiekany chlebem, świeżo zdjętego z różną prosiaka ociekającego tłuszczem wraz z pieczonymi w cynamonie jabłkami, garnek rosółu z gołębi i trzy galony dobrego, czerwonego wina. Kolację zjadł mniej wystawną: pieczonego kurczaka, zapiekaną z wieprzowiny i cebuli, łososia oraz parę kielbasek wraz z wystarczającą na przetrwanie tego wszystkiego ilością wina. Po dobrze przespanej nocy zjadł na śniadanie smażoną flądre, trzy tuziny ostryg, placek z rodzynekami, omlet z bobem i szynką oraz wypił dzban lub dwa wyjątkowo dobrego, białego wina. To powrót do zdrowej i pożywnej diety, pisał król Milo, pozwolił mu odzyskać siły. Teraz czuł się jak nowo narodzony, a może i lepiej. Dlatego też, pisał dalej, on i jego syn będą szczęśliwi przyjmując zaproszenie króla Casmira. Ani król Milo, ani Brezante nie będą się opierać przed rozmową na temat, który zasugerował Casmir. Król Milo dopisał też na końcu, że

era przyjaźniejszych stosunków pomiędzy dwoma królestwami dopiero się zaczyna.

Madouc dowiedziała się o wizycie z różnych źródeł, ale to Devonet wyjaśniła jej wszystko szczegółowo.

- Zobaczysz, że książę Brezante będzie się tobą bardzo interesował - powiedziała jakby od niechcenia. - Może będzie chciał zabrać cię gdzieś samą, może do jego komnaty, na małą zabawę w „laskotki”. Będiesz wtedy musiała bardzo uważać. Brezante ma słabość do młodych dziewczyn. Może ci nawet zaproponować małżeństwo. W każdym razie nie powinnaś łatwo ulec jego pochlebstwom, gdyż niektórzy mężczyźni szybko nudzą się łatwymi zdobyczami.

- O to nie musisz się obawiać - odparła wyniośle Madouc. - Nie interesuje mnie ani książę Brezante, ani jego pochlebstwa.

Devonet nie zwracała na nią uwagi.

- Pomyśl tylko! Czyż to nie podniecające? Któregoś dnia mogłabyś zostać królową Madouc z Blaloc.

- Myślę, że nie.

Devonet wpadła w rzeczowy ton:

- Przyznaję, że Brezante nie jest może najatrakcyjniejszym z mężczyzn. Jest dość gruby i przysadzysty, ma duży brzuch i czerwony nos. Tylko co z tego? Jest następcą tronu i należałoby ci zazdrościć, tak mi się przynajmniej wydaje.

- Wygadujesz wierutne bzdury! Książę Brezante nie interesuje mnie w najmniejszym stopniu, tak jak i ja jego.

- Nie bądź tego taka pewna! Jesteś podobna do jego poprzedniej małżonki. Była młodą księżniczką z Walii, taka drobna istotka, naiwna i niewinna.

- Mówią, że przez cały czas płakała z tęsknoty za domem - przyłączyła się do rozmowy Chlodys. - Sądzę, że w końcu postradła zmysły, biedna dziewczyna. Książę Brezante nie przejmował się tym ani trochę i nocami nieźle się z nią zabawiał, aż w końcu umarła podczas porodu.

- To smutna historia - powiedziała Madouc.

- Właśnie! Ta mała księżniczka nie żyje, a książę Brezante ma złamane serce. Musisz zrobić co w twojej mocy, aby go pocieszyć.

- Na pewno będzie chciał cię pocałować - powiedziała chichocząc Chlodys. - Jeśli tak, to też będziesz musiała go ładnie pocałować, w taki sposób zdobywa się męża. Czy nie mam racji, Devonet?

- To oczywiście tylko jeden ze sposobów.
- Czasami nie mogę się nadziwić temu, co kluje się w tych waszych głowach - nie kryjąc obrzydzenia odpowiedziała księżniczka.
- No cóż - westchnęła Devonet. - Myślenie o tych sprawach nie jest aż tak wdzięczne, jak robienie tego.
- I nie ma w tym takiej zabawy - dodała Chlodys.
- Każda z was, a może i obie na raz, będzie mile widziana przez księcia Brezante - powiedziała. - Na pewno będziecie dla niego bardziej interesujące niż ja.

Tego samego dnia król Casmir spotkał Madouc w galerii. Już miał ją minąć z oczyma utkwionymi gdzieś przed siebie, jak to zwykle robił, lecz nagle się zatrzymał.

- Madouc, chcę z tobą zamienić parę słów.
- Dobrze, Wasza Królewska Mość.
- Chodź ze mną. - Król Casmir skierował się do najbliższej komnaty przeznaczonej na narady. Dziewczyna poczłapała niechętnie parę kroków za nim.

Casmir, z jednym z najbardziej ponurych uśmiechów na twarzy, czekał przy drzwiach, dopóki nie weszła do środka, po czym zamknął drzwi i stanął przy stole.

- Usiądź.

Madouc spoczęła sztywno na krześle naprzeciwko Casmira.

- Muszę udzielić ci kilku instrukcji - powiedział poważnie. - Słuchaj mnie bardzo uważnie. Niedługo nastąpią bardzo ważne wydarzenia. Naszym gościem będzie wkrótce król Milo wraz z królową Caudabil i księciem Brezante. Mam zamiar zaproponować kontrakt małżeński pomiędzy tobą a księciem Brezante. Małżeństwo zostanie zawarte w odpowiednim czasie, być może za trzy lata. To będzie bardzo ważne małżeństwo, ponieważ skonsoliduje silny sojusz z Blaloc, aby pokrzyżować plany zbliżenia Pomperolu do Dahautu. Są to sprawy państwowe, których nie zrozumiesz, ale musisz mi uwierzyć, że jest to teraz najważniejsze.

Madouc próbowała wymyślić coś, co mogła by powiedzieć i delikatnie wyrazić swoje uczucia, a nie rozłość przy tym króla Casmira. Parę razy zaczynała już mówić, po czym raz jeszcze zastanawiała się nad tym, co chce powiedzieć i zamykała usta. W końcu powiedziała, raczej bez przekonania:

- Mogę nie spodobać się księciu Brezante aż tak bardzo.
- Podejrzewam, że będzie odwrotnie - uciął Casmir. - Król Milo już wyraził zainteresowanie zaręczynami. Niemal na pewno zostanie to ogłoszone

podczas ich wizyty. To dobra partia dla ciebie, masz szczęście. A teraz uważaj! Pani Vosse pouczy cię, jak masz się należyście zachowywać. Oczekuję, że twoje maniery będą nienaganne. Nie wolno ci wdawać się w żadne z twoich słynnych kłótni ani wpadać w zły humor, bo wywołasz moje krańcowe niezadowolenie. Czy to jasne?

- Tak, Wasza Królewska Mość. Rozumiem twoje słowa - odparła drżącym głosem Madouc, po czym wzięła głęboki oddech. - Ale za dużo ode mnie wymagasz. Lepiej, żebyś to wiedział już teraz.

Król Casmir zaczął mówić, już chciał krzyknąć najgroźniejszym z głosów, ale Madouc zdążyła go uprzedzić. - Ujmując to najprościej, mam nadzieję, że będę ci posłuszna, lecz pamiętaj, że moje małżeństwo jest znacznie ważniejsze dla mnie niż dla ciebie.

Król Casmir pochylił się powoli do przodu. Przez lata setki przestraszonych biedaków widziało ten jego wyraz twarzy, zanim zostało odesłanych na tortury w lochach pod Peinhadorem.

- Myślisz więc, że będziesz mogła nie zastosować się do moich poleceń? - odezwał się głosem dobiegającym gdzieś z głębi gardła.

Madouc odpowiedziała rozważniej niż kiedykolwiek:

- Są okoliczności, Wasza Królewska Mość, które mogą sprawić, iż ten plan będzie niemożliwy do zrealizowania.

- Cóż to za okoliczności?

- Po pierwsze, nie cierpię księcia Brezante. Jeśli tak bardzo chce sobie znaleźć żonę, niech weźmie panią Vosse lub Chlodys. Po drugie, jeśli sobie przypominasz, moją matką jest elfka, a ojciec jest nieznan. Nie mam rodowodu, moje panny do towarzystwa nazywają mnie „bękartem”, czemu nie mogę zaprzeczyć. Gdyby król Milo się o tym dowiedział, uznałby małżeństwo za oszustwo i obrazę swej monarszej godności.

Król Casmir zamrugał i nie powiedział ani słowa. Księżniczka wstała i z ponurą miną oparła się o stół.

- Dlatego też, Wasza Królewska Mość, zawarcie tego małżeństwa jest niemożliwe. Musisz obmyślić inny plan, do którego ja nie będę konieczna.

- Ba! - mruknął Casmir. - Wszystkie te okoliczności to drobnostki wobec najważniejszego planu. Brezante i Milo nie muszą o nich wiedzieć! Bo i któż by im o tym powiedział?

- To zadanie przypadłoby mnie - powiedziała Madouc. - Byłby to mój obowiązek.

- Toż to czcza gadanina!

- Wcale nie, Wasza Królewska Mość! - mówiła szybko Madouc, niemal gryząc się w język. - Byłaby to tylko szczerłość i otwartość, których nauczyłam się od twojej szlachetnej osoby. Szacunek dla honoru obu królewskich rodzin zmusiłyby mnie do przyznania się do mojego stanu, bez względu na konsekwencje!

- To nie ma żadnego znaczenia, zapewniam cię! - rzucił szorstko Casmir. - Gadanie o honorze to tylko bałamuctwo i głupoty! Jeśli potrzebujesz rodowodu, to na mój rozkaz heraldycy wymyślą ci jakiś odpowiedni.

Madouc z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Zepsuty ser śmierdzi bez względu na to, jak cienko się go pokroi. Taki rodowód byłby śmiechu wartym oszustwem. Ludzie nazwaliby cię monstrum o kamiennym sercu, fałszywym jak lis, gotowym do każdego kłamstwa i oszustwa. Wszyscy śmialiby się i żartowali z ciebie. A ja byłabym podwójnie ośmieszona pozwalając na takie bezwstydne oszustwo! Nazywaliby cię...

Casmir machnął zniecierpliwiony ręką.

- Przestań! Wystarczy już tego!

- Wyjaśniałam tylko, dlaczego mój prawdziwy rodowód jest dla mnie taki ważny - powiedziała nieśmiało Madouc.

Cierpliwość króla Casmira się kończyła.

- To same głupoty, zresztą nie na temat! Nie życzę sobie, aby krzyżowano mi zamiary takimi głupotami. A teraz...

- Nie możesz zaprzeczyć tym faktom, Wasza Królewska Mość! Brak mi rodowodu! - wykrzyknęła żałośnie Madouc.

- To znajdź sobie jakiś, który uznasz za odpowiedni, a zostanie ci on przypisany! Tylko szybko! Poproś pierwszego herolda, Spargoya, aby ci pomógł.

- Wolałabym, żeby to był ktoś inny.

- Wszystko mi jedno! Prawda czy wymysł, wszystko jedno! Nie obchodzi mnie twoje kaprysy. Tylko szybko!

- Dobrze, Wasza Królewska Mość. Uczynię, jak każesz.

Uwagę Casmira zwrócił grzeczny ton odpowiedzi Madouc. Dlaczego nagle stała się taka uległa?

- Ja tymczasem rozpocznę rozmowy na temat twoich zaślubin. Ta sprawa musi być załatwiona!

Księżniczka żałośnie próbowała dalej słabo protestować:

- Najjaśniejszy Panie, czyż nie wyjaśniłam ci, że to niemożliwe?

Zdawało się, że Casmir puchnie. Madouc zrobiła krok wzdłuż blatu stołu, aby znaleźć się jak najdalej od króla.

- Nic się nie zmieniło, Wasza Królewska Mość! - krzyknęła. - Będę wszędzie szukała mojego rodowodu, ale nawet gdybym odkryła, że moim rodzicem jest władca Bizancjum, księżę Brezante pozostanie dla mnie tak samo obrzydliwy. Jeśli tylko się do mnie odezwie, oświadczę, że jestem znajdą bez rodziców, którą król Casmir chce za niego wydać. Jeśli to go nie zniechęci, pokażę mu „Skaczącego Chochlika”, tak że wyskoczy na sześć stóp w powietrze.

Policzki króla Casmira zaczerwieniły się, a oczy niemal oddzieliły się od twarzy. Zrobił trzy kroki dookoła stołu, aby złapać Madouc i dobrze ją zbić. Ona jednak ostrożnie odskoczyła w drugą stronę. Casmir ruszył w pościg, ale księżniczka wciąż się starała, aby dzielił ich stół.

Casmir w końcu się zatrzymał. Dyszał ciężko ze złości i ze zmęczenia. Madouc rzuciła niemal bez tchu:

- Musisz wybaczyć, że cię unikam, Wasza Królewska Mość, ale nie zależy mi na tym, żebyś mnie znowu zbił.

- Wezwę strażników - powiedział Casmir. - Zaprowadzą cię do ciemnej komnaty, gdzie zbiję cię z wielką przyjemnością, a może zrobię ci również coś innego. Nikomu nie uchodzi na sucho sprzeciwianie się moim rozkazom. - Zrobił jeden krok wzdłuż stołu ze spojrzeniem utkwionym w jej oblicze, jakby starał się ją zmusić do pozostania w miejscu.

Madouc odskoczyła w bok.

- Błagam cię, byś tego nie robił, Najjaśniejszy Panie - zawołała przerażona. - Zauważ, że nie zastosowałam przeciw tobie zaklęcia elfów, co byłoby brakiem szacunku. Potrafię nie tylko „Syczka” oraz „Skaczącego Chochlika”, ale również... - Madouc łapała oddech starając się coś wymyślić, co nie przychodziło jej znowu tak trudno - złośliwe zaklęcie zwane „Kłątwa Owadów”, które stosuję tylko przeciwko osobom, które mi grożą.

- Doprawdy? - zapytał król Casmir łagodnym głosem. - Opowiedz mi o tym zaklęciu. - I zrobił jeden krok wokół stołu.

Madouc szybko odsunęła się w bok.

- Kiedy jestem zmuszona bronić się przed jakimś bandytą lub złoczyńcą, owady dopadają go ze wszystkich stron. Nadlatują w dzień i w nocy, z powietrza i z ziemi!

- To bardzo denerwująca wizja.
- To prawda, sire! Proszę, nie goń mnie wkoło stołu, bo mnie przestraszysz i wypowiem „Kłatwę” przez przypadek!
- Czyżby? Powiedz mi coś jeszcze o tym niesamowitym zaklęciu.
- Najpierw pojawiają się pchły. Skaczą po złotej brodzie złoczyńcy, w jego włosach, potem gnieźdzą się w jego ubraniu dopóty, dopóki nie zedrze go z siebie, chcąc się podrapać.
- Zdziwiająco! Stój spokojnie i opowiedz mi więcej! - Król Casmir ruszył nagle do przodu. Madouc odskoczyła i rzuciła zdesperowana:
- Kiedy zasypia, olbrzymie pająki chodzą mu po twarzy! Glisty wgryzają mu się w skórę i wchodzą do nosa! W zupie znajduje żuki, a w owsiance karaluchy! Krowie muchy wlatują mu do uszu i składają tam jaja. Kiedy wychodzi na dwór, ćmy i motyle opadają go ze wszystkich stron. Osy i pszczoły żądłają go gdzie popadnie!

Król Casmir stanął rzucając jej groźne spojrzenie.

- I ty potrafisz rzucić to obrzydliwe zaklęcie?
- Tak! Ale to jeszcze nie wszystko! Jeśli taki bandyta przewróci się na ziemię, natychmiast pokrywają go rzesze mrówek. Oczywiście skorzystałabym z tego zaklęcia tylko we własnej obronie!
- Oczywiście! - Król Casmir zmusił się do uśmiechu. - Tylko czy naprawdę znasz takie potężne zaklęcie? Podejrzewam, że nie.
- Zupełnie szczerze, zapomniałam jednej lub dwu sylab - przyznała się odważnie Madouc. - Jednakże, równie chętnie wypowie je za mnie moja matka. Mogę ją zawołać, kiedy jestem w potrzebie, a ona zamieni moich wrogów w ropuchy, krety lub jaszczurki, tak jak jej powiem. Musisz mi w to uwierzyć, ponieważ to szczerą prawdą!

Casmir przyglądał się dziewczynie przez dłuższą chwilę. Machnął ręką, co mogło znaczyć wiele.

- Idź. Zejdź mi z oczu.

Madouc grzecznie dygnęła.

- Dziękuję Waszej Królewskiej Mości za jego łaskawość. - Prześlizgnęła się tchórzliwie obok Casmira i niepewnie oglądając się za siebie, szybko wybiegła z komnaty.

VI

Król Casmir wolnym krokiem przeszedł przez korytarz, wspiał się po schodach i skierował do salonu królowej. Lokaj stojący w drzwiach otworzył je przed nim szeroko. Król Casmir wszedł do środka. Zobaczywszy królową Sollace pogrążoną w rozmowie z ojcem Umphredem zatrzymał się i groźnie im się przyjrzał. Królowa i ksiądz spojrzeli na niego i natychmiast rozmowa przycichła. Ojciec Umphred skłonił się z uśmiechem. Casmir, ignorując pozdrowienie, zatopiony w ponurych myślach, przeszedł przez komnatę do okna, skąd zaczął się przyglądać rozciągającemu się w dole widokowi.

Po chwili królowa Sollace i ojciec Umphred podjęli przerwana konwersację, najpierw przyciszonymi głosami, aby nie przeszkadzać królowi w rozmyślaniach, potem, ponieważ zdawał się nie słyszeć ani nie zwracać na nich uwagi, zaczęli rozmawiać normalnie. Jak zwykle dyskutowali na temat nowej katedry. Zgodzili się, że wszystkie sprzęty i wyposażenie powinny być jak najbogatsze i jak najlepszej jakości. Tylko najlepsze uważali za odpowiednie.

- Miejscem centralnym, można powiedzieć inspiracją do modlitwy, jest ołtarz - oświadczył ojciec Umphred. - Na nim skupiają się wszystkie spojrzenia, on jest źródłem, z którego rozlega się Słowo Boże. Musimy dopilnować, aby dorównał, a może i przewyższał wszystkie inne w świecie chrześcijańskim.

- Myślę podobnie - powiedziała królowa Sollace. - Jakież mamy szczęście! Niewielu dana jest taka możliwość.

- Właśnie tak, droga pani! - Ojciec Umphred rzucił z ukosa spojrzenie w stronę masywnej postaci stojącej przy oknie, ale król Casmir wydawał się pogrążony w swych własnych myślach. - Przygotowałem szkice, lecz niestety nie przyniosłem ich ze sobą.

Królowa Sollace wykrzyknęła rozczarowana.

- Opisz mi je! To musi być bardzo interesujące!

Ojciec Umphred skłonił się.

- Wyobrażam sobie ołtarz z egzotycznego drewna, wspartego na kolumnach z różowego marmuru z Kapadocji. Po każdej stronie powinny stać siedmioramiennie świeczniki, stabilne i wysokie, jak anioły! Tak to będzie wyglądać. Ostatecznie zostaną pokryte czystym złotem. Użyjemy do tego złota rozprasowanego na cienkie arkusze.

- Zrobimy to, co będzie trzeba.

- Ponad ołtarzem zostanie ustawione tabernakulum. Spocznie na stole z dobrego drewna, rzeźbionego w figury dwunastu apostołów. Tabernakulum będzie ze srebra wysadzanego drogimi kamieniami. Stół pokryjemy materiałem z wyhaftowanymi świętymi symbolami. Za ołtarzem ściana zostanie podzielona na dwanaście części, każda w czystych kolorach przedstawiająca sceny cudów, ku radości wiernych i chwały Świętej Wiary!

- Och, widzę to oczyma wyobraźni! To bardzo wzruszający projekt! - powiedziała podekscytowana królowa.

Ojciec Umphred rzucił kolejne szybkie spojrzenie w stronę okna.

- Moja droga pani, najwyraźniej jesteś czuła na duchowe rozważania, i to niezwykle! Zastanówmy się jednak, jak najlepiej sprowadzić tu święte relikwie. Pytanie jest następujące: czy powinniśmy postarać się o specjalny relikwiarz, na przykład z boku prezbiterium? A może jakąś otwartą kaplicę w jednej z bocznych naw? A może jedno i drugie, jeśli uda nam się zdobyć więcej niż jedną relikwię?

- Nie mając na razie niczego do pokazania, nie możemy robić żadnych poważnych planów - odparła zamyślona Sollace.

Ojciec Umphred pozwolił sobie na wyrzut.

- Trzeba mieć wiarę, droga pani! Wspierała cię w przeszłości! Te przedmioty istnieją, a my je zdobędziemy.

- Ale czy jesteś tego pewien?

- Z wiarą i wytrwałością w sercu znajdziemy je, gdziekolwiek by się znajdowały! Niektóre należy odkryć, niektóre może kiedyś zaginęły i czekają, aby je ponownie odnaleźć. Przypomnę chociażby krzyż świętego Elryka, który został ugotowany i zjedzony przez ogra Magre, po jednej części na każdy posiłek. Aby dodać sobie sił podczas tych cierpień, zrobił krzyż z własnych ogryzionych piszczeli. Ten krzyż znajdował się kiedyś w skarbcu opactwa świętego Baka w Dun Cruighre. Gdzie jest teraz? Któż to wie?

- Jak więc go znaleźć?

- Poprzez szczegółowe i pełne poświęcenia poszukiwania. Powiem ci również o talizmanie świętej Uldyny, która nawróciła Phogastusa, trolla z Meira Tarn. Jej wysiłki na tym się nie zakończyły, wydała Phogastusowi na świat czterech potomków, każdy urodził się z kamieniem w miejscu trzeciego oka. Owe cztery kamienie stały się później talizmanami, które obecnie

ukryte są gdzieś w kryptach na wyspie Wanish. To również są przedmioty o wielkiej wartości. Mogłyby być jednak znalezione przez jakieś podłe i podstępne osoby. W Galii, na Pico Alto, jest klasztor założony przez heretyckiego biskupa Sangiblasa. Zakonnicy chowają w swoich podziemiach jeden z gwoździ, którymi przebity został nasz Zbawca. Mógłbym ci opowiedzieć o wielu takich relikwiach. Te, które nie zaginęły, są czczone i dobrze strzeżone. Te byłoby bardzo trudno pozyskać.

- Nic dobrego łatwo nie przychodzi - powiedziała zdecydowanie królowa Sollace. - Tego uczy nas życie!

- To prawda! - podchwycił ojciec Umphred. - Wasza Królewska Mość przedstawiła to bardzo jasno.

- Czy nie mówiłeś coś o Graalu? - zapytała Sollace. - Mam na myśli ten święty kielich, z którego pił Zbawca podczas Ostatniej Wieczerzy i do którego Józef z Arymatei zebrał krew ze świętych ran. Co się stało z tym świętym przedmiotem?

Ojciec Umphred ściągnął usta.

- Doniesienia nie są dokładne. Wiemy, że zabrał go do opactwa Glastonbury Józef z Arymatei, potem przewieziono go do Irlandii i umieszczono w kaplicy na wysepce Inchagoill na jeziorze Corrib. Następnie zakonnik o imieniu Sisembert ze strachu przed poganami przywiózł go na wyspy Elder, a teraz uważa się, że jest gdzieś dobrze ukryty. W jakimś tajemniczym miejscu, dokąd ośmieliłby się udać tylko ktoś bardzo odważny albo zupełnie głupi.

Król Casmir, który przysłuchiwał się rozmowie jednym uchem, odwrócił się tyłem do okna z cynicznym uśmieszkiem na twarzy. Królowa Sollace spojrzała na niego pytająco, ale król zdawał się nie mieć nic do powiedzenia. Spojrzała ponownie na ojca Umphreda.

- Gdybym tylko mogła zebrać szlachetnych rycerzy, pragnących się poświęcić dla królowej! Wysłałabym ich na poszukiwanie chwały i obdarzyła wszelkimi honorami, gdyby im się udało.

- To wspaniały pomysł, Wasza Królewska Mość! Pobudza wyobraźnię!

- A potem, gdybyśmy już zdobyli Świętego Graala, wiedziałabym, że nie zmarnowałam swojego życia.

- To bez wątpienia jest najcenniejsza relikwia.

- Musimy ją zdobyć. Sława naszej katedry rozniosłaby się po całym świecie chrześcijańskim.

- To prawda, droga pani! Ten przedmiot to bardzo dobra relikwia, wręcz doskonała. Pielgrzymi przybywaliby z daleka, aby go podziwiać, modlić się i błogosławić świętą królową, która rozkazała wybudować tak wspaniałe kościoły.

Król Casmir nie mógł więcej znieść. Podszedł bliżej.

- Już dość nasłuchałem się tej głupiej gadaniny! - Pstryknął palcami na księdza. - Odejdź! Chcę porozmawiać z królową.

- Dobrze, Wasza Królewska Mość! - Ojciec Umphred poprawił sutannę i jego gruba figura żwawo zniknęła im z oczu. Natychmiast skręcił w bok, w stronę przylegającego do salonu alkierza. Rzuciwszy przez ramię szybkie spojrzenie wszedł do środka i wyjął ze ściany małą zatyczkę, odkrywając otwór, przez który mógł dobrze słyszeć, o czym rozmawiano w sąsiednim pomieszczeniu.

Głos Casmira grzmiał mu w ucho:

- ... fakty, którym nie da się zaprzeczyć. Madouc jest podrzutkiem, jej matka jest elfką, jej ojciec jest jakimś bezimiennym łączęgą z lasu. Bezcelnie odmówiła poślubienia Brezante i nie widzę żadnego praktycznego sposobu zmuszenia jej do tego.

- Toż to krańcowa bezcelność! - zawołała przejęta Sollace. - Zdążyłeś już przecież zaprosić króla Mila, jego małżonkę i księcia Brezante do Hadionu!

- Niestety, to prawda. Nic nie zaszkodzi ich trochę zabawić, jednak to bardzo denerwujące.

- Jestem oburzona! Ta mała złośnica nie powinna tryumfować!

Król Casmir wykrzywił się i wzruszył ramionami.

- Gdyby była człowiekiem z krwi i kości, już dawno gorzko by tego pożałowała. Ale jej matka jest elfką, a ja nie chcę sprawdzać skuteczności jej zaklęć.

- Gdyby ją ochrzcić i nauczyć świętej wiary... - powiedziała z nadzieją w głosie.

- Próbowaliśmy już tego wcześniej. To bezcelowe - przerwał jej szorstko Casmir.

- Przypuszczam, że masz rację. Jednak... ale to bez znaczenia.

Casmir przyłożył pięść do drugiej dłoni.

- Te problemy mnie prześladują. Dopadły mnie jak jakaś plaga, każdy gorszy od poprzedniego, nie wspominając o najpaskudniejszym z nich wszystkich, który dręczy mnie dniami i nocami.

- A cóż to za problem?

- Nie domyślasz się? To tajemnicze dziecko Suldrun. Królowa Sollace spojrziała nierozumiejącym wzrokiem na Casmira.

- I to jest taki poważny problem? Już dawno o tym zapomniałam.

- Nie pamiętasz, o co chodziło? Bękart Suldrun został zabrany, a nam podrzucano tę znajkę.

- Oczywiście, że pamiętam, tylko co z tego?

- Tajemnica wciąż nie została rozwiązana. Kim jest to drugie dziecko? To jego dotyczy przepowiednia Persiliana, a ja nie znam ani jego imienia, ani nie wiem, gdzie przebywa. On ma zasiąść przy Cairbra an Meadhan i władać siedząc na Evandigu. To przepowiedział Persilian.

- Siła tej przepowiedni na pewno dawno osłabła.

- Siła takich przepowiedni nie słabnie, dopóki nie zostaną spełnione... lub przechytrzone! Gdybym znał imię tego dziecka, wymyśliłbym coś i uratował królestwo.

- Nie ma żadnych śladów lub poszlak?

- Żadnych. To był chłopiec, teraz będzie mniej więcej w tym samym wieku co Madouc. To wszystko, co wiem. Wiele bym zapłacił, by dowiedzieć się reszty.

- To było tak dawno - powiedziała Sollace. - Nikt już o tym nie pamięta. Dlaczego nie postarać się o przychylniejszą przepowiednię?

- Nie tak łatwo oszukać Parki - rzekł smutnym gardłowym głosem Casmir i usiadł na kanapie. - A teraz jeszcze będę musiał zabawiać króla Mila. On będzie oczekiwał zaręczyn. Jak ja mu wyjaśnię, że Madouc brzydzi się jego tępego syna?

Królowa Sollace wydała z siebie gardłowy okrzyk.

- Znalazłam rozwiązanie! Madouc może nam się jeszcze przydać, może nawet bardziej niż przedtem!

- Jak to?

- Słyszałaś, jak dyskutowaliśmy o świętych relikwiach. Ogłoś, że jeśli ktoś wyruszy na poszukiwanie i wróci z prawdziwą relikwią, może się spodziewać cennej nagrody! Jeśli zdobędzie samego Świętego Graala, może żądać nagrody od króla, może nawet prosić o rękę księżniczki Madouc.

Casmir chciał już wyśmiać ten pomysł, ale zamknął usta. W tej propozycji nie było nic złego. Pielgrzymi przyniosą ze sobą złoto, relikwie przyciągną pielgrzymów, a Madouc - choćby pośrednio - zdobędzie relikwie.

Pomysł nie był taki zły. Casmir wstał.

- Nie widzę przeszkód.
- Możemy przez to mieć jeszcze jeden problem - zauważyła Sollace.
- Jak to?

- Przyjmijmy, że jakiś rycerz znajdzie Świętego Graala i poprosi o rękę księżniczki Madouc. Otrzyma od nas zgodę, ale Madouc będzie się sprzeciwiała, co łatwo może uczynić. Co wtedy?

- Wydam za mąż tę paskudnicę. Będzie mogła wybrać pomiędzy małżeństwem a niewolnictwem. Wszystko mi jedno. Na razie nie musimy się tym przejmować.

Sollace klasnęła w ręce.

- Tak więc rozwiązaliśmy nasze problemy.
- Nie wszystkie. - Casmir wstał i opuścił salon.

Następnego dnia na głównych schodach król Casmir na tknął się na ojca Umphreda.

- Wasza Królewska Mość, błagam o łaskę paru chwil rozmowy na bardzo ważny temat.

Casmir zmierzył księdza srogim spojrzeniem.

- O co chodzi tym razem?

Ojciec Umphred rozejrział się na prawo i lewo, sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje.

- Najjaśniejszy Panie, podczas mej służby jako duchowego doradcy Jej Królewskiej Mości, a także pełniąc inne obowiązki, stałem się powiernikiem wielu mniej lub bardziej ważnych tajemnic. Taki już jest charakter mej służby.

- Nie mam co do tego wątpliwości - burknął niechętnie Casmir. - Wiesz więcej o moich sprawach niż ja sam.

Ojciec Umphred zaśmiał się grzecznie.

- Ostatnio dano mi do zrozumienia, że interesujesz się sir, dzieckiem Suldrun.

- I co z tego? - zapytał ostro Casmir.

- Być może mógłbym odkryć przed tobą imię tego dziecka i miejsce jego pobytu.

- W jaki sposób?

- Nie jestem jeszcze pewien, Najjaśniejszy Panie. Ale tu chodzi o coś więcej niż tylko o informację.

- Aha. Czegóż chcesz.

- Nie przeczę, sire. Moim największym marzeniem jest arcybiskupstwo diecezji Lyonesse. Gdyby udało mi się nawrócić króla Lyonesse na

chrześcijaństwo, byłby to silny argument na poparcie mojej kandydatury na następnym synodzie w Rzymie.

- Krótko mówiąc, jeśli zostanie chrześcijaninem, ty wyjawisz mi imię dziecka Suldrun! - ryknął Casmir.

Ojciec Umphred skinął głową i uśmiechnął się.

- Dokładnie o to mi chodzi, Najjaśniejszy Panie.

- Jesteś podstępny diablem. Łamano ci kiedyś kości kołem? - odezwał się Casmir nadzwyczaj obojętnym tonem.

- Nie, Wasza Królewska Mość.

- Jesteś bezczelny do granic wytrzymałości. Gdyby nie to, że królowa Sollace nigdy już nie dałaby mi spokoju, powiedziałbyś wszystko, co wiesz, bez żadnych warunków, jęcząc i błagając o litość.

Ojciec Umphred uśmiechnął się przebiegle.

- Nie zamierzałem być bezczelny ani nie chciałem cię obrazić, Najjaśniejszy Panie. Miałem doprawdy nadzieję, że Wasza Królewska Mość ucieszy się z mojej propozycji.

- Powtarzam, masz szczęście, że popiera cię królowa Sollace. Co jest potrzebne, żeby dokonać konwersji?

- Zwykły chrzest, sire, będziesz też musiał wypowiedzieć parę słów modlitwy.

- Hmm! To nic wielkiego. - Król Casmir zastanowił się, po czym rzucił gardłowym głosem: - Nic się nie zmieni, nic, co do joty! Nie spodziewaj się wiele po swoim sukcesie. Nie będziesz miał kontroli nad kościelnymi pieniędzmi. Wszystkie będą wpłacane i wypłacane z królewskiego skarbcza, papież z Rzymu nie dostaną ani pensa!

- Wasza Królewska Mość, to znacznie utrudni administrację - próbował protestować ojciec Umphred.

- To również zapewni nam uczciwych biskupów. Co więcej, nie zniosę tłumów wędrownych mnichów, zbierających się jak muchy nad padliną, aby objadać się i bawić za publiczne pieniądze. Tacy włóczędzy zostaną wychłostani i sprzedani w niewolę, być może przydadzą się do jakiejś pracy.

- Wasza Królewska Mość! - krzyknął przestraszony ojciec Umphred. - Niektórzy wędrowni kapłani to święte osoby. Niosą Dobrą Nowinę do najdalszych zakątków świata.

- Niech więc wędrują sobie gdzie chcą, przez Tormous lub Skorne czy jeszcze gdzie indziej, ale nie chcę widzieć ich żebraczych sakw ani błyszczących pustych misek!

Ojciec Umphred westchnął.

- Jestem zmuszony się zgodzić, sire, zrobimy, co będziemy mogli.
- Raduj się, księżu - rzucił ponuro Casmir. Miałeś dzisiaj szczęście. Wytargowałeś, co chciałeś, i uratowałeś swe liche ciało przed torturami. Teraz powiedz mi, co wiesz!

- Muszę to jeszcze sprawdzić, Najjaśniejszy Panie - gładko odparł ojciec Umphred. - Będę gotowy jutro, po ceremonii.

Król Casmir odwrócił się i poszedł do swojej komnaty.

Następnego dnia Casmir pojawił się w małej kapliczce królowej Sollace. Stał cicho, kiedy ojciec Umphred pokropił go wodą święconą i czytał modlitwy po łacinie. Przynaglony przez ojca Umphreda wymruczał „Ojcze Nasz” i kilka fraz litanii. Następnie ojciec Umphred uniósł krzyż i zbliżył się do Casmira.

- Na kolana, bracie Casmirze! W pokorze i z radością ucałuj krzyż i poświęć swoje życie modlitwie i chwale Kościoła.

- Księżu, pilnuj języka! - odparł opanowany król Casmir. - Nie zniosę żadnych wygłupów w mojej obecności. - Rozejrzył się po kaplicy i nagłym gestem wyprosił uczestników ceremonii. - Zostawcie nas!

W kaplicy pozostali tylko król Casmir, ksiądz i królowa Sollace.

- Moja droga królowo - odezwał się do niej Casmir - byłoby dobrze, gdybyś tym razem i ty wyszła.

Królowa Sollace prychnęła. Niechętnie, ale z godnością wyszła z kaplicy. Król Casmir spojrzał na księdza.

- A teraz powiedz mi, co wiesz! Jeśli to będzie fałsz albo jakieś głupoty, długo będziesz gnął w ciemnym lochu.

- Wasza Królewska Mość, oto cała prawda! Dawno temu młody książę został wyrzucony na plażę, na wpół żywy, u stóp ogrodu Suldrun. Miał na imię Aillas, teraz jest królem Troicinetu i innych krain. Suldrun urodziła mu syna, który dla bezpieczeństwa został zabrany do puszczy Tantrevalles. Tam syna tego, któremu na imię Dhrun, elfy zamieniły na Madouc. Aillas został wrzucony do lochu, ale uciekł stamtąd w sposób, który pozostaje dla mnie tajemnicą. Teraz szczerze cię nienawidzi. Jego syn, książę Dhrun, również nie żywi do ciebie lepszych uczuć.

Casmir słuchał z rozchyłonymi ustami. Wiadomość ta była bardziej zaskakująca, niż się spodziewał.

- Jak to możliwe? - mruknął. - Ten chłopiec powinien być w wieku Madouc.

- Dhrun spędził w elfiej shee rok, liczony ludzką miarą. Ale to równało się siedmiu lub ośmiu latom elfiego czasu. Takie też jest rozwiązanie tej zagadki, Najjaśniejszy Panie.

Casmir zaczął ciężko chrząkać.

- Masz na to jakiś dowód?

- Nie mam żadnego, sire.

Casmir nie nalegał. Wyjaśniło się wiele spraw, które od dawna go kłopotowały. Dlaczego, na przykład, niańka Suldrun, Ehirme, wyniosła się wraz z całą rodziną do Troicinetu, gdzie otrzymali bogate gospodarstwo? Jeszcze bardziej niezrozumiały był fakt, którego nigdy nie był w stanie pojąć. Jak Aillas mógł mieć syna w tak młodym wieku? Teraz wszystko się wyjaśniło. To, czego się dowiedział, było prawdą.

- Nic o tym nie mów, nikomu! Tylko ja mogę o tym wiedzieć - przykazał Umphredowi ciężkim głosem.

- Wasza Królewska Mość każe, więc będę posłuszny!

- Odejdź!

Ojciec Umphred czując się bardzo ważny wyszedł z kaplicy. Casmir stał i wpatrywał się w krzyż na ścianie, który nie wyglądał dla niego inaczej niż poprzedniego dnia.

- Aillas mnie szczerze nienawidzi! - powiedział do siebie, a potem dodał łagodniejszym głosem: - I to Dhrun ma zasiąść przy Cairbra an Meadhan przed swoją śmiercią. Niech więc tak będzie! Zasiądzie i będzie władał z tronu Evandig, choćby tylko miał posłać pazia po chusteczkę. Ale dobrze, przed swoją śmiercią zasiądzie na tronie i będzie władał.

VII

Nad Haidionem zapadł wieczór. Król Casmir siedząc samotnie w Wielkim Hallu w Starej Wieży zjadł skromną kolację złożoną z zimnej wołowiny i piwa.

Skończywszy posiłek odwrócił się i siedział tak wpatrzony w ogień.

Wrócił wspomnieniami daleko wstecz. Przed oczyma migały mu zamglone obrazy. Widział Suldrun jako złotowłose dziecko. Później była taka, jak widział ją ostatni raz: nieszczęśliwa, choć nieposłuszna. Nagle ujrzał bystrego młodzieńca, którego w furii kazał wrzucić do lochu. Czas rozmył

jego wyrazistą białą twarz, ale teraz był podobny do młodego Aillasa. Więc to tak było! Jak też Aillas musi go nienawidzić! Jakie pragnienie słodkiej zemsty musi zaprzętać mu myśli!

Casmir stęknął ciężko. Ostatnie wydarzenia należało ocenić z nowej perspektywy. Przejmując władzę w Południowych i Północnych Ulflandach Aillas pokrzyżował plany Casmirowi, tak jak teraz uczynił w związku z Blaloc. Jak zręcznie Aillas i Dhrun ukrywali swe uczucia podczas ostatniej wizyty! Jak bezczelnie nalegali na pakt pokojowy, cały czas nienawidząc go i planując jego zniszczenie.

Król Casmir usiadł wygodniej na krześle. Nadszedł czas na odparcie tych ciosów, szybko i ostatecznie, choć nadal mając na uwadze rozwagę. Casmir nie należał do tych, którzy postępują pochopnie, ponieważ wiedział, że odwróciłoby się to przeciwko niemu. Trzeba znaleźć sposób na uniknięcie prawdziwego spełnienia się przepowiedni Persiliana i zniweczyć jej znaczenie.

Casmir siedział pogrążony w myślach, rozważając wszystkie możliwości. Oczywistym było, że gdyby Aillas nie żył, Casmirowi łatwiej byłoby zrealizować swoje plany. W tym wypadku Dhrun zostałby królem. Wtedy, rozmawiał Casmir, łatwo byłoby zaaranżować naradę w Avallonie, pod tym czy innym pretekstem. Dhrun usiadłby przy Cairbra an Meadhan i w jakiś sposób nakłoniłoby się go do wypowiedzenia rozkazu z tronu Evandig. Reszta byłaby prosta. Jakiś cień w ciemnościach, błysk stali, krótki okrzyk, ciało na podłodze - a Casmir byłby wolny i mógłby doprowadzić do celu swoje zamiary bez większych przeszkód.

Plan był prosty i logiczny, należało go tylko wprowadzić w życie.

Po pierwsze, należało doprowadzić do śmierci Aillasa, ale w granicach ostrożności. Zabójstwo króla to ryzykowna sprawa, a nieudana próba wiedzie zazwyczaj prosto do sprawy, co nie byłoby zbyt korzystne.

Do umysłu Casmira wcisnęło się jakby samo z siebie jedno imię.

Torqual.

Casmir zastanawiał się przez chwilę. Torqual był doskonale przygotowany, ale trudno było nad nim zapanować. W gruncie rzeczy wcale nie dało się nad nim zapanować. Równie często sprawiał on wrażenie wroga, co sojusznika i prawie wcale się nie starał utrzymywać jakiegokolwiek współpracy ze swym nominalnym mocodawcą.

Z żalem Casmir odsunął na bok imię „Torqual”. Niemal natychmiast przyszło mu do głowy inne imię, rozparł się w krześle z zamyśleniem kiwając głową. Tymczasem nie nękały go żadne wątpliwości.

Imieniem tym było „sir Cory z Falonges”*. Należało ono do człowieka pokroju Torquala, jednakże za pewnik można było uznać chęć sir Cory’ego do współpracy, a to dlatego, że siedział w głębokim lochu pod Peinhadorem oczekując na topór Zerlinga. Wyglądało na to, że stosując się do życzeń Casmira sir Cory miał wszystko do zyskania i nic do stracenia.

* Uwaga: honorowy tytuł „sir” używany jest tutaj dla oznaczenia osoby urodzonej w szlacheckiej rodzinie, bez dokładnego określenia miejsca w hierarchii. Język ówczesny znał wielość tytułów, z których każdy oznaczał niewielką różnicę w hierarchii, niepraktycznym zaś byłoby przedstawianie tego w niniejszej kronice. Dlatego też „sir” stosujemy zarówno w stosunku do sir Cory’ego, jak i jego ojca, sir Claunaya, oraz brata, sir Camwyda, chociaż różnili się znacznie między sobą rangą i tytułem.

Casmir skinął na stojącego w drzwiach strażnika.

- Sprowadź mi sir Erlsa.

Sir Erls, kanclerz królewski i jeden z najbardziej zaufanych doradców Casmira, wszedł wkrótce do komnaty. Był to mężczyzna niski, ostrooki, o surowych rysach, w średnim wieku, o gęstych siwych włosach i jasnej skórze w kolorze kości słoniowej. Król Casmir nie lubił zbytnio humorzastego sir Erlsa, ten jednak służył mu skutecznie i Casmir ignorował inne jego wady.

Król wskazał mu krzesło. Sir Erls uklonił się sztywno i usiadł.

- Co wiesz o sir Corym, który siedzi w lochu pod Peinhadorem?

Sir Erls odpowiedział żywiołowo, jak gdyby oczekiwał takiego pytania:

- Cory jest drugim synem sir Claunaya z Falonges, który teraz już nie żyje. Pierwszy syn, sir Camwyd, objął po nim posiadłość, która leży na północy Zachodniej Prowincji, w Troagh, blisko granicy ulflandzkiej. Cory nie mógł znieść, że jest drugim synem i próbował zamordować sir Camwyda. W nocy wyły psy. Sir Camwyd nie spał i uniknął śmierci. Cory został wygnanym, potem banitą. Grasował w Troagh i urządzał zasadzki wzdłuż Starego Traktu. Został ujęty przez hrabiego Ambryla, który powiesiłby go natychmiast, gdyby Cory nie oświadczył, że jest tajnym agentem Waszej Królewskiej

Mości. Ambryl powstrzymał się i odesłał Cory'ego tutaj, do dyspozycji Waszej Królewskiej Mości. Mówi się, że dobrze sobie zasłużył na topór Zerlinga, na który teraz oczekuje w lochu. Tyle wiem na jego temat.

- Może mimo wszystko sir Cory miał jakieś przecucie - powiedział Casmir. - Sprowadźcie go tutaj natychmiast.

- Jak, Wasza Królewska Mość, rozkaże. - Głos sir Erlsa był wyważony i beznamiętny. Wyszedł z komnaty.

Po pewnym czasie dwóch strażników więziennych doprowadziło Cory'ego z Falonges do komnaty, z łańcuchami na rękach i sznurem na szyi.

Casmir chłodno zlustrował Cory'ego. Był to człowiek średniego wzrostu, silny i zręczny, umięśniony, miał długie żylaste ręce i nogi. Miał bladą cerę, ciemne włosy, rysy ostre i toporne. Nosił strój, w którym go złapano. Początkowo był to zapewne materiał dobrej jakości, teraz jednak był podarty, znoszony i śmierdział obrzydliwie zgnilizną lochów. Mimo to przenikliwie odpowiedział na spojrzenie króla Casmira, był ożywiony, choć pogodzony z losem.

Strażnicy przywiązali jeden koniec sznura do nogi u stołu, tak by Cory nie mógł się niespodziewanie rzucić na króla, po czym na skinienie opuścili komnatę.

Casmir odezwał się do więźnia spokojnym głosem:

- Poinformowałeś hrabiego Ambryla, że pracujesz jako mój tajny agent.

Cory skinął głową.

- Tak zrobiłem, Wasza Królewska Mość.

- Czy nie było to zbyt bezczelne stwierdzenie?

- W okolicznościach, w jakich się znalazłem, uznałem to za dobry pomysł, sire. Doszedłem do wniosku, że z moją nieprzeciętną inteligencją mam szczerze pragnienie oddać ci moje umiejętności na służbę, Najjaśniejszy Panie.

Casmir uśmiechnął się chłodno.

- Wcześniej nie deklarowałeś tego tak jasno.

- To prawda, Najjaśniejszy Panie! Odkładałem to zbyt długo, a teraz widzisz mnie w kajdanach, ku mej hańbie.

- Hańbie z powodu twych zbrodni czy z powodu przegranej?

- Mogę tylko powiedzieć, sire, że nie przywykłem przegrywać.

- Ha! To cecha, którą podziwiam. A teraz wróćmy do przyjęcia cię do

mnie na służbę. Może być to gra, w którą bardzo chciałbyś zagrać.

- Nad wyraz chętnie, Najjaśniejszy Panie, skoro zdaje się, że wydobyłoby mnie to z lochu i uchroniło przed toporem.

- Tak to właśnie wygląda - powiedział Casmir. - Najwyraźniej jesteś sprytny i pozbawiony skrupułów. Te cechy są dla mnie bardzo przydatne. Jeśli uda ci się dokonać tego, co ci za chwilę proponuję, nie tylko ujdiesz z życiem, ale i zasłużysz na sowiłą nagrodę.

Sir Cory skłonił się.

- Wasza Królewska Mość, bez wahania zgadzam się wypełnić tę misję.

Casmir skinął głową.

- Wyjaśnijmy sobie wszystko na samym początku. Jeśli mnie zdradzisz, doścignę cię gdziekolwiek byś się ukrył i sprowadzę cię z powrotem do Peinhadoru.

Sir Cory ponownie się uklonił.

- Sire, jako realista nie oczekuję niczego innego. Powiedz mi, co mam zrobić.

- Sprawa jest dosyć prosta. Będziesz musiał zabić króla Aillasa, władcę Troicinetu, Dascinetu oraz Ulflandów. Jest teraz na morzu ze swoją flotą, ale wkrótce zastaniesz go w Doun Darric, w Południowych Ulflandach. Ja nie mogę być w to w żaden sposób zamieszany.

Cory ściągnął usta, a jego oczy zabłyśły jak latarnie.

- To delikatna sprawa, sire, jednak nie przekracza moich możliwości.

- To wszystko na dzisiaj. Jutro porozmawiamy dłużej. Straże!

Strażnicy weszli do komnaty.

- Zabrać sir Cory'ego z powrotem do Peinhadoru. Pozwólcie mu się wykąpać, znajdźcie dlań czyste ubranie, dajcie mu do jedzenia to, co będzie chciał i umieście go na pierwszym poziomie.

- Jak sobie życzysz, sire. Chodź, ty psi pomociu.

- Od tej chwili macie się do mnie zwracać sir Cory lub narazicie się na moje niezadowolenie! - warknął gniewnie Cory.

Strażnik ostro pociągnął za linę.

- Jakkolwiek byś się nazywał, lepiej się pospiesz. Nie jesteśmy tak łaskawi, jak Jego Królewska Mość.

Następnego dnia późnym popołudniem król Casmir raz jeszcze przesłuchiwał sir Cory'ego, tym razem w Sali Westchnień nad zbrojownią. Sir Cory był już czysto ubrany i przybył bez kajdan.

Król Casmir usiadł na zwykłym miejscu, z flaszką z bukowego drewna i kubkami pod ręką. Skinął, aby sir Cory usiadł na ławie.

- Dokonałem pewnych przygotowań - powiedział. - Na stole leży saskiewka, w której znajduje się dwadzieścia srebrnych florenów. Przebierz się za sprzedawcę leków, kup konia, inne zwierzęta i odpowiednie zapasy leków. Pojedziesz na północ przez Sfer Arct do Dazleby, dalej do Nolsby Sevan, a potem na północ aż do Ulflandzkiego Szlaku. Przejedziesz przez Wrota Cerbera i twierdzę Kaul Bocach. Po sześciu milach trafisz na zajazd „Pod Tańczącą Świnia”. Tam będą czekali na ciebie twoi ludzie, rabusie, złoczyńcy tacy jak ty albo gorsi. Zamierzali dołączyć do bandy Torquala, ale najpierw potowarzyszą tobie. Wykorzystasz ich, jak uznasz to za konieczne.

- Casmir spojrzął na listę, po czym odezwał się z obrzydzeniem: - To nietypowa grupa! Każdy z nich zdaje się prześcigać kompanów w czystym okrucieństwie. Jest tu Hun Izmael ze stepów Tartarii. Dalej Celt Kegan, który jest chudy jak fretka i nie mniej niż to zwierzę żądny krwi. Następny jest Słodki Este, o złotych lokach i tajemniczym uśmiechu. Jest Rzymianinem i utrzymuje, że pochodzi z rodziny Owidiusza, tego poety. Nosi ze sobą łuk niewielki jak zabawka i strzela strzałami, które wydają się wręcz niewidoczne, ale potrafi z dużej odległości pozbawić człowieka oka. Ostatni z nich to Czarny Galgus, który przy pasie nosi cztery noże. Oto twoi podwładni.

- Wyglądają raczej na potwory z nocnych koszmarów - zauważył Cory. - Czy będą mi posłuszni?

Casmir uśmiechnął się.

- Taką mam nadzieję. Torquala z pewnością się obawiają. Może jest jedynym żywym mężczyzną, który ich przeraża. Z tego powodu będziesz działał w imieniu Torquala. Jest z tego jeszcze jedna korzyść: jeśli ci się powiedzie, na co mam nadzieję, cała wina spadnie na Torquala, a nie na mnie.

- Co powie na to Torqual, sire?

- Nie będzie się sprzeciwiał. Powtarzam jeszcze raz: nigdy nie wolno wam wymienić mojego imienia. Czy to jasne?

- Poza jednym Najjaśniejszy Panie: czy mam stosować się do rozkazów Torquala?

- Tylko wtedy, jeśli ci to ułatwi sprawę.

Cory pogładził się po długiej chudej brodzie.

- Mogę być zupełnie szczery, sire? - zapytał.

- Na razie nic innego nie robiliśmy. Mów!

- Słyszałem plotki, Wasza Królewska Mość, że twoim tajnym agentom rzadko udaje się przeżyć i korzystać z owoców swej pracy. Jaką mam gwarancję, że darujesz mi życie, jeśli wszystko mi się uda?

- Mogę ci powiedzieć tylko tyle - odparł Casmir. - Jeśli sprawdzisz się raz, mogę zażądać twoich usług po raz kolejny, a nie będziesz w stanie wypełnić moich poleceń, jeśli będziesz martwy. Po drugie, jeśli mi nie ufasz, możesz spokojnie wrócić do Peinhadoru.

Cory uśmiechnął się i wstał.

- Twoje argumenty są wystarczająco przekonujące, sire.

Rozdział 7

I

W głębi puszczy Tantrevalles, na łące Lally, stał dwór, który zwał się Trilda. Wybudowano go z drewna i kamienia w miejscu, gdzie strumień Lillery Rill wylał się z lasu w swej drodze do rzeki Yallow przepływającej przez odległy kraniec łąki.

Trilda, mająca obecnie około stu lat, została wybudowana na polecenie czarodzieja Hilaria, którego poprzednia rezydencja, wieża Sheur, wznosiła się na wysepce u północnych wybrzeży Dahautu. Dla Hilaria, osoby o bardzo wybrednym guście, było to miejsce zbyt surowe, zimne i wilgotne. Z wielką uwagą narysował on plan, precyzyjnie opisując każdy szczegół i rozwodząc się nad jego stosunkiem do całości budowli. Do wykonania tej pracy wynajął grupę goblinów trudniących się ciesielstwem, którzy twierdzili, że są dobrze wyszkolonymi rzemieślnikami. Hilario chciał objaśnić plany głównemu majstrowi, Shylickowi, ale ten wziął od niego plany, przejrzał je i zdawał się rozumieć wszystko od pierwszego wejrzenia, czym wzbudził duży podziw Hilaria.

Cieśle natychmiast zabrali się do pracy. Z niezwykłą energią cięli, heblowali, piłowali, zbijali, dopasowywali i budowali, tak że - ku zdumieniu Hilaria - cała praca została ukończona w ciągu nocy, razem z czarnym żelaznym kurkiem na kominie.

Kiedy pierwsze promienie słońca rozjaśniły łąkę Lally, majster Shylick otarł pot z czoła. W pięknych słowach przedstawił Hilariowi rozliczenie z żądaniem natychmiastowej zapłaty, ponieważ gobliny miały do załatwienia jakiś pilny interes w innym miejscu.

Hilario był jednakże człowiekiem roztroptym i nie dał się omamić pięknymi słówkami Shylicka. Pochwalił budowniczych za szybkość i efektywność, ale upierał się przy obejrzeniu budowli przed zaplaceniem rachunku. Shylick protestował, ale na próżno, i bez entuzjazmu ruszył za Hilariem, aby towarzyszyć mu podczas inspekcji.

Hilario niemal natychmiast zauważył kilka błędów, jawny dowód pośpiesznej i niedokładnej pracy. Umowa opiewała na rezydencję z dużych, mocnych kamieni polnych, a te, które obejrzał Hilario, były podróbkami z zaczarowanych krowich odchodów. Sprawdzając dalej, Hilario odkrył, że „grube belki z dobrze wysuszonego drewna dębowego” były tak naprawdę wysuszonymi trzciniami o niewielkiej wytrzymałości, utrzymywanymi przez słabe, choć sprytnie zaklęcie.

Oburzony Hilario wytknął te braki Shylickowi i zażądał, aby pracę wykonano prawidłowo, według właściwych standardów. Shylick, który nagle spochmurniał i przestał paplać, robił co mógł, aby się wykręcić od dodatkowej pracy. Twierdził, że idealna precyzja jest nie do osiągnięcia w całym wszechświecie. Utrzymywał, że rozsądna i logicznie myśląca osoba dopuszcza pewną dowolność w interpretacji umowy, ponieważ to znacznie ułatwia porozumienie między stronami.

Hilario był nieugięty, co jeszcze bardziej zdenerwowało Shylicka. Zaczął rzucać swoim zielonym kapeluszem o podłogę i wysuwać coraz mniej wyrafinowane argumenty. Oświadczył, że różnica pomiędzy „podobieństwem” a „substancją” nie jest niczym innym, jak tylko filozoficznym bałamuctwem oraz że niemal wszystko da się zastąpić czymkolwiek. Hilario powiedział grobowym głosem:

- Wobec tego splacam mój rachunek tą kępą trawy.
- Nie, to nie jest zupełnie to samo - powiedział Shylick - i dalej się upierał, że aby nie komplikować sprawy, Hilario powinien zapłacić odpowiednio i zadowolony przyjąć dom w obecnym stanie.

Hilario nie dawał się przekonać. Nazwał argumentację Shylicka „częzą gadaniną od początku do końca”.

- Dom prezentuje się nieźle - zauważył. - Ale czary tego rodzaju są nietrwałe i łatwo puszczają.

- Nie zawsze!

- Wystarczająco często. Przy pierwszym deszczu wszystko zwali mi się na głowę, najprawdopodobniej w nocy, kiedy będę spał. Musicie to przerebić od początku do końca, stosując typowe materiały i przyjęte ogólnie metody budowania.

Cieśle burczeli niezadowoleni, ale Hilario nie chciał z nimi więcej dyskutować i prace zaczęły się od nowa. Gobliny trudziły się przez trzy dni i trzy noce. Tym razem, z czystej złośliwości, wybudowały dom dwa razy lepiej, niż to było potrzebne. Ściany wyłożyły wewnątrz boazerią z drzewa różanego

i kasztanowego, wykorzystwały różowy porfir i malachit zamiast marmuru, a cały czas spoglądały na Hilaria, jakby chciały, żeby tylko wytknął im jakiś błąd.

W końcu praca została zakończona i Hilario zapłacił stu dwunastoma ostrzygami, solonymi rybami, świeżo upieczonym chlebem, serem, orzechami i miodem oraz beczką jabłecznika i drugą pełną wina z jeżyn. Rozliczeniu towarzyszyły zapewnienia o przyjaźni i wzajemnym szacunku.

Hilario wprowadził się do Trildy i mieszkał tam przez wiele lat do czasu kiedy umarł z nie wyjaśnionego powodu. Znalaziono go na łące Lally, prawdopodobnie trafił w niego piorun. Plotki głosiły, co prawda, że rozzłościł czymś bardzo czarodzieja Tamurella, jednak niczego nie można było udowodnić.

Przez wiele następnych lat domostwo stało puste, dopóki pewnego dnia nie trafił tam podczas swoich wędrówek Shimrod. Obejrzał pusty dwór i zdecydował, że w nim zamieszka. Dobudował jeszcze jedno skrzydło na pracownię, posadził kwiaty i Trilda stała się równie czarującym miejscem, jak niegdyś.

Do utrzymywania Trildy w czystości, odkurzania, zmiatania i sprzątnia, polerowania szkła i drewna, odchwszczania ogrodu i podsycania ognia w kominkach zaangażował Shimrod rodzinę merrihewów (czasami zwanych trollami drzewnymi), które niedawno osiedliły się w okolicy. Były to niewielkie, nieśmiałe istoty, które pracowały tylko wtedy, kiedy Shimrod był do nich odwrócony plecami, tak że rzadko widywał coś poza mignięciem dostrzegalnym jedynie kątem oka.

Mijały lata. Shimrod mieszkał w Trudzie samotnie, poświęcał się pracy. Niewielu ludzi pojawiała się na łące Lally. Czasami trafił tu przypadkowo jakiś drwal lub zbieracz grzybów. Shimrod w zasadzie nikogo nie przyjmował. Na drugim krańcu łąki leżała Tuddifot Shee. Dla nieświadomego obserwatora była tylko czarnym głazem obrosniętym mchem od północnej strony. Od czasu do czasu Shimrod przyglądał się zabawom elfów, ale zawsze trzymał się z daleka. Zdążył się już nauczyć, że towarzystwo elfów może doprowadzić do kłopotów i zgryzot.

Ostatnio Shimrod podjął się monumentalnej pracy zleconej mu przez Murgena. Chodziło o sklasyfikowanie i skatalogowanie sprzętów i materiałów skonfiskowanych czarodziejowi Tamurellowi, które zostały dowieszone

do Trildy w strasznym nieładzie. Tamurello był czarodziejem o wielkich umiejętnościach i miał doświadczenie w korzystaniu z energii elektrycznej. Z bliska i z daleka sprowadzał magiczne sprzęty i przedmioty, niektóre banalne, inne o ogromnej wartości.

Pierwszym zadaniem Shimroda dotyczącym tego magicznego bałaganu było przejrzanie dokumentów, zapisków, formularzy i innych danych. Zachowane zostały w wielu postaciach, kształtach i kolorach. Były tam stare i nowe książki, zwoje papirusu z czasów, o których już nikt nie pamiętał, zdobione pergaminy. Rysunki, plany, mapy i schematy. Plansze z materiału pokryte czarnymi symbolami, papier zapisany atramentem w dziwnych kolorach i w jeszcze dziwniejszych językach.

Shimrod posegregował to wszystko w sterty, gotowe do dalszych studiów, po czym zaczął badać maszyny, narzędzia, instrumenty i rozmaite artefakty. Po wyglądzie wielu z nich nie można było się wcale zorientować, do czego służyły, inne zadziwiała swym przeznaczeniem lub nawet brakiem przeznaczenia. Przez miesiąc próbował rozgryźć system siedmiu dysków z przezroczystego materiału toczących się po obwodzie okrągłego blatu z czarnego onyksu. Dyski migotały jasnymi kolorami, było na nich widać czarne plamki, powstające i układające się zupełnie przypadkowo.

Shimrod nie mógł dojść, do czego mogło to służyć. Zegar? Zabawka? Ciekawostka? Tak skomplikowane urządzenie, podejrzewał, musiało zostać skonstruowane w określonym celu, który jednak pozostawał dla niego zagadką.

Pewnego dnia, kiedy siedział i przyglądał się dyskom, z dużego, pękatego zwierciadła na końcu ściany dobiegł go dźwięk dzwonek.

Shimrod wstał i podszedł do lustra. Zobaczył w nim Wielki Hall w Swer Smod. Murgen stał przy stole. Potwierdził obecność Shimroda skinieniem głowy i powiedział bez wstępu:

- Mam dla ciebie skomplikowane zadanie. Możesz się znaleźć w niebezpieczeństwie, zadanie jest jednak bardzo ważne i powinieneś się go podjąć. Ponieważ sam nie mam czasu, aby się do tego zabrać, będziesz musiał przyjąć ten obowiązek na swoje barki.

- Dlatego przecież mnie stworzyłeś - zauważył Shimrod. - O co chodzi?

- Najogólniej mówiąc, to dalszy ciąg tego, co miałeś zrobić w Ys. Teraz będziesz musiał przeprowadzić bardziej szczegółowe śledztwo. Przede wszystkim

musisz się dowiedzieć, czy maczała w tym palce Desmëi.

Masz jakąś teorię?

- Mam kilkanaście domysłów, żadnych faktów. Najprawdopodobniejszych rozwiązań jest kilka. Dokładnie przypominam sobie tylko dwa.

- Co to za rozwiązania?

- Zaczniemy od tego, że kiedy Desmëi stworzyła Melanthe i Carfilhota, unicestwiła się zapewne w dramatycznej demonstracji niechęci do mężczyzn. Faktem jest, że nikt naprawdę by się tym nie przejął, a Tamurello najmniej. Bardziej prawdopodobne jest jednak, że postanowiła zmienić swą postać, tak by mogła doczekać właściwego czasu i zemścić się, kiedy nadejdzie najodpowiedniejsza chwila. Rozumując w ten sposób dojdiesz do wniosku, że zielony dym to Desmëi, lub to, czym się stała. Gdzie się ukrywa? Jakie ma plany? Podejrzewam, że jej agentami są Melanthe i Torqual. Jeśli tak, to oni cię do niej zaprowadzą.

- Co więc mam uczynić?

- Najpierw musisz zmienić wygląd, i to zdecydowanie. Melanthe rozpoznała cię ostatnim razem. Wybierzesz się na wrzosowiska w Ulflandach. Pod górą Sobh w Glen Dagach leżą mury twierdzy Wysoki Coram, tam znajdziesz Melanthe i Torquala.

- A gdy znajdę Desmëi?

- Zniszcz ją, chyba że ona pierwsza zniszczy ciebie.

- Tego bym nie chciał.

- Wobec tego musisz się dobrze uzbroić. Nie wolno ci korzystać z magii piaskunów, wyczułaby cię natychmiast, ponieważ jej zieleń pochodzi z kraju demonów.

- Zatem będę bezbronny przed demoniczną magią.

- Wcale nie. Wyciągnij rękę.

Shimrod zrobił tak i zaraz znalazł w dłoni dwa małe, czarne, eliptyczne kamyki, każdy przyczepiony łańcuszkiem do koleczyka.

- W te kamyki wcieliły się dwa effrity z Mang Seven. Nie znoszą wszystkiego, co pochodzi z Mel albo z Dadgath. Nazywają się Voner i Skel, przydadzą ci się. Teraz przygotuj się do podróży, potem udzielię ci dalszych instrukcji.

Obraz w lustrze zniknął. Shimrod widział tylko swoją twarz. Odwrócił się i spojrział na stół w pracowni, zastawiony instrumentami i pełen tajemnic. Przyjrzał się siedmiu wirującym dyskom i cicho warknął ze złości. Powinien był o to zapytać Murgena.

Było wczesne popołudnie. Shimrod wyszedł do ogrodu. Wysoko na niebie kłęby obłoków lśniły w promieniach słońca. Nigdy jeszcze łąka Lally nie

wydawała mu się tak spokojna. Powędrował myślami do Glen Dagach, gdzie na pewno nie znajdzie takiego spokoju. Ale nie było na to rady. Trzeba zrobić to, co musi być zrobione.

Teraz powinien przybrać postać odpowiednią do miejsca i okoliczności. Ponieważ nie mógł korzystać ze zwykłych czarów, będzie polegał na swej sprawności fizycznej i umiejętności w posługiwaniu się bronią. Niektóre rodzaje broni były mu dobrze znane, z innymi musiał się dopiero zapoznać.

Zastanowił się nad nowym wyglądem. Musi być silny, sprawny, zręczny, doświadczony, ale nie rzucający się w oczy pomiędzy ludźmi zamieszkującymi wrzosowiska.

Shimrod wrócił do pracowni, gdzie przekształcił się w postać, która aż nadto spełniała takie wymagania. Był teraz wysokim mężczyzną o ostrych rysach, jego ciało wydawało się zbudowane z samej skóry, kości i ścięgien. Miał wąską głowę z zapadniętymi policzkami, błyszczące, żółte oczy, usta układające się w okrutny grymas i wąski, długi nos. Gęste, ciemnobrązowe włosy kłębiły mu się na głowie, w tym samym kolorze była jego skóra, ogorzała od słońca i wiatru. W niewielkich uszach zawiesił Shimrod dwa effrity, Vonera i Skela. Natychmiast usłyszał ich głosy. Wydawało się, że dyskutowały na temat pogody panującej w jakimś nieznanym mu miejscu:

- ...niemal rekordowy cykl dla międzygwiazdników, przynajmniej w górnych wyziewach - mówił Skel. - Jednakże tuż za przedpolami na Żyjącej Martwocie moduły nie przeszły jeszcze przez fazę.

- Niewiele wiem o Carpiskovy - powiedział Voner. - Mówiło się, że tam jest wszystko w porządku, więc jestem zaskoczony, że warunki tam są takie mdłe.

- Margaunt od godziny jest w jeszcze gorszym stanie! Znalazłem delikatne, zielone smugi w przesmyku.

- Delikatne, mówisz?

- Dokładnie. Szare sosny są na służbie, a tłoczki nawet nie pisną.

- Panowie, jestem waszym opiekunem - przerwał im Shimrod. - Na imię mi Shimrod, jednakże w tej postaci będę używał imienia Travec Dak. Czuwajcie i strzeżcie mnie przed wszystkim, co ma złe zamiary wobec Shimroda i Traveca. Miło mi, że będziemy współpracować, ponieważ mamy do wypełnienia bardzo ważne zadanie. A teraz proszę was, abyście przez jakiś

czas zachowali ciszę, ponieważ muszę opanować duży zasób wiadomości.

- Kiepsko zaczęłaś, Shimrodzie, Travecu, czy jak tam masz na imię - zauważył Skel. - Prowadzimy rozmowę na wysokim poziomie. Dobrze by ci zrobiło, gdybyś posłuchał.

- Mam ograniczony umysł - odparł surowym głosem Shimrod. - Żądam, abyście byli posłuszni. Wyjaśnijmy to sobie od razu, bo w przeciwnym wypadku będę musiał się skontaktować z Murgenem.

- Ba! - odezwał się Voner. - Taki nasz los. Trafiliśmy na kolejnego nieogoniastego poganiacza, tym razem w osobie Shimroda.

- Cisza, jeśli łaska!

- Dobrze, jeśli musimy - powiedział Voner. - Skel, porozmawiam z tobą później, kiedy Shimrod nie będzie taki marudny.

- Jak najbardziej! Czas nie ucieka tak szybko, jak mówią w zewnętrznym wszechświecie.

Effrity przestały się odzywać, od czasu do czasu wydawały tylko pomruki i jęki. Shimrod w tym czasie przygotował biografię Traveca i wpakował sobie do umysłu konieczne informacje. Następnie rozstawił strażników, którzy podczas jego nieobecności mieli chronić Trildę przed rabusiami. Byłoby ironią losu, gdyby podczas jego poszukiwań na wrzosowiskach Desmëi przybyła do Trildy i ograbiła jego pracownię ze wszystkich cennych instrumentów.

Shimrod wreszcie zakończył przygotowania i podszedł do lustra.

- Jestem gotowy do wyprawy - dał znać Murgenowi.

Murgen przyjrzał się dokładnie nieznajomej twarzy.

- Dobrze przebranie, choć może nieco przesadzone jak na twoje potrzeby. Ale kto wie? Może się okazać przydatne. Słuchaj teraz: za Kaul Bocach pojedź sześć mil Ulflandzkim Szlakiem. Tam znajdziesz zajazd „Pod Tańczącą Świnia”.

- Znam ten zajazd.

- Spotkasz tam czterech rzezimieszków. Oczekują na rozkazy od króla Casmira. Powiedz, że przysłał cię do nich król Casmir oraz że wkrótce przyjedzie niejaki Cory z Falonges, który będzie ich przywódcą podczas specjalnej misji.

- Na razie wszystko jest jasne.

- Nie powinieneś mieć żadnych trudności z przyłączeniem się do bandy Cory'ego. Notabene otrzymał on rozkaz zamordowania króla Aillasa i, jeśli

to będzie możliwe, pojmania księcia Dhrua. Cory poprowadzi bandę do Glen Dagach. Tam, zależnie od okoliczności, możesz się przenieść z bandy Cory'ego do bandy Torquala. Zrób to jednak po cichu i z nikim nie zadzieraj. Na razie Desmëi niczego nie podejrzewa. Nie popełnij błędu i nie spłosz jej, bo poszuka innej kryjówki. Shimrod skinął głową.

- A co z Cory'm?
 - Dla nas jest nieistotny.
- Obraz w lustrze zniknął.

II

Travec Dak jechał Wielkim Uflandzkim Szlakiem na szerokogłowym, ciemnobrązowym koniu. Zmierzał na północ. Z prawej strony siodła przymocował polakierowany sajdak zawierający krótki łuk i dwa tuziny strzał. Po lewej zawiesił długi miecz o wąskiej głowni tkwiącej w skórzanej pochwie. Miał na sobie czarną koszulę, luźne spodnie i czarne buty do kolan. Pelerynę, kolczugę i stożkowaty, żelazny hełm przytroczył za siodłem.

Jechał pochylony do przodu, błyskając oczyma na wszystkie strony. Broń, strój i ogólny wygląd dawały do zrozumienia, że jest wędrownym wojownikiem, a może nawet czymś gorszym. Ludzie, których spotykał po drodze, omijali go szerokim łukiem i oddychali z ulgą, kiedy już ich minął.

Travec przejechał już prawie sześć mil, odkąd minął Kaul Bocach. Po jego lewej stronie wznosił się majestatyczny masyw Teach tac Teach, na prawo z drogą graniczyła puszcza Tantrevalles, tak blisko, że gałęzie najbliższych drzew zasłaniały niebo. Przed nim na małym przydrożnym zajeździe wisiał szyld. Dotarł „Pod Tańczącą Świnie”.

Travec zatrzymał konia. Natychmiast w jego uchu rozbrzmiało zrzędlawe pytanie.

- Travec, dlaczego zatrzymałeś konia?
- Ponieważ zajazd „Pod Tańczącą Świnie” jest tuż przed nami.
- Z pewnością nie jest to powód do zmartwienia.

Nie po raz pierwszy przypomniała się Travecowi uwaga Murgena, że effrity mogą być nieco uciążliwymi kompanami. Podczas całej podróży, chcąc przegnać nudę, rozmawiały ze sobą szeptem, bucząc cały czas delikatnie w

uchu Traveca. Próbował to ignorować, lecz doszedł już do granic swych możliwości.

- Słuchajcie mnie uważnie! - warknął. - Udzielę wam instrukcji!
- To nie będzie konieczne - powiedział Voner. - Twoje instrukcje są nieistotne.

- Jak to?

- Czyż to nie jest jasne? Murgen rozkazał nam służyć Shimrodowi. Ty każesz na siebie mówić Travec. Różnica musi być oczywista nawet dla ciebie.

Travec roześmiał się groźnie.

- Jedną chwilkę, jeśli łaska! „Travec” to zaledwie imię, cecha nabyta. Jestem w każdej istotnej części Shimrodem. Musicie mi służyć jak najlepiej. Jeśli ośmielicie się na najmniejszy sprzeciw, powiadomię Murgena, który wychłoszcze was bez litości.

- Wszystko jasne. Nie musisz się niczego obawiać. Jesteśmy w pełnym pogotowiu - odparł obłudnie Skel.

- Jeszcze tylko tak dla przypomnienia powtórz wszystkie wypadki, w których mamy cię bronić - powiedział Voner.

- Po pierwsze, macie mnie ostrzegać przed bezpośrednim zagrożeniem obejmującym, choć nie ograniczonym tylko do tego, zasadzki, trucizny w winie, broń skierowaną w moim kierunku, z której zamierzano by mnie zranić lub zabić. Macie mnie także bronić przed spadającymi głazami, lawinami, dołami, siłłami, zapadniami wszelkiego rodzaju oraz jakimikolwiek narzędziami lub czynnościami, które mogłyby mnie zezłościć, popsuć mi szyki, zranić, uwięzić, zabić lub obezwładnić. Krótko mówiąc, macie dbać o moje bezpieczeństwo i dobre zdrowie. Jeśli będziecie mieć jakieś wątpliwości, działajcie zawsze tak, aby mnie zadowolić. Czy to jasne?

- A co z afrodyzjakami? - zapytał Voner.

- Mój rozkaz obejmuje również afrodyzjaki. Jeśli będziecie mieć wątpliwości, pytajcie.

- Jak sobie życzysz.

- Po drugie...

- To jeszcze nie wszystko?

Travec nie zwrócił uwagi na to pytanie.

- Po drugie, poinformujecie mnie, kiedy wyczujecie zielony dym z Xabiste. Spróbujemy wówczas zlokalizować jego źródło i zniszczyć je.

- To dość sensowne.
- Po trzecie, nie ujawniajcie swej obecności demonom z Xabiste lub Dadgaht, lub skądkolwiek indziej. Mogłyby uciec, zanim byśmy zdążyli je zniszczyć.

- Jak sobie życzysz.
- Po czwarte, rozglądajcie się za wiedźmą Desmëi, w jakiejkolwiek postaci. Może używać innego imienia, ale nie dajcie się zmylić! Jeśli dostrzeżecie coś podejrzanego, natychmiast dajcie mi znać.

- Zrobimy, co w naszej mocy.

Travec popędził konia i pojechał dalej drogą, natomiast effrity wszczęły dyskusję o wyznaczonych im zadaniach, które wydawały się im niezrozumiałe, tak że Travec zaczął się zastanawiać, czy w pełni pojęły, o co mu chodzi.

Zbliżywszy się do zajazdu Travec zobaczył, że jest to dosyć podła konstrukcja, zbudowana z nieociosanych belek i pokryta strzechą tak starą, że rosła na niej trawa. Z jednej strony stała szopa, w której gospodarz warzył piwo. Z tyłu do gospody dobudowana była stajnia. Za nią troje małych dzieci pracowało na poletku obsadzonym owsem i ziołami. Travec wjechał na podwórze, zsiadł z konia i przywiązał go do przeznaczonej do tego belki. Nie opodal na ławie siedziało dwóch mężczyzn: Hun Izmael i Celt Kegan. Obaj przyglądali mu się z zainteresowaniem.

Travec odezwał się do Izmaela w jego własnym języku:

- A cóż to, pomocię wścieklej furii, co tu porabiasz tak daleko do domu?

- Hoj, ty szakalu! Pilnuję swoich spraw.

- To mogą równie dobrze być moje sprawy, więc traktuj mnie dobrze, mimo że pozbawiłem głów setki twoich pobratymców.

- Co się stało, to się stało. Ja zaś zgwałciłem twoją matkę i wszystkie twoje siostry.

- I swoją własną matkę bez wątpienia też, i to nie schodząc z konia.

Travec skinął głową w kierunku drugiego mężczyzny siedzącego na ławie.

- Kim jest ten chudy cień martwego skorpiona?

- Zwie się Kegan, jest Celtem z Godelii. Potrafiłby podciąć , ci gardło tak szybko, że nawet nie zdążyłbyś splunąć.

Travec skłonił się i wrócił do miejscowego języka.

- Przysłano mnie tu, abym się spotkał z niejakim Corym z Falonges. Gdzie mogę go znaleźć?

- Jeszcze się nie pojawił. Myśleliśmy, że to ty jesteś Cory. Co wiesz na temat wyprawy?

- Zapewniono mnie tylko, że może przynieść duże korzyści i wiele niebezpieczeństw. Nic więcej nie wiem. - Travec wszedł do zajazdu, gdzie zastał gospodarza, który zgodził się go przenocować na sienniku w stajni, co zaakceptował bez entuzjazmu. Gospodarz wysłał chłopca, żeby zajął się jego koniem. Travec wziął cały swój bagaż ze sobą do gospody, zamówił dzban piwa i usiadł przy stole pod ścianą.

Niedaleko siedziało dwóch innych mężczyzn. Rzymianin Este, smukły, o delikatnych rysach i orzechowych oczach, rzeźbił małą harpię z kawałka drewna. Czarny Galgus z Dahautu zabawiał się tocząc kości po stole z jednej ręki do drugiej. Miał nienaturalnie białą skórę i posiwiałe, czarne włosy, jego twarz była smutna i poważna. Wkrótce dołączyli do nich Izmael i Celt Kegan. Izmael wymruczał parę słów i wszyscy zwrócili się w stronę Traveca, który zignorował ich spojrzenia.

Kegan zaczął grać w kości z Galgusem, stawiając drobne monety, a wkrótce całą grupę pochłonęła gra. Travec obserwował ich z ponurą miną zastanawiając się, jak rozwinie się sytuacja. Ta banda, której wyraźnie brakowało przywódcy, była bardzo niestabilna, każdy z mężczyzn zazdrosny był o własną reputację. Po kilku minutach gry Hun Izmael zawołał do Traveca:

- Chodź! Dlaczego się do nas nie przyłączysz? Twój lud znany jest z namiętności do hazardu.

- Żałuję, ale to prawda - powiedział Travec. - Nie chciałem się jednak dosiadać bez zaproszenia.

- Możesz się uważać za zaproszonego. Panowie, to jest Travec Dak z Karpat, który przybył tu w tym samym celu co my. Travec, widzisz tu Słodkiego Este, który utrzymuje, że jest ostatnim prawdziwym Rzymianinem. Jego bronią jest łuk tak mały i kruchy, że sprawia wrażenie zabawki, a strzały do niego wyglądają jak drzazgi. Potrafi jednak wypuszczać je tak celnie i szybko, że trafia człowieka w oko z odległości pięćdziesięciu jardów nie ruszając się z miejsca. Następny to Galgus z Dahautu, który nieźle obchodzi się z nożami. Tam siedzi Kegan z Godelii. On woli ciężką broń, a szczególnie stalowy bicz. Ja sam jestem biednym, zagubionym gołąbkiem. Przetrwałem okropności tego życia tylko dzięki litości i wyrozumiałości moich towarzyszy.

- Jesteście wyjątkową kompanią - zauważył Travec. - Czuję się uprzywilejowany mogąc siedzieć tu z wami. Czy ktoś zna szczegóły naszej misji?

- Tylko się domyślam, skoro Casmir macza w tym palce - powiedział Galgus. - Ale dość gadania. Rzućmy kości. Travec, znasz zasady gry?

- Niezupełnie, ale szybko się uczę.

- A co z pieniędzmi?

- To żaden problem. Mam parę złotych monet od króla Casmira.

- To powinno wystarczyć! Bardzo dobrze, ja pierwszy rzucę kości. Wszyscy muszą coś postawić, potem ja powiem moją liczbę, parzystą albo nieparzystą, i tak toczy się gra.

Travec grał i przez pewien czas wygrywał bez problemu. Potem Galgus zaczął rzucać jedną fałszywą kostką, którą sprytnie podłożył, kiedy przysła koleją na rzucanie i Travec stracił dziesięć złotych koron.

- Więcej nie gram - powiedział. - Mógłbym również stracić konia.

Słońce już dawno zaszło za górami. Kiedy zaczęło się ściemniać, gospodarz podał im na kolację chleb i fasolę. Skończyli jeść, gdy na czarnym koniu przyjechał nowy gość. Zsiadł, przywiązał konia i wszedł do środka. Był to ciemnowłosy mężczyzna średniego wzrostu, o długich, żyłastych ramionach i nogach oraz o surowym wyrazie twarzy. Powiedział do gospodarza:

- Zajmij się moim koniem i daj mi, co masz najlepszego, jechałem przez cały dzień. - Odwrócił się spojrzał na pięciu mężczyzn, po czym zbliżył się do stołu. - Jestem Cory z Falonges. Przyjechałem tu na rozkaz wysoko postawionej osoby, którą wszyscy znamy. Mam wam przewodzić w czasie tej wyprawy. Oczekiwałem czterech mężczyzn, widzę pięciu.

- Jestem Travec Dak. Król Casmir przysłał mnie, abym dołączył do twojego oddziału i przywiózł sakwę złotych monet jako zapłatę dla twoich ludzi. Żałuję, ale straciłem je wszystkie, tak że ci ludzie nie otrzymają swojej zapłaty.

- Co?! - krzyknął zbity z tropu Izmael. - Grałeś moimi pieniędzmi?

Cory z Falonges spojrzał pytająco na Traveca.

- Jak wyjaśnisz swoje zachowanie?

Travec wzruszył ramionami.

- Nalegali, abym z nimi zagrał, a pieniądze Casmira były pod ręką. Jakkolwiek by było, pochodzę z Karpat i przyjmuję wszystkie wyzwania.

Este oskarżającym wzrokiem spojrzał na Galgusa.

- Pieniądze, które wygrałeś, prawowicie należą do mnie.

- Niekoniecznie! - krzyknął Galgus. - To tylko twoje domysły. Pozwól, że spytam: gdyby Travec wygrał, pokryłbyś moje straty?

- W tym wypadku to ale wina Galgusa, tylko Traveca - rzucił władcym tonem Cory.

Travec widząc, jak się sprawy mają, powiedział:

- Robicie wiele hałasu o nic. Mam pięć własnych, złotych monet, o które jestem gotów z wami zagrać.

- Chcesz grać dalej? - zapytał Galgus.

- Dlaczego nie? W końcu pochodzę z Karpat! Ale zagramy w nową grę!

Travec postawił gliniany dzbanek po fasoli na podłodze i wskazał na szczelinę pomiędzy kamiennymi płytami, jakieś piętnaście stóp od dzbanka.

- Każdy kolejno stanie w tym miejscu i rzuci do dzbanka złotą monetę. Ten, kto trafi, zabierze monety tych, którzy do niego nie trafią.

- A jeśli trafi dwóch? - zapytał Este.

- Podzielią się wygraną. Dalej więc, kto gra? Galgus, jesteś mistrzem w ocenie odległości, ty będziesz rzucał pierwszy.

Z pewnym powątpiewaniem Galgus stanął przy szczelinie i rzucił monetę. Uderzyła w dzbanek i upadła na bok.

- Masz pecha - powiedział Travec. - Nie wygrasz tej rundy. Kto następny? Este?

Este rzucił monetą, potem Izmael i Kegan. Żadna z monet nie trafiła do otworu, chociaż wydawało się, że celowali dobrze i dopiero w ostatniej chwili coś sprawiało, że monety spadały na bok. Travec rzucił ostatni i jego moneta wpadła czysto i dźwięcznie do dzbanka.

- Tym razem to ja miałem szczęście. - Zebrał wygraną. - No dalej, kto teraz zaczyna? Znowu Galgus?

Raz jeszcze stanął Galgus przy szczelinie i delikatnym ruchem rzucił monetę, ale przeleciała nad dzbankiem, jak gdyby miała skrzydła. Moneta Słodkiego Este chwiała się chwilkę na krawędzi, po czym spadła na bok. Izmaelowi i Keganowi również nie udało się trafić, zaś moneta Traveca, tak jak poprzednio, zadźwięczała w dzbanku, jakby ją tam coś ściągnęło.

Travec zebrał wygraną. Odliczył dziesięć złotych monet i podał je Cory'emu.

- Koniec z narzekaniem! - zawołał odwrócił się do kompanów. - Jeszcze jedną rundę?

- Ja nie - powiedział Este. - Ręka mnie boli od tego wysiłku.

- Ja też nie - oznajmił Kegan. - Nie rozumiem, dlaczego nie mogłem trafić. Te monety kręciły się jak stajenne jaskółki. Uciekały od tego dzbanka, jakby to były wrota do piekła!

Kegan podszedł i zajrzał do dzbanka. Z jego wnętrza wyłoniło się czarne ramię i uszczypnęło go w nos. Krzyknął przestraszony i upuścił dzbanek, który rozbił się na setki kawałków. Nikt nie zauważył, co się stało, i przyjęło jego wyjaśnienia ze sceptycyzmem.

- To piwo, które tu podają, jest bardzo mocne! Nic dziwnego, że na ciebie podziałało - stwierdził Travec.

Przybiegł gospodarz.

- Dlaczego potłukliście mój dzbanek? Żądam zapłaty!

- Ten twój dzbanek mnie dzisiaj drogo kosztował! - ryknął Kegan. - Nie zapłacę ci ani pensa, dopóki nie wynagrodzisz mi strat!

Cory podszedł do karczmarza.

- Gospodarzu, uspokój się! Jestem przywódcą tych ludzi i zapłacę ci za twój dzbanek. Bądź tak dobry i przynieś nam więcej piwa, a potem zostaw nas w spokoju.

Naburmuszony właściciel zajazdu wzruszył ramionami i odszedł, a po chwili wrócił z kuflami piwa. Cory przyjrzał się uważnie Travecowi.

- Nieźle ci idzie rzucanie monetami. Co jeszcze mógłbyś nam zademonstrować?

Travec uśmiechnął się lekko pod nosem.

- Na kim?

- Ja będę sędziował - powiedział Cory.

Travec rozejrzał się po grupie.

- Izmaelu, masz silne nerwy, inaczej oszalałbyś od tego, czego się w życiu dopuściłeś.

- Może to i prawda.

- Stań tu, w tym miejscu.

- Najpierw mi powiedz, do czego zmierzasz. Jeśli chcesz mnie oskalpować, muszę z szacunkiem odmówić.

- Uspokój się. Z całą przyjaźnią, jaka jest możliwa pomiędzy Hunem a Dakiem, przedstawimy im, jak to się ślicznie walczy na stepach.

- Jak chcesz. - Izmael stanął na wyznaczonym miejscu.

Cory zwrócił się do Traveca.

- Co to za wygląpy? - zapytał ostro. - Nie masz ani pałki, ani maczugi, przy twoim pasie nie widzę żadnego ostrza, nawet w bucie nic nie masz!

Travec, nie zwracając na niego uwagi, powiedział do Izmaela:

- Czaisz się w zasadzce. Przygotuj nóż i uderz, kiedy będę koło ciebie przechodził.

- Jak sobie życzysz.

Travec przeszedł obok Huna Izmaela. Nagle wszystko odbyło się bardzo szybko, niemal zbyt szybko, aby można było coś zauważyć. Travec machnął ramieniem. Niemal cudownie w jego ręce pojawił się nóż. Głowica rękojeści była przyciśnięta do żyłastego gardła Izmaela, ostrze migotało w świetle lamp. Ramię Huna zostało odtrącone, a jego nóż stuknął o kamienną podłogę. W tym samym czasie Izmael podniósł nogę, z jego miękkiego wojskowego buta wyskoczyło straszne ostrze o dwóch szpiczastych końcach. Kopnął mierząc w krocze Traveca. Travec drugą ręką błyskawicznie złapał Izmaela za kostkę i zmusił go, aby na jednej nodze ruszył tyłem w kierunku paleniska. Gdyby zrobił jeszcze jeden krok do przodu i pchnął, Izmael wpadłby pomiędzy płonące drwa.

Travec jednakże zwolnił chwyt i usiadł z powrotem na swoim miejscu. Izmael z kamiennym wyrazem twarzy podniósł nóż i również usiadł.

- Tak się sprawy mają na stepach - powiedział beznamiętnym tonem.

- Travec całkiem nieźle posługuje się nożem - odezwał się jedwabistym głosem Słodki Este. - Nawet Galgus, który uważa się za mistrza w tej dziedzinie, będzie musiał to przyznać. Mam rację, Galgusie?

Wszystkie oczy skierowały się na Galgusa, który siedział zamyślony, a jego blada twarz przypominała zgryźliwą maskę.

- Łatwo jest być sprytnym, kiedy się chowa nóż w rękawie - zauważył Galgus. - Natomiast rzucanie nożem to wielka sztuka, w której jestem mistrzem.

- I co ty na to, Travec? - zapytał Este. - Potrafisz rzucać nożem?

- Według ocen mojego ludu jestem w tym średnio zdolny. Który z nas jest lepszy? Nie da się tego inaczej udowodnić, jak tylko dostając nożem w gardło, spróbujmy więc porównać.

- Ach, jest jednak sposób - powiedział Galgus. - Widziałem, jak to robiono podczas zawodów mistrzów. Gospodarzu, przynieś nam długi, dobry sznurek.

Burcząc pod nosem gospodarz przyniósł im kawałek sznurka.

- Musicie mi teraz zapłacić srebrem, żeby zrekompensować mi utratę dzbanka.

Cory z pogardą rzucił mu monetę.

- Weź to i przestań zrzędzić! Skąpi nie zostają dobrymi karczmarzami. Karczmarze powinni być szczerzy, uczciwi i hojni.

- Tacy nie istnieją - burknął gospodarz. - Ci, którzy odpowiadają twojemu opisowi, dawno już zostali wędrownymi biedakami.

Podczas tej wymiany zdań Galgus przywiązał sznurek do belki w przeciwległym końcu sali. Na środku zawiesił kość wołową, którą ogryzały psy, po czym zwrócił się do obserwujących go towarzyszy.

- A teraz staniemy przy tej linii, odwróceni tyłem do sznurka - oznajmił. - Na sygnał odwrócimy się i rzucimy nożami. Travec będzie celował dwie stopy na prawo od kości, ja na lewo. Jeśli obaj trafimy w sznurek, jeden nóż przetnie go odrobinę wcześniej niż drugi, a kość upadnie trochę na skos, a nie pionowo i będzie to jasnym dowodem na to, czyj nóż uderzył pierwszy. Oczywiście, jeśli którykolwiek z nas w ogóle trafi w sznurek.

- Mogę się tylko starać - powiedział Travec. - Muszę jednak znaleźć nóż do rzucania, nie chciałbym bowiem używać do takiej paskudnej roboty mojego najlepszego puginąłu. - Rozejrzył się po sali. - Spróbuję tym starym nożem do sera, będzie równie dobry jak każdy inny.

- Co?! - krzyknął Galgus. - Ostrze jest brudne od jedzenia i stępienie, trudno byłoby nim ukroić kawałek sera!

- Muszę jednak z niego skorzystać, skoro nie mam innego. Este, będziesz sędziował. Znajdź punkt dokładnie pionowo pod kością, tak byśmy mogli stwierdzić z dokładnością do pajęczej nóżki, kto jest lepszy.

- Dobrze - zgodził się Este i po kilku próbach oznaczył punkt na podłodze. - Oto decydujący punkt! Kegan, chodź tu też. Ukucniemy tu i będziemy go obserwować. Jeśli kość spadnie, pozwoli to nam dokładnie ocenić, kto wygrał.

Kegan i Este uklęknęli niedaleko kości.

- Jesteśmy gotowi.

Galgus i Travec zajęli miejsca odwróceniem plecami do sznurka.

- Stuknę palcami w stół pięć razy - powiedział Cory. - Po piątym stuknięciu musicie się odwrócić i rzucić. Jesteście gotowi?

- Gotowy! - stwierdził Galgus.

- Gotowy! - zawtórował mu Travec.

- A więc uwaga! Zaczynam liczyć! - Cory zaczął stukać w stół. Stuk, stuk, stuk, stuk, stuk. Galgus jak atakujący wąż odwrócił się i rzucił. Metal błysnął w powietrzu. Nóż wbił się w drewno, ale kość ani drgnęła. Ostrze trafiło w cel, ale zwrócone było równoległe do sznurka. Travec odwrócił się bez większego pośpiechu.

- Prawie dobrze, ale spróbuję, czy nie uda mi się lepiej z tym starym kuchennym nożem - oznajmił.

Ujął na płask drewnianą rękojeść i rzucił. Nóż przeciął powietrze i trafił w sznurek. Kość opadła na jedną stronę. Este i Kegan wstali.

- Wygląda na to, że i tym razem Travec musi zostać ogłoszony zwycięzcą.

Galgus, mrużąc coś pod nosem, poszedł po swój nóż.

- Dosyć tych prób i potyczek - powiedział szorstkim głosem Cory. - Wiadzę, że wszyscy potraficie podcinać gardła i topić staruszki. Czy potraficie się zdobyć na coś więcej, zobaczymy. A teraz siadajcie i uważajcie. Powiem wam, czego od was oczekuję. Karczmarzu, przynieś nam piwa, a potem wyjdź stąd, chcemy bowiem przeprowadzić poufną rozmowę.

Cory odczekał, aż gospodarz wykona jego polecenia, po czym stawiając jedną nogę na ławie zaczął mówić rozkazującym głosem:

- Na razie jesteście bezładną bandą, nie łączy was nic poza wspólnym, bandyckim zawodem i chciwością. Słabe to więzy, nie ma co do tego wątpliwości, ale muszą wystarczyć, ponieważ nie ma żadnych innych. Musimy jednak działać jak jedna osoba. Nasza misja się nie powiedzie, jeśli nie będziemy zdyscyplinowani.

- Co to za misja? Chcemy to wiedzieć! - zawołał Kegan.

- Nie mogę wam jeszcze podać szczegółów. Jest to niebezpieczne i podle zadanie, które mamy wykonać dla króla Casmira, ale to już wiecie i może nawet się domyślacie, czego się od was chce. Nie chciałbym jednak mówić,

o co dokładnie chodzi, dopóki nie będziemy mieć części wyjaśnień za sobą. Mogę wam tylko powiedzieć, że jeśli nam się uda, to zostaniemy sowicie wynagrodzeni i nie będziemy musieli już nigdy nikogo rabować, no chyba że dla przyjemności.

- Świetnie, ale co to za nagroda? Parę kolejnych kawałków złota? - zapytał Este.

- Niezupełnie. Jeśli o mnie chodzi, zostanie mi przywrócone baronostwo Falonges. Każdy z was może oczekiwać tytułu i posiadłości rycerskiej w wybranym przez siebie rejonie. Tyle przynajmniej dano mi do zrozumienia.

- No dobrze, co dalej? - dążył Este.

- Wasze zadanie jest proste: musicie słuchać moich rozkazów.

- To jest nieco zbyt proste. Nie jesteśmy przecież świeżymi rekrutami.

- Oto szczegóły: jutro wyruszmy przez góry do miejsca, gdzie spotkamy innych ludzi naszego pokroju. Tam udzielią nam porady i dadzą dokładniejsze wskazówki. Potem zabierzemy się do roboty i jeśli skutecznie wszystko przeprowadzimy, będziemy mieli tę sprawę z głowy.

- Proste zadanie, jak wynika z twoich wyjaśnień - zauważył sardonicznie Galgus.

Cory nie zwrócił na niego uwagi.

- Słuchajcie mnie. Mam niewiele wymagań. Nie proszę o miłość, pochlebstwa czy przysługi. Żądam posłuszeństwa, wypełniania moich rozkazów co do joty. Żadnych pytań, wahań, kłótni, wątpliwości. Jesteście straszliwą bandą brutalni jak z nocnego koszmaru, ale jeśli nie wypełnicie moich rozkazów, ja będę groźniejszy niż wy wszyscy razem wzięci. Słucham więc! Każdy, kto uzna, że to przekracza jego możliwości, może odejść. Teraz albo nigdy! Travec, godzisz się na moje warunki?

- Jestem Czarnym Orłem z Karpat! Nikt nie będzie mi rozkazywał!

- Podczas tej wyprawy ja będę ci rozkazywał! Musisz się na to zgodzić albo odejść swoją drogą.

- Jeśli wszyscy inni się zgodzą, przystanę na twoje warunki.

- Este?

- Zgadzam się. Ktoś w końcu musi przewodzić.

- Dokładnie tak. Izmael?

- Będę ci posłuszny.

- Kegan?
- Ha! Jeśli muszę, to muszę, chociaż duchy moich przodków wyją na takie pohańbienie.
- Galgus?
- Uznaję twoje przewodnictwo.
- Travec z Karpat, pytam cię po raz kolejny?
- Będiesz przywódcą. Nie będę tego kwestionował.
- To nie jest jednoznaczne. Wyjaśnijmy to sobie bez dwuznaczności, będziesz wykonywał moje rozkazy czy nie?
- Będę ci posłuszny - odparł grobowym głosem Travec.

III

Godzinę po wschodzie słońca Cory z Falonges i jego straszliwi towarzysze opuścili zajazd „Pod Tańczącą Świnia”. Najstarszy syn karczmarza, Tern, pojechał z nimi jako przewodnik i poprowadził dwa juczne konie. Oświadczył, że podróż zajmie im tylko dwa dni, nie biorąc pod uwagę nieprzewidzianych zająć i przyjmując, że nie natrafiają na silne, atlantyckie wichry.

Kolumna ruszyła na północ wężem, który prowadził pod Tac Tor do doliny Evandra i dalej, a potem zmienił się w ścieżkę pnącą się pod górę stromym żlebem. Ścieżka wiła się do przodu i do tyłu, pomiędzy zwalonymi skałami, kępami olchy i krzakami jeżyn, wzdłuż małego strumyka szemrzącego gdzieś w pobliżu. Milę dalej odbiła od strumienia i ostrymi zakosami poprowadziła ich z boczem, aż w końcu dotarli pod grań górskiego grzbietu.

Odoczywali przez chwilę, po czym ruszyli dalej. Przecięli garb góry omijając piargi i głazy, znikali w cieniu cedrów i sosen, przecinali odkryte, smagane wichrem płaszczyzny, po czym przeszli znowu na drugą stronę, skąd było widać masyw Teach tac Teach. Wspinali się wąziutkimi ścieżynkami, aż w końcu wydostali się na płaską wyżynę. Słońce właśnie zachodziło za kłębamii chmur.

Rankiem wiatr przywiał gęste chmury pędząc je nad wrzosowiskiem. Awanturnicy skupili się dookoła ogniska, każdy pogrążony we własnych myślach i smażący na patyku kawałek bekonu. W garnku bulgotała owsianka. Przyprawdzili i osiodłali konie. Pochyleni nisko z powodu mroźnego wiatru ruszyli przez wrzosowiska. Po lewej i prawej pięły się wysoko turnie Teach tac Teach. Przed nimi wyrastała góra Sobh.

Ścieżka zniknęła. Jechali przez puste wrzosowisko, potem zboczem góry Sobh, w dół pomiędzy karłowatymi sosnami, aż do miejsca, gdzie otworzyła się przed nimi szeroka panorama. Widzieli grzbiety i zbocza gór, ciemne doliny zarośnięte drzewami iglastymi, potem niżej położone wrzosowiska, a dalej nieokreśloną mgiełkę, poza którą nie sięgał już wzrok.

Nagle znikąd pojawiła się ścieżka, prowadząca w dół zbocza w sosnowo cedrowy las.

Z przodu migotało coś białego. Kiedy się zbliżyli, zobaczyli czaszkę łosia atkniętą na sosnowym pniu. W tym miejscu Tern zawrócił konia.

Cory podjechał do niego.

- Co teraz?

- Dalej nie jadę - powiedział Tern. - Za drzewem wisi miedziany róg. Zadmijcie w niego trzy razy i czekajcie.

Cory zapłacił mu trzema srebrnymi monetami.

- Byłeś dobrym przewodnikiem. Wracaj szczęśliwie.

Tern odwrócił się i odjechał, prowadząc za sobą dwa juczne konie.

Cory przyjrzał się towarzyszom.

- Rzymianinie Este! Mówią, że jesteś niezłym muzykiem! Znajdź róg i zadmij w niego trzy razy, tak aby to usłyszano w dolinie.

Este zsiadł z konia i podszedł do drzewa, gdzie wisiał na kołku potrójnie zawinięty, miedziany róg. Przyłożył go do ust i zadął w niego trzy razy, a dźwięczny głos instrumentu odbijał się echem w nieskończoność.

Minęło dziesięć minut. Travec odprowadził swego konia na bok, z dala od innych.

- Voner! Skel! Słyszycie mnie? - mruknął.

- Oczywiście, że cię słyszymy.

- Czy wiecie, gdzie jesteśmy?

- Na wielkim wypiętrzeniu matki Ziemi. Jakaś roślinność przesłania niebo. Trzy podstępne kanale obserwują nas z ciemności.

- A co z zielonym dymem z Xabiste?

- Nic szczególnego - powiedział Voner. - Niewielka smużka na tamtym zboczach, nic więcej.

- Nic, co by mogło nas zainteresować - dodał Skel.

- Macie jednak informować mnie o każdym śladzie tej zielenizny, jako że może to wskazać jej źródło - powiedział Travec.

- Jak sobie życzysz. Czy mamy się ujawnić tamtemu zielonemu dymkowi?

- Jeszcze nie. Musimy się dowiedzieć, skąd się wydobywa i jak powstaje.

- Jak sobie życzysz.

Za Travecem rozległ się zgrzytliwy głos. Odwracając się Travec zobaczył twarz Celta Kegana.

- Jakże przyjemne muszą być te intymne rozmowy ze sobą samym!

- Powtórzę ci moje szczęśliwe hasło: „I co z tego?”

- Nic szczególnego - odparł Kegan. - Ja też mam swoje głupie przyzwyczajenia. Nigdy nie zabiję kobiety nie pomodliwszy się przedtem do bogini Quincubile.

- To dość sensowne. Widzę, że granie Este zostało usłyszane.

Z lasu wyszedł żółtowołosy mężczyzna o brodzie tego samego koloru, wysoki i masywny, w żelaznym, trójrożnym hełmie, kolczudze i czarnych, skórzanych spodniach. Przy pasie wisiały mu trzy miecze, każdy o innej długości.

- Powiedźcie jak się nazywacie i dlaczego zadęliście w róg - zawołał donośnym głosem.

- Jestem Cory z Falonges. Wysłała mnie tu osoba wysokiej rangi, abym zobaczył się z Torqualem. To moi towarzysze. Ich imiona nic ci nie powiedzą.

- Czy Torqual wie o twoim przybyciu?

- Nie potrafię ci tego powiedzieć. To bardzo możliwe.

- Jedźcie za mną. Nie zbaczajcie ze szlaku na więcej niż dwa jardy.

Ruszyli wąską ścieżką, która prowadziła najpierw przez gęsty las, potem odkrytym zboczem góry, następnie żlebem na małą kamienną półkę, stamtąd w górę szczeliną w skale, a po obu stronach wznosiły się strome ściany. W końcu wydostali się na małą łączkę wciśniętą pod skaliste zbocze. Przed sobą ujrzeli starożytną fortecę, niemal do połowy zrujnowaną.

- Stoicie na łące Neep, a to jest twierdza Wysoki Coram - powiedział jasnowłosy bandyta. - Możecie zsiąść z koni i czekać tu na stojąco lub usiąść na tamtych ławkach. Powiem Torqualowi, że przybyliście. - Zniknął w zakamarkach stare go zamku.

Travec zsiadł z konia tak jak inni i rozejrzał się po łące. Pod nawisem skalnym stało kilka topornych chat zbudowanych z kamieni i darniny. Tam prawdopodobnie mieszkali towarzysze Torquala. Pomiędzy chatami Travec

dostrzegł kilka obdartych kobiet i bawiące się w piasku dzieci. Z boku wybudowano z nieforemnych cegieł piec do pieczenia chleba. Cegły najwidoczniej wypalono z miejscowego błota na otwartych ogniskach.

Travec podszedł do krawędzi, aby spojrzeć w dół na Glen Dagach, która opadała stromo na niższe wrzosowiska.

- Skel! Voner! Co z tym zielonym? - mruknął pod nosem.

- Widzę mgłę skłębioną w zamku - powiedział Voner.

- Smuga prowadzi gdzieś indziej - dodał Skel.

- Czy widzisz jej źródło?

- Nie.

- Czy są jakieś inne ślady zieleni?

- Jest smuga w Swer Smod, nic więcej nie widzę.

Z zamku wyszedł Torqual ubrany w czarny strój skalradzkiego arystokraty. Zbliżył się do przybyłych. Cory wyszedł do przodu.

- Torqual, jestem Cory z Falonges.

- Słyszałem o tobie. Grasowałeś po Troagh jak wściekły wilk, przynajmniej tak mówią. Kim są pozostali?

Cory machnął lekceważąco ręką.

- To zdolne łobuzy, każdy w swoim rodzaju. To jest Celt Kegan. To jest Słodki Este, który może nawet i jest Rzymianinem, za którego się podaje. Tam stoi Travec Dak z Karpat. Tam Dahautczyk Galgus, a tamta nieszczęśliwa podobizna samego diabła to Hun Izmael. Znają tylko dwa uczucia: strach i chciwość.

- To wszystko czego im trzeba - powiedział Torqual. - Innym nie ufam. Co zamierzasz?

Cory zabrał Torquala na stronę. Travec usiadł na ławce.

- Voner! Skel! - szepnął. - Torqual i Cory rozmawiają, chcę usłyszeć, o czym, ale to ma dotrzeć tylko do moich uszu, tak aby nikt inny tego nie słyszał.

- To nudna i nieistotna gadanina. Mówią o tym i owym - powiedział Skel.

- Chciałbym jednak posłuchać.

- Cokolwiek rozkażesz.

Do uszu Traveca dotarł głos Torquala:

- ...nie przysłał mi żadnych funduszy?

- Tylko piętnaście złotych monet - odparł Cory. - Również Travec przywiózł pieniądze od Casmira, dziesięć złotych koron, ale powiedział, że są dla nas. Może jednak miały trafić do ciebie. Dobrze. Weź wszystkie!

- Toż to żaloszne - powiedział z obrzydzeniem Torqual. - Takie są właśnie zamiary Casmira. On myśli, że namówi mnie, abym połączył moje plany z jego planami i działał razem z nim.

- Czy on zna twoje zamiary?

- Może się domyśla. - Torqual odwrócił się i spojrział w dół na Glen Daghach. - Nie robiłem z tego żadnej tajemnicy.

- Tak z ciekawości, co zamierzasz?

- Będę władał tymi górami za pomocą strachu i zniszczenia - mówił beznamiętnie Torqual. - Następnie podbiję Ulflandy, Północne i Południowe. Raz jeszcze zaciągnę Skalradów na wojnę. Najpierw zdobędziemy Godelię, potem Dahaut, a następnie całe wyspy Elder. Potem ruszymy na podbój świata. Nie było jeszcze takiej wyprawy ani takiego imperium. Oto mój plan. Na razie jednak muszę układać się z Casmirem o ludzi i pieniądze, aby przetrwać trudne początki.

- Twój plan to przynajmniej wspaniałe dążenie - powiedział stłumionym głosem Cory.

- To można osiągnąć. Dlatego też należy to osiągnąć - odparł obojętnie Torqual.

- Zdaje się, że masz wszystkich przeciwko sobie.

- Te trudności da się pokonać. Wszystko może się zmienić w ciągu jednej nocy. Aillas jest moim najgorszym i najzawziętym wrogiem. Ze swoją armią i flotą wydaje się groźny, ale nie ma wyczucia. Ignoruje niechęć Ulflandczyków do troicyjskiego panowania. Baronowie mogą wystąpić przeciwko niemu w każdej chwili.

- A ty byś ich poprowadził?

- To jest konieczne. Pozostawieni, sami sobie są dumną i kłótną bandą. Burzą się, bo Aillas sprawdza ich fundusze. Kiedy w końcu ich poprowadzę, doświadczą na własnej skórze, co znaczy skalradzka dyscyplina. W porównaniu ze mną Aillas będzie się wydawał aniołem miłosierdzia!

- Moim zadaniem jest zabić Aillasa - burknął bez przekonania Cory. - Przewodzę pięciu mordercom, którzy zrobią to dla samej przyjemności, chociaż wszyscy mają nadzieję na dobrą zapłatę.

- To żart - powiedział Torqual. - Casmir nagradza swych wiernych pacholków pętlą na szyi. Nie rozdaje zbyt wielu nagród, kiedy się dobrze wykona robotę.

Cory skinął głową.

- Jeśli mi się uda, będę miał w garści Casmira trzymając w niewoli

księcia Dhruna. Na razie mamy zbliżone interesy. Dlatego mam nadzieję, że udzielisz mi rady i pomocy. Torqual zamyślił się.

- Jaki masz plan? - zapytał.

- Jestem ostrożnym człowiekiem. Wyśledzę dokładnie, co robi Aillas. Dowiem się, gdzie jada, śpi i jeździ na koniu. Czy ma kochanki, czy woli samotność. To samo z Dhrunem. Kiedy będę znał ich nawyki lub trafię na sposobne okoliczności, zrobię, co do mnie należy.

- To metodyczny plan - powiedział Torqual. - Będzie jednak wymagał dużo czasu i wysiłku, a równie dobrze mógłbyś wzbudzić jakieś podejrzenia. Sugerowałbym znacznie szybszy sposób.

- Z przyjemnością go poznam.

- Jutro ruszam na dużą wyprawę. Miasto Willow Wyngate jest strzeżone przez zamek Green Willow. Lord Minch, jego synowie i zbrojni wyjechali do Doun Darric. Mają tam przywitać króla Aillasa, który właśnie wrócił z podróży. To nie jest tak daleko, jakieś dwadzieścia mil, oni więc myślą, że zamek będzie bezpieczny podczas ich nieobecności. Mylą się. Zdobędziemy zamek Green Willow i złupimy miasto. A teraz najważniejsze! Aillas i lord Minch zostaną powiadomieni, że atakujemy zamek. Natychmiast ruszą z pomocą. To może być twoja sposobność, ponieważ po drodze łatwo urządzić zasadzkę. Jedna strzała i Aillas będzie martwy.

- Co z księciem Dhrunem?

- Oto cały urok tej sytuacji. Dhrun spadł z konia i złamał żebro. Zostanie w Doun Darric. Jeśli pospieszysz się po urządzeniu zasadzki, możesz również łatwo pojmać Dhruna.

- To dość odważny plan.

- Przydzielę ci przewodnika. Pokaże ci, gdzie urządzić zasadzkę i poprowadzi cię do Doun Darric. Będzie również wiedział, gdzie zakwaterował się Dhrun.

Cory podrapał się po brodzie.

- Jeśli wszystko się uda, obaj na tym skorzystamy. Być może to początek naszej przyszłej współpracy.

Torqual skinął głową.

- Może tak się stanie. Wyjedziemy jutro po południu, aby zaatakować Green Willow o świcie. - Spojrzał na niebo. - Od morza nadciągają chmury i wkrótce będzie padać deszcz. Możesz wprowadzić swoich ludzi do twierdzy, niech prześpią się przy palenisku.

Cory wrócił do czekających na niego ludzi.

- Wyjaśnię wam teraz nasz plan - powiedział ciężkim głosem. - Mamy zabić króla Aillasa.

- To nie jest żadna niespodzianka - zauważył Este ze słabym uśmiechem na ustach.

- Jaki jest ten plan? - zapytał burkliwie Galgus. - Spodziewaliśmy się ryzyka, ale nie takiego. Dotychczas udawało mi się utrzymać przy życiu, gdyż moja odwaga zaprawiona jest ostrożnością.

- Dobrze powiedziane - przyznał Travec. - Ja również nie mam ochoty umierać pośród tych wrzosowisk.

- Nie mam na to większej ochoty niż ty - powiedział Cory. - Plan jest dobrze pomyślany. Zaatakujemy podstępnie z zasadzki, a potem uciekniemy szybko jak ptaki i unikniemy kary.

- To dość sensowne - zauważył Izmael. - Na stepach to dla nas typowy sposób działania.

- Na razie możecie rozsiodłać konie i wnieść bagaże do zamku, będziemy spać przy palenisku. Wyjawię tam dalsze szczegóły naszego planu.

Travec zaprowadził swojego szerokogłowego konia do stajni. Poczekał, aż wszyscy wyjadą i wyszeptał:

- Skel! Musisz zanieść wiadomość!

- Nie da się tego odłożyć? Voner i ja jesteśmy już tym zmęczeni. Mieliśmy zamiar spędzić godzinkę lub dwie śledząc nasze iluzje.

- Musicie z tym poczekać, aż skończy się nasza misja. Pędź natychmiast do Doun Darric, które leży na północ stąd. Poszukaj króla Aillasa i bez ociągania przekaz mu następującą wiadomość...

IV

Późnym popołudniem strugi deszczu zalały Glen Dagach i wkrótce rozpadało się nad łąką Neep. Cory i jego towarzysze zebrali się w największej komnacie starożytnego zamku, gdzie w wielkim kominku buchały wysokie płomienie rzucając rude światło na całe pomieszczenie. Dostali na kolację chleb, ser, garnek gulaszu z dziczyzny i skórzany bukłak cierpkiego, czerwonego wina.

Po posiłku zrobili się trochę niespokojni. Galgus wyjął swoje kości, ale nikomu nie chciało się grać. Kegan, z czystej nudy, zajrzał do zakurzonej komnaty pod starymi schodami, gdzie pod osadem kurzu z niezliczonych lat znalazł starą szafę ze spróchniałego drewna. Otarł kurz i otworzył spróchniałe drzwi, ale w ciemnym świetle zobaczył tylko puste półki. Kiedy się odwracał kątem oka dostrzegł jakiś kształt z tyłu najniższej półki. Sięgnął i wyjął owalne pudełko. Było duże i ciężkie, zbudowane ze zbitych klepek cedrowych.

Kegan zaniósł pudło na stół przed kominkiem i podczas gdy jego towarzysze się przyglądali, podważył wieko. Wszyscy spojrzeli na przedmiot znajdujący się w środku. Był on zrobiony z gładkiego granitu i innych kamieni, zdobiony setkami wzorów z czarnego onyksu, gagatu i agatu, rzeźbiony w miniaturowe wzory. Cory podszedł i zajrzał do pudła.

- To mały, starożytny sarkofag, miniatura, model, a może zabawka. - Sięgnął i wyjął to z pudła, ale Kegan złapał go za ramię.

- Nie, to może być zaczarowane albo nawet przekłete! Niech nikt tego nie dotyka!

Do komnaty wszedł Torqual, a za nim smukła, ciemnowłosa kobieta niezwykłej piękności. Cory zwrócił uwagę Torquala na miniaturowy sarkofag.

- Wiesz coś o tym? Kegan znalazł to pod schodami.

Torqual zmarszczył brwi na widok pudła.

- Nic o tym nie wiem.

- W jakimś bogatym domu w Rzymie taki przedmiot mógłby równie dobrze służyć jako ozdobna solniczka - zauważył Este.

- Mogła to być również kapliczka, dla czyjegoś ulubionego kota - zasugerował Galgus. - W Falu Ffail król Audry ubiera swoje spaniele w spodnie z purpurowego aksamitu.

- Zostawcie to - szorstko uciął Torqual. - Takich rzeczy lepiej nie ruszać. - Zwrócił się do kobiety. - Melanthe, to jest Cory z Falonges wraz ze swoimi towarzyszami. Zapomniałem ich imiona, ale ten jest Hunem, ten Rzymianinem, tamten Celtem, tam stoi Dahautczyk, a tamta kreatura, pół jastrząb, pół wilk, twierdzi, że pochodzi z Karpat. Co o nich myślisz? Nie bój się mówić szczerze!

- Ci ludzie mnie nie interesują. - Melanthe usiadła przy najdalszym krańcu stołu i zaczęła wpatrywać się w ogień.

- Voner! Co widzisz? - wyszeptał Travec.

- W tej kobiecie jest zieleń. Smużka jej dotyka, ale jest tak cienka, że nie jestem w stanie jej śledzić.

- Co to znaczy? Czy ta kobieta jest źródłem?

- Jest oprawą.

Travec przyglądał się jej przez chwilę. Uniosła głowę i rozejrzała się dookoła ze ściągniętymi brwiami. Travec odwrócił wzrok.

- Co teraz? - szepnął. - Czy wyczuła moją obecność?

- Jest niespokojna, ale nie wie dlaczego. Nie patrz na nią.

- Dlaczego nie? - wymruczał Travec. - Wszyscy to robią. Jest najpiękniejszą kobietą na świecie.

- Nie rozumiem takich sformułowań.

Wkrótce Melanthe opuściła komnatę. Torqual i Cory rozmawiali w odległym kącie przez pół godziny, po czym Torqual również wyszedł.

- Co teraz? - zapytał Galgus. - Jest jeszcze za wcześnie na sen, a wino jest podle. Czy ktoś chce zagrać w kości?

Este podszedł do stołu i zajrzał do cedrowego pudła.

- Zapytam raczej, kto podniesie wieko tego miniaturowego sarkofagu, żeby zobaczyć, co jest w środku.

- Nie ja - powiedział Galgus.

- Nie dotykaj tego - ostrzegwał Hun Izmael. - Ściągniesz klątwę na nas wszystkich.

- Wcale nie - powiedział Este. - To jest najwyraźniej makabryczny żart w formie drogocennego pudełka i równie dobrze może być pełen szafirów i szmaragdów.

Kegan zainteresował się sprawą.

- To rozsądne. Może tylko szybko rzucę okiem, żeby się upewnić.

Galgus spojrzał w stronę Traveca.

- A co mówisz do siebie tym razem, Travec?

- Rzucam czar przeciwko magii zmarłych - powiedział Travec.

- Ależ to nic takiego! Spróbuj, Kegan! Tylko jedno spojrzenie, nic złego z tego nie może wyniknąć.

Długim, żółtym paznokciem Kegan uniósł kamienne wieko. Pochylił głowę, tak że jego wykrzywiony nos niemal wszedł w szczelinę i spojrzał do środka. Potem powoli się cofnął i opuścił wieko.

- Cóż więc, Keganie? Nie trzymaj nas w takim napięciu! Co zobaczyłeś? - zapytał rozkazującym tonem Cory.

- Nic.

- To po co cały ten popis?

- To niezła zabawka - powiedział Kegan. - Wezmę ją ze sobą i przytroczę do siodła, jako małą zdobycz.

Cory przyglądał mu się pytająco.

- Jak chcesz.

W południe następnego dnia dwa oddziały opuściły łąkę Neep i zjechały do Glen Dagach. W miejscu, gdzie wąwóz rozszerzał się i łączył z wrzosowiskiem, rozdzielili się. Cory, jego towarzysze i przewodnik, błądy wąskooki chudzielec o imieniu Idis, ruszyli na północ, aby przygotować zasadzkę. Torqual, ze swoimi trzydziestoma pięcioma wojownikami, pojechał dalej prosto na zachód, w kierunku Willow Wyngate. Przez dwie godziny czekali pod osłoną lasu, a o zmierzchu ruszyli dalej drogą. Przecięli niższe wrzosowisko i wkroczyli do doliny rzeki Wirl.

Jechali spokojnym tempem, tak że kiedy o świcie kształty zaczęły się stawać coraz wyraźniejsze, oddział był już w ogrodzie otaczającym zamek Green Willow. Przejechali statecznie całą drogę prowadzącą do zamku, ujętą w dwa równoległe szeregi wysokich topól.

Kiedy dotarli do zakrętu, zatrzymali się skonsternowani. Kilkunastu rycerzy na koniach i w zbrojach blokowało drogę kopiami gotowymi do boju.

Rycerze ruszyli do ataku. Bandyci zerwali się w popłochu do ucieczki, ale drugi oddział rycerzy zablokował drogę od tyłu. Teraz spomiędzy topól wyszli łucznicy, którzy raz po razie wysyłali w kierunku wyjących zbirów chmury strzał. Torqual natychmiast zawrócił konia w bok, popędził go w przerwę pomiędzy topolami i pochylony nisko w siodle pogalopował jak szalenciec przed siebie. Sir Minch, który dowodził oddziałem, wysłał za nim ludzi w pościg, z rozkazem tropienia go nawet na kraniec świata, jeśli to będzie konieczne. Ci nieliczni bandyci, którzy przeżyli atak, zostali na miejscu skazani na śmierć, aby oszczędzić trudu stawiania tak wielu szubienic. Uniesiono miecze i opuszczono je. Odpadły głowy i w tym samym czasie oddział Torquala oraz jego marzenia o imperium legły w gruzach.

Dziesięciu rycerzy ścigało Torquala do Glen Dagach, gdzie spuścił na nich głazy zabijając dwóch z nich. Kiedy pozostali dotarli do łąki Neep, zostali tam jedynie służebne kobiety i kilkoro małych dzieci. Torqual i Melanthe zdążyli ująć sekretną drogą w kierunku wyżej położonych wrzosowisk i turni na górze Sobh. Nie było sensu ich dalej ścigać, chociaż góra Sobh nie leżała na końcu świata.

V

W mieście Lyonesse panowało ożywienie. Z trzydniową wizytą przybywali król Milo, królowa Caudabil oraz księżę Brezante, a na ich cześć urządzono festyn.

Festyn wymyślił król Casmir po tym, jak rozwiały się jego nadzieje na korzystne wydanie Madouc za mąż. Jego entuzjazm związany z tą wizytą zdecydowanie ochłódł i nie palił się już tak bardzo do zabawiania swych gości podczas długich, ciągnących się bez końca bankietów, na których król Milo, niewiarygodny żarłok i pijak, oraz niewiele mu w tym ustępująca królowa Caudabil delektowałyby się kolejnymi daniami z wybornych mięs i opróżniali beczki najlepszych win z królewskich piwnic. Wobec tego król Casmir zarządził festyn, podczas którego miały się odbyć rozmaite gry i zawody na cześć królewskich gości: skok wzwyż, skok o tyczce, biegi, zapasy, rzucanie kamienną kulą, walka na kije na belce umieszczonej nad dziurą z błotem, którą miano również użyć do zawodów w przeciąganiu liny. Miały być tańce, orkiestra, a także walki byków, turniej łuczniczy oraz walki na kopie owinięte na końcach szmatami. Program został tak ułożony, aby król Milo i jego rodzina byli przez cały czas zajęci słuchaniem deklamacji, sędziowaniem zawodom, przyznawaniem nagród, oklaskiwaniem zwycięzców i pocieszaniem przegranych. We wszystkich tych wydarzeniach król Milo i królowa Caudabil mieli brać czynny udział, aby nie było już czasu na wystawne biesiady, podczas których król Milo mógłby zaprezentować swe kolosalne możliwości w picu wina. Tych dwoje, planował Casmir, będzie musiało zamiast tego zadowolić się pospieszными kolacjami, na które podana zostanie szynka na zimno, chleb, ser oraz flaszki mocnego piwa do przepłukania porządnego, choć niewystawnego posiłku.

Król Casmir był zadowolony z tak przebiegłego pomysłu. Zaoszczędzi sobie nie kończących się godzin straszliwej nudy, a co więcej - będzie miał na festynie okazję zademonstrować swoją łaskawość i szczodroblowość. Nie było sposobu na uniknięcie bankietu powitalnego oraz pożegnalnej kolacji, choć to pierwsze mogło zostać skrócone pod pretekstem umożliwienia wypoczynku gościom, zmęczonym po trudach podróży. Może z tym drugim uda się tak samo, pod podobnym pretekstem.

Od razu rozpoczęto przygotowania do festynu, tak aby szare miasto Lyonesse zamieniło w miejsce odpowiednie do wesółych zabaw. Na głównym

placu wzniesiono podium dla rodziny królewskiej, dookoła porozwieszano flagi i proporce. Z boku ustawiono dwa wielkie stelaże podtrzymujące olbrzymie beczki, które każdego ranka miały być napelniane piwem dla tych, którzy chcieliby wznieść toast na cześć króla Mila, króla Casmira lub obu naraz.

Wzdłuż Sfer Arct wyrosły stragany, na których miano sprzedawać kiełbaski, smażone ryby, wieprzowe kotlety, zapiekanki oraz pasztety. Każdy stragan miał być ozdobiony kolorowymi materiałami i kokardami, o to samo poproszono sklepikarzy handlujących wzdłuż alei.

O wyznaczonej godzinie król Milo, królowa Caudabil oraz księżę Brezante przybyli na zamek Haidion. Przed nimi jechało sześciu rycerzy w błyszczących galowych zbrojach, z czarnymi i fioletowymi proporcami furkoczącymi na kopiach. Orszak zamykało kolejnych podobnie odzianych sześciu rycerzy. W wielkim, ciężkim pojeździe, bardziej przypominającym wóz niż karocę, król Milo oraz królowa Caudabil siedzieli na tapicerowanym tapczanie pod zielonym baldachimem ozdobionym różnokolorowymi frędzlami. Zarówno Milo, jak i Caudabil byli grubi, siwowłosi, o okrągłych i pucłowatych twarzach i przypominali bardziej dwa stare, utuczone bażanty w drodze na targ niż władców starożytnego królestwa. Obok jechał księżę Brezante na olbrzymim, gniadym wałachu o szczególnie dużym i wysokim zadzie. Brezante, który był gruby i pękaty, usadowiony na tym wielkim zwierzęciu nie robił zbyt dobrego wrażenia. Nos wyrastał mu spod wąskiego, cofniętego do tyłu czoła, a kończył się nad mięsistymi ustami. Włosy miał czarne i rzadkie, zarówno na głowie, jak i na brodzie porośniętej niezbyt imponującym zarostem. Mimo to Brezante uważał się za romantycznego kawalera o szalonym wdzięku i strasznie się stroił. Miał na sobie kaftan z pomarańczowego adamaszku z pikowanymi, bufiastymi rękawami z czerwonego i czarnego materiału. Na głowie księcia tkwiła przekrzywiona na bakier śmieszna, czerwona, myśliwska czapka z doczepionym kruczym skrzydłem zamiast pióropusza.

Kolumna przejechała przez Sfer Arct. Dwunastu heroldów w szkarłatnych liberiach i obcisłych, żółtych pończochach stało po sześciu, po obu stronach drogi. Kiedy powóz ich mijał, przyłożyli rogi do ust i zagrali powitalną fanfarę.

Powóz skręcił ze Sfer Arct na plac Królewski i zatrzymał się przed zamkiem Haidion. Król Casmir, królowa Sollace i księżniczka Madouc czekali

na gości na tarasie. Casmir uniósł ramię w przyjacielskim pozdrowieniu. Milo odpowiedział na powitanie równie miło, tak samo Brezante, po uprzednim spojrzeniu w stronę Madouc. I tak zaczęła się królewska wizyta.

Mimo protestów Madouc, podczas wieczornego bankietu była zmuszona usiąść między księciem Brezante z lewej a Damarem, księciem z Lalanq, po prawej. Podczas posiłku wpatrywała się w stojącą na środku stołu tacę z owocami udając, że nie jest świadoma wbitego w nią przez cały czas spojrzenia czarnych oczu Brezante. Mówiła niewiele, odpowiadając na głupie uwagi Brezante monosylabami, co doprowadziło do tego, że książę w końcu zrobił ponurą minę i zaczął rzucać groźne spojrzenia, na które Madouc pozostała równie obojętna. Kątem oka zauważyła, że królowa Sollace i król Casmir ostentacyjnie ignorowali jej zachowanie. Najwyraźniej pogodzili się z jej punktem widzenia i w końcu, taką miała przynajmniej nadzieję, zostawili ją w spokoju.

Tryumf Madouc nie trwał długo. Następnego ranka obie rodziny królewskie udały się do pawilonu na placu Królewskim, skąd miały się przyglądać rozpoczęciu zawodów. Raz jeszcze wyjaśnienia Madouc, że wolałyby nie iść z nimi, spełżyły na niczym. Pani Vosse powołując się na królową Sollace zdecydowanie oświadczyła, że Madouc musi wziąć udział w uroczystościach. Rozdrażniona i z nachmurzoną miną księżniczka pomaszerowała do pawilonu i usadowiła się obok królowej, na krzesle przeznaczonym dla króla Mila, tak że Milo musiał usiąść z drugiej strony królowej, a dla Brezante zostało miejsce na samym końcu podium obok króla Casmira. I znowu Madouc była zadowolona, choć może nieco zbity z tropu zupełnym brakiem reakcji na jej nieznośne zachowanie ze strony króla Casmira i królowej Sollace. Cóż takiego wisiało w powietrzu, dlaczego zachowywali się tak powściągliwie?

Na odpowiedź na to pytanie nie trzeba było długo czekać. Zaraz potem jak rodziny królewskie zajęły swoje miejsca, pierwszy herold Spargoy wszedł na podium i odwrócił się w stronę tłumów wypełniających plac. Dwóch młodych heroldów zgrało fanfarę znaną jako „Wszyscy Uwaga!” i na placu Królewskim zapanowała cisza.

Spargoy odwinął zwój.

- Przeczytam dokładnie słowa proklamacji wydanej dzisiaj przez Jego Królewską Mość króla Casmira. Słuchajcie z uwagą tych słów. - Spargoy

rozpostarł pergamin i zaczął czytać:

- „Ja, król Casmir, władca Lyonesse oraz wszystkich podległych prowincji, ogłaszam co następuje:

W mieście Lyonesse powstaje wspaniała świątynia, katedra Najświętszej Sollace, która zasłynie na całym świecie ze swego bogatego wystroju. Żeby zaś mogła właściwie pełnić swoją funkcję, powinna zostać wzbogacona przedmiotami, które uznawane są za święte i godne czci, czyli rzadkimi i drogocennymi relikwiami lub innymi przedmiotami związanymi w przeszłości z wiarą chrześcijańską.

Powiedziano nam, że są to przedmioty święte i godne posiadania, dlatego też jesteśmy gotowi okazać królewską wdzięczność tym osobom, które dostarczą nam prawdziwe i święte relikwie, abyśmy mogli uczynić naszą katedrę najświetniejszą spośród wszystkich.

Nasza wdzięczność zależy od autentyczności relikwii. Dostarczenie fałszywego przedmiotu nie tylko będzie przyczyną królewskiego niezadowolenia, ale doprowadzi do wytoczenia procesu przeciwko bezbożnikowi! Wszyscy więc, których kusi oszustwo, strzeżcie się!

Szczególnie ucieszą nas krzyż świętego Elryka, talizman świętej Uldyny, Święty Gwóźdź oraz najcenniejszy z nich wszystkich, kielich znany jako Święty Graal. Nagroda równa będzie tymże relikwiom. Ten, kto przyniesie nam Świętego Graala, będzie mógł prosić o taką nagrodę, jakiej tylko zapragnie, w tym również o najcenniejszy skarb naszego królestwa, czyli o rękę księżniczki Madouc. Jeśli zaś nikt nie znajdzie Świętego Graala, ten kto dostarczy nam relikwie najświętsze i drogocenne, będzie mógł dostać czego żąda, w tym również naszą zgodę na małżeństwo z naszą piękną i czarującą księżniczką Madouc, co nastąpi po właściwych i uroczystych zaręczynach.

Zwracam się z tym wezwaniem do wszystkich, którzy mają uszy, aby słuchać, i siły, aby wyruszyć na takie poszukiwanie. Nikt nie zostanie odprawiony z powodu pochodzenia, wieku lub rangi. Niech wszystkie odważne i przedsiębiorcze osoby wyruszą na poszukiwanie Świętego Graala lub innych świętych przedmiotów, dla chwały katedry Najświętszej Sollace.

To mówię ja, król Casmir z Lyonesse, a moje słowa niech dotrą do wszystkich uszu!”

Zagrały rogi. Sir Spargoy zwinął rulon i odszedł.

Madouc słuchała ze zdumieniem. Co to znowu za nonsens?

Czy jej imię i cielesne przymioty lub też ich brak muszą być rozgłaszane publicznie, roztrząsane przez każdego pazernego rycerza, rzeźmieszka, idiotę, pacholka i butnego włóczęgę w całym królestwie i poza nim? Zanie-mówiła słysząc, kogo dotyczy edykt. Siedziała sztywno i nieruchomo, jednak cały czas była świadoma licznych oczu, które bacznie się jej przyglądały. Skandal i zniewaga! - pomyślała. Dlaczego się ze mną nie skonsultowano?

Sir Spargoy tymczasem powitał króla Mila i królową Caudabil, których przedstawił jako patrona i patronkę festynu, sędziów wszystkich zawodów oraz dysponentów nagród. Po tej informacji zarówno król Milo, jak i królo-wa Caudabil poruszyli się niespokojnie na swoich miejscach.

Rozpoczęły się zawody. Król Casmir obserwował je przez kilka chwil, po czym dyskretnie opuścił pawilon schodami, które prowadziły na taras. Po chwili udał się za nim książę Brezante. Madouc, gdy zauważyła, że nie zwra-cano na nią żadnej uwagi, zrobiła to samo. Na tarasie zastała księcia Bre-zante. Stał oparty o balustradę i przyglądał się zawodom na placu.

Brezante zdążył się już dowiedzieć o tym, że Madouc odmówiła zostania jego małżonką. Odezwał się do niej z subtelną złośliwością w głosie:

- Cóż to, księżniczko? Wygląda na to, że jednak zostaniesz wydana za mąż! Gratuluję ci tego nieznanego zwycięzcy, kimkolwiek by on był. Bę-dziesz odtąd żyła w słodkiej niepewności. No i jak? Mam rację?

- Panie, mylisz się całkowicie - odparła słodkim głosem Madouc.

Brezante cofnął się i uniósł wysoko brwi.

- Czyżbyś nie była podekscytowana na myśl o tak wielu osobach, za-równo szacownych rycerzach, jak i pastuchach bydła, którzy udadzą się na poszukiwania, aby móc pojąć cię za żonę?

- Martwię się tylko, że tak wielu ludzi będzie się starało na próżno.

- Cóż ma znaczyć ta uwaga? - zapytał zbity z tropu Brezante.

- Znaczy to, co znaczy.

- Hm! - mruknął Brezante. - Wyczuwam w tym jakąś dwuznaczność.

Madouc wzruszyła ramionami i odwróciła się. Upewniwszy się, że Bre-zante nie chce iść za nią, obiegała zamek, dostała się na krążanki i stamtąd

do oranżerii. Schowała się w najdalszym końcu, wyciągnęła się na słońcu i zajęła się żuciem trawy.

W końcu usiadła. Trudno było myśleć o tak wielu sprawach na raz i podjąć tak wiele decyzji w jednej chwili.

Najpierw to, co najważniejsze. Wstała i otrzepała trawę z sukienki. Wróciła do zamku i udała się do apartamentów królowej. Sollace również wyszła z pawilonu, przepaszając gości i tłumacząc się ważną rozmową. Udała się do swojego salonu, gdzie ucięła sobie drzemkę. Kiedy weszła Madouc, królowa zaczęła się rozglądać na wszystkie strony mrugając oczami pomiędzy poduszek.

- O co chodzi tym razem?

- Wasza Królewska Mość, niepokoi mnie proklamacja króla.

Królowa Sollace była jeszcze nieco senna i myślała ociężale.

- Nie rozumiem, co cię tak niepokoi. Każda wielka katedra jest znana ze swoich relikwii.

- Może i tak. Mam jednak nadzieję, że przedyskutujesz to z królem, tak by moja ręka nie była jedną z nagród, o które można się starać. Nie chciałybym, aby mnie traktowano jak czyjeś stare buty, zęby lub inne takie dziwactwa.

- Nie mam władzy, aby wprowadzić taką zmianę - rzekła wyniośle Sollace. - Król dokładnie rozważył swoją decyzję.

Madouc naburmuszyła się.

- Powinien się przynajmniej ze mną skonsultować. Nie interesuje mnie małżeństwo. W jakiś sposób wydaje mi się ono wulgarnie i nieprzyzwoite.

Królowa Sollace uniosła się z poduszek.

- Jak dobrze wiesz, jestem małżonką Jego Królewskiej Mości. Czy uważasz, że jestem „wulgarna i nieprzyzwoita”?

Księżniczka ściągnęła usta.

- Mogę tylko podejrzewać, że jako królowa nie podlegasz takim ocenom. Tyle się przynajmniej domyślam.

Sollace nieco rozbawiona opadła ponownie na poduszki.

- W swoim czasie lepiej zrozumiesz te sprawy.

- Pomijając to wszystko - krzyknęła Madouc - nie do pomyślenia jest, żebym poślubiła jakiegoś obdartusa tylko dlatego, że przyniesie ci gwóźdź! Wszyscy dobrze wiemy, że równie dobrze może go znaleźć za stodołą.

- Wielce nieprawdopodobne! Żaden oszust nie odważyłby się na popełnienie takiego przestępstwa. Ojciec Umphred powiedział mi, że w piekle znajduje się specjalne miejsce dla takich, którzy fałszują relikwie. W każdym

razie musimy zaryzykować.

- Ba - burknęła Madouc. - Ten plan jest absurdalny.

Królowa znowu się uniosła.

- Nie usłyszałam, co mówiłaś.

- To nieistotne.

Królowa statecznie skinęła głową.

- Jakkolwiek by było, musisz bez oporów zastosować się do rozkazów króla.

- Tak, Wasza Królewska Mość - powiedziała nagle z wielkim przekonaniem Madouc. - Zrobię to. Proszę mi teraz wybaczyć, muszę zacząć przygotowania.

Dygnęła, odwróciła się i wyszła z komnaty. Sollace spoglądała za nią zdziwiona.

- Co ona rozumie przez „przygotowania”? Do ślubu ma jeszcze wiele czasu. Jak też ona chce się do niego przygotować?

VI

Madouc żwawo, niemal truchtem, przebiegła przez główną galerię, pomiędzy posągami starożytnych herosów, urnami wyższymi niż ona sama, alkowami, w których stały zdobione stoły i krzesła z wysokimi oparciami. Co kawałek stali tam zbrojni strażnicy w szkarłatno-złotych liberiach Hadionu z halabardami opuszczonymi do pozycji „spocznij”.

Przed wysokimi, wąskimi drzwiami Madouc nagle się zatrzymała. Zawahała się, po czym popychając je lekko zajrzała przez szczelinę do długiej, ciemnej komnaty, rozświetlonej jedynie szeregiem wąskich okien na przeciwległej ścianie. Była to zamkowa biblioteka. Smuga światła padała przez okno na stół. Siedział tam bibliotekarz Kerce, mężczyzna posunięty w latach, choć nadal wysoki i wyprostowany, ó delikatnych ustach i marzycielskim czole, lecz dość surowej twarzy. Madouc niewiele o nim słyszała, może tylko to, że był synem irlandzkiego druida, a sam parał się poezją.

Kerce rzucił tylko krótkie spojrzenie w stronę drzwi i powrócił do swych zajęć. Madouc powoli weszła do komnaty. Powietrze przesycone było aromatem starego drewna, wosku, oleju lawendowego i słodkiego zaduchu dobrze wyprawionej skóry. Na stołach po prawej i lewej stronie leżały wielkie księgi, długie nawet do dwóch lub trzech stóp i grube na parę cali,

oprawione w miękką skórę lub ciężki czarny filc. Półki zapchane były zwojami, pergaminami w cedrowych pudełkach, papierami poskładanymi w sterty, książkami oprawionymi umiejętnie w deski z bukowego drewna.

Podeszła do Kerce'a, krok za krokiem, bardzo powoli. W końcu wyprostował się na krześle i przyjrzał się jej, nieco niepewnie, bowiem wieści o reputacji Madouc dotarły również do najdalszych kątów przepastnej biblioteki. Zatrzymała się przy stole i spojrzała na manuskrypt, nad którym pracował Kerce.

- Co robisz? - zapytała.

Kerce krytycznie przyjrzał się pergaminowi.

- Dwieście lat temu jakiś bezimienny prostak pokrył tę stronę pastą ze sproszkowanej kredy, kwaśnego mleka i kleju roślinnego. Potem próbował zapisać *Odę poranną* Merosthenesa, którą ten napisał dla nimfy Laloe po tym, jak zastał ją w swoim ogrodzie zrywającą granaty. Prostak skopiował to topornie i jak widzisz, jego litery przypominają raczej ptasie bobki. Ścieram jego gryzmoły i rozpuszczam tę paskudną zaprawę, ostrożnie, ponieważ pod spodem może być nawet pięć kolejnych warstw, pełnych jeszcze starszych i bardziej ekscytujących tajemnic. Chyba że, ku memu żalowi, znajdę więcej takich samych głupot. Muszę jednak zbadać każdą warstwę. Kto wie? Może odkryję któryś z zaginionych kanonów Jirolama. Tak oto się sprawa przedstawia. Jestem badaczem starożytnych tajemnic. To moje zajęcie i moja wielka przygoda.

Księżniczka przyjrzała się manuskryptowi z nowym zainteresowaniem.

- Nie miałam pojęcia, że prowadzisz tak ekscytujące życie!

- Jestem nieugięty i przyjmuję wszystkie wyzwania! - odparł grobowym głosem Kerce. - Zdrapuję te warstwy z delikatnością, z jaką lekarz wycina czyraka rozniewanemu królowi! Mam sprawne ręce i dobre narzędzia! Popatrz, oto lojalni towarzysze: szcotka z borsuczego włosa, wierny olej ze skorupiaków, obsydianowe ostrze i niebezpieczne igły z kości, a także godne zaufania ściereczki! To moi paladyni, którzy wiernie i dobrze mi służą! Odbyliśmy razem wiele podróży i zwiedziliśmy nieznanne lądy!

- I zawsze wracaliście cali i zdrowi!

Kerce spojrzał na nią trochę zakłopotany, z jedną brwią uniesioną trochę wyżej i wygiętą w spiczasty łuk.

- Zastanawiam się, co chcesz przez to powiedzieć.

Madouc zaśmiała się.

- Jesteś dzisiaj drugą osobą, która mnie o to pyta.

- I jak odpowiedziałaś?

- Powiedziałam mu, że moje słowa znaczą to, co znaczą.

- Dziwne myśli przychodzą ci do głowy, jak na tak młodą osobę. - Kerce odwrócił się do niej całym ciałem i zainteresował się wreszcie jej obecnością. - I cóż cię tu sprowadza? Kaprys czy przeznaczenie?

- Chciałam ci zadać pytanie, na które, mam nadzieję, będziesz mógł mi odpowiedzieć - powiedziała poważnie Madouc.

- Pytaj. Podzielę się z tobą moją wiedzą.

- Ostatnio w Haidionie dużo mówiono o relikwiach. Zaciekawilo mnie to, co nazywają Świętym Graalem. Czy taka rzecz naprawdę istnieje? Jeśli tak, to jak wygląda i gdzie ją można znaleźć?

- Na temat Świętego Graala wiem niewiele - odparł Kerce. - Znam wiele religii, ale nie przykładam większej uwagi do żadnej z nich. Graal jest ponoć kielichem, z którego pił Jezus Chrystus podczas ostatniej kolacji ze swymi uczniami. Kielich ów dostał się w ręce Józefa z Arymatei, który podobno zebrał do niego krew z ran ukrzyżowanego Chrystusa. Następnie Józef wędrował po świecie, aż w końcu trafił do Irlandii, w okolice Galway, gdzie zostawił Graala w kaplicy na wyspie Inchnagoill na jeziorze Corrib. Banda rozszierzonych Celtów zagroziła kaplicy i mnich o imieniu Sisembert zabrał kielich na wyspy Elder. Przekazy na temat dalszych jego losów są sprzeczne. Według jednego, kielich jest zakopany w kryptach na wyspie Weamish. Inny donosi, że kiedy ojciec Sisembert wędrował przez puszcę Tantrevalles, spotkał tam strasznego ogra, który okropnie się z nim obszedł twierdząc, że ojciec Sisembert nie był wystarczająco grzeczny. Jedną z głów ogra wypila krew Sisemberta, druga zjadła jego wątrobę. Trzecią głowę bolał ząb, więc z braku apetytu zrobiła sobie kości do gry z kłykci Sisemberta. Ale może to tylko następna opowieść do słuchania przy kominku w długie, zimowe wieczory.

- A kto może znać prawdę?

Kerce w zamyśleniu machnął ręką.

- A któż to wie? Może to wszystko nie jest niczym więcej jak legendą. Wielu rycerzy szukało Graala po wszystkich zakątkach chrześcijańskiego świata, wielu w tych poszukiwaniach trafiło na wyspy Elder. Niektórzy

odjechali z pustymi rękami. Inni zginęli w walce lub od złych zaklęć. Niektórzy zniknęli i słuch po nich zaginął. Prawdę mówiąc, to poszukiwanie Graala jest śmiertelnie niebezpieczne.

- Dlaczego? Czyżby ktoś aż tak zazdrośnie go pilnował?

- Na to nic potrafię odpowiedzieć. Nigdy też nie zapomnij, że to wszystko może się okazać jedynie poszukiwaniem jakiegoś pięknego snu.

- Wierzysz w to?

- Nie hołduję żadnym wierzeniom związanym z tą sprawą, a także żadnymi innymi. Dlaczego cię to tak interesuje?

- Królowa Sollace chce ozdobić swą nową katedrę Świętym Graalem. Doszło do tego, że temu, kto przyniesie ten przedmiot, zaofiarowano moją rękę. Nie muszę wspominać, że moich życzeń wcale nie wzięto pod uwagę.

Kerce głucho zachichotał!

- Zaczynam rozumieć, dlaczego cię to tak interesuje!

- Gdybym to ja znalazła Graala, byłabym wolna od takich uciążliwości.

- Zapewne, ale Graal może wcale nie istnieć.

- W takim razie królowa dostanie fałszywego Graala. Ona się na tym nie pozna.

- Ale ja bym się poznał - powiedział Kerce. - I podstęp by ci się nie udał. Zapewniam cię!

Madouc spojrzała na niego spode łba.

- Jak możesz być tego taki pewien?

Kerce ściągnął usta, jak gdyby powiedział więcej, niż zamierzał.

- To tajemnica. Podzielę się nią z tobą, ale jeśli zatrzymasz ją tylko dla siebie.

- Obiecuję.

Kerce wstał i podszedł do szafy. Wyciągnął teczkę i wyjął z niej rysunek, który położył na stole. Widniał na nim jasnoniebieski kielich na dużej podstawie, wysoki na osiem cali, z uchwytemi po obu stronach, trochę nieregularny. Dookoła górnego brzegu ciągnął się ciemnogrnatowy pasek. Na podstawie był pasek w takim samym kolorze.

- Oto wizerunek Graala. Przysłano go z Irlandii do klasztoru na wyspie Weamish dawno temu, a potem uratował go z rąk Gotów jeden z mnichów. To wierny rysunek, dokładnie przedstawiający rysę na podstawie i różną długość uchwytów.

Kerce wsadził z powrotem rysunek do teczki i schował do szafy.

- Teraz poznałaś już wszystko, co można wiedzieć o Graalu. Wolałbym, aby ten rysunek pozostał tajemnicą, z wielu powodów.

- Nic nie powiem - obiecała Madouc. - Chyba że królowa będzie próbowała wydać mnie za kogoś, kto przyniesie fałszywego Graala. Dopiero wtedy, jeśli wszystko inne zawiedzie...

Kerce machnął ręką.

- Nic więcej nie mów. Zrobię dokładną kopię tego rysunku, którą będzie można użyć do porównań, jeśli będzie to konieczne.

Księżniczka wyszła z biblioteki. Starając się, aby jej nikt nie zauważył, poszła do stajni. Sir Pom-Poma nigdzie nie było widać. Madouc zajrzała do Tyfera i podrapała go po nosie, po czym wróciła do zamku.

W południe zjadła posiłek razem ze swoimi sześcioma pannami do towarzystwa. Były tego dnia nadzwyczaj gadatliwe, jako że było wiele do omówienia. Proklamacja króla Casmira była tematem przewodnim. Elissia zauważyła, może nawet szczerze, że Madouc będzie teraz sławną osobą, której imię będzie znane w przyszłości przez setki lat.

- Pomyślcie tylko! - westchnęła. - Oto najprawdziwszy romans! Będą powstawały legendy o tym, jak dzielni rycerze ze wszystkich stron świata walczyli z mrozem, ogniem, smokami i trollami. Jak zmagali się z szalonymi Celtami i wściekłymi Gotami, a wszystko z miłości do pięknej, rudowłosej księżniczki!

- Moje włosy nie są dokładnie rude - poprawiła ją Madouc. - To nietypowy kolor, jakby miedź rozjaśniona złotem.

- Mimo to dla potrzeb legendy zostaniesz piękną i rudowłosą, bez względu na prawdę - stwierdziła Chlodys.

- Na razie nie możemy być pewne, czy taka legenda w ogóle powstanie - zauważyła Devonet.

- Dlaczego? - zapytała Ydraint.

- Wiele zależy od okoliczności. Przyjmijmy, że jakiś szlachetny i przystöjny rycerz przyniesie Świętego Graala królowej Sollace. Król Casmir zapyta go, jakiej nagrody żąda. Dopiero wtedy wszystko się rozstrzygnie. Jeśli on zdecyduje, że nie ma chętki na małżeństwo, mógłby poprosić króla

o dobrego konia i dwa psy myśliwskie, co oczywiście nie za bardzo nadaje się na legendę.

- To ryzykowna sytuacja - powiedziała bystro Chlodys.

- Jeszcze jedno! - odezwała się Felice. - Tylko najlepsza relikwia zasłużyła na taką nagrodę. Może się jednak zdarzyć, że po wielkim wysiłku i dalekich poszukiwaniach to, co dostanie królowa, okaże się powiedzmy, włosem z ogona lwa, który pożarł świętą Milisję na rzymskiej arenie. Dość kiepska zdobycz, ale Madouc i tak będzie musiała poślubić tego włóczęgę, który to dostarczy.

Madouc potrząsnęła głową.

- Nie jestem taka zgodna, jak myślicie.

- Poradzę ci coś! - powiedziała z niepokojem Devonet. - Bądź posłuszną, skromną i zgodną. Z wdziękiem wypełniaj królewskie rozkazy. To nie tylko twój obowiązek, to również rozważa. Oto moja dobra rada! Naturalnie, zrobisz to, co uznasz za słuszne!

Księżniczka słuchała jej bez większego zainteresowania.

- Jeszcze jedno! Król oświadczył, że jeśli będziesz oporna i nieugięta lub będziesz chciała uniknąć tego małżeństwa, po prostu odda cię w niewolę.

Chlodys spojrzała na Madouc, która ze stoickim spokojem jadła pudding z rodzynkami.

- I co ty na to?

- Nic.

- Ale co zrobisz?

- Zobaczą.

VII

Drugiego dnia festynu król Milo i królowa Caudabil zostali obudzeni bardzo wcześnie. Pospiesznie zjedli nader skromne śniadanie złożone z twarogu i kaszy, tak by mogli zdążyć na oficjalne rozpoczęcie zawodów w przeciąganiu liny pomiędzy członkami gildii handlarzy rybami, a członkami cechu kamieniarzy.

Madouc również wstała wcześnie, zanim pani Vosse zdążyła jej przekazać życzenia królowej Sollace.

Poszła prosto do stajni. Tego pięknego, świeżego poranka sir Pom-Pom czyścił końskie boksy.

- Sir Pom-Pomie! - zawołała. - Wyjdź na zewnątrz, jeśli łaska, bo tu powietrze tak nie śmierdzi!

- Musisz zaczekać na swoją kolej - odparł sir Pom-Pom. - Taczki są pełne i muszę je dotoczyć do dołu z gnojówką. Potem będę mógł porozmawiać z tobą chwilę lub dwie.

Księżniczka ściągnęła usta, ale czekała w milczeniu. Sir Pom-Pom z celową pedanterią odstawił taczki i wyszedł na dziedziniec przed stajnią.

- Jakiegokolwiek by były twoje zachcianki, możesz więcej nie liczyć na to, że wezmę w nich udział - powiedział sir Pom-Pom.

- Zachowujesz się podle i grubiańsko! - odparła ostro Madouc. - Nie chciałabym myśleć, że jesteś prostakiem. Dlaczego mówisz do mnie w ten sposób?

Sir Pom-Pom roześmiał się chrapliwie.

- Ha! To dość proste. Nie słyszałaś królewskiej proklamacji?

- Istotnie, słyszałam.

- Ja również je słyszałem. Jutro rzucę stanowisko królewskiego chłopca stajennego i lokaja księżniczki, a następnego dnia udam się na poszukiwania Świętego Graala lub jakiejś innej relikwii, która wpadnie mi w ręce. To może być moja życiowa szansa.

Madouc wolno skinęła głową.

- Rozumiem twoje pragnienia. Ale czy to nie smutne, że musisz porzucić taką dobrą i bezpieczną pracę tylko po to, aby gonić wiatr w polu? Dla mnie to czysta nieodpowiedzialność i głupota.

- Tak to może wyglądać - przyznał sir Pom-Pom. - Rzadko jednak trafia się sposobność zostać sławnym i bogatym. Takie okazje trzeba chwycić, gdy się tylko pojawiają.

- Chyba tak. Mogłabym ci jednak pomóc zatrzymać jedno i zdobyć drugie, gdybyś tylko zaczął się zachowywać nieco grzeczniej.

Sir Pom-Pom rozejrzał się dookoła z zainteresowaniem.

- Jak to i do jakiego stopnia?

- Musisz przysiąc, że utrzymasz w tajemnicy to, co ci teraz powiem.

- Hm... Czy przez tę tajemnicę wpakuję się w jakieś kłopoty?

- Myślę, że nie.

- Bardzo dobrze. Będę trzymał język za zębami. Robiłem to już poprzednio, myślę więc, że uda mi się i tym razem.

- Słuchaj więc! Król rozkazał mi wyruszyć na poszukiwanie mojego rodowodu, i to bez ociągania. Przysnaję, był trochę wzburzony, kiedy to mówił, ale jego rozkazy były jednoznaczne. Mówił również o odpowiedniej eskorcie, dlatego też rozkazuję ci, abyś podjął się tego obowiązku. Jeśli będziesz mi posłuszny, utrzymasz swoje stanowisko i nadal będziesz mógł szukać Świętego Graala.

Sir Pom-Pom zmrużył oczy w promieniach słońca.

- Propozycja z pozoru wydaje się rozsądna. Co się jednak stanie, kiedy nasze poszukiwania poprowadzą w różnych kierunkach?

- Dlaczego martwić się na zapas? Nie możemy przecież przewidzieć każdego kichnięcia losu, i to jeszcze przed rozpoczęciem przygotowań do podróży.

Sir Pom-Pom zmarszczył brwi. Na jego twarzy wciąż widniał upór.

- Nadal sądzę, że powinniśmy ułożyć jakiś wspólny plan.

- Najprawdopodobniej taki problem nigdy się nie pojawi - powiedziała Madouc. - Jeśli jednak tak się stanie, rozwiążemy go wtedy, kiedy zajdzie taka potrzeba.

- Biorąc wszystko pod uwagę czułbym się pewniej, gdybym dostał jednoznaczny rozkaz od samego króla - wciąż wzbraniał się sir Pom-Pom.

Dziewczyna zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Pozwolono mi jechać nie narzucając żadnych ograniczeń. To wystarczy. Nie chcę wracać do tej rozmowy i ryzykować, że ktoś się rozmyśli.

Sir Pom-Pom rzucił jej przez ramię pełne powątpiewania spojrzenie.

- Prawdą jest, że otrzymałem rozkaz, aby towarzyszyć ci w twoich przejażdżkach, i nie został on nigdy odwołany. Jeśli chciałbym utrzymać moją pracę, to powinienem, zgodnie z poleceniem króla, pojechać za tobą i służyć ci w miarę moich sił. Kiedy pragniesz wyruszyć?

- Jutro rano.

- To niemożliwe! Jest już późno, nie zdążę się właściwie przygotować.

- Dobrze więc. Wyruszymy pojutrze rano, pół godziny po wschodzie słońca. Niech Tyfer czeka na mnie osiodłany, weź również konia dla siebie.

- Jeszcze jedno - dodał sir Pom-Pom. - Musimy to dobrze przemyśleć. Twierdzisz, że Jego Królewska Mość pozwolił ci wyruszyć na tę wyprawę, ale

czy jest możliwe, że zrobił to bez zastanowienia albo że zmienił zdanie?

- Wszystko jest możliwe - powiedziała wyniośle. - Nie mogę się przejmować każdym obrotem kurka na dachu.

- Co będzie, jeśli on nagle odkryje, że jego ukochana Madouc zniknęła i wysłał za nią rycerzy oraz heroldów, aby ją sprowadzili z powrotem? Łatwo by cię znaleźli, gdybyś jechała na tym cętkowanym kucu, z drogiem siodłem i uprzężą z frędzlami. Nie, księżniczko! Musimy pojechać jak zwykle wiejskie dzieci; nasze konie nie mogą przyciągać niczyjej uwagi. W przeciwnym wypadku wrócimy w niełasce do domu wcześniej, niż zdążymy dotrzeć do Frogmarsh.

Madouc próbowała oponować twierdząc, że Tyfer ze swoją cętkowaną sierścią łatwo będzie się zlewał z szarym i cieniastym krajobrazem, przez co pozostanie nie zauważony, ale sir Pom-Pom nie chciał nic o tym słyszeć.

- Wybiorę właściwe wierzchowce. Nie musisz się więcej tym przejmować.

- Jeśli tak trzeba, nic na to nie poradzę - powiedziała. - Musisz jednak zapakować sakwy. Włóżysz do nich chleb, ser, suszone ryby, rodzynki, oliwki i wino. Znajdziesz je w królewskiej spiżarni, do której dostaniesz się przez tylne okno, w czym jesteś od dawna wprawiony. Weź jakąś broń, przynajmniej nóż do sera i siekiere do cięcia drewna. Masz jeszcze jakieś pytania?

- Co z pieniędzmi? Nie możemy pojechać bez srebra.

- Wezmę trzy złote monety. To powinno nam wystarczyć.

- Powinno, jeśli będziemy w stanie je wydać.

- Te są dobre, nie oberżnięte monety z miękkiego i złotego złota, mimo że dostałam je od Shimroda.

- Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Ale jak wydasz takie monety? Kupując snopek siana dla koni? Albo talerz fasoli na kolację? Kto nam z tego wyda resztę? Równie dobrze ktoś mógłby nas wziąć za złodziei i trafilibyśmy do najbliższego lochu.

Madouc rozejrzała się po dziedzińcu.

- Nie zastanawiałam się nad tym. Co powinniśmy zrobić?

Sir Pom-Pom zrobił mądrą minę.

- Na szczęście wiem, jak sobie poradzić z tym problemem. Przynies te trzy złote monety najszybciej jak to tylko możliwe.

- Och? - Madouc uniosła brwi ze zdziwienia. - A co potem?

- Tak się składa, że potrzebuję butów ze sprzączkami, mocnych i wygodnych, wyciętych pod kolanem według ostatniej mody. Zapłacę za nie

złotą monetą. Szewc będzie mi musiał wydać w srebrze i miedziakach, które potem będziemy mogli wydawać, kiedy zajdzie potrzeba. Spojrzała na trzewiki, które miał na nogach sir Pom-Pom.

- Wydaje się, że jesteś właściwie obuty.
- Skoro mamy jechać za granicę, to musimy wyglądać godnie.
- A ile kosztują te nowe, eleganckie buty?
- Srebrnego florena! - burknął sir Pom-Pom z wyrzutem. - Czy to naprawdę tak wiele, kiedy wymaga się zarówno stylu, jak i jakości?

Madouc westchnęła.

- Przypuszczam, że nie. Co z pozostałymi dwoma monetami?
- Nie obawiaj się! Już ja coś wymyślę! Ale musisz przynieść mi zaraz tę złotą monetę, abym mógł zacząć się targować.
- Jak chcesz, ale dobrze się postaraj. Musimy opuścić Haidion, zanim stanie się coś takiego, co pokrzyżuje nasze plany.

Sir Pom-Pom, nadal pełen wątpliwości co do tej wyprawy rozejrzał się dookoła.

- Dokąd się udamy?
- Pojedziemy najpierw do Thripsey Shee, gdzie muszę porozmawiać z moją matką.

Sir Pom-Pom skinął głową.

- Ona mogłaby nawet wiedzieć coś o Świętym Graalu.
- To możliwe.
- Dobrze więc! - oświadczył sir Pom-Pom z nagłym entuzjazmem. - Ja nie ignoruję głosu przeznaczenia.

- Odważne słowa, sir Pom-Pomie! Ja myślę podobnie.

Sir Pom-Pom spojrział na nią z podstępny, acz żartobliwym uśmiechem na ustach.

- Jeśli zasłużę na nagrodę, będę mógł poślubić księżniczkę!

Madouc ściągnęła usta, żeby się nie uśmiechnąć.

- Tego jeszcze nie wiadomo. Ale z pewnością zostałbyś przyjęty na dworze i mógłbyś sobie wybrać żonę spośród moich panien do towarzystwa.

- Najpierw muszę znaleźć Świętego Graala - powiedział sir Pom-Pom. - Potem sam wybiorę. Na razie jednak przynieś tę złotą monetę, a ja wrócę do swoich zajęć.

Pobiegła do swojej komnaty. Wyciągnęła trzy złote monety ze schowka pod łóżkiem i zanosła je do stajni. Sir Pom-Pom oszacował ich wagę, obejrział z obu stron, nadgryzł każdą i dopiero wtedy był zadowolony.

- Teraz muszę pobiec do miasta po moje buty. Kiedy będziesz gotowa, przebierz się za wieśniaczkę. Nie możesz wyjechać w taką podróż jako dumna księżniczka Madouc. To zbyt niebezpieczne.

- Dobrze! Spotkam się z tobą o wyznaczonej godzinie. Uważaj, żeby cię nie złapano w spizarni!

Kiedy wróciła do swojej komnaty, zastała tam panią Vosse.

- Gdzie byłaś? - usłyszała. - Czy nie masz zupełnie poczucia obowiązku? Madouc spoglądała na nią z niewinną miną na twarzy.

- Co zrobiłam tym razem? - zapytała z udawanym zdziwieniem.

- Przecież musisz pamiętać! Sama ci o tym mówiłam! Masz towarzyszyć naszym gościom! Tego wymaga etykieta. Jest to również życzenie królowej.

- To królowa zapraszała tu tych ludzi, nie ja - mruknęła. - Idź, ściągnij królową z łóżka.

Pani Vosse cofnęła się nie mogąc nagle wykrztusić ani słowa. Potem wnikliwie przyjrzała się Madouc z kpiącą miną i nosem wykrzywionym z obrzydzenia.

- Masz brudną sukienkę i śmierdzisz końmi! Mogłam się domyślić, że siedzisz w stajni. A teraz szybko! Założysz coś czystego, może tę nową niebieską sukienkę. Pospiesz się! Nie ma czasu do stracenia!

Dziesięć minut później Madouc i pani Vosse przybyły na podium, gdzie król Milo i królowa Caudabil przyglądali się zawodom w rzucaniu kulą, niezbyt zresztą zainteresowani tym, co się działo.

Kiedy zbliżyło się południe, służący przynieśli zimną pieczeń wołową i ser, po czym zaczęli nakrywać do kolacji na ławach z tyłu podium, tak by król Milo i królowa Caudabil mogli obserwować zawody bez przerwy na posiłek. Zauważając te przygotowania król Milo i królowa Caudabil zaczęli dyskutować ścisłymi głosami, po czym król Milo nagle złapał się za bok i zaczął głucho jęczeć.

Królowa Caudabil natychmiast zawołała seneszała:

- Tutaj! Król Milo dostał skurczu! To stara przypadłość! Nie będziemy mogli się dłużej bawić! Jego Królewska Mość musi natychmiast odpocząć i zastosować właściwą kurację.

Kiedy już znaleźli się w komnacie, królowa Caudabil zarządziła kolację składającą się z ośmiu dań i dużej ilości dobrego wina, które podobno było jedynym właściwym lekiem dla jej małżonka.

Późnym popołudniem książę Brezante zaniósł królowi Casmirowi wiadomość, że król Milo czuje się już na tyle dobrze, że będzie w stanie towarzyszyć królowi Casmirowi i królowej Sollace w wieczornym posiłku. Tak więc król Casmir i królowa Sollace zasiedli do stołu z wesółym już królem Milem oraz królową Caudabil i biesiadowali do późnych godzin wieczornych.

Rankiem król Milo nie był w stanie opuścić łóżka z obawy przed kolejnym atakiem, przez co król Casmir i królowa Sollace sami musieli sędziować podczas wyścigów biegaczy. W tym samym czasie król Milo i królowa Caudabil zjedli pożywne śniadanie, dzięki czemu poczuli się tak dobrze, że - jak oznajmili - gotowi byli również spożyć obiad. Nadzorowanie zawodów przypadło w udziale sir Mungowi i innym dostojnikom dworu.

Późnym popołudniem zakończyły się wszystkie gry i zawody, pozostawiało tylko wręczyć nagrody zwycięzcom. Obie rodziny królewskie stanęły na jednym końcu podium, na drugim zaś zwycięzcy rozmaitych dyscyplin z wieńcami laurowymi na głowach, uśmiechający się dumnie do tłumu na placu.

W końcu wszystko było gotowe. Madouc została posadzona obok księcia Brezante, którego wysiłki mające na celu nawiązanie rozmowy spęły na niczym.

Czterech heroldów zagrało fanfarę, a sir Mungo wyszedł na środek podium.

- Oto pomyślny dzień! - zawołał. - Nasi królewscy goście z Blaloc muszą niestety jutro nas opuścić, mamy jednak nadzieję, że w pełni nacieszyli się pokazem siły, zwinności i szybkości zaprezentowanym przez naszych wspańiałych mężczyzn z Lyonesse, którzy popisywali się tutaj przez ostatnie trzy dni! Ogłoszę zwycięzców i każdemu z nich król Milo wręczy nagrodę, tak bardzo zasłużoną, tak szlachetnie wygraną, którą nasi mistrzowie długo będą cenić! A więc bez dalszych zbędnych słów... - Sir Mungo wznosił rękę w dramatycznym geście. Rozejrzał się dookoła, spojrzął na Sfer Arct i głos zamarł mu w gardle. Powoli opuścił rękę i wskazał coś drżącym palcem.

Przez Sfer Arct zbliżał się dziwny pochód. Był to duży, czarny sarkofag niesiony na ramionach czterech biegnących, martwych ciał, które kiedyś nosiły imiona: Hun Izmael, Słodki Este, Galgus z Dahautu i Celt Kegan. Na wieku sarkofagu stało piąte ciało, należące niegdyś do chudego, młodego

przewodnika Idisa, które trzymało w ręce wielki bicz i tłukło nim biegnące trupy, poganiając je do większego wysiłku.

Ciała podbiegły bliżej niosąc swój straszliwy ciężar. Dzikimi razami Idis skierował je na plac Królewski, podczas gdy przerażone tłumy usuwały im się z drogi.

Przed platformą trupy zachwiały się i padły na ziemię. Sarkofag upadł na kamienne płyty i otworzył się. Ze środka wytoczyło się jeszcze jedno ciało - Cory'ego z Falonges.

VIII

Rodzina królewska z Blaloc zjadła ostatnie śniadanie w Haidionie w towarzystwie króla Casmira i królowej Sollace. Atmosfera była raczej ponura. Królowe prowadziły grzeczną rozmowę, ale królowie nie mieli sobie wiele do powiedzenia, a książę Brezante milczał nachmurzony.

Księżniczka Madouc nie pojawiła się na śniadaniu, ale nikt nie zadał sobie trudu, aby jej poszukać.

Po śniadaniu, kiedy słońce dochodziło niemal zenitu, król Milo, królowa Caudabil i książę Brezante wymienili ostatnie grzeczności z królem Casmirem oraz królową Sollace i wsiedli do powozu. Casmir i Sollace wyszli na taras, aby przyjrzeć się, jak odjeżdżają.

Pani Vosse wyszła z zamku i podeszła do króla Casmira.

- Wasza Królewska Mość, zauważyłam, że księżniczka Madouc nie była obecna podczas pożegnania, poszłam więc sprawdzić, co ją zatrzymało. W jej komnacie znalazłam to pismo. Jak widzisz, sire, jest zaadresowane do ciebie.

Król Casmir marszcząc dyplomatycznie brwi w udawanym niezadowoleniu złamał pieczęć i rozwinął pergamin.

Wasza Królewska Mość, składam wyrazy szacunku!

Działając w zgodzie z twoim rozkazem wyruszyłam na poszukiwanie, aby się dowiedzieć, jak miał na imię i jakiego był stanu mój ojciec, a także poznać szczegóły związane z moim rodowodem.

Twoje polecenia były jednoznaczne. Wzięłam ze sobą odpowiednią eskortę.

Powrócę, kiedy osiągnę swój cel. Poinformowałam królową Sollace o

moim zamiarze wypełnienia dotyczącego tej sprawy rozkazu Waszej Królewskiej Mości. Wyruszam natychmiast.

Madouc

Król Casmir spojrział błędnym wzrokiem na królową. Sollace.

- Madouc wyjechała.
- Wyjechała? Gdzie?
- Gdzieś... szukać swojego rodowodu, jak mnie tu informuje. - Casmir powoli przeczytał list na głos.
- A więc to miała na myśli ta mała lisica! - krzyknęła Sollace. - I co teraz zrobimy?
- Muszę się zastanowić. Być może nic.

Rozdział 8

I

Godzinę przed świtem, kiedy na zamku panowała jeszcze cisza, Madouc wstała z łóżka. Przez chwilę stała niezdecydowana, kuląc się i trzęsąc, bowiem chłodne poranne powietrze ziębiło jej chude ciało. Podeszła do okna; zapowiadał się pogodny dzień. Jednak o tak wczesnej godzinie, kiedy na dworze było jeszcze ciemno i szaro, wszystko wyglądało raczej ponuro. Madouc zaczęły nachodzić wątpliwości. Czy to możliwe, że popełnia straszliwą, głupią pomyłkę?

Trzęsąc się odeszła od okna. Stała przy łóżku i zastanowiła się. Nic się nie zmieniło. Jęknęła i mocno zacisnęła usta. Decyzja została już podjęta; nie można jej odwołać.

Szybko ubrała się w wiejską chłopięcą koszulę, grube pończochy, buty do kostek i luźną czapkę z grubego materiału, która kryła jej loki. Wzięła mały pakunek z paroma dodatkowymi rzeczami i wyszła z komnaty. Cicho przebiegła korytarzem, zeszła po schodach, po czym wyszła z zamku tylną bramą, prosto we wczesnoporaną ciszę. Przystanęła rozglądając się dookoła, ale nikogo nie było widać ani słyszeć. Ruszyła wokół zamku w kierunku stajni.

Na skraju małego dziedzińca zatrzymała się w mrocznym zakątku. Tylko wyjątkowo bystre oko rozpoznałoby w tym obdartym wieśniaku księżniczkę Madouc.

W kuchni ruszali się już chłopcy rozpalający ogień w piecach i kucharze. Wkrótce dziewczki zostaną wysłane do mleczarza. Na razie na dziedzińcu było pusto. Przebiegła przez otwartą przestrzeń i nie zatrzymywana dostała się do stajni. Czekał tam na nią sir Pom-Pom z parą osiodłanych i przygotowanych do drogi koni. Madouc przyjrzała się im bez entuzjazmu. Z jednej strony stała gniada stara klacz z bielmem na jednym oku i wystrzępionym ogonem. Z drugiej siwy wałach, niemal równie stary, z grubym brzuchem i chudymi nogami. Wybierając te chabety sir Pom-Pom osiągnął aż nadto swój cel nie rzucania się w oczy.

Dla Madouc osiodłał starą klacz, siwego wałacha najwyraźniej wybrał dla siebie. Sam sir Pom-Pom natomiast nie miał na sobie zwykłego ubrania, ale porządną kurtkę z niebieskiego materiału, nową czapkę z wesołym czerwonym piórkiem i parę błyszczących, nowych butów za kolano z brzęczącymi zapinkami.

- Masz modne ubranie - powiedziała Madouc. - Wyglądałbyś nawet wytwornie, gdyby nie to, że nadal masz tą samą twarz sir Pom-Poma.

Sir Pom-Pom jęknął.

- Nie mogę zmienić sobie twarzy.

- Czy to ubranie nie było zbyt drogie?

Machnął lekceważąco ręką.

- To wszystko jest względne. Czyż nie słyszałaś powiedzenia: „Potrzeba tłumaczy wszelkie wydatki”?

Madouc zrobiła groźną minę.

- Ten, kto to wymyślił, musiał być łajzą albo głupcem.

- Wcale nie! To trafne powiedzenie! Aby wymienić złote korony, kupiłem potrzebne rzeczy! Nikt nie wybiera się na takie ważne poszukiwanie wyglądając jak ostatni obdartus.

- Widzę. Co z resztą pieniędzy?

- Mam je w mojej sakiewce, dla bezpieczeństwa.

Księżniczka wyciągnęła rękę.

- Daj mi je, sir Pom-Pomie, i to natychmiast!

Sir Pom-Pom z posepną miną wyciągnął sakiewkę, wysypał monety i podał je Madouc. Przeliczyła je i spojrzała nań ponownie.

- Z pewnością musisz mieć więcej pieniędzy niż tylko te!

- To możliwe, ale mam je schowane, żeby ich nikt nie znalazł.

- To nie jest konieczne. Oddaj mi wszystko, co ci wydano.

Sir Pom-Pom rzucił jej sakiewkę.

- Weź, jeśli chcesz.

Madouc otworzyła sakiewkę i przeliczyła monety.

- To z pewnością nie jest wszystko.

- Ba! Może mam jeszcze coś w kieszeniach - burknął sir Pom-Pom.

- Daj mi je zaraz, do ostatniego miedziaka.

- Zatrzymam jednego srebrnego florena i trzy miedziane pensy na nieprzewidziane wydatki - powiedział z godnością i podał jej pozostałe monety.

Madouc włożyła wszystkie do swojej sakiewki.

- Rozliczymy się później - oznajmiła. - Jeszcze nie powiedziałam ostatniego słowa, sir Pom-Pomie.

- Mniejsza o to - rzucił sir Pom-Pom. - Ruszajmy w drogę. Ta gniada klacz jest twoja. Ma na imię Juno.

Księżniczka prychnęła lekceważąco.

- Ma obwisły brzuch! Czy ona mnie w ogóle uniesie?

Sir Pom-Pom uśmiechnął się złośliwie.

- Pamiętaj, nie jesteś już dumną księżniczką! Jesteś włóczęgą.

- Jestem dumnym włóczęgą. Zapamiętaj to, jeśli łaska.

Sir Pom-Pom wzruszył ramionami.

- Juno ma łagodny krok. Nie skacze i nie trzęsie, chociaż nie przeskoczy już przez żadne ogrodzenie. Mój wierzchowiec nazywa się Fustis. Był kiedyś dzielny bojowy koniem. Dobrze się sprawuje pod zdolnym i zdecydowanym jeźdźcem.

Sir Pom-Pom wsadził w strzemię elegancko obutą nogę i jednym zamachem wślizgnął się w siodło. Madouc dosiadła Juno z większą rozważą i oboje ruszyli przez Sfer Arct w stronę górzystej, północnej dzielnicy miasta Lyonesse. Po dwóch godzinach drogi dotarli do wioski Swally Water i znaleźli się na skrzyżowaniu dróg. Dziewczyna przeczytała napis na drogowskazie.

- Na wschód jest wioska Fring; pojedziemy tą drogą aż do Fring, potem zaś skręcimy na północ i tak znajdziemy się na Starym Trakcie.

- To dłuższa droga, o parę mil - zauważył sir Pom-Pom.

- Może i tak, ale trzymając się na uboczu unikniemy spotkania z tymi, którzy zostaną wysłani, aby przeszkodzić nam w podróży.

- Myślałem, że Jego Królewska Mość zgodził się na twoją wyprawę i udzielił ci swego błogosławieństwa - burknął sir Pom-Pom.

- Tak właśnie tłumaczę sobie jego rozkaz - powiedziała Madouc. - Wolę jednak nie uważać tego za pewnik.

Sir Pom-Pom przemyślał to, co powiedziała, po czym powiedział, raczej ponurym głosem:

- Mam nadzieję, że znajdę Świętego Graala, zanim będziemy zmuszeni sprawdzić słuszność twojej interpretacji.

Madouc nie odpowiedziała.

W południe przejechali przez Fring i po znalezieniu drogi prowadzącej na północny wschód ruszyli przez miłą okolicę pełną gospodarstw i łąk.

Wkrótce dojechali do miasteczka Abatty Dell, gdzie właśnie trwał jarmark. Na nalegania sir Pom-Poma zsiadli z koni, przywiązali je do belki przed gospodą i poszli pooglądać występy klaunów i żonglerów na placu.

- Popatrz tam! - krzyknął ze zdziwienia sir Pom-pom. Ten mężczyzna w czerwonym kapeluszu właśnie włożył sobie do gardła płonącą pochodnię! Popatrz! To niesamowite! Musi mieć wnętrzości z żelaza!

- Rzeczywiście, niezwykły talent - powiedziała Madouc.

Uwagę sir Pom-Poma przyciągnął inny występ.

- Zobacz! Toż to prawdziwa sztuka w całej pełni! Ach, widziałaś to? To był dobry rzut!

Odwróciła się i zobaczyła mężczyznę i kobietę leżących na plecach w odległości piętnastu stóp od siebie. Za pomocą stóp przerzucali między sobą małe dziecko w tę i z powrotem, za każdym razem podrzucając je na coraz większą wysokość. Dziecko, dziwnie małe i ubrane jedynie w obdartą koszulinę, desperacko rzucało się i kręciło w powietrzu, aby trafić wystawionymi pośladkami w stopy leżącej na ziemi osoby. Kobieta lub mężczyzna złapawszy dziecko zwinnymi stopami, silnym wyrzutem nóg wypychali je ponownie w powietrze.

- Mikelaus będzie teraz przyjmował dowody waszego uznania! - zawołał mężczyzna po występie, a dziecko przebiegło pomiędzy widzami zbierając monety do swojej czapki.

- Ha! Taka sztuczka zasługuje na miedziaka! - zawołał sir Pom-Pom. Sięgnął do jednej z zewnętrznych kieszeni i wyjął z niej miedzianą monetę, którą wrzucił do brudnej czapki wyciągniętej przez Mikelausa. Madouc obserwowała to z uniesionymi brwiami.

Trzej akrobaci przygotowywali już następny numer. Mężczyzna umieścił płaską, długą na dwie stopy deskę na ośmiostopowej tyczce. Kobieta podsaadziła na deskę Mikelausa, który tam przykucnął. Mężczyzna uniósł tyczkę wysoko do góry z zachowującym idealną równowagę Mikelausem na szczycie. Kobieta przyłączyła do całej konstrukcji następną tyczkę i Mikelaus został uniesiony jeszcze wyżej. Mężczyzna utrzymywał w pionie chwiejącą się tyczkę kontruując jej poruszenia łagodnymi ruchami. Kobieta dodała do tyczki trzecie przedłużenie i Mikelaus został uniesiony na dwadzieścia stóp w powietrze. Ostrożnie stanął na szczycie chwiejącej się konstrukcji. Kobieta zagrała żywą melodię na kobzie i Mikelaus cienkim zgrzytliwym głosem zaśpiewał piosenkę.

*Ecce voluspn
Sorairso normal
Radne malengro.
Och! Och! Toomish!
Geltner givim.*

*Bowner buder diper
Eljus noop or bark
Esgracio delila.
Och! Och! Toomish!
Silvish givim.*

*Slova solypa
Trater no bulditch
Ki-yi-yi minkins.
Regular toomish.
Copriote givim.*

Kobieta zagrała ostatnią frazę i zawołała: . - Brawo, Mikelausie! Twoja piosenka poruszyła nas wszystkich i zasługuje na hojną nagrodę! Teraz możesz zejść! Dalej więc: Uuuups! Tralala! Na dół!

Mężczyzna przebiegł trzy kroki i rozhuścił tyczkę. Mikelaus śmignął w powietrzu. Kobieta podbiegła do niego z siatką, ale po drodze potknęła się o psa i Mikelaus z wyrazem niedowierzania na twarzy uderzył głową w ziemię i przeturlał się jakieś dobre dwadzieścia stóp.

Kobieta robiła dobrą minę do złej gry.

- Następnym razem na pewno uda się lepiej! A teraz, Mikelausie, do roboty!

Mikelaus pozbiierał się na równe nogi, zdjął czapkę i pokuśtykał w stronę widzów, zatrzymując się po drodze tylko po to, żeby kopnąć psa.

- Ha! Jeszcze jedna świetna sztuczka - powiedział sir Pom-Pom.

- Chodź, naoglądaliśmy się dosyć tych podskoków. Czas ruszyć w drogę! - zawołała Madouc.

- Jeszcze nie - opierał się sir Pom-Pom. - Tamte stragany wyglądają interesująco. Możemy przecież poświęcić im chwilę albo dwie.

Madouc przystała na jego życzenie i przespacerowali się po placu oglądając towary wystawione na sprzedaż.

Przy straganie z wyrobami żelaznymi sir Pom-Pom zainteresował się wymyślnymi nożami. Jego uwagę przyciągnęły damasceńskie sztylety w skórzanych, tłoczonych pochwach i zaczął nawet dopytywać się o ceny. W końcu, po chwili namysłu, upatrzył sobie jeden sztylet. Przygotowywał się już do zakupu, gdy Madouc zapytała zaskoczona:

- Czy wolno zapytać, co zamierzasz zrobić?

- Czyż to nie oczywiste? - odparł sir Pom-Pom. - Strasznie brakuje mi pięknie wykonanego sztyletu dobrej jakości. Ten tutaj odpowiada moim potrzebom.

- A czym zapłacisz?

Sir Pom-Pom zamrugał spoglądając w niebo.

- Zatrzymałem pewną rezerwę na takie właśnie okazje.

- Zanim kupisz sobie choćby orzech do zgryzienia, musimy się rozliczyć. Pokaż mi tę twoją rezerwę.

- Ależ to żenujące! - próbował gwałtownie bronić się sir Pom-Pom. - Ten sprzedawca będzie teraz mną gardził.

- To bez znaczenia. Wyciągnij tę tak zwaną rezerwę.

- Bądźmy rozsądni! Pieniądze będą bezpieczniejsze u mnie. Mam więcej lat niż ty i nie jestem ani głupi, ani bezmyślny. Żaden złodziej nie odważy się do mnie podejść, szczególnie gdy zobaczy ten świetny sztylet przy moim pasie. Rozsądek nakazuje, abym to ja trzymał pieniądze i planował wydatki.

- Twoje argumenty może są i mądre - powiedziała Madouc - nie są jednak trafne, gdyż to są moje pieniądze.

Sir Pom-Pom gniewnie podał jej całą garść monet, zarówno srebrnych, jak i miedzianych.

- Weź sobie te pieniądze!

Coś w zachowaniu sir Pom-Poma wzbudziło podejrzenie Madouc. Wyciągnęła rękę.

- Daj mi wszystko, co ci zostało.

Sir Pom-Pom burcząc podał jej resztę pieniędzy.

- No właśnie - powiedziała Madouc. - Czy to wszystko?

Sir Pom-Pom z ponurą miną pokazał jej srebrnego florena i parę miedzaków.

- Zatrzymam tylko własną rezerwę. Przynajmniej te pieniądze będą bezpieczne.

- I to już wszystko?

- To już wszystko i niech cię diabli wezmą.

- Nie będzie ci potrzebny taki wymyślny sztylet. Po pierwsze, jest za drogi.

- Nie, jeśli kupię go za twoje pieniądze.

Ona jednak zignorowała tę uwagę.

- Chodź! Ruszajmy!

- Jestem głodny - burknął sir Pom-Pom. - Moglibyśmy zjeść na obiad taki wieprzowy kotlet. Chcę również rzucić okiem na akrobatów. Popatrz tylko na nich! Rzucają Mikelausa w powietrze i pozwalają, żeby spadł na ziemię. Nie! W ostatniej chwili mężczyzna złapał go w sieć! Czyż to nie komiczne?

- Chodź, sir Pom-Pomie. Dostaniesz swój kotlet, a potem ruszymy w dalszą drogę. Juno potrafi tylko wolno dreptać. Będziemy musieli długo jechać, żeby się dostać tam gdzie chcemy, a to daleko stąd.

Sir Pom-Pom drażliwym gestem poprawił swoją nową czapkę.

- Robi się późno! Powinniśmy zatrzymać się tu na noc w którejś gospodzie. Potem moglibyśmy do woli nacieszyć się jarmarkiem.

- Gospody na pewno są przepełnione. Pojedziemy dalej.

- To czysta głupota! Do następnego miasta jest dobre dziesięć mil. Nie dojedziemy tam przed nocą, a wtedy gospody na pewno będą przepełnione.

- W takim razie będziemy spać na świeżym powietrzu, jak prawdziwi włóczędzy.

Sir Pom-Pom nie miał nic więcej do powiedzenia. Opuścili Abatty Dell i ruszyli dalej. Kiedy słońce było już bardzo nisko na niebie, zjechali z drogi i przetruchtali ćwierć mili przez łąkę do niewielkiego lasku nad strumieniem. Tam sir Pom-Pom rozpałił ogień i spętał konie, podczas gdy Madouc usmażyła bekon, który zjedli na kolację, zagryzając chlebem i serem.

Księżniczka zdjęła kapelusz. Sir Pom-Pom przyjrzał się jej w świetle ogniska.

- Wyglądasz jakoś inaczej! Teraz widzę! Obcięłaś sobie włosy!

- Jak inaczej wcisnęłabym je po tę czapkę?

- Bardziej niż kiedykolwiek wyglądasz na elfa.

Madouc siedziała obejmując kolana rękami i wpatrując się w płomienie. Trochę żałośnie powiedziała:

- To tylko wygląd. Z każdym kolejnym dniem moja ludzka krew śpiewa we mnie coraz głośniejszą pieśń. Tak się zawsze dzieje, kiedy ktoś taki jak ja opuszcza shee i zamieszkuje pomiędzy ludźmi.

- A gdybyś została w shee, co wtedy?

Madouc jeszcze ciaśniej objęła kolana.

- Nie wiem, co by się ze mną stało. Elfy mogłyby mi się psocić i unikać mnie ze względu na to, że jestem mieszańcem.

- A jednak śmiertelnicy umierają, podczas gdy elfy tańczą i bawią się wiecznie.

- Wcale nie - powiedziała. - Elfy także umierają. Czasami śpiewają smutne piosenki w świetle księżyca i życie z nich uchodzi z tak głębokiego smutku. Czasami giną z miłości. Czasami zabijają ich wściekle i rozjuszone pszczoły albo łapią je trolle i mordują, a potem robią z ich kości proszek do przyprawiania swoich sosów i pieczeni.

Sir Pom-Pom ziewnął i wyciągnął nogi w kierunku ognia.

- Mimo wszystko, nie jest to życie dla mnie.

- Ani dla mnie - przyznała. - Stałam się zbyt ludzka.

Rankiem obudziło ich słońce. Wisiało na bezchmurnym niebie; zapowiadał się ciepły dzień. Wczesnym przedpołudniem trafili nad rzekę i Madouc nie mogła się oprzeć, aby się nie wykąpać. Zostawiła sir Pom-Poma z końmi i przedostała się pomiędzy wierzbami na brzeg rzeki. Tam zdjęła rzeczy i wskoczyła do wody. Nurkowała, chlapała i cieszyła się z odświeżającego chłodu obmywającego jej ciało. Spojrzawszy przypadkiem na brzeg zauważyła, że sir Pom-Pom podgląda ją poprzez liście.

- Na co się gapisz, sir Pom-Pomie? - zawołała gniewnie. - Nigdy jeszcze nie widziałeś nagiej dziewczynki?

- Nigdy nie widziałem nagiej księżniczki - sprostował sir Pom-Pom szczerząc zęby.

- Ależ to nonsens - powiedziała wzburzona Madouc. - Wszyscy jesteśmy tacy sami. Nie zobaczysz tu nic wartego oglądania.

- Wolę jednak to, niż przyglądać się zadowi Juno.

- Gap się, jeśli chcesz - odparła Madouc. - Nie będę się przejmować twoją głupotą.

- Nie jest to aż taka głupota, jak to ujęłaś - zaoponował sir Pom-Pom. - Mam całkiem rozsądny i praktyczny powód do dokonania tej inspekcji.

- A cóż to za powód?

- Gdybym wrócił ze Świętym Graalem, zgodnie z obietnicą króla mógłbym nawet domagać się ręki księżniczki. Dlatego uznałem za sensowne sprawdzić, jakie mogę odnieść z tego korzyści. Prawdę mówiąc, nie zobaczyłem niczego, co mogłoby wzbudzić entuzjazm.

Madouc zabrakło słów. W końcu jednak powiedziała:

- Ponieważ wygląda na to, że nie masz nic do roboty, proponuję, żebyś skrzesiał ogień i ugotował zupę na obiad.

Twarz sir Pom-Pom zniknęła pomiędzy liści. Madouc wyszła z wody, ubrała się i wróciła na drogę.

Kiedy siedzieli w cieniu wielkiego wiązu jedząc zupę, zobaczyli zbliżających się do nich trzech pieszych wędrowców: niskiego pękatego mężczyznę, kobietę podobnej postury i niewyrośniętego urwisa o jasnoszarym kolorze skóry, który wyglądał, jakby miał tylko nogi i głowę. Kiedy podeszli bliżej, dziewczyna rozpoznała troje akrobatów, którzy występowali na jarmarku w Abatty Dell.

- Dobrego dnia - powiedział mężczyzna o okrągłej twarzy, szorstkich, czarnych włosach, małym, pękatym nosie i błyszczących, wypukłych, czarnych oczach.

- Pozdrawiam was również - odezwała się kobieta, która podobnie jak mężczyzna miała pyzată twarz, czarne włosy, okrągłe czarne oczy i bulwiasty, różowy nos.

- My także życzymy wam dobrego dnia - odparła Madouc.

Mężczyzna spojrział na garnek, w którym gotowali zupę.

- Czy możemy usiąść tu w cieniu i odpocząć po trudach podróży?

- Cień należy do wszystkich - zauważył sir Pom-Pom. - Siadajcie, gdzie chcecie.

- Jakie to miłe słowa - powiedziała z wdzięcznością kobieta. - To długa droga i ciężko mi się idzie ze względu na moją dolegliwość.

Cała trójka usiadła w cieniu ze skrzyżowanymi nogami.

- Pozwólcie, że się wam przedstawimy - zabrał głos mężczyzna. - Ja jestem Filemon, sztukmistrz. Tam siedzi pani Coreas, nie mniej uzdolniona w zabawnych sztukach. A tutaj, mały i dzielny, jest nasz Mikelaus. Nie jest może zbyt radosny, może nawet nieco chory, ale trudno mu się dziwić, skoro nie jadł dzisiaj śniadania. Czy mam rację, mój mały, biedny Mikelausie?

- Arum. Boskatch. Gaspa confaga.

Sir Pom-Pom zamrugał ze zdziwienia.

- Co on powiedział?

Filemon zachichotał.

- Mikelaus mówi w taki dziwny sposób, że nie wszyscy go rozumieją.

- On zapytał całkiem wyraźnie: „Co gotuje się w tym garnku?” wyjaśniła z subtelną dokładnością pani Coreas.

- To nasz posiłek - powiedział sir Pom-Pom. - Ugotowałem zupę z szynki, cebuli i fasoli.

- Vogenard. Festilla - odezwał się ponownie Mikelaus.

- To niemożliwe, Mikelausie! - zganił go Filemon. - To nie jest nasze jedzenie, bez względu na to, jak jesteś głodny.

- Może ci dobrzy ludzie mogliby dać mu chociaż spróbować, żeby podtrzymać chęć do życia w tym umęczonym ciałku - zasugerowała pani Coreas.

- Myślę, że to możliwe - powiedziała Madouc. - Sir Pom-Pomie, podaj porcję zupy tej biednej istocie.

Sir Pom-Pom z ponurą miną zrobił, jak mu kazano.

Pani Coreas sięgnęła po miskę.

- Muszę sprawdzić, czy nie jest za gorąca, w przeciwnym wypadku Mikelaus mógłby się poparzyć. - Nabrała dużą łyżkę zupy ze sporym kawałkiem szynki i spróbowała. - Stanowczo jest za gorąca dla Mikelausa.

Filemon miał jednak inny pogląd na tę kwestię:

- Nie sądzę! Mikelaus ma odporny żołądek. Niech ja to sprawdzę. - Wziął miskę i uniósł ją do ust. - To doskonała zupa, ale miałaś rację. Jest zbyt gorąca dla Mikelausa.

- W tej misce niewiele zostało - zauważył sir Pom-Pom.

- Gamkarch noop. Bosumelists - zabelkotał Mikelaus.

- Nie możesz być taki skąpy! - pouczyła go pani Coreas. - Ten młody džentelmen z pewnością doleje ci więcej zupy, jeśli jej nie wystarczy.

Madouc widząc, jak się sprawy mają, westchnęła.

- No dobrze już, sir Pom-Pomie. Rozlej wszystkim zupy. Nie mogłabym jeść, jeśli te głodne stworzenia śledziłyby każdy mój kęs.

- Zrobiłem tyle, że wystarczy tylko dla nas - burknął sir Pom-Pom.

- To żaden problem! - oświadczył z entuzjazmem Filemon. - Kiedy dobrzy towarzysze spotykają się na drodze, dzielą się wszystkim ze sobą i cieszą się wspólnym dobrem. Widzę tam duży kawałek szynki, cebulę, chleb, ser i jeśli mnie oczy nie zawodzą, butelkę wina. Możemy na tej drodze mieć prawdziwy bankiet, do którego każdy przyczyni się w miarę swoich możliwości. Coreas, przydadź się na coś! Pomóż temu młodemu džentelmenowi w przygotowaniach.

Pani Coreas zerwała się na równe nogi i wrzuciła do garnka wielki kawałek szynki, kilkanaście cebul i trzy garście owsianej mąki, a robiła to z taką szybkością, że sir Pom-Pom nie mógł nadążyć za ruchem jej rąk. Kiedy on i

Madouc przyglądali się temu zaszokowani, Filemon otworzył butelkę wina i pociągnął z niej długi łyk.

- Arum. Cangel - odezwał się znowu Mikelaus.

- Dlaczego nie? - powiedział Filemon. - Jesteś biedny, żaloszny, nie-szczęśliwy i masz tylko dwie stopy wzrostu. Dlaczego jednak nie miałbyś od czasu do czasu spróbować łyka wina, wraz z twoimi wesołymi towarzyszami? - Podał butelkę Mikelausowi, który przechylił ją i łyknął nie gorzej niż jego poprzednik.

- Dość! - krzyknęła pani Coreas. - Ja tu stoję i mieszam w garnku, a kiedy dym wieje mi w oczy, wy dwoje wyżłopiecie całe wino. Odlóżcie tę butelkę! Zabawcie tych dwoje miłych ludzi waszymi sztuczkami.

- Jeszcze tylko jeden łyk - błagał Filemon. - Zwilżę sobie wargi do gry na piszczałce.

Wypił jeszcze trochę, po czym wyciągnął piszczałkę.

- No, Mikelausie, musisz zarobić na swoją zupę! Pokaż nam, co potrafisz!

Filemon zagrał wesołą melodię o żwawym rytmie, a Mikelaus tańczył i dziko podskakiwał wysoko unosząc kolana, kończąc wszystko saltem do przodu i do tyłu.

- Dobra robota, Mikelausie! - krzyknęła pani Coreas. - Może twoi przyjaciele dadzą ci monetę lub dwie, jak zwykli robić szlachetni ludzie.

- Ciesz się, że dostaliście jeść i wypiliście nasze wino! - warknął sir Pom-Pom.

Filemon zrobił obrażoną minę i otworzył szeroko oczy, po czym przyga-
nił im:

- Jesteśmy towarzyszami w drodze, włóczęgami, dla których horyzont jest równie odległy! Czyż nie jest tak, że powinniśmy dzielić się wszystkim ze wszystkimi? Takimi zasadami kierują się dobrze wychowani wędrowcy!

- Jeśli to prawda, to ja się do nich nie zaliczam - mruknął sir Pom-Pom.

Pani Coreas nagle jęknęła.

- Ach! Jakież ból i ścisk! To ta moja dolegliwość. Przemęczyłam się, jak to zwykle bywa. Zawsze robię zbyt wiele dla innych! Filemonie, moje lekarstwo, gdzie ono jest?

- W twojej sakiewce, moja kochana, jak zawsze!

- Ach tak, rzeczywiście! Nie mogę się tak przemęczać, bo się jeszcze rozchoruję!

- Widzieliśmy was na jarmarku - powiedział sir Pom-Pom. - Skakałaś i poruszałaś się z wielką zręcznością. Filemon podrzucał Mikelausa wysoko w powietrze, a ty biegałaś szybko jak wiatr, żeby go złapać do sieci.

- Gurgo arraska, selvo sorarsio! - zaszwargał Mikelaus.

- Tak, to była wstydliva wpadka, za którą możemy winić tylko psa - przyznała pani Coreas.

- Bismal darstid: mango ki-yi-yi.

- Ta sztuczka mnie wykańcza - ciągnęła pani Coreas. - Całymi dniami potem wszystko mi dolega, ale publiczność domaga się następnych przedstawień. Znają nas wszędzie i nie możemy ich zawieść!

Filemon zachichotał.

- Czasami zmieniamy trochę tę sztuczkę i udajemy trzech nieudaczników. Specjalnie pozwalamy Mikelausowi spaść, chociaż widzom się wydaje, że chcemy go złapać, ale wpadamy na siebie nawzajem i robimy śmieszne miny.

- Dasa miago lou-lou. Tinka.

- Właśnie - powiedział Filemon. - A zupa jest już gotowa i tak dobra, jak tylko potrafi ją przyrządzić pani Coreas. Ale dość komplementów! Jedzcie wszyscy! Ty też, Mikelausie! Choć raz w swoim nędznym życiu najesz się do syta!

- Arum.

Po posiłku Madouc i sir Pom-Pom przygotowali się do dalszej podróży. Filemon zawołał za nimi radosnym głosem:

- Jeśli można, przyłączymy się do was i urozmaicimy wam podróż.

- Oczywiście, że tak - powiedziała stanowczo pani Coreas. - To byłoby bardzo smutne, gdybyśmy musieli się rozstać po tak miło spędzonym razem czasie.

- Tak więc zdecydowaliśmy - oświadczył Filemon.

- Ruszemy dalej jak weseli kompani - dodała pani Coreas. - Mimo że wy pojedziecie konno, a my pójdziemy na własnych nogach, zaś biedny, krótkonogi Mikelaus będzie musiał gnać z całych sił. Bądź dzielny, dobry Mikelausie! Któregoś dnia los się do ciebie uśmiechnie i wynagrodzi ci wszystkie twoje dobre uczynki.

- Yi arum bakso.

Ruszyli. Sir Pom-Pom jechał pierwszy na siwym Fustusie, za nim Madouc na Juno, w tempie na tyle wolnym, że Filemon i pani Coreas truchtali za

nimi i bez większych trudności dotrzymywali im kroku, a nawet Mikelaus, biegnąc jak mógł najszybciej i czasami zatrzymując się dla złapania oddechu, zostawał tylko parę jardów w tyle.

Droga prowadziła raz w górę, raz w dół, pomiędzy ostrokrzewami i niskimi ogrodzeniami z polnego kamienia. Mijali winnice i sady, pola obsadzone zbożem i łąki. Przejechali przez niewielki las, potem znowu wydostali się na otwartą przestrzeń.

Nagle, po dwóch godzinach podróży, pani Coreas chrapliwie krzyknęła. Chwytając się za pierś upadła na kolana i tak już pozostała, gwałtownie łapiąc oddech. Filemon natychmiast do niej podszedł.

- Moja droga Coreas, co ci jest tym razem? Kolejny z twoich ataków?

Pani Coreas ledwie mogła mówić.

- Tego się obawiam. Na szczęście, nie jest chyba tak bardzo groźny i nie potrzebuję mojego lekarstwa. Muszę jednak przez jakiś czas odpocząć. Ty i drogi Mikelaus musicie iść dalej do Biddle Bray beze mnie i przygotować wszystko do występu. Kiedy poczuję się lepiej, to pójdę sama w dogodnym tempie, a może, jeśli los okaże się dla mnie łaskawy, przybędę na czas, żeby wykonać mój numer.

- To niedopuszczalne - oświadczył z oddaniem Filemon. - Musi być jakieś lepsze rozwiązanie. Poradźmy się naszych przyjaciół. - Spojrzał na sir Pom-Poma. - Co o tym myślisz?

- Nie sądzę, abym wiedział, co zrobić.

Filemon uderzył pięścią w dłoń.

- Mam! - Zwrócił się do Madouc. - Może ty byłabyś tak dobra i pozwoliła jechać pani Coreas na swoim koniu do Biddle Bray. To niedaleko stąd.

- Byłoby to wielce uprzejme z twojej strony - nadmieniła pani Coreas. - Obawiam się, że w przeciwnym wypadku musiałabym tu leżeć przez całą noc czekając, aż wróci siły.

Madouc zsiadła z konia z ponurą miną.

- Podejrzewam, że nic mi się nie stanie, jeśli trochę się przejdę.

- Dziękuję ci z głębi serca! - zawołała pani Coreas, po czym z zadziwiającą zręcznością podeszła do Juno i wskoczyła na siodło. - Ach! Od razu czuję się lepiej! Filemonie, czy zaśpiewamy jakąś wesołą piosenkę, aby poprawić sobie nastroje?

- Oczywiście, moja droga! Co zaśpiewamy?
- Piosenkę o trzech wesołych włóczęgach!
- Bardzo dobrze. - Filemon zaklaskał w ręce, aby podać rytm, po czym on swoim barytonem, a pani Coreas cienkim sopranem zaśpiewali piosenkę, Mikelaus zaś po każdej zwrotce skandował coś na kształt refrenu:

*Mamy wiele pragnień, niewiele pieniędzy
I często śpimy na deszczu i wietrze,
Wieczorem jemy tylko starą rzezę,
A mimo to radosną jesteśmy gromadą!*

*Sigmo chaska yi yi yi
Varmous varmous Oglethorpe.*

*Idziemy, gdzie poniosą nas nogi,
Gdzieś tam ukryta jest nasza fortuna.
Chociaż życie nie jest łatwe,
Zawsze radosne są nasze miny!*

*Poxim mowgar yi yi yi
Vilish hoy kazinga.*

*Rozległe krainy, niebo wysoko nad głową,
Choć idziemy powoli, zajdziemy daleko!
I cóż, że psy głośno wyją za nami,
A w nocy sowy próbują nas straszyc!*

*Varmous toigal yi yi yi
Tinkish wombat nip.*

I tak ciągnęła się ballada przez szesnaście dalszych zwrotek, a Mikelaus za każdym razem chrypiącym głosem wykrzykiwał z tyłu refren.

Śpiewali też inne piosenki, z takim zapalem, że Madouc w końcu zawołała do pani Coreas:

- Wygląda na to, że wróciły ci siły!
- W pewnym stopniu, moja droga! Ale zbliża się popołudnie i muszę wziąć moje lekarstwo, żeby zapobiec następnemu atakowi. Wierzę, że gdzieś je tu mam. - Pani Coreas przeszukała sakiewkę i nagle krzyknęła zdenerwowana. - To straszne!

- O co chodzi tym razem, moja droga? - zapytał Filemon.
- Zostawiłam moje lekarstwo tam, gdzie jedliśmy posiłek! Pamiętam dokładnie, jak wciskałam paczuszkę pod korzeń wiązu.
- To wielce nieroztropne! Musisz przecież je zażyć, jeśli masz przeżyć dzisiejszą noc!
- Jest tylko jedno rozwiązanie! - powiedziała zdecydowanie pani Coreas. - Pojadę z powrotem po lekarstwo. Wy tymczasem pójdziecie do tej starej chaty, którą już kiedyś mijaliśmy po drodze. To tylko milę stąd. Przygotujecie nocleg na sianie, a ja wrócę z pewnością przed zachodem słońca.
- Wygląda na to, że nic innego nam nie pozostaje - zauważył Filemon. - Jedź jak najprędzej, tylko nie przemęcz konia, to jednak szlachetne zwierzę!
- Dobrze wiem, jak sobie poradzić z takim zwierzem - odparła pani Coreas. - Do zobaczenia wkrótce! - Zawróciła i pogoniła Juno najpierw do kłusu, potem do chwiejnego galopu, tak że wkrótce zniknęła im z oczu. Madouc i sir Pom-Pom przyglądali się temu zakłopotani.
- Chodźcie - powiedział Filemon. - Jak wspomniała pani Coreas, niedaleko stąd jest opuszczona chata, w której znajdziemy schronienie na noc.
- Ruszyli więc dalej, z sir Pom-Podem na czele. Dwadzieścia minut później dotarli do opuszczonej chaty chłopskiej położonej kilka jardów od drogi, w cieniu dwóch rozłożystych dębów.
- Oto jesteśmy - oznajmił Filemon. - Nie jest to pałac, ale lepsze to niż nic, a i czystego siana w stogu jest tu pod dostatkiem.
- Spojrzał na Mikelausa, który próbował ściągnąć na siebie jego uwagę.
- O co chodzi, Mikelausie?
- Fidix. Waskin. Bolosio.
- Filemon spoglądał na niego zaszokowany.
- Czy to może być prawda?
- Arcum. Fooner.
- Nie przypominam sobie tego! Przeszukam jednak moją sakwę. - Filemon wziął się do dzieła i niemal natychmiast odkrył zawiniętą czarnym sznurkiem paczuszkę.
- Mikelausie, miałeś rację! Bezmyślnie zabrałem lekarstwo pani Coreas i wrzuciłem je do mojej sakwy! A ona biedna znajduje się pewnie teraz w strasznym stanie! Nie zaniecha poszukiwań, dopóki będzie jeszcze coś wiadać, a ze zmartwienia może dostać następnego ataku. Przypominasz sobie,

co się nam przytrafiło w Cwimbry?

- Arum.

- Nie ma innej rady! Muszę pojechać i ją znaleźć, aby nie umarła przy-
padkiem z rozpacz. Na szczęście to nie tak daleko. - Zwrócił się do sir
Pom-Poma. - Sir, muszę cię błagać, abys użyzył mi swego konia, Fustisa!
Biorę na siebie winę za wszystkie te utrudnienia! Ale Mikelaus pomoże
wam podczas mojej krótkiej nieobecności. Mikelausie, chodź tutaj! Nie chcę
usłyszeć ani jednego słowa skargi na ciebie! Pokaż temu dżentelmenowi,
gdzie jest stóg siana, a potem zbierz chrust na ognisko. Co więcej, zosta-
wiam ci słoiczek mojego specjalnego wosku. Chcę, żebyś wyczyścił temu
panu buty, tak żeby lśniły jak lustro. Przynajmniej tyle będziemy mogli
zrobić dla naszych przyjaciół, zanim nie wrócę z panią Coreas. - Wskoczył
na konia, z którego dopiero przed chwilą zszedł sir Pom-Pom i pogalopował
drogą.

- Hej! - krzyknął za nim sir Pom-Pom. - Zostaw przynajmniej sakwy,
żebyśmy mogli przygotować coś do zjedzenia podczas waszej nieobecności!
- Ale Filemon albo nie usłyszał, albo nie zwrócił uwagi na jego wołanie i
wkrótce zniknął im z oczu. Sir Pom-Pom spojrzął do chaty i zaraz się cofnął.
- Myślę, że będę spał pod gołym niebem, gdzie nie ma takiego straszego
zaduchu.

- Ja zrobię tak samo, bo zapowiada się pogodna noc - powiedziała Ma-
douc.

Sir Pom-Pom i Mikelaus przynieśli siana ze starego stogu i ułożyli z nie-
go słodko pachnące legowiska. Potem sir Pom-Pom rozpałił ogień, ale bez
sakw mogli tylko siedzieć, smętnie wpatrywać się w ogień i czekać z cierpli-
wością, na jaką było ich stać, na powrót Filemona i pani Coreas z ich końmi.

Słońce zeszło bardzo nisko i wkrótce zniknęło za odległymi wzgórzami.
Sir Pom-Pom wyszedł na drogę, ale nie dostrzegł ani nie usłyszał nikogo.

Wrócił do ogniska i ściągnął buty. Mikelaus natychmiast wziął je na bok
i zaczął czyścić używając specjalnego wosku Filemona. Sir Pom-Pom po-
wiedział ponurym głosem:

- Nie mam zamiaru tu siedzieć do północy. Położę się spać, co pozwoli
mi zapomnieć o moim pustym żołądku.

- Chyba zrobię to samo - powiedziała Madouc. - Mikelaus będzie czu-
wać. Zajmie się polerowaniem twoich butów.

Przez jakiś czas Madouc leżała z otwartymi oczami i wpatrywała się w migoczące na niebie gwiazdy, ale w końcu powieki zaczęły jej ciężyć i zasnęła. Tak minęła noc.

Rankiem sir Pom-Pom i Madouc wstali ze swoich legowisk i rozejrzeli się dookoła. W pobliżu nie było widać ani Filemona, ani pani Coreas, ani koni. Zaczęli szukać Mikelausa, którego również nie było widać. Nigdzie też nie znaleźli butów sir Pom-Poma.

- Zaczynam się zastanawiać nad uczciwością Filemona i pani Coreas - odezwała się Madouc.

- Nie zapominaj o tym karłowatym Mikelausie - powiedział sir Pom-Pom zgrzytając zębami. - To jasne, że ulotnił się stąd z moimi nowymi butami.

Madouc wzięła głęboki oddech.

- Podejrzewam, że lamentowanie i narzekanie na nic się nie zdadzą. W Biddle Bray kupimy ci porządne buty i parę grubych pończoch. Do tego czasu będziesz musiał iść bosy.

II

Po męczącym marszu i w ponurych nastrojach Madouc i sir Pom-Pom dotarli do Biddle Bray. Nawet czerwone piórko na czapce sir Pom-Poma opadło smętnie. W karczmie „Pod Psią Głową” zjedli na śniadanie trochę grochu, a następnie kupili u szewca nowe buty dla sir Pom-Poma. Kiedy szewc zażądał pieniędzy, sir Pom-Pom wskazał na Madouc.

- O tym musisz porozmawiać z nią. Madouc spojrzała na niego z niezadowolaniem.

- Jak to?

- Ponieważ to ty upierałaś się, że będziesz niosła pieniądze.

- A co się stało z tym srebrnym florenem i trzema miedzakami?

Sir Pom-Pom zbladł.

- Włożyłem monety do mojej sakiewki, którą przywiązałem do siodła. Filemon wskoczył na Fustisa i odjechał jakby go gonilo stado wilków, a razem z nim przepadł koń, sakiewka i pieniądze.

Madouc, powstrzymując się od dalszych komentarzy, zapłaciła szewcowi.

- Co było, to było. Ruszajmy w drogę.

Dwoje poszukiwaczy przygód wyruszyło z Biddle Bray drogą Bidbottle, która prowadziła na północ w kierunku na Modoiry, wioski położonej przy

Starym Trakcie. Po jakiejś mili sir Pom-Pom odzyskał trochę pewności siebie i nawet zaczął gwizdać.

- Miałaś rację! - odezwał się. - Co było, to było, a teraz jest teraz! Daleka droga przed nami, słońce świeci jasno, a gdzieś tam Święty Graal czeka, aż go znajdzie.

- Może i tak - powiedziała Madouc.

- Podróżowanie pieszo nie jest takie złe - ciągnął dalej sir Pom-Pom. - Widzę w tym wiele korzyści. Nie musimy się więcej przejmować paszą dla koni ani trudzić z ich pętaniem czy siodłaniem. Możemy się również przestać obawiać koniokradów.

- W ten czy w inny sposób, na koniu czy też pieszo, do Thripsey Shee nie jest tak daleko - zauważyła Madouc.

- Nawet jeśli jest tak, jak mówisz, nie musimy przecież wcale tam iść - powiedział sir Pom-Pom. - Mnie zależy na tym, żeby znaleźć Świętego Graala. Chciałbym go najpierw poszukać w kryptach na wyspach Weamish, gdzie spodziewam się znaleźć tajemne skrytki.

- Najpierw udamy się do Thripsey Shee, a tam poradzimy się mojej matki - ucięła Madouc nie znoszącym sprzeciwu głosem.

Sir Pom-Pom zrobił groźną minę i kopnął kamień.

- Gniewanie się i nachmurzona mina na nic się nie zdadzą - powiedziała. - Idąc będziemy uważnie rozglądać się na prawo i lewo.

Sir Pom-Pom rzucił na nią z ukosa ponure spojrzenie.

- Czapkę masz naciągniętą aż na nos i uszy; dziwię się, jak widzisz drogę pod stopami, nie mówiąc już o okolicy.

- Ty obserwuj okolicę, a ja zaprowadzę nas do Thripsey Shee - odparła księżniczka. - Poza tym widzę przed nami obwieszony dojrzałymi owocami krzak jeżyny. Nie możemy przejść obok nich i nie spróbować.

- Ktoś tam już zbiera jeżyny - zauważył sir Pom-Pom. - Może nie chcesz podzielić się z takimi włóczęgami jak my.

Madouc przyjrzała się uważnie osobie, o której mówił sir Pom-Pom.

- Sądzę, że to raczej miły starszy pan, który wyszedł na przechadzkę i zatrzymał się, żeby zebrać trochę jeżyn do kapelusza. Jeśli jednak chcesz, to go zapytam.

Podeszła do krzewu. Starszy mężczyzna w stroju typowym dla uboższej szlachty przestał na jej widok zrywać jeżyny.

Wiatr i słońce rozjaśniły mu włosy i zbrązowiły skórę. Rysy miał proste i regularne. Jego szare oczy spoglądały łagodnie, tak że Madouc bez wahania zapytała:

- Sir, czy te jeżyny należą do ciebie, czy inni też mogą je zrywać?
- Muszę odpowiedzieć zarówno „tak”, jak i „nie”. Z tymi jeżynami, które już zerwałem i są teraz w moim kapeluszu, czuję się w jakimś stopniu związany. Jeśli chodzi o te na krzaku, nie roszczę sobie do nich żadnych praw.
- Wobec tego zerwę sobie trochę dla siebie, a myślę, że i sir Pom-Pom ma na nie ochotę.

- Sir Pom-Pom, powiadasz? Nieczęsto mam do czynienia z arystokracją, muszę uważać na maniery.

- W rzeczywistości to nie jestem rycerzem - powiedział skromnie sir Pom-Pom. - To tylko taki przydomek.

- W tych krzakach ma to niewielkie znaczenie - zauważył stary mężczyzna. - Rycerz czy chłop tak samo krzykną: „Auć, oj!”, kiedy ukłują się kolcem, tak samo będą im smakować jeżyny. Jeśli o mnie chodzi, na imię mi Travante. Mój wyższy stan czy też jego brak są równie nieistotne. - Travante spojrział na Madouc, która zrywała jagody z pobliskiej gałęzi. - Pod tą czapką dostrzegam chyba rude loki, a także wyjątkowo błękitne oczy.

- Moje włosy są bardziej miedzianozłote niż rude.

- Rzeczywiście, po uważniejszym spojrzeniu muszę przyznać ci rację. A jak ci na imię?

- Jestem Madouc.

Gdy nazrywali jeżyn, usiedli przy drodze i wzięli się do jedzenia.

- Skoro nadchodzicie z południa, to podróżujecie na północ. Dokąd zmierzacie? - zapytał Travante.

- Najpierw do Modoiry na Starym Trakcie - odparła dziewczyna. - Prawdę mówiąc, sir Pom-Pom i ja jesteśmy włóczęgami, a każde z nas szuka czegoś innego.

- Ja również jestem włóczęgą - powiedział Travante. - I także jestem w trakcie poszukiwań, które są daremne i złudne, tak przynajmniej powiedzieli mi ci, którzy zostali w domu. Jeśli można, przyłączę się do was, przynajmniej na jakiś czas.

- Będzie nam bardzo miło - oświadczyła Madouc. - A czego poszukujesz skoro udałeś się w taką uciążliwą podróż?

Travante spuścił wzrok i uśmiechnął się.

- To niezwykle poszukiwania. Szukam straconej młodości.

- Naprawdę?! - krzyknęła. - Jak ją zgubiłeś?

Travante uniósł ręce w pełnym zakłopotania geście.

- Nie jestem pewien. W jednej chwili ją miałem, a później, kiedy o tym pomyślałem, już jej nie było.

Madouc spojrzała na sir Pom-Poma, który osłupiały wpatrywał się w Travante'a.

- Przypuszczam, że coś jednak musisz wiedzieć - zauważyła.

- Och, tak! Pamiętam to dokładnie. To było tak, jakbym chodził dookoła stołu i nagle... uups! Stałem się starym człowiekiem.

- Pomiedzy tymi wydarzeniami musiało jednak upłynąć trochę czasu?

- Sny, moja droga. Jakieś wizje, przywidzenia, czasami koszmary. Ale co z wami?

- To proste. Nie znam swojego ojca. Moja matka jest elfką z Thripsey Shee. Szukam ojca, a z nim mojego rodowodu.

- A sir Pom-Pom? Czego on szuka?

- Sir Pom-Pom w odpowiedzi na obwieszczenie króla Casmira szuka Świętego Graala.

- Aha! Czy wyznaje on jakąś religię?

- Żadną - odezwał się sir Pom-Pom. - Jeśli przyniosę Świętego Graala królowej Sollace, dostanę nagrodę. Będę mógł się ożenić z księżniczką Madouc, chociaż ona jest równie koścista i próżna, jak ta bystra, mała trzpiotka, która siedzi obok ciebie.

Travante spojrzał na dziewczynę.

- Czy to możliwe, aby to była jedna i ta sama osoba?

Sir Pom-Pom. groźnie zmarszczył brwi.

- O pewnych faktach nie chcielibyśmy rozmawiać otwarcie. Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że trafnie się domyślasz.

- Inny fakt nie jest tak powszechnie znany, szczególnie sir Pom-Pomowi - oświadczyła Madouc. - Musi wreszcie przyjąć do wiadomości, że jego marzenia o małżeństwie i nagrodzie nie mają nic wspólnego ze mną.

- Jeśli o to chodzi, polegam na zapewnieniach królowej Sollace - upierał się sir Pom-Pom.

- Dopóty, dopóki potrafię się posłużyć „Skaczącym chochlikiem”, to ja będę miała ostatnie słowo w tej sprawie - ucięła i wstała. - Czas ruszyć w drogę.

- Sir Pom-Pomie, coś mi się wydaje, że raczej nie poślubisz Madouc - stwierdził Travante. - Radziłbym ci wybrać sobie jakiś bardziej osiągalny cel.

- Zastanowię się nad tym - burknął.

Cała trójka ruszyła na północ drogą Bidbottle.

- Jesteśmy niezłą grupą - zauważył Travante. - Ja jestem, jaki jestem! Sir Pom-Pom jest silny i odważny, a Madouc jest bystra i pomysłowa. A z tymi miedzianozłotymi lokami, przebiegłym wyrazem jej małej twarzyczki i łamiącymi serce błękitnymi oczyma jest zarówno intrygująca, jak i bardzo pociągająca.

- Potrafi być lisicą, kiedy ma na to ochotę - powiedział sir Pom-Pom.

III

Droga Bidbottle wiodła na północ przez wzgórza i doliny, w cieniu dąbrowy Wanswold, przecinając następnie równinę Scrimsour. Nad głowami wędrowców żeglowały leniwe, białe chmurki, ich cienie przemykały po rozległym krajobrazie. Słońce wznosiło się coraz wyżej, a kiedy znalazło się w zenicie, trzej wędrowcy dotarli do Modoiry, gdzie droga Bidbottle łączyła się ze Starym Traktem.

Madouc i sir Pom-Pom zamierzali przejść kolejne trzy mile na północ, do Małego Saffield, a potem jeszcze dalej wzdłuż rzeki Timble aż do puszczy Tantrevalles. Travante chciał dotrzeć przez Małe Saffield na Długie Pogórze, gdzie chciał prowadzić poszukiwania pomiędzy starożytnymi dolmenami w Kręgu Stollshot.

Kiedy zbliżali się do Małego Saffield, Madouc zaczęła być niespokojna na myśl, że mają się rozstać z Travante, którego towarzystwo zarówno ją bawiło, jak i wzbudzało poczucie bezpieczeństwa. Co więcej, jego obecność zdawała się zniechęcać sir Pom-Pom do poufałości, na którą sobie czasami pozwalał. W końcu zaproponowała, aby towarzyszył im dalej, przynajmniej do Thripsey Shee.

Travante zastanowił się nad tą propozycją, po czym, trochę niepewnie, powiedział:

- Nic nie wiem o elfach; szczerze mówiąc, całe życie się ich wystrzegałem. Nasłuchałem się zbyt wielu opowieści o ich kapryсах i niepoprawnym zachowaniu.

- W tym wypadku nie ma się czego bać - oświadczyła z przekonaniem Madouc. - Moja matka jest równie miła, jak czarująca! Z pewnością ucieszy

się na mój widok, a także na widok moich przyjaciół, choć to, muszę przyznać, jest już mniej pewne. Może jednak doradzi ci w sprawie twoich poszukiwań.

- A co ze mną? - zapytał żałośnie sir Pom-Pom. - Ja również wyruszyłem na poszukiwanie.

- Cierpliwości, sir Pom-Pomie! Twoje pragnienia wszyscy znamy.

Travante podjął decyzję.

- No cóż, dlaczego nie? Chętnie skorzystam z jakiejś rady, niewiele bowiem miałem szczęścia szukając na własną rękę.

- Pójdiesz więc z nami!

- Dopóki nie stwierdzisz, że jestem starym nudziarzem.

- Wątpię, czy to kiedykolwiek nastąpi - powiedziała Madouc. - Cieszy mnie twoje towarzystwo, a jestem pewna, że sir Pom-Pom myśli podobnie.

- Naprawdę? - Travante spoglądał z powątpiewaniem to na jedno, to na drugie. - Ja sam uważam, że jestem nudny i nieciekawym.

- Nigdy bym tak o tobie nie powiedziała - oświadczyła. - Myślę, że jesteś marzycielem, może troszeczkę niepraktycznym, ale twoje pomysły nie mogą się znudzić.

- Miło mi to słyszeć. Jak już mówiłem, nie mam o sobie najlepszego mniemania!

- Dlaczego nie?

- Z całkiem prozaicznego powodu: w niczym nie celuję. Nie jestem ani filozofem, ani geometrą, ani też poetą. Nigdy nie pokonałem bandy rozwścieczonych wrogów, nie wybudowałem szlachetnego monumentu, nie podróżowałem do odległych miejsc na świecie. Brakuje mi świetności.

- Nie jesteś sam - powiedziała Madouc. - Niewielu ludziom jest dane osiągnąć coś szczytnego.

- To dla mnie nic nie znaczy! Ja to ja. Odpowiadam za samego siebie, nie za innych. Jestem przekonany, że życie nie powinno być próżne i puste! Z tego właśnie powodu tak usilnie szukam straconej młodości.

- A gdybyś ją znalazł, co byś zrobił?

- Zmieniłbym wszystko! Stałbym się przedsiębiorczą osobą, za stracony dzień uznawałbym taki, w którym nie wymyśliłbym jakiegoś cudownego planu, nie zbudował czegoś pięknego lub nie naprawił jakiegoś zła! Każdy dzień upływałby mi na wspaniałych dokonaniach. Potem każdego wieczora gromadziłbym przyjaciół, a spotkania te pamiętano by na zawsze. Tak powinno się żyć i starać o to ze wszystkich sił. Teraz, kiedy znam prawdę, jest

już za późno... chyba że znajdę to, czego szukam. Madouc zwróciła się do sir Pom-Poma.

- Czy słuchałeś uważnie? Powinieneś sobie wziąć do serca taką lekcję, choćby po to, żeby któregoś dnia nie żałować swego życia tak jak Travante.

- To dobry punkt widzenia - przyznał sir Pom-Pom. - Czasami zdarzało mi się myśleć w podobny sposób. Jednakże wyrzucając gnój z królewskich stajni trudno takie zamiary wprowadzić w życie. Gdybym znalazł Świętego Graala i zdobył nagrodę, z całych sił starałbym się żyć bardziej chwalebnie.

Wkrótce dotarli do Małego Saffield. Dawno już minęło popołudnie i było zbyt późno, aby iść dalej. Udali się do zajazdu „Pod Czarnym Wołem”, gdzie okazało się, że wszystkie pokoje są już zajęte. Mogli się przespać na siennikach na strychu razem ze szczurami albo na świeżym sianie w gołębniku nad barem, na co się w końcu zdecydowali.

Rankiem ruszyli na północ drogą Timble. Przeszli najpierw przez wioskę Tawn Timble, potem przez maleńką osadę Glymwode. Przed nimi widniała ciemna kreska puszczy Tantrevalles.

Pod drodze spotkali pracującego w polu chłopca, który wskazał im, jak dojść do Thripsey Shee na Szalonej Łące.

- To nie jest tak daleko, ale ta droga wiję się i kluczy, przez cały czas prowadząc coraz bardziej w głąb lasu, a dalej stając się tylko małą ścieżką. W końcu dotrzecie do chatki drwala. Tam szlak niemal znika, ale jeśli pójdziecie dalej, aż na skraj lasu, znajdziecie się na Szalonej Łące.

- To chyba dość proste - powiedział Travante.

- Rzeczywiście, ale uważajcie na elfy! Przede wszystkim nie kręćcie się tam po zmierzchu, bo te złośliwe chochliki zrobią wam coś niedobrego. Biednemu Fotternowi doczepiły ośle uszy, a przyrodzenie zamieniły mu w ośli narząd tylko dlatego, że wysikał się na łące.

- Z pewnością będziemy zachowywać się bardziej przyzwoicie - stwierdziła Madouc.

Cała trójka ruszyła w drogę. Przed nimi wyrastał ciemny i cichy las. Szlak zamienił się w ścieżkę, która skręciła trochę na wschód, po czym wprowadziła ich do lasu. Nad nimi chyliły się nisko gałęzie, liście przesłaniały niebo, aż w końcu otwarta przestrzeń zniknęła im z oczu.

Ścieżka prowadziła coraz głębiej w las. Powietrze zrobiło się chłodniejsze i pachniało setkami roślinnych zapachów. W lesie kolory były zupełnie inne.

Dominowały niezliczone odcienie zieleni: zieleń mchów i paproci, ziół i kwiatów, liści krzewów i drzew. Brązy były ciężkie i głębokie: dębowe pnie miały barwę czarno-brązową i ciemnordzawą, w poszyciu leśnym widać było ciemno- i jasnobezowe gałęzie i szyszki. W zakątkach, gdzie drzewa rosły gęsto i liście tworzyły nieprzenikalną dla światła zasłonę, cienie były ciemne i głębokie, nasycone odcieniami kasztanowego brązu, indygo i ciemnej zieleni.

Minęli chatkę drwała. Ścieżka stawała się coraz węższa, prowadziła pomiędzy zwalonymi pniami, dołami, rumowiskami skał, aż w końcu wyprowadziła ich na Szaloną Łąkę. Madouc zatrzymała się i powiedziała do swoich towarzyszy:

- Musicie tu poczekać, a ja poszukam mojej matki. Tak będzie najlepiej. Sir Pom-Pom był niezadowolony.

- To nie jest najlepszy pomysł! Chciałbym zadać moje pytanie najszybciej, jak to możliwe: kuć żelazo, póki gorące, tak mógłbym to ująć!

- Nie w taki sposób rozmawia się z elfami - odrzekła. - Jeśli próbuje się nimi rządzić albo podporządkować swej woli, tylko się śmieją i rzucają spojrzem z ukosa. Mogą wówczas nic nie powiedzieć.

- Zapytam tylko grzecznie, czy wiedzą coś o Świętym Graalu. Jeśli nie, to marnujemy tu tylko czas i powinniśmy jak najszybciej udać się na wyspę Weamish.

- Cierpliwości, sir Pom-Pomie! Pamiętaj, że mamy tu do czynienia z elfami! Musisz się trochę opanować, dopóki nie dowiem się, jak się sprawy mają.

- W końcu nie jestem głupkiem. Wiem, jak sobie poradzić z elfami - stwierdził wyniośle sir Pom-Pom.

Madouc zdenerwowała się.

- Zostań tutaj albo wracaj do Lyonesse i wypytaj tam swoją matkę!

- Nie miałbym odwagi - mruknął sir Pom-Pom. - Wyśmiałyby mnie za to, że udałem się na tę wyprawę, a potem wysłała na poszukiwanie gwiazdki z nieba. - Usiadł na zwalonym pniu, gdzie dołączył do niego Travante. - Pospiesz się, jeśli łaska, i gdy będziesz miała okazję, zapytaj o Świętego Graala.

- Mogłabyś również spróbować dowiedzieć się, co ze mną - powiedział Travante- jeśli podczas rozmowy nadarzy się stosowna chwila.

- Zrobię, co będę mogła.

Madouc ostrożnie wyszła na skraj lasu, zatrzymała się tylko na chwilę, aby zdjąć czapkę i rozpuścić włosy. Stała w cieniu rozłożystego buku i rozejrzała się po łące. Była to niemal kolistą przestrzeń o około trzystu stopach średnicy. Na środku wznosiło się małe wzgórze, którego trzymał się korzeniami karłowaty dąb. Rozejrzała się po łące, ale zobaczyła tylko kwiatki kiwające się na wietrze. Nie słyszała nic poza delikatnym mrużeniem, które równie dobrze mogło być brzęczeniem pszczoł lub innych owadów. Jednak wiedziała, że nie jest sama, szczególnie kiedy jakaś złośliwa ręka uszczypnęła ją w jeden, a potem w drugi policzek. Usłyszała czyjś chichot, a inny głos wyszeptał:

- Zielone jabłka, zielone jabłka!

- Nauczysz się? - zapytał ów ktoś, kto uprzednio chichotał.

- Nie psóćcie się mi, na prawo elfów! - krzyknęła z godnością Madouc.

- Zarozumiała do szpiku kości, pomijając wszystko inne - powiedział z przyganą pierwszy głos.

- Trudno z nią wytrzymać - dodał drugi.

Zignorowała te uwagi. Spojrzała na niebo i stwierdziła, że zbliża się południe. Łagodnym głosem zawołała:

- Twisk! Twisk! Twisk!

Minęła chwila. Na łące, jak gdyby dopiero teraz zaczęła dobrze widzieć, Madouc ujrzała setkę przezroczystych kształtów poruszających się w różnych kierunkach. Nad wzgórzem wystrzeliła w powietrze jakaś smużka.

Madouc czekała i obserwowała, z nerwami napiętymi do granic wytrzymałości. Gdzie była Twisk? Jeden z kształtów wolnym krokiem, nie spiesząc się, ruszył w jej kierunku. W miarę jak się zbliżał, robił się coraz bardziej widoczny, aż w końcu stał się czarującą Twisk. Miała na sobie suknię do kolan z niemal niewyczuwalnej gazy, która podkreślała jej bujne, choć delikatne kształty. Tego dnia wybrała lawendowy kolor włosów. Tak jak poprzednio, tworzyły one miękką chmurkę dookoła jej twarzy. Madouc wnikliwie przyjrzała się jej twarzy, mając nadzieję, że dostrzeże na niej matczyną życzliwość. Dojrzała jednak tylko obojętność.

- Matko! - krzyknęła. - Jakże się cieszę, że znowu cię widzę!

Twisk zatrzymała się i zmierzyła dziewczynkę wzrokiem od stóp po czubek głowy.

- Twoje włosy wyglądają jak gniazdo kawki - powiedziała. - Gdzie masz grzebień, który ode mnie dostałaś?

- Jakieś klauny na jarmarku ukradły mojego konia Juno, razem z siodłem, sakwami i grzebieniem - odparła szybko Madouc.

- Nie należy ufać klaunom oraz im podobnym. To cię czegoś nauczy. W każdym razie musisz się doprowadzić do porządku, szczególnie jeśli masz zamiar przyłączyć się do naszych zabaw na wielkim festynie! Jak widzisz, już zaczęliśmy się bawić.

- Nic nie wiedziałam o festynie, droga matko. Nie planowałam, że będę się tu bawić.

- Och? To będzie wielka zabawa! Popatrz na te wszystkie przygotowania.

Madouc rozejrzała się po łące, gdzie nagle wszystko się zmieniło. Smużka mgły nad wzgórzem zamieniła się w wysoki pałac o dwudziestu wieżach. Na każdej z nich wisiały długie, kolorowe wstęgi. Stojące przed zamkiem słupy z poskręcane go srebra i żelaza ozdobiono kwiatami. Ustawiono je dookoła długiego stołu zastawionego przysmakami i likierami w wysokich butelkach.

Festyn najwyraźniej jeszcze się nie zaczął, chociaż elfy spacerowały i tańczyły już na łące w świetnych humorach, wszystkie poza jednym, który siedział na wysokiej tycze i drapał się z wielkim przejęciem.

- Wygląda na to, że przybyłam w radosnej dla was chwili - zauważyła Madouc. - Co to za okazja?

- Będziemy świętować ważne wydarzenie - powiedziała Twisk - uwolnienie Falaela od swędzenia po siedmiu latach. Król Throbius tak go ukarał za złośliwość i podstępne zachowanie. Klątwa wkrótce się wypełni do końca. Na razie Falael siedzi tam, na tej tycze, i drapie się z równym zacięciem jak zawsze. A teraz już cię pożegnaj, życząc ci szczęśliwej przyszłości.

- Zaczekaj! - krzyknęła Madouc. - Nie cieszysz się, że widzisz swoją ukochaną córkę?

- Wcale, jeśli mam być szczerą. Twoje narodziny były dla mnie męką, strasznie to przeżyłam, a twoja obecność przypomina mi o tych nieprzyjemnych chwilach.

Dziewczynka ściągnęła usta.

- Zapomnę o tym, co powiedziałaś, jeśli i ty zrobisz to samo.

Twisk zanosła się radosnym i dźwięcznym śmiechem.

- Dobrze powiedziane! Nieco mi poprawiłaś nastrój! Dlaczego tu jesteś?

- Z prozaicznego powodu. Potrzebuję matczynej rady.

- Właściwe i normalne! Jakie masz kłopoty? Z pewnością nie chodzi o problemy sercowe.

- Nie, matko! Chcę tylko znaleźć mojego ojca, abym wreszcie mogła poznać swój rodowód.

- Ten temat mnie nie interesuje! - krzyknęła cienkim głosem Twisk. - Dawno zapomniałam o tej okoliczności! Nic nie pamiętam!

- Z pewnością coś pamiętasz! - zawołała Madouc.

Twisk lekceważąco machnęła ręką.

- Chwila frywolności, śmiech, pocałunek. Po co ktoś miałby spamiętywać wszystkie te miejsca, daty, fazy księżyca i inne dane? Niech cię zadowolili wiedza, że podczas jednego z takich wydarzeń poczęłaś się ty. To powinno ci wystarczyć.

- Tobie, ale nie mnie! Chcę poznać swoje pochodzenie, a w tym wypadku oznacza to imię mojego ojca.

Twisk roześmiała się perłście, lecz z wyraźną złością.

- Nie pamiętam imienia własnego ojca, a co dopiero mówić o twoim.

- Ale dzięki memu ojcu masz takie urocze dziecko. To z pewnością musi nieco odświeżyć twoją pamięć.

- Hmm. Tak można by myśleć. - Twisk rozejrzała się po łące. - Poruszyłaś coś w moich wspomnieniach! Okazja, jak sobie przypominam, była wyjątkowa. Mogę ci powiedzieć, że... - Twisk spojrzała w kierunku lasu, w miejsce położone za plecami księżniczki. - Kim są te ponure obdartusy? Ich obecność nie wpłynie dobrze na nastroje podczas festynu!

Madouc odwróciła się i zobaczyła sir Pom-Poma, który podkraśl się po cichu i stał teraz za nią. Kawalek dalej, schowany nadal w cieniu lasu, stał Travante.

Odwróciła się do Twisk.

- To moi towarzysze. Oni również wyruszyli na poważne poszukiwania. Sir Pom-Pom szuka Świętego Graala, a Travante swojej młodości, którą zgubił, kiedy nie zwracał na nią uwagi.

- Gdybyś się za nimi nie wstawiła, już by gorzko żalowali, że tu przyszli! - rzuciła wyniośle Twisk.

Sir Pom-Pom, pomimo rozgniewanego spojrzenia Madouc, podszedł bliżej.

- Pani o srebrnych oczach, pozwól, że zadam ci następujące pytanie: gdzie powinienem szukać Świętego Graala?

- Ustal, gdzie się znajduje, i udaj się tam. Oto moja rada.

Travante, niepewny, czy otrzyma odpowiedź, również wyjawiał swój problem:

- Gdybyś mogła mi wskazać drogę do mej straconej młodości, byłbym ci bardzo wdzięczny.

Twisk wyskoczyła wysoko w powietrze, wykręciła piruet i opadła powoli na ziemię.

- Nie jestem rozwiązaniem wszystkich problemów na świecie. Nic nie wiem o chrześcijańskich naczyniach ani o utraconym czasie! A teraz cisza! Król Throbius wyszedł z pałacu i zaraz uwolni Falaela!

- Nie widzę nic poza smugami i drgającym powietrzem - mruknął sir Pom-Pom.

- Popatrz jeszcze raz! - wyszeptał zadziwiony Travante. - Wszystko robi się wyraźniejsze! Widzę zamek i tysiące kolorowych cudeniek!

- Teraz i ja to widzę! - przyznał równie zadziwiony sir Pom-Pom.

- Sza! Już ani słowa!

W zamku otwarły się wysokie, wysadzone perłami drzwi. Wolnym, stacynym krokiem wyszedł z nich król Throbius, a za nim w podskokach ruszyło kilkanaście pyzatyh elfów trzymających brzeg jego długiej, purpurowej peleryny. Król na tę okazję założył koronę zwieńczoną szesnastoma, wysokimi, srebrnymi szpilami wygiętymi na zewnątrz i kończącymi się migoczącymi kulkami białego ognia.

Król Throbius podszedł do balustrady, zatrzymał się i spojrzał na łąkę. Wszyscy stali cicho, nawet Falael przestał na chwilę się drapać i rozejrzał się przestraszony.

Król Throbius uniósł dłoń.

- Dzisiejszy dzień wyznacza nową epokę w naszym życiu; świętujemy dzisiaj powrót jednego z nas. Falaelu, zbłądziłeś! Wymyślałeś wiele paskudnych hultajstw, wiele z nich wprowadziłeś w życie! Za te występki zostałeś skazany na stan, który miał przynajmniej na jakiś czas zająć twoją uwagę, a innym dać wytchnienie od twoich złośliwości. Teraz, Falaelu, wzywam cię, abyś zwrócił się do wszystkich zgromadzonych i powiedział im o twoim odkupieniu! Mów! Czy jesteś gotowy na to, aby zdjęto z ciebie „Kłątę Swędzenia”?

- Jestem gotowy! - krzyknął Falael z zapalem. – Pod każdym względem, u góry i na dole, z prawej i z lewej, w środku i na zewnątrz. Jestem gotowy!

- Bardzo dobrze! Niniejszym więc...

- Jedną chwilę! - zawołał Falael. - Właśnie w tej chwili coś mnie strasznie swędzi i muszę się podrapać przed zdjęciem ze mnie kławy. - Z wielką energią Falael podrapał się pod brzuchem. - Teraz, Wasza Królewska Mość, jestem gotowy!

- Bardzo dobrze! Niniejszym zdejmuję z ciebie kławę i mam nadzieję, Falaelu, że nieprzyjemności kary przez jaką przeszedłeś, nauczyły cię dobroci, szacunku dla innych i opanowania, jak również położyły kres twoim złośliwym sztuczkom!

- Absolutnie, Wasza Królewska Mość! Wszystko się zmieniło! Będę od-tąd znany jako Falael Dobry.

- To szlachetne pragnienie, które w pełni popieram. Staraj się zawsze o tym pamiętać! Teraz zaś niech zaczną się festyn! Niech wszyscy się cieszą razem z Falaelem! Jeszcze tylko jedno słowo! Tam, jak widzę, stoją trzy istoty ze świata ludzi, dwóch śmiertelników i ukochana córka naszej drogiej Twisk! Ze względu na festyn mile ich witamy. Niech ich nikt nie molestuje ani się im nie psoci, bez względu na to, jakie byłoby to zabawne! Dzisiaj wszyscy bez wyjątku mają mieć dobre humory!

Król Throbius uniósł rękę w pozdrowieniu i wrócił do zamku.

Madouc grzecznie słuchała mowy króla Throbiusa. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Twisk właśnie oddała się tanecznym krokiem.

- Matko, gdzie idziesz? - zawołał z niepokojem.

Twisk spojrzała na nią zaskoczona.

- Idę się bawić i cieszyć razem z innymi! Będziemy tańczyć i pić całe mnóstwo naszego wina. Pozwolono się wam przyłączyć; idziecie?

- Nie, matko! Jeśli wypiję elfowe wino, to wpadnę w otepienie i kto wie, co się może ze mną potem stać.

- No dobrze, a czy zatańczycie z nami?

Madouc z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Słyszałam, że ci, którzy tańczą z elfami, nigdy nie mogą przestać. Nie będę nic piła, nie będę też tańczyła, sir Pom-Pom i Travante również.

- Jak chcecie. Wobec tego...

- Miałś mi coś powiedzieć o moim ojcu!

Sir Pom-Pom wyszedł do przodu.

- Mogłabyś również sprecyzować, jak znaleźć miejsce, w którym znajduje się Święty Graal, tak abym mógł tam pójść i znaleźć go.

- Mnie ucieszyłaby jakakolwiek wskazówka dotycząca mej zaginionej młodości - napomknął z wahaniem Travante.

- Drażnicie mnie - rzuciła zdenerwowana Twisk. - Musicie poczekać na inną okazję.

Księżniczka odwróciła się w stronę zamku i krzyknęła:

- Królu Throbusie! Królu Throbusie! Gdzie jesteś? Proszę przyjdź tu, zaraz, jeśli łaska!

Twisk aż odskoczyła zaniepokojona.

- Dlaczego się tak dziwnie zachowujesz? Brak ci ogłady!

Usłyszały głęboki głos. Oto obok nich stał sam król Throbius.

- Kto wykrzykuje moje imię, jak gdyby znajdował się w strasznym niebezpieczeństwie?

- Wasza Królewska Mość, to było tylko dziewczęce podekscytowanie - odezwała się jedwabistym głosem Twisk. - Przepraszamy, że cię zaniepokoiłyśmy.

- Wcale nie - oświadczyła Madouc.

- Nic nie rozumiem - powiedział król Throbius. - Nie byłaś podekscytowana czy nie chcesz mnie przeprosić?

- Ani jedno, ani drugie, Wasza Królewska Mość.

- No cóż, dlaczego więc tak rozpaczliwie krzyczałaś?

- Prawdę mówiąc, Wasza Królewska Mość, pragnęłam poradzić się mojej matki w twojej obecności, tak byś mógł dopomóc jej przypomnieć sobie co nieco.

Król Throbius skinął głową.

- A jakichż to wspomnień chciałabyś wysłuchać?

- Chodzi mi o tożsamość mojego ojca i szczegóły mojego rodowodu.

Król Throbius spojrzał groźnie na Twisk.

- Jak sobie przypominam, to wydarzenie nie przyniosło ci zbytnej chluby.

- Nic z niego nie wynikało - powiedziała Twisk, teraz już zupełnie załamana. - Zdarzyło się, co się zdarzyło, i na tym koniec.

- A szczegóły? - zapytała Madouc.

- Nie jest to opowieść dla tak młodych uszu - zauważył król Throbius. - Ale w tym wypadku musimy zrobić wyjątek. Twisk, opowiesz nam tę historię czy ja mam to zrobić?

- To co się stało było równie absurdalne, jak żenujące - odparła ponuro Twisk. - Nie chciałabym strzepić języka na temat czegoś, co nie było wcale chwalebne, toteż wolę nic nie mówić.

- Wobec tego ja przypomnę tę historię. Na początek chciałbym zauważyć, że zażenowanie jest drugą stroną próżności.

- Czuję głęboki podziw dla siebie - powiedziała Twisk. - Czy to jest próżność? To sprawa dyskusyjna.

- To określenie może do ciebie pasować lub nie. Teraz cofnę się parę lat wstecz. Twisk, tak jak i teraz, uważała się wtedy za wielką piękność. Zresztą rzeczywiście nią była i jest nadal. W swej bezmyślności rozzłościła i skrzywdziła trolla Mangeona wystawiając się najpierw na pokaz, a potem umykając zwinnie z jego objęć i bawiąc się świetnie jego wyrzutami. Mangeon w końcu się strasznie rozzłościł i postanowił ją ukarać za jej sztuczki. Pewnego dnia podszedł ją, kiedy się tego zupełnie nie spodziewała, zaciągnął ją drogą Wamble do szlaku Munkins, a następnie przypiął ją łańcuchami do słupa o nazwie Idilra, który stoi przy rozstajach. Mangeon rzucił na nią zakłęcie, które miało dopóty trzymać ją w łańcuchach, dopóki nie namówi trzech przechodniów, aby zgodzili się na jej erotyczne zabawy. Twisk opowie, co stało się później, jeśli jej to odpowiada.

- Nie odpowiada mi to - odparła gniewnie Twisk. - Ale w nadziei, że moja córka Madouc nauczy się czegoś na moich błędach, powiem co się stało.

- Mów - nakazał jej król Throbius.

- Nie ma tu wiele do opowiadania. Pierwszy przechodził tamtędy sir Jaucinet z zamku Cloud w Dahaucie. Był szarmancki i sympatyczny, i zostałby pewnie dłużej, niż to było naprawdę konieczne, ale w końcu odprawiłam go, ponieważ zaczynało zmierzchać, a nie chciałam, aby odstraszył innych wędrowców. Drugi przechodził Nisby, wiejski chłopak wracający z pracy na polu. Pomógł mi w dość grubiański, choć żywiołowy sposób. Nie marnował później czasu, ponieważ, jak powiedział, spodziewał się bekonu na kolację. Rozpaczliwie chciałam się uwolnić przed zapadnięciem nocy i z ulgą zobaczyłam, jak odchodzi. Niestety, rozczarowałam się! Nadszedł wieczer. Na niebie pojawił się księżyc w pełni. Świecił na ziemię jasno jak tarcza z polerowanego srebra. Na drodze zobaczyłam ciemną postać, ubraną na czarno, w kapeluszu o szerokim rondzie, osłaniającym jej twarz przed

światłem księżyca, tak że nie mogłam dostrzec rysów twarzy. Podeszedł powoli, zatrzymując się co trzy kroki, może z ostrożności, a może z leniwego nawyku. Uznałam, że jest pozbawiony jakiegokolwiek wdzięku, i nie zawołałam go, aby wybawił mnie z więzów. Niestety, zobaczył mnie w świetle księżyca i nagle się zatrzymał, aby mi się przyjrzeć. Ani jego postawa, ani milczenie nie uspokoiły mnie. Z powodu łańcucha nie mogłam jednak stamtąd odejść, pogodziłam się więc z przykrą koniecznością. Powoli i ostrożnie czarny wędrowiec zbliżył się i w końcu ulżył sobie na mnie. Nisby był żywiołowy, sir Jaucinet elegancki, zaś ta ciemna kreatura potraktowała mnie z furją pozbawioną jakichkolwiek sentymentów, nawet nie zdejmując kapelusza. Nie powiedział, jak ma na imię, nawet nie rzucił uwagi na temat pogody. Moja odpowiedź w tych okolicznościach ograniczyła się do okazania mu zimnego obrzydzenia.

Wreszcie skończył ze mną i byłam wolna. Odszedł w świetle księżyca, jeszcze wolniejszym i bardziej zamyślnym krokiem niż poprzednio. Ja pospieszyłam do Thripsey Shee.

W tym momencie do króla Throbiusa podeszła królowa Bossum prezentująca się wspaniale w sukni z szafirowych błyskotek i jasnej pajęczyny. Król odwrócił się do niej i powitał ją z całym szacunkiem.

Twisk ciągnęła dalej.

- We właściwym czasie urodziłam dziecko, które z powodu swego pochodzenia nie przyniosło mi ani dumy, ani przyjemności. Przy pierwszej sposobności i bez wielkiego żalu zamieniłam ją na niemowlaka o imieniu Dhrun, a resztę wszyscy znają.

Madouc smutno westchnęła.

- Sprawa zagmatwała się jeszcze bardziej. Do kogo mam się udać w poszukiwaniu rodowodu? Do Nisby'ego? Do sir Jaucineta? Do tej ciemnej, ponurej, istoty? Czy to musi być ktoś z nich?

- Tak myślę - powiedziała Twisk. - Ale niczego nie gwarantuję.

- To jeden wielki bałagan - skonstatowała księżniczka.

- Przeszłość jest przeszłością, zaś terażniejszość jest terażniejszością, a teraz mamy festyn! - odparła rozdrażniona Twisk. - Powietrze aż drży z radości. Popatrz, jak elfy tańczą i śpiewają! Zobacz, jak Falael skacze i wywija koziołki z radości! Cieszy się z odzyskanej wolności!

Madouc spojrzała na Falaela.

- Rzeczywiście, jest bardzo żwawy. Jednakże, droga matko, zanim dołączysz do tej zabawy, potrzebuję jeszcze jednej rady!

- Udzielę ci jej i to z przyjemnością. Radzę ci jednak, abyś natychmiast opuściła Szaloną Łakę. Dzień ma się ku końcowi i wkrótce zaczną grać muzycy. Jeśli tu zamarudzicie, możecie zostać zmuszeni do spędzenia tu całej nocy, co może się dla was źle skończyć! Dlatego też pożegnaj się teraz z wami!

Król Throbius skończył wymieniać grzeczne uwagi z królową Bossum. Odwrócił się akurat w momencie, gdy Twisk udzielała Madouc rady, i rozgniewał się.

- Twisk, rozkazuję ci zostać! - zawołał i ruszył do przodu.

Dwanaście pyzatyh elfów, które trzymały jego pelerynę, pobiegło za nim w podskokach, aby dotrzymać mu kroku.

Król Throbius zatrzymał się i statecznym gestem upomniał Twisk.

- Twisk, twoje zachowanie dzisiejszego dnia, tak dla nas radosnego, jest zupełnie nie na miejscu. W Thripsey Shee takie słowa jak „wierność”, „prawda” i „lojalność” to nie puste dźwięki, o których można zapomnieć przy pierwszej sposobności. Musisz spełnić swój obowiązek wobec córki, bez względu na jej małe dziwactwa.

Twisk rozłożyła ręce w geście bezradności.

- Sire, w pełni odpowiedziałam na jej pytanie. Przybyła tu nie mając żadnego rodzica poza mną. Teraz może wybrać jednego spośród trzech ojców, a z nim dogodny rodowód. Trudno byłoby mi zapewnić większy wybór i zachować przy tym odrobinę godności.

Król Throbius skinął głową z przemyślaną aprobatą.

- Pochwalam twoją delikatność.

- Dziękuję, Wasza Królewska Mość! Czy mogę teraz dołączyć do innych?

- Jeszcze nie! Na razie zgodziliśmy się co do tego, że Madouc ma duży wybór. Dowiedzmy się teraz, czy czuje się usatysfakcjonowana.

- Wcale nie! - krzyknęła Madouc. - Jest gorzej, niż było przedtem.

- Jak to?

- Mam wybór, ale dokąd mnie to prowadzi? Boję się myśleć, że mój rodowód mógłby mieć jakiś związek z tą czarną kreaturą.

- Aha! Chyba rozumiem, o co ci chodzi! - Król Throbius zwrócił się do Twisk. - Czy potrafisz rozwiązać ten problem, czy mam interweniować?

Twisk wzruszyła ramionami.

- Moje wysiłki najwyraźniej spełzyły na niczym. Madouc, Jego Królewska Mość zaoferował swoją pomoc. Sugeruję, abyś zgodziła się ją przyjąć dopiero wtedy, kiedy się dowiesz, czego oczekuje w zamian. To moja matczyzna rada.

- W ten radosny dzień zrobię to, co powinno być zrobione, i nie będę żądał niczego w zamian! - rzucił ostro król Throbius. - A teraz posłuchaj moich instrukcji. Sprowadź mi tu tych trzech pretendentów do roli twojego ojca: Nisby'ego, sir Jaucineta i tę ciemną istotę. Postaw ich tutaj jeden obok drugiego. W oka mgnieniu stwierdzę, który jest twoim ojcem, i sprawdzę jego rodowód.

Madouc zastanawiała się przez chwilę.

- Dobrze, ale co zrobię, jeśli oni nie zgodzą się przyjść ze mną do Thripsey Shee?

Król Throbius pochylił się i podniósł kamyk. Dotknął nim czoła, potem nosa, brody, a w końcu czubka swego elfiego języka. Podał kamyk Madouc.

- Kogokolwiek dotkniesz tym kamieniem, będzie musiał pójść za tobą i wypełniać twoje rozkazy, dopóki nie dotkniesz ponownie jego pleców tym samym kamieniem i nie powiesz: „Odejdź!” W ten sposób spowodujesz, że wszyscy trzej przyjdą tutaj razem z tobą.

- Dziękuję, Wasza Królewska Mość! Jeszcze tylko jedna, mała sprawa.

- Cóż takiego?

- Gdzie znajdę tych trzech osobników?

Król Throbius zmarszczył brwi.

- To rozsądne pytanie. Twisk, masz jakiś pomysł?

- Wasza Królewska Mość, nie wiem nic na pewno. Nisby przyszedł od strony Dillydown. Sir Jaucient wspomniał o zamku Cloud w Dahaucie. Jeśli chodzi o trzeciego, to zupełnie nic o nim nie wiem.

Król Throbius skinął na Twisk i odeszli na bok. Rozmawiali przez parę chwil, po czym wrócili do Madouc.

- Również ten problem można rozwiązać.

- To dobra nowina! - powiedziała księżniczka. - Moja droga matka Twisk zgodziła się ich poszukać?

Król Throbius podniósł rękę, aby zapobiec krzykowi Twisk.

- Dyskutowaliśmy o tym, ale porzuciliśmy ten pomysł. Nasz plan jest bardziej przebiegły! Nie będziesz szukać tych trzech osobników. Zamiast tego oni będą musieli znaleźć ciebie!

Madouc rozchyliła usta ze zdziwienia.

- Nie rozumiem.

- Oto plan. Obwieszczę wszem i wobec pewną informację. Bosnip! Gdzie jest Bosnip!

- Tu jestem, Najjaśniejszy Panie!

- Dokładnie spisz to, co teraz powiem. Jesteś gotowy?

Nadworny skryba Bosnip dobył kawałka papieru z morwowego drzewa, flaszkę atramentu z czarnego żuka i długie krucze pióro.

- Sire, jestem gotowy!

- Oto dekret. Spisz go najładniej jak potrafisz.

„Czy ktoś potrafi zapomnieć karę, jaką musiała odbyć dumna i wyniosła Twisk przy słupie Idilra? Teraz jej równie piękna córka musi również zostać ukarana. Czyż to nie szkoda? Prowokowała, była złośliwa, a potem chowała się w ukryciu podobnie jak Twisk. Kara będzie sprawiedliwa. Zostanie ona, podobnie jak Twisk, przywiązana do słupa Idilra i będzie tkwiła dopóty, dopóki jej nie wyzwoli jakiś sympatyczny przechodzień.

Tak rozkazuję ja, król Throbius z Thripsey Shee”.

Bosnip pisał w skupieniu, tylko czubek czarnego, kruczego pióra drapał po papierze, jak błyskawica przesuwając się w tę i z powrotem.

- Zapisaleś wszystko? - zapytał król Throbius.

- Dokładnie, sire!

- Taki wobec tego będzie mój dekret - powiedział król Throbius. - Obwieści się go wszystkim z wyjątkiem ogrów Fuluota, Carabara i Goisa oraz trzygłowego Throopa. Usłyszy o tym Nisby, sir Jaucinet oraz czarna istota, jakkolwiek by się nazywała.

Kiedy Madouc słuchała dekretu, usta otworzyły się jej szeroko z oszołomienia. W końcu zapytała zduszonym głosem:

- To jest ten przebiegły plan? Mam być przywiązana do słupa i poddana takim obrzydliwym czynom?

Król Throbius wyjaśnił jej szczegóły planu z cierpliwością, choć nieco już znużonym głosem.

- Sądzimy, że trzy osoby, które uwolniły Twisk, będą chciały w podobny sposób pomóc tobie. Kiedy się zbliżą oferując swe usługi, wystarczy, żebyś ich dotknęła kamykiem, aby były ci posłuszne.

Madouc odkryła słaby punkt planu.

- Czy nie zauważyłeś, sire? Brak mi przymiotów mojej matki Twisk! Czy którykolwiek z nich zechce się w ogóle zbliżyć do słupa? Widzę już, jak szybko nadchodzą, zauważają mnie i zatrzymują się, po czym biegiem wracają, skąd przyszli, nie przejmując się zupełnie tym, czy ktoś mnie wyzwoli czy nie.

- Bystra uwaga - zauważył król Throbius. - Rzucę na ciebie zaklęcie, tak że ludzie będą tobą oczarowani i wezmą cię za powabną istotę.

- Hmm - odezwała się Madouc. - Przypuszczam, że nic innego nie da się tu chyba zrobić.

- To dobry plan - stwierdziła Twisk.

Dziewczynka nie była tak do końca o tym przekonana.

- A jeśli wydarzenia potoczą się w jakimś nieprzewidzianym kierunku? Na przykład gdyby kamyk stracił swoją moc, a ja chcąc nie chcąc zostałam bym wyzwolona, nie potrzebując zupełnie takiej pomocy?

- Musimy podjąć to ryzyko - powiedział król Throbius. Podeszedł bliżej, pstryknął palcami nad głową Madouc, wy, mrucał zaklęcie o dziewiętnastu sylabach i dotknął jej brody, po czym się cofnął. - Czar został rzucony. Żeby zadziałał, musisz pociągnąć się za lewe ucho prawą ręką. Żeby zniweczyć jego działanie, pociągnij za prawe ucho palcami lewej ręki.

- Mam teraz spróbować? - zapytała zaciekawiona Madouc.

- Jak chcesz! Zauważysz zmianę tylko po tym, jak działać będzie na innych. Ty sama się nie zmienisz.

- Dobrze, wypróbuję więc ten czar, tak na wszelki wypadek. - Madouc pociągnęła za lewe ucho palcami prawej dłoni, a potem odwróciła się do sir Pom-Poma i Travante.

- Czy widzicie jakąś zmianę?

Sir Pom-Pom wziął głęboki oddech i zacisnął zęby.

- Zmieniłaś się zupełnie.

Travante dziko, choć starając się opanować, machnął ręką.

- Opiszę ci, jak teraz wyglądasz. Jesteś smukłą dziewczyną o doskonałych, jeśli nie lepszych kształtach. Masz oczy niebieskie jak ciepłe letnie morze. Są zniewalające i sympatyczne, a spoglądają ze słodkiej twarzyczki, bystrej i sprytniej, po prostu fascynującej. Twe miękkie miedzianozłote loki opadają dookoła twarzy i pachną delikatnym perfumem z cytrynowych kwiatów. Wyglądasz wystarczająco pięknie, aby powalić na ziemię silnego mężczyznę. Zaklęcie niewątpliwie działa.

Madouc pociągnęła się za prawe ucho palcami lewej dłoni.

- Jestem znowu sobą?

Tak - przyznał z zalem w głosie sir Pom-Pom. - Jesteś taka jak zawsze.

Madouc odetchnęła z ulgą.

- Pod tym zaklęciem czuję się dość niepewnie.

Król Throbius uśmiechnął się.

- Musisz się nauczyć je ignorować, skoro w twoim wypadku jest ono niczym więcej, jak odbiciem niedalekiej przyszłości. - Spojrzał na niebo i skinął ręką. Na dół zleciał mały zielony elf z cieniutkimi jak mgiełka skrzydłami. Król Throbius wydał mu polecenia:

- Zbierz swoich kuzynów i rozlećcie się na wszystkie strony. Postarajcie się, aby wszystkie istoty w okolicy, z wyjątkiem trzygłowego Throopa, Fuluota, Carabara i Goisa, poznały treść dekretu, który Bosnip wam odczyta. Przede wszystkim powinni go usłyszeć: sir Jaucinet z zamku Cloud, chłop Nisby oraz istota bez twarzy, która włóczy się przy świetle księżyca w kapełuszu o szerokim rondzie.

Elf odleciał. Król Throbius z powagą skłonił się księżniczce.

- Myślę, że uda ci się zrealizować ten plan bez większych pomyłek czy utrudnień. A we właściwym czasie... - Jego uwagę przyciągnęło nagle zamieszanie na łące.

- Czy to możliwe? Shemus i Womin, dwaj wysocy dygnitarze, kłócą się ze sobą! - powiedział zdziwiony, po czym ruszył w ich kierunku tak żwawo, że jego peleryna poderwała się w powietrze i pociągnęła za sobą trzymające ją elfy.

Król Throbius podszedł do długiego stołu zastawionego różnymi przysmakami: winami i likierami w kolorowych, szklanych butelkach, pasztecikami przyprawianymi pyłkiem iż żonkili, ciasteczkami z rodzynkami, jabłkami w lukrze, galaretkami oraz nektarami z róż i fiołków. Zamieszanie przy stole doszło do szczytu, zaczęły padać razy, uderzenia i przekleństwa. Ośrodkiem tego rwetesu byli: nadworny archiwista Shemus oraz mistrz rytuałów Womin. Shemus jedną ręką złapał Womina za brodę, a drugą walił go w głowę drewnianym kubkiem, z którego przedtem pił chmielowe piwo.

- Cóż to za ohydna bójka? - zapytał ostrym głosem. - Nie przystoi się tak zachowywać w taki radosny dzień!

- Sire, zgodziłbym się z tobą pod każdym względem, gdybym nie został w tak poniżający sposób obrażony przez tego starego szczurzego padlinozercę - krzyknął z pasją Shemus.

- Co się stało? Chcę znać fakty!
- Opiem z przyjemnością! Ten upadły archiwista postanowił zrobić mi obrzydliwą sztuczkę. Kiedy się na chwilę odwróciłem, wrzucił mi swoją śmierdzącą skarpetę do kubka z piwem.

- Co cię do tego skłoniło? - zwrócił się Throbius do Womina.

- Nic!

- Nic?

- Nic! A to z tego powodu, że to nie ja zrobiłem mu takie świństwo! To oskarżenie to podła kalumnia! Tam siedzi Falael, który widział, co się stało; on potwierdzi, że jestem niewinny.

Król Throbius odwrócił się.

- A więc, Falaelu, powiedz nam, co wiesz.

- Plotłem wianek ze stokrotek - odparł Falael. - Byłem tak skupiony na tej pracy, że nie widziałem nic istotnego.

- Mimo to jestem niewinny - oświadczył Womin. - Biorąc pod uwagę moją reputację stwierdzam, że tylko ktoś z garnkiem sera zamiast głowy mógłby myśleć inaczej.

- Wcale nie! - rzucił wściekle Shemus. - Jeśli jesteś niewinny, dlaczego masz na nogach tylko jedną skarpetę? Dlaczego ta skarpetka, którą znalazłem w moim piwie, jest w takim samym kolorze, jak ta na twojej nodze?

- To tajemnicza sprawa - stwierdził Womin. - Wasza Królewska Mość, wysłuchaj mnie. Winny jest ten stary ropuch z brzuszyskiem pełnym piwa, który rzuca się tutaj jak wściekła osa! Uderzył mnie kilkanaście razy w głowę, w tym samym czasie mocząc moją skarpetę w swoim odrażającym trunku i zaciągając się z przyjemnością jej zapachem.

Shemus rzucił się na niego z furią.

- On mnie tylko coraz bardziej prowokuje, zasłużył sobie jeszcze przynajmniej na dwa ciosy! - Shemus waliłby Womina dalej, gdyby król Throbius nie podszedł do nich i nie krzyknął:

- Koniec z tymi głupotami! Najwyraźniej zaszła tu jakaś pomyłka. Nie ciągnijmy tego dalej!

Womin i Shemus odwrócili się do siebie plecami i zapanował spokój. Król Throbius podszedł znowu do Madouc.

- Na razie się z tobą pożegnaj - powiedział do niej. - Kiedy powrócisz z tymi trzema dżentelmenami kandydującymi do roli twojego ojca, bo tak chyba musimy ich nazwać, wtedy szczegółowo wybadamy ich pochodzenie i poznasz swój rodowód.

Sir Pom-Pom nie mógł się dłużej powstrzymać.

- Proszę, Wasza Królewska Mość! Ja również potrzebuję pomocy! Jak mam znaleźć Świętego Graala?

Król Throbius zaskoczony spojrział na Twisk.

- Cóż to jest ten „Święty Graal”?

- Coś słyszałam o tym przedmiocie, Najjaśniejszy Panie. Dawno temu sir Pellinore mówił o czymś takim. To jest chyba kubek albo coś w tym rodzaju.

- To święty kielich chrześcijan - powiedział sir Pom-Pom. - Bardzo chciałbym go znaleźć, chcę bowiem zasłużyć na królewską nagrodę.

Król Throbius pogładził się po brodzie.

- Nic o tym nie wiem. Musisz dowiadywać się gdzie indziej.

Travante również odważył się zapytać:

- Może Wasza Królewska Mość będzie mógł mi powiedzieć, gdzie mógłbym szukać mojej straconej młodości.

Król Throbius znowu pogładził się po brodzie.

- Zapodziała się gdzieś czy naprawdę zaginęła? Pamiętasz coś istotnego?

- Niestety nie, Wasza Królewska Mość. Miałem ją i nagle okazało się, że już jej nie mam. Zniknęła.

Król Throbius z powątpiewaniem potrząsnął głową.

- Zanedbana na tak długo, może być gdziekolwiek. Musisz uważać podczas podróży. Powiem ci tylko tyle: jeśli ją znajdziesz, bądź zwinny! - Król Throbius sięgnął ręką w powietrze i złapał srebrną pętlę o dwóch stopach średnicy. - Jeśli znajdziesz to, czego szukasz, złap to w tę pętlę. Należała ona kiedyś do nimfy Atalanty i sama w sobie jest wielką ciekawostką.

- Dziękuję, Wasza Królewska Mość - powiedział Travante i ostrożnie zawiesił pętlę na ramieniu.

Król Throbius i królowa Bossum statecznie uklonili się na pożegnanie i odeszli na łąkę. Kiedy się tam zbliżali, przy stole wybuchło nowe zamieszanie i znowu był w nie wplątany Womin. Rozległy się krzyki i wrzaski, czyniono gniewne gesty. Wyglądało na to, że ktoś bardzo przebiegły i złośliwy zabrał Wominowi jego drugą skarpetę i przyczepił ją do spinki na pięknej fryzurze panny Batinki, gdzie furkotała czyniąc upokarzające przedstawienie. Kiedy Batinka zorientowała się, co się stało, napadła na Womina i uszczypnęła go w nos. Zazwyczaj łagodnie usposobiony Womin posłuchał

podszepu Falaela i zemścił się wpychając twarz Batinki do puddingu. W tym momencie wkroczył między nich król Throbius. Batinka oskarżyła Womina o paskudne zachowanie, a ten zaprzeczył wszystkiemu poza skorzystaniem z puddingu. Raz jeszcze powołał się na Falaela, jako na świadka, który może potwierdzić jego niewinność. Król Throbius ponownie zwrócił się do Falaela, ale ten - podobnie jak przedtem - oświadczył, że zajęty był plecieniem łańcucha ze stokrotek i na nic innego nie zwracał uwagi.

Król Throbius zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział do Falaela:

- Gdzie jest ten stokrotkowy łańcuch, który pochłonął cię tak bez reszty?

Falaela zaskoczyło tak niespodziewane pytanie. Spojrzał tu i tam, w końcu krzyknął:

- Aha! Tu jest!

- Hmm. Jesteś pewien?

- Oczywiście!

- I obstajesz przy tym, że kiedy trwały te dwa zajścia, w które zamieszany jest Womin, ty przez cały czas byłeś tak zajęty tymi stokrotkami, że nawet nie podnosiłeś wzroku?

- Tak musiało być, ponieważ przykładam dużą wagę do szczegółowego wykończenia.

- Widzę dziewięć kwiatów w tym wianku. To są nagietki, a nie stokrotki. Co powiesz na to?

Falael spoglądał niepewnie na wszystkie strony.

- Nie zwracałem na to większej uwagi, Wasza Królewska Mość.

- Falaelu, dowody wskazują na to, że nie byłeś szczerzy, fałszywie świadczyłeś, płatałeś innym złośliwe psikusy i próbowałeś oszukać swojego króla.

- To z pewnością musi być pomyłka, sire! - powiedział Falael z wyrazem nieprzekonywującej niewinności na twarzy.

Król Throbius nie dał się oszukać. Grobowym głosem i wbrew gorącym zapewnieniom Falaela nałożył na niego karę kolejnych siedmiu lat swędzenia. Falael żałośnie poszedł usiąść na tyczce i na nowo zaczął się drapać w drażliwych miejscach.

- Niech festyn toczy się dalej - zawołał król Throbius. - Teraz jednak musimy to uznać za święto nadziei raczej niż satysfakcji.

Tymczasem Twisk żegnała się z Madouc i jej towarzyszami.

- Miło było cię znowu widzieć! Może jeszcze pewnego dnia...

- Ależ moja dobra matko! - krzyknęła dziewczynka. - Czy już zapomniałaś? Wkrótce wrócę do Thripsey Shee!

- To prawda – westchnęła Twisk - przyjmując, że unikniesz niebezpieczeństw czyhających w lesie.

- Czy ten las jest taki straszny?

- Czasami jest słodki i czysty - powiedziała Twisk - a czasami zło czai się za każdym pnem i kamieniem. Nie zapuszczajcie się na blocka, które graniczą z drogą Wamble, bo wyjdzie z nich dłużoszyi heceptor. W wąwozie niedaleko stąd mieszka troll Mangeon; jego również unikajcie. Nie idźcie na zachód, drogą Munkins, bo trafilibyście do zamku Doldil, gdzie mieszka trzygłowy ogr Throop. Złapał wielu dzielnych rycerzy, jeszcze więcej pożarł, być może nawet przystojnego sir Pellinora.

- A gdzie mamy spać w nocy?

- Nie zgadzajcie się na żadną gościnę! Drogo to będzie was kosztować! Weź tę chusteczkę. - Twisk podała jej kwadracik biało-różowego jedwabiu. - O zachodzie słońca połóż ją na ziemi i zawołaj: „Aroisus!”. Zamieni się wtedy w wygodny i bezpieczny domek. Rankiem zawołaj „Deplecus!”, a domek na nowo stanie się chusteczką. A teraz...

- Poczekaj... Którędy się idzie do Idilra Post?

- Musicie przejść przez łąkę i pod tamtą wysoką brzozą. Kiedy będziecie tamtędy przechodzić, nie zwracajcie uwagi na festyn! Nie pijcie wina, nie jedzcie elfich ciastek, nawet nie ruszajcie palcami w takt naszej muzyki! Za brzozą droga Wamble prowadzi na północ, dwanaście mil dalej traficie na skrzyżowanie z drogą Munkins, a tam właśnie stoi słup Idilra, gdzie tyle wycierpiałam.

- Mimo wszystko, było to szczęśliwe zdarzenie, skoro w konsekwencji znalazłam się na tym świecie i mogę cię pocieszyć - powiedziałam łagodnym głosem Madouc.

Twisk nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Czasami potrafisz być bardzo przekonywająca, z tymi twoimi smutnymi, błękitnymi oczyma i dziwną, drobną twarzą. A zatem do widzenia i uważajcie na siebie!

Madouc, sir Pom-Pom oraz Travante przeszli przez Szaloną Łąkę i pod wysoką brzozą, a następnie ruszyli na północ drogą Wamble. Kiedy słońce było już bardzo nisko, Madouc położyła chusteczkę na trawie na małej polance przy drodze i zawołała: „Aroisus!”. Chusteczka natychmiast zamieniła się w domek, w którego wnętrzu znaleźli trzy wygodne łóżka i stół zastawiony dobrym jedzeniem oraz fiaszkami wina i piwa.

W nocy z lasu dochodziły ich dziwne dźwięki, parę razy słyszeli ciężkie kroki na drodze Wamble. Za każdym razem to coś zatrzymywało się i zapewne przyglądało domkowi, a następnie, po chwili zastanowienia, szło dalej drogą zajęte własnymi sprawami.

IV

Poranne światło przedostało się przez korony drzew i rozświetliło białoróżowy, jedwabny domek. Madouc, sir Pom-Pom i Travante wstali z łóżek. Na zewnątrz na trawie lśniła rosa. W lesie panowała cisza przerywana pojedynczymi, ptasimi trekami.

Zjedli śniadanie przy obficie zastawionym stole, po czyni przygotowali się do dalszej podróży. Madouc zawołała: „Deplecus!” i domek upadł na ziemię w postaci chusteczki, którą wcisnęła do swojej sakiewki.

Ruszyli drogą Wamble, a sir Pom-Pom i Travante uważnie rozglądali się w poszukiwaniu obiektów swych pragnień, tak jak im kazał król Throbius.

Drogę pokrywało kłaskające, czarne błoto, przez które przepływały wąskie strużki wody. Z mazi wystawały gdziegdzie kępy trawy, trzciny i innej roślinności. Niekiedy pomiędzy nimi leżały zwalone pnie spróchniałych wierzb lub olch. Na powierzchni bagniska bulgotały błotniste bąble, a od strony jednej z większych kęp dochodził skrzeczący głos nieznannej istoty. Trzej wędrowcy tylko przyspieszyli kroku i bez większych trudności zostawili za sobą bagnisko.

Droga Wamble skręciła trochę, aby ominąć strome wzgórze o czarnym, bazaltowym szczycie. Ścieżka wyłożona czarnymi kamieniami prowadziła do cienistego wąwozu. Obok niej stała tablica z napisem nabazgranym czarnymi i czerwonymi literami. Przechodzący mogli przeczytać dwie zwrotki nieudolnego wierszyka:

UWAGA!

*Strzeżcie się, podróżni! Oto wiadomość:
Mangeon Wspaniały tu mieszka!
Jego wrogowie drżą, kiedy wpada w złość,
A za jego zdrowie piwo pije koleżka.*

*Nikt się nie oprze jego urodzie,
Jego dotyk damy zniewala, sprawia, że wzdychają,
Błagają go o pieszczoty, płaczą gdy odchodzi,
jego imię mruczą zasypiając.*

Przeszli obok tablicy i kamiennej ścieżki nie zwalniając zbytnio kroku i poszli dalej na północ drogą Wamble.

Zbliżało się południe, kiedy dotarli do skrzyżowania ze szlakiem Mun-kins. Przy rozstajach stał masywny, żelazny słup. Miał niemal stopę średnicy i był na osiem stóp wysoki.

Madouc przyjrzała mu się z niechęcią.

- To wszystko nie za bardzo mi się podoba. Wygląda jednak na to, że muszę wziąć udział w tej szaradzie, bez względu na uprzedzenia.

- Przecież po to tu chyba przyszedłeś? - burknął sir Pom-Pom.

Madouc nie zwróciła nań uwagi.

- Teraz skutecznie zakłęcie! - Uszczypnęła się w lewe ucho palcami prawej dłoni, po czym spojrzała na towarzyszy.

- Czy działa?

- Zauważalnie - powiedział Travante. - Stałaś się dziewczęciem wielkiej urody.

Sir Pom-Pom zapytał:

- Jak przywiążesz się do słupa, skoro nie mamy ani liny, ani łańcucha?

- Obejdziemy się bez tego - zdecydowanie odpowiedziała. - Jeśli ktoś będzie o to pytał, wymyślę jakąś wymówkę.

- Trzymaj twój magiczny kamień w ręce i uważaj, żeby go nie upuścić - ostrzegął ją Travante.

- Dobra rada - przyznała Madouc. - Idźcie teraz, żeby was nikt nie widział.

Sir Pom-Pom zaczął utrudniać sprawę, chciał bowiem ukryć się w pobliskich zaroślach, tak by widzieć, co się będzie działo, ale ona nie chciała o tym słyszeć.

- Idźcie stąd natychmiast! Nie pokazujcie się, dopóki was nie zawołam! Co więcej, nie wolno wam podglądać, bo ktoś jeszcze mógłby was zobaczyć!

- Cóż takiego będzie się tu działo, że musisz to trzymać w takiej tajemnicy? - zapytał rozgoryczony sir Pom-Pom.

- To już nie twoja sprawa!

- Nie jestem tego taki pewien, skoro mam zdobyć królewską nagrodę

- wyszczerzył zęby w podstępny uśmiech. - Tym bardziej, że możesz skorzystać z tego zaklęcia.

- Nagroda nie będzie obejmowała mojej osoby. Możesz być spokojny, jeśli o to chodzi! A teraz idź sobie, bo dotknę cię tym kamieniem, a wtedy i tak będziesz musiał pójść!

Sir Pom-Pom i Travante odeszli na zachód drogą Munkins aż do zakrętu. Tam, kilka jardów od drogi, odkryli małą polankę i usiedli na pniu, tak że żaden przechodzień nie mógł ich zobaczyć.

Madouc została sama na skrzyżowaniu. Rozejrzała się we wszystkich kierunkach i nasłuchiwała uważnie. Nic się nie działo. Podeszła do słupa i trochę tchórzliwie pod nim usiadła.

Minęło trochę czasu, ciągnęły się minuty, potem godziny. Słońce stanęło w zenicie, potem zaczęło opadać na zachód. Nikt nie przechodził, nikt się nie pojawił, poza ukradkowo wyglądającym zza zakrętu sir Pom-Pomem, który chciał zobaczyć, co się stało, jeśli w ogóle coś się stało. Madouc narzeczyła na niego i wysłała go z powrotem na polankę.

Minęła kolejna godzina. Od wschodu dobiegło ją czyjeś słabe gwizdanie. Melodyjka była żywa, choć urywana, jakby gwizdający nie był tak do końca pewny siebie.

Wstała i czekała. Gwizdanie robiło się coraz głośniejsze. Drogą Munkins nadszedł młody mężczyzna, krępy i postawny, o szerokiej, łagodnej twarzy i strzesze orzechowych włosów. Jego strój i ubrudzone buty wskazywały na to, że jest chłopem obeznanym zarówno z polem, jak i z chlewem.

Doszedłszy do skrzyżowania stanął i przyjrzał się Madouc ze szczerą ciekawością. W końcu powiedział:

- Dziewczyno, czy jesteś tu wbrew swojej woli? Nie widzę żadnego łańcucha!

- To jest magiczny łańcuch, a nie mogę się odeń uwolnić, dopóki trzy osoby nie zechcą mi pomóc, i to w raczej niekonwencjonalny sposób.

- Czyżby? A jaką straszną zbrodnię mogła popełnić taka śliczna istota?

- Winna jestem trzech występków: frywolności, próżności i głupoty.

Chłop powiedział zbity z tropu:

- Dlaczego miałabyś za to cierpieć taką surową karę? - zapytał zbity z tropu wieśniak.

- Tak to już jest - odpowiedziała Madouc. - Pewien dumny mężczyzna chciał być zbyt poufały, ale odrzuciłam go i powiedziałam, że brak mu wdzięku.

Skazał mnie na to upokorzenie, czekam więc tutaj na dobroczynne spotkanie z trzema wędrowcami.

Młody chłop zbliżył się.

- Ilu już starało ci się pomóc?

- Jesteś pierwszy, który tędy przechodzi.

- Tak się składa, że nie brak mi współczucia. Swoją opowieścią wzbudziłaś mój żal i coś tam jeszcze. Jeśli rozłożysz się tu wygodnie, spędzimy ze sobą wesołe chwile, zanim będę musiał wrócić do domu, aby wydoić krowy.

- Podejdz trochę bliżej - poprosiła księżniczka. - Jak ci na imię?

- Jestem Nisby z farmy Fobwiler.

- To świetnie - powiedziała. - Podejdz jeszcze bliżej. Nisby ruszył odważnie do przodu. Madouc dotknęła kamykiem jego brody, po czym natychmiast zeszytywniał.

- Chodź za mną - rzuciła Madouc. Sprowadziła go z drogi za zagajnik morwowych drzew. Położyła na trawie różową chusteczkę i zawołała: „Aro-isus!”

Chusteczka zmieniła się w domek.

- Wejdz, usiądź na podłodze i nie rób żadnego hałasu ani zamieszania - przykazała Nisby'emu.

Wróciła pod słup i usiadła tak samo jak poprzednio. Godziny mijały powoli i sir Pom-Pom znowu nie mógł opanować ciekawości. Madouc zobaczyła jego błyszczącą twarz za gęstymi krzakami. Udając, że nic nie widzi, syknęła cicho przez zęby i rzuciła zakłęcie „Ruchliwe paluszki”. Sir Pom-Pom wyskoczył z zarośli i uniósł się na trzy stopy w powietrze.

- Co teraz knujesz, sir Pom-Pomie, tak dziko wyskakując z krzaków? Czyż nie prosiłam, żebyś trzymał się z daleka, dopóki nie zawołam? - zawołała Madouc.

- Chciałem się tylko upewnić, czy jesteś bezpieczna! - oświadczył sir Pom-Pom skruszonym tonem. - Nie miałem zamiaru ci przeszkadzać, bez względu na to, co byś robiła. Z pewnego powodu musiałem jednak wyskoczyć w powietrze.

- Proszę, nie trudź się ponownie - powiedziała księżniczka. - Wróc tam, gdzie zostawiłeś Travante.

Sir Pom-Pom odszedł poniżony, a Madouc przykazała sobie, że będzie cierpliwie czekać.

Po pewnym czasie dobiegło do jej uszu jakieś pobrzękiwanie. Wstała. Droga Wamble od północy zbliżało się biegiem stworzenie o ośmiu wykrzywionych nogach. Miało głowę olbrzymiego konia morskiego, która

wystawała mu wysoko z pokrytego ciemnożółtymi płytkami tułowia. Na grzbiecie tego stworzenia siedział faun o smagłej, przebiegłej twarzy, małych rogach i dolnych kończynach porośniętych szorstkim, brązowym futrem. Nad siodłem wisiał jego gruby brzuch, który kiwał się w rytm szalonego kroku jego wierzchowca. Faun zatrzymał dziwnego stwora i spojrzał na nią.

- Dlaczego siedzisz tak spokojnie pod tym słupem?
- Jestem spokojna z natury.
- To powód równie dobry jak każdy inny. Co myślisz o moim szlachetnym wierzchowcu?
- Nigdy przedtem jeszcze nie widziałam takiego stwora.
- Ja też nie, ale jest wystarczająco łagodny. Pojedziesz ze mną? Zmierzam na wyspę na stawie Kallimanthos, gdzie w grubych, purpurowych kiściach rosną dzikie winogrona.
- Muszę tu czekać.
- Jak sobie życzysz. - Faun pogonił wierzchowca. Wkrótce zniknął Madouc z oczu, a po chwili ucichło też pobrzękiwanie uprząży jego ośmionogiego rumaka.

Od wschodu doleciał tętent galopującego drogą Munkins konia. Przed skrzyżowaniem przycichł, kiedy koń zwolnił do kłusu. Chwilę później zza zakrętu wyłonił się rycerz w półbroi jadący na pięknym, gniadym koniu.

Rycerz zatrzymał konia. Przez chwilę przyglądał się Madouc, po czym zsiadł z konia i przywiązał go do drzewa. Zdjął z głowy hełm i powiesił go na siodle. Zobaczyła mężczyznę nie pierwszej już młodości, o lichych, żółtych włosach wiszących wzdłuż niewesołej twarzy. Oczy o grubych powiekach opadały mu w kącikach. Długie żółte wąsy kiwały mu się po obu stronach twarzy, robiąc wrażenie sympatycznych, ale zupełnie bezsensownych.

Zwrócił się do Madouc i skłonił się grzecznie.

- Pozwól, że się przedstawię. Jestem sir Jaucinet z zamku Cloud i wielce sobie cenię swą rycerskość. Czy mogę zapytać o twoje imię, stan i dlaczego wystajesz w tak smętnym miejscu, jak gdyby czekając na wybawienie?
- Oczywiście, że możesz zapytać - odpowiedziała. - Z chęcią opowiedziałabym ci o wszystkim, gdyby nie zbliżał się zmierzch, a ja jak najszybciej chcę skończyć z tą nieszczęsną powinnością, która mnie tu sprowadziła.
- Dobrze powiedziane - oświadczył sir Jaucinet. - Przyjmuję, że mogę ci pomóc?

- To prawda. Bądź tak miły i zbliż się. Nie, nie ma potrzeby, abys zdejmował broję, przynajmniej na razie.

- Czy jesteś pewna? - zapytał z wątpliwością w głosie sir Jaucinet.

- Zupełnie pewna, jeśli tylko mógłbyś podejść parę kroków bliżej.

- Z przyjemnością! Jesteś przepiękną dziewczyną, pozwól, że cię pocałuję!

- Sir Jaucinecie, w innych okolicznościach uznałabym cię za zbyt napaśtliwego, nawet żywiolowego. Ale teraz...

Sir Jaucinet podszedł bliżej i wkrótce dołączył do Nisby'ego w jedwabnym domku.

Madouc wróciła na swe miejsce pod słupem. Słońce schodziło coraz niżej i raz jeszcze pojawił się sir Pom-Pom, tym razem bezczelnie na środku drogi.

- Jak długo mamy się tu jeszcze męczyć? - zawołał. - Robi się coraz ciemniej. Nie mam ochoty na spotkanie z nocnymi potworami.

- Chodź więc - powiedziała księżniczka. - Przyrowadź Travante. Możecie siedzieć w domku.

Sir Pom-Pom i Travante pospiesznie skorzystali z przyzwolenia. Odkryli, że w domku pojawił się jeszcze jeden pokój, gdzie apatycznie siedzieli Nisby i sir Jaucinet.

Słońce schowało się za drzewami. Madouc rozciągnęła zeszywniałe mięśnie, przespacerowała się po parę kroków we wszystkich kierunkach, spojrziała na każdą z dróg, ale w zapadających ciemnościach trudno było cokolwiek dostrzec.

Wróciła pod słup i stanęła tam coraz bardziej się niepokojąc.

Zmierch okrył puszcę Tantrevalles. Przez chwilę Madouc obserwowała nietoperze zataczające kręgi nad jej głową. Później mierch przeszedł w ciemność, aż w końcu na wschodzie niebo się rozjaśniło i wzeszedł księżyc.

Madouc zatrzęsa się od zimnego powiewu. Zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę chce stać pod tym słupem w świetle księżyca. Raczej nie, skonstatowała. Po co tu więc w ogóle przyszła? Pomyślała o Nisbym i sir Jaucinecie siedzących bezpiecznie w jedwabnym domku. Dwaj z trzech. Westchnęła i spojrziała wyczekująco na wszystkie strony. W świetle księżyca zbladły kolory. Drogi były srebrnoszare, cienie - czarne.

Księżyc wschodził coraz wyżej.

Nad lasem wleciała sowa i jej cień odbił się wyraźnie na tarczy księżyca. Zobaczyła spadającą gwiazdę.

Od strony lasu dobiegł ją dziwny, głuchy dźwięk.

Ruchomy cień, którego oczekiwała Madouc, zbliżał się drogą, powoli, krok po kroku. Czarny płaszcz osłaniał jego ciało, kapelusz o szerokim rondzie rzucał głęboki cień na jego twarz. Oparła się plecami o słup, spięta i cicha.

Ciemna figura stała bez ruchu. Madouc wzięła głęboki oddech. Próbowwała dostrzec twarz pod kapeluszem, lecz nie zobaczyła. Była tam tylko czerń, wydawało się jej, że patrzy w pustkę.

- Kim jesteś, czarny cieniu? - odezwała się drżącym głosem, lecz tajemnicza postać nie odpowiedziała. Madouc spróbowała jeszcze raz: - Jesteś głuchy? Dlaczego nic nie powiesz?

- Przybyłem uwolnić cię spod tego słupa - wyszeptał cień. - Dawno temu to samo zrobiłem dla Twisk, ku jej wielkiemu zadowoleniu. Ty doświadczyś tej samej przyjemności. Ściągnij ubranie, abym mógł cię zobaczyć w świetle księżyca.

Ścisnęła magiczny kamyk tak mocno, że aż bała się, że go straci, a przecież nie mogła do tego dopuścić.

- To raczej mężczyzna powinien rozebrać się pierwszy - powiedziała drżącym głosem. - To nieważne - wyszeptał czarny cień. - Już czas.

Istota podeszła bliżej i sięgnęła ręką, aby ściągnąć z Madouc sukienkę. Ona jednak pchnęła kamieniem w czerń, ale trafiła w pustkę. W panice przycisnęła kamyk do grubych łap, ale rękawy płaszcza jej przeszkodziły. Cień odepchnął jej ramię i rzucił ją na ziemię. Kamyk wypadł jej z ręki i potoczył się po piasku. Madouc słabo krzyknęła i przez chwilę leżała nieruchomo, niemal pokonana. Ale nagle spazmatycznym wysiłkiem wyslizgnęła się z wielkich łap próbując znaleźć kamyk. Cień chwycił ją za nogę.

- Po co się tak rzucać? Uspokój się i leż cicho! Inaczej to wszystko zrobi się bardzo męczące.

- Jedną chwilę - wydyszała dziewczyna. - To wszystko za szybko się toczy.

- Zostawmy to teraz i zabierzmy się do tego, co istotne.

Palce Madouc zacisnęły się na kamyku. Pchnęła nim czarny kształt i dotknęła jakiejś części jego ciała. W końcu padł bezwładnie na ziemię.

Z ulgą wstała na równe nogi. Poprawiła sukienkę i przejechała palcami przez włosy, po czym spojrzała na milczący cień.

- Wstań. Idź za mną!

Zaprowadziła powłóczącą nogami postać do bocznego pokoju, gdzie siedzieli Nisby i sir Jaucinet patrząc przed siebie pustym wzrokiem.

- Wejdz. Usiądź i nie ruszaj się, dopóki ci nie rozkażę.

Madouc przez chwilę stała w świetle księżycy patrząc na skrzyżowanie dróg.

- Udało mi się, ale teraz niemal boję się prawdy - powiedziała do siebie.

- Sir Jaucinet jest najszlachetniejszy z nich trzech, a czarny cień najbardziej tajemniczy. O Nisbym nie da się nic powiedzieć, poza tym, że cechuje go wiejska prostota. - Pomyślała o zakłęciu. - Zdaje się, że dzięki niemu rzucam się w oczy znacznie bardziej, niżbym tego chciała. Muszę z tym skończyć. - Palcami lewej dłoni uszczypnęła się w prawe ucho. - Przestało działać? - zastanawiała się. - Nie czuję, żeby się cokolwiek zmieniło.

Kiedy weszła do domku, zachowanie sir Pom-Poma i Travante przekonały ją jednak, że zakłęcie przestało działać. Ze zdziwieniem poczuła w sercu lekkie ukłucie żalu.

V

Rankiem Madouc, sir Pom-Pom i Travante zjedli śniadanie w domku. Pomyśleli, że lepiej nie przywoływać Nisby'ego, sir Jaucineta na posiłek, na który i tak mogli nie mieć ochoty. Tym bardziej dotyczyło to ciemnej postaci w czarnym płaszczu, która za dnia była równie dziwna i niepojęta, jak w ciągu nocy. Pod szerokim otokiem kapelusza ziała pustka, w którą nikt nie chciał zaglądać.

Po śniadaniu wyprowadziła Nisby'ego, sir Jaucineta oraz bezimienny cień na drogę. Koń sir Jaucineta zerwał się w nocy i nigdzie nie było go widać.

Madouc zmieniła domek w chusteczkę, po czym wyruszyli drogą Wamble na południe. Na przedzie szli sir Pom-Pom i Travante, za nimi Madouc, a za nią Nisby i sir Jaucinet, na końcu zaś indywiduum w czarnym płaszczu.

Niemal w samo południe weszli ponownie na Szaloną Łąkę, która tak jak poprzednio wydawała się trawiastą polaną z małym pagórkiem pośrodku. Księżniczka zawołała miękkiem głosem:

- Twisk! Twisk! Twisk!

Nagle wszystko zasłoniła im mgła, która po chwili rozwiła się i ukazała ich oczom zamek elfów z chorągwiami na każdej wieżyczce. Nie było już śladu po festynie z okazji rehabilitacji Falaela. Jeśli chodzi o samego Falaela, to opuścił na chwilę swoją tyczkę i siedział na skraju łąki pod brzozą, starając się za pomocą gałęzi podrapać po swędzących miejscach na plecach.

Obok Madouc pojawiła się Twisk, tego dnia ubrana w opuszczone nisko na biodrach jasnoniebieskie, luźne spodnie i koszulę z białego, prześwitującego materiału.

- Nie traciłaś czasu - zauważyła. Przyjrzała się jeńcom Madouc. - Jakże widok tych trzech przypomina mi dawne czasy. Ale zmienili się. Nisby stał się dorosłym mężczyzną, a sir Jaucinet sprawia wrażenie statecznego starszaka.

- To przez te jego zadumane oczy i długie zwisające wąsy - powiedziała dziewczyna.

Twisk skierowała wzrok na trzecią postać.

- Jeśli chodzi o tego tu, to oceni go król Throbius. Chodźcie. Musimy mu przerwać rozmyślania, ale trudno.

Przeszli przez łąkę i stanęli przed zamkiem. Ze wszystkich stron nadchodziły elfy. Podskakiwały, tańczyły, kręciły piruety i tłoczyły się dookoła zadając pytania. Przepychały się, podszcypywały i poszturchiwały. Spod brzozy przybiegł Falael i wskoczył na tyczkę, z której przejęty przyglądał się temu, co się dzieje.

Przy głównej bramie zamku stało na służbie dwóch dumnych, młodych heroldów, prezentujących się wspaniale w czarno-żółtych liberiach. W dłoniach trzymali rogi odlane z elfiego srebra. Na prośbę Twisk zwrócili się w stronę zamku i zagrali trzy dźwięczne i „żywe fanfary, po czym opuścili rogi i otarli usta wierzchem dłoni, szczerząc zęby do Twisk.

Zapadła pełna oczekiwania cisza, przerywana jedynie chichotem trzech małych chochlików, które przywiązały małe, zielone żabki do wąsów sir Jaucineta. Twisk zganiała chochliki i przepędziła je. Madouc chciała odwiązać żabki, ale przeszkodziło jej w tym pojawienie się króla Throbiusa. Z balkonu znajdującego się pięćdziesiąt stóp nad ziemią król ostrym głosem krzyknął do heroldów:

- Co ma znaczyć takie nagłące wezwanie? Byłem pogrążony w medytacji!

- To Twisk! - Zawołał w stronę balkonu jeden z heroldów. - Kazała nam przeszkodzić ci w odpoczynku, Najjaśniejszy Panie.

- Powiedziała, abyśmy zagrali tak głośno, żeby cię to zrzuciło, sire, z łóżka na ziemię - dodał drugi herold.

Twisk obojętnie wzruszyła ramionami.

- Wińcie mnie, jeśli chcecie, lecz ja to zrobiłam tylko dlatego, że nalegała na to Madouc, którą może pamiętasz, królu.

Księżniczka, rzucając Twisk rozżalone spojrzenie, wyszła do przodu.

- Jestem tutaj!

- To widzę! I co z tego?

- Czyż nie pamiętasz, sire? Udałam się pod słupek Idilra, aby dowiedzieć się, kto jest moim ojcem! - Wskazała na trzy postacie stojące za jej plecami.

- Oto chłop Nisby, rycerz sir Jaucinet, a to tajemniczy kształt bez twarzy.

- Dokładnie wszystko pamiętam! - oznajmił król Throbius, po czym rozejrzał się wokół z dezaprobatą.

- Elfy, dlaczego się tu tak tłoczyście i przepychacie? Wszyscy macie się zaraz cofnąć. Teraz ty, Twisk! Musisz się dokładnie przyjrzeć.

- Jedno spojrzenie wystarczy - powiedziała Twisk.

- I do jakich doszłaś wniosków?

- Rozpoznaję Nisby'ego i sir Jaucineta. Jeśli zaś chodzi o tego beziemnego osobnika, jego twarz jest niewidoczna, co samo w sobie jest wystarczającym dowodem.

- To rzeczywiście niezwykle. Ta sprawa jest nawet nieco interesująca.

Król Throbius zszedł z balkonu i chwilę później pojawił się na łące. Elfy znowu stłoczyły się jak najbliżej, szepcząc i chichocząc, aż w końcu rozłoszczony król Throbius wydał tak surowy rozkaz, że jego poddani przestraszeni odsunęli się bardzo daleko do tyłu.

- A teraz zaczniemy - oświadczył król Throbius. - Madouc, dla ciebie musi to być szczęśliwa chwila. Wkrótce będziesz mogła nazwać jednego z tych trzech twoim ojcem.

Madouc niepewnie rozważała wszelkie możliwości.

- Sir Jaucinet ma bez wątpienia najlepszy rodowód, nie mogę jednak uwierzyć, że jestem spokrewniona z kimś, kto wygląda jak chora owca.

- Dowiemy się wszystkiego - powiedział z przekonaniem król Throbius. Spojrzał na prawo i na lewo. - Osfer! Gdzie jesteś?

- Spodziewałem się, że mnie wezwiesz, Wasza Królewska Mość! Stoję tuż za twymi królewskimi plecami.

- Chodź tu, Osferze, stań przed moimi oczami. Musimy skorzystać z twoich umiejętności. Chcemy się dowiedzieć, kto jest ojcem Madouc i ostatecznie zakończyć tę sprawę.

Osfer wyszedł do przodu. Był to elf w średnim wieku, o brązowej skórze i kościstych kończynach, z bursztynowymi oczami i nosem tak bardzo wygiętym do dołu, że niemal dotykał spiczastej, wysuniętej do przodu brody.

- Najjaśniejszy Panie, jakie są twoje rozkazy?

- Idź do swojej pracowni. Wróć tu z pięcioma naczyniami z matryjskiego nefrytu. Przynies probówki, nożyk i flakonik twojego eliksiru numer sześć.

- Wasza Królewska Mość, przewidziałem twoje rozkazy i mam to wszystko pod ręką.

- Bardzo dobrze, Osferze. Rozkaż, aby przyniesiono tu stół. Niech przykryją go szarym atlasem.

- Twój rozkaz został wykonany, Najjaśniejszy Panie. Stół stoi przygotowany po twojej lewej ręce.

Król Throbius odwrócił się i przyjrzał się temu, co stało na stole.

- Dobrze, Osferze. Teraz zaś przynieś twój najlepszy wyciąg. Będziemy potrzebować włókienek początkujących i kończących. Kiedy wszystko będzie gotowe, sporządzimy matryce.

- Jedną chwilkę, sire! Kiedy zajdzie taka potrzeba, potrafię się poruszać z prędkością błyskawicy!

- Zrób więc tak i teraz. Madouc nie potrafi już spokojnie czekać. Zachowuje się tak, jakby tańczyła po rozżarzonych węglach.

- To przejmujące, z całą pewnością - przyznał Osfer. - Ale już wkrótce będzie mogła objąć swego ojca.

Zduszonym głosem Madouc odezwała się do króla Throbiusa:

- Oświeć mnie, Wasza Królewska Mość. W jaki sposób rozwiążesz tę sprawę?

- Uważaj, wszystkiego się dowiesz. Twisk, dlaczego jesteś taka niespokojna?

- Osfer mnie dręczy!

- Wcale nie, Wasza Królewska Mość! Miałeś przecież rozkazać, abym sporządził matryce. Zacząłem już zakładać Twisk sączek.

- Oczywiście. Twisk, musimy dostać trzy kropelki twojej krwi, uspokój się.

- Nie znoszę przechodzić przez takie okropności! Czy to naprawdę konieczne?

Król Throbius znacząco machnął ręką. Sycząc ze strachu Twisk pozwoliła Osferowi podejść z instrumentem. Pobrał on małą ilość krwi z jej wiotkiej ręki, a następnie przelał ją do jednego z nefrytowych naczyń. Zbyt szybko, aby Madouc mogła zauważyć jak to zrobił, stworzył z tej odrobiny krwi konstrukcję z cienkich włókienek i małych, czerwonych, niebieskich i zielonych kropli plazmy.

Osfer z dumą zwrócił się do króla Throbiusa.

- Perfekcja w całej okazałości! Każdy zakątek i faza nieco dziwacznej natury Twisk mogą być teraz poddane dokładnemu badaniu.

- Dobra robota. - Król Throbius skinął na Madouc. - Teraz z twojej krwi Osfer stworzy matrycę.

- Na mnie dawno przyszła kolej. - Krzyknęła z zaciśniętymi zębami Madouc. - On się już zdążył nade mną poznęcać!

Wkrótce na drugim talerzu pojawiła się matryca nieco podobna do tej uzyskanej z krwi Twisk.

- Następny niech będzie sir Jaucinet! - rozkazał król Throbius. - Niedługo się dowiemy, kto jest tu czyim ojcem.

Osfer pobrał krew z pozbawionego czucia ramienia pana na zamku Cloud i stworzył odpowiednią matrycę.

Król Throbius zwrócił się do Madouc z wyjaśnieniem:

- Widzisz tu trzy matryce, przedstawiające wewnętrzną strukturę ciebie, twojej matki i tego szlachetnego rycerza. W subtelny sposób Osfer odciągnie teraz wpływ Twisk z twojej matrycy i stworzy nową. Jeśli twoim ojcem jest sir Jaucinet, nowa matryca będzie taka sama jak jego, a wtedy poznamy prawdę. Osferze, możesz działać.

- Sire, już skończyłem. Spójrz na te dwie matryce!

- Przyjmuję, że są identyczne?

- Ani w ogóle, ani w szczegółóle.

- Aha! - powiedział król Throbius. - To tyle, jeśli chodzi o sir Jaucineta. Możecie go puścić. Uwolnij go twoim kamieniem, Madouc, i każ mu odejść.

Madouc spełniła polecenie. Sir Jaucinet zaczął natychmiast narzekać i żądać wyjaśnień, dlaczego tak długo musiał znosić te wszystkie nieprzyjemności.

- Nie potrafię ci udzielić krótkiej odpowiedzi - odparła księżniczka. - To długa i skomplikowana historia.

- A co robią te żaby w moich wąsach - zapytał sir Jaucinet. - Czy ich obecność to też taka skomplikowana sprawa?

- Wcale nie - przyznała Madouc. - Król Throbius jednakże rozkazał ci odejść, więc lepiej się pospiesz, bo jest już późno, a przed tobą długa droga.

Sir Jaucinet z wyrazem głębokiego zmartwienia na twarzy odwrócił się na pięcie.

- Poczekaj! - zawołał król Throbius.- Osferze, rzuć na niego „Czterokrotne zaklęcie”, aby przyspieszyć jego podróż.

- Panie, rzuciłem na niego to zaklęcie, kiedy rozmawiał z Madouc - powiedział Osfer.

- Dobra robota, Osferze! - pochwalił go Król Throbius, po czym odezwał się do sir Jaucineta: - Kiedy będziesz szedł do domu, każdy krok przemiesci cię o sześć jardów i dotrzesz do zamku dużo wcześniej, niżbyś tego oczekiwał.

Sir Jaucinet skłonił się wyniośle, najpierw królowi Throbiusowi, a następnie Osferowi. Madouc rzucił tylko przelotne, pełne wyrzutu spojrzenie. Potem odszedł, krocząc po Szalonej Łące sześciójardowymi krokami i wkrótce zniknął im z oczu.

- Zajmijmy się teraz tym chłopem, Nisbym - rzekł do Osfera król Throbius.

- Sire, w tym naczyniu zauważysz matrycę Nisby'ego, którą pozwoliłem sobie już skonstruować.

Ku rozczarowaniu Madouc, matryca Nisby'ego nie przypominała jej własnej w żadnym calu, a wszyscy zgodzili się co do tego, że jej ojcostwa należy z pewnością szukać gdzie indziej. W ponurym nastroju księżniczka wyzwoliła Nisby'ego z apatii. Osfer rzucił na niego „Sześciokrotne zaklęcie” i Nisby został wysłany w drogę.

Król Throbius zwrócił się do Madouc posępnym głosem:

- Moja droga, wziąłem sobie do serca całą tę sprawę i nie mogę powiedzieć, abym był zadowolony z tego, czego się tu dowiedzieliśmy. Nie zostałaś poczęta ani przez sir Jaucineta, ani przez Nisby'ego. Zostaliśmy zatem tylko z tym cieniem, który ma pustkę zamiast twarzy. Trzecia zasada logiki, czasami zwana też prawem negacji, zmusza mnie, abym ogłosił go twoim ojcem. Możesz go uwolnić i cieszyć się z waszego połączenia gdzie i kiedy tylko przyjdzie wam na to ochota. Bez wątpienia będziecie mieli sobie dużo do powiedzenia.

- Niezaprzeczalnie jest to niezawodne wnioskowanie, ale czy nie powinniśmy sprawdzić również matrycy tego stworzenia?! - krzyknęła zaniepokojona Madouc.

- Co o tym myślisz? - zwrócił się do Osfera król Throbius.

- Sugeruję, abyśmy stworzyli trzecią matrycę, choćby po to, żeby uzyskać filozoficzną symetrię.

- Nie widzę przeciwwskazań, choć ten test jest zbyteczny - powiedział król Throbius. - Możesz jednak podejść do ojca Madouc, pobrać trzy krople jego krwi i stworzyć matrycę, abyśmy to zobaczyli na własne oczy.

Osfer niepewnie ruszył w kierunku ciemnej postaci, lecz nagle zatrzymał się zadziwiony.

- Dlaczego się ociążasz? - zawołał król Throbius. - Z niecierpliwością oczekujemy na demonstrację ojcostwa.

- Jestem zbity z tropu - oświadczył Osfer. - On ma na sobie płaszcz, buty i rękawiczki, ale nie ma szyi, twarzy ani głowy. Aby pobrać jego krew, musiałbym zdjąć ten płaszcz i odsłonić go. Czy mam to zrobić?

- Czyń to, co musisz! - rozkazał król Throbius. - W normalnej sytuacji uszanowalibyśmy jego wstydlivość, ale w tym wypadku musimy zapomnieć o delikatności. Madouc, możesz odwrócić oczy, jeśli chcesz.

- Zobaczę, co będzie do zobaczenia - powiedziała księżniczka. Zignorowała lekceważące prychnięcie sir Pom-Poma. - Nie przerywaj sobie.

Osfer, z wyciągniętymi palcami, w sposób, w jaki uczyniłby to drobiazgowy krawiec, rozpiął zapinkę podtrzymującą płaszcz, który nieco się rozchylił. Osfer spojrział do środka i krzyknął zaskoczony. Zgrabnym pociągnięciem odrzucił płaszcz na bok i odsłonił przysadzistego, krzywonogiego i krzyworękiego trolla o szarej twarzy i butelkowatym nosie, wystających policzkach i oczach przypominających małe, czarne, szklane kulki. Na rozstawionych nogach miał wysokie buty.

- To jest troll Mangeon! - krzyknął Osfer.

Twisk zatrzęsa się ze zdenerwowania.

- Teraz wszystko rozumiem! Zemścił się na mnie z obrzydliwą przebiegłością.

- Pomijając logikę, czy może on być moim ojcem? - zapytała Madouc.

- Zobaczymy! - powiedział król Throbius. - Osferze, zbuduj matrycę!

- Sire, wyprzedziłem twój rozkaz! Matryca jest już gotowa! Możesz ją obejrzeć i porównać ją z tą, którą otrzymaliśmy z krwi Madouc.

Król Throbius spojrział na obie matryce.

- Jak to możliwe? - spytał zakłopotany. - Czy światem rządzi szaleństwo? Czy słońce wschodzi na zachodzie? Czy woda jest mokra, a ogień gorący, czy też jest zupełnie na odwrót? Logika wyprowadziła nas w pole! Ta matryca różni się od Madouc jeszcze bardziej niż dwie poprzednie! Jestem zupełnie zбитy z tropu!

Księżniczka nie mogła się opanować, aby nie westchnąć z ulgą.

- Sir Jaucinet nie jest moim ojcem. Nisby nie jest moim ojcem. Ten odpychający stwór nie jest moim ojcem. Wobec tego kto nim jest?

Król Throbius przyjrzał się podejrzliwie Twisk.

- Czy mogłabyś nam to wyjaśnić?

Zupełnie załamana Twisk zdołała jedynie potrząsnąć głową.

- To było tak dawno. Nie pamiętam każdej głupiej zabawy.

- Ale skutkiem jednej z tych głupich zabaw jest Madouc.

- To już wiemy - stwierdziła Twisk. - Ale wspomnienia się zacierają, a twarze rozmazują. Kiedy zamknę oczy, słyszę szepty, błagania, słowa podziwu, westchnienia miłości, nie potrafię jednak nadać imion tym głosom.

Król Throbius zauważył rozpacz malującą się na twarzy Madouc.

- Nie rozpaczaj! - powiedział. - Jest jeszcze jedna szansa! Najpierw jednak muszę się zająć tym obrzydliwym trollem.

- Nie zasługuje na miłosierdzie, wyrządził mi wielką krzywdę! - zawołała przejęta Twisk.

Król Throbius podrapał się po brodzie.

- To skomplikowana sytuacja, nie mogę bowiem zdecydować, które z praw naruszył. Jego podstęp został częściowo sprowokowany przez samą Twisk, ale wydaje się, że posunął się za daleko. Przez całe wieki nie potępiano flirtów. - Król Throbius przechadzał się w tę i z powrotem sprawiając, że elfy trzymające jego pelerynę miały ciężkie zadanie starając się wypełniać swoje obowiązki. Tymczasem Osfer zaciągnął Mangeona na bok i przygotował kilka narzędzi chirurgicznych.

Król Throbius zatrzymał się. Uniósł rękę w majestatycznym geście.

- Zdecydowałem. Mangeon zachował się niktzemnie i haniebnie. Co więcej, naruszył godność Thripsey Shee. Kara musi być odpowiednia do jego występku. Musimy jednak wziąć pod uwagę okoliczności łagodzące.

Dlatego też pozwolimy Mangeonowi na zaznanie spokoju i damy mu wystarczająco dużo czasu na odżałowanie tego, co zrobił. Zmusimy go, bez względu na jego wrodzone skłonności, aby kroczył wąską ścieżką opanowania. Osferze, czy rozumiesz, co mam na myśli czy też mam tu wyjaśnić wszystko do ostatniej sylaby?

- Sire, zrozumiałem cię dokładnie i, prawdę mówiąc, w całej pełni wprowadziłem już w życie twój wyrok.

- Osferze, jesteś mistrzem skuteczności! - skostatował Król Throbius, po czym zwrócił się do Madouc. - Możesz teraz uwolnić Mangeona z odętwienia.

Dziewczynka dotknęła Mangeona kamykiem. Natychmiast wściekle zarzwał:

- Nie zniosę tego ohydneho czynu popełnionego na mojej osobie! To skutek nieodpowiedzialnej filozofii!

- Możesz odejść, jesteś wolny i ciesz się z tego! - odparł z godnością król Throbius.

- Jestem wolny, ale co mi z tego? - darł się Mangeon.

Co będę teraz robił przez długie noce i dnie? Mam pisać wiersze? Obserwować latające motylki? Twój wyrok jest niesłuszny!

Król Throbius rozdrażniony machnął ręką.

- Nie chcę słyszeć nic więcej! Zmykaj do tej twojej śmierdzącej nory.

Mangeon wymachując rękoma pobiegł przez łąkę i zniknął na drodze Wamble. Król Throbius zwrócił się do Madouc.

- Musimy ponownie przebadać tą sprawę. Osferze, proponuję upozorowanie wyglądu postaci.

- Też o tym myślałem, Wasza Królewska Mość! Już się przygotowałem.

- Zatem bierz się do roboty.

Osfer umieścił na stole trzy srebrne talerze. Twisk obserwowała go ze zmarszczonymi brwiami.

- Cóż to za nowy pomysł i na czym polega?

- To najbardziej elegancka i subtelna procedura ze wszystkich, jakie znam! Wkrótce będziesz mogła zobaczyć twarz ojca Madouc.

Rozeźlona Twisk jeszcze bardziej zmarszczyła brwi.

- Dlaczego nie zrobiłeś tego na samym początku i nie oszczędziłeś mi pobierania krwi?

- To nie jest takie proste, jak mogłoby się wydawać. Podejź tu, jeśli łąska.

- Co? Drugi raz na to nie pozwolę! Nie dostaniecie już ani kropelki mojej krwi ani niczego innego! Chcesz, żebym zmieniła się w mgiełkę, wietrzyk lub zjawę?

Nie zważając na jej protesty, Król Throbius rzucił surowy rozkaz i Twisk, wierząc się i jęcząc, pozwoliła w końcu Osferowi na pobranie od niej kolejnych trzech kropli krwi.

Osfer zabrał się do pracy i z talerza uniosła się podobizna ślicznej głowy Twisk.

Następnie Osfer skinął na Madouc.

- Chodź!

- Czuję się niebezpiecznie osłabiona! - krzyknęła Madouc. - Jeśli potrzeba ci krwi, weź ją od sir Pom-Poma lub nawet od samego króla Throbiusa!

- To niepraktyczna sugestia - zabrał głos król Throbius. - To twojej krwi potrzebujemy! Szybko, nie możemy na to zmarnować całego dnia!

Madouc, cicho zawodząc, pozwoliła pobrać sobie trzy krople krwi, z których Osfer stworzył drugą podobiznę.

- A teraz - powiedział Osfer - powiem wam, co zrobię. Madouc jest dzieckiem Twisk i nieznanego ojca. Dlatego też, jeśli odciagniemy z podobizny Madouc wpływy Twisk, to co pozostanie, będzie konterfektem jej ojca, przynajmniej w ogólnym zarysie i może nieco niedokładnym. Cofnijcie się wszyscy, bo to wymaga dużej dokładności i delikatności.

Osfer przestawił obie podobizny tak, że spoglądały teraz na siebie, po czym rozdzielił je czterema warstwami trawiastego materiału.

- Teraz proszę wszystkich o ciszę! Każde zakłócenie może sprawić, że wynik będzie niedokładny - zawołał, po czym przygotował instrumenty, wypowiedział ośmiosylabowe zaklęcie i zaklaskał w dłonie. - Czar zaczyna działać – oznajmił i usunął przesłony. Jeden ze srebrnych talerzy był pusty. - Podobizna Twisk została odciągnięta z obrazu Madouc. To, co pozostanie, będzie wyglądało jak jej rodzic.

Madouc wpatrzyła się w niewyraźną twarz. Jedyne na poły materialna, była ona blada i pozbawiona kolorów, jak gdyby utworzona z mgły. Należała do młodego mężczyzny o nieregularnych rysach i dość kościstej twarzy, z pociągłą dolną szczęką oraz błyskiem optymistycznej beztróski w oczach. Włosy miał obcięte w akwitańskim stylu i nosił krótką, modnie podstrzyżoną brodę. Choć nie był brzydki, brak mu było patrycjuszowskiego dostojęstwa. Mimo, że rysy były rozmazane, twarz ta napełniła Madouc ciepłym

wzruszeniem. Twisk wpatrywała się w tę twarz zafascynowana.

- Jak mu na imię? - zapytała Madouc.

Twisk, która zdążyła się już opanować, kapryśnie machnęła ręką i potrząsnęła głową.

- Imię? Może być jakiegokolwiek. Jego rysy nie są wyraźne, czuję się jakbym patrzyła na niego przez gęstą mgłę.

- Musisz jednak wiedzieć, kto to jest?! - krzyknęła Madouc. - On nawet mnie wydaje się znajomy.

Twisk obojętnie wzruszyła ramionami.

- A dlaczegożby nie? Widzisz to, co pozostało z twojej własnej twarzy.

- Czy możesz mi jednak powiedzieć, jak mu na imię?

- Naprawdę nudzi mnie już to wszystko - powiedziała beztrąsko Twisk.

- Z trudem mogę dojrzeć w tej mgłę, czy to w ogóle jest jakaś twarz. Jak mogłabym sobie przypomnieć jego imię?

- Czy on ani trochę nie wydaje ci się znajomy?

- Mogłabym powiedzieć: „tak” i mogłabym powiedzieć: „nie”.

Król Throbius odezwał się łagodnym głosem:

- Jak może poświadczyć Falael, moja cierpliwość ma swoje granice. Jeśli nie chcesz siedzieć na tyczce i drapać się po pięknym ciałku obiema rączkami, zaraz odpowiesz na zadane pytania szybko i dokładnie, bez żadnych dwuznaczności. Czy wyraziłem się jasno?

- Dlaczego się mnie potępia, kiedy jedno, na czym mi zależy, to prawda?! - krzyknęła żałośnie Twisk.

- Proszę, staraj się, aby twe wyjaśnienia nie były tak abstrakcyjne.

Twisk zamrugowała.

- Wybacz, Wasza Królewska Mość, lecz nie jestem pewna, czy zrozumiałam twój rozkaz.

- Mów jaśniej!

- Bardzo dobrze, ale już nie pamiętam pytania.

- Czy rozpoznajesz tę twarz? - zapytał wciąż jeszcze opanowany Throbius.

- Oczywiście, jakże mogłabym zapomnieć? Był to bardzo elegancki rycerz, bardzo żwawy i o dużym poczuciu humoru! Ciężko przeżyłam te okropieństwa przy słupie Idilra, toteż zupełnie zapomniałam o tym, że go spotkałam.

- Bardzo dobrze. To już wiemy. Powiedz nam, teraz jak miał na imię ten dzielny rycerz.

- To przekracza moje możliwości - odparła smętnie Twisk.

Król Throbius spojrział na nią przenikliwie z uniesionymi wysoko brwiami:

- Czy twoja pamięć jest aż tak słaba?

- Wcale nie, Najjaśniejszy Panie! Podał mi jakieś imię, ale bawiliśmy się w romantyczność, a jest to gra, podczas której nie przykłada się uwagi do prawdy. Powiedziałam mu, że jestem damą o imieniu Lisica z Białymi Opalami, a on podał się za sir Pellinore'a z dalekich wybrzeży Akwitanii, więc kto wie?

- Strasznie dziwne - zauważył król Throbius. - Niezwykłe pod każdym względem.

- Zapytam o coś Waszą Królewską Mość - odezwała się królowa Bossum. - Czy dżentelmeni zawsze podają swym kochankom pełne imię i tytuł, bez względu na to, jak delikatna i romantyczna byłaby to okazja?

- Zgadzam się na takie wyjaśnienie - powiedział król Throbius. - Będziemy zatem uważać tego rycerza za „sir Pellinore'a”.

- Co jeszcze mówił o sobie sir Pellinore? - zapytała niespokojnie Madouc.

- Był bardzo ekstrawagancki! Powiedział, że jest wędrownym trubadurem, który poświęcił się rycerskim ideałom. Zapytał mnie, czy znam jakichś podłych rycerzy zasługujących na chłostę i wypytywał o damy, którym potrzebna byłaby pomoc. Wspomniałam o ogrze Throopie oraz jego trzech głowach i powiedziałam mu, jakich strasznych rzeczy dopuścił się względem rycerzy, którzy przybyli tam w poszukiwaniu Świętego Graala. Sir Pellinore był przerażony tym, co usłyszał, i poprzysiął zemstę Throopowi. Ale kto wie? Sir Pellinore z pewnością był bardziej biegły w grze na lutni, niż w wymachiwaniu mieczem! Mimo to, nie bał się ani trochę! W końcu nasze drogi się rozeszły i już nigdy więcej go nie widziałam.

- Dokąd poszedł? - zapytała Madouc. - Co się z nim potem stało?

- Są różne możliwości - powiedziała Twisk. - Mógł wybrać się na północ do Avallonu i stamtąd do swego domu w Akwitanii, ale podejrzewam, że złożona przysięga zaprowadziła go do zamku Doldil, gdzie chciał się zemścić na Throopie za popełnione przez niego zbrodnie. Jeśli tak się stało, to

raczej mu się nie powiodło, albowiem Throop wciąż ma się dobrze. Sir Pellinore mógł skończyć w jego zupie albo tkwi do dzisiaj w klatce i śpiewem oraz grą na lutni umila Throopowi wieczorne posiłki.

Madouc zrobiła smutną minę.

- Czy to możliwe?

- Całkiem możliwe! Sir Pellinore grał na lutni z wielkim wdziękiem, a jego pieśni były takie słodkie i wzruszające, że doprowadziłyby do łez nawet niedźwiedzia.

Księżniczka starała się opanować ogarniające ją wzruszenie.

- Dlaczego nie próbowałaś uratować sir Pellinore'a, skoro go tak bardzo kochałaś?

Twisk odrzuciła do tyłu lawendowe włosy.

- Moją uwagę zaprzętnęły inne wydarzenia, z których nie jedynym było zajście pod słupem Idilra. Ktoś taki jak ja żyje od chwili do chwili, ciesząc się każdą przygodą do ostatniej kropli sklemik*. Tak mijały godziny i dni. Czasami już nie pamiętam, co było czym, ani co było potem.

- Bez względu na twoje wady i wybryki, jesteś moją matką i muszę cię przyjąć taką, jaką jesteś, nawet z tymi lawendowymi włosami i całą resztą - oświadczyła bez przekonania Madouc.

- Dobrze mieć jednak oddaną córkę - powiedziała z przekąsem Twisk. - Dziękuję za komplementy.

* Sklemik - nieprzetłumaczalne słowo z języka elfów oznaczające (1) pełne pasji angażowanie się w każdy przejaw życia; (2) rodzaj euforii wywołany skoncentrowaniem się na nieprzewidywalnych zmianach w otaczającym świecie, kiedy jedna chwila zamienia się w następną; pełna poświęcenia świadomość TERAŹNIEJSZOŚCI; wrażliwość na różne elementy TERAŹNIEJSZOŚCI. Pojęcie to jest stosunkowo proste i raczej pozbawione jakiegokolwiek mistycyzmu czy symboliki.

Rozdział 9

I

Throbius zmęczył się i postanowił usiąść. Jednym gestem sprowadził z zamku tron i ustawił go sobie dokładnie za plecami. Elfy, które trzymały jego pelerynę, biegały przerażone starając się, żeby tron nie przygwoździł królewskiego płaszcza do ziemi, co mogło się dla nich żałośnie skończyć.

Throbius usiadł na tronie. Był to mebel z mahoniowego drewna ozdobiony rozetami z czarnego żelaza i pereł, zwieńczony pękiem strusich piór. Przez moment król Throbius siedział nieruchomo, podczas gdy małe elfy dawały z siebie wszystko, choć cały czas wyklócały się ze sobą, starając się jak najokazalej rozłożyć królewską pelerynę. W końcu król oparł się wygodnie.

Królowa Bossum postanowiła wrócić do zamku, aby się przebrać w strój odpowiedni do zajęć, jakie sobie zaplanowała na popołudnie. Zatrzymała się na chwilę przy tronie i zasugerowała królowi Throbiusowi coś, co wydało mu się dość przekonujące. Król wezwał trzech oficjeli: lorda ochmi-strza Triolleta, podstolego Mippsa oraz podczaszego Chaskervila.

Stawili się pełni gotowości i wysłuchali poleceń króla w pełnym szacunku milczeniu.

- Pomyślny dzień nam dziś nastał - powiedział zadowolony król Throbius. - Pokonaliśmy trolla Mangeona i uniemożliwiliśmy mu na przyszłość płatanie niektórych z jego podłych sztuczek. Mangeon pomyśli teraz dwa razy, zanim zdobędzie się znowu na jakąś podłość.

- To wspaniały dzień! - zawołał Mipps.

- To dzień tryumfu! - krzyknął z przejęciem Triollet.

- Zgadzam się z tymi opiniami pod każdym względem! - stwierdził Chaskervil.

- Ano, właśnie - powiedział król Throbius. - Uczymy tę okazję małym, ale wyśmienitym bankietem złożonym z dwudziestu dań, który zostanie podany na tarasie przed zamkiem dla trzydziestu gości i przy świetle pięciuset

lamp. Postarajcie się, żeby wszystko wypadło doskonale!

- Będzie, jak sobie życzysz, królu! - krzyknął Triollet.

Trzej dygnitarze pospieszyli wykonać królewski rozkaz.

Król Throbius usiadł wygodniej na tronie. Rozejrzył się po łące, chcąc przyjrzeć się dokładniej swoim poddanym i ocenić ich zachowanie. Zauważył Madouc, która stała obok stołu Osfera, przyglądając się ze smutkiem, jak twarz sir Pellinora rozwiewa się na wietrze.

- Hm - mruknął król Throbius, po czym wstał z tronu i statecznym krokiem podszedł do stołu.

- Madouc, nie widzę na twojej twarzy zbyt wiele radości, chociaż twe najgłębsze marzenia się spełniły! Dowiedziałaś się, kto jest twoim ojcem, twa ciekawość została zaspokojona. Czyżbym się mylił?

Księżniczka z zamyśleniem potrząsnęła głową.

- Teraz muszę odkryć, czy on jeszcze żyje, a jeśli tak, to gdzie się podziewa. Moje poszukiwania są teraz jeszcze trudniejsze niż przedtem.

- Mimo to powinnaś klaskać w ręce z radości! Udowodniłiśmy ci, że troll Mangeon nie jest twoim rodzicem. Już samo to powinno cię wprowadzić w nieopisaną euforię.

Madouc zdobyła się na słaby uśmiech.

- Pod tym względem, Wasza Królewska Mość, jestem tak szczęśliwa, że aż trudno mi to opisać.

- To dobrze! - Król Throbius pogładził się po brodzie i rozejrzył się po łące, aby odkryć, gdzie się podziewa królowa Bossum. W tej chwili nie było jej nigdzie widać. Throbius powiedział nieco łagodniejszym tonem: - Dziś będziemy radować się klęską Mangeona! Wydam wspaniały bankiet. Obecne będą tylko osoby najgodniejsze i w najwspanialszych strojach. Będziemy biesiadować na tarasie przy świetle pięciuset lamp. Dania będą wyśmienite, nie mówiąc o winach! Biesiada będzie trwać do północy, po której odtańczymy pawanę w świetle księżycy.

- To brzmi zachęcająco - powiedziała Madouc.

- Taki mamy zamiar. Skoro zaś jesteś szczególnym gościem naszej shee i pozyskałaś już tu znakomitą reputację, będziesz mogła wziąć udział w bankiecie. - Król Throbius stał uśmiechając się i gładząc się po brodzie. - Słyszałaś moje zaproszenie, czy zechcesz przyjść?

Madouc niespokojnie rozejrzała się po łące, niepewna, co ma odpowiedzieć.

Na twarzy czuła wzrok króla. Spoglądając z ukosa zauważyła coś, co ją zaskoczyło. Miała wrażenie, że wpatrują się w nią czerwonobrzowe lisie oczy. Zamrugła. Kiedy ponownie na niego spojrzała, król Throbius stał godnie i spokojnie jak zawsze.

- Co powiesz? Będziesz obecna na bankiecie? - zapytał ją raz jeszcze. - Służka królowej dostarczy ci suknię, może taką delikatną, tkaną z puchu dmuchawców lub pajęczej nitki barwionej sokiem z granatów.

Księżniczka potrzęsnęła głową.

- Dziękuję, Wasza Królewska Mość, ale nie jestem przygotowana na tak wspaniałą uroczystość. Twoi goście byliby dla mnie obcy, ich zwyczaje byłyby dla mnie nie do pojęcia i mogłabym niechcący kogoś obrazić albo się wygłupić.

- Elfy są równie tolerancyjne, jak przyjazne - powiedział król Throbius.

- Ale znane są również z niespodzianek. Obawiam się waszego poczucia humoru. Kto wie? Rankiem mogłabym się obudzić jako czterdziestoletnia starucha! Dziękuję, Wasza Królewska Mość! Muszę jednak odmówić.

Król Throbius, uśmiechając się łagodnie, spokojnie machnął ręką.

- Zrobisz to, co uznasz za słuszne. Jest już popołudnie. Tam stoi Twisk. Idź i pożegnaj się z nią. Potem możesz odejść z Thripsey Shee.

- Jeszcze tylko jedno pytanie, sire. Co się stanie z zakłęciami, którymi mnie obdarzyłeś?

- Już nie działają. Kamyk stracił swoją moc. Twój wdzięk wciąż błyszczy wspaniale, lecz jutro możesz ciągnąć się za ucho do woli, tylko że na próżno. A teraz już idź i porozmawiaj z twoją krnąbrną matką.

Madouc podeszła do Twisk, która udawała, że jest strasznie zainteresowana swoimi srebrnymi paznokciami.

- Matko! Wkrótce opuszczę Thripsey Shee.

- Mądra decyzja. Wobec tego pożegnaj się z tobą.

- Najpierw, droga matko, będziesz musiała opowiedzieć mi więcej o sir Pellinorze.

- Jak chcesz - zgodziła się bez przekonania Twisk. - Słońce jeszcze grzeje, usiadźmy w cieniu tej brzozy.

Usiadły ze skrzyżowanymi nogami na trawie. Jeden po drugim nadchodziły elfy, które chciały usłyszeć wszystko, co mogłoby się okazać nową sensacją. Sir Pom-Pom ciężkim krokiem nadszedł przez łąkę i stanął oparty o

drzewo, a wkrótce dołączył do niego Travante. Twisk siedziała zamyślona żując źdźbło trawy.

- Nie ma tu wiele do opowiadania, poza tym, co już sama wiesz. Powiem ci jednak dokładnie, co się stało.

Twisk mówiła zadumanym głosem, jakby przypominała sobie zdarzenia z cudownego snu. Przyznała, że dokuczała Mangeonowi szczypiąc go po obrzydliwej gębie i wykrzykując na cały głos o jego obrzydliwych występkach, do których należało podstępne napadanie od tyłu na leśne nimfy, łapanie ich w sieć i uprowadzanie do jego przebrzydłej nory. Musiały tam służyć jego niecnym zachciankom, dopóki się nimi nie znudził.

Pewnego dnia, kiedy Twisk wędrowała po lesie, Mangeon podczołgał się od tyłu i zarzucił sieć, ale Twisk wyslizgnęła się i uciekła, ścigana przez ciężko człapiącego trolla.

Bez trudu udało się jej wyprowadzić go w pole. Schowała się za drzewem, a Mangeon przebiegł obok i niczego nie zauważył. Twisk zaśmiała się do siebie i ruszyła z powrotem na Szaloną Łąkę. Po drodze przechodziła przez śliczną polankę, gdzie, natknęła się na sir Pellinore'a, który siedząc nad spokojnym stawkiem i przyglądając się wodnym pajęczkom śmigającym tam i z powrotem, przygrywał sobie delikatnie na lutni. Sir Pellinore miał tylko krótki miecz i był bez tarczy, ale zawiesił na gałęzi czarny płaszcz z wyhaftowanym wzorem, który Twisk wzięła za jego herb. Były to trzy czerwone róże na niebieskim tle.

Przystojny sir Pellinore wywarł na niej duże wrażenie, więc niepewnie podeszła bliżej. Sir Pellinore zerwał się na równe nogi i powitał ją z miłą mieszanką kurtuazji i podziwu, co sprawiło jej taką przyjemność, że przyłączyła się do niego. Usiedli nad stawem na zwałonym pniu. Twisk zapytała, jak mu na imię i dlaczego wyprawił się tak głęboko w las.

Po chwili wahania powiedział:

- Możesz mnie uważać za sir Pellinore'a, wędrownego rycerza z Akwitanii poszukującego romantycznej przygody.

- Jesteś daleko od swojej krainy - zauważyła Twisk.

- Dla włóczęgi „tutaj” jest tyle samo warte co „tam” - stwierdził sir Pellinore. - Ponadto, kto wie, może znajdę coś drogiego w tym tajemniczym, starym lesie. Zdążyłem tu już odkryć najpiękniejszą istotę, jaka kiedykolwiek mi się marzyła.

Twisk uśmiechnęła się i spojrzała na niego przez na pół opuszczone powieki.

- To, co mówisz, jest bardzo miłe, ale przychodzi ci to tak łatwo, że nie jestem pewna, czy jesteś o tym naprawdę przekonany. Mówiłeś szczerze?

- Nawet gdybym był z kamienia, nadal byłbym o tym przekonany! Choć wtedy mój głos nie byłby może taki melodyjny.

Twisk roześmiała się i pozwoliła, aby jej ramię dotknęło delikatnie ramienia sir Pellinore'a.

- Drogocenne rzeczy w tym lesie to trzydzieści ton złota, które ogr Gois zrabował, złupił i wydobył, a z którego w swej próżności zrobił monumentalny pomnik samego siebie. Ogr Carabara ma kruka, który mówi dziesięcioma językami, przepowiada pogodę i gra w kości, za każdym razem wygrywając wielkie sumy. Ogr Throop ma wiele skarbów, w tym kobierzec, na którym codziennie pojawia się nowa scena, ognisko, które płonie bez dokładania drewna, i łóżko z powietrza, na którym może się wygodnie wyspać. Jak mówią plotki, zabrał zbiegłemu mnichowi święty kielich chrześcijan i wielu dzielnych rycerzy z całego świata chrześcijańskiego próbowało mu go odebrać.

- Z jakim skutkiem?

- Kiepskim. Niektórzy wyzywali Throopa na pojedynek. Zazwyczaj padali zabici przez dwa gobliny. Inni, którzy przywieźli jakieś podarunki, zostali wpuszczeni do zamku Doldil, ale co się potem stało? Skończyli albo w wielkim garnku z zupą, albo w klatkach i muszą zabawiać Throopa i jego trzy głowy podczas posiłków. Szukaj skarbów gdzie indziej, tylko tyle mogę ci poradzić.

- Podejrzewam, że najcudowniejszy skarb na świecie znalazłem właśnie tu, na tej polance - wyznał sir Pellinore.

- To czarujący komplement.

Sir Pellinore ujął w swe ręce smukłe dłonie Twisk.

- Chętnie urozmaiciłbym nasze spotkanie, gdybym nie był pod takim wrażeniem twojej piękności i nie obawiał się twoich czarów.

- Twoje obawy są absurdalne - powiedziała Twisk.

Przez jakiś czas uprzyjemniali więc sobie pobyt na polance, dopóki ich to nie znużyło. Twisk połaskotała sir Pellinora w ucho źdźbłem trawy.

- A dokąd pójdziesz, kiedy opuścisz tę polankę?

- Może na północ, może na południe. Może odwiedzę Throopa w jego kryjówe i zemszczę się za popełnione przez niego morderstwa, a potem pozbawię go tych wszystkich bogactw.

- Jesteś odważny i czarujący, ale spotkałby cię taki sam los jak pozostałych! - krzyknęła zasmucona Twisk. - Czy nie ma żadnego sposobu, żeby oszukać tego potwora?

- Mógłbyś zyskać na czasie dzięki pewnemu fortelowi, ale on cię i tak oszuka.

- Co to za fortel?

- Udać się do zamku Doldil z prezentem. Throop będzie musiał zaferować ci w zamian coś o zbliżonej wartości. Zaproponuje ci jedzenie i picie, ale wolno ci będzie wziąć tylko to, co ci sam da, i ani okruszyny więcej. W przeciwnym wypadku ryczącym głosem oskarży cię o złodziejstwo, i to będzie twój koniec. Skorzystaj z mojej rady, sir Pellinorze! Gdzie indziej szukaj godnych siebie przeciwników i fortuny.

- Jesteś bardzo przekonująca! - Sir Pellinore pochylił się, aby pocałować śliczną twarzyczkę, ale Twisk spoglądając przez ramię zauważyła, że zza liści podgląda ich troll Mangeon. Krzyknęła przestraszona i powiedziała sir Pellinorowi o tym, co zobaczyła. Kiedy jednak z mieczem w dłoni zerwał się na równe nogi, Mangeona już nie było.

W końcu pożegnali się i Twisk wróciła do Thripsey Shee. Jeśli chodzi o sir Pellinora, miała tylko nadzieję, że wbrew temu, co mówił, nie udał się do zamku Doldil.

- To jest wszystko, co wiem o sir Pellinorze - oznajmiła na koniec Twisk.

- Ale gdzie powinnam go teraz szukać? - zapytała Madouc.

Twisk obojętnie wzruszyła ramionami.

- Kto wie? Może jednak poszedł walczyć z Throopem. W takim przypadku tylko Throop wie, jak było naprawdę.

- Czy Throop przypomni sobie coś, co stało się tak dawno temu?

- Tarcze wszystkich rycerzy, których zgładził, ozdabiają ściany hallu jego zamku. Aby sobie coś przypomnieć, Throop musi jedynie przyjrzeć się tym tarczom. Nie powie ci jednak nic, dopóki ty nie powiesz mu czegoś, co będzie dla niego przedstawiało równą wartość.

Madouc zmarszczyła brwi.

- A czy on po prostu nie złapie mnie i nie wsadzi do garnka z zupą?

- Z pewnością! Jeśli tylko będziesz próbowała uciec z czymś, co należy do niego. - Twisk wstała. - Radziłabym ci, żebyś unikała zamku Doldil. Każda z głów Throopa jest równie bezlitosna jak pozostałe.

- Muszę się jednak jakoś dowiedzieć, co stało się z sir Pellinorem.

- Niestety! - westchnęła Twisk. - Nic innego nie potrafisz ci doradzić. Jeśli jednak w swoim uporze i głupocie zdecydujesz się na tę wyprawę, pamiętaj, co powiedziałam sir Pellinorowi. Najpierw musisz się przedostać obok dwóch goblinów jeżdżących na gryfach.

- Jak mam to zrobić?

- Przecież nauczyłam cię „Skaczącego chochlika” - powiedziała poirytowana Twisk. - Zastosuj to zaklęcie z potrójną siłą. Kiedy już pozbędziesz się goblinów i ich koszmarnych wierzchowców, możesz poprosić, żeby cię wpuszczono do zamku Doldil. Throop wpuści cię z przyjemnością. Przywitaj się z każdą głową po kolei, one są o siebie strasznie zazdrosne. Z lewej strony jest Pism, w środku Pasm, a po prawej Posm. Musisz powiedzieć, że przychodzisz jako gość i przynosisz ze sobą prezent. Potem przyjmij tylko to, co dostaniesz, i ani odrobiny więcej. Jeśli będziesz postępowała zgodnie z tą zasadą, Throop nie będzie ci mógł zrobić żadnej krzywdy, a to z powodu czaru rzuconego na niego dawno temu. Jeśli ofiaruje ci winogrona, nie bierz łądźki i ogonków. Jeśli da ci miskę zimnej owsianki, a ty znajdziesz w talerzu kawałek ryby, odłóż go ostrożnie na brzeg albo zapytaj, co masz z tym zrobić. Nie bierz niczego, za co nie mogłabyś również czegoś ofiarować. Jeśli pierwsza dasz mu swój prezent, będzie musiał ci ofiarować coś równie cennego. A przede wszystkim nie próbuj go okraść, bo on ma wszędzie oczy.

- Czy Throop rzeczywiście ma Świętego Graala? - odezwał się sir Pom-Pom.

- Możliwe. Wielu straciło życie tam właśnie go poszukując. Może więc tam jest.

- Co powinniśmy ofiarować Throopowi, żeby się nie wściekł? - zadał pytanie Travante.

- Ty także zamierzasz ryzykować życiem? - zapytała zaskoczona Twisk.

- Dlaczego nie? Czy to jest aż takie niewyobrażalne, że Throop mógłby trzymać moją młodość zamkniętą w jakiejś wielkiej skrzyni, razem z innymi drogocennymi rzeczami?

- Nie jest niewyobrażalne, ale bardzo mało prawdopodobne - powiedziała Twisk.

- To bez znaczenia; będę szukał, gdzie się da. Najpierw w najbardziej prawdopodobnych miejscach.

- A cóż takiego równej wartości zaoferujesz Throopowi w zamian? - zapytała na poły złośliwie Twisk.

Travante zastanowił się.

- To czego szukam, jest bezcenne. Muszę się nad tym dobrze zastanowić.

- Co mógłbym ofiarować Throopowi, żeby zechciał się rozstać ze Świętym Graalem? - dopytywał się sir Pom-Pom.

Elfy, które przysłuchiwały się opowieści, teraz znudziły się i zaczęły odchodzić. Zostały tylko trzy małe chochliki. Szepcząc między sobą zaczęły nagle tarzać się po trawie ze śmiechu.

- Co was tak nagle rozśmieszyło? - zganiała ich Twisk.

Jeden z chochlików podbiegł do niej i nadal chichocząc wyszeptał jej coś do ucha, po czym sama Twisk zaczęła się uśmiechać. Rozejrzała się po łące. Król Throbius i królowa Bossum wciąż dyskutowali z wysokimi urzędnikami dworu o przygotowaniach do bankietu. Twisk powiedziała coś do chochlików i wszystkie trzy pobiegły na tyły zamku. Tymczasem Twisk instruuowała Madouc, co powinna dać Throopowi.

Chochliki wróciły, znowu okrężną drogą, taszcząc coś dużego zawiniętego w purpurowy jedwab. Nadeszły ukradkiem, trzymając się w cieniu lasu i stamtąd zawołały do Twisk:

- Chodź, chodź, chodź!

Twisk powiedziała do poszukiwaczy przygód:

- Przenieśmy się w bardziej osłonięte miejsce. Król Throbius jest bardzo szczodry, szczególnie jeśli nic nie wie o darowanych przez siebie prezentach. - Pewna, że nikt ich nie widzi, Twisk rozwinęła paczkę, odsłaniając złote naczynie wysadżane rabinami i opalami. U samej góry wystawały z niego trzy rurki. - To wielce użyteczne naczynie - powiedziała. - Z jednej rurki leci pitny miód, z drugiej wyborne piwo, a z trzeciej wyśmienite wino. To naczynie można zabezpieczyć przed nieprzewidywanymi użytkownikami. Kiedy wciśnie się tę onyksową kulkę, napoje zupełnie się zmieniają. Pitny miód staje się podłą lurą, piwo smakuje, jakby było warzone z mysich odchodów, a wino zamienia się w ostry kwas zmieszany z nalewką z chrząszczy. Żeby na nowo przywrócić napojom dobry smak, należy dotknąć agatowego guzika. Jeśli dotknie się agatowego guzika podczas normalnego

używania, trzy napoje stają się podwójnie doskonałe. Mówią, że pitny miód smakuje wtedy jak nektar z kwiatów preparowany w samym świetle słonecznym. Piwo jest znacznie szlachetniejsze, a wino to czysty eliksir życia. Madouc ze strachem przyjrzała się naczyniu.

- A gdyby dotknąć agatowego guzika dwa razy?
- Nikt nie ośmielił się jeszcze spróbować napoju tak doskonałego.
- A co by się stało, gdyby dwa razy nacisnąć onyksową kulkę?
- Wtedy z rurek wydobywałyby się brunatna posoka, trupi jad i stęchła woda z bagniska.

- A trzy razy? - zasugerował sir Pom-Pom.

Twisk machnęła ze zniecierpliwieniem ręką.

- Nie bawmy się w takie szczegóły. Throop zapragnie posiąść to naczynie i będziecie mogli ofiarować mu je jako prezent. Nie mogę nic więcej dla was zrobić, może tylko namawiać was jeszcze, żebyście jednak udali się na południe, a nie na północ do zamku Doldil. Ale oto zbliża się wieczór! - Twisk pocałowała Madouc i powiedziała: - Możesz zatrzymać tę białoróżową chusteczkę; będziecie mieli się gdzie schronić. Jeśli przeżyjesz tę wyprawę, to może jeszcze się kiedyś spotkamy.

II

Madouc i Travante owinęli złote naczynie w purpurową, jedwabną chustę i zarzucili pakunek na silne plecy sir Pom-Poma. Bez ociągania obeszlili Szaloną Łakę i ruszyli drogą Wamble.

W to miłe popołudnie na drodze był duży ruch. Przeszli zaledwie milę, kiedy z naprzeciwka dobiegły ich dźwięczne odgłosy elfich trąbek, które z każdą chwilą robiły się coraz głośniejsze i radośniejsze. Drogą nadjechała kawalkada sześciu elfów, ubranych w stroje z czarnego jedwabiu i hełmy o niezwykłych kształtach. Jechali na czarnych koniach bojowych o dziwnym wyglądzie. Miały głęboko zapadniętą pierś, korpusy nisko zawieszono nad ziemią na szponiastych łapach, ich głowy wyglądały jak łby czarnych owiec i spoglądały na wszystko błyszczącymi, zielonymi oczami. Jeźdźcy przemknęli obok trójki wędrowców pochyleni nisko w siodłach, tylko zafurczały

ich czarne peleryny i mignęły blade, sardonicznie wykrzywione twarze. Po chwili tętent uciął i przenikliwe dźwięki rogów umilkły w oddali, a trzech wędrowcy podjęli marsz na północ.

Travante nagle się zatrzymał, po czym odbiegł na bok i zajął w głąb lasu. Po chwili odwrócił się i potrząsnął głową.

- Czasami myślę, że za mną idzie, gdzieś blisko, czy to spowodowana samotnością, czy koniecznością, której nie mogę pojąć. Często udaje mi się ją zauważyć, ale kiedy podchodzę, żeby się przyjrzeć, okazuje się, że już zniknęła.

Madouc spojrzała w kierunku lasu.

- Mogłabym się na coś przydać, gdybym wiedziała, czego szukać.

- Jest może trochę zabrudzona i obdarta - ciągnął Travante. - Biorąc jednak wszystko pod uwagę, uznałbym ją za przydatną i wartą posiadania.

- Będziemy czujniejsi - powiedziała Madouc i dodała melancholijnie: - Mam nadzieję, że nie zgubię swojej młodości w taki sam sposób.

Travante potrząsnął głową.

- Nigdy! Jesteś znacznie bardziej odpowiedzialna, niż byłem ja w twoim wieku.

Madouc zaśmiała się smutno.

- Nie wszyscy tak uważają. Martwię się również o sir Pom-Poma. Jest zbyt poważny jak na chłopca w jego wieku. Być może przyczyną jest zbyt długa praca w stajni.

- Może i tak! - przyznał Travante. - Przyszłość z pewnością gotuje dla nas wiele niespodzianek. Kto wie, co moglibyśmy znaleźć, gdyby Throop otworzył swój wielki kufer?

- To niezbyt prawdopodobne! Nawet uwzględniając to, że sir Pom-Pom niesie dla niego przyzwoity prezent.

- Mój prezent nie jest taki okazały, chociaż Twisk twierdziła, że będzie wystarczający.

- Mój jest trochę lepszy - powiedziała księżniczka. Wskazała na sir Pom-Poma kroczącego dwadzieścia jardów przed nimi. - Zobacz, jaki sir Pom-Pom zrobił się ostrożny! Cóż mogło go aż tak zainteresować?

Przedmiot ich zainteresowania znalazł się w polu widzenia. Niezwykle piękna sylfida jechała na białym jednorożcu siedząc w damskim siodle. Jedno kolano miała ugięte, drugie wisiało swobodnie. Okryta była jedynie długimi, złotymi puklami swych włosów i kierowała jednorożcem ciągnąc

go delikatnie za grzywę. Oboje wyglądali niesamowicie i choć raz było to coś, co zrobiło dobre wrażenie na sir Pom-Pomie.

Sylfida zatrzymała białego wierzchowca i spojrzała na wędrowców szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

- Witam was - odezwała się. - Dokąd zmierzacie?

- Jesteśmy włóczęgami i każde z nas podąża za swoim własnym marzeniem - powiedział Travante. - Obecnie nasze poszukiwania prowadzą nas do zamku Doldil.

Sylfida uśmiechnęła się łagodnie.

- To, co tam znajdziecie, może nie być tym, czego szukacie.

- Będziemy bardzo grzeczni dla sir Throopa - odparł Travante. - Każdy z nas niesie dla niego jakiś cenny prezent, spodziewamy się więc milego przyjęcia.

Sylfida z powątpiewaniem potrząsnęła głową.

- Od zamku Doldil słyszałam zawodzenia, jęki, wycia i żałosne krzyki, ale nigdy nie dotarło do mnie miłe powitanie i przyjacielskie zawołania.

- Sir Throop ma może zbyt poważne usposobienie - stwierdził Travante.

- Sir Throop ma ponurą naturę, a jego gościnność jest dość wątpliwa. Wy jednak z pewnością wiecie lepiej, o co wam chodzi. Teraz muszę już jechać. Bankiet się zacznie, kiedy elfy wyjdą na łąkę, a ja nie chciałabym się spóźnić na tę zabawę - oświadczyła łapiąc jednorozca za grzywę.

- Jedną chwilkę! - zawołał sir Pom-Pom. - Czy musisz się tak spieszyć?

Sylfida pociągnęła za grzywę. Jednorozec pochylił głowę i pogrzebał kopytem po ziemi.

- Czego oczekujesz?

- To nic ważnego - odezwała się Madouc. - Sir Pom-Pom podziwia grę światła w twoich złotych włosach.

Sir Pom-Pom zacisnął usta.

- Dałbym Świętego Graala za to, żeby móc pojechać z tobą do Thripsey Shee.

- Pohamuj swe uwielbienie, sir Pom-Pomie! - rzuciła szorstko Madouc.

- Ta pani ma coś lepszego do roboty niż wysłuchiwanie twojego zipania za jej plecami przez całą drogę na Szaloną Łąkę.

Sylfida wybuchnęła perlistym śmiechem.

- Muszę się spieszyć! Żegnajcie, żegnajcie, ponieważ wiem, że już nigdy

się z wami nie zobaczę! - Pociągnęła za białą grzywę i jednorożec pokłusował drogą Wamble.

- Chodź, sir Pom-Pomie! - zawołała księżniczka. - Nie musisz się już tak uporczywie wpatrywać w tamtym kierunku.

- Sir Pom-Pom podziwia piękny, biały ogon jednorożca - powiedział grobowym głosem Travante.

- Hmm - mruknęła z powątpiewaniem Madouc.

Sir Pom-Pom wyjaśnił, co go tak zainteresowało.

- Zastanawiałem się, jak może jej nie być zimno, kiedy wieje taki przenikliwy wiatr i jest wilgotno w powietrzu!

- Istotnie - przyznał Travante - zastanawiałem się nad tym samym.

- Przyjrzałem się jej dokładnie - ciągnął sir Pom-Pom - i nie zobaczyłem na niej ani śladu gęsiej skórki.

- Ten temat przestaje być interesujący - stwierdziła Madouc. - Czy możemy iść dalej?

Poszli dalej drogą Wamble. Kiedy słońce skryło się za drzewami, księżniczka wybrała otwartą przestrzeń kilka jardów od drogi, rozłożyła białoróżową chusteczkę i na zawołanie „Aroisus” stanął przed nimi domek w białoróżowe paski.

Weszli do środka i tak jak poprzednio, zobaczyli trzy wygodne łóżka, stół zastawiony dobrym jedzeniem i cztery lampy zawieszona na czterech kiniekietach z brązu. Jedli z przyjemnością, choć w raczej posępnych nastrojach. Myśli każdego kierowały się do zamku Doldil i ogra Throopa wraz z jego niepewną gościnnością. Kiedy ułożyli się do snu, nie mogli spokojnie zasnąć.

Rankiem wstali, zjedli śniadanie, złożyli domek i ruszyli na północ. Wkrótce dotarli do rozstajów Idilra. Na prawo droga Munkins prowadziła na wschód, przynajmniej do skrzyżowania z drogą Icnield. Na lewo wiodła jeszcze dalej w głąb puszczy Tantrevalles.

Wędrowcy zatrzymali się na chwilę, a następnie, ponieważ i tak nie było na to rady, skęcili na lewo i ruszyli fatalną drogą Munkins.

Wczesnym przedpołudniem dotarli do rozległej łąki. Na jednym jej skraju płynęła rzeka, zaś nad rzeką stał przysadzisty i masywny zamek Doldil. Zatrzymali się, aby się przyjrzeć szarej kamiennej twierdzy i rozległej murawie, na której wielu rycerzy znalazło swój koniec. Madouc spojrzała na sir Pom-Poma, a potem na Travante.

- Pamiętajcie! Nie bierzcie niczego, co nie będzie wam dane! Throop będzie próbował wziąć nas podstępem i musimy być czujniejsi niż zwykle! Jesteście gotowi?

- Ja jestem gotowy - powiedział Travante.

- Skoro przyszedłem aż tutaj - rzekł sir Pom-Pom głuchym głosem - nie mogę teraz zawrócić.

Wyszli z lasu i zbliżyli się do zamku. Natychmiast uniosła się krata w bramie i dwóch przysadzistych rycerzy w czarnych zbrojach, z opuszczonymi przyłbicami i kopiami gotowymi do boju przegalopowało przez dziedzińiec zamkowy. Jechali na czteronożnych gryfach pokrytych zielonoczarnymi łuskami. Miały głowy na wpół smocze, na wpół osie, a w miejscu skrzydeł sterczały im żelazne szpikulce.

Jeden z rycerzy krzyknął ryczącym głosem:

- Co za bezczelna głupota sprowadziła was na ten prywatny teren? Wyzywamy was. Kto z was ośmieli się z nami walczyć?

- Nikt - odpowiedziała Madouc. - Jesteśmy niewinnymi wędrowcami i chcielibyśmy złożyć wyrazy szacunku sir Throopowi o Trzech Głowach.

- Bardzo dobrze, ale czy przynieśliście coś, czym sir Throop mógłby się nacieszyć lub mieć z tego jakąś korzyść?

- Przede wszystkim, zabawimy go własnym towarzystwem i wesołą rozmową.

- To niezbyt wiele.

- Mamy również podarunki dla sir Throopa. Trzeba przyznać, że ich bogactwem są raczej nasze szczere chęci niż materialna wartość.

- Jak wynika z waszego opisu, te podarki są raczej bezwartościowe.

- Nawet jeśli by tak było, to nie chcemy niczego w zamian.

- Niczego?

- Niczego.

Gobliny przez chwilę konferowały ściszonymi głosami, po czym ten z przodu powiedział:

- Stwierdziliśmy, że nie jesteście niczym więcej, jak tylko głodnymi wółczęgami. Często musimy chronić sir Throopa przed takimi jak wy. Przygotujcie się do walki! Kto pierwszy zmierzy się z nami?

- Nie ja - powiedziała Madouc. - Nie mam kopii.

- Ani ja - odezwał się sir Pom-Pom. - Nie mam konia.

- Ja również nie - rzekł Travante. - Nie mam zbroi, hełmu ani tarczy.

- Wobec tego będziemy walczyć na miecze, dopóki jedna ze stron nie zostanie pocięta na kawałki.

- Jesteście ślepi? - zapytał Travante. - Nie mamy mieczy.

- Jak chcecie! Będziemy wobec tego walić maczugami, dopóki wasza krew nie ozdobi łąki.

Madouc, tracąc cierpliwość, rzuciła zaklęcie na znajdującego się bliżej strasznego, goblinowego rumaka. Ten ryknął przeraźliwie i wyskoczył wysoko, po czym rzucając się na wszystkie strony zaczął biegać bezładnie po łące, aż w końcu wpadł do rzeki. Siedzącego na nim rycerza pociągnął na dno ciężar własnej zbroi i więcej go nie zobaczyli. Drugi rycerz rzucił groźne zawołanie bojowe i ruszył do przodu z wymierzoną w nich kopią. Madouc skierowała zaklęcie na drugiego gryfa, który zaczął się rzucać i trząść z taką zawziętością, że goblin został wyrzucony wysoko w powietrze, a potem upadł uderzając głową o ziemię i leżał nieruchomo.

- A teraz sprawdźmy, czy prawdą jest to, co mówią o gościnności sir Throopa - powiedziała księżniczka.

Przeszli przez otwartą bramę i weszli na śmierdzący dziedziniec. Pięćdziesiąt stóp wyżej ciągnął się długi szereg okien. Na wysokich drzwiach z drewnianych bali łączonych pasami z żelaza wisiała masywna kołatka w kształcie głowy piekielnego psa. Zbierając wszystkie siły sir Pom-Pom uniósł kołatkę i pozwolił jej opaść.

Minęła chwila. W jednym z okien pojawiła się potężna postać o trzech głowach. Środkowa głowa zawołała dyszącym głosem:

- Kto tak bezczelnie hałasuje i przeszkadza mi w odpoczynku? Czyżby moi pacholki nie poinformowali was, że o tej porze odbywam poobiednią drzemkę?

Madouc odpowiedziała na tyle grzecznie, na ile pozwalała jej na to drżący głos.

- Oni nas zobaczyli, sir Throopie, i uciekli w popłochu.

- To niezwykle zachowanie! Kim jesteście?

- Niewinnymi podróżnikami, nikim więcej - oznajmił Travante. - Ponieważ tędy przechodziliśmy, postanowiliśmy złożyć ci nasze wyrazy szacunku. Jeśli zechciałbyś nas ugościć, przyniesiemy ci nasze dary, jak to jest w zwyczaju w tych okolicach.

Pism, głowa z lewej strony, zaklęła:

- Busta, batasta! Mam tylko jednego służącego, jest nim seneszał Na-upt. Jest stary i cherlawy. Nie wolno wam go przemęczać ani nakładać

żadnych ciężarów na jego stare, wymęczone ramiona! Nie wolno wam również dotykać moich drogocennych rzeczy pod groźbą narażenia się na me straszliwe niezadowolenie.

- Nie musisz się o nic obawiać - oświadczył Travante. - Jesteśmy uczciwi jak jasno świecące słońce!

- Dobrze to słyszeć! Dopilnujcie, aby wasze czyny były zgodne z waszymi zapewnieniami.

Głowy zniknęły z okna. Chwilę później ryczący głos rzucił ostry rozkaz:

- Naupt! Gdzie jesteś? Ach, ty stara, nieruchawa żmijo, gdzie się ukrywasz? Pokaż się natychmiast albo przygotuj się na porządne bicie!

- Tu jestem! - krzyknął płaczliwy głos. - Jak zawsze gotowy do twych usług!

- Bah, batasta! Otwórz drzwi i wpuść gości, którzy czekają na zewnątrz! Potem idź i nakop rzepy do tego dużego, czarnego kotła.

- Czy mam również przynieść cebule, Wasza Czcigodność?

- Przynieś ich dużo, będą dobrą zaprawą do zupy! Najpierw jednak wpuść gości!

Chwilę później wielkie drzwi uchyliły się ze straszliwym zgrzytem i skrzypnięciem zardzewiałych zawiasów. Za nimi stał seneszał Naupt. Był to osobnik będący hybrydą trolla z człowiekiem, a może nawet z wefkinem. Był o cal wyższy od sir Pom-Poma, choć jego wielkie ciało przerastało go wszczep przynajmniej dwa razy. Szare, barchanowe spodnie ciasno opinały chude nogi i kościste kolana. W ten sam sposób na jego ramionach leżała obcisła, szara kurta. Parę tłustych kosmyków opadało mu na czoło. Okrągłe, wylupiaście, czarne oczy rozglądały się ruchliwie po obu stronach zakrzywionego nosa. Usta miał małe i wąskie, spiczastą brodę, a miękkie policzki opadały mu z obu stron.

- Wejdźcie - powiedział Naupt. - Kogo mam zapowiedzieć sir Throopowi?

- Ja jestem księżniczka Madouc. To jest sir Pom-Pom z zamku Haidion, a przynajmniej z jego zaplecza. A to Travante Rozważny.

- Witajcie, czcigodni goście! Chodźcie tędy, jeśli łaska! Stąpajcie delikatnie, żebyście nie zdarli kamiennej posadzki.

Naupt niemal truchtem i na palcach poprowadził ich wysokim, ciemnym korytarzem, w którym pachniało wilgocią i zgnilizną. Woda kapała ze szczelin

w ścianie. W miejscach, gdzie nagromadził się wieloletni brud, narosła szara grzybnia.

Korytarz zakręcił, poprowadził ostro pod górę, po czym znowu prosto, potem skręcił raz jeszcze i skończył się wejściem do olbrzymiej komnaty, tak wysokiej, że jej sufit ginął w ciemnościach. Na balkonie umieszczonym na tylnej ścianie stał szereg klatek, w tej chwili pustych. Na pozostałych ścianach wisiały setki tarcz ozdobionych różnymi herbami. Nad każdą tarczą wisiała czaszka w stalowym, rycerskim hełmie, spoglądająca pustymi oczodołami na komnatę. Meble Throopa były toporne, surowe i niezbyt czyste. Masywny stół z dębowych desek stał przed kominkiem, gdzie płonął duży ogień. Dookoła stołu stało dwanaście krzeseł, a u jego krańca jeszcze jedno, trzy razy większe od pozostałych.

Naupł poprowadził ich na środek komnaty i podskakując na krótkich nogach kazał im się zatrzymać.

- Oznajmię wasze przybycie sir Throopowi. Ty jesteś księżniczka Madouc, ty sir Pom-Pom, a ty Travante Rozważny. Czy mam rację?

- Niemal - powiedziała Madouc. - To jest Travante Rozważny, a ja jestem księżniczką Madouc.

- Aha! Teraz się wszystko wyjaśniło! Zawołam sir Throopa. Potem muszę przygotować mu wieczorny posiłek. Możecie tu poczekać. Uważajcie, żeby nie wziąć niczego, co do was nie należy.

- Oczywiście, że nie! - zawołał Travante. - Zaczynają mnie denerwować te posądenia.

- To bez znaczenia. Kiedy przyjdzie właściwa chwila, nie będziecie mogli się tłumaczyć, że nie zostaliście ostrzeżeni. - Naupł ulotnił się na swoich chudych nóżkach.

- Tu jest zimno - burknął sir Pom-Pom. - Stańmy przy kominku.

- W żadnym razie! - krzyknęła Madouc. - Chcesz skończyć w zupie Throopa? Te drwa, które płoną na kominku, nie są naszą własnością. Nie możemy wykorzystywać ich ciepła.

- To strasznie delikatna sytuacja - mruknął sir Pom-Pom. - Zastanawiam się, czy powinniśmy oddychać tutejszym powietrzem.

- Na to możemy sobie pozwolić, ponieważ powietrze jest wszędzie i nie jest własnością Throopa.

- To dobra nowina. - Sir Pom-Pom odwrócił się. - Ktoś nadchodzi. To Throop.

Throop wszedł do komnaty. Zrobił pięć długich kroków, a jego trzy głowy z wielką uwagą zaczęły przyglądać się gościom. Throop był wielki i pękaty, miał dziesięć stóp wzrostu, pierś jak byk, potężne, niemal okrągłe ramiona i krzywe nogi, każda gruba jak pień drzewa. Głowy były okrągłe, o grubych kościach policzkowych, z wielkimi, szarymi oczami, sękatymi nosami i purpurowymi, mięsistymi ustami. Każda miała spiczasty kapelusz w innym kolorze: kapelusz Pisma był zielony, Pasma brunatny, a Posma w wesołym musztardowym kolorze.

Trzy głowy zakończyły lustrację. Pasm, środkowa głowa Throopa, powiedział:

- Po co tu przyszliście, zajmując miejsce i wykorzystując schronienie w murach mojego zamku?

- Przyszliśmy złożyć ci wyrazy szacunku, jak tego wymaga dobre wychowanie - powiedziała Madouc. - Ponieważ zaprosiłeś nas do środka, nie mieliśmy innego wyjścia, jak skorzystać z tej przestrzeni i schronienia.

- Bah, batasta! To przemyślna odpowiedź. Dlaczego stoicie jak kolki?

- Nie chcielibyśmy nadużywać twojej gościnności. Dlatego też czekamy na twoje polecenia.

Throop poszedł do stołu i usiadł na największym krześle.

- Możecie przyłączyć się do mnie przy stole.

- Mamy usiąść na krzesłach, sir Throopie, bez względu na to, że mogliśmy je nieco zużyć?

- Musicie uważać! Te krzesła to cenne antyki!

- Wobec tego z obawy o twoją własność postanowiliśmy, że będziemy stać.

- Możecie usiąść.

- W ciepłe kominka czy gdzieś indziej?

- Gdzie chcecie.

Madouc wyczuła sprytną dwuznaczność w tej odpowiedzi.

- Bez narażania się na karę? - zapytała.

- W waszym wypadku zrobię wyjątek i nie obciążę was kosztami ciepła ani światła! - ryknęły na raz wszystkie głowy Throopa.

- Dziękujemy. - Ostrożnie usiedli i w pełnym szacunku milczeniu wpatrzyli się w Throopa.

- Jesteście głodni? - zapytał Posm.

- Nieszczególnie - odparła Madouc. - Ponieważ nie była to zapowiedziana wizyta, nie chcielibyśmy zjeść niczego, co było na ten wieczór przeznaczone dla ciebie lub Naupta.

- Jesteś uosobieniem delikatności! Zobaczmy jednak, czy nie da się czegoś zrobić. - Pism skreślił krępą szyję i wrzasnął tuż obok ucha Pasma: - Naupt! Przynies owoce! Będziemy dzisiaj szczerzy!

Naupt zbliżył się do stołu niosąc cynową tacę obładowaną wysoko gruszkami, brzoskwiniami, wiśniami, winogronami i śliwkami. Najpierw podał tacę Throopowi.

- Ja zjem gruszkę - powiedział Pism.

- Dla mnie tuzin tych smakowitych wiśni - zażądał Pasm.

- Dzisiaj zadowolę się śliwką albo dwiema - stwierdził Posm.

Naupt podszedł z tacą do Madouc, która z uśmiechem odmówiła.

- Dziękuję, ale dobre maniery nie pozwalają mi niczego przyjmować, ponieważ nie mamy niczego, co moglibyśmy zaofiarować w zamian.

- Każde z was może zjeść jedno winogrono, bez żadnych zobowiązań - rzekł Posm szczerząc zęby.

Księżniczka potrząsnęła głową.

- Moglibyśmy niechcący złamać łożysko albo połknąć pestkę, ku swemu zażenowaniu nadużywając twojej gościnności.

Pism jęknął.

- Jesteś bardzo dobrze wychowana, choć jest to nieco męczące, ponieważ opóźnia mój posiłek.

- Ale zostawmy to na razie - odrzekł Posm. - Czyż nie wspominaliście przypadkiem o jakichś prezentach?

- To prawda! - przyznała Madouc. - Jak widzisz, jesteśmy skromnymi ludźmi, a nasze prezenty nie są może zbyt wyrafinowane, jednakże darujemy ci je ze szczerego serca.

- Jakkolwiek by było, takie prezenty są najlepsze! - zauważył Travante. - Zasługują na większy szacunek niż kolekcja biżuterii lub flakony z rzadkimi perfumami.

- Batasta - rzucił Pism. - Wszystko ma swoje miejsce na tym świecie. Zatem, co przynieśliście, aby sprawić mi przyjemność?

- Wszystko w swoim czasie - powiedziała Madouc. - W tej chwili jestem spragniona i chcę się czegoś napić.

- To się da załatwić! - oświadczył Pism wielce rozradowany. - Posm, czy mam rację?

- Im szybciej, tym lepiej - stwierdził Posm. - Dzień ma się ku końcowi, a my jeszcze nie włożyliśmy niczego do garnka.

- Naupt, zabierz te owoce! Przynies kielichy, i to biegiem, bo chcemy się napić! - zawołał Pasm.

Naupt zniknął z owocami i wrócił z zastawioną kielichami tacą, którą postawił na stole. Dziewczyna grzecznie powiedziała do Throopa:

- To są bardzo cenne kielichy! Czy pozwalasz nam z nich skorzystać bez zaciągania wobec ciebie jakichkolwiek zobowiązań?

- Nie jesteśmy niepraktycznymi teoretykami! - pyszałkowato oświadczył Pasm. - Żeby się napić, potrzeba właściwego naczynia podobnego w kształcie do kielicha. W przeciwnym wypadku, jeśli chciałoby się nalać jakiegoś płynu, to rozlałby się on po podłodze.

- Krótko mówiąc, możecie swobodnie pić z tych kielichów - stwierdził Pism.

- Naupt, przynieś wino z jeżyn! - zawołał Posm. - Chcemy ugasić nasze pragnienie!

- Kiedy będziemy pili, możesz również zastanowić się nad tym, co winienesz nam ofiarować w zamian - powiedziała Madouc. - Zgodnie ze szlacheckimi obyczajami, takie dary powinny dorównywać wartością temu, co otrzymasz od nas.

- Co to za głupia gadanina? - ryknął Pasm.

- Nie ma niczego złego w takiej dyskusji - sprzeciwił się Pism. - Nie zominajcie o tym, co zwykle robimy.

- To prawda - przyznał chichocząc Posm. - Naupt, czy przygotowałeś cebulę na zupe?

- Tak, Wasza Czcigodność!

- Odłóż je na chwilę. Będzie małe opóźnienie, a one nie powinny się rozgotować.

- Dobrze, Wasza Czcigodność.

- Możesz nam nalać wina, którego zażądali nasi goście dla zaspokojenia pragnienia.

- W żadnym razie! - stwierdziła Madouc. - Nigdy nie pozwolilibyśmy sobie na takie wykorzystywanie twojej gościnności! Sir Pom-Pomie, wyjmij nasze złote naczynie. Napiję się miodu.

Sir Pom-Pom wydobyl naczynie i z pierwszej rurki nalał miodu dla Madouc.

- Sądę, że dzisiaj napiję się dobrego czerwonego wina - powiedział Travante i sir Pom-Pom napełnił jego kielich po brzegi z właściwego kurka.

- Jeśli o mnie chodzi, to napiję się nieco tego przepysznego piwa! - oznajmił i z ostatniego kurka nalał sobie pienistego trunku.

Trzy głowy Throopa przyglądały się całej operacji z wielkim zdziwieniem, po czym zaczęły sobie mruczeć do uszu.

- Wspaniałe naczynie! - zawołał Pasm.

- To prawda! - stwierdził sir Pom-Pom. - A skoro już mówimy o naczyniach, co wiesz o Świętym Graalu?

Wszystkie trzy głowy natychmiast pochyliły się w stronę sir Pom-Poma.

- Cóż to? - zdziwił się Pism. - Czyżbyś zadał pytanie?

- Nie! - krzyknęła Madouc. - Oczywiście, że nie! Nigdy! Źle usłyszałeś sir Pom-Pomie! On powiedział, że woli swoje piwo ponad wszystko inne!

- Hmm, to źle! - skonstatował Pasm.

- Informacja to bardzo wartościowa rzecz - powiedział Posm. - Bardzo ją sobie cenimy.

- Skoro możecie swobodnie korzystać z kielichów, może pozwolilibyście nam spróbować trunków z tego wspaniałego naczynia? - odezwał się Pism.

- Oczywiście - zgodziła się Madouc. - Tego wymaga przyzwoitość. Na co macie ochotę?

- Na miód - powiedział Pism.

- Ja napiję się wina - oznajmił Pasm.

- A ja skosztuję tego rewelacyjnego piwa - stwierdził Posm.

Naupł przyniósł kielichy, które sir Pom-Pom napełnił po brzegi. Naupł podał każdej z głów trunek, o jaki prosiła.

- Doskonałe! - oświadczył Pism.

- Wyborne i doskonałej jakości! - powiedział Pasm.

- Batasta! - krzyknął Posm. - Od wielu lat nie piłem tak dobrego piwa.

- Teraz powinniśmy zaprezentować ci nasze podarunki - stwierdziła Madouc. - Potem będziesz mógł ofiarować nam twoje prezenty, nim wyruszymy w dalszą podróż.

- Ba, batasta! - ryknął Posm. - Ta gadanina o prezentach ode mnie drażni moje uszy.

Pism znowu mrugnął wielkim, białym okiem.

- Czyżbyś zapomniał o naszym małym żarciku?

- To bez znaczenia! - powiedział Posm. - Nie możemy pozwolić, aby nasi goście zaczęli się zastanawiać. Księżniczko Madouc, taka delikatna i słodka, jaki przyniosłaś mi prezent?

- To, co ci ofiaruję, jest bardzo cenne. Są to bowiem wiadomości o twoim ukochanym bracie, ogrze Higulafie! W zeszłym miesiącu pokonał on oddział szesnastu silnych rycerzy pod urwiskami Kholensk. Król Muscovy

zamierza nagrodzić go powozem zaprzężonym w sześć białych niedźwiedzi oraz eskortą dwunastu perskich pawi. Higlauf ubiera się ostatnio w nowy płaszcz z futra czerwonego lisa i nosi wysokie, futrzane kapelusze na wszystkich głowach. Ma się dobrze, może poza krostą na jednej z szyj. Ma również obolałą nogę, w którą ugryzł go wściekły pies. Przesyła ci braterskie pozdrowienie i zaprasza cię do siebie na zamek Tromsk nad rzeką Udovna. Ta wiadomość jest moim darem dla ciebie. Mam nadzieję, że sprawi ci wiele radości. Trzy głowy zamrugaly i prychnęły lekceważąco.

- Ten dar ma niewielką wartość - stwierdził Posm. - Nic mnie nie obchodzi, czy Higulafa boli noga czy też nie, nie zazdroszczę mu również tych niedźwiedzi.

- Staralam się, jak mogłam najlepiej - powiedziała Madouc. - A co będzie z prezentem dla mnie?

- Będzie on wart tyle, ile twoja wiadomość, i ani krztyny więcej.

- Jak chcesz. Mógłbyś mi udzielić informacji o moim przyjacielu, sir Pellinorze z Akwitanii, który przechodził tędy wiele lat temu.

- Sir Pellinore z Akwitanii? - Trzy głowy pograżyły się w rozmowie:

- Pism, czy przypominasz sobie sir Pellinora?

- Myli mi się z sir Priddelotem z Lombardii, który był bardzo łykowany. Posm, a co z tobą?

- Nie pamiętam tego imienia. Jaki miał znak na tarczy?

- Trzy czerwone róże na niebieskim tle.

- Nie przypominam sobie ani tego imienia, ani herbu. Większość, jeśli nie wszyscy, którzy przybywają do zamku Doldil, pozbawiona jest jakiegokolwiek moralności i myśli tylko o tym, jakby tu coś ukraść lub zgładzić mnie podstępnie. Ci kryminaliści zostali ukarani i ugotowani w smakowitej zupie, co było dla wielu z nich najznamienitszym wydarzeniem w ich, poza tym, pustym życiu. Ich tarcze i oręż wiszą na ścianie. Rozglądaj się do woli i bez zobowiązań. Czy widzisz gdzieś trzy czerwone róże twojego przyjaciela sir Pellinore'a?

- Nie - powiedziała Madouc. - Nie widzę nic w tym rodzaju.

- Naupt, gdzie jesteś? - zawołał Posm.

- Tutaj, Wasza Czcigodność!

- Zajrzyj do wielkiego rejestru! Sprawdź, czy bawił tu kiedyś niejaki sir Pellinore z Akwitanii.

Naupt wybiegł z komnaty i po chwili wrócił.

- Nie zapisano żadnego takiego imienia, nawet w indeksie i w spisie przepisów. Nie poznaliśmy nigdy sir Pellinore'a.

Posm zwrócił się do Madouc.

- Takiej też muszę ci udzielić odpowiedzi, co w pełni zwalnia mnie od jakichkolwiek zobowiązań wobec ciebie. A teraz Travante Rozważmy. Co ty przyniosłeś mi w darze?

- Jest to dar niezwyklej wagi, jeśli tylko korzysta się z niego właściwie. Prawdę mówiąc, poświęciłem całe życie na jego zdobycie. Sir Throopie, jako mój podarunek ofiarowuję ci mą ciężko zdobytą starość, mój dojrzały wiek wraz z przynależnym mu szacunkiem. To doprawdy drogocenny dar.

Trzy głowy Throopa wykrzywiły się i wielkie ramię podrapało się po trzech brodach, jedna po drugiej.

- Jak możesz tak beztrzesko oddawać tak cenną rzecz? - zapytał Posm.

- Robię to z szacunku dla ciebie, mój gospodarzu, w nadziei, że skorzystasz z niej w równym stopniu jak ja. Jeśli chodzi o prezent dla mnie, mógłbyś przywrócić mi niepoważny i pusty wiek młodzieńczy, ponieważ zgubiłem swój własny gdzieś po drodze. Gdybyś przypadkiem posiadał coś takiego wśród swoich skarbów, raz jeszcze zgodziłbym się na młodość i wszystko, co się z nią wiąże.

- Naupt, chodź tutaj! - zawołał Pism.

- Tak, Wasza Czcigodność?

- Słyszałeś, czego chce Travante. Czy pośród rupieci na zamku mamy coś, co odpowiadałoby temu opisowi?

- Jestem pewien, że nie, sir.

Trzy głowy spojrzały na Travante.

- Musisz zatrzymać swoją starość, ponieważ nie mogę cię obdarować niczym odpowiednim, i taki będzie koniec naszej transakcji. A teraz ty, sir Pom-Pomie, co chcesz mi ofiarować?

- Prawdę mówiąc, nie mam nic szczególnego, może poza tym złotym naczyniem.

- Nie musisz przeproszać - powiedział pośpiesznie Posm. - To powinno wystarczyć.

- Zgadzam się - rzekł Pasm. - To wielce użyteczny prezent, w przeciwieństwie do tych abstrakcji ofiarowanych nam przez księżniczkę Madouc i Travante Rozważnego.

- Jest jednak pewna trudność - ciągnął sir Pom-Pom. - Nie miałbym już

żadnego naczynia, z którego mógłbym pić. Gdybyś mógł dać mi coś w zamian, jakiś zwykły kielich, z dwoma uchwytyami, wołałbym w niebieskim kolorze, wtedy chętnie ofiarowałbym ci moje naczynie.

- Naupt? - zawołał Pism. - Gdzie się podziewasz? Zasnąłeś za piecem? Musisz się lepiej starać albo to się źle dla ciebie skończy!

- Jak zawsze daję z siebie wszystko, Wasza Czcigodność!

- Pomóż mi! Sir Pom-Pom potrzebuje naczynia do picia. Dostarcz mu takie, które będzie mu się podobało.

- Bardzo dobrze, Wasza Czcigodność! Sir Pom-Pomie, czego ci potrzeba?

- Och, tylko jakiegoś starego kielicha, z dwoma uchwytyami w jasnoniebieskim kolorze.

- Przeszukam szafę i może znajdę kielich, który będzie ci się podobał.

Naupt wybiegł z hallu, a po chwili wrócił niosąc filiżanki, kubki i kilka kielichów. Żaden z nich nie odpowiadał sir Pom-Pomowi. Niektóre były zbyt szerokie, inne za wąskie. Niektóre za ciężkie, inne w niewłaściwym kolorze. Naupt biegał w tę i z powrotem, dopóki stół nie zapełnił się rozmaitymi naczyniami.

Po jakimś czasie zaczęło to Throopa nużyć.

- Sir Pom-Pomie, przecież pośród tych naczyń musi być takie, które by tobie odpowiadało - odezwał się Posm.

- Niezbyt. Ten jest zbyt duży. Tamten zbyt przysadzisty. Ten ma niewłaściwe dekoracje.

- Batasta, ależ jesteś wybredny, jeśli chodzi o picie! Nic innego nie możemy ci zaoferować.

- Mógłbym nawet przyjąć coś w irlandzkim stylu - zasugerował sir Pom-Pom.

- Ach - krzyknął Naupt. - Pamiętasz ten dziwny stary kielich, który dawno temu zabraliśmy temu irlandzkiemu mnichowi? Może ten będzie odpowiadał sir Pom-Pomowi.

- To bardzo możliwe - powiedział sir Pom-Pom. - Idź po niego, niech go obejrzę.

- Zastanawiam się, gdzie schowałem tę starość - mruzczał Naupt. - Sądzę, że jest w szafie obok wejścia do lochów.

Naupt zniknął, po czym wrócił z zakurzonym kielichem w jasnoniebieskim kolorze o dwóch uchwytych.

Madouc zauważyła, że brzeg był w jednym miejscu lekko nadtluczony, poza tym wyglądał zupełnie jak na rysunku, który widziała w bibliotece w Haidionie.

- Gdybym była na twoim miejscu, sir Pom-Pomie - odezwała się - przyjąłabym ten kielich bez dalszego marudzenia, mimo że jest stary i nadtłuczony, i nie ma żadnej wartości.

Sir Pom-Pom złapał kielich drżącymi rękami.

- Podejrzewam, że będzie mi dobrze służył.

- Dobrze - powiedział Pasm. - Skończyliśmy z rozdawaniem prezentów i musimy się zająć innymi sprawami.

Posm skinął na Naupta.

- Czy przygotowałeś listę szkód?

- Jeszcze nie, Wasza Czcigodność!

- Musisz do tego dopisać opłatę za czas zmarnowany z księżniczką Madouc i Travante Rozważnym. Sir Pom-Pom przyniósł nam cenną rzecz, natomiast Madouc i Travante próbowali nas omamić częstą gadaniną! Zasłużyli sobie na karę. Włóż cebule do garnka i dorzuć dREW do ognia.

Madouc ze zdenerwowania oblizwała wargi.

- Nie możesz planować tego, co podejrzewam, że planujesz - odezwała się przymilnie.

- Ha, batasta! - zawołał Pism. - Twoje podejrzewania wcale nie muszą być dalekie od prawdy.

- Ale przecież jesteśmy twoimi gośćmi.

- Nie mniej smakowitymi niż inni, szczególnie z dodatkiem mojej ulubionej przyprawy.

- Zanim weźmiemy się do roboty, może powinniśmy napić się jeszcze trochę z tego naczynia obfitości - zasugerował Pasm.

- Dobry pomysł - przyznał Posm.

Sir Pom-Pom wstał.

- Pokażę wam, jak najlepiej nalewać. Naupt, przynieś duże kufle! Pism, Pasm i Posm chcą się napić swoich ulubionych trunków.

- Istotnie - twierdził Pasm. - Naupt, przynieś te wielkie, cynowe kufle, abyśmy się mogli napić do syta.

- Tak, Wasza Czcigodność!

Sir Pom-Pom manipulował przy złotym naczyniu.

- Czego się napijecie?

- Ja chcę miodu, i to dużo - powiedział Pism.

- Tak jak przedtem chcę tego czerwonego wina! - zawołał Pasm.

- Ja zapragnę więcej tego oszalamiającego piwa, tylko żeby nie było za dużo piany w kufle - zadysponował Posm.

Sir Pom-Pom nalał z trzech kurków, a Naupt podał kufle trzygłowemu Throopowi.

- Wzniescie kufle wysoko i wypijcie duszkiem! Jeszcze mnóstwo zostało w naczyniu.

- Ha, batasta! - krzyknął Pasm. - Wszyscy razem, pijmy!

Dwie ręce Throopa uniosły trzy kufle i wlały ich zawartość do gardeł Pisma, Pasma i Posma na raz.

Minęły trzy sekundy. Nagle Pism zrobił się jaskrawoczerwony na twarzy i wytrzeszczył straszliwie oczy, a wszystkie zęby wypadły mu na podłogę. Pasmem zadowolenie zdawało się rzucać w górę i w dół. Twarz Posma zrobiła się zupełnie czarna, a z oczu buchnęły mu czerwone płomienie. Throop uniósł się i stanął na chwiejnych nogach. We wnętrzu jego wielkiego cielska rozległo się najpierw bulgotanie, a potem stłumiony wybuch i Throop przewrócił się na plecy z wielką dziurą w brzuchu. Travante podszedł do Troopa i podniósł jego masywny miecz, którym odrąbał trzy głowy.

- Naupt, gdzie jesteś? - zawołał.

- Tutaj, panie.

- Weź te głowy i wrzuć je do ognia, natychmiast, trzeba je zniszczyć.

- Jak każesz, panie! - Naupt zataszczył głowy do kominka i jedna po drugiej wrzucił je w płomienie.

- Pilnuj, żeby się spaliły do szczętu! - powiedział Travante. - A teraz powiedz mi, czy są jacyś więźniowie w lochach?

- Nie, Wasza Lordowska Mość! Throop zjadł ich wszystkich, co do jednego!

- Wobec tego nie ma nic, co by jeszcze opóźniało nasze odejście.

- Przeciwnie - powiedziała Madouc słabym głosem. - Sir Pom-Pomie, najwyraźniej nie nacisnąłeś onyksowego guzika raz, tylko dwa razy?

- Nie dwa - zaprzeczył sir Pom-Pom. - Nacisnąłem pięć razy, a potem jeszcze raz dla pewności. Jak widzę, naczynie rozpadło się na przeżarte czymś kawalki.

- Spełniło swoje zadanie - stwierdziła księżniczka. - Naupt, oszczędzimy twe nieszczęsne życie, ale musisz się zmienić!

- Z przyjemnością i wdzięcznością, Jaśnie Oświecona Pani!

- Odtąd będziesz się poświęcał dobrym uczynom i gościnnie przyjmował podróżnych.

- O, tak! Jak wspaniale być wolnym od mego ciemnościela!

- Nic więcej nas tu nie zatrzymuje - oznajmiła Madouc. - Sir Pom-Pom znalazł to, czego szukał. Ja dowiedziałam się, że sir Pellinore podziewa się gdzie indziej. Travante upewnił się, że jego młodość nie tkwi wciśnięta pomiędzy stare graty na zamku Doldil.

- To już coś, choć nadal niewiele - westchnął Travante. - Muszę szukać dalej.

- Chodźcie! - ucięła Madouc. - Wyruszamy natychmiast! Niedobrze mi od tego smrodu.

III

Trzej podróżni szybkim krokiem opuścili zamek Doldil, szerokim łukiem omijając ciało goblina ze złamanym karkiem. W milczeniu pomaszrowali na zachód drogą Munkins, która zgodnie z zapewnieniami Naupsta, miała się wkrótce połączyć z Wielką Drogą Północno-Południową. Wiele razy oglądali się za siebie, jakby obawiając się czegoś straszego, co mogłoby ich ścigać. Na drodze było jednak bardzo spokojnie, a jedynymi dobiegającymi ich odgłosami były śpiewy ptaków.

Wędrowali mila za milą, a każde z nich było pogrążone .we własnych myślach. W końcu Madouc odezwała się do Travante:

- Podejrzewam, że jednak trochę skorzystałam na tym okropnym wydarzeniu. Wreszcie mogę podać imię mojego ojca, a na dodatek on ponoć nadal żyje. Nie traciłam czasu na próżno. Będę wypytywać dalej w Haidionie i z pewnością jakiś szlachcic z Akwitanii dostarczy mi wiadomości o Pellinorze.

- Moja sprawa również posunęła się do przodu - powiedział Travante, jednak bez większego przekonania. - Mogę wyłączyć zamek Doldil z przyszłych poszukiwań. Niewielkie to, acz pozytywne osiągnięcie.

- To z pewnością lepsze niż nic - przyznała księżniczka. Krzyknęła do sir Pom-Poma, który maszerował daleko z przodu: - A co z tobą, sir Pom-Pomie?! Znalazłeś Świętego Graala; twoje poszukiwania zakończyły się sukcesem!

- Otepiałem od tego wszystkiego. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę mi się udało.

- Ale tak jest naprawdę. Niesiesz ze sobą Świętego Graala i możesz spodziewać się królewskiej nagrody.

- Muszę to wszystko poważnie przemyśleć.

- Nie decyduję się na poślubienie księżniczki - poradziła mu Madouc. - Niektóre panny wdychają i flirtują, ona natomiast rzuca paskudne zaklęcia bez odrobiny litości.

- Jeśli o to chodzi, to zdążyłem się już zdecydować - oświadczył sir Pom-Pom. - Nie chcę małżonki tak samowolnej i beztroskiej jak księżniczka.

Travante powiedział z uśmiechem:

- Może stałaby się łagodna i posłuszna, gdyby wyszła za mąż - wtrącił z uśmiechem Travante.

- Ja jednak nie będę ryzykował - powiedział sir Pom-Pom. - Może poślubię Devonet, która jest śliczna i niezwykle delikatna, choć ma może nieco za ostry języzek. Jednego dnia zbesztła mnie okrutnie za zgubienie popręgu. Takie niedoskonałości można jednak skutecznie wykurować porządym laniem. - Sir Pom-Pom z zamyśleniem pokiwał głową. - Muszę się nad tym zastanowić.

Przez jakiś czas droga biegła wzdłuż rzeki. Mijali zatoczki ocienione płaczącymi wierzbami i brzegi podmywane przez niespokojny nurt. Przed wielką, szarą skałą rzeka skręciła na południe. Droga zaczęła prowadzić pod górę, potem w dół, do dolinki, i wiała się dalej pomiędzy olbrzymimi wiązami, których liście mieniły się w świetle zachodzącego słońca wszystkimi odcieniami zieleni.

Wreszcie słońce zaszło i zapadł zmierzch. Kiedy zaczęło się robić coraz ciemniej, droga wyszła na małą polanę. Nie było tam nic poza ruinami kamiennej chatki. Travante zajrzał do środka i zobaczył tam jedynie pełno kurzu i gnijących liści, stary stolik i szafkę, której drzwiczki jakimś cudem nadal się trzymały na zawiasach. Travante otworzył je i znalazł na najwyższej półce książeczkę ze stronami ze sztywnego pergaminu, do których przyklepiały się suche liście. Podał ją Madouc.

- Moje oczy nie dają już sobie rady z czytaniem. Słowa rozmazują się i nie odkrywają przede mną żadnych swoich tajemnic. Nie tak bywało dawniej, zanim moja młodość mi umknęła.

- To bardzo poważna strata - powiedziała Madouc. - Jednak nie możesz w tej sprawie zrobić więcej, niż robisz teraz.

- Ja też tak przypuszczam - przyznał Travante. - Mimo to nie dam się zniechęcić.

Madouc rozejrzała się po polanie.

- Wygląda to na całkiem miłe miejsce na nocleg, głównie dlatego, że wkrótce będzie już zupełnie ciemno.

- Racja! - zgodził się Travante. - Czas już na odpoczynek.
- Czas również, aby coś zjeść odezwał się sir Pom-Pom. - Nie proponowano nam dzisiaj żadnego jadła poza winogronami Throopa, których zresztą nie przyjeśliśmy. Jestem głodny.

- Dzięki mojej kochanej matce będziemy mogli się najeść i odpocząć - powiedziała Madouc. Rozłożyła biało-różową chusteczkę, zawołała „Aro-isus!” i po chwili stanął przed nimi domek. Weszli do środka i jak zwykle znaleźli tam stół zastawiony obficie doskonałym jadłem. Była tam pieczeń wołowa w cieście, pieczony drób prosto z rożna i ryba nadal skwiercząca na patelni, potrawka z gołębia, wielki garnek małży gotowanych w maśle z czosnkiem i ziołami, rzeżucha, chleb i masło, solone rybki, marynowane ogórki, trzy rodzaje sera, mleko, wino, miód, ciasteczka z owocami, poziomki z bitą śmietaną i wiele innych smakołyków. Cała trójka wykąpała się w wannach napełnionych perfumowaną wodą, a potem jedli długo i do syta.

W świetle czterech lamp z brązu Madouc przejrzała książeczkę zabraną z chaty.

- Wygląda to na jakiś almanach, zbiór uwag i rad różnego rodzaju. Zostały spisane przez dziewczynę, która mieszkała w chacie. Oto jej recepta na dobrą cerę: „Powiedają, że bardzo dobry jest krem ze zmielonych migdałów i olejku z ziaren maku, szczególnie jeśli się go wytrwale używa, dobry również jest tonik ze słodkiego aloesu i mleka białej lisicy (Niestety! Gdzie znaleźć białą lisicę?), następnie zmieszany z paroma szczyptami zmielonej kredy. Jeśli o mnie chodzi, to nie rozporządzam żadnym z tych środków, zresztą nie zastosowałabym ich nawet wtedy, gdyby były pod ręką, bowiem nikt i tak by tego nie zauważył”. Hmm. - Madouc przewróciła stronę. - Oto jest wskazówka, jak nauczyć kruka mówić. „Najpierw znajdź młodego kruka, pełnego życia, radosnego i chętnego. Musisz traktować go łagodnie, choć trzeba będzie wyrwać mu lotki, aby nie odleciał. Przez miesiąc dodawaj do jego zwykłego jedzenia po kropli dobrej waleriany, do której wkruszysz sześć włosów z brody mądrego filozofa. Pod koniec miesiąca musisz powiedzieć: «Kruku, mój drogi kruku, posłuchaj mnie! Kiedy podniosę palec, masz przemówić! Niech twe słowa będą mądre i rozważne! Tak przyniesiesz radość nam obojgu, gdyż będzie to ulgą dla naszej samotności. Kruku, przemów!»

Postąpiłam zgodnie z tą instrukcją i przestrzegałam jej bardzo dokładnie, ale wszystkie moje kruki pozostały nieme i nigdy nie ubarwiły mojej samotności”.

- To dziwne - mruknął sir Pom-Pom. - Podejrzewam, że filozof, z którego brody wyrwała te włosy, albo nie był naprawdę mądry, albo ją po prostu oszukał.

- To możliwe - przyznała dziewczyna.

- W takim odludnym miejscu niewinna dziewczyna łatwo może się dać oszukać - stwierdził Travante. - Nawet filozofowi.

Madouc znowu zajrzała do książki.

- Tu jest jeszcze inna recepta. Nazywa się „Niezawodny środek na uzyskanie pełnej wzajemności i szczerzej miłości tego, kogo kochasz”.

- To powinno być interesujące - powiedział sir Pom-Pom. - Przeczytaj to, jeśli łaska, i to dokładnie.

Księżniczka zaczęła czytać:

- „Kiedy księżyc w ostatniej kwadrze wędruje nisko po niebie i żegluje po chmurach jak statek zjawa, wtedy nadchodzi czas, aby się przygotować, ponieważ opary często się zbierają i skraplają, a potem spływają po jego świecącej krawędzi, a kropla zawisa na dolnym rogu. Powoli, powoli chwije się i wreszcie opada. Jeśli ktoś biegnący poniżej złapie tę kroplę do srebrnego naczynia, zdobędzie eliksir wielorakiego przeznaczenia. Jeśli kropla tego syropu zostanie wpuszczona do kielicha z białym winem, a dwoje wypije razem z tego kielicha, niewątpliwie pokochają się słodką miłością. Zrobiłam więc postanowienie. Pewnej nocy, kiedy księżyc będzie nisko, pobiegnę tam z moim kielichem i nie zatrzymam się, dopóki nie stanę pod rogiem księżycy, i będę tam czekać na cudowną kroplę”.

- Są tam jeszcze jakieś zapiski? - zapytał Travante.

- To wszystko, jeśli chodzi o tę receptę.

- Zastanawiam się, czy ta dziewczyna pobiegła w nocy i czy w końcu złapała tę drogocenną kropelkę.

Madouc przewróciła następne pergaminowe strony.

- Nie ma tu nic więcej, deszcz rozmył resztę.

Sir Pom-Pom pogładził się po brodzie. Spojrzał na święty kielich, który spoczywał na poduszce, po czym wstał i wyszedł przed domek. Po chwili wrócił do stołu.

- Jaką mamy noc, sir Pom-Pomie? - zagadnął go Travante.

- Księżyc jest niemal w pełni, a niebo bezchmurne.
- Aha! Wobec tego nie będzie dzisiaj kapał z nieba żaden syrop!
- Czy zamierzasz biegać po lesie z kielichem w dłoniach? - spytała.
- Dlaczego nie? - odparł z godnością sir Pom-Pom. - Kropelka tego księżycowego eliksiru mogłaby się kiedyś przydać. - Rzucił Madouc przelotne spojrzenie. - Nadal nie jestem pewien, o jaką nagrodę poproszę.
- Myślałam, że zdecydowałeś się zostać baronem i poślubić Devonet.
- Pojęcie za żonę księżniczkę znacznie bardziej podniosłoby mój prestiż, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Madouc zaśmiała się.

- Rozumiem, co masz na myśli, sir Pom-Pomie, i odtąd będę uważała na twoje białe wino, choćbyś ofiarowywał mi cały galon klęcząc przede mną na kolanach.

- Ba! Zupełnie brak ci rozsądku - mruknął.
- Bez wątpienia - westchnęła księżniczka. - Musi ci wystarczyć Devonet.
- Jeszcze o tym pomyślę.

Rankiem ruszyli dalej drogą Munkins. Szli pod wielkimi drzewami, przez które przesączało się poranne światło. Maszerowali już od godziny, gdy nagle Travante krzyknął przestraszony. Madouc odwróciła się do niego i zobaczyła, że wpatruje się w głąb lasu.

- Widziałem ją! - wołał Travante. - Jestem tego pewien! Popatrz tam, popatrz sama! - Wskazał na coś, co w czasach księżniczki wyglądało jak błyskawiczny ruch pomiędzy drzewami. Travante krzyknął: - Zatrzymaj się! Nie odchódź! To ja, Travante! - I pobiegł w las wołając: - Nie uciekaj ode mnie! Przecież cię widzę! Dlaczego nie zwolnisz, dlaczego ci się tak spieszy?

Madouc i sir Pom-Pom podążali za nim przez chwilę, po czym zatrzymali się nasłuchując z nadzieją, że Travante powróci, ale jego krzyki cichły coraz bardziej, aż w końcu zupełnie przestali go słyszeć.

Wrócili powoli na drogę, często przystając i usiłując wyłowić jakiś dźwięk, ale w lesie panował zupełny spokój. Na drodze czekali jeszcze przez godzinę, chodząc powoli tam i z powrotem, aż w końcu niechętnie ruszyli na zachód.

W południe dotarli do Wielkiej Drogi Północno-Południowej i skręcili

na południe. Sir Pom-Pom jak zwykle prowadził. W końcu zatrzymał się rozdrażniony i spojrzał przez ramię.

- Mam już dosyć tego lasu! Przed nami otwarta przestrzeń, dlaczego się tak ociągasz i marudzisz?

- Nie robię tego świadomie - powiedziała Madouc. - Podejrzewam, że to dlatego, iż z każdym krokiem zbliżam się do Haidionu, a doszłam do wniosku, że lepiej czuję się jako włóczęga niż jako księżniczka na dworze.

- Jeśli o mnie chodzi, to mam dosyć tego zmęczenia i brudu! - prychnął sir Pom-Pom. - Te drogi nigdy się nie kończą. Po prostu dochodzą do jakiejś innej drogi, tak że wędrowiec nigdy nie dociera do końca wędrówki.

- Taka już jest natura włóczęgi.

- Ba! To nie dla mnie. Sceneria zmienia się po każdym dziesięciu krokach. Zanim można się nacieszyć widokiem, ten już znika!

Madouc westchnęła.

- Rozumiem twoją niecierpliwość. To rozsądne. Chcesz oddać kościołowi Świętego Graala i odebrać zasłużoną nagrodę oraz zostać uhonorowanym.

- Nie muszą to być aż tak wielkie honory - odpowiedział. - Chciałbym zostać rycerzem albo baronem, dostać małą posiadłość z porządnym dworem, stajniami, stodołą, chlewem, kurnikiem oraz kawałkiem cichego lasu, i strumieniem, dobrym do łowienia ryb.

- Może tak będzie - odparła. - Jeśli o mnie chodzi, to gdyby mi nie zależało, żeby pierwszy herold Spargoy powiedział mi, kim jest sir Pellinore, to mogłabym wcale nie wracać do Haidionu.

- To głupota - stwierdził sir Pom-Pom.

- Może i tak - powiedziała raz jeszcze Madouc.

- W każdym razie, skoro już zdecydowaliśmy się wracać, nie ociągajmy się dłużej.

IV

Madouc i sir Pom-Pom szli na zachód Starym Traktem, dopóki nie dotarli do wioski Frogmarsh i drogi prowadzącej na południe, zwanej czasami Niższą Droga, która wiodła do miasta Lyonesse.

Po południu na zachodzie zaczęły się zbierać chmury. Pod wieczór strugi

deszczu przesłoniły krajobraz. Na odpowiadającej im łączce skrytej za laskiem drzewek oliwnych Madouc postawiła domek i schronili się w ciepłe, podczas gdy deszcz dudnił po jedwabiu. Przez większość nocy błyskały pioruny i grzmiało straszliwie, ale rankiem wiatr rozwał chmury i na świeży, mokry świat wyjrzało słońce.

Księżniczka złożyła domek. Ruszyli dalej przez skalistą okolicę usianą stertami głazów, pomiędzy dwoma bliźniaczymi skałami Maegher i Yax, zwanymi Wodnikami, potem wyszli znowu na otwartą przestrzeń i zaczęli schodzić stromym zboczem, widząc już daleko przed sobą błyszczące wody Liru.

Za sobą usłyszeli stukot końskich kopyt. Zeszli na bok i jeźdźcy przejechali obok nich. Byli to trzej młodzi arystokraci, z trzema orszakami jadącymi tuż za nimi. Madouc podniosła oczy w tej samej chwili, w której prosto w jej twarz spojrział książę Cassander. Przez krótką chwilę ich oczy się spotkały, a wtedy oblicze Cassandra zmieniło się w maskę niedowierzania. Drżącą ręką nakazał zatrzymać się swoim towarzyszom, po czym zawrócił konia, aby sprawdzić, czy oczy go nie myliły.

Zatrzymał konia obok Madouc i wyraz jego twarzy zmienił się na trudne do określenia rozbawienie. Zmierzył ją wzrokiem od stóp po czubek głowy, rzucił przelotne, błękitne spojrzenie na sir Pom-Poma i roześmiał się z niedowierzaniem.

- Albo mam halucynację, albo ten mały, brudny i obdarty włóczęga czający się w rowie to księżniczka Madouc! Znana też czasami jako Madouc Setek Wyglupów albo Madouc Pięćdziesięciu Występków.

- Możesz sobie darować ten ton, ponieważ nie jestem ani głupkiem, ani zbrodniarzem, wcale się też nie czaję - powiedziała wyniośle Madouc.

Cassander zeskoczył z konia. Upływający czas zmienił go, pomyślała, ale wcale nie na lepsze. Jego serdeczność skryła się pod płaszczem szorstkiej próżności. Jego pewność siebie robiła pompatyczne wrażenie. Z tą swoją rumianą twarzą, gęstymi loczkami, pełnymi ustami i srogim, niebieskim spojrzeniem wydawał się nieopierzoną kopią ojca.

- Stanowi, w jakim się znajdujesz, brak godności. Ośmieszasz nas wszystkich - oznajmił wyważonym tonem.

Madouc z kamienną miną wruszyła ramionami.

- Jeśli nie podoba ci się to, co widzisz, to popatrz gdzie indziej.

Cassander przechylił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Nie wyglądasz tak źle, mimo wszystko. Zdaje się, że podróże ci służą. Ale twoje uczynki szkodzą rodzinie królewskiej.

- Ha! - prychnęła. - Twoje własne uczynki też nie są poza wszelką krytyką. W gruncie rzeczy są skandaliczne, jak wszyscy dobrze wiemy.

Cassander zaśmiał się znowu, choć może nieco niespokojnie.

- Mówię o różnych uczynkach - powiedział. - Mam ci je wyliczyć? Po pierwsze, spowodowałaś histeryczne poszukiwania. Po drugie, doprowadziłaś do tego, że zaczęto cię obwiniać o różne rzeczy, co oczywiście rozeszło się na wszystkie strony. Po trzecie, wywołałaś gniew, wściekłość i niechęć wielu ludzi. Po czwarte, skupiły się na tobie wszelkie gorzkie zarzuty, nie wspominając o groźbach, osądach i przekleństwach. Po piąte...

- Wystarczy - ucięła Madouc. - Wygląda na to, że nie jestem zbyt lubiana w Haidionie. Nie musisz tego dalej ciągnąć. To wszystko nie ma jednak znaczenia, a ty sam nie wiesz dobrze, o czym mówisz.

- No cóż, nie można winić lisa za to, że szukając jedzenia trafia do kornika, nieprawdaż?

- Twoje żarty są zbyt wyrafinowane, żebym mogła je zrozumieć.

- To bez znaczenia - oświadczył Cassander. Pstryknął palcami na sir Pom-Poma. - Czy to nie jeden z chłopców stajennych?

- I co z tego? Król Casmir pozwolił mi zabrać ze sobą konia i eskortę. Konie nam ukradziono, więc teraz wędrujemy pieszo.

- Chłopiec stajenny nie jest odpowiednią eskortą dla księżniczki z domu panującego.

- Ja się nie skarżę. Sir Pom-Pom lub Pymfyd, jak wolisz, zachowywał się bardzo dobrze, a nasze poszukiwania w większej części zakończyły się sukcesem.

Księżę Cassander potrząsnął głową ze zdumieniem.

- A czegoż z takim zapałem poszukiwaliście, że Jego Królewska Mość zgodził się na to tak chętnie?

- Sir Pom-Pom zgodnie z obwieszczeniem królewskim, udał się na poszukiwanie świętych relikwii. Ja, stosując się do rozkazu króla, próbowałam ustalić mój rodowód.

- Dziwne, bardzo dziwne! - powiedział Cassander. - Może król był zajęty czym innym i nie zwrócił baczniejszej uwagi na to, co mówiłaś. Wiele ma teraz na głowie, za parę dni udajemy się do Avallonu na wielkie obrady, a

Jego Królewska Mość prawdopodobnie nie zrozumiał, co ci chodzi po głowie. A wracając do twego rodowodu, czego się dowiedziałas?

Madouc rzuciła ukradkowe spojrzenie na towarzyszy Cassandra.

- To nie sprawa, o której dyskutuje się przy niższych stanem.

Z twarzy przyjaciół Cassandra nagle znikło widniejące na nich rozbawienie.

- Jak chcesz - zgodził się Cassander. Spojrzał na trzech młodzieńców. - Ty, Parlitz, zejdziesz z konia i pojedziesz z Ondelem. Księżniczka go weźmie. A ty, mój chłopcze - wskazał na sir Pom-Poma - możesz pojechać za Wullamem na ogierze. Pospieszcie się, musimy być w domu przed południem!

Po drodze Cassander zbliżył się do Madouc, próbując z nią porozmawiać.

- W jaki sposób dowiedziałas się o swoim rodowodzie?

- Poradziłam się mojej matki.

- Jak ją znalazłaś?

- Poszliśmy na Szaloną Łąkę, która leży głęboko w puszczy Tantrevalles.

- Aha! Czy to nie jest niebezpieczne?

- Niezwykle, jeśli jest się nieostrożnym.

- Hmm! A ty poradziłaś sobie z tymi niebezpieczeństwami?

- Istotnie.

- Jak ci się to udawało?

- Moja matka nauczyła mnie paru zaklęć elfiej magii.

- Opowiedz mi o tych czarach!

- Ona nie lubi, kiedy o tym opowiadam. Kiedyś może opowiem ci o naszych przygodach. Teraz jednak nie mam na to nastroju.

- Jesteś dziwną, małą istotką! Zastanawiam się, co z ciebie wyrośnie! - powiedział surowo Cassander.

- Często zastanawiam się nad tym samym!

- No cóż, jednego można być zawsze pewnym! Przeznaczenie marszczy brwi na widok niepokornych, małych stworzeń, które oczekują, że wszyscy będą tańczyć tak, jak im zagrają - stwierdził nieco przyjaźniej Cassander.

- To nie jest takie proste - odparła Madouc bez większego zainteresowania.

Cassander zamilkł i tak też jechali w kierunku miasta Lyonesse. Miłą

lub dwie dalej Cassander odezwał się ponownie:

- Nie spodziewaj się hucznego powitania, choćby dlatego, że za dzień lub dwa wyruszamy do Avallonu.

- Zastanawiałam się nad tą podróżą. Z jakiej to okazji?

- To będzie wielka narada zwołana przez króla Audry'ego, a zasugerowana przez króla Casmira. Obecni będą wszyscy władcy wysp Elder.

- Wracam we właściwej chwili! - stwierdziła Madouc. - Gdybym przybyła jeden lub dwa dni później, nie zdążyłabym na tę wyprawę. - Po chwili zamyślenia dodała: - A historia wysp Elder mogłaby się potoczyć w zupełnie innym kierunku.

- Ha? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dotyczy to problemu, o którym wspomniałeś zaledwie parę chwil temu.

- Nic takiego sobie nie przypominam.

- Mówiłeś o przeznaczeniu.

- Rzeczywiście, wspomniałem. Nadal jednak nic nie rozumiem. Jaki to ma związek z wyjazdem do Avallonu?

- To nie ma znaczenia, powiedziałam to bez zastanowienia.

Siląc się na grzeczność Cassander stwierdził:

- Jestem zmuszony raz jeszcze ci przypomnieć, że nie jesteś obecnie w łaskach na dworze i nikomu nie będzie zależało na tym, żeby spełniać twoje zachcianki.

- Do jakiego stopnia?

- Może stać się i tak, że nie zostaniesz poproszona, aby dołączyć do królewskiego orszaku.

- Zobaczymy.

Wjechali na Sfer Arct, ominęli lasek Skansea i całe miasto Lyonesse rozpostarło się przed ich oczyma wraz z górującą nad wszystkim bryłą Haidionu. Dziesięć minut później skręcili na plac Parad i zatrzymali się przed zamkiem. Cassander zeskoczył na ziemię i z dworską kurtuazją pomógł Madouc zsiąść z konia.

- A teraz zobaczmy - powiedział. - Nie spodziewaj się ciepłego przyjęcia, a nie będziesz rozczarowana. Najprzychylniejsze określenie, jakie słyszałem na twój temat, to „beztrosko nieposłuszna”.

- Te oceny nie są właściwe, jak zdążyłam ci już wyjaśnić!

Cassander roześmiał się sardonicznie.

- Musisz się przygotować na kolejne wyjaśnienia, i to z większą dozą pokory, tak przynajmniej bym ci sugerował.

Księżniczka nic nie odpowiedziała.

- Chodź! Zaprowadzę cię do króla i królowej. Może choć trochę złagodzę szok, jaki ich czeka na twój widok - powiedział Cassander nieco przychylniej.

Madouc skinęła na sir Pom-Poma.

- Ty także musisz pójść. Pójdziemy tam razem.

Cassander spojrział na jedno, potem na drugie.

- To z pewnością nie jest konieczne! - Skinął na sir Pom-Poma. - Znikaj, mój chłopcze, nie będziemy cię więcej potrzebować. Wracaj jak najszybciej do swoich obowiązków i staraj się je wypełniać przyzwoicie. Pogódź się też ze stajennym.

- O nie! - powiedziała Madouc. - Sir Pom-Pom musi z nami zostać, a to z niezwykle ważnego powodu, który wkrótce poznasz.

Cassander wzruszył ramionami.

- Jak sobie chcesz. Zróbmy wobec tego to, co musi być zrobione.

Weszli we trójkę do zamku. W głównym hallu natknęli się na wielkiego seneszała, sir Munga.

- Gdzie znajdziemy króla i królową? - zapytał go Cassander.

- Są teraz w Salonie Zielonym, Wasza Wysokość. Właśnie skończyli posiłek i siedzą teraz przy serze i winie.

- Dziękuję, dobry sir Mungo.

Cassander poprowadził ich do Salonu Zielonego, lecz przekonali się, że miejsce króla Casmira jest puste. Królowa Sollace była tam z trzema swoimi damami, a wszystkie zajadały się winogronami z szerokiego koszyka. Cassander wyszedł do przodu i uklonił się grzecznie, najpierw królowej, potem pozostałym damom. Rozmowa nagle ustała.

- Gdzie, jeśli wolno mi zapytać, jest Jego Królewska Mość? - rzekł Cassander.

Królowa Sollace, nadal nieświadoma obecności Madouc, powiedziała:

- Udał się wcześniej do Sali Rozpraw, aby wydać wszystkie konieczne wyroki i uczynić zadość sprawiedliwości, zanim udamy się do Avallonu.

Cassander poprowadził Madouc i przesadnie akcentując słowa oznajmił:

- Mam tu miłą niespodziankę! Spójrz, kogo znaleźliśmy po drodze!

Królowa Sollace wpatrzyła się w Madouc z ustami rozdziawionymi ze zdziwienia. Jej damy do towarzystwa zaczęły między sobą poszeptywać ze zdziwieniem i zaskoczeniem. Królowa Sollace jednym kłapnięciem zamknęła usta.

- Tak więc nasza mała odstępczyni postanowiła się znowu pojawić!

- Wasza Królewska Mość, sugerowałbym, że dla przeprowadzenia rozmowy z księżniczką najwłaściwsza byłaby prywatność - stwierdził szorstko Cassander.

- Zgadzam się - powiedziała królowa. - Panie, bądźcie tak dobre i zostawcie nas teraz.

Rzucając zaciekawione spojrzenia w kierunku Madouc i nie kryjąc niezadowolenia z bezceremonialności Cassandra damy opuściły komnatę.

Królowa Sollace raz jeszcze utkwiała spojrzenie w księżniczce.

- A teraz może wyjaśnisz nam swoją nieobecność! Było to dla nas źródłem niepokoju! Powiedz nam, gdzie się ukrywałaś?

- Z całym szacunkiem, Wasza Królewska Mość, muszę stwierdzić, że zostałam źle poinformowana. Nie ukrywałam się, nie zrobiłam też nic złego. Mówiąc ściśle, wyruszyłam na poszukiwania, na które wyraził zgodę Jego Królewska Mość, a oddaliłam się z Haidionu na twoje własne życzenie.

Królowa Sollace zamruła.

- Nic takiego sobie nie przypominam! Opowiadasz tu jakieś niestworzone historie! Król nie miał z tym nic wspólnego, a na pewno nie ja.

- On z pewnością pamięta wszystkie okoliczności! Na jego rozkaz udałam się na poszukiwanie tożsamości mojego ojca i szczegółów dotyczących mojego rodowodu. Działalam zgodnie z poleceniem Waszych Królewskich Mości!

Na twarzy Sollace pojawił się wyraz uporu.

- To możliwe, że któreś z nas rzuciło jakąś nieprzemyślaną uwagę, którą postanowiłaś dopasować do własnych potrzeb. Nie znoszę takiego postępowania!

- Przykro mi to słyszeć, Najjaśniejsza Pani, przede wszystkim dlatego, że to postępowanie obróciło się na twoją korzyść!

Królowa Sollace raz jeszcze rzuciła jej zdumione spojrzenie.

- Czy powiedziałaś to, co usłyszałam?

- Istotnie, Wasza Królewska Mość! Przygotuj się na oświadczenie, które przepełni cię niewymowną radością!

- Ha! - rzuciła ponuro Sollace. - Nie mogę powiedzieć, abym miała na to jakkolwiek nadzieję.

Książę Cassander, który nadal stał z boku i uśmiechał się wielce rozba-
wiony, powiedział:

- Słuchamy cię z wielką uwagą! Powiedz nam, co masz do powiedzenia!
Madouc wypchnęła do przodu sir Pom-Poma.

- Najjaśniejsza Pani, pozwól, że przedstawię ci Pymfyda, któremu na-
dałam tytuł sir Pom-Poma, gdyż dzielnie i lojalnie mi służył. Sir Pom-Pom
pełnił obowiązki mojej eskorty, a także udał się na poszukiwanie w twoim
imieniu. W Thripsey Shee usłyszeliśmy coś o Świętym Graalu i natychmiast
wzbudziło, to nasze zainteresowanie.

Królowa Sollace nagle się wyprostowała.

- Co? Czy to możliwe? Mów, co wiesz i to szybko! Mówisz o sprawach
najmilszych dla mych uszu! Czy była to ważna informacja? Powiedz mi
dokładnie o wszystkim, czego się dowiedziałaś!

- Usłyszeliśmy plotkę, że Święty Graal jest strzeżony przez trójgłowego
ogra Throopa i że setki dzielnych rycerzy zginęło chcąc go odzyskać.

- Ale gdzie jest teraz? Mów! Powiedz mi natychmiast! Nie mogę opa-
nować podniecenia!

- Dobrze, Wasza Królewska Mość! Throop trzymał Graala w szafie, w
zamku Doldil, głęboko w puszczy Tantrevalles.

- To niezwykle ważna wiadomość! Musimy przygotować armię dziel-
nych rycerzy i wysłać tam ekspedycję! Cassandrze, udaj się natychmiast i do
Jego Królewskiej Mości i poinformuj go o tym! Wszystko inne jest nieistot-
ne.

- Wysłuchaj mnie do końca, Najjaśniejsza Pani! - krzyknęła Madouc. -
Jeszcze nie skończyłam! Zgodnie z radą mojej matki, sir Pom-Pom i ja uda-
liśmy się do zamku Doldil. Tam z wielką odwagą sir Pom-Pom zgładził
Throopa i zdobył Świętego Graala, którego przyniósł tu, do Lyonesse, zawi-
niętego w purpurowy jedwab. Teraz położy go przed tobą. Sir Pom-Pomie,
możesz tu złożyć Świętego Graala.

- Nie mogę w to uwierzyć! - zawołała królowa Sollace. - Jestem zachwy-
cona, to niemal ekstaza!

Sir Pom-Pom podszedł do królowej i z wielką powagą rozwinął kielich z
jedwabiu. Przyklękawszy na jedno kolano ustawił go na stole przed Solla-
ce.

- Wasza Królewska Mość! Daruję ci oto Świętego Graala! Mam na-
dzieję, że przyniesie ci on wiele radości, a także że obdarujesz mnie

nagrodą, zgodnie z obwieszczeniem królewskim.

Królowa Sollace z oczami utkwionymi w Świętym Graalu była głucha na wszystko inne.

- Chwała nad chwałami! Dzięki, że ten cud stał się moim udziałem! Jestem przepelniona radością! To przekracza wszelkie wyobrażenie! To jest ponad wszystko!

- Wasza Królewska Mość, muszę zwrócić twoją uwagę, że to sir Pom-Pomowi należą się podziękowania za zdobycie Świętego Graala! - powiedziała stanowczo Madouc.

- Rzeczywiście! Uczynił wiele, w służbie kościoła i w imieniu kościoła składam mu szczerze królewskie podziękowania! Zostanie nagrodzony! Cassandre, w tej chwili daj temu chłopcu złotą monetę w dowód mej wdzięczności!

Cassander wydobyl z sakiewki złotą monetę i wcisnął ją sir Pom-Pomowi do ręki.

- Nie dziękuj mi, to królowej bądź wdzięczny za jej szczodroblivość!

Królowa Sollace zawołała lokaja, który nieruchomo stał przy drzwiach.

- Sprowadź tu natychmiast ojca Umphreda, aby mógł dzielić się ze mną tą radością! Pospiesz się! Powiedz ojcu Umphredowi tylko tyle, że czekają tu na niego wspaniałe wiadomości!

Do salonu wszedł seneszał sir Mungo.

- Najjaśniejsza Pani, poinformowałem Jego Królewską Mość o przybyciu księżniczki Madouc. Pragnie on, abym natychmiast sprowadził ją i jej towarzysza do Sali Rozpraw.

Królowa Sollace machnęła roztargniona ręką.

- Możesz odejść, Madouc, ty także dobrze się sprawiłaś i ze względu na to szczęście, jakie mnie spotkało, wybaczam ci wszystkie twoje występki! Ale w przyszłości musisz się nauczyć być bardziej posłuszną!

- Wasza Królewska Mość, a co z nagrodą obiecaną przez króla? - odezwał się nieśmiało sir Pom-Pom. - Kiedy powinienem przedstawić mu swoje pragnienia i kiedy zostaną one spełnione?

Królowa Sollace z lekkim zniecierpliwieniem zmarszczyła brwi.

- Rozważymy to w odpowiednim czasie. A na razie i tak dostało ci się to, co najlepsze, czyli świadomość, że przysłużyłaś się Kościołowi i Świętej Wierze.

Sir Pom-Pom wymruczał coś niezrozumiale, po czym skłonił się i wycofał. Sir Mungo skłonił się przed Madouc.

- Księżniczko, proszę udać się za mną wraz z twoim towarzyszem.

Sir Mungo poprowadził ich bocznym korytarzem przez Stary Hall, potem przez portal w ścianie z czarnego kamienia na podwyższenie, z którego kamienne schody prowadziły pomiędzy kolumnami do pełnej powagi Sali Rozpraw.

Na niskim podium siedział król Casmir ubrany w tradycyjny strój sędziego: czarną togę z białymi rękawiczkami i kwadratową czapkę z czarnego aksamitu ze złotymi zdobieniami oraz złotą wstążką. Król siedział na masywnym tronie i miał przed sobą niewielki stół. Po obu stronach podium stało po dwóch zbrojnych odzianych w koszule i spodnie z czarnej skóry oraz nabijane mosiądzem napierśniki z czarnego żelaza. Hełmy z żelaza i skóry zakrywały im twarze, co czyniło atmosferę jeszcze bardziej ponurą. Nieszczęśnicy, którzy oczekiwali na rozpatrzenie ich sprawy, siedzieli na ławie pogrążeni w ciemnościach. Ci, którzy mieli już wszystko za sobą, wpatrywali się w przestrzeń oczyma równie pustymi jak oczodoły.

Sir Mungo przyprowadził Madouc i sir Pom-Poma przed oblicze króla.

- Wasza Królewska Mość, jak sobie życzyłeś, sprowadziłem tu księżniczkę Madouc i jej towarzysza.

Król Casmir rozparł się na tronie i zmarszczywszy brwi przyjrzał się obojgu.

- Wierzę, że Wasza Królewska Mość, miewa się dobrze - odezwała się Madouc.

Na twarzy króla Casmira nie drgnął ani jeden mięsień. W końcu jednak przemówił:

- Wygląda na to, że księżę Cassander przyłapał cię po drodze. Gdzie się podziewałaś i jakich niecnych czynów się dopuściłaś, ku wstydomi domu królewskiego?

- Wasza Królewska Mość jest straszliwie źle poinformowany! - powiedziała pospiesznie. - Właśnie spieszyliśmy z powrotem do Lyonesse i księżę Cassander wcale nas nie przyłapał. On i jego przyjaciele po prostu zabrali nas ze sobą po drodze. Nie czailiśmy się, nie chowaliśmy ani nie ukrywaliśmy się w żaden sposób, co mogłoby nadszarpnąć naszą godność. Jeśli chodzi o występki i niecne uczynki, Wasza Królewska Mość również padł ofiarą

niezgodnych z prawdą informacji, gdyż nie uczyniłam nic ponad dostosowanie się do poleceń Waszej Królewskiej Mości.

Król Casmir pochylił się do przodu, robiąc się coraz bardziej czerwony na i tak już rumianej twarzy.

- Ja poleciłem ci włóczyć się po dzikich okolicach bez odpowiedniej eskorty?

- Właśnie tak, Wasza Królewska Mość! Rozkazałeś mi udać się na poszukiwanie mojego rodowodu i nie kłopotać się szczegółami.

Król Casmir powoli zwiesił głowę i zatrzymał spojrzenie na sir Pom-pomie.

- To ty jesteś tym chłopcem stajennym, który dostarczył konie?

- Tak, Najjaśniejszy Panie!

- Twoja głupota graniczy z przestępstwem. Czy sądzisz, że w tych okolicznościach stanowiłeś właściwą i odpowiednią eskortę dla księżniczki?

- Tak, Wasza Królewska Mość, gdyż tym właśnie cały czas się zajmowałem. Długo przedtem wiernie służyłem księżniczce i nigdy nie spotkałem się z czymkolwiek innym, jak tylko z pochwałami za jakość moich usług.

Król Casmir wyprostował się na swoim tronie. Powolnym, zimnym głosem zapytał:

- Nie dostrzegasz większego niebezpieczeństwa w długiej podróży dniami i nocą, przez nie zamieszkaną okolice i dziki las niż w popołudniowej przejażdżce po łąkach wokół Sarris?

- Sire, rzeczywiście jest pewna różnica. Ale musisz wiedzieć, że i tak zdecydowałem się wyruszyć na poszukiwanie świętych relikwii, do czego skłoniło mnie twoje obwieszczenie.

- Nie tłumaczy to jednak niewłaściwości twojego postępowania.

- Wasza Królewska Mość, to ja rozkazałam mu, aby tak postąpił - odezwała się gniewnie Madouc. - Winien jest tylko posłuszeństwa moim rozkazom.

- Ha, ha! A gdybyś rozkazała mu podpalić Haidion, tak by spłonął do szczytu, a on by to zrobił, czyniłoby to z niego jedynie posłusznego służącego?

- Nie, Wasza Królewska Mość, ale...

- Aby jak najlepiej wypełnić twoje rozkazy, powinien był poinformować kogoś ważniejszego od siebie i poprosić o oficjalną zgodę. Dostyc się już nasłuchałem! Egzekutorze, weź go do Peinhadoru, niech dostanie siedem

porządnych batów, aby na przyszłość lepiej wypełniał swoje obowiązki.

- Wasza Królewska Mość, jedną chwilkę! – krzyknęła Madouc. - Wydasz ten wyrok zbyt pochopnie i niesprawiedliwie. Zarówno Pymfyd, jak i ja udaliśmy się na zupełnie inne poszukiwania, oboje też zakończyliśmy je sukcesem. Ja dowiedziałam się, jak na imię mojemu ojcu, natomiast Pymfyd znacznie przysłużył się tobie i królowej. Zabił ogra Throopa i zdobył Świętego Graala, który zaledwie chwilę temu został przekazany Jej Królewskiej Mości. Ona wręcz nie może wyrazić swej radości! Zgodnie z twoim edyktem sir Pom-Pom zasłużył sobie na nagrodę!

Król Casmir uśmiechnął się nieznacznie.

- Zmniejszam karę do sześciu batów i pozwalam temu tępogłowemu głupkowi wrócić do pracy w stajniach. To będzie jego nagroda.

- Chodź ze mną - powiedział egzekutor. - Tędy! - dodał i wyprowadził sir Pom-Poma z komnaty.

Księżniczka z przerażeniem spojrzała na króla Casmira.

- Ale przecież wyraziłeś zgodę na to, co zrobiłam! Powiedziałeś, że mam wziąć eskortę, a ja zawsze przedtem brałam ze sobą Pymfyda.

Król Casmir niecierpliwie walnął pięścią w stół.

- Dość! Masz rozumieć raczej znaczenie niż same słowa. Myślałaś, że uda ci się mnie oszukać, i wina jest po twojej stronie.

Madouc, spoglądając Casmirowi głęboko w oczy, dojrzała w nich coś, czego dotychczas nie dostrzegła i zrozumiała więcej niż przedtem. Aż się skurczyła. Nie dała tego po sobie poznać, ale znenawidziła Casmira z całego serca.

- Dowiedziałeś się, kto jest twoim ojcem - powiedział Casmir. - Jakie jest jego imię?

- To pewien sir Pellinore z Akwitanii, Wasza Królewska Mość.

Król Casmir zastanowił się.

- Sir Pellinore? To imię brzmi jakoś znajomo. Gdzieś już się z nim spotkałem. Może bardzo dawno temu. - Zwrócił się do wielkiego seneszała. - Sprowadź mi tu herolda Spargoya.

Wkrótce pojawił się Spargoy we własnej osobie.

- Sire, jakie są twoje rozkazy?

- Kim jest sir Pellinore z Akwitanii? Gdzie ma swoją siedzibę i jakie są jego korzenie?

- Sire Pellinore, sire? Ktoś tu chyba nie zbyt zastanawia się nad słowami.

- Co przez to rozumiesz?

- Sir Pellinore to postać fantastyczna! Istnieje tylko w romantycznych opowieściach z Akwitanii, w których czyni rzeczy niezwykle, przysięga wierność pięknym pannom i podróżuje po całym świecie w poszukiwaniu przygód! Ale to wszystko, co mogę powiedzieć o sir Pellinorze. Król Casmir spojrzął na Madouc.

- No cóż? I co teraz?

- Nic - powiedziała Madouc.- Czy mogę już odejść?

- Idź.

V

Madouc na chwiejnych nogach wróciła do swej starej komnaty. Stała w progu rozglądając się na prawo i lewo, patrząc na przedmioty i meble, które kiedyś wydawały się jej takie przyjemne. Pomieszczenia, o których myślała, że są takie duże i przewiewne, teraz z ledwością odpowiadały jej wymaganiom. Wezwała służkę i nakazała przygotowanie gorącej kąpieli. Wyszorowała się dokładnie łagodnym, żółtym mydłem sprowadzonym z Andaluzji, umyła również miedzianozłote loki, po czym opłukała się w wodzie z dodatkiem lawendy. Przeglądając garderobę stwierdziła, że jej stare stroje są nieco przyciasne. To dziwne, pomyślała, jak szybko ten czas ucieka! Przyjrzała się swoim nogom. Nadal były prężne i smukłe, ale wyglądały nieco inaczej, niż je pamiętała. Jej piersi również były nieco bardziej widoczne, jeśli ktokolwiek trudziłby się, aby to ocenić.

Westchnęła przekonana o nieuchronności tych zmian. Wszystko to jednak działo się szybciej, niżby sobie tego życzyła. W końcu znalazła strój, który nadal na nią pasował. Była to luźna, błękitna spódnica i biała bluza haftowana w niebieskie kwiaty. Rozczesała włosy i przewiązała je niebieską wstążką, a potem usiadła na krześle obok okna.

Miała wiele do przemyślenia. Było tego tak wiele, że nie mogła skupić się na jednej sprawie, myśli przychodziły i odchodziły, nie zatrzymywały się na tyle długo, aby przybrać jakiś konkretny kształt. Myślała o sir Pellinorze, o Twisk, królu Casmirze w czarnej todzie i o biednym sir Pom-Pomie z wyrazem

przerażenia na twarzy... Odpędziła ten obraz z obawy, że zrobi się jej niedobrze, zaczęła myśleć o czymś innym. Gdyby to Zerling miał dopilnować wykonania kary, z pewnością nie żałowałby energii, zbilby sir Pom-Poma do krwi i mięsa.

Myśli kłębiły się na krawędzi jej uwagi, jak ćmy wokół światła. Jedna z nich była bardziej uporczywa niż inne i ciągle przyciągała jej uwagę, upierając się przy swojej ważności. Była związana ze zbliżającą się wizytą rodziny królewskiej w Avallonie. Madouc nie została zaproszona, aby przyłączyć się do orszaku i przypuszczała, że ani królowa Sollace, ani król Casmir nie zadaliby sobie trudu, aby to uczynić, mimo że byłby tam książę Cassander wraz z innymi książętami i księżniczkami ze wszystkich dworów na wyspach Elder, łącznie z księciem Dhrunem z Troicinetu! A jej miałoby tam nie być! Na tę myśl zrobiło się jej bardzo smutno. Był to rodzaj smutku, jakiego jeszcze nigdy nie doznała.

Przez chwilę wyglądała przez okno z obrazem Dhruna przed oczami. Stwierdziła, że pragnie jego towarzystwa. Był to dziwny rodzaj melancholii, nieco bolesnej, ale również przyjemnej, siedziała więc tak i marzyła.

Do głowy przyszła jej inna myśl. Początkowo nie zwróciła na nią większej uwagi, ale kiedy w końcu zajęła się nią i myśl ta nabrała bardziej realnych kształtów, niemal się przerażyła. W Falu Ffail był okrągły stół Cairbra an Meadhan i Evandig, starożytny tron królów Palaemonu. Pierworodny syn Suldrun, jak głosiła przepowiednia magicznego zwierciadła Persiliana, miał przed śmiercią zasiąść przy Cairbra an Meadhan i władać z Evadinga. Ta przepowiednia, zgodnie z tym, co mówiła Twisk, strasznie drażniła króla Casmira, tak że spędzał całe dnie na knuciu zbrodniczych spisków, a noce na układaniu planów morderstw.

W Falu Ffail znaleźliby się w jednym miejscu i blisko siebie król Casmir, Dhrun, tron Evandig i Okrągły Stół. Nie mogło to umknąć uwagi króla Casmira. Przecież to on sam, zgodnie z tym, co twierdził, zaproponował królowi Audry'emu zwołanie obrad.

Madouc zerwała się na równe nogi. Musi również pojechać do Avallonu. Jeśli to się nie uda, ponownie ucieknie z Haidionu i tym razem nigdy już nie wróci.

Zastała królową w jej prywatnym salonie w towarzystwie ojca Umphreda. Weszła tak cicho, że królowa chyba nawet tego nie zauważyła. Pośrodku

stołu na złotej tacy spoczywał święty błękitny kielich. Królowa Sollace była zupełnie pochłonięta podziwianiem wspaniałego naczynia. U jej boku stał ojciec Umphred trzymając pulchne ramiona założone za plecami. On również przyglądał się kielichowi. W komnacie siedziało też kilka dam dworu, które dyskutowały ze sobą szeptem, aby przypadkiem nie przeszkodzić królowej w rozmyślaniach. Ojciec Umphred zauważył Madouc. Pochylił się i szepnął coś królowej do ucha. Sollace uniosła głowę i prawie błędnym wzrokiem rozejrzała się po komnacie. Zobaczyła Madouc i skinęła na nią.

- Chodź tutaj, księżniczko! Wiele chcielibyśmy się od ciebie dowiedzieć. Księżniczka zbliżyła się i ukłoniła z powagą.

- Jestem oczywiście do usług Waszej Królewskiej Mości, wiele też mam do opowiedzenia. Jestem pewna, że wielce cię to zainteresuje, Najjaśniejsza Pani.

- Mów! Chcę się dowiedzieć o wszystkim.

- Wasza Królewska Mość, pozwolę sobie na małą sugestię! Moje opowieści byłyby świetnym urozmaicheniem nudnej podróży do Avallonu. Gdybym opowiedziała ci wszystko za jednym zamachem, nie byłoby to dla ciebie tak interesujące, bowiem moja relacja nie oddałaby tych emocji, których doświadczyliśmy, zdobywając Graala.

- Hmm - mruknęła królowa. - Nie spodziewałam się, że będziesz nam towarzyszyła podczas podróży. Teraz jednak, kiedy się nad tym zastanawiam, wydaje mi się to rozsądnym pomysłem. Na dworze króla Audry'ego będzie gościć wiele ważnych osób, może zwrócą na ciebie uwagę i zasłużysz sobie na ich przychyłność.

- Wobec tego, Wasza Królewska Mość, musiałabym natychmiast wzbogacić moją garderobę, gdyż nie pasuje na mnie żadna ze starych sukni.

- Zajmiemy się tym natychmiast. Do wyjazdu mamy jeszcze dwie noce i jeden dzień, to powinno wystarczyć. - Królowa Sollace skinęła na jedną ze służek. - Powiedz, żeby szwaczki zaraz zabrały się do pracy. Pragnę nie tylko, aby się pospieszyły i porządnie przyłożyły do pracy, ale również aby wybrały kolory i kroje właściwe dla młodego wieku i niewinności Madouc. Nie chcę widzieć żadnych, zbyt licznych ozdób z drogich kamieni i złota. Takie dodatki nie zostałyby nawet zauważone na tej pannicy, w której

trudno jeszcze dojrzyć kobietę.

Jak Wasza Królewska Mość sobie życzy! Dobrze by było, gdyby księżniczka poszła ze mną, abyśmy od razu mogły wziąć się do pracy.

- To całkiem sensowne i rozsądne! Madouc, możesz odejść.

VI

Krawcowe wyjęły wszystkie materiały, jakie udało im się znaleźć i zaczęły radzić nad naturą i rozmiarami przedsięwzięcia. Madouc, którą gorzko ugodziły lekceważące uwagi królowej, przysłuchiwała się im z lekko przechyloną głową. W końcu uznała, że musi interweniować.

- Gadacie na próżno! Nie chcę żadnych z tych żółci ani słodkich zieleni, od których robi mi się niedobrze. Musicie zmienić plany.

- Jak to, Wasza Wysokość? - zapytała zaniepokojona Hulda, pierwsza szwaczka. - Mamy przecież uszyć coś, co będzie gustowne i właściwe.

- Macie uszyć to, co ja uznam za godne założenia. W przeciwnym wypadku będziecie się trudzić na darmo.

- Oczywiście, Wasza Wysokość! Pragniemy, aby twoje stroje podobały się tobie i abyś czuła się w nich swobodnie.

- Wobec tego musicie szyć tak, jak ja wam każę. Nie będę nosić tych kwiecistych pantalonów ani tych głęboko powycinanych gorsetów, o których dyskutowałyście.

- Ależ, Wasza Wysokość, są to rzeczy, które noszą wszystkie panny w twoim wieku.

- To mnie nie obchodzi.

Hulda westchnęła.

- No cóż! Zatem jak Wasza Wysokość życzy sobie zostać ubraną?

Madouc wskazała na belę materiału w kolorze niebieskim i na biały len z małutkimi kłębuszkami.

- Weźcie to i to. A tutaj, co to jest?

Wyciągnęła ze skrzyni nieco chudszą belę ciemnoczerwonego aksamitu, miękkiego, w kolorze tak głębokim, że niemal czarnym.

- To tkanina zwana Czarną Różą - powiedziała zupełnie zrezygnowana

Hulda.- Jest raczej nieodpowiednia dla osoby w twoim wieku, poza tym nie ma jej zbyt wiele.

Madouc nie zwróciła na nią uwagi.

- To bardzo piękny materiał. Wygląda również na to, że wystarczy go na tyle, aby owinąć nim moje ciało.

- Nie starczy go na odpowiednią sukienkę dla dziewczynki - odezwała się pospiesznie Hulda - ze wszystkimi zakładkami, falbankami i pufkami, jak nakazuje moda i skromność.

- Obędę się wobec tego bez tych wszystkich ozdóbek, ponieważ ten kolor wyjątkowo mi się podoba.

Hulda próbowała jeszcze protestować, ale Madouc nie przyjmowała tego do wiadomości. Powiedziała, że nie mają zbyt wiele czasu, a suknia z Czarnej Róży ma zostać skrojona i uszyta na samym początku.

- Tak właśnie będzie - oznajmiła Madouc. - Ta suknia będzie czarująca. Z jakiegoś dziwnego powodu jej kolor wyjątkowo pasuje do moich włosów.

- Muszę przyznać, że prawdopodobnie będzie ci w niej do twarzy - powiedziała ponurym głosem Hulda. - Choć zapewne będziesz w niej wyglądać nieco zbyt dojrzałe.

Rozdział 10

I

Na posepnyim niebie wzeszło słońce. Od strony Liru wiatr przywiewał gęste chmury zapowiadające na dzień wyjazdu do Avallonu burze i deszcze. Nie zwracając na to zupełnie uwagi król Casmir i księżę Cassander wyjechali z Haidionu o świcie, chcąc po drodze przeprowadzić inspekcję w forcie Mael. Mieli się przyłączyć do głównego orszaku w zamku Ronart Cinquelon niedaleko Tatwillow, w miejscu, gdzie Stary Trakt krzyżował się z drogą Icnield.

Znacznie później ziewając i trąc oczy wstała z łóżka królowa Sollace. Zjadła owsiankę na śmietanie, kilkanaście fig nadziewanych miękkim serem i talerz słodkich bułeczek zalanych mlekiem z cynamonem. Podczas śniadania zjawił się seneszal sir Mungo, aby ją poinformować, że powóz, eskorta oraz wozy z zaopatrzeniem czekają. Jej Królewska Mość może zejść na plac Parad kiedy uzna za stosowne.

Królowa Sollace zrobiła smutną minę.

- Nie przypominaj mi o tym, sir Mungo! Spodziewam się jedynie niewygód, brzydkich zapachów i monotonii. Dlaczego te obrady nie mogły się odbyć w Haidionie, choćby tylko ze względu na mnie?

- Jeśli o to chodzi, Wasza Królewska Mość, to nie jestem w stanie odpowiedzieć.

- Ach! Co ma być, to będzie! W ciągu wielu lat zdążyła mnie tego nauczyć brutalna rzeczywistość. Również teraz muszę godnie się dostosować do tych wszystkich niewygód.

Sir Mungo skłonił się.

- Będę oczekiwał na Waszą Królewską Mość na Oktagonie.

Sollace została ubrana. Jej włosy wyczesano i upięto, a twarz i ręce natarto odświeżającym balsamem z migdałów. Wreszcie była gotowa do podróży.

Powozy czekały pod tarasem, na placu Parad. Królowa wyszła z zamku i przeszła przez taras przystając od czasu do czasu, aby wydać ostatnie

polecenia sir Mungowi, który na każde z jej żądań odpowiadał z takim samym wytwornym opanowaniem.

Królowa Sollace zeszła na plac Parad i służący pomogli jej wsiąść do powozu. Usadowała się na poduszkach, a na kolanach rozłożono jej pled z futra lisich kociąt.

Potem do powozu weszła Madouc, za nią damy Tryffyn i Sipple, a na końcu panna Kylas, która została ostatnio przysłana, aby towarzyszyć księżniczce.

Wszystko było gotowe. Królowa Sollace skinęła na sir Munga, który dał znak heroldom. Zagrały trzy fanfary „Odjazd Władców” i orszak ruszył przez plac Parad.

Kiedy powóz skręcił w Sfer Arct, wszyscy rozsiedli się wygodniej, przygotowując się do długiej podróży. Madouc siedziała obok królowej Sollace. Naprzeciwko niej spoczęła panna Kylas, dziewczyna gdzieś w wieku szesnastu lat, bardzo pryncypialna i zdyscyplinowana, choć Madouc uważała ją za męczącą i pozbawioną jakiegokolwiek czaru i wdzięku. Ze względu na swoją próżność lub nadmierną wrażliwość Kylas była przekonana, że wszyscy mężczyźni, starzy i młodzi, którzy pojawiali się w jej pobliżu, robili to, aby się do niej zalecać, a może nawet poczynić niestosowne propozycje. Przekonanie to powodowało, że trzęsła głową, kiedy tylko jakiś mężczyzna spojrział w jej kierunku. Nawyk ten zadziwił księżniczkę, gdyż jej chude ramiona i duże pośladki, posępna twarz z długim nosem, czarne, wystające oczy i pukle czarnych, sztywnych jak druty włosów opadające po obu stronach jej twarzy i przypominające juki taszczone przez osła wcale nie dawały podstaw do takiego mniemania. Kylas miała nawyk wpatrywania się długo i bez zmruczenia oka w interesujący ją przedmiot lub osobę. Siedząca naprzeciwko niej Madouc nie była w stanie uniknąć tego przenikliwego spojrzenia. Postanowiła więc zwalczyć ogień ogniem i przez pięć minut skupiała wzrok na czubku nosa Kylas, lecz bez żadnego skutku. W końcu znudziła się i pokonana odwróciła głowę.

Powozy wjechały pomiędzy kamieniste wzgórza. Pogoda, która wcześniej zapowiadała się tak fatalnie, nagle się poprawiła. Rozwiały się mgły i chmury, jaskrawe słońce rozświetliło krajobraz. Królowa Sollace odezwała się z zadowoleniem:

- Modliłam się tego ranka, żeby pogoda nam sprzyjała, aby nasza podróż była bezpieczna i przyjemna, i oto tak jest.

Dama Tryffyn, dama Sipple i Kylas wyburczały właściwe słowa zadziwienia i wdzięczności. Królowa Sollace ustawiła sobie wygodnie pod ręką

koszyk z figami w miodzie i powiedziała do Madouc.

- Teraz, moja droga, możesz opowiedzieć nam o wszystkim, co jest związane z Błogosławionym Graalem.

Madouc rozejrzała się po powozie. Kylas wpatrywała się w nią z sową natarczywością. Dwie damy dworu, siłąc się na serdeczność, nie mogły ukryć pragnienia dowiedzenia się czegoś sensacyjnego, co mogłoby się stać doskonałym materiałem na plotki.

Spojrzała na królową Sollace.

- Te informacje, Wasza Królewska Mość, mogą dotrzeć tylko i wyłącznie do twoich królewskich uszu! Takie tajemnice nie powinny być dzielone ze zwykłymi ludźmi.

- Ba! - burknęła Sollace. - Panie Tryffyn i Sipple są moimi zaufanymi dworakami, trudno byłoby je uznać za zwykłych ludzi! Kylas została ochrzczona. Nie interesuje ją nic poza Świętym Graalem.

- Może i tak, ale jakoś trudno mi się przełamać - powiedziała Madouc.

- To nonsens! Zaczynj wreszcie opowiadać!

- Nie ośmieliłabym się, Najjaśniejsza Pani! Jeśli chcesz w pełni zrozumieć moją powściągliwość, chodź ze mną, tylko ty i ja, w głąb puszczy Tantrevalles.

- Same? Bez eskorty? To czyste szaleństwo. - Sollace pociągnęła za sznurek od dzwonka. Powóz zatrzymał się i woźnica w liberii zeskoczył z kozła i spojrzał przez okno.

- Czego Wasza Królewska Mość sobie życzy?

- Te damy przez jakiś czas pojedą w innym powozie. Narcyzo, Dansy i Kylas, bądźcie tak dobre i zostawcie nas same. Jak sugeruje Madouc, jej opowieść może dotyczyć spraw nie przeznaczonych do ogólnej wiadomości.

Chcąc nie chcąc dwie damy i panna Kylas przeniosły się do innego powozu. Księżniczka szybko zajęła zwolnione przez panią Sipple miejsce naprzeciwko królowej Sollace, po czym powozy ruszyły dalej przez Sfer Arct.

- Teraz możesz już mówić - powiedziała królowa Sollace żując figę i zupełnie nie zwracając uwagi na to, że Madouc zmieniła miejsce. - Mówiąc szczerze, wolę usłyszeć tę opowieść bez świadków. Nie pomini żadnych szczegółów!

Dziewczyna nie widziała powodu, aby ukrywać coś w relacji ze swojej wyprawy. Opowiedziała o wszystkim jak najlepiej potrafiła, zadziwiając królową. Sollace, pod koniec opowieści spoglądała na nią niemal z podziwem i ze strachem.

- Zdziwiająca! Skoro połowa twojej krwi pochodzi od elfów, nie czujesz przypadkiem chęci przyłączenia się do shee?

Madouc potrząsnęła głową.

- Nigdy. Gdybym została w shee, jadła jedzenie elfów i piła ich wino, stałabym się bardzo podobna do elfów, poza tym, że umarłabym znacznie wcześniej niż one. Obecnie niemal wszystkie elfy mają w sobie ślady ludzkiej krwi. Mówią, że nadejdzie taki czas, że nasze rasy zupełnie się ze sobą mieszają i elfy znikną z powierzchni ziemi. Mężczyźni i kobiety nie będą nawet podejrzewali, że pewne ich szalone pomysły i dziwaczne upodobania są pozostałościami natury elfów. Jeśli o mnie chodzi, to jestem w przeważającej części śmiertelnikiem i nie mogę tego już zmienić. Kiedy umrę, tak samo jak moje dzieci, moje pochodzenie od elfów zostanie szybko zapomniane.

- Stanie się tak, i to ku większej chwale Kościoła! - oświadczyła królowa Sollace. - Ojciec Umphred mówił nam, że mieszkańcy puszczy Tantrevalles to diabły i szatańskie chochliki, mniej lub bardziej złośliwe. Tak samo jak heretycy, poganie, ateści, wszyscy oni zasługują na miejsce w najgłębszych otchłaniach piekła.

- Podejrzewam, że on się myli - powiedziała Madouc.

- To niemożliwe! Studiował teologię!

- Istnieją też inne nauki i inni uczeni mężowie.

- Oni wszyscy są heretykami, oszustami! - stwierdziła królowa Sollace. - Logika zbija takie przekonania. Posłuchaj! Jakich korzyści i nagród mogliby dostąpić prawdziwie wierzący, gdyby i tak wszyscy mieli cieszyć się wiecznym szczęściem? To stanowczo zbyt szeroko pojmowana szczodrość!

Madouc była zmuszona zgodzić się z tym rozumowaniem.

- To prawda, nie wgłębiałam się jednak w to zagadnienie i moja opinia niewiele tu znaczy.

Kiedy w końcu królowa Sollace była już w pełni usatysfakcjonowana dyskusją, raz jeszcze kazała zatrzymać powóz i pozwoliła, aby Kylas i damy Tryffyn i Sipple, może nieco skwaszone, wsiadły z powrotem do powozu. Madouc przesunęła się na sam koniec siedzenia. Pani Tryffyn i Kylas zajęły swe poprzednie miejsca, a pani Sipple została zmuszona do zajęcia tego, na którym poprzednio siedziała Madouc, naprzeciwko Kylas, co wprawiło ją w wielkie zadowolenie.

- Księżniczka Madouc miała rację - oznajmiła im Sollace. - Powiedziała mi o pewnych sprawach, o których z pewnością nie powinien się dowiedzieć nikt niepowołany.

- Musi być tak, jak mówi Wasza Królewska Mość - powiedziała ze ściągniętymi ustami dama Tryffyn. - Należy jednak zauważyć, że przynajmniej ja jestem powszechnie znana z dyskrecji.

- W twierdzy Deep Daun, gdzie mieszkam, nawiedzają nas trzy duchy - odezwała się z godnością pani Sipple. - Przychodzą w świetle księżyca i opowiadają swe tajemnice. Podzieliły się ze mną wielce intymnymi szczegółami, niczego się nie obawiając.

- Tak to już jest! - rzekła ciężkim głosem królowa Sollace. - Nikt z nas nie jest mądrzejszy od innych. Nawet Madouc to przyznała.

Kylas włączyła się do rozmowy swym cichym, nieco gardłowym głosem:

- Miło mi się dowiedzieć, że pomiędzy licznymi cnotami księżniczki Madouc można też zauważyć ślady skromności.

- Żle, znowu źle! - oświadczyła księżniczka znudzonym głosem. - Mam niewiele cnót, a skromność z pewnością nie jest jedną z nich.

- Ha! - rzuciła królowa Sollace. - Tak też zapewne jest, gdyż ona najlepiej zna samą siebie.

II

Podczas gdy król Casmir i książę Cassander przeprowadzali inspekcję w twierdzy Mael, królowa Sollace wraz ze swym orszakiem wypoczywała w zamku Ronart Cinquelon, siedzibie Thaubereta, księcia Moncrifu.

Król Casmir i Cassander sprawdzili stan umocnień, dokonali przeglądu garnizonu i generalnie byli zadowoleni z tego, co zobaczyli. Opuścili fortecę wczesnym popołudniem i po wyjeździe dotarli o zmierzchu do Ronart Cinquelon.

Rankiem król Casmir odkrył, że Madouc również jechała do Avallonu. Natknął się na nią, kiedy właśnie wsiadała do powozu. Casmir zatrzymał się zaskoczony i niezadowolony. Ona ukloniła mu się grzecznie.

- Dzień dobry, Wasza Królewska Mość.

Przez chwilę, wydawało się, że Casmir rzuci zaraz jakąś ostrą uwagę, ale zawrócił na pięcie i odszedł.

Madouc uśmiechnęła się zamyślona i wsiadła do powozu. Ruszyli drogą Icnield. Na czele orszaku jechał król Casmir i książę Cassander, za nimi

powóz królewski, dwóch najbardziej zaufanych królewskich służących, reszta powozów i wozów oraz eskorta złożona z sześciu rycerzy i czterech zbrojnych, którzy jechali na samym końcu i trzymali się w oddali. Madouc uważała, że zbyt się izolują, brakuje im dyscypliny wojskowej i zachowują się zbyt swobodnie. Wydawało się jej to dziwne. Po przejechaniu paru mil króla Casmira rozdrażniło ich zachowanie i wysłał Cassandra, aby się z nimi rozmówił. Po wprowadzeniu porządku zachowywali się znacznie lepiej.

Trzeciego dnia od wyjazdu z Ronart Cinquelon dotarli do Cogstone Head przy rozlewisku Cambermouth. Prom napędzany w jedną i drugą stronę siłą przyływu i odpływu przewiózł ich na północny brzeg. Godzinę później dotarli do Avallonu, miasta wysokich wież.

U bram natknęli się na wysłany przez króla Audry'ego oddział elitarnej gwardii królewskiej, we wspaniałych szaro-zielonych mundurach i hełmach z błyszczącego srebra. Przy dźwiękach werbli i fanfar pojechali z tą eskortą szerokim bulwarem przez ogrody Falu Ffail aż do głównego wejścia. Na spotkanie wyszedł im tam król Audry i powitał ich z godnością.

Rodzina królewska została umieszczona w komnatach we wschodnim skrzydle pałacu, które otaczało fragment ogrodu z rosnącymi na skrajach drzewami pomarańczowymi i fontanną pośrodku. Przepychną komnaty Madouc przekraczał wszystko, co do tej pory widziała. Podłogę w jej salonie pokrywał gruby dywan z zielonego pluszu. Meble wykonano w lekkim i wdzięcznym stylu, wykończono na biało i wyłożono błękitnymi i zielonymi poduszkami. Na ścianach wisiały obrazy z wizerunkami nimf bawiących się w arkadyjskim krajobrazie. Na bocznym stolicku w wazie z błękitnej majoliki stał bukiet rozmaitych kwiatów. Madouc wszystko to wydawało się zarówno niezwykle, jak i przyjemne. Oprócz salonu jej apartament składał się z sypialni, łazienki wykończonej różowym porfirem i garderoby z olbrzymim bizantyńskim zwierciadłem zawieszonym na ścianie. Na półkach stały rozmaite perfumy, olejki i esencje. Tylko jedno się jej w tym wszystkim zupełnie nie podobało. Chodziło o to, że Kylas otrzymała komnatę przylegającą do jej apartamentu, której drzwi otwierały się do salonu Madouc. Z sobie tylko znanego powodu Kylas wypełniała swoje obowiązki ze szczególnym oddaniem, jakby przez cały czas była na warcie. Gdziekolwiek Madouc by się poruszyła, błyszczące oczy Kylas podążały za nią.

Księżniczka w końcu wysłała ją, aby coś załatwiła. Gdy dziewczyna zniknęła z jej oczu, natychmiast wybiegła z komnaty i najprędzej jak tylko mogła, starając się przy tym zachowywać godnie, opuściła wschodnie skrzydło.

Znalazła się w głównej galerii Falu Ffail, która podobnie jak na Haidionie, ciągnęła się przez całą długość pałacu. Kiedy dotarła do komnaty przyjąć, podeszła do krępego, młodego podszambelana, który stał dumny w szaro-zielonej liberii i luźnej, miękkiej czapce ze szkarłatnego aksamitu, stylowo nałożonej na bakier, tak że opadała mu na prawe ucho. Rzucił przychylnie spojrzenie smukłej dziewczynie o miedzianozłoty lokach i oczach w kolorze błękitnego nieba i był cały zadowolony mogąc ją poinformować, że ani król Aillas, ani książę Dhrun jeszcze nie przybyli.

- Książę Dhrun przybędzie tu wkrótce. Króla Aillasa zatrzymały jakieś ważne sprawy i zapewne nie pojawi się aż do jutrzejszego poranka.

- Jak to? - zapytała ze zdziwieniem Madouc. - Dlaczego nie przybędą razem?

- To bardzo skomplikowana sprawa. Książę Dhrun przybędzie na pokładzie *Nementhe*, na którym służy jako pierwszy oficer. Jeśli natomiast chodzi o króla Aillasa wygląda na to, że coś go zatrzymało w Domreis. Jego młoda małżonka jest od ośmiu miesięcy w ciąży i nie byliśmy pewni, czy Aillas w ogóle przyjedzie. Ostatnio jednak poinformowano nas, że jest już w drodze. W każdym razie książę Dhrun powinien się tu pojawić w każdej chwili. Jego okręt wpłynął do zatoki wraz z porannym przypływem.

Madouc odwróciła się i rozejrzała po komnacie. Na przeciwległym końcu zakończony łukiem portal prowadził do przeszklonego atrium. Stały tam monumentalne posągi, ustawione w dwa przeciwległe szeregi.

Podszambelan zauważył, w jakim kierunku spogląda.

- Patrzysz na Dziedziniec Martwych Bogów. Te posągi są bardzo stare.

- Skąd wiadomo, że ci bogowie są martwi?

Podszambelan wzruszył ramionami.

- Nigdy się nad tym głębiej nie zastanawiałem. Być może bogowie znikają, kiedy nie są już czczeni. Te posągi były dawno temu czczone przez starożytny lud Evadnioi, który był tu jeszcze przed Pelazami. W Troiciniecie Gaję nadal uważa się za wielką boginię, a nad morzem niedaleko Ys jest

świętynia poświęcona Atlancie. Być może ci bogowie nie są jednak martwi. Chciałabyś zobaczyć ich z bliska? Mogę poświęcić ci parę chwil, dopóki nie przybędą następni goście i dygnitarze.

- Dlaczego nie! Kylas z pewnością nie będzie mnie szukała pomiędzy martwymi bogami.

Podszambelan zabrał Madouc na Dziedziniec Martwych Bogów.

- Popatrz! Tam stoi niepojęty Cron, naprzeciwko swej straszliwej małżonki Hec, bogini przeznaczenia. Dla zabawy stworzyli różnicę pomiędzy „tak” i „nie”. Potem, kiedy znowu zaczęło im się nudzić, zarządzili różnicę pomiędzy „czymś” i „niczym”. Kiedy i te różnice uległy zatarciu, rozłożyli ręce i spomiędzy ich palców zaczęły się wyłaniać tak delikatne materie jak czas, przestrzeń i światło, aż w końcu stworzyli dość, aby się tym przez dłuższy czas interesować.

- Bardzo ładnie - powiedziała Madouc. - Ale skąd oni się tego nauczyli?

- Ach! Tu właśnie zaczyna się tajemnica - rzucił mądrym tonem podszambelan. - Kiedy pyta się teologów, skąd wzięli się Cron i Hec, ci gładzą się po brodach i zmieniają temat. Ja z pewnością nie jestem w stanie tego pojąć. Wiemy tylko tyle, że Cron i Hec są rodzicami wszystkich pozostałych. Tu widzisz Atlantę, a tam Gaję. Tu jest Fantares, a tu Aeris. Są oni bogami wody, ziemi, ognia i powietrza. Apollo jest wspaniałym bogiem słońca. Piękna Drethre jest boginią księżycy. Tu widzisz Flunsa, pana wojny. Na wprost niego stoi Palas, bogini żniw. A na końcu twarzami do siebie stoją Adace i Aronice. Przez sześć miesięcy w roku Adace jest bogiem bólu, okrucieństwa i zła, podczas gdy Aronice włada miłością i dobrocią. Kiedy dzień zrównuje się z nocą, zmieniają role na następne sześć miesięcy. Adace staje się bogiem odwagi, cnoty i miłosierdzia, natomiast Aronice boginią gniewu, nienawiści i zdrady. Z tego powodu znani są jako Zmienna Para.

- Zwykli ludzie zmieniają się z godziny na godzinę, a nawet w ciągu minut - zauważyła Madouc. - W porównaniu z nimi Adace i Aronice sprawiałyby wrażenie wyjątkowo statecznych. Mimo to, nie chciałabym chyba być członkiem tej rodziny.

- To wnikliwe spostrzeżenie - stwierdził podszambelan. Przyjrzał się jej dokładnie. - Może się mylę, ale czy ty nie jesteś przypadkiem szlachetną księżniczką Madouc z Lyonesse?

- Tak mnie nazywają, przynajmniej na razie.

Podszambelan skłonił się.

- Jestem Tibalt, podszambelan. Miło mi, że mogę ci pomóc, pani! Czy mam nadal oprowadzać Waszą Wysokość?

- Z czystej ciekawości, gdzie znajduje się stół Cairbra an Meadhan? - zapytała.

Tibalt, z uśmiechem na ustach, wskazał palcem.

- Za tamtymi drzwiami w Hallu Bohaterów.

- Możesz mnie tam zaprowadzić, jeśli łaska.

- Z przyjemnością.

Przy drzwiach stało nieruchomo dwóch zbrojnych z halabardami. Nawet nie mrugnęli na widok zbliżającej się Madouc i Tibalta, którzy spokojnie przeszli do Hallu Bohaterów.

- To najstarsza część Falu Ffail - powiedział Tibalt. - Nikt nie wie, kto położył te wielkie kamienie! Jak widzisz, komnata jest okrągła i ma średnicę trzydziestu trzech jardów. A oto Cairbra an Meadhan, Okrągły Stół!

- Widzę.

- Ma ponad czternaście jardów średnicy. Zewnętrzny pierścień ma pięć stóp szerokości i zbudowany jest z kamiennych płytek ułożonych na dębowych deskach. Przestrzeń w środku ma około jedenastu jardów średnicy.

Tibalt oprowadził Madouc dookoła stołu.

- Przypatrz się tym tablicom z brązu. Widnieją na nich imiona rycerzy z dawnych wieków, niegdyś wskazywały ich miejsce przy stole.

Pochyliła się, aby się przyjrzeć tablicom.

- Te litery są w starodawnym stylu, ale dają się przeczytać. Na tej jest napisane: „Tu siedzi sir Gahun z Hack, gwałtowny jak północny wiatr i niepokonany w walce”.

Tibalt był pod wrażeniem.

- Potrafisz czytać! Ale to w końcu przywilej księżniczki!

- To prawda - przyznała. - Jednakże wielu zwykłych ludzi również to potrafi; trzeba się tylko postarać. Polecam to twojej uwadze. Nie jest to takie trudne, kiedy już przyzwyczaisz się do wielu dziwnych kształtów.

- Wasza Wysokość zachęciła mnie! - oświadczył Tibalt. - Zacznę natychmiast uczyć się tej sztuki. A teraz! - Tibalt wskazał na przeciwległy koniec komnaty. - Tam widzisz Evandig, tron królów wysp Elder. Stoimy przed czymś potężnym. Mówi się, że co roku duchy tych władców zbierają się w tej komnacie, aby odnowić dawne przyjaźnie. Chcesz zobaczyć coś jeszcze? Jest tu trochę mroczno, a wykorzystuje się tę salę tylko w szczególnych okolicznościach.

- Czy tu będą się odbywały obrady?
- Oczywiście!
- Gdzie zasiądzie król Casmir, a gdzie król Aillas i ksiązę Dhrun?
- Jeśli o to chodzi, to nie wiem nic. To należy do obowiązków seneszala i heroldów. Czy mogę ci jeszcze coś pokazać, pani?
- Nie, dziękuję.

Tibalt odprowadził Madouc z powrotem na Dziedziniec Martwych Bogów. Z komnaty przyjęć dobiegły ich dźwięki wielu głosów.

- Wybacz mi, proszę! - powiedział poruszony. - Od szedłem ze swego stanowiska, tymczasem ktoś przybył i podejrzewam, że jest to ksiązę Dhrun wraz ze swą świtą.

Tibalt wybiegł, a Madouc udała się za nim. Weszła do komnaty przyjęć i zobaczyła księcia Dhruna i trzech troicyjskich dygnitarzy w towarzystwie króla Audry'ego, księżniczki Dorcas, księcia Whemusa i księcia Jaswyn oraz księżniczkę Cloire i Mahaeve. Przecisnęła się przez gromadkę dworzan, mając nadzieję zbliżyć się do Dhruna, ale bez powodzenia. Ksiązę i jego orszak opuścili salę prowadzeni przez króla Audry'ego.

Madouc powoli wróciła do swojej komnaty. Zastała tam siedzącą w kamiennej pozie Kylas.

- Nie było cię, kiedy tu wróciłam - odezwała się Kylas. - Dokąd poszłaś?
- To cię nie powinno interesować - odparła Madouc. - Nie zwracaj sobie głowy takimi szczegółami.
- Moim obowiązkiem jest ci towarzyszyć - powiedziała z uporem w głosie Kylas.
- Kiedy będę potrzebowała twojego towarzystwa, to cię o tym poinformuję. Na razie możesz odejść do swojej komnaty.

Kylas wstała.

- Wkrótce wrócę. Przeznaczono ci dziewczkę służebną, która pomoże ci się ubrać na wieczorny bankiet. Królowa zasugerowała, abym pomogła ci wybrać właściwą suknię.

- To nonsens - stwierdziła Madouc. - Nie potrzebuję niczyjej rady. Nie wracaj, dopóki cię nie wezwę.

Kylas sztywnym krokiem wyszła z pokoju.

Księżniczka ubrała się szybko, po chwili wahania decydując się na suknię z aksamitu Czarna Róża. Wyszła pospiesznie i sama udała się do Wielkiego Hallu, gdzie miała nadzieję złapać Dhruna, zanim zacznie się bankiet.

Dhruna nigdzie nie było. Książę Jaswyn, trzeci syn króla Audry'ego, ciemnowłosy młodzieniec w wieku piętnastu lat, podszedł do niej i odprowadził ją do jej miejsca przy stole, które było tuż obok jego własnego. Po drugiej stronie siedział książę Raven z Pomperolu.

Dhrun w końcu się pojawił i wskazano mu miejsce po przeciwnej stronie stołu, około sześciu miejsc w bok od Madouc. Podróżny strój zamienił na błękitno-żółtą kurtkę i białą koszulę, prosty ubiór, który zręcznie podkreślał jego zdrową cerę i gęstą czuprynę blond włosów. Zauważył Madouc i pokłamał jej ręką, ale później został wciągnięty do rozmowy przez księżniczkę Clorie. Kiedy ona przedstawiała się nim zajmować, rozmową bawiła go królowa Linnet z Pomperolu.

Bankiet ciągnął się danie za daniem. Madouc wkrótce przestała jeść, a nawet próbować dań serwowanych przez lokajów. Cztery kielichy stojące przed nią zawierały dwa rodzaje czerwonego wina, białego i cierpkie zielone. Były dopełniane za każdym razem, kiedy trochę upiła, tak że wkrótce przestała też pić, w obawie, że zacznie jej się kręcić w głowie. Książę Jaswyn z zapalem zabawiał sąsiadkę, nie ustępował mu też w galanterii książę Raven, młodszy syn króla Kestrela i brat głupawego Bitterna, który nie przybył do Avallonu z powodu reumatyzmu i astmy. Parę razy Madouc zauważyła lodowate spojrzenia przesyłane jej przez królową Sollace, ale udawała, że nic nie widzi.

Wreszcie król Audry wstał ogłaszając koniec bankietu. Natychmiast rozbrzmiała delikatna muzyka z sąsiedniej sali balowej. Madouc pośpiesznie przeprosiła księcia Jaswyna oraz księcia Ravena, po czym wstała i obiegnęła stół, chcąc podejść do Dhruna. Najpierw została zatrzymana przez księcia Whemusa, który zaczął prawić jej komplementy chcąc nawiązać rozmowę. Tak szybko i najgrzeczniej, jak to było możliwe, uwolniła się od jego towarzysztwa, ale wtedy nigdzie nie mogła już zauważyć Dhruna. O, teraz był tam, po drugiej stronie stołu! Przyspieszyła kroku, lecz natknęła się na Kylas. Dziewczyna przyniosła jej pilną wiadomość, którą przekazała jej ze słabo skrywaną satysfakcją:

- Królowa Sollace uważa, że twoja suknia nie jest zadowolająca.
- Wobec tego myli się! Możesz jej powiedzieć, że ja jestem z niej całkiem zadowolona.

- Królowa zaś jest niezadowolona. Uważa, iż ta suknia jest niewłaściwa dla osoby w twoim wieku. Pragnie, abyś wróciła ze mną do swej komnaty, gdzie mam ci pomóc w wybraniu skromniejszej i bardziej pasującej do twojego młodego wieku sukni. Chodź, musimy tam pójść natychmiast.

- Żałuję wielce, że królowa jest niezadowolona, ale jestem pewna, że musiałaś źle zrozumieć jej polecenie - powiedziała szorstko Madouc. - Nie może ode mnie oczekiwać, abym teraz zmieniała strój. Zostaw mnie i nie przeszkadzaj mi więcej. - Madouc próbowała ją wyminąć, ale Kylas ponownie stanęła jej na drodze.

- Usłyszałaś polecenie królowej! Nie ma tu żadnej pomyłki.

Z trudem pohamowała opanowującą ją złość.

- Wyjaśnij królowej, że wielce niedogodnym byłoby dla mnie teraz zmienianie stroju, zwłaszcza że ta suknia jest wystarczająca.

- Wcale nie.

- W każdym razie, zejdź mi z drogi. Tam jest ktoś, z kim chciałabym porozmawiać.

- A któż to jest?

- Doprawdy, Kylas! Twoje pytania są pozbawione sensu! - Madouc uskoczyła w bok i stwierdziła, że Dhrun znowu zagubił się gdzieś w tłumie gości.

Stanęła z boku. Rozglądała się na prawo i lewo, przyglądała się każdemu po kolei. Nad głowami gości tysiąc świec w pięciu żyrandolach dawało światło, które ukazywało tysiące kolorów w mieniących się poniżej tkaninach. Mieszały się ze sobą różę i głębokie czerwienie, popiele i zielenie, kolory wrzосу i wiśni, żółcie i fiolety. Błyszczało srebro i złoto, mieniły się widoczne wszędzie drogie kamienie. W świetle świec jaśniały rozmaite twarze, a każda z nich kryła w sobie jakąś duszę. Ale nigdzie, ani na prawo, ani na lewo, nie było widać twarzy Dhruna!

Jakiś głos wyszeptał jej do ucha.

- Dlaczego mnie tak unikasz? Czyżbym był teraz twoim znieprawionym wrogiem?

Madouc odwróciła się i zobaczyła stojącego obok siebie Dhruna.

- Dhrun! - Z trudnością powstrzymała się od bardziej impulsywnego powitania. - Wszędzie cię szukałam! Bez skutku. Gdziekolwiek poszłam, ty znikaleś. Jakbym goiła cień!

- W końcu mnie znalazłaś, a ja znalazłem ciebie. I jestem zadziwiony!
Madouc spojrzała na niego ze szczerym, pełnym szczęścia uśmiechem na twarzy.

- Powiedz mi dlaczego?

- Wiesz dlaczego! Gdybym powiedział ci więcej, czułbym się zażenowany!

- Powiedz mi i tak.

- Dobrze więc. Dawno temu wiedziałem, że kiedyś staniesz się piękna, ale nie spodziewałem się, że to się stanie tak szybko.

Madouc cicho się zaśmiała.

- Czujesz się zażenowany?

Dhrun również się roześmiał.

- Nie wyglądasz na obrażoną lub poruszoną.

- Wobec tego również ci coś powiem, a wtedy i ja poczuję się zażenowana.

Dhrun złapał ją za rękę.

- Wysłucham cię i obiecuję, że się nie obrażę.

- Cieszę się słysząc to, co powiedziałaś, ponieważ poza twoją nie zależy mi na niczyjej opinii - niemal wyszeptła Madouc.

- Gdybym śmiał, pocałowałbym cię! - odparł przejęty Dhrun.

Madouc owładnęła nieśmiałością.

- Nie teraz! Wszyscy by zobaczyli!

- To prawda! Ale co z tego?

Ścisnęła jego dłoń.

- Posłuchaj! Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia, a ty musisz mnie bardzo uważnie wysłuchać.

- Poświęcam ci całą swą uwagę!

Ktoś stanął tuż za plecami księżniczki. Obejrzała się i zobaczyła prznikliwe oczy Kylas.

- Czy idziesz zmienić strój, tak jak tego pragnie Jej Królewska Mość? - zapytała Kylas.

- Nie teraz - odparła Madouc. - Możesz wyjaśnić Jej Królewskiej Mości, że księżę Dhrun i ja jesteśmy pogrążeni w rozmowie i on zapewne pomyślałby, iż jestem dziwaczna, gdybym nagle pobiegła zmieniać ubranie. - Odprowadziła Dhruna kawalek dalej, zostawiając Kylas z wytrzeszczonymi oczami. - Kylas to coś w rodzaju ciężkiej próby - powiedziała. - Obserwuje każdy mój ruch i donosi o tym królowej, nie potrafię powiedzieć z jakiego

powodu, skoro królowa i tak nie ma najmniejszego pojęcia, co zamierzam ci powiedzieć.

- Wobec tego powiedz mi to wreszcie! Co jest dla ciebie takie ważne?
- Twoje życie! Nie zniosłabym, gdybyś je stracił.
- Ja również. Mów dalej.
- Czy znasz magiczne zwierciadło o imieniu Persilian?
- Słyszałem o nim od mojego ojca.

Do rozmawiającej pary podszedł król Audry i zatrzymał się. Zmierzył Madouc wzrokiem od góry do dołu. - Kim jest ta jaskrawowłosa sylfida? Zauważyłem ją przy stole pogrążoną w rozmowie z księciem Jaswynem.

- Wasza Królewska Mość, pozwól, że ci przedstawię księżniczkę Madouc z Lyonesse.

Król Audry uniósł brwi i podkreślił pokaznego wąsa.

- Czy może to być ta sama istota, o której słyszałem tyle niesamowitych opowieści? Jestem zdumiony!

- Te opowieści były z pewnością przesadzone, Wasza Królewska Mość - grzecznie odparła księżniczka.

- Wszystkie?

- Moje zachowanie bywało czasami nieco nieroztropne i beztroskie, z tego też powodu ucierpiała moja reputacja.

Król Audry potrząsnął głową i pogładził się po brodzie.

- To smutna sytuacja! Ale masz jeszcze wiele czasu na odkupienie win.

- Wasza Królewska Mość zachęcił mnie do spoglądania w przyszłość z nadzieją. Nie poddam się rozpaczy! - stwierdziła z powagą Madouc.

- Byłaby wielka szkoda, gdyby się tak stało! - oświadczył król Audry. - Przejdźmy do sali balowej, gdzie wkrótce zaczną się tańce. Jaki jest, jeśli wolno zapytać, twój ulubiony taniec?

- Żaden, sire! Nigdy nie zadałam sobie trudu, aby się jakiegoś porządnie nauczyć i nie odróżniam jednego od drugiego.

- Musisz jednak wiedzieć, jak tańczy się pawanę?

- Tak, Wasza Królewska Mość.

- To jeden z moich ulubionych, zaczyna się poważnie, choć dość żwawo, i delikatnie oddaje subtelną zmianę nastroju. Będzie on pierwszym tańcem.

Księżę Jaswyn, który stał tuż obok, skłonił się przed Madouc.

- Czy mogę mieć zaszczyt zatańczenia pawany z Waszą Wysokością? Madouc rzuciła Dhrunowi szybkie spojrzenie, po czym powiedziała:
- Będzie mi bardzo przyjemnie, księżę.

Kiedy pawana się skończyła księżę Jaswyn odprowadził Madouc na bok. Rozglądała się za Dhrunem. Tak jak wcześniej, nie zauważyła go od razu i zacisnęła usta ze zdenerwowania. Dlaczego nie mógł stać w miejscu? Czy nie dotarło do niego, jak ważne jest to, co ma mu do powiedzenia? Rozejrzała się we wszystkich kierunkach próbując coś dojrzeć ponad głowami przystojnych młodzieńców i wystrojonych dam. W końcu odkryła Dhruna w towarzystwie księcia Cassandra. Obaj właśnie wchodzili do sali balowej. Madouc pospiesznie przeprosiła księcia Jaswyna. Przymaszerowała przez salę i podeszła do obu książąt.

Cassander wyraźnie nie ucieszył się na jej widok. Przywitał ją wyniośle:

- Jak tam, Madouc?! Powinnaś bawić się w najlepsze! Masz okazję wmieścić się w społeczność Avallonu.
- Już zdążyłam to uczynić.
- Dlaczego zatem nie tańczysz, nie plotkujesz i nie zadziwiasz towarzystwa swoją bystrością?
- Tego wieczora takie zabawy nie pasują do mego nastroju, podobnej myśli jest też księżę Dhrun - odparł cierpko Cassander. - W takim razie...

Madouc spojrzała na Dhruna.

- Ciebie również nudzi cała ta zabawa?
- Może nie do takiego stopnia, jak księcia Cassandra - odpowiedział z uśmiechem Dhrun.

Cassander zmarszczył brwi.

- Tam stoi księżę Raven z Pomperolu; dlaczego nie podyskutujesz z nim na temat swoich teorii?
- Nie teraz. Czuję się nieco oszołomiona tym wszystkim. Gdzie poszłiście, aby uniknąć obowiązków towarzyskich?
- Poszliśmy tam, gdzie mogliśmy nacieszyć się paroma chwilami ciszy - odrzekł zimno Cassander.
- Cassandrze, jesteś strasznie tajemniczy! Gdzie można nacieszyć się tą ciszą?

- Tu, tam, w tym czy innym miejscu - powiedział Cassander. - Czy to ma jakieś znaczenie?
- Ja jestem jednak ciekawa.

- Książę Cassander chciał odwiedzić Hall Bohaterów, aby zadośćuczynić starej tradycji - powiedział Dhrun.

- Wreszcie dowiedziałam się prawdy! - zawołała Madouc. - Cassander nie jest taki nonszalancki, na jakiego wygląda. Jakiej to tradycji czuł się zmuszony zadośćuczynić?

- To tylko kaprys, nic więcej! - odparł poirytowany. - Księżęta z rodów panujących, którzy choć przez chwilę usiądą na tronie Evandig, zapewnią sobie długie życie i szczęśliwe panowanie. Tak przynajmniej głosi legenda.

- To dość prostacka legenda - powiedziała Madouc. - Dhrunie, czy ty również zadośćuczyniłeś tej tradycji?

Dhrun zaśmiał się trochę zażenowany.

- Książę Cassander uparł się, abym i ja skorzystał razem z nim.

- To bardzo miłe z jego strony! Siedzieliście również przy Okrągłym Stole?

- Przez chwilę lub dwie.

Madouc westchnęła.

- No cóż, zatem obaj odetchnęliście na osobności. Czy przypominasz sobie, jednak że obiecałeś ze mną zatańczyć?

Dhrun przez chwilę spojrział na nią zaskoczony, lecz szybko odzyskał kontenans.

- Rzeczywiście! Książę, proszę nam wybaczyć!

Cassander chłodno skinął głową.

- Idźcie tańczyć!

Madouc pociągnęła Dhruna nie na środek sali balowej, lecz na ubocze, w półmrok po przeciwnej stronie.

- A teraz pomyśl - powiedziała. - Kiedy usiadłeś na tronie, czy powiedziałeś coś?

- Tylko tyle, ile było trzeba, aby zadośćuczynić tradycji, jak to mi wyjaśnił Cassander. Kiedy on usiadł na tronie, rozkazał podejść mi jeden krok do przodu. Ja zrobiłem to samo.

Madouc pogodzona z losem pokiwała głową.

- Wobec tego musisz się teraz zacząć obawiać o swoje życie. Możesz umrzeć w każdej chwili.

- Jak to?

- Próbowалам ci powiedzieć o przepowiedni Persiliana. Kieruje ona niemal każdą godziną twójego życia.

- Cóż to za przepowiednia?

- Chodzi mniej więcej o to, że pierworodny syn księżniczki Suldrun, czyli ty, zajmie swe prawowite miejsce przy Cairbra an Meadhan i będzie

władał z tronu Evandig przed swoją śmiercią. Ty właśnie spełniłeś słowa przepowiedni! Usiadłeś przy stole i wydałeś rozkaz siedząc na Evandigu. Teraz Casmir wysze do roboty morderców. Mogą cię zabić nawet tej nocy!

Dhrun milczał przez dłuższą chwilę.

- Zdawało mi się, że Cassander zachowuje się nieco dziwnie! Czy on wie o przepowiedni?

- Trudno mi to powiedzieć. Jest próżny i głupi, ale nie pozbawiony ludzkich uczuć. Będzie jednak posłuszny królowi Casmirowi bez względu na to, co musiałby zrobić.

- Nawet zamordować?

- Wykonałby jedynie rozkaz. Ale nie będzie musiał tego robić, jeśli król Casmir sprowadził innych, którzy znają się na tej robocie.

- To mi mrozi krew w żyłach! Będę się strzegł! Trzej dzielni rycerze z Troicinetu są tu ze mną i będą zawsze u mego boku.

- Kiedy przyjedzie twój ojciec?

- Sądzę, że jutro. Ucieszę się, kiedy go zobaczę.

- Ja również.

Dhrun spojrział Madouc głęboko w oczy. Pochylił się i pocałował ją w czoło.

- Zrobiłaś, co mogłaś, aby uratować mi życie. Dziękuję ci, moja droga Madouc! Jesteś równie mądra, co śliczna!

- To jest moja najwspanialsza suknia - powiedziała księżniczka. - Ten materiał nazywa się Czarna Róża i z jakiegoś dziwnego powodu jego kolor pięknie pasuje do moich włosów. Zdaje się zresztą, że szczególnie podkreśla coś, co muszę chyba nazwać moją urodą. Zastanawiam się, zastanawiam...

- Nad czym się zastanawiasz?

- Pamiętasz z pewnością króla Throbiusa.

- Pamiętam go bardzo dobrze. Był dość życzliwy, choć też może odrobinę złośliwy.

- Właśnie. Z pewnego powodu rzucił na mnie zaklęcie, które sprawiło, że wywołałam wiele zamieszania. Mówiąc prawdę, nieco mnie ono przeraziło swą niezwykłą mocą. Aby się od niego uwolnić, miałam pociągnąć się za prawe ucho lewą ręką. Teraz się zastanawiam, czy ciągnęłam wystarczająco mocno.

- Hmm, trudno to stwierdzić - odparł Dhrun.

- Mogłabym pociągnąć raz jeszcze, tak z uczciwości i dla pewności. Jednakże gdybym się nagle zmieniła w wychudzoną brzydulę w obwisłej

sukni, poczułabym się strasznie, przede wszystkim dlatego, że ty odwrócił-
byś się ode mnie cofając wszystkie komplementy.

- Śpiącego lwa lepiej nie drażnić - przyznał Dhrun. - Podejrzewam jed-
nak, że to, co tutaj mamy, jest tobą w całości i w pełni.

- Upewnij się raz na zawsze. Tego wymaga uczciwość. Patrzysz uważ-
nie?

- Bardzo uważnie.

- Przygotuj się na najgorsze! - Madouc pociągnęła się za prawe ucho
palcami lewej dłoni. - Czy zauważyłeś jakąś zmianę?

- Ani trochę.

- Ależ mi ulżyło! Podejźmy tam, usiądźmy na sofie i jeśli nie mamy nic
innego do roboty, to opowiem ci moje przygody z wyprawy do puszczy Tan-
trevalles.

III

Noc minęła spokojnie. Słońce wzeszło jak wielka mandarynka i zaczął
się nowy dzień. Madouc obudziła się wcześniej i leżała przez chwilę w łóżku
rozmyślając. Potem nagle zeskoczyła na podłogę, wezwała służącą, wykapa-
ła się w wannie z różowego porfiru i ubrała w sukienkę z miękkiego, błękit-
nego lnu ozdobioną białym kołnierzem. Służka wycesała jej włosy, tak że w
końcu opadały w pięknych lokach na jej ramiona, po czym związała je błę-
kitną wstążką.

Ktoś zastukał do drzwi. Madouc nasłuchiwała przez chwilę, po czym wy-
dała polecenie służącej. Stukanie rozbrzmiało ponownie, ostre i natarczywe.
Służąca uchyliła lekko drzwi i ujrzała dwoje błyszczących, czarnych oczu
wpatrujących się w nią przenikliwie.

- Nie masz szacunku dla Jej Wysokości? - zawołała. - Księżniczka niko-
go nie przyjmuje tak wcześniej! Odejdź stąd! - krzyknęła i zamknęła drzwi.

- To ja, panna Kylas! Jestem czcigodną osobą! - dobiegły Madouc stłu-
mione protesty. - Otwórz drzwi, abym mogła wejść!

Nie uzyskując żadnej odpowiedzi Kylas przeszła do swojej komnaty,
skąd próbowała przedostać się przez drzwi prowadzące do salonu Madouc,
ale stwierdziła jedynie, że są zamknięte na klucz.

- Proszę mi otworzyć! To ja, Kylas! - zawołała pukając natarczywie.

Zamiast ustąpić jej żądaniu Madouc zniknęła. Wyszła drugimi drzwiami, przebiegła przez ogród i zniknęła z oczu w korytarzu wschodniego skrzydła.

Kylas zapukała ponownie.

- Otwieraj natychmiast! Przynoszę wiadomość od królowej Sollace!

Służąca otworzyła drzwi. Kylas wpadła do salonu.

- Madouc? Księżniczko Madouc? - Weszła do sypialni rozglądając się na prawo i lewo, potem zajrzała do garderoby. Nie znajdując ani śladu szukanej przez siebie osoby, zawołała w stronę łazienki: - Księżniczko Madouc! Czy jesteś w środku? Jej Królewska Mość prosi, byś przyszła do niej natychmiast, aby mogła wydać ci polecenia! Księżniczko Madouc? - Kylas zajrzała do łazienki, po czym rozgniewana zwróciła się do służącej: - Gdzie jest księżniczka?

- Ona już wyszła, proszę pani.

- To widzę, ale dokąd?

- Nie potrafię na to odpowiedzieć.

Kylas prychnęła rozzłoszczona i wybiegła.

Madouc udała się do Salonu Porannego, jak polecił jej poprzedniego wieczoru książę Jaswyn. Była to duża komnata, przyjemna i bardzo jasna. Słońce rozświetlało ją przez wysokie okna. Na ciągnącym się przez całą długość komnaty kredensie stały setki półmisek, tac, mis i dzbanów wypełnionych różnego rodzaju potrawami.

Madouc zastała tam króla Audry'ego i księcia Jaswyna. Książę Jaswyn dżentelmeńsko zerwał się na równe nogi i podprowadził Madouc do stołu.

- Śniadanie jest nieoficjalne - powiadomił król Audry. - Możesz sama się obsłużyć lub wezwać lokajów, jak sobie życzysz. Nie przepuściłbym przepiórkom ani bażantom. Oba dania są świetne. Kazałem upolować zajęce i niedźwiedzia, ale moim myśliwym się nie powiodło i dzisiaj musimy się obyć bez tego. Nie będziemy również jeść sarniny, która wydaje mi się nieco zbyt ciężka jak na śniadanie, szczególnie ta zapiekana w cieście. Proszę, nie myśl o mnie źle ze względu na te drobiowe dania. Jestem pewien, że w Hadionie jesz znacznie lepiej.

- Zazwyczaj nie wybrzydzą, chyba że owsianka jest przypalona - odparła księżniczka.

- Ostatni kucharz, który przypalił owsiankę, został wychłostany - nadmienił król Audry. - Od tego czasu nie miewamy żadnych problemów.

Madouc przeszła wzdłuż kredensu, nałożyła sobie spory kawałek soczystej przepiórki, omlet z pietruszką, bułeczki z masłem i miseczkę truskawek ze śmietaną.

- Co? Żadnej ryby? - krzyknął przerażony król Audry. - To nasza sława i duma. Lokaj! Przynieś księżniczce łososia w winie z młodym groszkiem, a także spory kęs kraba w sosie szafranowym, a także, dlaczego nie, kilkanaście ostryg. I nie szczędź masła czosnkowego!

Madouc z powątpiewaniem spojrzała na stojący przed nią talerz.

- Obawiam się, że bym się rozżyła, gdybym regularnie jadła w waszym towarzystwie, Wasza Królewska Mość.

- Toż to rozkoszne ryzyko - powiedział król Audry. Zwrócił się w stronę zbliżającego się dworzanina. - Cóż to, Evianie, jakie przynosisz nowiny?

- *Flor Velas* został dostrzeżony z Cambermouth, Wasza Królewska Mość. Król Aillas wkrótce się tu zjawi, chyba że powstrzymałby go silny wiatr od lądu.

- Jaki mamy wiatr w tej chwili?

- Zmienia się, Wasza Królewska Mość, z północnego na północno-zachodni, a raz na jakiś czas nawet zachodni. Kurki na dachu zupełnie nie zdają egzaminu.

- To nie jest sprzyjający wiatr - oznajmił król Audry. - Musimy jednak rozpocząć obrady zgodnie z harmonogramem. Kiedy wszystko rozpoczyna się na czas, najczęściej udaje się to szczęśliwie zakończyć. Czyż nie mam racji, księżniczko?

- Ja również tak myślę, sire. Te przepiórki są doskonałe.

- Sprytna dziewczyna! No cóż, miałem nadzieję, że król Aillas będzie obecny na ceremonii otwarcia, ale nie będziemy jej opóźniać, nie ominie go bowiem nic istotnego. Mamy przed sobą parę rund prezentacji, pozdrowień, szlachetnych westchnień, przyjaznych aluzji i tak dalej. Dopóki nie przybędzie król Aillas, wszystkiemu w imieniu Troicinetu będzie się przyśluchiwał książę Dhrun, który również wypowie słowa powitania. Jest może zbyt młody do czegoś takiego, ale będzie to dla niego dobra lekcja.

Dhrun, wraz ze swymi trzema towarzyszami, wszedł do Salonu Poranego. Podeszli do stołu króla Audry'ego.

- Dzień dobry, Wasza Królewska Mość - powiedział Dhrun. - Dzień dobry, książę oraz księżniczko.

- Dzień dobry - powiedział król Audry. - Okręt twojego ojca widziano w Cambermouth, a on sam wkrótce się tu pojawi, zapewne przed upływem dnia.

- To dobra nowina.

- Obrady rozpoczną się zgodnie z harmonogramem. Dopóki nie przybędzie król Aillas, musisz występować w jego imieniu. Przygotuj się wobec tego do wygłoszenia rozsądnego i inspirującego przemówienia.

- To zła nowina.

Król Audry zachichotał.

- Noszenie królewskiej korony nie zawsze jest takie przyjemne.

- Podejrzałem to już wcześniej, Wasza Królewska Mość, obserwując mojego ojca.

- Jaswyn z pewnością doszedł do tych samych wniosków - rzekł król Audry. - Czy mam rację, Jaswynie?

- Rzeczywiście, sire.

Król Audry skinął przychylnie głową i zwrócił się do Dhruna.

- Nie dopuszczam cię do jedzenia. Proszę, najedz się dobrze!

- Król Audry poleca przepiórki i bażanty - odezwała się Madouc. - Upiera się również, abym zjadła strasznie dużo ostryg.

- Skorzystam z twojej rady, jak zawsze - powiedział Dhrun.

On i jego towarzysze odeszli w stronę kredensu. Chwilę później do jadalni wszedł książę Cassander wraz ze swym przyjacielem, sir Camrolsem. Cassander przystanął i rozejrzał się po komnacie, po czym podszedł do króla Audry'ego i przywitał się.

- Król Casmir i królowa Sollace jedzą śniadanie we własnych komnatach. Pojawią się w Hallu Bohaterów o wyznaczonej godzinie.

- To już nie tak długo - zauważył król Audry. - Ranek prawie się kończy.

Cassander zwrócił się do Madouc:

- Królowa Sollace życzy sobie widzieć cię natychmiast. Ostrzegam, że nie jest zadowolona z twego trzpiotowatego zachowania, które graniczy z nieposłuszeństwem.

- Królowa musi odłożyć swe uwagi na później albo nawet lepiej w ogóle o nich zapomnieć - oznajmiła Madouc. - Właśnie jem śniadanie w towarzystwie

króla Audry'ego i księcia Jaswyna. Zachowałabym się strasznie niegrzecznie, gdybym teraz stąd wybiegła. Co więcej, Cassandre, twoje własne zachowanie pozostawia wiele do życzenia. Po pierwsze...

Cassander, zauważając rozbawienie króla Audry'ego, rozzłościł się.

- Dosyć, a w zasadzie aż nadto! Jeśli chodzi o maniery, to ty, a nie ja, będziesz spakowana i w ciągu godziny odesłana z powrotem do Haidionu.

- To niemożliwe! - zawołała Madouc. - Król Audry nalegał, abym przysłuchiwała się obradom, co ma służyć mej edukacji. Nie śmiałabym mu się sprzeciwić!

- Oczywiście, że nie - powiedział król Audry łagodnym głosem. - Księżę, proszę, odrobinę więcej spokoju i radości! Świat się nie skończy z tego powodu, że księżniczka Madouc ma wesołą naturę! Niech się nacieszy naszym towarzystwem bez narażania się na nagany.

Cassander skłonił się z chłodną uprzejmością.

- Będzie tak, jak sobie tego życzy Wasza Królewska Mość.

Cassander i sir Camrols odwrócili się i poszli w stronę kredensu.

Minęła godzina. Pojawił się sir Trambor, pierwszy szambelan na Falu Ffail, i powiedział coś cicho do króla Audry'ego, który westchnął i wstał.

- Prawdę mówiąc, wolę Salon Poranny od Hallu Bohaterów, a ten kredens od Cairbra an Meadhan.

- Dlaczego obrady nie mogłyby się odbyć tutaj zamiast tam? - zasugerowała Madouc. - Jeśli kogoś znudziłyby przemówienia, mógłby się posilić przepiórką lub czymś innym.

- Pomysł nie jest taki zupełnie zły - przyznał król Audry. - Jednakże nie możemy zmieniać tego, co zostało już ustalone, gdyż doprowadzilibyśmy do wielkiego zamieszania. Księżę Dhrunie, idziesz?

- Jestem gotowy, Wasza Królewska Mość.

W korytarzu Dhrun zaczął na Madouc.

- Stałem się bardzo ważną osobą, przynajmniej dopóki nie przybędzie mój ojciec. Mogę zostać wezwany do wygłoszenia paru zdań. Oczywiście nikt nie będzie tego słuchał, co mi zresztą odpowiada, gdyż nie mam nic do powiedzenia.

- To proste. Musisz wszystkim życzyć długiego panowania i wyrazić nadzieję, że Goci zaczną najeżdżać inne ziemie.

- To powinno wystarczyć. Jest również możliwe, że mój ojciec przybędzie,

zanim będę musiał przemówić, a wtedy z ulgą ustąpię mu miejsca przy stole.

Madouc zatrzymała się nagle.

Dhrun spojrział na nią zdziwiony.

- Co cię teraz niepokoi?

- Zeszłej nocy, jak mi mówiłeś, siedziałeś przy Okrągłym Stole.

- Tak.

- Ale według wszelkiego prawdopodobieństwa nie siedziałeś na tym, co dzisiaj będzie twoim „prawowitym miejscem”! Przepowiednia jeszcze nie została spełniona. Dopilnuję, aby król Casmir był tego świadomy!

Dhrun pomyślał przez chwilę.

- To nie robi żadnej różnicy, skoro teraz i tak mam usiąść na tym „prawowitym miejscu”.

- Nie wolno ci tego robić! Od tego zależy twoje życie!

- Nie mogę odmówić, to wielki honor! - odparł głucho Dhrun.

Król Audry spojrział przez ramię.

- Chodźcie już! To nie czas na tajemnice! Obrady zaraz się zaczną!

- Tak, Wasza Królewska Mość - powiedział Dhrun.

Madouc milczała.

Weszli do Hallu Bohaterów oświetlonego teraz żelaznymi żyrandolami zawieszonymi na żelaznych łańcuchach nad Okrągłym Stołem. Na każdym miejscu leżała srebrna płytką, zakrywająca osadzoną w drewnie starożytną płytkę z brązu.

W Hallu Bohaterów stali królowie i królowe wysp Elder, wielka liczba książąt i księżniczek oraz arystokratów. Król Audry wszedł na niskie podium, na którym stał tron Evandig. Zwrócił się do zebranych:

- W końcu zgromadziliśmy się tutaj w całej sile, wszyscy władcy na wyspach Elder! Przybyliśmy tu prawdopodobnie z wielu powodów, lecz przede wszystkim, aby przedstawić swe najgłębsze pragnienia i nadzieje oraz podzielić się z innymi owocami swego doświadczenia. To doprawdy szczególna chwila, która będzie długo wspomniana przez historyków! Zastanówcie się wszyscy! Wiele lat minęło od czasu, kiedy na naszych ziemiach odbywały się takie zjazdy! Reprezentowane jest każde królestwo, może poza Skaghane, którego mieszkańcy nadal są niechętni jakiegokolwiek zbliżeniu. Chciałbym również oznajmić, że nie ma jeszcze z nami króla Aillasa, ale w

imieniu Troicinetu będzie mówił książę Dhrun, dopóki nic przybędzie jego ojciec i nie uwolni go od tego obowiązku.

Jeśli chodzi o nasze obrady i ich szczytne cele, musimy pamiętać, że była to inicjatywa króla Casmira! To on przedstawił mi ten pomysł, podkreślając potrzebę szerokiego i swobodnego kontaktu pomiędzy władcami różnych królestw. Zgadzam się z nim pod każdym względem. Nadszedł czas na szczerą dyskusję, byśmy mogli bez wahania wskazać dzielące nas różnice i poczynić, jeśli to będzie możliwe, kompromisy i ustępstwa, których wymaga uczciwość i sprawiedliwość.

Powiedziawszy tak wiele, mając jeszcze więcej do powiedzenia, zasiadł przy Cairbra an Meadhan. Heroldowie odprowadzą każdego na jego miejsce, które oznaczone jest srebrną płytką z wrytym imieniem. Pozostałe osoby zasiadą na kanapach roztawionych pod ścianami.

Król Audry zszedł z podwyższenia i podszedł do Okrągłego Stołu, a za nim pozostali monarchowie oraz ich doradcy. Heroldowie w szarozielonych liberjach odprowadzali dygnitarzy na miejsca oznaczone srebrnymi płytkami. Jeden z heroldów podszedł, aby eskortować Dhruna, ale nie mógł znaleźć właściwej srebrnej płytki. Okrążył stół odczytując imiona, ale nie znalazł właściwego.

Jednej srebrnej płytki brakowało, w stole widniała jedynie starożytna płytka z brązu. Herold zatrzymał się przy tym miejscu, gdyż nikt tam nie usiadł, przeczytał napis, pochylił się z niedowierzaniem i przeczytał raz jeszcze. Podszedł, aby wezwać króla Audry'ego i pokazać mu to, co odkrył.

Król Audry czytał i czytał, aż uwaga wszystkich zebranych w komnacie skupiła się wyłącznie na nim. Powoli się wyprostował i przemówił donośnym głosem:

- Panie i panowie, Cairbra an Meadhan to magiczny stół, a jego magia się ujawniła. Srebrna płytka, która znajdowała się na tym miejscu, zniknęła. Na płytce z brązu, która od stuleci znaczyła to miejsce, widnieje napis: OTO JEST MIEJSCE DHRUNA, GDZIE O WŁAŚCIWYM CZASIE ZASIĄDZIE.

W komnacie zapadła cisza.

- Nie potrafię się domyślić znaczenia tych czarów - odezwał się ponownie Audry. - Jedno jest jasne. Stół sam rozpoznał księcia Dhruna i wskazał dla niego właściwe miejsce! Dhrunie, możesz usiąść.

Dhrun podszedł, stawiając kolejne kroki z coraz większym oporem. Tuż za krzesłem zatrzymał się i spojrzął na króla Audry'ego.

- Sire, wolałbym tu dzisiaj nie siadać - odezwał się doń. - Jeśli wolno, to będę stał.

- Musisz usiąść! - powiedział z przejęciem król Audry. - Wszyscy czekamy, abyś zajął należne ci miejsce.

- Sire, nie jestem przygotowany, aby dołączyć w tej chwili do waszego szacownego towarzystwa. Powinienem raczej stać w oczekiwaniu na przybycie mojego ojca.

Król Casmir przemówił siląc się na spokój, choć w jego głosie dało się zauważyć niecierpliwość.

- Nie traćmy więcej czasu! Usiądź, książę Dhrunie! Tego od ciebie oczekujemy!

- Otóż to - potwierdził król Audry. - Nie zamierzamy rozprawiać wpatrując się w puste miejsce. Musisz usiąść.

Madouc nie mogła się dłużej powstrzymać.

- Dhrunie, nie siadaj! - zawołała. - Ja usiądę dzisiaj w twoim imieniu, będę twoim przedstawicielem! - Podbiegła i wślizgnęła się na miejsce przeznaczone dla Dhruna.

Dhrun stał tuż za krzesłem. Powiedział do króla Audry'ego:

- Wasza Królewska Mość, zgadzam się na to rozwiązanie. Dzisiaj księżniczka Madouc będzie zasiadała na moim miejscu jako mój przedstawiciel, a jeśli to konieczne, również przemówi w moim imieniu. W ten sposób uczynimy zadość formalnościom i obrady będą mogły się rozpocząć.

Król Audry stał oszołomiony.

- To bardzo dziwne zachowanie! Nie mogę zrozumieć, o co tu chodzi.

- To absurd! - ryknął król Casmir. - Madouc, chodź tu natychmiast, i to szybko, albo będziesz miała okazję poznać pełnię mojego niezadowolenia!

- Nie, Wasza Królewska Mość. Będę siedzieć tutaj. To nie jest właściwy dzień, aby Dhrun zajął miejsce przy Cairbra an Meadhan.

Król Casmir z zimną furią zwrócił się do króla Audry'ego:

- Wasza Królewska Mość, proszę byś sprowadził strażnika i usunął tą głupiutką dziewczynę z krzesła, aby książę Dhrun mógł zająć należne mu miejsce! To narusza powagę obrad!

- Madouc, czy to jeden z twoich słynnych kaprysów? - zapytał zakłopotany Audry.

- Wasza Królewska Mość, zapewniam cię, że jest zupełnie przeciwnie! Siedzę tu tylko dlatego, aby książe Dhrun nie musiał zajmować dzisiaj tego miejsca!

- Ależ Madouc! Przyjrzyj się temu napisowi! Głosi on, że jest to miejsce Dhruna!

- We właściwym czasie, ale nie dzisiaj!

Król Audry rozłożył ramiona w geście poddania.

- Nie widzę nic złego w tej sytuacji. Księżniczka będzie zajmowała to miejsce w imieniu Dhruna.

Król Casmir odezwał się ponownie:

- Madouc, raz jeszcze rozkazuję ci opuścić miejsce księcia Dhruna, aby mógł na nim usiąść.

Król Audry rozejrzał się dookoła. Niektóre twarze wyrażały niezadowolenie, inne były rozbawione, inne zdawały się zupełnie nie przejmować. Zwrócił się do króla Casmira:

- Wasza Królewska Mość, skłaniam się ku opinii, iż nic złego nie stanie się z tego powodu, że księżniczka Madouc będzie siedziała tam, gdzie sobie tego życzy.

- Za twoim pozwoleniem, sire, poradzę sobie z tym sam - odparł Casmir. - Cassandrze, bądź tak dobry i odprowadź księżniczkę do jej komnat. Jeśli to konieczne, poproś o pomoc sir Camrolsa.

Pustym wzrokiem Madouc obserwowała jak zbliżają się do niej Cassander i sztywny sir Camrols z Corton Banwald. Uczyniła niemal niezauważalny gest i cicho syknęła. Sir Camrols wyskoczył w powietrze, gdzie zawisnął na moment rozpaczliwie wymachując nogami, po czym opadł na ręce i kolana. Nawet nie próbując zmienić tej pozycji, ze zdumieniem i przerażeniem wpatrzył się w Madouc. Księżniczka spojrzała na Cassandra i syknęła jeszcze raz, równie delikatnie jak poprzednio. Cassander wykonał dziwny podwójny skok, jakby w dwóch kierunkach jednocześnie, po czym upadł i przeturlał się parę razy.

- Książe Cassander i sir Camrols woleli zabawić nas swymi wyczynami gimnastycznymi, niż molestować księżniczkę - skomentował to Dhrun! - Popieram właściwy wybór, i na tym też powinniśmy zakończyć tę sprawę.

- Ja również jestem tego zdania - powiedział król Audry. - Księżniczka najwyraźniej ma słuszny powód do swego obecnego kaprysu. Być może ostatecznie wszyscy go poznamy. Czy mam rację, księżniczko?

- To z pewnością możliwe, Wasza Królewska Mość.

- To jest farsa! zawołał Casmir. Zasiadają tu do obrad władcy wielkich królestw, a ta nieposłuszna trzpiotka skupia na sobie całą naszą uwagę!

- Zatem zajmijmy się czym innym - zauważył rozsądnie Dhrun. - Po prostu zacznijmy już obrady.

Król Casmir uderzył pięścią w stół.

- Czuję się obrażony i rozgniewany! Nie będę brał udziału w tym spotkaniu, dopóki książę Dhrun nie zajmie swego miejsca.

Madouc uznała, że powinna się wtrącić.

- Widzę, że muszę wyjaśnić powody mego zachowania i przyczyny wściekłości króla Casmira - odezwała się czystym, dźwięcznym głosem. - Być może będzie lepiej, gdy wszyscy się o tym dowiedzą. Posłuchajcie więc, a przekażę wam to, co usłyszałam od mojej matki.

Dawno temu król Casmir usłyszał przepowiednię magicznego zwierciadła Persiliana. Powiedziało mu ono, że syn księżniczki Suldrun zasiądzie na prawowitym należnym mu miejscu przy stole Cirbra an Meadham i będzie władał z tronu Evandig, zanim umrze. Gdyby tak się stało, król Casmir nigdy nie mógłby zrealizować swych planów wielkich podbojów i władać całym wyspami Elder!

Król Casmir nigdy nie poznał imienia jedyne go syna Suldrun, przez co żył w ciągłym niepokoju. Całkiem niedawno kapłan Umphred wyjawił jednak królowi tajemnicę i zdradził, że synowi Suldrun na imię Dhrun. Od tego czasu król Casmir próbuje sprawić, aby słowa przepowiedni były tylko pustym dźwiękiem.

Z tego powodu doprowadził do zwołania tych obrad. Ani trochę nie zależy mu na przyjaźni i pokoju. Pragnął jedynie, by Dhrun wypełnił słowa przepowiedni, aby można go było zamordować.

Wczorajszego wieczora książę Cassander nakłonił Dhruna, aby usiadł na Evandigu i wypowiedział rozkaz. Dzisiaj Dhrun musiałby jedynie zająć swe miejsce przy Okrągłym Stole i przepowiednia zostałaby spełniona. Potem można by go spokojnie zamordować, być może nawet dzisiejszej nocy. Strzała zza węgła lub sztylet w ciemnościach, i Dhrun byłby martwy! Kto by to zrobił? Nie ośmieliłabym się nazwać ich złoczyńcami lub mordercami z obawy, aby ich nie skrzywdzić, ale nie są to ani rycerze, ani żołnierze.

Teraz wszyscy znają powód, dla którego nie pozwoliłam zająć Dhrunowi jego miejsca. Osądźcie sami, czy można to nazwać kaprysem, a potem rozpocznijmy obrady.

W Hallu Bohaterów zapadła głucha cisza. W końcu przerwał ją król Audry:

- Jesteśmy wszyscy zaszokowani i zbici z tropu twymi rewelacjami. Usłyszeliśmy najniezwykłe oskarżenie, w którym jednak niestety, po-brzmiewa ton szczerości. Zapewne król Casmir chce odpowiedzieć na to oskarżenie. Cóż wobec tego nam powiesz, Casmirze z Lyonesse?

- Powiem tylko, że ta podła lisica łże jak najęta! Po naszym powrocie do Lyonesse zostanie właściwie poinstruowana, czym jest cnota prawdomów-ności!

Madouc roześmiała się szyderczo.

- Czy sądzisz, że zwariowałam? Nie wracam do Lyonesse!

- Rzeczywiście sądzę, że oszalałaś - powiedział ważąc słowa Casmir. - Twoje opowieści to bajania lunatyka! Nie wiem nic o magicznym zwierciad-le zwanym Persilianem ani o żadnej przepowiedni!

- Łżesz, Casmirze! - Do Hallu Bohaterów wszedł powoli król Aillas. - Ja, własnymi rękami, zabrałem Persiliana z twojej sekretnej komnaty i za-kopałem pod drzewem cytrynowym w ogrodzie Suldrun. To, co obchodzi mnie w tej chwili, to ksiądz Umphred, który już wcześniej przyczynił się do trudnych do opisanego cierpień Suldrun. Pewnego dnia zostanie rozliczony ze swoich czynów.

Król Casmir siedział w milczeniu, zaczerwieniony po czubki uszu.

- Miałem nadzieję - powiedział król Audry - że te obrady tchną ducha przyjaźni w stosunki między królestwami na wyspach Elder, że być może stare żale zostaną wybaczone, abyśmy mogli zredukować nasze armie, a żołnierzy strzegących fortec wysłać do domów, aby uprawiali ziemię ku większemu dostatkowi nas wszystkich. Chyba byłem zbyt wielkim idealistą.

- Wcale nie - zaprzeczył król Aillas. - Szczerze przyznaję, że nie cierpię człowieka, jakim jest Casmir. Nigdy nie mógłbym wybaczyć mu jego okru-cięstwa. Muszę jednak układać się z królem Casmirem z Lyonesse, co uczynię zgodnie z etykietą i będę to czynił w przyszłości. Powtórzę to tutaj i teraz, ponieważ to, co mam do powiedzenia, jest proste i wszyscy powinni to zrozumieć. Nie pozwolimy, aby silne, agresywne państwo napadło na słabe i małe królestwo. Gdyby na przykład Dahaut wysłał swą armię prze-ciwno Lyonesse, natychmiast stanęlibyśmy po stronie Lyonesse. Jeśli to Lyonesse nierozsądnie zdecydowałoby się zaatakować Dahaut, nasze siły

natychmiast pomaszerowałyby przeciwko Lyonesse. Tak długo, jak panuje pokój, będziemy występować w jego obronie. Taka jest i będzie nasza polityka.

Król Kestrel z Pomperolu przyjął te zapewnienia dość sceptycznie.

- Wszystko pięknie i ładnie, a przecież najechałeś i zająłeś Północne i Południowe Ulflandy - zauważył.

- Ależ nie! Zgodnie z prawem rządzącym następstwem tronu Południowych Ulflandów jestem ich prawowitym królem. Natomiast korona Północnych Ulflandów została mi przekazana przez króla Gaxa na łożu śmierci, tak bym mógł przeciwstawić się Skalradom. Co też uczyniłem, a Ulflandy są obecnie wolne od starych wrogów.

Król Audry również miał wątpliwości.

- Zająłeś ziemie na zachodnim krańcu mego królestwa i odmawiasz ich oddania! - zawołał.

- Zdobyłem fortecę Poëlitetz przeganiając stamtąd Skalradów, czego ty nie potrafiłeś uczynić, a zajmuję ją obecnie, gdyż jest ona częścią naturalnej granicy pomiędzy naszymi królestwami. Poëlitetz pośrednio stoi też na straży Dahautu.

- Hmm - mruknął król Audry. - Nie będę się o to spierał, to dość trywialna sprawa. Przystąpmy zatem do obrad i niech każdy wyrazi swą opinię.

Wszyscy uczestnicy obrad zabrali kolejno głos, w większości wypowiadając ostrożnie sformułowane zapewnienia o przyjaźni. Gdy w końcu przysła kolej na Dhruna, nagle odezwała się Madouc:

- Ponieważ siedzę tu jako przedstawiciel księcia Dhruna, w jego imieniu przedstawię teraz politykę króla Aillasa. Mówiąc za siebie, ja, księżniczka Madouc z Lyonesse oświadczam, że...

- Madouc, zamilcz! - ryknął rozwścieczony król Casmir. - Od tej chwili nie jesteś już księżniczką, ani w Haidionie, ani gdziekolwiek indziej! Jesteś bezimiennym podrzutkiem jakiejś leśnej nimfy, włóczęgą spod krzaka, bez rodowodu czy znanych rodziców! Jako taka nie masz prawa zabierać głosu przy tym stole, gdzie przemawiać mogą jedynie członkowie wysokich rodów. Bądź cicho!

Król Audry odchrząknął.

- Uwaga sformułowana przez króla Casmira jest słuszna, choć może wyrażona w niezbyt powściągliwy sposób. Rozkazuję, aby panna Madouc na tym zebraniu nie zabierała głosu we własnym imieniu, bez względu na to,

jak zabawne byłyby jej uwagi.

- Dobrze, Wasza Królewska Mość! - zgodziła się Madouc. - Nic więcej nie powiem.

- Nie widzę sensu przedłużania tej dyskusji, z pewnością nie w warunkach, jakie zapanowały na tej sali - oświadczył ciężkim głosem Casmir.

- Usłyszeliśmy dziś najróżniejsze opinie i w gruncie rzeczy niewiele słów, z których moglibyśmy być zadowoleni - skonstatował ze smutkiem król Audry. - Ale być może te zadrażnienia mogą zostać ułagodzone, a różnice pomiędzy nami sprowadzone do minimum na następnych sesjach, może po południu, a może nawet jutro. Każdy z nas przedstawił pokrótce własne stanowisko i zdecydował się na ustępstwa, na które wszyscy wyraziliśmy zgodę mając na względzie nasze wspólne dobro.

- Ustępstwa? - rzucił urażony król Dartweg z Godelii. - Ja nie mam powodu, aby ustępować. Wręcz przeciwnie! Chcę, aby Audry wychłostał porządnie swych zarządców marchii! Nie mamy wielkich lasów w Godelii i kiedy nasi myśliwi wypuszczają się do Dahautu w pościgu za okazałym jeleniem, zostają ujęci przez przekłete dahauckie patrole! Należy położyć kres tym uciążliwym praktykom!

- To dość nierozsądne - powiedział król Audry zimnym głosem. - Mam znacznie gorsze zarzuty przeciwko tobie, a mówiąc krótko, to właśnie ty wspierasz rebeliantów z Wysrodu, którzy nie dają nam ani chwili wytchnienia.

- To dobrzy Celtowie - oświadczył król Dartweg. - Zaslugują na własny kraj, a zdecydowali się osiedlić na Wysrodzie. Każdy uczciwy człowiek powinien starać się im jakoś pomóc. Doprawdy wstyd, królu Audry, iż to właśnie ty się temu tak otwarcie sprzeciwiasz!

Król Audry zawrzał gniewem:

- Moja próba zebrania tu razem wszystkich mądrych ludzi na ucztę logiki i biesiadę rozsądku objawiła nam wiele naszych braków i uświadomiła obecność głupców w naszym szlachebnym gronie, choć zasady etykiety nie pozwalają mi wymienić ich imion. Straciłem nadzieję, cierpliwość i oświadczam niniejszym, że obrady zostają przerwane.

IV

Dygnitarze i ich damy, którzy zebrali się w Hallu Bohaterów, powoli opuszczali salę. Wychodzili przez Dziedziniec Martwych Bogów do sali przyjęć, gdzie po wielu spojrzeaniach na prawo i lewo zbierali się w niepewne grupki, aby ostrożnymi głosami porozmawiać o wydarzeniach poranka. Kiedy odzywały się panie, ich uwaga skupiała się raczej na Madouc. Jej zachowanie analizowano z najrozmaitszych punktów widzenia. Określenia takie jak: „odważna”, „uparta”, „demonstracyjna”, „próżna”, „szalona”, „niepohamowana” przewijały się wielokrotnie, uznano również, że Madouc jest „przedwcześnie dojrzała”. Co prawda nikt nie był w stanie dokładnie określić, dlaczego właśnie to sformułowanie do niej pasowało, wszyscy jednak taktownie zgadzali się, że ono właśnie pasowało najbardziej.

Jeśli chodzi o samą Madouc, to nie zaczepiana przez nikogo usiadła pod ścianą sali przyjęć w towarzystwie księcia Jaswyna. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, a Madouc zastanawiała się, co teraz z sobą zrobić.

Wkrótce książę Jaswyn zdobył się na parę słów i zadał ostrożnym głosem pytanie nawiązujące do tajemnicy jej narodzin.

- Czy twoja matka rzeczywiście była elfką?
- Tak, ma na imię Twisk Błękitnowłosa.
- Czy kochasz ją, a ona kocha ciebie?

Madouc wzruszyła ramionami.

- To słowo ma zupełnie inne znaczenie dla elfów niż dla ciebie lub dla mnie.

- Nigdy wcześniej tego nie zauważałem, nawet się nad tym nie zastanawiałem, ale teraz, kiedy na ciebie patrzę, twa elfia natura jest bardzo widoczna, tak samo jak pewna radosna beztroska, która również może być skutkiem tego, że wywodzisz się od elfów.

Uśmiechnęła się zadowolona i spojrzała w tę stronę komnaty, gdzie król Casmir rozmawiał z królem Dartwegiem z Godelii.

- Teraz mogłabym czuć cokolwiek, tylko nie beztroskę. Niewiele we mnie pozostało elfiej krwi. Za długo żyłam z dala od shee, pomiędzy ludźmi.

- A twój ojciec? Czy on także jest elfem?

- Ma na imię sir Pellinore. Tak przedstawił się mojej matce, ale oboje byli wtedy w nastroju do zabawy. Dowiedziałam się, że sir Pellinore to postać z

baśni, wędrowny rycerz, który zabija smoki, karze zdradliwych rycerzy i ratuje piękne panny z łapsk strasznych potworów. Gra również na lutni i śpiewa smutne ballady oraz mówi językiem kwiatów.

- I ten łobuz sir Pellinore uwiódł twoją matkę podając się za kogo innego!

- Nie - zaprzeczyła Madouc. - To nie było tak. To był prawdziwy romans, obojgu im się to podobało, a on nie podejrzewał, że pewnego dnia będę chciała go odnaleźć. - Rozglądając się po komnacie zauważyła, jak panna Kylas zbliża się w jej kierunku. - Czego oni teraz ode mnie chcą?

Książę Jaswyn roześmiał się.

- Jestem zdziwiony, że stać ich choćby na tyle, aby zauważać twoją obecność.

- Zapomną o mnie bardzo szybko - stwierdziła Madouc.

Kylas stanęła przed nią przyglądając się jej uważnie.

- Mówi się o tobie dziwne rzeczy - powiedziała po chwili.

- Nie obchodzi mnie to - odparła beznamiętnie Madouc. - Jeśli przyszłaś tylko po to, żeby mi o tym powiedzieć, to możesz odejść.

Kylas zignorowała tę uwagę.

- Przynoszę wiadomość od królowej. Rozkazuje ci ona przygotować się do odjazdu. Wkrótce odjeżdżamy. Masz natychmiast udać się do swoich komnat.

Madouc roześmiała się.

- Nie jestem już księżniczką z Lyonesse. Nie ma dla mnie miejsca na królewskim dworze.

- Mimo to, słyszałaś rozkaz królowej. Odprowadzę cię.

- Nie ma potrzeby. Nie wracam do Haidionu.

Kylas wpatrywała się w nią z rozdziawionymi ze zdumienia ustami.

- Tak ostentacyjnie i bezczelnie przeciwstawiasz się rozkazom królowej?

- Nazywaj to jak chcesz.

Kylas odwróciła się i odeszła. Chwilę później Madouc zobaczyła, jak królowa Sollace ciężkim krokiem podchodzi do króla Casmira, który wciąż rozmawiał z królem Dartwegiem. Powiedziała coś do niego wymachując białymi dłońmi w kierunku Madouc. Król Casmir rzucił przez komnatę tylko jedno spojrzenie. Siła jego wzroku spowodowała, że poczuła nerwowy ucisk na żołądku. Casmir powiedział parę ostrych słów do królowej Sollace,

po czym podjął przerwana rozmowę z królem Dartwegiem.

Ktoś stanął obok niej. Spojrzała do góry i zobaczyła Dhruna. Ukłonił się przed nią zgodnie z dworską etykietą.

- Jeśli księżę Jaswyn pozwoli, chciałbym zaprosić cię na krótki spacer po ogrodach.

Madouc spojrzała na księcia Jaswyna, który grzecznie wstał.

- Oczywiście! Nasze ogrody są słynne! Będziecie tam mogli odetchnąć po tym całym zamieszaniu dzisiejszego poranka!

- Dziękuję, Jaswynie, za twoją uprzejmość - powiedział Dhrun.

Jaswyn odszedł. Dhrun i Madouc wyszli do ogrodów otaczających Falu Ffail poczęli się przechadzać pomiędzy fontannami, posągami, kwietnikami, sadzawkami i rozległymi zielonymi trawnikami.

- Widziałem, jak rozmawiała z tobą panna Kylas - odezwał się Dhrun. - O co jej chodziło?

- Przekazała mi rozkaz królowej! Nakazano mi udać się do moich komnat, abym przygotowała się przed podróżą do Haidionu.

Dhrun roześmiał się z niedowierzaniem.

- A co ty na to powiedziałaś?

- Powiedziałam oczywiście: „Nie!” Kylas była strasznie zdziwiona i odeszła zaszokowana. Parę chwil później widziałam, jak królowa Sollace skarży się królowi. On spojrzał na mnie i bardzo mnie to przeraziło.

Dhrun złapał ją za rękę.

- Pojedziesz do Troicinetu. Czy zgadzasz się ze mną?

- Tak. Przede wszystkim dlatego, że i tak nie mam dokąd pójść. Wątpię, abym kiedykolwiek znalazła mojego ojca, co może zresztą nie jest takie najgorsze.

Dhrun podprowadził ją do ławki. Kiedy usiedli, zapytał:

- Dlaczego tak mówisz?

- Prawdę mówiąc, boję się tego, co mogłabym znaleźć. Kiedy sir Pellinore spotkał moją matkę, był beztroskim młodzieńcem, pełnym wzniosłych zamiarów. Teraz wszystko się zmieniło. Lata mijają. Może stał się ponury i srogi albo się gdzieś osiedlił, albo poślubił kobietę o srogim usposobieniu, która urodziła mu parę niemiłych dzieciaków. Żadne z nich nie polubiłoby mnie, nie przyjęto by mnie z otwartymi ramionami do takiej rodziny.

- Jeśli odszukasz tego nieszczęsnego mężczyznę, mądrze byłoby nie

mówić tak od razu, kim jesteś, i zachować dużą ostrożność.

- Nawet wtedy w końcu byłabym zmuszona wyjawić, kim jestem. Bez wątplenia on nalegałby, abym chcąc nie chcąc przyłączyła się do jego rodziny, a ja mogłabym nie mieć na to zbyt wielkiej ochoty.

- Może nie byłoby tak źle, jak przypuszczasz.

- Może nie. Ku mej rozpaczy, mogłoby jednak być jeszcze gorzej! Nie przepadam za ludźmi, którzy są ponurzy i śmiertelnie poważni. Wolę takich, którzy lubią się bawić i potrafią mnie rozśmieszyć.

- Hmm. - mruknął Dhrun. - Ja chyba bym się nie nadawał, podobnie jak nieszczęsny sir Pellinore ze swoją jędzowatą żoną i brudnymi dziećmi. Rzadko widuję, abyś się śmiała.

- Teraz się śmieję! Czasami śmieję się cichutko, kiedy na mnie nie patrzysz, a nawet wtedy, kiedy myślę o tobie.

Dhrun spojrział jej głęboko w oczy.

- Żal mi tego biedaka, którego zdecydujesz się poślubić. W krótkim czasie stanie się kłębkim nerwów.

- Wcale nie - obojętnym tonem oświadczyła Madouc. - Podjęłabym się go przeszkolić, a powinno to być dosyć proste, jeśli opanowałby parę prostych zasad. Dostawałby regularnie jeść, a ja siadałabym obok niego, jeśli zachowywałby się nienagannie. Nie wolno byłoby mu chrapać ani wycierać nosa w rękaw, ani śpiewać głośno nad garncem piwa, ani trzymać psów w domu. Aby zdobyć mą przychylność nauczyłyby się klękać ładnie przede mną i podawać mi czerwoną różę, a może bukiet fiołków. Wtedy najłagodniejszym z głosów mógłby mnie błagać o dotyk moich palców.

- A wtedy?

- Wiele zależy od okoliczności.

- Hm. - Małżonek twoich marzeń, tak jak ty go opisujesz, wydaje się nazbyt idealistyczny i nieco mdły.

- Wcale nie ma być taki.

- Z pewnością będzie wiódł interesujące życie.

- Spodziewam się. Oczywiście, nie przemyślałam jeszcze tego poważnie. Wybrałam jedynie kandydata, którego chciałam poślubić, kiedy nadejdzie na to czas.

- Ja również wiem, kogo poślubię - powiedział Dhrun. - Ona ma błękitne oczy, w kolorze pogodnego nieba i głębi oceanu, oraz rude loki.

- Te loki są bardziej miedzianozłote, czyż nie?
- Właśnie tak, a chociaż jest jeszcze dość młoda, z każdą minutą pięknieje coraz bardziej i nie wiem, jak długo jeszcze będę w stanie przeciwstawić się dręczącym mnie pokusom.

Madouc spojrzała na niego.

- Chciałbyś mnie teraz pocałować, tak dla wprawy?
- Oczywiście. - Dhrun pocałował ją i przez chwilę siedzieli blisko siebie, Madouc z głową na jego ramieniu. - Czy wciąż jeszcze obawiasz się Casmira? - zapytał Dhrun.

Dziewczyna westchnęła.

- Tak! Bardzo się go obawiam. Tylko na chwilę o tym zapomniałam.
Dhrun wstał.
- On ci nie może nic zrobić, dopóki nie podporządkujesz się jego rozkazom.

- Nie będę go słuchać, to byłaby głupota.
- Te obrady do niczego już nie doprowadzą, a mój ojciec nie chce sprawić królowi Audry'emu kłopotów dłuższym pobytem. Chce wyjechać najszybciej, jak to możliwe, prawdopodobnie w przeciągu najbliższej godziny, aby zdążyć wraz z odpływem.

- Potrzebuję tylko paru minut, aby przebrać się z tej ślicznej sukienki i zabrać parę rzeczy.

- Chodź, odprowadzę cię do komnaty.

Dhrun odeskortował Madouc do wschodniego skrzydła pod jej drzwi.

- Wróć za kilka minut. Pamiętaj, nie wpuszczaj nikogo poza twoją służącą.

Dziesięć minut później, kiedy Dhrun wrócił do komnaty Madouc, służąca doniosła mu, że dziewczyna wyszła zaledwie parę minut wcześniej w towarzystwie trzech zbrojnych w kolorach Lyonesse.

- Powiedziałem jej, aby nie wpuszczała nikogo! - ryknął Dhrun.

- Zrobiła tak, jak jej kazałeś, ale oni weszli do komnaty przez salon! Panna Kylas otworzyła im drzwi.

Dhrun pobiegł do komnaty przyjąć. Króla Casmira już tam nie było, nie było również Audry'ego oraz Aillasa.

Dhrun zaczął wypytывать innych gości i w końcu znalazł Aillasa w małej komnacie tuż obok sali przyjąć, pogrążonego w rozmowie z Audrym.

Dhrun wpadł cały rozgorączkowany.

- Casmir zabrał Madouc siłą! Miała jechać z nami, ale teraz już jej nie ma!

Aillas zerwał się na równe nogi z twarzą ściągniętą gniewem.

- Casmir wyszedł jakieś pięć minut temu! Musimy ich złapać, zanim przeprawią się przez rzekę! Audry, proszę dostarcz mi natychmiast osiem szybkich koni!

- Będiesz je miał najszybciej, jak to możliwe!

Aillas wysłał posłańców do towarzyszących mu rycerzy i nakazał im natychmiast stawić się w pałacu.

Sprowadzono konie ze stajni. Aillas, Dhrun i sześciu troicyjskich rycerzy dosiadło wierzchowców, zawróciło i pogalopowało na południe drogą prowadzącą na przystań promu. Daleko przed sobą dostrzegli oddział lyonniski, gnający ile tchu w koniach.

Dhrun zawołał przez ramię do Aillasa:

- Nigdy ich nie dogonimy! Wsiądą na prom i uciekną nam!

- Z ilu ludzi składa się ten oddział?

- Nie widzę, są za daleko.

- Wygląda to tak, jakby ich było tylu, co nas. Casmir nie zdecyduje się na walkę.

- Dlaczego miałby walczyć, skoro może uciec promem?

- To prawda.

Dhrun krzyknął rozwścieczony:

- On będzie ją torturował i zemści się na niej w najbardziej okrutny sposób!

Aillas skinął głową, ale nic nie powiedział.

Daleko z przodu oddział Casmira wjechał na wał nadbrzeżny, minął go i zniknął im z oczu.

Pięć minut później Troicyjczycy wjechali na szczyt wału, skąd mieli widok na rzekę. Gruba, konopna lina okrętowa prowadziła od pobliskiego głazu na ukos przez rzekę do podobnego głazu przy Cogstone Head. Prom, połączony z liną toczącym się po niej krążkiem, poruszał się dzięki ukośnemu położeniu liny względem nurtu rzeki. Podczas odpływu, prom spychany był na południe. Kiedy następował przyływ, rzeka niosła go na północ. Pół mili na zachód przeciągnięto przez rzekę drugą linę, tak że przy każdym przyplywie i odpływie promy przeprawiły się w przeciwnych kierunkach.

Prom, na który wsiedli Casmir i jego ludzie, właśnie odbijał od brzegu. Jeźdźcy zsiadli z koni i wiazali je do barierki. Smukła, nieruchoma postać zawinięta w brązowy płaszcz, niewątpliwie Madouc, miała czymś białym zakneblowane usta.

Dhrun wpatrywał się w prom bez nadziei. Casmir obejrzał się za siebie; jego twarz była nie wyrażającą niczego białą maską.

- Uciekli - rzekł Dhrun. - Zanim uda się nam przedostać przez rzekę, oni dawno będą na drugim krańcu Pomperolu.

- Za mną! - krzyknął Aillas, poruszony nagłym pomysłem. - Jeszcze nam nie uciekli!

Swobodnym kłusem podjechał wzdłuż skarpy do głazu, do którego była przytwierdzona lina. Zeskoczył na ziemię i dobywszy miecza ciął naprężoną linę. Po paru energicznych ruchach lina została nadcięta do połowy. Mężczyzna obsługujący prom wybiegł ze swojej chatki i krzyknął przeraźliwie, ale Aillas nie zwracał na jego protesty najmniejszej uwagi. Dalej z zacięciem wymachiwał mieczem, aż w końcu lina puściła i smagnęła niczym bicz, po czym powoli osunęła się po skarpie do wody. Prom zaczął dryfować w kierunku otwartego morza. Lina wysuwała się szybko spod krążka prowadniczego, aż w końcu uwolniła prom.

Dryfował on cicho na fali. Casmir i jego ludzie stali ze zwieszonymi ramionami i wpatrywali się ponuro w stronę brzegu.

- Jedźmy - powiedział Aillas. - Odpływamy na *Flor Velas*, oczekują tam na nasze przybycie.

Zjechali po skarpie do przystani, gdzie cumował piękny okręt *Flor Velas*, galeas długi na osiemdziesiąt stóp, o jednym żaglu kwadratowym, dwóch łacińskich i pięćdziesięciu wiosłach.

Aillas i jego ludzie zsiadli z koni, zostawili je pod opieką dowódcy przystani i weszli na pokład. Aillas wydał rozkaz natychmiastowego wypłynięcia.

Odwiązano liny cumownicze, żagle zafurkotały łapiąc sprzyjający północny wiatr i okręt wpłynął w szerokie ujście rzeki.

Pół godziny później *Flor Velas* podpłynęła do promu i zarzucono haki. Aillas stał wraz z Dhrunem na przednim pokładzie. Obaj, zupełnie opanowani, przyglądali się ponurej minie Casmira. Cassander zasalutował Dhrunowi i Aillasowi udając bez troskę, ale żaden z nich nie odpowiedział, więc Cassander pośpiesznie odwrócił się do nich plecami.

Z niższego pokładu galeonu zrzucano na prom drabinkę linową. Zeszło po niej czterech zbrojnych. Ignorując wszystkich obecnych podeszli do Madouc, zdjęli bandażę kneblującą jej usta i podprowadzili ją do drabinki.

Dhrun zszedł na dół i pomógł jej dostać się na pokład.

Zbrojni wrócili na *Flor Velas*. Casmir, stojąc z boku na ciężko rozstawionych nogach, patrzył na nich z kamienną twarzą.

Nie wypowiedziano ani słowa - ani na pokładzie statku, ani na promie. Przez chwilę Aillas przyglądał się oddziałowi Casmira. Powiedział do Dhru-na:

- Gdybym był naprawdę mądrym królem, zabiłbym teraz Casmira i może również Cassandra, aby położyć kres ich dynastii. Popatrz na Casmira. On się tego niemal spodziewa! Nikt by go nie żałował! On sam, gdyby mógł, zabiłby nas dwóch i wielce by się z tego radował! - Aillas potrząsnął głową. - Nie mogę tego zrobić. Może kiedyś będę żałował własnej słabości, ale nie potrafię mordować z zimną krwią.

Dał znak. Popuszczono liny trzymające haki i podciągnięto je do góry, a okręt powoli zaczął się oddalać od promu. Wiatr wyduł żagle, spieniła się woda za rufą i galeas przepłynął przez ujście rzeki Camber w kierunku otwartego morza.

Z dahauckiego brzegu odbiły dwie długie łodzie, każda z tuzinem wiosłarzy na pokładzie, i ruszyły w pościg za promem. Wzięły go na hol i z pomocą przyływu dociągnęły go z powrotem do przystani.

Rozdział 11

I

Po powrocie na zamek Haidion król Casmir przebywał w zupełnej samotności. Nie wywiązywał się z żadnych obowiązków władcy, nie przyjmował gości, nie udzielał audiencji. Przez większość czasu przebywał w swych prywatnych komnatach, które powolnym krokiem przemierzał wzdłuż i wszerz, przystając od czasu do czasu, aby wyjrzeć przez okno na miasto i szaroniebieski Lir w oddali. Królowa Sollace jadła z nim posiłki każdego wieczora, ale Casmir mówił niewiele, tak że najczęściej oboje siedzieli pograżeni w zupełnym milczeniu.

Po czterech dniach rozmyślań król Casmir wezwał sir Baltasara, zaufanego doradcę i emisariusza. Udzielił mu dokładnych instrukcji i wysłał go w tajnej misji do Godelii.

Po wyjeździe sir Baltasara Casmir podjął na nowo zarzucone królewskie obowiązki. Wszystko było jak przedtem, tylko nastrój króla zupełnie się zmienił. Casmir stał się oschły, wydawał rozkazy ostrym głosem, sądził surowo i ci, którzy sprawiali mu jakieś kłopoty lub byli zdani na jego wyrok, teraz znacznie bardziej niż kiedykolwiek mieli czego żałować.

Po pewnym czasie sir Baltasar wrócił, zakurzony i zmęczony po długiej jeździe. Natychmiast stawił się przed królem Casmirem.

- Dotarłem do Dun Cruighre bez problemu - relacjonował. - Temu miastu brakuje jakiegokolwiek wdzięku. Powinieneś się zastanowić sire, czy z zamku królewskiego nie należałoby zrobić stajni dla twoich koni.

Król Dartweg nie przyjął mnie od razu. Początkowo myślałem, że to z powodu jego celtyckiej złośliwości, ale później dowiedziałem się, że zabawił paru dostojników z Irlandii i wszyscy byli pijani. W końcu zgodził się mnie wysłuchać, ale nawet wtedy musiałem stać pod ścianą, podczas gdy on rozsądzał spór o cielną krowę. Kłótnie ciągnęły się przez godzinę i dwa razy zostały przerwane walkami psów. Próbowałem zrozumieć, o co chodzi w

tym procesie, ale to przekraczało moje możliwości. Krowa została pokryta przez doskonałego byka bez pozwolenia i żadnej opłaty, a to z powodu dziury w ogrodzeniu. Właściciel krowy nie tylko odmówił zapłacenia należnej za pokrycie stawki, ale żądał wynagrodzenia za podstępne wykorzystanie jego krowy przez romansowego byka. Król Dartweg ogryzał jakąś kość i pił wino z rogu. Rozsądził sprawę w sposób dla mnie zaskakujący, ale wyrok musiał być sprawiedliwy, ponieważ żadna strona nie była zadowolona.

W końcu przedstawiono mnie królowi, który był nieco pijany. Zapytał, co mnie do niego sprowadza. Powiedziałem, że życzyłbym sobie rozmawiać z nim na osobności, abym mógł przekazać mu poufną wiadomość od Wąskiej Królewskiej Mości. Pomachał kością, którą ogryzał, i stwierdził, że nie rozumie, po co miałyby się tak wygłupiać. Kazał mi mówić otwarcie i odważnie, jak dobry Celt. Oświadczył, że ukrywanie się i wstydlivość na nic się nie zdadzą i że poufność jest zupełnie niepotrzebna, skoro i tak wszyscy wiedzą równie dobrze jak ja sam, po co przybyłem. Stwierdził, że mógłby udzielić mi odpowiedzi nawet nie zapytując, czego od niego chcę. Czy to by mi odpowiadało? Uważał tak, ponieważ skróciłoby to nasze rozmowy do minimum, pozostawiając mu więcej czasu na picie z rogu.

Staralem się zachować godność na tyle, na ile to było możliwe w takich okolicznościach, i oświadczyłem, że protokół zmusza mnie do proszenia o prywatną audiencję. On podał mi róg pełen miodu i kazał mi go wypić jednym haustem, co udało mi się osiągnąć. Dzięki temu zyskałem sobie jego przychyłność, co pozwoliło mi wyszeptać mu wiadomość prosto do ucha.

Rozmawiałem z królem Dartwegiem trzykrotnie. Za każdym razem kazał mi poić mocnym miodem, najwyraźniej mając nadzieję, że stracę nad sobą panowanie i zacznę tańczyć lub zdradzę mu jakieś tajemnice. Nie muszę mówić, że próby te się nie powiodły i pod koniec zaczął on uważać, że czy to pijany, czy trzeźwy, jestem nudnym kompanem, i stał się dla mnie oschły. Podczas naszego ostatniego spotkania jednym tchem wyrzucił z siebie zasady własnej polityki. Mówiąc krótko, pragnie on owoców zwycięstwa bez podejmowania żadnego ryzyka. Przyłączy się do nas chętnie, jeśli udowodnimy, że mamy przewagę nad naszymi wrogami.

- To z pewnością ostrożna polityka - powiedział Casmir. - Ma wszystko do zyskania i nic do stracenia.

- Właśnie to mi wyznał i dodał, że najważniejsze jest dla niego jego zdrowie, a jedynie tego rodzaju postępowanie pozwoliłoby mu dobrze wysypiać się po nocach.

Powiedziałem mu o potrzebie podjęcia określonych działań. Pomachał jedynie ręką i stwierdził, że nie musisz się o to martwić, sire. Oświadczył, że będzie dokładnie wiedział, kiedy nadejdzie odpowiedni czas, a wtedy znajdzie się pod ręką z całymi swoimi siłami.

Król Casmir mruknął.

- Słuchamy głosu oportunistycznego nędznika! Co dalej?

- Z Dun Cruighre udałem się do Skaghane, gdzie napotkałem na liczne przeszkody i nic nie zyskałem. Skalradzi nie tylko są nieprzenikliwi i ogólnikowi podczas rozmowy, ale również powściągliwi w gestach. Nie pragną żadnych przymierzy i nie darzą sympatią nikogo poza sobą. Ja przedstawiałem problem, oni pięknymi słówkami spychali go na pobocze, nie odpowiadając ani „tak”, ani „nie”, jakbym prawił same nonsensy. Ze Skaghane nie przynoszę żadnych wiadomości.

Casmir wstał i zaczął przechadzać się w tę i z powrotem. Odezwał się bardziej do siebie niż do sir Baltasara:

- Możemy polegać jedynie na sobie. Dartweg i jego Celtowie w końcu nam się przysłużą, z samej chciwości. Pomperol i Blaloc nie uczynią nic, sparaliżowane przez strach. Miałem nadzieję na zamieszenie, nawet na rebelię Ulflandczyków, ale oni tylko czają się jak ściągane zwierzęta na tych swoich wrzosowiskach. Torqual, pomimo wielkich nakładów finansowych, nie zrobił nic. On i ta jego wiedźma są uciekinierami. Włóczą się nocami po wrzosowiskach, chowają się w dzień. Chłopi biorą ich za upiory. Prędzej czy później zostaną pojmani i skończą jak wściekłe psy. Nikt nie będzie po nich płakał.

II

Shimrod siedział ospały w cieniu rozłożystego drzewa. O tej porze roku jego ogród wyglądał najwspanialej. Kwitnące na różowo ostrokrzewy stały przed jego domem szeregiem jak nieśmiałe panny. W przypadkowych kępach kwitły niebieskie ostróżki, stokrotki, nagietki, werbena i wiele innych kwiatów. W powietrzu unosiła się ich woń i brzęczenie owadów.

Shimrod siedział z na pół przymkniętymi oczami, pozwalając myślom swobodnie przyplwać i odplwać. Oczyma wyobraźni wędrował przez

nieznane krajobrazy, pozwalała sobie na wygłupy i zabawy. Doszedł do ciekawego wniosku: jeśli zapachy mogły być reprezentowane przez kolory, wtedy zapach trawy byłby niczym innym jak czystą zielenią. W ten sam sposób woń róży musiałaby niewątpliwie być przedstawiona przez głęboką, aksamitną czerwień, a zapach heliotropu byłby radującym oko purpurowym fioletem.

Wymyślił kilkanaście innych porównań i był zdziwiony, jak często i jak dokładnie kolory, które tworzył sztucznie, pasowały do naturalnego koloru przedmiotu, z którego pochodził zapach. Jakaż niezwykła zgodność! Czy można by ją przypisać czystemu przypadkowi? Nawet niezbyt szczególny zapach stokrotki wydawał się perfekcyjnie harmonizować z bielą, tak świeżą i czystą jak sam kwiat!

Uśmiechał się, rozważając czy mogą istnieć podobne związki pomiędzy innymi zmysłami. Umysł był niezwykłym instrumentem, pomyślał. Jeśli zostawiało się go bez nadzoru, często dochodził do ciekawych wniosków.

Shimrod przypatrywał się jaskółce krążącej nad łąką. Wszędzie panował taki spokój. Było może zbyt spokojnie, sielsko i cicho. Jakże łatwo było wpaść w melancholię na myśl o tym, jak szybko mijają dni. Tym, czego brakowało w Trudzie, były odgłosy radości i szczęśliwych rozmów.

Wyprostował się na krześle. Zadanie musi być wykonane, a im pręcej, tym lepiej. Wstał i rzuciwszy ostatnie spojrzenie na łąkę Lally, poszedł do pracowni.

Stoły, zastawione kiedyś stertami niezwykłych przedmiotów, były obecnie w znacznej części pozbawione tego ciężaru. Większość tych, które pozostały, nie poddawała się jakimkolwiek próbom. Były to instrumenty o niezrozumiałym przeznaczeniu, zbyt prymitywne lub niesamowicie skomplikowane, może nawet unieruchomione na skutek jakiegoś złośliwego zaklęcia rzuconego na nie przez Tamurella.

Jeden z przedmiotów, którymi nadal zajmował się Shimrod, został nazwany Lucanorem na pamiątkę jednego z druidzkich bogów*.

* Lucanor miał trzy obowiązki: tworzył kształty konstelacji gwiazdnych, a kiedy było potrzeba zmieniał położenie gwiazd; każdej rzeczy na świecie przypisywał tajemne imię lub nazwę, przez co istnienie tego przedmiotu było potwierdzane lub zaprzeczane; regulował cykl, w którym koniec przyszłości stapiał się z początkiem przeszłości. Według wyobrażeń

druidów, Lucanor nosił buty o podwójnych czubkach wyginających się w przeciwnych kierunkach. Na jego głowie tkwił żelazny krąg ozdobiony siedmioma złotymi dyskami. Lucanor był samotnym bogiem, który trzymał się z daleka od innych pomniejszych bóstw z druidzkiego panteonu, wzbudzając w nich strach i przerażenie.

Druidzki mit opowiada, jak Lucanor zastał kiedyś innych bogów przy obficie zastawionym stole, pijących w wielkich ilościach miód, tak że wielu z nich było pijanych, natomiast inni byli niezwykle trzeźwi. Czy było możliwe, aby jedni wypijali więcej, niż im się należało? Różnice te doprowadziły do sprzeczki i wyglądało na to, że zanosi się na poważną kłótnię. Lucanor wymusił na nich spokój twierdząc, że nieporozumienie zapewne da się rozwiązać inaczej niż za pomocą razów i gorzkich słów. Tam właśnie i wtedy Lucanor wymyślił koncepcję liczb i liczenia, która dotąd jeszcze nie istniała. Bogowie mogli odtąd z precyzją odliczać wypite przez każdego kielichy i za pomocą tej nowej metody zaprowadzić sprawiedliwość, a także wyjaśnić, dlaczego jedni są pijani, a inni nie. „Odpowiedź staje się prosta, jeśli tylko opanuje się nową metodę!” - oświadczył Lucanor. - „Polega to na tym, że pijani bogowie wypili więcej kielichów niż ci trzeźwi. W tym cała tajemnica”. Za wynalezienie matematyki Lucanor był później bardzo szanowany i czczony.

Lucanor - magiczny instrument lub zabawka - składał się z siedmiu przezroczystych dysków, mniej więcej o średnicy dłoni. Toczyły się one po krawędzi okrągłej płyty z czarnego onyksu, każdy z inną prędkością. Dyski mieniły się delikatnymi kolorami, a czasami pulsowały czarnymi plamkami, które pojawiały się i znikaly najwyraźniej zupełnie przypadkowo.

Shimroda dyski te wielce intrygowały. Każdy z nich poruszał się niezależnie od pozostałych, takie przynajmniej sprawiały wrażenie, tak że podczas ruchu po okręgu jeden z nich mógł zostać zakryty Przez inny, a te dwa przez kolejny. Czasami dwa dyski toczyły się razem, tak że jeden nakładał się na drugi, jakby przyciągało je coś do siebie i trzymało razem przez krótką chwilę. Potem rozpadały się i ponownie każdy z nich toczył się własnym torem. Bardzo rzadko zdarzało się, by trzeci dysk zbliżał się, kiedy inne dwa były połączone i na jakąś chwilę przyłączał się do nich, co trwało chyba dłużej, niż połączenie tylko dwóch dysków. Shimrod pewnego razu zaobserwował coś bardzo wyjątkowego: cztery dyski toczyły się razem dookoła płyty i trwały złączone przez około dwadzieścia sekund, zanim rozpadły się ponownie.

Shimrod ustawił Lucanora na ławie, gdzie prezentował się najokazalej w promieniach popołudniowego słońca, a także bardzo udatnie odciągał go od

jakiegokolwiek innej pracy. Czy Lucanor był zabawką, czy też skomplikowanym instrumentem? A może makietą odzwierciedlającą jakiś większy proces? Zastanawiał się, czy jest możliwe, aby pięć z siedmiu dysków toczyło się razem, a może nawet sześć lub siedem. Próbował obliczyć prawdopodobieństwo takiej sytuacji, ale bez sukcesu. Szansa, aby coś takiego się wydarzyło, choć była realna, musiała być niezwykle nikła, przypuszczał Shimrod.

Czasami, kiedy dwa dyski toczyły się razem, ich czarne plamki, czy też dziury, pojawiały się równocześnie i czasami się na siebie nakładały. Raz, kiedy trzy dyski toczyły się połączone, czarne plamki pojawiły się jednocześnie na wszystkich trzech i dziwnym zbiegiem okoliczności nałożyły się na siebie. Shimrod zajrzał w pokrywające się otwory, kiedy dyski toczyły się blisko niego. Ku swemu zaskoczeniu ujrzał migoczące linie ognia, jakby daleki błysk pioruna.

Potem czarne plamy zniknęły, a dyski rozłączyły się i poruszały się dalej niezależnie od siebie, tak jak poprzednio.

Shimrod cofnął się i zaczął się zastanawiać. Przedmiot ten niewątpliwie służył jakiemuś celowi. Tylko jakiemu? Nie potrafił stworzyć żadnej sensownej teorii. Może powinien poprosić o radę Murgena. Odwlekał to, ponieważ chciał rozwiązać tę zagadkę samodzielnie. Trzy z wielkich ksiąg Tamurella nie zostały rozszyfrowane. W nich mogła się znaleźć jakaś informacja lub uwaga na temat Lucanora.

Shimrod wrócił do pracy, ale cały czas obserwował siedem dysków, co go tak rozpraszało, że w końcu postawił na straży niższego rangą piaskuna, aby informował go o wszelkich niezwykłych sytuacjach, a potem postawił Lucanora w najodleglejszym kącie pracowni.

Mijały dni. Shimrod nie znalazł wzmianki o Lucanorze w żadnej z trzech wielkich ksiąg i stopniowo przestał się interesować dyskami.

Pewnego ranka jak zwykle udał się do pracowni. Niemal od razu, kiedy tam wszedł, piaskun krzyknął na alarm:

- Shimrodzie, zobacz swoje dyski! Pięć toczy się razem!

Shimrod przeszedł przez pracownię szybkim krokiem. Spojrzał w dół z lekką obawą. Rzeczywiście, pięć dysków połączyło się i poruszało się razem po krawędzi podstawy. Co więcej, nic nie wskazywało na to, aby miały się rozdzielić. A to co? Do pięciu dysków zbliżył się szósty, nałożył się na nie, po czym docisnął się mocno i połączył z nimi.

Obserwował to zafascynowany, pewien, że przygląda się bardzo ważnemu wydarzeniu lub, co było bardziej prawdopodobne, odbiciu jakiegoś wydarzenia. A teraz siódmy dysk zbliżył się do pozostałych i po chwili siedem toczyło się, jakby było jednym. Pojedynczy dysk zmienił kolor, stał się kasztanowy i purpurowo-czarny. Toczył się letargicznie i nie zdradzał chęci rozłączenia się. Pośrodku czarna plama robiła się coraz gęstsza i większa. Shimrod pochylił się i spojrzął do otworu. Zobaczył coś, co wyglądało jak czarny krajobraz obrysowany złocistym ogniem.

Odwrócił się od Lucanora i podbiegł do stołu, przy którym pracował. Uderzył w mały, srebrny gong i czekał patrząc w lustro.

Murgen nie potwierdził odbioru sygnału.

Shimrod uderzył w gong jeszcze raz, gwałtowniej. I znowu bez skutku.

Cofnął się, na jego twarzy pojawił się wyraz z troskaniem. Murgen czasami udawał się na spacer po murach zamku. Jeszcze rzadziej opuszczał Swer Smod, czasami będąc do tego zmuszonym, czasami z czystej frywolności. Zazwyczaj jednak informował Shimroda o swoich planach.

Uderzył w gong trzeci raz. Skutek był taki sam jak poprzednio: cisza.

Zakłopotany i niespokojny Shimrod odwrócił się i poszedł obserwować Lucanora.

III

Wzdłuż grani Teach tac Teach, począwszy od Troagh na południu aż do Gwyr Aig Rift na północy, surowym szeregiem ciągnęły się urwiste szczyty, każdy groźniejszy i bardziej niedostępny od pozostałych. Mniej więcej pośrodku góry Sobh wznosił się wysoko trapezoidalny występ z granitowej skały, rozcinając sunące po niebie chmury. Następny szczyt na północ, Arra Kaw, był jeszcze bardziej srogi i odosobniony. Tam, gdzie wyżynne wrzosiwiska rozbijały się o podstawę Arra Kaw, stało w kręgu pięć wysokich menhirów zwanych Synami Arry Kaw. Zamykały one przestrzeń o około czterdziestu stopach średnicy. Tam, gdzie najbardziej wysunięty na zachód kamień chronił przed silnymi wiatrami, zbudowano toporną chatę z kamieni i darni. Po niebie sunęły chmury, przemykając się przed słońcem i śląc

płynące cienie przez góryste wrzosowiska. Wiatr przeciskał się pomiędzy pięcioma Synami wydając słaby świst, a czasami chrypiał lub lkał.

Przed chatą nieśmiało paliło się niewielkie ognisko, nad którym wisiał na trójnogu żelazny garnek. Przy ogniu siedział Torqual, spoglądając pustym wzrokiem w płomienie. Po przeciwnej stronie ogniska klęczała Melanthe, owinięta w grubą, brązową pelerynę. Mieszała w garnku. Zachowywała się zupełnie biernie, jakby była bardzo wyczerpana. Obcięła krótko włosy, a na głowie miała skórzaną opaskę, która przyciskała jej błyszczące czarne loki do czaszki.

Torqualowi zdało się, że usłyszał wołanie. Gwałtownie spojrzął za siebie i zaczął nasłuchiwać. Odwrócił się do Melanthe, która uniosła głowę.

- Czy słyszałaś wołanie? - zapytał.

- Być może.

Torqual podszedł do przejścia pomiędzy Synami i wyjrzał w dół na wrzosowiska. Dziesięć mil na północ szczyt zwany Tangué Fna wznosił się jeszcze wyżej i bardziej stromo niż Arra Kaw. Pomiędzy nimi rozciągały się wyżynne wrzosowiska, pocętkowane sunącymi cieniami chmur. Torqual zobaczył jastrzębia szybującego wraz ze wschodnim wiatrem. Kiedy go obserwował, jastrząb dziko krzyknął, wzniósł się jednak tak wysoko, że jego głos był niemal niedosłyszalny.

Torqual pozwolił sobie na spokój, choć raczej niechętnie, jak gdyby nie był do końca pewien, że nikt nie odważy się go zaatakować. Odwrócił się z powrotem w stronę ogniska i zmarszczył brwi ze zdziwienia. Melanthe ze ściągniętą twarzą wstała i powoli podeszła do chaty. W ciemnościach za progiem Torqual z zaskoczeniem dostrzegł kształt kobiety. Czy jego wzrok nie robi mu czasem dziwnych sztuczek? Kształt ten wydawał się nie tylko nagi, ale również nieco rozwiany, jakby bezcielesny i podświetlony stłumionym, zielonym blaskiem.

Melanthe sztywnym krokiem weszła do chaty. Torqual już za nią ruszył, ale zatrzymał się przy ogniu i stanął niepewny, czy rzeczywiście coś takiego zobaczył. Wiatr ustał na chwilę i z chaty dobiegły go jakieś dźwięki, jakby odgłosy rozmowy.

Nie mógł dłużej ignorować tej sytuacji. Ruszył w kierunku chaty, ale zanim zdążył zrobić trzy kroki, Melanthe wyszła. Poruszała się pewnie i niosła dziwny przedmiot na krótkiej rączce zrobiony z zielonkawo-srebrnego metalu, którego Torqual nigdy wcześniej nie widział. Wziął go za ozdobny

toporek lub małą halabardę o skomplikowanym ostrzu z jednej strony i czterocalowym szpicu z drugiej. Podobny szpic wystawał z rękojeści. Melanthe podeszła do ognia stawiając wolne, lecz zdecydowane kroki. Twarz miała skupioną i poważną. Obserwował ją pełen podejrzeń. Nie była to Melanthe, jaką znał przedtem! Zdarzyło się coś niezwykłego.

- Kim jest ta kobieta w chacie? - zapytał szorstko.

- Tam nikogo nie ma.

- Słyszałem głosy i widziałem kobietę. Być może jest ona wiedźmą, bo brakowało jej ciała i ubrania.

- Może i tak.

- Co to za broń lub narzędzie, które trzymasz w ręku?

Melanthe spojrzała na wspomniany przedmiot, jakby widziała go po raz pierwszy.

- To jest rodzaj toporka.

Torqual wyciągnął rękę.

- Daj go mnie.

Melanthe uśmiechając się potrząsnęła głową.

- Dotyk tego ostrza zabiłby cię.

- Ty go dotykasz, a nie jesteś martwa.

- Zielona magia na mnie nie działa.

Torqual długimi krokami wszedł do chaty. Melanthe obserwowała go obojętnie. Zajrzał w mrok: na prawo, na lewo, do góry i w dół, ale niczego nie znalazł. Wrócił zamyślony do ogniska.

- Ta kobieta zniknęła. Dlaczego z nią rozmawiałaś?

- Musisz poczekać na całą historię. W tej chwili mogę powiedzieć ci tylko tyle: zdarzyło się coś ważnego, do czego od dawna się przygotowywano. Ty i ja musimy teraz iść i zrobić to, co musi zostać zrobione.

- Mów jasno, jeśli łaska, i daj sobie spokój z tymi oględnymi słówkami! - rzucił ostro Torqual.

- Właśnie! Nie usłyszysz oględnych słówek, tylko zdecydowane rozkazy!

- Melanthe przemawiała z siłą i zdecydowaniem. Stała z głową uniesioną wysoko, oczy błyszczały jej zielonym blaskiem. - Weź broń i sprowadź konie. Wyjeżdżamy natychmiast.

Torqual spojrział w płomienie. Z trudem się opanowywał.

- Nie ma nade mną władzy żaden mężczyzna ani kobieta. Chodzę tam, gdzie sam zechcę, i tylko wtedy, kiedy uznam to za konieczne.

- Teraz jest to konieczne.

- Ha! Tylko że ja tak nie sądzę.

- Ty również uznasz to za konieczne. Musisz dotrzymać umowy, którą zawarłeś z shybaltem Zagzigiem.

Torqual, zbity z tropu, zmarszczył brwi. W końcu powiedział:

- To było dawno temu. Ta „umowa”, jak ty to określasz, była jedynie swobodną rozmową przy garncu wina.

- Wcale nie! Zagzig zaoferował ci najpiękniejszą ze wszystkich kobiet, która miała ci służyć i iść za tobą wszędzie tak długo, jak ty bronilibyś jej oraz jej interesów, jeśli zaszłaby taka potrzeba. Zgodziłeś się na to.

- Nie widzę teraz takiej potrzeby - burknął Torqual.

- Zapewniam cię, że ona istnieje.

- Wobec tego wyjaśnij mi to!

- Sam zobaczysz. Pojedziemy do Swer Smod, aby zrobić to, co do nas należy.

Torqual wpatrywał się w nią zdumiony.

- Toż to straszna głupota! Boję się Murgena! On jest najpotężniejszy!

- Nie teraz! Otworło się przejście i pojawił się ktoś potężniejszy od niego! Ale teraz liczy się tylko czas! Musimy zdążyć zanim przejście się zamknie! Chodź więc, póki moce są po naszej stronie! A może wolisz do końca życia kryć się na tych wietrznych wrzosowiskach?

Torqual zawrócił na pięcie. Poszedł i osiodłał konie i we dwoje opuścili Pięciu Synów Arry Kaw. Najszybciej jak tylko mogli, przejechali przez wrzosowiska, czasami wyprzedzając cienie chmur. Kiedy dotarli do szlaku, skręcili na wschód i podążyli nim na zbocze góry. Jechali krętą drogą, wijącą się piargami, wąwozami i przesmykami, aż w końcu dotarli na występ skalny, z którego rozciągał się widok na Swer Smod. Zsiadli z koni i dalej ruszyli pieszo. Zatrzymali się w cieniu zewnętrznych murów zamku.

Melanthe zdjęła z głowy skózaną opaskę i owinęła nią żeleźce toporka. Przemówiła głosem szorstkim, przypominającym tarcie kamienia o kamień:

- Weź ten toporek. Ja nie mogę go dalej nieść. Nie dotykaj ostrza, bo pozbawi cię życia.

Torqual tchórzliwie wziął do ręki czarną, drewnianą rączkę.

- Co mam z nim zrobić?

- Powiem ci. Słuchaj mojego głosu, ale od tej chwili nie odwracaj się, bez względu na to, co by się działo. Idź teraz przed główne wejście. Ja pójdę za tobą. Nie odwracaj się.

Torqual jęknął dochodząc do wniosku, że całe to przedsięwzięcie coraz mniej mu się podoba. Ruszył wzdłuż muru. Za sobą usłyszał cichy dźwięk, westchnienie, głęboki oddech, potem kroki Melanthe.

Przy głównym wejściu Torqual zatrzymał się, aby rozejrzeć się po dziedzińcu, gdzie Vus i Vuwas, dwa gryfy, które stały na straży, wymyśliły sobie nową rozrywkę, aby czas im się tak nie dłużył. Wyszkoliły parę kotów, które udawały wierzchowce bojowe. Koty były ubrane w śmieszne stroje, siodlane i ozdobione licznymi symbolami, tak by mogły służyć jako rumaki rycerzom, którymi były szczury, również dobrze wyszkolone i odziane w kolczugi z błyszczącego metalu oraz ozdobne hełmy. Ich broń stanowiły drewniane miecze i turniejowe kopie owinięte na końcach kłębam szmat. Potwory przyglądały się, robiły zakłady i krzyczały podekscytowane, gdy szczury popędzały swe kocie wierzchowce i gnały na nich starając się powalić jeden drugiego.

Melanthe przeszła przez bramę. Torqual ruszył za nią.

- Idź cicho i ostrożnie - odezwał się za nim jakiś głos. - Te potwory zajęte są swoją zabawą. Spróbujemy przedostać się niezauważenie.

Torqual stanął jak wryty.

- Nie odwracaj się! - powiedział ostro głos. - Melanthe robi to, co będzie potrzebne, w ten sposób usprawiedliwi swoje istnienie!

Torqual zauważył, że Melanthe była teraz taka jak przedtem: uległa, zupełnie taka, jaką ją widział po raz pierwszy w willi nad morzem.

- Idź teraz, cicho. One nie zauważą - przemówił głos.

Torqual ruszył za Melanthe. Przeszli nie zauważeni przez dziedziniec. W ostatniej chwili czerwony gryf Vuwas odwrócił się niezadowolony, ponieważ jego szczur właśnie został pokonany, i zobaczył intruzów.

- Hola! - krzyknął. - Któż to zamierza tu przejść, podstępnie i ukradkiem? Wyczuwam tu coś niedobrego! Vus, chodź tutaj! - zawołał swojego towarzysza. - Mamy robotę do wykonania!

- Wracajcie do swojej zabawy, dobre potwory! - przemówiła metalicznym głosem Melanthe. - Przybyliśmy tu, aby pomóc Murgenowi w jego czarach, a jesteście spóźnieni, więc pozwólcie nam przejść.

- Takim językiem posługują się intruzi! Ludzie o dobrych zamiarach przynoszą nam podarunki! W taki sposób odróżniamy ich od wysłanników

zła! Wy zdajecie się pasować do tej drugiej kategorii.

- To pomyłka - powiedziała uprzejmie Melanthe. - Następnym razem na pewno sprawimy się lepiej. - Zwróciła się do Torquala. - Idź tam natychmiast. Zawołaj Murgena, aby wyszedł i potwierdził, że nas oczekuje. Ja poczekam i poprzyglądam się turniejowi.

Torqual przemknął się, kiedy Vus i Vuwas na chwilę odwróciły odeń uwagę.

- Zaczynicie nową serię potyczek! - zawołała Melanthe. - Przyłączę się do zakładów. Który ze szczurów jest najlepszy?

- Jedną chwilkę! - krzyknął Vus do Torquala. - Cóż to za obrzydliwy zielonkawy cień, który czai się za twoimi plecami?

- To nic ważnego - powiedział Torqual.

Przyspieszył kroku i tak dotarł do żelaznych drzwi.

- Odsłoń żeleźce i odetnij zawiasy! - naglił głos za jego plecami. - Uważaj, aby nie uszkodzić szpica; jeszcze będziemy go potrzebować!

Z dziedzina dobiegł nagły krzyk bólu i złości.

- Nie odwracaj się! - powstrzymał go głos. Torqual zdążył się już jednak odwrócić. Zobaczył, jak potwory rzuciły się na Melanthe i gonily ją w tę i z powrotem po dziedzinie, dudniąc kopytami i wymachując wielkimi zrogowaciałymi pięściami. Torqual przyglądał się temu nie wiedząc, co robić, niemal zdecydowany, aby interweniować. Głos rzucił opryskliwie:

- Przetnij te zawiasy! Pospiesz się!

Kątem oka Torqual dostrzegł niewyraźną postać kobiecą utworzoną z bladezielonego gazu. Odwrócił się gwałtownie, gdyż oczy zaczynały go palić, a żołądek zwinął się z obrzydzenia.

- Przetnij zawiasy! - wydyszał głos.

Torqual krzyknął rozwścieczony:

- Przez moje nierozważne rozmowy z Zagzigiem zmusiłaś mnie, abym dotarł aż tutaj! Nie zaprzeczam temu, ponieważ poza moim słowem nie pozostało już nic z mego honoru. Ale umowa dotyczyła Melanthe, a ona teraz już mnie nie potrzebuje. Tobie nie będę służył! Tego nie obiecywałem!

- Ale musisz - powiedział głos. - Chcesz motywu? Czego pragniesz? Władzy? Będziesz królem Skaghane, jeśli tego zechcesz, albo panem całych Ulflandów.

- Nie chcę takiej władzy.
- Wobec tego zmuszę cię sprawiając ból, choć będzie mnie to kosztowało wiele moich sił. Ty zaś gorzko pożałujesz, że mi się sprzeciwiałeś.

Torqual usłyszał, jak ktoś z wielkim wysiłkiem cicho syczy. Coś złapało go z tyłu za głowę, tuż za uszami, palcami mocnymi jak obcegi. Ścisnęły go mocno i głęboko, powodując ból tak wielki, że niemal przestał widzieć, a umysł zaczął mu się rozpadać na miliony niezależnych części.

- Przetnij zawiąsy ostrzem toporka i uważaj na szpikulec.

Torqual zdjął skórną opaskę z wygiętego, zielono-srebrnego ostrza i ciał po zawiąsach. Stopiły się jak masło pod gorącym nożem. Drzwi odpadły.

- Wejź! - powiedział głos, a szczytce zacisnęły się jeszcze mocniej. Torqual wkuśtykał do głównego hallu Swer Smod.

- Teraz przed siebie! Tym korytarzem, szybko!

Z wytrzeszczonymi z bólu oczami Torqual przeszedł na chwiejnych nogach przez korytarz i tak dotarł do największej komnaty.

- Zdążyliśmy na czas - oznajmił głos z wielką satysfakcją. - Idź!

W komnacie Torqual ujrzał niezwykłą scenę. Murgen siedział sztywno i nieruchomo na swoim krześle trzymany przez sześć długich i chudych, szarych ramion, rzadko porośniętych szorstkimi, czarnymi włosami. Ramiona zakończone były wielkimi dłońmi, z których dwie trzymały Murgena w kostkach, dwie zaś unieruchamiały jego ręce. Dwie ostatnie zakrywały mu twarz pozostawiając widoczne jedynie szare oczy. Ramiona wydobywały się tuż za krzesłem Murgena ze szczeliny wyglądającej jak uchylona zapadnia, stanowiącej przejście do innej przestrzeni. Z otworu wraz z ramionami wydostawało się rozproszone, zielonkawe światło.

- Teraz cię uwolnię - uprzedził głos. - Rób dokładnie to, co ci każę, albo ból powróci ze zwielokrotnioną siłą. Mam na imię Desmei. Dysponuję wielką władzą. Słyszysz mnie?

- Słyszę.

- Czy widzisz szklaną kulę wiszącą na łańcuchu?

- Widzę ją.

- Zawiera ona zieloną plazmę i szkielet łasicy. Musisz wejść na krzesło, przeciąć toporkiem łańcuch i ostrożnie znieść kulę na dół. Szpikulcem toporka nakłujesz kulę, tak abym mogła wyssać plazmę i w ten sposób przywrócić sobie pełną moc. Zamknę kulę na nowo i wcisnę Murgena do drugiej takiej. Wtedy

osiągnę to, czego pragnę, a ty zostaniesz nagrodzony tak, jak sobie na to zasłużysz. Mówię ci to wszystko, abyś dokładnie wiedział, co robić. Czy wyraziłam się jasno?

- Wyraziłaś się jasno.

- Do dzieła więc! Właź do góry! Przetnij ten łańcuch, ale bądź bardzo ostrożny.

Torqual wszedł na krzesło. Jego twarz znajdowała się teraz na poziomie szkieletu łasicy tkwiącej wewnątrz szklanej kuli. Czarne oczy wpatrywały się w jego własne. Torqual uniósł toporek i jakby przypadkowo zahaczył nim o szklaną kulę, tak że zielona plazma zaczęła się wydostawać na zewnątrz. Z dołu dobiegł go przeraźliwy, pełen furii wrzask:

- Zbiłeś szkło!

Torqual przeciął łańcuch i pozwolił, aby kula spadła na dół. Uderzając o podłogę rozbiła się na wiele kawałków, a zielona plazma rozlała się w wielu kierunkach. Zwinięty szkielet łasicy rozprostował się boleśnie i jednym susem ukrył się pod krzesłem. Desmëi rzuciła się na podłogę i zbierała tyle zielonej plazmy, ile tylko było możliwe. Zaczęła nabierać bardziej cielesnych kształtów, ukazując najpierw zarysy wewnętrznych organów, a potem resztę ciała. Czołgała się w tę i z powrotem zlizując językiem strużki zieleni.

Do uszu Torquala dobiegł czyjś naglący głos:

- Weź toporek! Przekłuj ją szpikulcem! Nie zastanawiaj się, bo na zawsze już będziemy cierpieć straszne męczarnie!

Torqual złapał za toporek. Szybkim krokiem ruszył w stronę Desmëi.

Zobaczyła go i zawołała przerażona:

- Nie!

Odtoczyła się na bok i zerwała na równe nogi. Torqual gonił ją z toporkiem wyciągniętym przed siebie, dopóki nie znalazła się pod ścianą i nie miała już dokąd uciekać.

- Nie! Stanę się niczym! To moja śmierć!

Torqual wbił szpikuliec w szyję Desmëi. Jej ciało zdawało się wsiąkać w ostrze toporka, który robił się coraz większy w miarę jak rozpływała się w powietrzu.

Desmëi znikła. Torqual został sam trzymając w ręku ciężki topór o krótkiej rękojeści i skomplikowanym ostrzu ze srebrno-zielonego metalu. Odwrócił się i położył topór na stole.

Tamurello, szkielet łasicy, wyszedł spod krzesła. Urósł i teraz był już tak wysoki jak Torqual. Wyjął z szafy tablicę długą na cztery stopy i szeroką na dwie, na której spoczywała podobizna dziwnej, szarej istoty w ogólnych

kształtach przypominającej człowieka, o błyszczącej szarej skórze, krótkiej włochatej szyi, ciężkiej głowie o rozmazanych rysach i przezroczystych oczach jak u martwej ryby. Setki elastycznych wstążek więziło kreaturę na tablicy nie pozwalając jej na najmniejszy ruch czy nawet drgnienie. Tamurello spojrzął na Torquala.

- Czy potrafisz nazwać tę istotę, która jest zaledwie wyobrażeniem rzeczywistości?

- Nie.

- Wobec tego powiem ci. To jest Joald, a Murgen poświęcił swoje życie, aby to coś uwięzić, wbrew złym siłom starającym się mu w tym przeszkodzić. Zanim zabiję Murgena, będzie się przyglądał, jak niszcę to, co osiągnął tak wielkim wysiłkiem i będzie wiedział, że Joald powstanie. Murgenie, słyszysz mnie?

Murgen wydobył z siebie gardłowy dźwięk.

- Wkrótce przejście się zamknie i ramiona się cofną. Ale czasu starczy na wszystko. Najpierw uwolnię to monstrum. Torqual!

- Jestem tutaj.

- Joalda trzymają specyficzne więzy!

- Widzę je.

- Weź swój miecz i przetnij je, a ja odśpiewam zakłęcie. Tnij!

Od strony Murgena dobiegł ich słaby jęk. Torqual zraził się i zawahał.

- Rób, co ci każe! - wychrypiał Tamurello. – Będziesz dzielić ze mną bogactwo i potężną, magiczną władzę. Przysięgam! Tnij!

Torqual, powoli podszedł do tablicy. Tamurello zaczął wyśpiewywać pojedyncze sylaby o wielkiej mocy. Dźwięki te przecinały powietrze i wprawiły Torquala niemal w stan hipnozy. Uniósł ramię. Miecz błysnął i opadł. Puściła wstęga przytrzymująca prawy nadgarstek Joalda.

- Tnij! - krzyczał Tamurello.

Torqual ciął. Z sykiem i plaśnięciem zwinęły się wstęgi trzymające ramię Joalda. Ramię poruszyło się i uniosło.

- Tnij!

Torqual uniósł miecz i przeciął więzy na szyi Joalda. Zakłęcie Tamurella wibrowało w całym zamku, nawet kamienie trzeszczały i świszcząły.

- Tnij! Tnij! Tnij! - krzyczał Tamurello. - Murgenie! Och, Murgenie! Posmakuj mego zwycięstwa! Posmakuj go i lej gorzkie łzy, bowiem niszcę twoje wielkie dzieło!

Torqual przeciął więzy na czole Joalda, a Tamurello zaintonował jeszcze większe zaklęcie. Najstraszniejsze zaklęcie, jakie kiedykolwiek dotąd słyszano na świecie. Głęboko w oceanie Joald ospale zaczął zdawać sobie sprawę, że więzy puszczają. Wyteżył się i zaczął walczyć z pozostałymi. Rzucał się i kopał, poruszył podwodny filar, który - jak się później okazało - zapobiegał osunięciu się Teach tac Teach do morza. Ziemia się zatrzęsa. Potężne, olbrzymie prawe ramię Joalda było wolne. Uniósł je wysoko, zginiąjąc i prostując monstrualne czarne palce, chcąc doprowadzić do zniszczenia wysp Elder. Jego dłoń wydostała się z wody. Spływały z niej ściany zielonego oceanu i rozbijały się w pianę. Niesamowitym wysiłkiem Joald wyrzucił czubek głowy nad powierzchnię morza, gdzie stał się on nową wyspą, o kościstych wzniesieniach ciągnących się przez jej środek. We wszystkich kierunkach chlusnęły wysokie na dwieście stóp fale.

W Trudzie, Shimrod ponownie uderzył w srebrny gong, po czym odwrócił się i podszedł do skrzyni wiszącej na ścianie. Otworzył przednią ściankę, wypowiedział trzy słowa i przyłożył oko do kryształowej soczewki. Przez chwilę stał nieruchomo. Potem, chwiejąc się na nogach, cofnął się, pobiegł do swego gabinetu, złapał za miecz, nacisnął czapkę na głowę i poszedł do pracowni, gdzie stanął na dysku z czarnej kości. Wypowiedział zaklęcie natychmiastowego przeniesienia i w oka mgnieniu znalazł się na dziedzińcu przed Swer Smოდ. Vus i Vuwas ciągle jeszcze zabawiały się krwawym strzępem, który pozostał z Melanthe. Na ich żądanie porozdzierane ciało skakało do przodu i do tyłu podrygując w zabawnym tańcu, podczas gdy potwory bulgotały ze śmiechu i podziwiały niezmożoną żywotność tego czegoś. Rzuciły Shimrodowi parę podejrzliwych spojrzeń, na tyle długich, aby go rozpoznać, a do tego były znudzone rutynowymi obowiązkami, więc pozwoliły mu przejść bez problemu.

Shimrod przeszedł przez wyłamane drzwi i natychmiast poczuł siłę zaklęcia śpiewanego przez Tamurella. Przebiegł przez korytarz i wpadł do wielkiej komnaty. Murgen siedział w uścisku sześciu ramion sięgających z Xabiste. Szkielet lasicy podczas śpiewania zaklęcia zdawał się nabierać ciała i zmieniać kształty. Torqual, który stał przy stole, zauważył przybycie Shimroda. Stał z

błyszczącymi oczami z wysoko uniesionym mieczem.

Torqual! krzyknął Shimrod. - Czyś oszalał, że słuchasz Tamurella?

- Robię to, co chcę - odpowiedział mu beznamiętnym głosem Torqual.
- To gorzej, niż gdybyś był szalony, i dlatego musisz umrzeć.
- Jeśli ktoś tu umrze, będziesz to ty - powiedział Torqual głosem przeznaczenia.

Shimrod dobył miecza. Ciął przez szkielet łasicy i uderzył w delikatną miednicę. Zakłęcie nagle ustało, a Tamurello zamienił się w stertę ostrych kościstych drzazg.

Torqual spojrzął na podobiznę Joalda, rzucającego się teraz, aby pozbyć się pozostałych więzów.

- Więc to jest celem mojego życia? - mruknął pod nosem. - Doprawdy muszę być szalony.

Shimrod zatoczył mieczem łuk i odciąłby głowę Torqualowi, gdyby trafił w cel. Torqual odskoczył w bok. Zachowywał się tak, jakby wpadł w szal. Rzucił się na Shimroda z taką siłą, że ten został zmuszony do cofnięcia się i podjęcia obrony. Walczyli ze sobą równie rozwścieczeni: cięcie, pchnięcie, zasłona, wypad, unik.

Obok stołu kupka kości poruszyła się i utworzyła bezładną postać o błyszczących oczach spoglądających jedno w górę, drugie w dół. Wrzecionowate ramię capnęło za topór i uniosło go wysoko, a ze sterty kości chrapliwym głosem wypowiedziane zostało zakłęcie.

Shimrod odskoczył od Torquala, rzucił krzesło, aby go powstrzymać, po czym ciął przez ramię trzymające topór. Ramię rozpadło się. Topór upadł na podłogę. Shimrod podniósł go i kiedy Torqual go zaatakował, pchnął nim prosto w jego twarz. Głowa Torquala zmarszczyła się i zniknęła. Jego miecz upadł z brzękiem na podłogę, a za nim jego ciało.

Shimrod zwrócił się z powrotem w stronę stołu. Przejście do Xabiste zamykało się. Ku przerażeniu Shimroda ramiona, zamiast uwolnić, zaczęły ciągnąć Murgena za sobą, razem z krzesłem, prosto w szczelinę.

Shimrod ciął po szarych, chudych ramionach. Dłonie upadły na podłogę, palce kurczyły się i prostowały. Murgen był wolny. Stanął wyprostowany i ruszając do przodu spojrzął w dół na Joalda. Wypowiedział cztery krótkie

słowa. Głowa Joalda cofnęła się z powrotem. Ramię opadło tuż obok pękającego tułowia.

Na Atlantyku wyspa, która powstała przez pojawienie się czarnej potylicy Joalda, zniknęła pod powierzchnią morza. Ramię opadło z monstrualnym pluskiem, tworząc falę wysoką na czterysta stóp, która pomknęła w stronę Południowych Ulflandów. Uderzyła w ujście rzeki Evander i z niezwykłą siłą wysłała potężną ścianę wody w głąb doliny. W ten oto sposób zginęło wspaniałe miasto Ys.

Tam, gdzie Joald się rzucał i kopiąc nogami strącił filary pod wyspą Hybras, ziemia zatrzęsała się i zapadła, a Dolina Evandra, wraz z pałacami i ogrodami, stała się morską zatoką.

Wzdłuż wybrzeży Ulflandów, niemal tak daleko na północ, jak znajduje się Oäldes, nadbrzeżne miasta zostały zatopione, a ich mieszkańcy zginęli w morzu.

Kiedy morskie wody się uspokoiły, Wieczne Ys, Piękne Ys, Ys o Wielu Pałacach leżało zatopione w morskiej głębinie. W późniejszych czasach, kiedy padało właściwe światło, a wody były czyste, rybacy czasami widywali niezwykle marmurowe budowle, pomiędzy którymi nie poruszało się nic poza ławicami ryb.

IV

W wielkiej komnacie w Swer Smod zapadła ołowiana cisza. Murgen stał nieruchomo przy stole. Shimrod opierał się o ścianę. Na stole leżała spokojnie podobizna Joalda. Roztrzaskane kości szkieletu lasicy leżały na kupce nie okazując żadnej żywotności poza błyskiem dwojga czarnych oczu. Leżące na stole żeleźce topora zmieniło wygląd, puchnąc do niemal kulistej postaci. Przypominało teraz ludzką twarz.

Murgen spojrzał na Shimroda.

- Teraz więc poznaliśmy tragedię - powiedział ciężkim głosem. - Nie mogę winić za to siebie, ale tylko dlatego, że nie powinienem teraz tracić energii. Prawdę mówiąc, obawiam się, że stałem się zbyt pewny siebie, nawet arogancki. Będąc w pełni sił nie spodziewałem się, aby ktokolwiek odważył mi się przeciwstawić. Myliłem się i doszło do tej tragedii. Nie mogę jednak pozwolić sobie na ranienie się wyrzutami sumienia.

Shimrod podszedł do stołu.

- Te rzeczy... czy one nadal żyją?
- To Tamurello i Desmëi żyją. Rozpaczliwie starają się przetrwać. Tym razem nie będę się cackał i wreszcie skończę z nimi raz na zawsze. - Murgen podszedł do jednej z szaf i szeroko otworzył drzwi. Popracował przy drżącym instrumencie, z którego po pewnym czasie zaczęła się wydobywać różowa poświata i dziwny, gwizdzący głos:
 - Murgenie, mówię do ciebie z niewyobrażalnej otchłani!
 - Ja również - powiedział Murgen. - Jak toczy się wasza wojna z Xabi-ste?
 - Całkiem dobrze. Zarządziliśmy wirujący Sirmish i wypchnęliśmy zieleń z Fangusto. Jednakże tamci pojawili się z wielką siłą pod Mang Meeps. Teraz to miejsce jest zainfekowane.
 - To szkoda! Ale rozchmurz się! Dam ci teraz dwa hybrydalne demony, Desmëi i Tamurella, oboje aż śmierdzą zieleniną.
 - Będzie nam bardzo miło.
 - Dobrze. Możesz wysłać trendrila, aby zabrał tę parę i wyszukał wszelkie krople i smużki zieleni, które mogą tu gdzieś jeszcze się znajdować.
- Przez chwilę komnatę rozjaśniało migoczące, różowe światło. Kiedy światło zgasło, topór i sterta kości zniknęły.
- Zabierz tych dwoje do najgłębszych otchłani na Myrdal i poszukaj najgorętszych ognia - powiedział Murgen. - Tam zniszcz ich doszczętnie, tak aby nawet ich gorzkie żale nie unosiły się w przestrzeni. Poczekam tu, aby się dowiedzieć, jak ci się powiodło.
- Musisz uzbroić się w cierpliwość! - zawołał effrit. - Zadanie warte wykonania należy wykonać dobrze! Potrwa to przynajmniej dziesięć waszych sekund oraz dodatkowe dwie sekundy na moje rytualne oczyszczenie.
- Poczekam.
- Minęło dwanaście sekund.
- Zrobione - zakomunikował effrit z Myrdal. - Z tych demonów nie pozostało nic, żaden atom, oddech, myśl ani nic innego. W otchłaniach Myrdalu płoną gorące ognie.
- Doskonale! - rzekł Murgen. - Życzę wam wielu sukcesów w walce z zielonym jadem. - Zamknął szafę i wrócił do stołu, gdzie wzmocnił więzy trzymające Joalda w pokorze.
- Shimrod przyglądał się temu z dezaprobatą.

- Joalda również należałoby zniszczyć.
- Jest chroniony - odpowiedział łagodnym głosem Murgen. - Tylko tyle nam wolno, a i na to pozwolono nam z wielkimi oporami.

- Kto go chroni?
- Niektórzy ze starych bogów jeszcze żyją.
- Atlanta?

Przez długą chwilę Murgen się nie odzywał. W końcu powiedział:

- Pewnych imion nie powinno się wymawiać, a na pewne tematy nie powinno się dyskutować.

Rozdział 12

I

Więści o kataklizmie wzdłuż wybrzeży Ulflandów dotarły do Haidionu trzy dni później. Król Casmir z wielkim zainteresowaniem wysłuchał doniesień i niecierpliwie oczekiwał na więcej szczegółów.

W końcu przybył posłaniec i opowiedział o zniszczeniach, jakie nastąpiły wzdłuż południowoulflandzkich wybrzeży. Casmir zainteresowany był jedynie tym, jakich szkód doznał potencjał militarny króla Aillasa.

- Jak daleko na północ uderzyła fala?
- Mniej więcej do Oäldes, Najjaśniejszy Panie. Przybrzeżne wyspy złągodziły uderzenie. To również uratowało Skaghane i wybrzeża skalradzkie.
- Czy wiesz coś o Doun Darric?
- To ulflandzka stolica króla Aillasa, sire, ale znajduje się wysoko pośrodku wrzosowisk i nie doznała żadnej szkody.
- Więc jego armia nie poniosła żadnych strat?
- Nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością, sire. Niewątpliwie żołnierze na przepustkach są straceni. Nie sądzę jednak, aby armia jako całość doznała jakichś szkód.

Casmir mruknął.

- A gdzie jest teraz król Aillas?
- Najwyraźniej wsiadł w Troicinecie na okręt i teraz będzie na morzu, Wasza Królewska Mość.
- Dobrze. Możesz odejść.

Posłaniec skłonił się i wyszedł. Król Casmir rozejrzał się po twarzach siedzących po jego obu stronach doradców.

- Nadszedł czas na podjęcie decyzji. Nasze armie są wyszkolone i gotowe do walki. Pragną już ruszyć do boju i chętnie zmiażdżą Dahaut. Kiedy Dahaut będzie już nasz, z łatwością poradzimy sobie z Aillasem, bez względu na to, że będzie starał się nas nękać swą flotą. Co powiecie na ten temat?

Jeden po drugim doradcy Casmira powiedzieli mu to, co chciał usłyszeć:

- Armie Lyonessu są silne, liczne i niewyciężone! Dowódcy są dobrzy, a żołnierze wspaniale przygotowani!
- Zbrojownie są dobrze zaopatrzone. Wytwórcy broni pracują dzień i noc. Niczego nam nie brakuje.
- Rycerstwo Lyonesse jest chętne do walki, wszyscy pragną zdobyć bogate ziemie Dahautu oraz tamtejsze wspaniałe posiadłości! Czekają tylko na twój rozkaz.

Król Casmir skinął głową, jakby godząc się z losem. Uderzył pięścią w stół.

- Niech więc to się stanie teraz.

II

Oddziały Lyonesse, starając się nie wzbudzać zbyt wielkiego zamieszania, pomaszerowały ze swych stałych miejsc dyslokacji w stronę fortu Mael, gdzie przeformowane w szyk marszowy ruszyły na północ.

Na granicy z Pomperolem przednia straż napotkała kilkunastu rycerzy pod wodzą księcia Starlinga. Kiedy lyonescka armia zbliżyła się do granicy, książę Starling uniósł dłoń prosząc nadchodzących, aby się zatrzymali.

Przygłopolował herold i przekazał księciu Starlingowi wiadomość:

- Królestwo Lyonesse zostało wplątane w konflikt z królestwem Dahautu z powodu wielu kłopotliwych prowokacji. Żądamy prawa przejazdu przez Pomperol, abyśmy mogli niezwłocznie podjąć odpowiednie kroki. A jeśli przyznacie takie samo prawo wojskom Dahautu, nie będziemy protestować przeciwko waszej neutralności.

Książę Starling oświadczył wprost:

- Gdybyśmy pozwolili wam przejść, zrezygnowalibyśmy z rzeczywistej neutralności, a stalibyśmy się waszymi sojusznikami. Musimy wam odmówić pozwolenia, o które prosicie. Zamiast tego udajcie się na zachód, do Lallisbrook Dingle, potem na północ drogą Bladey i w ten sposób dostaniecie się do Dahautu.

Herold odpowiedział:

- Upoważniono mnie, abym odparł następującymi słowami:

„To niemożliwe! Ustąpcie z drogi i pozwólcie nam przejść albo popróbu-
jcie naszej stali”.

Rycerze Pomperolu w milczeniu rozstąpili się i obserwowali, jak lyo-
nesskie armie kroczyły na północ. Po pewnym czasie dotarły do Dahautu.

Król Casmir spodziewał się symbolicznego oporu ze strony tych, których
zwał „szarozielonymi paniczykami”, ale najazd jego wojsk rozwścieczył
zarówno niskie, jak i wysokie stany. Zamiast krótkiej potyczki, którą zapla-
nował sobie Casmir, stoczono trzy wielkie bitwy. Kosztowało go to wielu
ludzi i sporo czasu. Na polach Chastian sprawna armia prowadzona przez
brata Audry'ego, księcia Graine'a, zaatakowała najeźdźców z niepohamo-
waną zaciekłością i została pokonana dopiero po całodniowej, ciężkiej wal-
ce. Drugą bitwę stoczono pod wioską Mulvanie. Przez dwa dni wojownicy
przemieszczali się do przodu i do tyłu pomiędzy niskimi wzgórzami. Stał
trafiała na stal. Zawołania bojowe mieszały się z wrzaskami bólu. Formacje
ciężkiej jazdy ciąły pieszych wojowników, którzy stracali rycerzy z koni cio-
sami halabard i włóczni, a leżącym na ziemi podcinali ich arystokratyczne
gardła.

Armia dahaucka w końcu ustąpiła pola i wycofała się w kierunku Aval-
lonu. Król Casmir znowu mógł napawać się zwycięstwem, choć jego straty
były duże, równie dużo też stracił cennego czasu, co psuło mu plany podbo-
ju.

Dahautczycy wzmocnieni przez oddziały wezwane z Wysrodu, zajęli po-
zycje za zamkiem Meung, niedaleko Market Chantry, jakieś trzydzieści mil
na południowy zachód od Avallonu. Przez dwa dni król Casmir odpoczywał
i przeformowywał swoje oddziały. Kolejny dzień czekał na posiłki, które
przybyły z fortu Mael, po czym znowu ruszył na Dahautczyków z zamiarem
ostatecznego ich pokonania.

Armie spotkały się na Polach Dzikich Jabłoni nie opodal zamku Meung.
Dahautczyków prowadził sam król Audry. Każda strona wysłała na począt-
ku oddziały lekkiej jazdy, które miały dokuczyć wrogowi strzałami z łuków.
Ciężko zbrojni rycerze z klasycznym wsparciem piechoty za plecami stanęli
w szyku naprzeciw siebie, stał ich zbroi błyszcząca złowieszczo. Jedna po
drugiej mijały minuty złowrogię oczekiwania.

Heroldowie Dahautu we wspaniałych szaro-zielonych strojach unieśli
klarnety i zagrali słodki, przejmujący hejnał. Rycerze Dahautu opuścili ko-
pie i ruszyli do ataku w dudniącym galopie. Rycerze Lyonesse uczyli to

samo. Pośrodku Pola Dzikich Jabłoni dwa szeregi starły się ze sobą ze strasznym chrzęstem metalu wpadającego na metal i dotychczasowy porządek ustąpił miejsca wyjącemu chaosowi walących się ciał, koni stających dęba, błyszczącej stali. Szarżę rycerstwa Lyonesse wsparły oddziały piechoty i łuczników, którzy działali z niezwykłą karnością. W przeciwieństwie do nich piechota dahaucka nadeszła nie uporządkowanymi grupami i spotkała się z deszczem strzał.

Bitwa na Polach Dzikich Jabłoni była krótsza i bardziej decydująca niż dwie poprzednie. Dahautczycy, którzy byli już w dużym stopniu zniechęceni i nie spodziewali się doczekać końca dnia, musieli ustąpić wojskom Casmira.

Król Audry z resztkami swej armii wycofał się pospiesznie i schronił się w puszczy Tantrevalles, skąd nie stwarzał już niemal żadnego zagrożenia i można było sobie z nim poradzić we właściwym czasie.

Król Casmir pomaszerował na Avallon, do którego wkroczył nie napotykając na opór. Natychmiast pojechał do Falu Ffail, gdzie miał zamiar zażładać stołem Cairbra an Meadhan oraz tronem Evandig i wysłać je do Haidionu.

Casmir wszedł do cichego pałacu bez ceremonii. Od razu udał się do Hallu Bohaterów, gdzie jednak nie znalazł żadnego z mebli, które figurowały tak wysoko na liście jego ambitnych celów. Od młodego podszambelana dowiedział się, że Cairbra an Meadhan i Evandig zostały zabrane dwa dni wcześniej przez oddział troicyjskich marynarzy floty wojennej. Przenieśli oni tron i stół na troicyjski okręt i wysłali go w nieznanym kierunku.

Wściekłość omal nie powaliła Casmira z nóg. Na twarzy króla pojawił się wyraz bezgranicznej furii. Jego okrągłe, jasnoniebieskie oczy zabłysły straszliwie. Wspierając się na szeroko rozstawionych nogach i ciężką ręką przytrzymując się stojącego przed nim krzesła, Casmir błędnym wzrokiem wpatrywał się w pustą komnatę. W końcu, gdy jego myśli prawie wróciły do porządku, wykrzyczał przysięgę zemsty, która przeraziła podszambelana Tibalta.

Wreszcie Casmir się uspokoił i stał się przez to jeszcze groźniejszy niż przedtem. To Dahautczycy pozwolili, aby Aillas dopuścić się tego czynu! Gdzie były odpowiedzialne za to osoby? Casmir zapytał o to Tibalta, który był w stanie wyjąkać tylko tyle, że wszyscy ważniejsi dygnitarze z Falu Ffail uciekli z Avallonu, aby dołączyć do swego króla. Poza służbą nie było pod ręką nikogo, kogo można by ukarać.

Ku jeszcze większemu niezadowoleniu Casmira, na spienionym koniu przybył kurier z wiadomościami z Lyonesse. Armia Ulflandów zaatakowała od strony południowych stoków Teach tac Teach prowincję Przylądka Pożegnań, z której wycofano wszystkie wojska, by wzmocniły główną armię. Najeźdźcy bez żadnych trudności burzyli zamek za zamkiem i obiegi miasta Pargetta.

Casmir ocenił sytuację, w jakiej się znalazł. Rozbił armię dahaucką, skutkiem czego kontrolował Dahaut, mimo, że król Audry wciąż żył i dowodził nielicznymi, zrezygnowanymi resztkami rozbitych wojsk. Audry'ego należy wysledzić i złapać lub zabić, zanim zdąży podburzyć prowincjonalną szlachtę i zebrać wokół siebie nową armię. Chociażby z tego powodu Casmir nie mógł osłabiać własnych sił wysyłając wojska wystarczająco silne, aby mogły przegnać Ulflandczyków z prowincji Przylądka Pożegnań. Zamiast tego wysłał do fortu Mael księcia Bannoya z Tremblance, aby najszybciej, jak to będzie możliwe, utworzył tam nową armię. Miał do niej wcielić przechodzących szkolenie rekrutów i weteranów z garnizonów strzegących fortów wzdłuż wybrzeża. Te z kolei należy wzmocnić oddziałami miejscowych chłopów, które powinny być na tyle silne, aby w razie potrzeby odeprzeć najazdy troicyjskiej floty.

Bannoy miał poprowadzić nową armię na Przylądek Pożegnań i przegonić stamtąd ulflandzkich bandytów, aby skomląc i z podwiniętymi ogonami uciekli na wyżyny Troagh. W tym samym czasie wojska dowodzone przez Casmira rozprawią się ostatecznie z Dahautem.

Do Falu Ffail przybył także posłaniec z Godelii przynosząc wiadomość od króla Dartwega. Człowiek ów skłonił się z szacunkiem przed królem Casmirem, po czym rozwinął z drewnianych rolek rulon błyszczącego pergaminu z baraniej skóry. Wiadomość była spisana drobną, irlandzką uncją i nikt z obecnych nie potrafił jej odczytać, włącznie z samym posłańcem. Koniecznym stało się wezwanie irlandzkiego mnicha z pobliskiego opactwa Świętej Julii, który w końcu wybawił ich z kłopotu.

Król Dartweg pozdrowiał króla Casmira używając kilkunastu kwiecistych określeń. Potępiał wspólnych wrogów i oświadczał, że zarówno teraz, jak i w przyszłości, od początku czasu, od ostatniego mgnienia słońca, jest i będzie pokornym sprzymierzeńcem Casmira, gotowym przyłączyć się do

wspólnej walki przeciwko tyranom Audry'emu i Aillasowi, aż do ostatniego, wspaniałego zwycięstwa i podziału łupów.

Aby potwierdzić tę wierność, król Dartweg rozkazał swym niezwyciężonym, choć może nieco gwałtownym wojownikom przeprowić się przez Skyre do Północnych Ulflandów. Dzięki zręcznemu podstępowi i niespodziewanemu wypadowi od strony nadmorskich wzgórz miał nadzieję zająć starą stolicę Xounges. Osiągnąwszy tyle chciał ruszyć na południe, aby zgnieść troicyjskich intruzów. Kiedy zostaliby już wybici do nogi lub przegonieni, Godelianie zajęliby Ulflandy, zapewniając spokój królowi Casmirowi. Tak oświadczał król Dartweg, kochający przyjaciela i wiarygodny sojusznik Casmira.

Casmir słuchał z nikłym, posępnym uśmiechem na ustach, po czym sformułował kurtuazyjną odpowiedź, dziękując królowi Dartwegowi za jego zainteresowanie i życząc mu dobrego zdrowia. Pomoc króla Dartwega będzie mile widziana, ale obecnie nie można podjąć żadnych ostatecznych decyzji.

Posłaniec, którego samozadowolenie zostało przygaszone repliką Casmira, skłonił się i odszedł. Król Casmir wrócił do swych rozmyślań.

Najpierw to, co najważniejsze. A tym było ostateczne zgniecenie resztek rozbitej dahauckiej armii. Wydawało się, że to rutynowe działanie nie przysparzające większych trudności, Casmir wyznaczył więc na dowódcę wyprawę księcia Cassandra.

Król Casmir wezwał syna i poinformował go o swej decyzji, wydając mu szczegółowe i jasne polecenia. Cassander słuchał ich niechętnie, miał bowiem stosować się go rad sir Ettarda z Arquimbalu, zręcznego i doświadczonego dowódcy oraz sześciu innych starszych rycerzy, również o dowiedzionym doświadczeniu.

Książę Cassander przystąpił do dzieła. Odbywało się to jednak w takiej tajemnicy, że król Casmir raz jeszcze musiał go upomnieć, iż powinien słuchać rad sir Ettarda. Książę skrzywił się i zmarszczył brwi, ale nie zaprotestował.

Następnego ranka Cassander, w błyszczącej zbroi, ze szkarłatną peleryną i w spiczastym hełmie ozdobionym szkarłatnymi piórami, dosiadł okazałego, czarnego ogiera i poprowadził swą armię na zachód. Król Casmir zabrał się do reorganizacji nowych ziem. Przede wszystkim zarządził budowę dwunastu nowych stoczni wzdłuż ujścia rzeki Camber, gdzie miały być budowane okręty wojenne dorównujące tym, które pływały we flocie Troicintu.

Oddziały Cassandra maszerowały na zachód. Dwory i zamki podczas panowania Audry'ego wyzbyły się wszelkich militarnych funkcji, które może nawet kiedyś pełniły, i nie stawały żadnego oporu, który zresztą i tak mógłby okazać się zabójczy dla ich mieszkańców.

W miarę jak Cassander się zbliżał, Audry się cofał - coraz bardziej na północ, po drodze wzmacniając swoje oddziały. Kiedy dotarł do Marchii Zachodniej, poprowadził armię jeszcze bardziej na zachód, aż na Równinę Cieni. Armia Lyonesse szła za nim w odległości jednego dnia marszu.

Kiedy Long Dann zagroziło im dalszy marsz na zachód, możliwości Audry'ego zaczęły maleć. Jego doradcy, a przede wszystkim Claractus, książkę Marchii, nalegał na atak i w końcu król przychylił się do jego zaleceń. Uważnie wybrali teren i ukryli swe oddziały w północnym występie wielkiego lasu.

Sir Ettard podejrzewał taką możliwość i nalegał, by Cassander zatrzymał się niedaleko wioski Wyrdech i zasięgnął tam informacji oraz wysłał zwiadowców, aby można ostatecznie stwierdzić, gdzie znajduje się armia Dahautu. Sir Ettard już wcześniej parokrotnie ostrzegał Cassandra, lecz żadne z jego przeczuć się nie sprawdziło. Dlatego też Cassander nie przepadał zbyt za swym doradcą i nie ufał mu, a także winił go za to, że dotąd nie udało się im dogonić Dahautczyków. Cassander był pewien, że Audry zamierza uciec i schować się na wyżynach rozciągających się za Long Dann, gdzie mógłby przyłączyć swe siły do armii ulflandzkiej. Znacznie lepiej byłoby, upierał się Cassander, gdyby starli się z Dahautczykami, zanim uda im się zbiec jakimś tajnym przejściem przez Long Dann. Odmówił opóźnienia pochodu i rozkazał, aby przyspieszyć marsz na zachód.

Kiedy przejeżdżali przez las, z ukrycia zaatakował ich oddział dahautkich rycerzy. Gdy do Cassandra dotarło dudnienie kopyt, rozejrzał się dookoła i z przerażeniem zobaczył rycerza szarżującego w jego kierunku ze złowrogo mierzącą weń kopią. Cassander próbował zawrócić konia, ale na próżno. Kopia przebiła mu prawe ramię i zwała go z konia. Upadł ciężko na plecy pomiędzy dudniące kopyta i ścierających się ze sobą wojowników. Stary Dahautczyk z twarzą ściągniętą bojową furią ciął go toporem. Cassander wrzasnął i uchylił się. Uderzenie pozbawiło go dumnego pióropusza na hełmie. Dahautczyk krzyknął rozwścieczony i raz jeszcze zamierzył się toporem. Cassander raz jeszcze odtoczył się na bok, a jeden z jego towarzyszy

pchnął Dahautczyka mieczem, aż tryskająca krew ochlapała leżącego Cassandra. Nagle zobaczyli pochylonego w siodle króla Audry'ego, wywijającego mieczem jak człowiek nawiedzony. U jego boku, walcząc z równym zapalem, jechał książę Jaswyn. Za nimi pędził młody herold na białym koniu dzierżąc wysoko szaro-zielony proporzec. Rozgorzała walka. Strzała trafiła księcia Jaswyna w oko. Upuścił miecz, przycisnął ręce do twarzy, powoli zaczął się zsuwać z konia. Zdążył umrzeć, zanim spadł na ziemię. Audry jęknął przeraźliwie. Głowa opadła mu na piersi, miecz zwiśł bezwładnie. Podążający za nim młody herold został trafiony strzałą w pierś. Szaro-zielony proporzec zachwiał się i upadł. Król Audry wezwał do odwrotu i Dahautczycy schowali się w lesie.

Ponieważ Cassander był ranny, sir Ettard objął dowództwo i powstrzymał żołnierzy przed pościgiem przez las, z obawy przed stratami, jakich z pewnością doznaliby od strzał wymierzonych z ukrycia i zasadzek po drodze. Cassander siedział na martwym koniu trzymając się za ramię, z białą twarzą ściągniętą licznymi emocjami: bólem, urażoną godnością, strachem na widok takiej ilości krwi i mdłościami, które zmusiły go do wymiotowania, nawet kiedy podszedł do niego sir Ettard.

Sir Ettard przyglądał mu się z brwiami wygiętymi w pełne zamyślenia łuki.

- A teraz co? - krzyknął Cassander. - Dlaczego nie zarządzić pościgu i nie wykończyć tych nędzników?

Sir Ettard wyjaśniał cierpliwie:

- Jeśli nie będziemy się poruszać z lisią ostrożnością stracimy dwóch ludzi na ich jednego - wyjaśnił cierpliwie sir Ettard. - To byłoby głupie i niepotrzebne.

- Ach! - krzyknął Cassander z bólu, kiedy jeden z heroldów opatrywał mu ramię. - Delikatniej, błagam cię! Nadal czuję pchnięcie tej kopii! - Ze skrzywioną z bólu twarzą zwrócił się do sir Ettarda. - Nie możemy tu tkwić! Jeśli Audry nam ucieknie, zostanę pośmiewiskiem dworu! Ruszajcie za nim, do lasu!

- Będzie, jak każesz!

Armia Lyonesse ostrożnie udała się w głąb lasu, ale nie napotkała na żaden opór ze strony Dahautczyków. Niezadowolony Cassandra powiększał pulsujący ból w ramieniu. Zaczął kląć pod nosem.

- Gdzie są ci tchórzliwi nędznicy! Dlaczego się nie pokażą?

- Nie chcą zostać zabici - powiedział sir Ettard.

- Może i tak, ale w ten sposób sprzeciwiają się moim życzeniom! Czy zagnieździli się gdzieś na drzewach?

- Prawdopodobnie udali się tam, gdzie podejrzewam.

- A gdzie to jest?

Nadjechał zwiadowca.

- Wasza Wysokość, odkryliśmy ślady Dahautczyków! Skierowali się na zachód, tam, gdzie las wychodzi na równiny.

- Co to znaczy? - krzyknął zaskoczony Cassander. - Czy Audry jest na tyle nierozumny, aby ważyć się na kolejny atak?

- Myślę, że nie - powiedział sir Ettard. - Podczas kiedy my wlecemy się przez las niuchając po wszystkich dziurach, Audry ucieka na wolność!

- Jak to? - zapytał zdziwiony Cassander.

- Za równinami jest Poëlitetz! Czy muszę mówić coś jeszcze?

Cassander syknął przez zęby.

- Ból w ramieniu przeszkadza mi myśleć. Zapomniałem o Poëlitetz! Szybko więc! Z lasu!

Wydostawszy się raz jeszcze na Równinę Cieni, Cassander i sir Ettard dojrzeli wlekącą się dahaucką armię. Była już w połowie drogi do urwiska. Sir Ettard wraz z rycerzami i jazdą rzucili się w pościg. Cassander, nie będąc w stanie jechać tak szybko, został z piechotą.

Wielkie wrota prowadzące do Poëlitetz widniały jak czarna plama u podstawy Long Dann. Pozostała część fortecy, zbudowana z miejscowej skały, wyglądała jak naturalna część urwiska.

Niemal przed samym Poëlitetz sir Ettard i jego jeźdźcy dogonili Dahautczyków. Wywiązała się krótka walka, w której stracił życie król Audry i kilkunastu jego najwaleczniej szych rycerzy, a także wielu innych próbujących bronić odwrotu rozbitych oddziałów do Poëlitetz.

W końcu w twierdzy opuszczono kratę. Kawaleria lyoneska zawróciła, aby uniknąć strzał, wypuszczanych przez łuczników z murów fortecy. Na równinie pod urwiskiem pozostało okrutne pobojowisko, ciała martwych i umierających.

Ponownie uniesiono kratę. Pojawił się herold z białą flagą, z za nim kilkunastu wojowników. Podeszli do ciał i zaczęli kopać groby dla przyjaciół i wrogów. Rannych przeniesiono do fortecy, aby pomóc im na tyle, na ile będzie to możliwe.

Tymczasem nadciągnęła reszta armii Lyonesse i rozbiła obóz na Równinie Cieni, nie dalej niż o strzał z łuku od fortecy.

Cassander kazał ustawić na wzgórzu, największy namiot, dokładnie przed wrotami do fortecy. Ulegając sir Ettardowi wezwał doń swych doradców.

Podczas godzinnej dyskusji przerywanej rykami i przekleństwami rzuconymi przez Cassandra rozważono ich obecną pozycję. Wszyscy się zgodzili, że z honorem wypełnili swe zadanie i mogliby wracać na wschód. Uczyniliby to natychmiast, gdyby to zależało od nich. Król Audry leżał martwy na Równinie Cieni, a jego armia została zredukowana do nędznej gromadki. Ale pozostało jeszcze coś do osiągnięcia, co mogłoby przynieść im większą chwałę. Niemal w zasięgu ręki leżały kusząco bezbronne Północne Ulflandy. Przyznano, że Long Dann broni do nich wstępu, a jedyna droga wiedzie przez fortecę Poëlitetz.

Jednakże należy wziąć pod uwagę jeszcze jedno, argumentowali doradcy. Godelianie znajdowali się obecnie w stanie wojny z królem Aillasem i najechali już na Północne Ulflandy. Można wobec tego wysłać posłańca do króla Dartwega nalegając, aby ruszył na Poëlitetz i zaatakował fortecę od tyłu, gdzie nie była tak niedostępna. Gdyby Poëlitetz padło, wtedy zarówno Północne, jak i Południowe Ulflandy stanęłyby otworem przed armiami Lyonesse.

Była to możliwość zbyt korzystna, aby można ją było zignorować, zwłaszcza, że konsekwencją jej umiejętnego wykorzystania mogłyby być zwycięstwa znacznie przekraczające oczekiwania króla Casmira. W końcu podjęto decyzję, aby zbadać sytuację.

Żołnierze rozpalili ogniska i przydzielono im wieczorne racje. Rozstawiono strażę, a reszta armii udała się na spoczynek.

Nad wschodnią krawędzią Równin Cieni wzeszedł okrągły księżyc. W największym namiocie sir Ettard i jego towarzysze zmęczeni pościągali zbroje, rozłożyli końskie derki i ułożyli się do snu na tyle wygodnie, na ile to było możliwe. Cassander siedział we własnym namiocie, gdzie złopał wino i jadł sproszkowaną korę wierzby, aby złagodzić ból w zranionym ramieniu.

Rankiem sir Heaulme i trzej zbrojni udali się na północ, aby odnaleźć króla Dartwega i nakłonić go do ataku na Poëlitetz. Podczas ich nieobecności zwiadowcy mieli sprawdzić czy przez urwisko Long Dann wiedzie inna droga umożliwiająca przedostanie się na wyżynne wrzosowiska.

Tymczasem garnizon fortecy zatroszczył się o rozbitków z dahauckiej armii i uważnie obserwował poczynania oddziałów lyonesskich.

Minął dzień, potem jeszcze jeden. W południe trzeciego dnia przybył do Poëlitetz król Aillas z silnym oddziałem żołnierzy ulflandzkich. Przybył zupełnie przypadkowo. Wiadomości o wtargnięciu do Ulflandów króla Dartwega dotarły do niego podczas pobytu w Doun Darric, tam też zebrał następnie siły, aby przeciwstawić się najeźdźcom. O armii Casmira dowiedział się na dzień przed przybyciem do fortecy. Dartweg próbował zdobyć miasto Xounges, ale obrona była dla niego zbyt silna i udał się na zachód łupiąc i grabiąc po drodze. W końcu dotarł do wybrzeży zajętych przez Skalradów. Zapominając o wszelkim rozsądku i rozwadze Celtowie najechali na ich terytorium. Oddziały skalradzkie uderzyły w nich jak pioruny, raz za razem. Zabito króla Dartwega, a przerażone resztki jego wojsk zostały zepchnięte ponownie na wyżyny Północnych Ulflandów i do Skyre. Potem zadowoleni z siebie Skalradzi wrócili na wybrzeże, tak że kiedy Aillas przybył do Poëlitetz, zagrożenie ze strony Celtów już nie istniało, a on sam mógł przyglądać się lyonesskiej armii rozłożonej obozem przed twierdzą.

Aillas spacerował po murach spoglądając na równinę i rozłożony na niej lyonesski obóz. Oceniał liczbę rycerzy, lekkiej i ciężkiej jazdy, oszczepników i łuczników. Górowali nad jego wojskami zarówno liczbą, jak i uzbrojeniem. Nawet licząc Dahautczyków nie mógł sobie pozwolić na frontalny atak.

Aillas myślał długo i głęboko. Z ponurego okresu swojej przeszłości przypomniał sobie tunel, który prowadził z podziemi Poëlitetz do wzgórza na równinie, na którym dowódcy armii lyonesskiej rozbili swój namiot.

Aillas zszedł z trudem przypominaną sobie drogą do pomieszczeń w podziemiu, pod głównym dziedzińcem. Przyświecając sobie pochodnią stwierdził, że tunel jak był, tak jest, a na dodatek w całkiem dobrym stanie.

Aillas wybrał kilkunastu zawziętych ulflandzkich wojowników, którzy nie przejmowali się zbyt zasadami rycerskiej walki. O północy przeszli tunelem i cicho wydostali się na powierzchnię na drugim jego końcu. Przekradając się w cieniu, unikając światła księżyca, weszli do namiotu, w którym chrapali lyonesscy dowódcy i zabili ich podczas snu, włącznie z sir Etardem.

Tuż za namiotem zbudowano zagrodę dla koni. Napastnicy zabili strażników, rozbili ogrodzenie i wypędzili konie na równinę. Potem tą samą

drogą, którą przyszli, powrócili do fortecy.

W pierwszych promieniach słońca wrota Poëlitetz otworzyły się i armia ulflandzka, wzmocniona resztkami wojsk dahauckich, ruszyła na równinę, gdzie uformowała szyk bojowy i zaatakowała lyonesski obóz. Wobec braku dowództwa i koni armia Lyonesse stała się zdezorientowaną masą bezładnie biegnących mężczyzn, zaspanych i zbitych z tropu. Została rozgromiona. Ci, co przeżyli, porzucając wszystko zbiegli na wschód ścigani przez mściwych Dahautczyków, którzy nie okazywali litości i zabijali ich w biegu. Losu tego nie uniknął również książę Cassander.

Wypuszczone wcześniej konie zostały z powrotem zagonione do zagrody. W zdobytą broń i zbroje Aillas wyposażył nowe oddziały ciężkiej jazdy i bez ociągania ruszył na wschód.

III

W Falu Ffail król Casmir odbierał codzienne wiadomości docierające doń ze wszystkich zakątków wysp Elder. Przez pewien czas nie było wśród nich nic, co mogłoby go rozgniewać lub zakłócić spokojny sen. Parę spraw nie zostało do końca wyjaśnionych, jak chociażby ulflandzka okupacja wybrzeży Przylądka Pożegnań, ale były to jedynie tymczasowe trudności, które miały zostać zlikwidowane w odpowiednim czasie.

Z zachodu Dahautu ciągle nadchodziły dobre wiadomości. Król Dartweg z Godelii najechał na Północne Ulflandy odpłacając tym „za ulflandzki najazd na prowincję Przylądka Pożegnań. Wielka armia księcia Cassandra kontynuowała swój pochód na zachód nękając bezradnego króla Audry'ego. Zgodnie z ostatnimi doniesieniami, Dahautczycy zostali zepchnięci na równiny pod Long Dann i nie mieli dokąd dalej uciekać. Koniec, jak się wydawało, był bliski.

Następnego ranka przybył posłaniec z południa. Przynosił niezbyt dobre wieści. Troicyjskie okręty wpłynęły do portu w Bulmer Skeme. Oddziały troicyjskie zeszyły na ląd i zburzyły zamek Spanglemar, a obecnie panowały już nad miastem. Co gorsza, dochodziły wieści, że Troicyjczycy zdobyli też Slute Skeme i południowy kraniec drogi Icnield, skutkiem czego panowali nad księstwem Folize.

Casmir walnął pięścią w stół. Tego nie można było dłużej tolerować. Aillas zmuszał go do podjęcia niewygodnych decyzji. Ale nie było na to rady, trzeba było pozbyć się troicyjskich wojsk zajmujących księstwo Folize. Casmir wysłał kuriera do księcia Bannoya rozkazując mu wzmocnić armię wszelkimi możliwymi środkami, powołać zarówno rekrutów, jak i weteranów. Wszyscy mieli pomaszerować na południe i przepędzić Troicyjczyków z księstwa Folize.

Tego samego dnia, którego Casmir wysłał kuriera do księcia Bannoya, przybył posłaniec z zachodu z wiadomościami o rozbiciu Celtów i śmierci króla Dartwega, co znaczyło, że król Aillas i jego ulflandzkie armie nie będą dłużej zajęte walką z Celtami.

Po dwóch dniach późnym popołudniem przybył drugi posłaniec z zachodu przynosząc wieści, które zdawały się zmieniać wszystko. W bitwie pod Long Dann zginął książę Cassander, a jego wielka armia została doszczętnie rozbita. Z paru tysięcy dumnych wojowników pozostało zaledwie kilkuset. Chowali się po dziurach, przemykali się przez lasy, wlekli się bocznymi drogami poprzebierani za wiejskie kobiety. W tym czasie król Aillas wraz ze swymi ulflandzkimi oddziałami i odbudowywaną armią dahaucką, maszerował szybko na wschód wciąż przybierając na sile.

Przez godzinę Casmir siedział ponuro zamyślony, ogłuszony rozmiarem katastrofy. W końcu jęknął ciężko i zabrał się do tego, co trzeba było zrobić. Jeszcze nie wszystko było stracone. Wysłał kolejnego posłańca na południe do księcia Bannoy, rozkazując mu wycofać się z Folize i ruszyć na północ drogą Icnield zaciągając wciąż nowych ludzi. Do armii miał się przyłączyć każdy rycerz będący w stanie utrzymać miecz w dłoni, wyszkolony garnizon fortu Mael, starzejący się weterani i chłopci wiedzący, jak posługiwać się łukiem. Bannoy miał sprowadzić tę wielką armię jak najprędzej na północ, aby mogła uderzyć na nadchodzące z zachodu oddziały króla Aillasa.

Bannoy, który zaszedł już daleko na południe drogą Icnield w kierunku Slute Skeme, zmuszony został do powrotu drogą, którą właśnie przyszedł, co okazało się nader trudne. Oddziały troicyjskie i dascyjskie, przeciwko którym został wysłany na południe, podążały teraz za nim na północ i nękały tyły jego armii uderzeniami lekkiej jazdy. Z tego powodu Bannoy bardzo wolno podążał na spotkanie z królem Casmirem, który zdążył już opuścić Avallon uciekając przed zbliżającą się armią króla Aillasa.

Król Casmir przyłączył się do armii Bannoya nie opodal miasta Lumarth i rozbił obóz na pobliskiej łące.

Król Aillas zdecydowanie i spokojnie prowadził swoje wojska i zatrzymał się pod Garland's Green, dziesięć mil na zachód od Cambermouth i parę mil na północny zachód od Lumarth. Zdawało się, że Aillasowi niespiesznie do starcia z królem Casmirem, który z kolei z ulgą przyjmował to opóźnienie, ponieważ pozwalało mu ono lepiej przeorganizować własne siły. Mimo to Casmir, coraz bardziej zakłopotany, zastanawiał się wciąż nad powodem ociągania się Aillasa. Na co on czekał?

Wkrótce zrozumiał na co? Troicyjczycy i Dascyjczycy, którzy zajęli księstwo Folize, byli teraz bardzo blisko. Przyłączyła się do nich cała potęga Pomperolu, Blalocu, a także byłego królestwa Caduz, które wcześniej podbił Casmir. Były to przerażające armie, wiedzione nienawiścią. Zbliżający się wojownicy walczyli jak nawiedzeni szaleńcy. Połączone siły kierowały się na północ ze złowieszczym uporem, a armia Aillasa złożona z Ulflandczyków i Dahautczyków ruszyła w kierunku Lumarth.

Casmir nie miał wyboru; musiał zmienić pozycję, aby uniknąć zmiążdżenia pomiędzy dwoma potężnymi siłami. Rozkazał wycofywać się na wschód, w kierunku ujścia rzeki Camber. Jak się okazało, tylko po to, aby otrzymać wiadomość, że czterdzieści troicyjskich okrętów wojennych i dwadzieścia transportowych wyładowało tam na brzeg troicyjską i dascyjską ciężką piechotę wspomaganą przez łuczników ze Scoli. Teraz wrogie armie zagrażały Casmirowi z trzech stron.

Zupełnie zdesperowany rozkazał zaatakować całymimi siłami armię Aillasa, która była najbliższą i częściowo składała się z resztek żołnierzy dahauckich, których Casmir przegonił już przez cały ich kraj. Dwie armie spotkały się na kamienistej przestrzeni zwanej pustkowiami Breeknock. Żołnierze Casmira wiedzieli, że walczą o przegraną sprawę, wobec czego ich atak był pozbawiony siły, niemal tchórzliwy, i natychmiast został odparty. Pozostałe dwie armie już przybyły i Casmir znalazł się w potrzasku pomiędzy wszystkimi trzema. Uświadomił sobie, że ten dzień nie należał już do niego. Większość jego niedoświadczonych żołnierzy została zabita w ciągu pierwszych dziesięciu minut, wielu się poddało, wielu uciekło, a wraz z nimi król Casmir. W małej grupie wysokiej rangi rycerzy, giermków i żołnierzy wydostał się z pola bitwy i uciekał na południe. Jego jedyną nadzieją było teraz dostanie się do miasta Lyonesse, gdzie zająłby jakąś rybacką łódź, którą

próbowałby się przedostać do Akwitanii.

Casmir i jego towarzysze zostawili pościg daleko za sobą i po pewnym czasie bez przeszkód wjechali przez Sfer Arct do miasta Lyonesse.

Na placu Parad Casmir skierował się w stronę Haidionu, gdzie czekała go gorzka niespodzianka. Oddziały troicyjskie dowodzone przez sir Yane'a pokonały osłabiony miejscowy garnizon parę dni wcześniej i teraz okupowały miasto.

Casmir został bezceremonialnie zakuty w kajdany i zabrany do Peinhadoru, gdzie wrzucono go do najgłębszego i najwilgotniejszego z trzydziestu trzech lochów. Pozostawiono go tam, aby rozmyślał o zmiennościach losu i nieprzewidywanych zachciankach przeznaczenia.

IV

Na wyspach Elder zapanował spokój. Ludzie byli wyczerpani, pogrążeni w bólu i żalości. Casmir tkwił w lochu, z którego Aillasowi nie spieszo było go uwolnić. Pewnego, mroźnego, zimowego poranka otwarto przed nim drzwi lochu i poprowadzono go do wielkiego pniaka za Peinhadorem. Tam ścięto mu toporem głowę, a zrobił to Zerling, jego własny kat, który zresztą również siedział w lochu. Pozostali więźniowie, po przeprowadzeniu dokładnych dochodzeń, zależnie od swoich przewinień byli uwalniani lub osadzani ponownie w Peinhadorze. Królowa Sollace została wsadzona na pokład statku i wysłana do Benwick w Armoryce. W swoim bagażu wiozła antyczny, błękitny kielich o dwóch rączkach i obtłuczonym brzegu, który darzyła wielką czią. Pozostał on w jej posiadaniu przez kilka lat, a potem go skradziono, co doprowadziło ją do takiej rozpacz, że odmawiała jedzenia i picia i wkrótce umarła.

Kiedy Troicyjczycy zajęli miasto Lyonesse, ojciec Umphred ukrył się w podziemiach nowej katedry. Po odjeździe królowej Sollace był zdesperowany i postanowił ruszyć w jej ślady. Pewnego szarego i wietrznego poranka wsiadł do łodzi rybackiej i zapłacił rybakowi trzema złotymi koronami za przewiezienie go do Akwitanii.

Yane, zgodnie z poleceniem Aillasa szukał wszędzie Umphreda i tylko czekał na taką okazję. Dowiedział się o próbie ucieczki i poinformował o tym

Aillasa. Weszli na pokład szybkiej galery i ruszyli w pościg. Dziesięć mil od portu dogonili łódź rybacką i wysłali na nią dwóch marynarzy. Rozczarowanym wzrokiem Umphred spoglądał, jak się zbliżali. Silił się na swobodę i lekki uśmieszek, ale nerwowo kręcił palcami.

- A to miła niespodzianka! - zawołał.

Dwaj marynarze sprowadzili Umphreda na pokład galery.

- Doprawdy, to dla nas wszystkich wielka niedogodność - powiedział ojciec Umphred. - Ja opóźnię swoją podróż, a wy musicie wystawiać się na podmuchy tego, ostrego morskiego wiatru.

Aillas i Yane rozglądali się po pokładzie, podczas gdy Umphred ze swadą wyjaśniał im swą obecność na rybackiej łodzi.

- Skończyłem swe dzieło na wyspach Elder! Udało mi się tu wiele osiągnąć, ale teraz muszę ruszać dalej!

Yane przywiązał linę do żelaznej kotwicy. Umphred zaczął się tłumaczyć jeszcze gwałtowniej niż przedtem.

- Prowadziło mnie święte powołanie! Widziałem na niebie znaki i odczytywałem przepowiednie znane tylko mnie! Aniołowie szeptali do mych uszu!

Yane zwinął linę i ułożył ją porządnie, aby mogła się swobodnie rozwinąć.

- Mam na swym koncie wiele różnorodnych dobrych uczynków! - mówił Umphred. - Często sobie przypominam, jak wielbiłem księżniczkę Suldrun i pomagałem jej w potrzebie!

Yane przywiązał koniec liny do szyi Umphreda.

- Moja praca nie została nie zauważona! - ciągnął coraz szybciej Umphred. - Sygnały z nieba kazały mi kroczyć wybraną drogą, abym mógł osiągnąć dalsze zwycięstwa w imię Wiary!

Dwóch marynarzy chwyciło za kotwicę i przyciągnęło ją do burty. Głos Umphreda stał się niesamowicie piskliwy.

- Będę odtąd żył jak pielgrzym! Będę żył jak dziki ptak, w biedzie i abstynencji!

Yane zamyślony odciął sakiewkę, którą Umphred miał przywiązaną do pasa. Otworzywszy ją znalazł w niej błyszczące złoto i drogie kamienie.

- Gdziekolwiek byś się wybierał, z pewnością nie będziesz potrzebował tego bogactwa.

Aillas spojrział w niebo.

- Księżę, to zimny dzień jak na twoją kąpiel, ale tak musi być. - Cofnął się.

Yane pchnął kotwicę za burłę.

Lina wyprężyła się i pociągnęła Umphreda zmuszając go do chwiejnego biegu po pokładzie. Zaciśnięła dłonie na krawędzi burty, ale palce mu się ześlizgnęły. Lina przeciągnęła go na drugą stronę. Uderzył z pluskiem w wodę i zniknął.

Aillas i Yane wrócili do miasta Lyonesse i więcej nie wypowiedzieli słowa o ojcu Umphredzie.

V

Aillas wezwał członków wielkich rodów do Haidionu. Na zebraniu w monumentalnej Komnacie Sprawiedliwości wydał zarządzenie:

- Nie jestem w stanie wyrazić wszystkiego, co czuję - powiedział. - Będę mówił krótko, a wy usłyszycie moje przesłanie w prostych słowach, choć jego skutki będą miały duże znaczenie.

Kosztom krwi, bólu i żałoby przekraczającej wszelkie dotychczasowe doświadczenia, na wyspach Elder znowu panuje pokój. Mówiąc wprost, zostały one zjednoczone przez jednego władcę: przeze mnie. Jestem przekonany, że stan ten będzie trwały i utrzyma się na zawsze lub przynajmniej na tyle, na ile potrafimy wybiec myślą w przyszłość.

Jestem teraz królem wysp Elder. Kestrel z Pomperolu i Milo z Blaloc muszą wobec tego używać odtąd tytułów wielkich książąt. Raz jeszcze Godelia stanie się prowincją Fer Aquili, nastąpi też wiele innych podziałów. Skalradzi pozostaną niezależni na zajmowanych przez nich wybrzeżach. Tak głosi zawarty z nimi układ.

Będziemy utrzymywać jedną armię, która nie musi być wielka, ponieważ nasza flota będzie chroniła nas przed atakami z zewnątrz. Będzie tylko jedno prawo, takie samo dla wysoko i nisko urodzonych, bez względu na posiadane bogactwa.

Aillas rozejrzał się po komnacie.

- Czy ktoś chce zaprotestować lub sprzeciwić się? Niech powie wszystko teraz, chociaż ostrzegam, że wszelkie argumenty w obronie starych czasów wypowiedziane zostaną na marne.

Nikt się nie odezwał. Aillas mówił dalej:

- Nie będę rządził z Miraldry, która jest zbyt odległa, ani z Falu Ffail,

który jest zbyt okazały, ani również z Haidionu, w którym nawiedza mnie zbyt wiele smutnych wspomnień. Przenoszę stolicę na zamek Flerency nie opodal wioski Tatwillow, tam gdzie Stary Trakt spotyka się z drogą Icnield. Miejsce to będzie znane jako Alcyone. Tam postawiony zostanie tron Evandig, tam też będą jadał z mymi paladynami przy Cairbra an Meadhan, a mój syn Dhrun po mnie, zaś jego synowie po nim. W taki sposób na wyspach Elder będzie panował pokój, a żadna kobieta ani mężczyzna nie będą twierdzić, że nie odplacono im za wyrządzone im krzywdy.

VI

Zamek Miraldra w Domreis nie mógł dłużej służyć Aillasowi i jego dworowi. Haidion, gdzie osiadł tymczasowo, przytłaczał go, wywoływał melancholię i smutne wspomnienia. Zmuszony był się stamtąd wyprowadzić, na tyle szybko, na ile to było możliwe, do Ronart Cinquelon, blisko nowego pałacu Alcyone.

Aillas ściągnął z Domreis do miasta Lyonesse wszystkich swoich ministrów na pokładzie galeasu *Flor Velas*, aby pomogli mu w organizacji nowej siedziby. Madouc, która czuła się samotna i zaniedbana na wilgotnym zamku Miraldra, weszła nie zapraszana na pokład *Flor Velas* i przybyła wraz z innymi do Lyonesse. Po ministrów przyjechały powozy, które zabrały ich natychmiast w podróż do Ronart Cinquelon, Madouc natomiast została sama na przystani.

- Jeśli tak już musi być, to niech tak będzie - powiedziała do siebie i ruszyła pieszo przez Sfer Arct.

Nad nią wznosił się Haidion. Masywny, szary i ponury. Madouc weszła po stopniach na taras i podeszła do głównego wejścia. Zbrojni strażnicy odziani byli teraz w czerwono-ochrowe kolory Troicinetu, zamiast w lyoneską zieleń i fiolet. Kiedy podeszła, stanęli na baczność i stuknęli okutymi końcami halabard, a jeden z nich otwarł jej drzwi, ale poza tym nie zwrócili na nią większej uwagi.

Hall przyjęć był pusty. Haidion wydawał się jedynie cieniem samego siebie z przeszłości, chociaż miejscowa służba, nie mając żadnych rozkazów na ten temat, jak dawniej po cichu wykonywała swoje obowiązki.

Od lokaja Madouc dowiedziała się, że zarówno Aillas, jak i Dhrun byli nieobecni, ale dokąd się udali i kiedy wróca, tego lokaj nie potrafił jej powiedzieć.

Nie mając nic lepszego do roboty Madouc poszła do swych starych komnat, które pachniały kurzem, gdyż od dawna w nich nikt nie mieszkał. Otworzyła szeroko okiennice, aby wpuścić do środka światło i świeże powietrze, po czym rozejrzała się po komnacie. Wyglądała jak miejsce pamiętane z jakiegoś snu.

Madouc nie przywiozła z Miraldry żadnego bagażu. W szafie znalazła rzeczy, które tam zostawiła, ale zdziwiła się widząc, jak małe i ciasne się zrobiły. Roześmiała się smutno, aż coś ścisnęło ją w gardle.

- Zmieniłam się! - powiedziała do siebie. - Oj, jak bardzo się zmieniłam! - Cofnęła się przyglądając się pokojowi. - Co się stało z tym długonogim chudzielcem, który tu mieszkał, wyglądał przez to okno i ubierał się w te rzeczy?

Wyszła do hallu i wezwała służkę, która ją rozpoznała i zaczęła lamentować nad tragicznymi zmianami, które nastąpiły w pałacu. Madouc szybko straciła cierpliwość.

- Niewątpliwie wszystko zmieniło się na lepsze! Masz szczęście, że żyjesz, masz dach nad głową, podczas gdy tak wielu innych umarło i nie ma się w co ubrać! A poza tym pragnę się wykapać, przygotuj mi więc ciepłą wodę i porządne mydło.

Od szwaczki Madouc dowiedziała się, dlaczego Aillas i Dhrun wyjechali z Haidionu. Udali się do Watershade w Troiciniecie, gdzie Glyneth miała niedługo powić dziecko.

Dni mijały dość miło. Madouc została wyposażona w kilkanaście nowych, ślicznych sukienek. Odnowiła znajomość z bibliotekarzem Kercem. Pozostał w Haidionie razem z niewielką liczbą dworzan i ich żon, którym z różnych powodów pozwolono zostać, między innymi dlatego, że nie mieli się dokąd udać. Pomiędzy tymi, którzy nadal trzymali się dworu, były trzy panny, które kiedyś towarzyszyły Madouc: Devonet o złotych włosach, śliczna Ydraint oraz Felicja. Początkowo trzymały się ostrożnie na uboczu, później jednak przeczuwając możliwość określonych korzyści, zaczęły się przymilać pomimo braku jakiegokolwiek serdeczności ze strony Madouc.

Szczególnie wytrwała w tych poczynaniach była Devonet, która postanowiła przypomnieć Madouc dawne czasy.

- To były naprawdę cudowne dni! A teraz przepadły na zawsze!

- A cóż to za „cudowne dni”?
- Czyżbyś nie pamiętała? Tak świetnie się razem bawiliśmy!
- Bawiłaś się świetnie obwołując mnie bękartem, pamiętam to wystarczająco dobrze. Mnie to jakoś wcale nie bawiło.

Devonet zachichotała i spojrzała w bok.

- To była tylko taka głupia zabawa, nikt nie traktował tego poważnie.
- Oczywiście, że nie, skoro nikt poza mną nie był przezywany bękartem. Zresztą przez większość czasu i tak was ignorowałam.

Devonet westchnęła z ulgą.

- Jestem szczęśliwa, że to słyszę, ponieważ mam nadzieję znaleźć dla siebie miejsce na nowym dworze.

- Masz na to niewielkie szanse - powiedziała ostro Madouc. - I możesz nadal twierdzić, że jestem bękartem.

Devonet przyłożyła ręce do ust, jakby była przestraszona.

- Teraz, kiedy wiem lepiej, nie odważyłabym się być taka niegrzeczna.

- Dlaczego nie? - zapytała rozsądnie Madouc. - Prawda jest prawdą.

Devonet zamrugnęła oczami próbując zrozumieć wszystkie podteksty wypowiedzianych przez Madouc uwag.

- Więc nigdy nie poznałaś imienia swojego ojca? - zagadnęła ostrożnie.

- Poznałam jego imię, i to dosyć dobrze. Przedstawił się mojej matce jako sir Pellinore. Jednakże jeśli nie złożyli przysięgi małżeńskiej niemalże w tej samej chwili, w której się poznali, a moja matka nie przypomina sobie takiej ceremonii, to nadal jestem bękartem.

- Co za szkoda, po tak długim poszukiwaniu rodowodu i szlachtetnej rodziny!

Madouc westchnęła.

- Przestałam się tym przejmować, ponieważ i tak nigdy nie będzie to mi pisane. Być może sir Pellinore nadal istnieje, ale podejrzewam, że nigdy go nie poznam.

- Nie musisz się martwić! - oświadczyła Devonet. - Teraz będę twoją przyjaciółką.

- Przepraszam - powiedziała Madouc. - Muszę cię zostawić, przypominałam sobie o czymś.

Poszła do stajni, aby poszukać sir Pom-Poma. Dowiedziała się, że zginął w bitwie na pustkowiu Brecknock.

Powoli wróciła do zamku rozmyślając po drodze.

- Światu będzie teraz brakowało sir Pom-Poma z jego wesołym usposobieniem! Zastanawiam się, gdzie może teraz być? Czy w ogóle gdzieś jest? Czy to możliwe, aby ktoś był „nigdzie”? - Zastanawiała się nad tym przez ponad godzinę, ale nie mogła znaleźć rozstrzygającej odpowiedzi.

Tego samego popołudnia odkryła, że do Haidionu przybył Shimrod. Był z Aillasem i Dhrunem w Watersshade i przywiózł wiadomość, że Glyneth urodziła dziewczynkę, księżniczkę Serie. Doniósł, że Aillas i Dhrun przypłyną za dzień lub dwa. Glyneth miała zostać w Watersshade jeszcze przez miesiąc.

- Nie mam cierpliwości do podróżowania konno albo statkiem - oznajmił Shimrod. - Kiedy się dowiedziałem, że jesteś w Haidionie, w jednej chwili zdecydowałem się do ciebie przyłączyć, a w drugiej już byłem tutaj.

- Cieszę się, że tu jesteś - powiedziała Madouc. - Chociaż, prawdę mówiąc, bardzo dobrze bawiłam się sama.

- Czym się zajmowałaś?

- Dni mijają bardzo szybko. Chodzę do biblioteki, gdzie rozmawiam z bibliotekarzem Kercem i czytam książki. Kiedyś wyszłam przez krużganki i Bramę Zoltry na Urquial. Podeszłam blisko do Peinhadoru, tak że kiedy spojrzałam na ziemię, mogłam sobie wyobrazić króla Casmira siedzącego głęboko w ciemnościach. Na tę myśl poczułam się nieswojo. Przeszłam z powrotem przez Urquial i popchnęłam starą bramę, chcąc popatrzeć na ogród Suldrun, ale nie zeszałam na dół ścieżką. Tam było za cicho. Dzisiaj zajrzałam do stajni i dowiedziałam się, że biedny sir Pom-Pom zginął w Dahaucie i nigdy go już nie spotkam. Niemal nie mogę w to uwierzyć, był taki żywotny i pełen głupich pomysłów. Jego życie zaledwie się zaczynało, kiedy się skończyło.

- Kiedyś rozmawiałem na podobny temat z Murgeniem - rzekł Shimrod. - Jego odpowiedź nie była zbyt jasna i kłopotce mnie do dzisiaj, przynajmniej w jakiejś części.

- Co powiedział?

- Najpierw rozparł się wygodnie w krześle i spojrzał w ogień. Potem powiedział: „Życie to szczególny dar, pełen własnych wymiarów. A jednak, gdybyś miał żyć milion lat cały czas przyjemnie wysilając umysł, ducha i ciało, tak że każdego dnia odkrywałbyś nowe cuda, rozwiązywał starożytną zagadkę lub podejmował wyzwanie, wtedy nawet za jedną godzinę spędzoną beczynnie, biernie i bezowocnie byłbyś tak samo odpowiedzialny, jak

zwykły człowiek, który ma swoje marnych parę lat do przeżycia”.

- Hmm mruknęła Madouc. - Nie powiedział nic konkretnego, przynajmniej tak mi się wydaje.

- Ja również tak to odebrałem - powiedział Shimrod. - Jednakże nie powiedziałem Murgenowi o swych wątpliwościach.

- Być może był zakłopotany twoim pytaniem i udzielił ci pierwszej odpowiedzi, jaka mu przyszła na myśl - powiedziała zamyślona Madouc.

- Możliwe. Jesteś sprytną dziewczynką, Madouc! Uznam teraz tę sprawę za nierozwiązywalną zagadkę i postaram się o niej zapomnieć.

Dziewczynka westchnęła.

- Chciałabym też tak umieć.

- A co to za tajemnice tak wielce cię kłopotczą?

- Po pierwsze, zastanawiam się, gdzie będę mieszkać. Nie zamierzam zostać w Haidionie. Miraldra jest zbyt wilgotna, zbyt mglista i jest za daleko. Watersshade jest piękne i spokojne, ale tam się nic nie dzieje i pewnie czułabym się samotna.

- W Trildzie również czasami czuję się samotny - wyznał Shimrod. - Odwiedź mnie tam. Możesz zostać, jak długo będziesz chciała, a przynajmniej dopóki Aillas nie wybuduje nowego pałacu. Dhrun często by do nas przyjeżdżał i na pewno nie czułabyś się samotna.

Madouc nie mogła opanować podniecenia.

- I uczyłbyś mnie czarów?

- Tyle, ile chciałabyś się nauczyć. Nie jest to łatwe i, prawdę mówiąc, często przekracza możliwości tych, którzy tego próbują.

- Pracowałabym ciężko! Może nawet mogłabym ci w czymś pomóc!

- Kto wie? To możliwe.

Madouc zarzuciła Shimrodowi ramiona na szyję.

- W końcu się czuję, jakbym znalazła dom.

- No, to postanowione.

Następnego dnia Aillas i Dhrun wrócili do miasta Lyonesse i natychmiast wszyscy opuścili Haidion. Shimrod i Madouc mieli skręcić ze Starego Traktu w Tawn Twillett i pojechać na północ do Trildy, zaś Aillas i Dhrun pojechaliby dalej Starym Traktem aż do Tatwillow i zamku Ronart Cinquelon.

Po drodze zatrzymali się w Sarris, gdzie Aillas zdecydował się wydać kilkudniowy bankiet, bawić się dobrze i zapomnieć na jakiś czas o obowiązkach.

Dhrun i Madouc spacerowali po trawniku, który opadał nad brzeg rzeki Glame. Przystanęli w cieniu wielkiego dębu o rozłożystych gałęziach.

- Czy pamiętasz, jak chowałaś się za tym właśnie drzewem starając się uciec przed biednym księciem Bitternem? - odezwał się Dhrun.

- Pamiętam to bardzo dobrze. Musiałeś sobie myśleć, że jestem dziwną istotą, skoro uciekam się aż do takich środków.

Dhrun potrząsnął głową.

- Myślałem, że jesteś zabawna i niezwykła, tak samo zresztą myślę teraz.

- Teraz bardziej niż wtedy, czy mniej?

Dhrun ujął jej dłonie.

- Teraz dopraszasz się komplementów.

Madouc spojrzała na niego.

- Ale ty nadal mi nie odpowiedziałeś, a ja cenię sobie twoje komplementy.

Dhrun zaśmiał się.

- Bardziej, oczywiście! Kiedy tak na mnie patrzysz tymi błękitnymi oczyma, miękna mi kolana.

Madouc uniosła głowę.

- Jeśli tak się sprawy mają, możesz mnie pocałować.

Dhrun pocałował ją.

- Dziękuję za pozwolenie, chociaż i tak bym cię pocałował.

- Dhrunie! Przerażasz mnie swoim dzikim pożądaniem!

- Czyżby? - pocałował ją jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze.

Madouc cofnęła się oddychając głęboko.

- A teraz co ty na to? - zapytał.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego czuję się tak dziwnie.

- Myślę, że wiem - powiedział Dhrun. - Ale nie ma teraz czasu na wyjaśnienia, ponieważ idzie po nas lokaj. - Odwrócił się, żeby odejść, ale poczekał, gdyż dziewczyna przykucnęła pod dębem.

- Co robisz? - spytał ją.

- Brakuje tu kogoś. Ona powinna tu być.

- O kim mówisz?

- O mojej matce, o Twisk! Jako córka mam obowiązek zaprosić ją na bankiet wydawany z tak radosnej okazji.

- Czy myślisz, że przyjdzie?

- Przywołałam ją. Madouc wybrała źdźbło trawy i zrobiła z niego piszczałkę. Zagrała piskliwą melodyjkę i zaśpiewała:

*Lirra lissa lirra la
Madouc gwizdek z trawy ma
Dźwięcznie gwizdże po to, by
Wezwać Twisk z Thripsey Shee.*

*Lirra lissa larra lą
Córka wzywa matkę swą
Złap się wiatru, skocz wysoko,
Stań tu ze mną oko w oko.
Wzywam cię ja, Madouc!*

W obłoku mgły pojawiła się Twisk. Jej delikatne rysy były pogodne, a błękitne włosy miała związane w kok podtrzymywany na czubku głowy srebrną siateczką.

- Matko, jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek! – krzyknęła zachwycona Madouc. - Podziwiam cię!

Twisk uśmiechnęła się lekko rozbawiona.

- Cieszę się, że zasłużyłam sobie na twoją aprobatę. Dhrunie, muszę przyznać, że prezentujesz się nadzwyczaj godnie. Wcześniej pobierane nauki na coś ci się przydały.

- No cóż, może i tak - odparł grzecznie Dhrun. - Z pewnością nigdy ich nie zapomnę.

Twisk zwróciła się ponownie do córki:

- Wymieniliśmy komplementy. W jakim celu mnie wezwałaś?

- Chciałam, moja droga matko, abyś była blisko mnie na tym radosnym bankiecie, który zaraz się zacznie. Niewielka to, ale szczególna okazja i będzie mi bardzo miło, jeśli się do nas przyłączysz.

Twisk wzruszyła ramionami.

- Dlaczego nie? I tak nie mam lepszego zajęcia.

- Hmm - mruknęła Madouc. - Entuzjastyczna reakcja czy też nie, ciągle się cieszę, że tu jesteś! Chodź, wołano nas już do stołu!

- Będę oczywiście unikać waszego ciężkostrawnego, zapychającego wnętrza jedzenia. Może jednak wypiję kropelkę wina i spróbuję kawałek przepiórki. Kim jest ten przystojny dżentelmen?

- To król Aillas. Chodź, przedstawię cię.

Podeszli wolnym krokiem przez trawnik w stronę kilkunastu stołów przykrytych białymi obrusami i połyskujących srebrną zastawą. Aillas

rozmawiający z jednym z członków swej eskorty odwrócił się i przyglądał, jak nadchodzą.

- Wasza Królewska Mość odezwała się doń Madouc. - Pozwól, że ci przedstawię swoją matkę, Twisk, znaną również jako Twisk Błękitnowłosa. Zaprosiłam ją, aby wzięła udział w naszym bankiecie.

Aillas skłonił się.

- Pani Twisk, witamy cię serdecznie! - Spojrzał na Twisk, na Madouc, potem znowu na Twisk. - Myślę, że widzę między wami jakieś podobieństwo, choć zapewne nie w kolorze włosów!

- Włosy Madouc są chyba jedyną rzeczą przekazaną jej przez ojca, niejakiego sir Pellinore'a, który charakteryzował się dość frywolnym usposobieniem.

Do grupy zbliżył się Shimrod.

- Matko, chciałabym ci przedstawić kolejnego z moich drogich przyjaciół! - zawołała dziewczynka.

Twisk odwróciła się i uniosła wysoko błękitne brwi.

- A więc tak, sir Pellinorze! W końcu postanowiłeś wyjść z ukrycia! Nie ma w tobie za grosz wstydu? - Twisk zwróciła się do córki. - Radziłabym ci większą ostrożność w dobieraniu sobie przyjaciół! Oto jest tajemniczy sir Pellinore, twój ojciec!

- Mogę wybierać sobie przyjaciół, matko, ale jeśli chodzi o mojego ojca, to ty go wybrałaś! - krzyknęła wzruszona Madouc.

- To prawda - zgodziła się Twisk. - Ale, to właśnie od sir Pellinore'a nauczyłam się ostrożności, której teraz próbuję nauczyć ciebie.

Madouc zwróciła się do Shimroda.

- Czy naprawdę jesteś sir Pellinorem?

Shimrod próbował zbagatelizować sprawę wymachując zamaszycie rękami.

- Wiele lat temu wędrowałem po świecie jako włóczęga. To prawda, że czasami, kiedy byłem w szczególnym nastroju, przedstawiałem się jako sir Pellinore. I rzeczywiście, pamiętam idylliczny czas spędzony w lesie w towarzystwie pięknej elfki. Wtedy myślałem, że imię sir Pellinore będzie dźwięczało bardziej romantycznie niż prozaiczne krótkie Shimrod.

- Więc to prawda! Ty, Shimrodzie, jesteś moim ojcem!

- Jeśli pani Twisk tak utrzymuje, będę zaszczycony zgodzić się na takie pokrewieństwo. Jestem równie zaskoczony jak ty, lecz wcale nie niezadowolony!

- Zajmijmy miejsca przy stole! - przemówił Aillas. Nasze kielichy są pełne wina! Madouc znalazła ojca, Shimrod znalazł córkę i rodzina jest teraz połączona!

- Nie na długo - powiedziała Twisk. - Nie smakuję w mdłej, domowej atmosferze.

- Musisz jednak przystać na tę chwilę. Zapraszam więc do stołu, gdzie uczymy zaskakujące okrycie, jakiego dokonała pani Twisk!

Po pierwsze: wypijmy zdrowie mej nieobecnej królowej Glyneth i nowej księżniczki Serie!

Po drugie: za panią Twisk, która oszłamia nas swą pięknnością!

Po trzecie: za Madouc, która kiedyś była księżniczką Lyonesse, później została włóczęgą, a teraz królewskim nadaniem staje się ponownie Madouc, księżniczką Lyonesse!

KONIEC